Biblioteka Pedagogiczna CEN
nr inw.: KG - 23852
BC KSK / 23852

B. KLAPWALD
JNTROLIGATOR i. GALANTERYJNIK
KRAKÓW WOLNICA 8

ALEKSANDER BRÜCKNER

DZIEJE LITERATURY POLSKIEJ W ZARYSIE

TOM I

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1908

PEDAGOGICZNA
Biblioteka Wojewódzka
w Białymstoku
23852
884(09)

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

PRZEDMOWA
DO PIERWSZEGO WYDANIA.

Z pomiędzy rzeczy ojczystych **literatura narodowa** wysuwa się u nas na czoło. Płynie szerokim korytem; toczy swe fale, — rzeka jedna, wielka, niepodzielna, przez wieki, i zwierciedlą się w niej losy narodu, wysokość jego kultury i jej związek z Zachodem, zalety i uzdolnienie narodowe, nawet jego wady i przywary. Więc i **dzieje tej literatury** nęcą badacza i czytelnika: ten szuka w nich wyświetlenia warunków, w jakich dzieła znakomitsze powstawały, wpływów, jakie wywierały, tła umysłowego i dziejowego, z jakiego się wyłoniły; tamten, kusząc się o wystawienie tego wszystkiego, pragnąłby choć nieco z owych świetnych barw i blasków, jakimi się nasza literatura skrzy, sprowadzić na swą paletę, uwydatnić mieniącą się rozmaitość ludzi i czasów, dzieł i prądów, treści i stylów, szerzyć kult piękna, prawdy i dobra, tę nieskalaną dotąd służbę literatury naszej, nieść «przed narodem oświaty kaganiec!» I zjawiają się coraz nowe próby, rozmaite układem, wykonaniem, rozmiarami, dążące jednak do spólnego celu.

Niniejszy zarys wyprzedziło niemieckie opracowanie tegoż przedmiotu przez autora (Lipsk, r. 1901); polskie nie jest ani tłumaczeniem, ani przeróbką niemieckiego, jest pracą samoistną, pomyślaną w odmiennych warunkach, przeznaczoną dla innej publiczności, wykonaną w szerszych rozmiarach. I z polskiej jednak pracy wykluczył autor bio- i bibliografię, ponieważ rozprawia o dziełach, nie o ludziach i książkach; zatrzymał podział najbardziej mechaniczny, jako najmniej gwałcący prawdę; nie uwzględnił literatury nauko-

wej, ograniczając się do pięknej, chociaż bardzo szeroko pojętej; przeprowadził wykład do doby najnowszej.

Autor daje **zarys dziejów**, o wyczerpaniu szczegółów nie myśli; mimo to stara się o wystawienie całokształtu, tak, żeby czytelnik dla dzieł, z jakimi się spotka, dla książki zapomnianej, dla rękopisu nieznanego, *potrafił sam oznaczyć styl i czas jego.* Wciąga więc i rzeczy dotąd nie uwzględniane, a zwraca uwagę najchętniej na szerokie promieniowanie literatury polskiej na zewnątrz. Żadnej tendencyi czy partyi nie wprzągł się w służbę; stara się o przedmiotowość, o dobadywanie się prawdy, jak się co działo i co znaczyło; że na ocenę znaczenia wpływało to, co autor za prawdę uważa, z tym się nie kryje. Dbały o historyczność, o uchwycenie ducha czasu czy dzieła, chętnie posługiwa się cytatami, wplata je często we własne słowa. Przypisków unika, skoro przeznaczył dzieło dla szerszej publiczności, obojętnej na to, gdzie się cytata, druk czy rękopis znachodzą. W opracowaniu czasów dawniejszych, przed wiekiem XIX, zaciągnął największe długi u dwu najznakomitszych bibliografów, u J. A. Załuskiego i u K. Estreichera; zresztą korzystał z licznych innych prac i poszukiwań, obcych i własnych.

Dać poznać sam tok dziejów literackich bez zbytniego zaciekania się w szczegóły i związek tych dziejów z europejskimi, samorodność i głębokość pomysłów, piękność wykonania, zalety myśli i stylu, a przez to przyczynić się do uświadomienia przeszłych zasług i przyszłych zadań narodowych, oto co było zadaniem autora. Czy go dokonał, osądzą inni. Autorowi pozostaje miły obowiązek złożenia wyrazów najszczerszej wdzięczności p. **Ignacemu Chrzanowskiemu**, że podjął się trudów całej korekty i niejedną cenną wskazówką pracę autorowi ułatwił.

Berlin, 15 listopada 1902 r.

PRZEDMOWA
DO DRUGIEGO WYDANIA.

Nowe wydanie zatrzymało dawny układ i rozmiary. Dołożono wszelkich starań, aby książkę ile możności ulepszyć i na wysokości obecnego stanu nauki utrzymać. Uwzględniono więc wyniki badań najnowszych; pododawano ustępy nowe; pousuwano mylne nazwy i daty, twierdzenia i domysły; tekst miejscami skrócono i wprowadzono lepszy ład, chronologiczny i rzeczowy. Skorzystano zarazem ze zmiany, jaką sam czas przyniósł: nie obawiał się więcej autor nieproszonej, natrętnej opieki, co niby miecz Damoklesa jeszcze w roku 1902 nad myślą i słowem wisiała.

Berlin, 31 marca 1907 r.

SPIS RZECZY.

Str.

ROZDZIAŁ PIERWSZY. POCZĄTKI.

Kraj, naród i państwo; kultura pierwotna. Przyjęcie chrześcijaństwa; niedostateczność misyi zewnętrznej i wewnętrznej. Pierwsze pomniki łacińskie; Gal i Wincenty. Rozbudzenie życia religijnego w wieku trzynastym. Kazania i pieśni polskie; Bogurodzica; zasługi Kingi. Nowe żywioły; napływ niemiecki; reakcya narodowa. Wiek czternasty; wpływy czeskie i niemieckie; kultura Kazimierzowska. Prace prawodawcze; potrzeba uniwersytetu. Literatura łacińska i polska; Jadwiga; kazania i pieśni polskie. Misya państwowa, obyczajowa i religijna na wschodzie. Nowy uniwersytet Jadwigi i Jagiełły. Żydzi 1

ROZDZIAŁ DRUGI. WIEK PIĘTNASTY. SCHOLASTYCYZM.

Państwo i społeczeństwo. Studyum generalne krakowskie; zasługi i wpływ jego; braki i wady. Literatura poza uniwersytetem; Długosz. Nowe prądy: husytyzm, Gałka; Ostroróg. Humanizm, Grzegorz z Sanoka, Kalimach, Celtes. Wzrost ogłady ogólnej. Mania pisania: kazania i poezya łacińska. Proza i poezya w języku narodowym. Zasługi Bernardynów; pierwszy wierszopis polski, bł. Władysław z Gielniowa . . 24

ROZDZIAŁ TRZECI. WIEK ZYGMUNTA STAREGO. DALSZA PRZEWAGA ŁACINY.

Państwo i społeczeństwo; spolszczenie mieszczaństwa; obce żywioły etnograficzne, Ruś i Litwa; ich polszczenie. Literatura łacińska; uniwersytet; poeci: Krzycki, Janicyusz; historycy; politycy. Literatura narodowa, rękopiśmienna i drukowana; Biernat z Lublina, Rej, jego dyalogi i psałterz. Śmierć Zygmunta Starego 60

Str.

ROZDZIAŁ CZWARTY. DRUGA POŁOWA XVI WIEKU. REFORMACYA.

Początki ruchu religijnego; przyczyny jego opóźnienia i rozbieżności. Lutrzy, Bracia Czescy, Kalwini, Aryanie. Polemika o wiarę; wpływ na literaturę. Reakcya katolicyzmu; dlaczego zwyciężył? Jezuici; Wujek i Skarga. Unia brzeska. Pisarze, wykolejeni polemiką teologiczną: Orzechowski, Fryc, Wolan 99

ROZDZIAŁ PIĄTY. LITERATURA ZYGMUNTOWSKA.

Literatura staropolska: Bielski i Rej, Paprocki i Stryjkowski. Tłumacze. Beletrystyka (powieści ludowe). Wierszoroby. Dyalogi i dramat szkolny. Poezya humanistyczna łacińska; polska, Kochanowski; pierwsze włoskie tchnienia; Szarzyński; ksiądz Grochowski; mieszczanin Klonowic. Tłumaczenia, Górnicki i inni. Proza humanistyczna; historycy, mowcy. Wynik tej pracy umysłowej; wysoki poziom literatury narodowej; jej język. . 148

ROZDZIAŁ SZÓSTY. WIEK SIEDMNASTY. TŁO DZIEJOWE I PRĄDY UMYSŁOWE. LITERATURA MIESZCZAŃSKA I PROZAICZNA.

Upadek państwa; anarchia szlachecka. Upadek protestantyzmu; wszechmoc katolicyzmu i Jezuitów; Sarbiewski; pisarze prawosławni. Upadek mieszczaństwa; rola jego w literaturze; Szymonowic i Zimorowic; literatura sowizdrzalska; dramat szkolny. Literatura polityczna; optymaci, Łukasz Opaliński; republikanie: Fredro; pesymista Lubomirski; antysemici. Historycy; polihistor Starowolski. Pamiętnikarze; Pasek. Powieści i romanse 208

ROZDZIAŁ SIÓDMY. POEZYA SZLACHECKA.

Uwagi ogólne o pisarzach; o pismach anonimowych; stan piszących, treść i forma pism. Pisarze wybitniejsi; epika historyczna i romantyczna; Twardowski. Epika religijna, mesyady polskie. Satyra Opalińskich. Wiersze dydaktyczne i fraszki: Wacław Potocki. Lirycy, religijni i polityczni, Miaskowski i Kochowski; erotycy, Morsztynowie; liryka gnomiczna Naborowskiego i in. Próby dramatyczne, Lubomirski. Kobiety autorki, Stanisławska 289

ROZDZIAŁ ÓSMY. ZASTÓJ SASKI.

Wzrost nietolerancyi, gorszące jej objawy. Anarchia szlachecka, zagwarantowana przez obce mocarstwa. Rozszczepienie literatury: drukowana się odświeczcza; rękopiśmienna. Magnaci w literaturze: Radziwiłłowie,

Str.

Jabłonowscy, Załuscy i t. d. Drużbacka. Romanse wierszowane; wiersze historyczne i satyryczne. Budzenie się z zastoju; Leszczyński, Konarski, Rzewuski 371

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY. ODRODZENIE.

Król i społeczeństwo. Satyryczna i dydaktyczna cecha literatury: Krasicki i Naruszewicz; Piotrowski i Juszyński; Trembecki i Węgierski. Liryka, Karpiński i Kniaźnin. Komedya, Zabłocki, Niemcewicz, Bogusławski. Literatura polityczna, Staszic, Kołłątaj, Jezierski. Wpływy francuskie: żywotność literatury ascetycznej, autorytetu łaciny, sarmatyzmu. Pamiętniki. Wywody ogólne o literaturze dawnej 418

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

POCZĄTKI.

Kraj, naród i państwo; kultura pierwotna. Przyjęcie chrześcijaństwa; niedostateczność misyi zewnętrznej i wewnętrznej. Pierwsze pomniki łacińskie: Gal i Wincenty. Rozbudzenie życia religijnego w wieku trzynastym. Kazania i pieśni polskie; Bogurodzica; zasługi Kingi. Nowe żywioły; napływ niemiecki; reakcya narodowa. Wiek czternasty: wpływy czeskie i niemieckie; kultura Kazimierzowska. Prace prawodawcze; potrzeba uniwersytetu. Literatura łacińska i polska; Jadwiga; kazania i pieśni polskie. Misya państwowa, obyczajowa i religijna na wschodzie. Nowy uniwersytet Jadwigi i Jagiełły. Żydzi.

Jeden ze szczepów słowiańskich, zamieszkujący od niepamiętnych wieków nizką płaszczyznę, lesistą i bagnistą, między Bałtykiem a Karpatami, między Odrą a Bugiem i Sanem, pierwotnie, jak i inne szczepy, nazwy ogólnej nie nosił. Nad morzem, od Szczecina do Gdańska, zwał się pomorskim; nad Wartą, polskim; nad Odrą, śląskim; nad Wisłą, u Krakowa i Sandomierza, Wiślanami; u Warszawy, mazowieskim: tych Pomorzan, Polan, Wiślan, Ślązan i Mazowszan (Mazurów) zwali obcy razem Lęchami (Lachami). Z tej jedności plemiennej wyodrębnili się jedni, wysunięci najdalej na zachód i północ, otoczeni nieprzebytymi borami i bagnami — Pomorzanie, skazani też wcześnie na zagładę; inni garnęli się i skupiali ku Białej Wodzie — Wiśle, słowiańskich rzek królowej, do pary ze starym Dnieprem — Sławutyczem.

Na tejto przestrzeni żyli ci Słowianie, luźnie, wedle plemion i rodów, nie napastowani ani napastujący, skoro nad Wisłę stepy swej dziczy koczowniczej nie wylewały, a żadne bogactwa kupców ani zdobywców nie nęciły; po wiekach gminowładztwa i nierządu,

iście słowiańskiego, nastąpiło powolne stężanie się i różniczkowanie mas dotąd bezkształtnych. Z wojewodów, starost i sędziów, z bogatszych pasterzy i łupiezców, wyroili się wyżsi, naczelnicy po plemionach i rodach, aż najenergiczniejszy z nich zawładnął innymi; od starej Gruszy — Kruszwicy nad Gopłem, od Gniazda — Gniez(d)na wyszedł zawiązek późniejszego państwa i »ksiądz« ich zaciężył nad obszarami przyległymi. I rosło młode państwo, od Polan polskim, Polską zwane; dzieła zjednoczenia pokrewnych plemion dokonali Mieszka i Chrobry; ten wyrugował na zawsze Czechów z Krakowa, ciążył nad zachodem i wschodem, ustanawiał biskupstwa (łacińskie) nawet w pomorskim Kołobrzegu, znosił się z cesarzami zachodniego i wschodniego Rzymu.

Stroniąc od morza, a gór unikając, żył był dotąd naród, oddany łowiectwu, rybactwu, rolnictwu, wywodzący trzody, hodujący pszczoły i ich »święte brzemię i rosę niebieską«, rządzący się i radzący na wiecach. Żadne wyprawy awanturnicze nie budziły go ze snu wiekowego, żadne najazdy nie rozkołysały jego siły i wyobraźni. W drewnianych chałupach kurnych, w ciasnych grodach, nad wodami i wśród nich, szukał schronienia przed słotą i wrogiem; żył z przyrodą, pracując jaknajmniej, gnuśniał lekkomyślny i nieopatrzny, dobroduszny i gościnny, przywiązany namiętnie do ziemi, zwyczaju i języka, ale ciekawy obczyzny tem bardziej, im rzadziej się z nią spotykał. Handlarze zjawiali się wyjątkowo — po skóry, wosk lub ludzi; płacono płatami lnu, kruszami soli, skórkami »białek«, kawałkami srebra, rąbanymi i łamanymi. Uzbrojenie bywało arcyliche: miecz i szczyt, długa włócznia i krótkie groty, łuk i strzały, ciemierem zaprawne, lepsze u wiciędzów-łupiezców, wojów, których ksiądz, jeżeli załogą w grodzie nie stali, wiciami, podawanymi od woja do woja, na wyprawę zwoływał. I kult religijny nie budził nadto myśli ospałej; ubóstwianie przyrody zajmowało celniejsze w nim miejsce; świątyń, posągów, kapłanów może i nie było; obchodzono święta wiosenne i jesienne u ruczajów i po gajach »stadem«; składano ofiary z koni, które potem z bóstwem spożywano, skąd nazwa »Koniojady« różnych miejscowości; zalewano je piwami i miodami; wróżono o pomyślności z ofiar i trafów. Nad tymi zjadaczami chleba o słabej woli i zmiennym usposobieniu górowały niemal, więcej uduchowione, delikatniej zorganizowane niewiasty, choć władza męża była despotyczna,

a wdowa na stos po mężu wstępowała; wielożeństwo panowało chyba u starost i księdzów; czystości obyczajów strzeżono przykładnie. Kobieta, od kobi, t. j. wróżenia przezwana, brała w kulcie udział walny; ona była wróżką i wieszczką, ona piastowała poezyę narodową.

Lud ten miał swe tradycye; opowiadał o dalekich psiogłowcach, o olbrzymach-stolimach i krasnoludkach ubożętach, o smoku w »wąwalu« (wądole) krakowskim (Wawelu) i o jego zgładzeniu; bajał o dziwnych przygodach dziwnych stworzeń; ostrzył dowcip zagadkami; pstrzył mowę przysłowiami; poezyi jednak epicznej nie posiadał; nic przynajmniej jej nie wskazuje. Kwitła poezya liryczna, szczególniej w ustach dziewcząt, stadem i kołem na wiosnę chodzących lub zimą u kołowrotków pracę pieśnią miarkujących: pieśni wiosenne przy pląsach i klaskaniu w dłonie; pieśni, owijające się o szczegóły dramatu ślubin lub tragedyi śmierci; pieśni dożynkowe. Tylko o takich wspominają dawne źródła, czy to opowiadając, że je przerwała wiadomość o nagłym zgonie Sprawiedliwego, czy to, że występują gorliwi kaznodzieje i gromią te pogańskie nawyczki, te dyabelskie śpiewy z ich przyśpiewami niezrozumiałymi: chrześcijański kapłan, słysząc owe powtarzane, »opiewane«, Ładо, Ileli, Tyja, Jesze, był przekonany, że to nazwy czartów — bogów, niegdyś wzywanych przez bałwochwalców; z takich to przyśpiewów utworzył i zaludnił i Długosz polski olimp pogański, chociaż wiek XV. dawno już wszelki ślad jego utracił. Naturalnie, że i niezwykłe zdarzenia wywoływały piosenki, odruch i wylew uczucia, podrażnionego najazdem obcych, zbrodnią domową, odwetem szyderskim; lecz i w tych piosnkach, tragicznych i rzewnych, czy wyzywających i złośliwych, nie przeważał żywioł epiczny.

Na widownię dziejową wstąpił ten naród za »Piastowiców«, a raczej za przyjęcia chrześcijaństwa. Niezwykły to był szczep, sam kwiat narodu, ci pierwsi »Piastowicy«, ów »niedźwiedź« t. j. Mieszka, co to z Dobrawą czeską chrzest przyjął, i siostra jego, Biała Księgini, co i konia dosiadała i człowieka ubiła i całe Węgry wraz z Gejzą na pasku wodziła: przewyższyli to rodzeństwo jeszcze syn i córka Niedźwiedzia, Chrobry i Dumna, godna matka Knuta Wielkiego, co północ zawojował; kobieta jak ze stali, nieugięta i nieustraszona niczem, a taki i brat jej, Chrobry, co dzwonił mieczem w bramy praskie i kijowskie, do Konstantynopola słał butne

oświadczyny, a między Niemcami zjednywał gorących wielbicieli, jak młodego cesarza samego i świętego z rodu jego, Brunona, i wrogów nieprzejednanych, zgrzytających zębami na samo wspomnienie nazwy jego, jak Titmar merseburski, biskup i dziejopis. Do tych Piastowiców, sięgających znamiennie w zaraniu dziejowem za Karpaty i za Bałtyk, do Węgier i do Szwecyi, przystała dzielna Przemysłowicówna, owa Dobrawa, co, choć żona i matka, do śmierci dziewiczego wieńca nie zrzucała, o której lud może to właśnie opowiadał, co później kronikarz na Wandę złożył.

Nie za Mieszki jednak, nie w r. 966 dopiero, poraz pierwszy zapukało chrześcijaństwo do wrót polskich; spłynęło tu ono Wisłą jeszcze w dziewiątym wieku, od Moraw, gdzie urządzali, dziwem w Europie niesłychanym, obrządek słowiański święci bracia soluńscy; książę Wiślan wolny chrześcijaństwo to wprawdzie odrzucał, lecz w niewoli przyjąć je musiał. Więc nie w Wielkiej Polsce, lecz nad Krakowem zabłysły przed r. 900 pierwsze krzyże; tylko cięży już jakieś przeznaczenie nad tym Krakowem, że wszystko podwójnie odrabiać musi. Toż samo było i z chrześcijaństwem; zatarły się wnet jego dawniejsze ślady, tak, że rok 966 za pierwszy chrześcijaństwa uchodzić winien. Lecz nie ze wszystkiem zatarły się te ślady; ślady dzieła braci soluńskich w języku polskim dotąd się przechowały; np. nazwy *popa* i *cerkwi* od XV. wieku dopiero zatracono; dalsze słownictwo chrześcijańskie, od *mszy* i *kmotra* aż do *mnicha* i *papieża*, do *krzyża* i *chrztu*, do dni tygodniowych i świątecznych, wskazuje, jakimi to żywiołami domowymi posługiwało się i to chrześcijaństwo, które od zachodu, od Kolonii i Magdeburga, do Polski dążyło.

Lata te rozstrzygnęły losy Słowiańszczyzny nazawsze; w dwadzieścia lat później przyjął bowiem Włodzimierz kijowski chrzest od Grecyi; Ruś i Polacy, tak blizcy pochodzeniem, obyczajem, mową, nie dzieleni granicami przyrody, przeznaczeni do utworzenia wielkiego państwa słowiańskiego, obok Romanów i Niemców, rozeszli się na zawsze; obrządek stworzył niebywałe dawniej, nieprzeparte zapory, i z każdym wiekiem miała się odtąd pogłębiać przepaść, dzieląca oba narody; Rzym i Bizancyum przeniosły na Polskę i Ruś te wstręty, jakie je same dzieliły, wstręty, zupełnie obce plemieniu słowiańskiemu i jego temperamentowi. Na razie przepaść ta nie przeszkadzała związkom familijnym między Piastowicami a Rurykowicami; stosunki pokojowe i wojenne, jako między sąsiadami, nie zaostrzały się jeszcze przeciwieństwem wyznaniowym. Lecz gdy Ruś przez przyjęcie obrządku wschodniego od Europy się odstrychnęła i własnym życiem pod wpływami greckimi żyła, zlała się Polska, dzięki obrządkowi łacińskiemu, z zachodem. Nowa wiara zakłóciła »mir«, gdyż nawet różnic społecznych, uwydatniających się coraz bardziej, nie tylko nie złagodziła, ale spotęgowała.

Ustrój ówczesnej Polski przypominał ustrój Galji za czasów Cezara: lud, jak i u Galów, był prawie niewolnikiem; ciężyły nad nim rody szlacheckie, stawiając wojów i »czestników«, żupanów (panow) i starostów, komorzych i wojewód, każde »gniazdo«, z własnym obszarem ziemi i z własnym, jedność rodu wyświadczającym, »zawołaniem« (hasłem, wziętym od położenia »gniazda«, np. Do Liwa, Do Łęga itp., lub od trafunku jakiego lub od »seniora«): pod hasłem kupili się wszyscy »gniazdowicy«, Nałęczowie, Toporowie, Grzymałowie i t. d. Nad »szlachtą« i ludem, stał ksiądz, książę, który wkońcu po tytuł króla i po koronę sięgnął, z nieograniczoną, ojcowską władzą nad krajem, jakby nad własną rodziną; z wymaganiami twardymi w służbach i daniach, mszczący winę ojca zawsze i na całej familii, surowo karzący wszelki występek. Do tego ustroju weszło duchowieństwo, obce, z nowymi wymaganiami nader uciążliwymi, z zabranianiem pokarmów pewnych (koni, zajęcy) na zawsze lub mleczywa i mięsa w czasach oznaczonych, w posty; z nakazami odwiedzania dalekich kościołów; z dotkliwymi ograniczeniami swobody małżeństw (co do czasów ich zawierania i co do stopni pokrewieństwa); z nowymi podatkami, dziesięcinami. Sarkał więc lud, i, gdy po nagłej śmierci Chrobrego drugi Mieszka trudnościom nazewnątrz i wewnątrz nie sprostał, zerwał się po śmierci jego do walki przeciwko panom[1]) i duchowieństwu, do walki socyalnej i religijnej zarazem, ale jarzma swego już nie zrzucił, przynęcił tylko obcych (Czechów) do najazdu i pustoszenia; odtąd nie zrywał się już nigdy, znosząc przez osiemset lat, z cierpliwością nieskończoną, iście słowiańską, dawne jarzmo, które z wiekami tylko cięższym się stawało.

[1]) Wiemy z źródła ruskiego, że lud rozsrożony zabijał i bogate żupanie (panie) polskie.

Silna organizacya monarchii piastowskiej przetrwała tę burzę, ale punkt jej ciężkości przesunął się z północy, z Gniezna i Poznania, na południe, do Krakowa, skąd organizacyę odbudowywać poczęto. Najsilniej ucierpiało wtedy duchowieństwo, w którym żywioły obce, romańskie, długo jeszcze przeważały; czuło się ono dygnitarstwem świeckim i w imię interesów państwowych, konszachtów politycznych, przyszło też do pierwszego starcia między królem a biskupem; król biskupa, jakby urzędnika świeckiego, śmiercią ukarał. Była to chwila zamieszania, upadku życia religijnego w całej Europie, które dopiero za Grzegorzów i wypraw krzyżowych odżyło; jednostki tylko, Wojciech, Bruno, Romuald, gorzały świętym ogniem; i w Polsce znachodzili się pierwsi asceci, jak ów Świerad święty, Andrzejem zwany, co to na Węgrzech w pustelni życia dokończył. Zresztą ani nieliczni zakonnicy, Benedyktyni w Międzyrzeczu, Tyńcu, Lubinie; Kanonicy regularni w Trzemesznie; później Cystersi w Lądzie, Sulejowie — oddani gospodarstwu domowemu, pielęgnowaniu roślin, karczowaniu szerokich dziedzin; ani duchowieństwo świeckie, które się jeszcze w pół wieku po śmierci Chrobrego stałej organizacyi nie dobiło napowrót, nie odznaczało się duchem religijnym ani zbytnią gorliwością.

Ucierpiała na tem najpierw misya. Polskę okalały z północy i zachodu, od dzikich Jaćwingów nadnarwiańskich aż po spółplemiennych Luciców nadodrzańskich, ludy pogańskie, lecz nie zdobyło się nigdy duchowieństwo polskie na misyę między tymi poganami, zostawiało wieńce męczeństwa obcym, Wojciechom i Brunonom. Zdobyczy czynił i tracił oręż Bolesławów; szerzyła się kultura polska między Prusami, których język najgęściej przesiany słowami pochodzenia polskiego; nie szerzyła się wiara. Duchowieństwo polskie dało się obcym zupełnie wyręczyć; chociaż jeden język Polaków i Pomorzan łączył, pracy misyjnej dokonał Niemiec, Oton z Bambergu, kościołowi niemieckiemu, kulturze niemieckiej, szlachcie i chłopom niemieckim drogę do Szczecina utorował, a żywioł słowiański na zniszczenie wystawił. I utraciła Polska Pomorze na zawsze; ledwo część wschodnią, gdańską, ocaliła. Z ziemią pruską poszło nie inaczej; mimo, że dzielnice prapolskie, np. chełmińska, głęboko się w nią wdzierały; że ten lub ów Cysters polski, np. Chrystyan, misyi skutecznie się podejmował, nie podołały ani duchowieństwo, ani oręż Polski, podziałami wyniszczonej, zadaniu misyjnemu i cywilizacyjnemu, i wbrew obiecującym początkom trzeba było Prusy, jak i Pomorze, wydać na łup Niemcom, zamknąć sobie przystęp do morza, zachwiać egzystencyę polityczną i narodową.

Jak misya zewnętrzna, tak i wewnętrzna owoców długo nie wydawała. Na stolicach biskupich i po kapitułach zasiadali obcy, jeszcze i w wieku dwunastym; dyecezye rozciągały się w rozmiarach bajecznych, krakowska np. od Wisły aż do Bugu i Styru; kościoły parafialne i klasztory gubiły się na takich przestrzeniach. Duchowieństwo, nie uznając celibatu, ześwieczczało zupełnie; król lub książę mianował biskupów, nie poddających się rygorowi arcypasterza; szkół w kraju, mężów uczonych, ksiąg był brak najdotkliwszy. Każdy Niemiec, zjawiający się dla bakałarzowania, miał powodzenie zapewnione, jak ów Oton z Bambergu; udawano się po same pierwiastki nauk zagranicę; częste nazwy Lambertów na stolicy biskupiej krakowskiej, wskazują związki z sławną szkołą w Leodyum, pod patronatem św. Lamberta zostającą; Francuz też musiał napisać pierwszą kronikę Polakom, na żądanie ich duchowieństwa. Rzym, zasilany z Polski skromnym świętopietrzem, wglądał w sprawy kościoła polskiego przez legatów, nastających na karność nową, usuwających zakorzenione błędy. Lecz już z trzynastego wieku dochodzą wymowne ich skargi na niedołęstwo duchowieństwa polskiego; nawet starcy nie znali modlitwy żadnej, nie umieli powiedzieć, w co wierzą, a o ziemi Łukowskiej (parafii krakowskiej) donoszono papieżowi, że ludzie tam nawet nie chrzczeni umierają, jak śród pogaństwa, i myślano o założeniu nowego, łukowskiego biskupstwa. Nie dziw więc, że jeszcze w końcu XIV. w. zdarzały się wypadki, dawno na zachodzie niebywałe, jak ów Chrystus z apostołami i Magdaleną u stóp gór świętokrzyskich, czczony, jak Bóg, przez mieszkańców okolicznych, zapowiadający im deszcze i pogodę, otrzymujący liczne ofiary, aż starosta szalbierza przeświadczył i uśmiercił; inny Chrystus z apostołami jeszcze za Zygmunta Starego lud niepokoił i grosze wyłudzał.

Przez całe wieki nie spotykamy śladów czy pomników życia umysłowego; jeśli jakie były, to chyba przez obcego »notaryusza« spisany dokument łaciński — ani runiczne ani cerkiewne pismo w Polsce śladów nie zostawiły. Znajdziemy chyba list, którym

zapraszano obcego do misyi ruskiej; ludzie wyższego ukształcenia byli nieliczni. Górował między nimi Kazimierz Sprawiedliwy; obchodziły go pytania naukowe, chętnie o nich rozprawiał; ubolewał, że młodzieży polskiej nie można ćwiczyć w duchu rodzinnym i polecał wreszcie mistrzowi Wincentemu, późniejszemu biskupowi krakowskiemu, pierwszemu, co z wyboru kapituły wyszedł, ułożenie podręcznika dziejów narodowych. Istniał już podręcznik, dziełko owego Francuza, z początku wieku, ale poprzestawał na wyliczaniu przewag Krzywoustego, traktując resztę, jako wstęp; Francuza rozszerzył, przykrasił, wymuskał cytacyami z autorów i przykładami z dziejów starożytnych mistrz Wincenty, popisując się retoryką, znawstwem przewodu sądowego (kanonicznego), oczytaniem w poematach i encyklopedyach; treść dopowiedział do początków XIII. wieku i wstawiał księgę całą o bajecznych dziejach narodu, gdzie niemal więcej własną inwencyą, niż podaniami, narabiał, a jak ów Francuz prozę opowiadania wierszami przeplatał, tak i on wsunął obszerniejszy poemat, misteryum alegoryczne o walce i rozpieraniu się radości z panowania sprawiedliwego »księdza« i smutku z powodu zgonu jego. Jak wyszukaną tą alegoryą, tak i formą dyalogiczną, nadaną pierwszym trzem księgom, rywalizował mistrz Wincenty z najlepszymi wzorami ówczesnej szkoły francuskiej, wydającej Hildebertów, Janów z Salisbury, Alanów. Jedyny to Polak XII. wieku, przedstawiający naród śród uczoności ówczesnej; inne rzeczy, które w Polsce powstawały, były kopiami z obcych źródeł lub wychodziły z pod piór obcych.

Wiek nowy, t r z y n a s t y, zapowiadał się smutnie. Podział kraju, od lat sześćdziesięciu trwający, prowadził do dalszego rozdrabniania dzielnic, szczególniej śląskich i kujawskich, do nowych walk wewnętrznych i coraz większej bezsilności na zewnątrz, wobec Prusów, Jaćwingów, Rusi; przygotował zupełne oderwanie się Śląska od macierzy polskiej. Z upadkiem znaczenia władzy książęcej rosło znaczenie duchowieństwa i panów, przechodzących od jednego pretendenta do drugiego, od Mieszki Starego do Laskonogiego i naodwrót; duchowieństwo, przejmujące się powoli zasadami Grzegorzów i Innocentych, wywalczało przywileje i nietykalności z uszczerbkiem władzy książęcej najpierw sobie a potem torowało drogę szlachcie do podobnych zakusów; odtąd staczają się dzieje polskie po pochyłości uroszczeń stanowych, aż się zakończą rozbiciem

władzy monarszej zupełnym. Zagrażają nowe niesłychane klęski; dzicz stepowa kieruje się ku Wiśle i spłókuje po kilka razy dzielnice małopolskie, zapędzając się aż ku Śląskowi; mór czarny pustoszy kraje doszczętnie. Ale ten sam wiek zaznacza się nową epoką w umysłowości polskiej.

Rozbudza najpierw życie religijne, głębokie i szczere, nie poprzestające na obrzędowości zewnętrznej poprzednich wieków, rozmarzone i idealne. Nie brała przedtem Polska udziału w życiu zachodnim, w walkach krzyżowych, w pielgrzymkach do ziemi świętej; wyprawy pruskie i pomorskie zastępowały Palestynę, murowanie kościołów romańskich, z malaturami bizantyńskimi, zastępowało drogę rzymską i jerozolimską. Tym razem ogarnęła jednak fala religijna, z której się zakony kaznodziejskie i żebrzące, pokutnicy i biczownicy, wyłonili, i Polskę. Co zaniedbali mnisi czarni i szarzy, Benedyktyni i Cystersi, miała wynagrodzić brać Dominika i mniejsza, Franciszka; i duchowieństwo świeckie zakrzątnęło się nietylko około imunitetów, dziesięcin i świętopietrza, lecz i około zbawienia i oświecenia trzódki wiernej. Walną przeszkodą był obcy język liturgii; religia i łacina, którą językiem żaków nazywano, jakby ci innego nie znali, splotły się nierozerwalnie, ale łaciny tej prócz księży nikt w całym kraju nie znał, i z zadowoleniem zapisywał kronikarz klasztorny fakt, że książę umiał po łacinie i z kapelanami nadwornymi chętnie rozmawiał, gdyż i u dworu nikt inny po łacinie nie umiał. Należały się więc ustępstwa językowi krajowemu; synody duchowieństwa wdrażały obowiązek plebanom, aby w niedziele i święta powtarzali główne modlitwy ludowi, odmawiali z nim spowiedź powszechną (Kaję się Bogu), a w miarę sił objaśniali i lekcyę świętą. Nie zadowalali się tym skąpym posiłkiem Franciszkani, którzy jeszcze gorliwiej, niż Dominikani, kaznodziejstwu polskiemu się poświęcali, i już około roku 1270 rozbrzmiewały po dzielnicach małopolskich i śląskich kazania minorytów w języku polskim, nawet po małych kościołkach wiejskich, gdzie się pleban chętnie zakonnikiem wyręczał. Franciszkani pierwsi obdarzyli lud polski i pieśnią narodową

Kazania i pieśni dla ludu nie odgrywały w nabożeństwie wczesnego średniowiecza znaczniejszej roli; zasługą była obecność sama przy nabożeństwie i śpiewie łacińskim duchownych, korne słuchanie niezrozumiałych dźwięków; kazań nie prawiono, lud nie

śpiewał, chyba przy procesyach Kyrye elejson, kierlesz, powtarzał; z kierleszem ruszali i rycerze do bojów. Na zachodzie, szczególniej u Niemców, nie u Romanów, rozwinęła się już w języku narodowym pieśń religijna; u Czechów rozszerzono samoistnie pierwotny »Kierlesz« do całej zwrotki »Hospodine, pomiluj ny i t. d.«; i u nas, na samym zaraniu literatury narodowej, rozbrzmiewa wspaniały swą powagą hymn, jej hejnał niby, **Bogurodzica;** dzieje jej przejmują nas głębszym uczuciem i czcią większą, niż jakiejkolwiek innej pieśni religijnej. Obie jej zwrotki, korne, a natchnione, poważne, choć proste, wzruszają i dzisiaj, cóż dopiero, gdy poraz pierwszy zabrzmiała pieśń:

Bogurodzica dziewica,
Bogiem sławiena, Marya,
Twego syna, gospodzina,
Matko zwolena, Marya,
Zyszczy nam, spuści nam! Kirie eleison!
Twego dziela Chrzciciela, Bożyce,
Usłysz głosy, napełń myśli człowiecze;
Słysz modlitwę, jąż nosimy;
To dać racz, jegoż prosimy;
A na świecie zbożny pobyt,
Po żywocie rajski przebyt! Kirie eleison!

Tekst rozumiemy i dziś swobodnie, choć mu sześćset lat z górą minęło; w pierwszej zwrotce upraszało się o wstawiennictwo do Syna i Pana, matkę i dziewicę; w drugiej wzywało się Bożyca, syna bożego, o wysłuchanie próśb naszych dla (dziela) Chrzciciela Jego. Kto obie zwrotki ułożył, nie wiemy; domysł wskazał Franciszkana Bogufała, spowiednika księżniczki-wdowy małopolskiej, Węgierki Kingi, gorącej wielbicielki Maryi; w najkrytyczniejszej chwili bogomyślnego, ascetycznego jej żywota łaska Chrzciciela cudownie ją wsparła; więc o Maryi właśnie i o Chrzcicielu prawią obie zwrotki pierwszej pieśni polskiej. Z imieniem tej świętej, której suty posag Polskę od pogaństwa, a gorąca miłość naród i język jego z mroków wyprowadzała, łączy inna, bardziej pewna tradycya pamięć najdawniejszej prozy naszej, przekładu psałterza.

Z murów, może klasztornych, starosądeckich czy innych jakich, wypłynęła Bogurodzica na szeroki świat polski. Usta narodu pod-

chwyciły pieśń z jej przepiękną, starożytną, również koniec XIII. wieku wskazującą melodyą i, choć zapomniano o autorach — wieki średnie próżności autorskiej nie znały, wraziła się pieśń sama tem głębiej w serce i pamięć narodową. Nią rozbrzmiewały szeregi polskie, gdy się z wrogiem odwiecznym na polach grunwaldzkich ścierały; od niej huczały lasy, gdy się Kujawiacy na rycerzy mieczowych rzucali; słyszano ją i za Niemnem pod Wilkomierzem, w bitwie rozstrzygającej losy Litwy. Ją to zaintonował Zbygniew Oleśnicki, gdy wybór króla polskiego na tron węgierski w tumie krakowskim obchodził i ją zaśpiewał nad Czarnem morzem, pod Bałkanem, u Warny, ten sam król i wierni jego, nim na Amurata natarli. Odzywała się ona po kościołkach, gdy ksiądz przed kazaniem z ludem ją śpiewał; od niej zaczynali zwody statutów polskich Łaski i Januszowski, przyczem św. Wojciecha jej autorem nazywali. Ją śpiewali ubodzy pod kościołem, i dbano jeszcze w XVII. wieku o fundacye dla śpiewania jej w kościele samym i do dziś rozbrzmiewa ona co niedzielę w tumie gnieźnieńskim. Tak odbiło się życie religijne w literaturze polskiej, zdobyto pierwsze językowi narodowemu prawo w kościele.

Tak więc wiek trzynasty, wiek świętych Pańskich w Polsce, wiek ascetów, Henryków Pobożnych i dwu Bolesławów, Jadwigi i Salomei, Kingi i Jolanty, kiedy to kanonizacyę św. Stanisława przeprowadzono, a Dominikani Jacek i Czesław cudami zasłynęli, wniósł nowe żywioły. Zmieniała się nawet zewnętrznie Polska, od samych nazw począwszy; nazywano odtąd Wielką Polską kolebkę państwową, zaś ziemię Wiślan, krakowską i sandomierską — Małą, choć istotny stosunek sił i znaczenia był odwrotny i w Małej ześrodkowywało się życie umysłowe i polityczne; tylko Mazowsze i Śląsk, z dążeniami separatystycznymi, ostały przy dawnych nazwach. Sama nazwa »Polan« zaczęła »Polakom« ustępować, ale jeszcze w XV. wieku owej starszej używano. Zmieniały się i nazwy osobowe: obok dawnych, słowiańskich, pojawiały się coraz bardziej chrześcijańskie, Piotrów i Janów, i tłumaczone, Żegoty z Ignacego, Lasoty z Sylwestra, Dobrogosta z Bonawentury; niebawem prześcignął wszystkie patron ojczysty, Stanisław, i stał się tak ulubionym, że żartował Zygmunt Stary o swoich poddanych: Stanisław z izby, Stanisław do izby. Panowie zaczęli zarzucać dawne nazwy

odojcowskie, przestali się nazywać Pawłowicami i t. d.[1]), a wybierali za przykładem obcym nowe na — ski od posiadłości ziemskich; goniąc za cudzoziemczyzną zaczęli się wyodrębniać »szlachtą« i »erbami«, przejmując od Czechów nazwy owe niemieckie i pierwsze obce zwyczaje, rycerskie, z klejnotami i t. d., w słowiańskiej Polsce nieznanymi. Lecz zapowiadały się i wprowadzały zmiany radykalniejsze, etnograficzne i socyalne; z nową, napływową ludnością powstał i stan nowy, i ustała dotychczasowa jednolitość narodowa Piastowskiej Polski. Teraz bowiem do grodów i podgrodzi, na dwory książęce i na niwy polskie wlewały się fale obce, niemieckie. Niemca, Miemca, znano dotąd przelotnie tylko z wypraw cesarskich, fortunnych i niefortunnych; z duchownych i bakałarzów, wracających z zarobkiem do swoich; teraz dopiero sadowił się Niemiec na stałe, rozpierał się, groził wywłaszczeniem Słowian i w Polsce, czego dokonywał w Meklenburgii i Marchii, na Pomorzu i Śląsku, w Łużycach, Myszni i Czechach. Ogarnął go był, jak już raz niegdyś, prąd ku wschodowi, ale niegdyś, w trzecim i czwartym wieku po Chrystusie, Goci i Wandali daniną się zadowalali, żadnych nowych porządków nie wprowadzali, chociaż niejedno po nich między Słowianami wsiąkło, od urządzeń ich i od uzbrojeń, od obyczajów i od przemysłu, gdyż kroki swe ci Niemcy na południe kierowali, na ziemiach słowiańskich goszcząc raczej mimochodem. Teraz zdobywał na nowo i na stałe Niemiec-kolonista, wypierany z ojczyzny własnej przeludnieniem, katastrofami i niekorzystnym położeniem ekonomicznym, pługiem swym ciężkim pola słowiańskie, a zalewał ich grody, jako rękodzielnik i kupiec; poprzedzała go szlachta i duchowni, gnieżdżący się coraz liczniej i wyłączniej po dworach Wysławów rujskich, Warcisławów pomorskich, czeskich Przemysłów; prowadzili oni za sobą niemieckie »dworskie« zwyczaje, literaturę i język. Fala niemczyzny, spływająca od północy, od Fryzyi i Holsztynu, i z frankońskich stoków na południu, zatopiła niziny słowiańskie nad Salą, Elbą i Odrą; czem dalej na

[1]) Jeszcze w dokumentach z roku 1224 i t. d. napotyka się stale u szlachty owe starosłowiańskie imiona na — wic, które później tylko u mieszczan się zachowały; pojawiają się *Jakób Raciborowic*, *Bieniek Polaninowic* (»filius Poloni!«), *Trojan Trojanowic*, *Skarbimirz Skarbimirzyc*, *Sławomir Samsunowic* i t. d. w jednym dokumencie razem; por. *Bożyca* w Bogurodzicy.

wschód, słabł jej impet, jeśli jej, jak w Prusiech lub na Siedmiogrodzie, nie wyżłobiono osobnego nowego łoża. Fala ta i ku Polsce nadbiegła, lecz zagarnęła tylko Śląsk niższy, od Marchii odrzańskich nie oddzielony niczem; zalała słowiańskie jego żywioły, po których, prócz nazw miejscowych, nic nie zostało; już w Wielkiej Polsce zajęła tylko pas graniczny, a w Małej rozbiła się całkiem na luźne placówki.

Książęta, duchowieństwo i szlachta sprzyjały tym przybyszom. Wnosili oni lepszą gospodarkę, pracę zyskowniejszą; przynęcali opłatami, zamiast dotychczasowych danin w surowiznach; bogacili grody przemysłem i handlem; zubożali książęta dzielnicowi łakomili się na nowe siły robocze; ziemi niezajętej było moc, więc trzebiono lasy albo osiedlano Niemców na gotowem albo też dawną ludność słowiańską na nowo organizowano, przenoszono ją z prawa polskiego na niemieckie. I zagospodarował się kraj i zakwitnęły grody i podgrodzia, do niedawna marne drewniane budowle, nie wyłączając kościołów i zamków z ich podmurowaniem, ożywione tylko podczas targów lub zjazdów książęcych z dostojnikami dzielnicowymi. Rosła więc rychło siła materyalna Polski, ale zagroziło jej niebawem niebezpieczeństwo wynarodowienia, rosnące na pobratymczym zachodzie z przerażającą szybkością. Niemcy wnosili z sobą własny język i obyczaj, w cechy i warsztaty, w gospody i kramy, między rajców i ławników, szerząc porządki Majdburku, Lubeki i innych municypiów. Niemcy bakałarzowali po szkołach; Niemcy górowali po klasztorach, nietylko u Cystersów, lecz i świeżymi zakonami Dominikanów i Franciszkanów zawładnęli niebawem, tak, że utrudniali nawet wstęp Polakom. Ocknęło się wobec grożącego niebezpieczeństwa najpierw duchowieństwo; najdalej posuwał się gorliwy arcybiskup, Jakób Świnka, strofujący na synodzie niedbałych a oskarżający Franciszkanów przed papieżem; ponawiano tam uchwały, zakazujące przyjmowania na nauczycieli Niemców, nie władających językiem krajowym na tyle, żeby żaczków w łacinę polszczyzną wprawiali. Świnka to pierwszy typowy wróg obcych: nawet kaznodzieja nie znalazł łaski przed oczyma jego, choć prawił świetnie, skoro był »psiogłowcem«. Tak zaczynał się budzić w Polsce antagonizm narodowy; jeszcze wcześniej pojawił się w pobratymczych Czechach, gdzie niebezpieczeństwo groziło silniej, gdzie rychlej w lite-

raturze się odbiło, a nawet króla-germanofila w stanowczej chwili do odezwania się w imię zachwianego słowiaństwa, do gorącej odezwy ku Polsce, skłoniło.

Produkcyi literackiej i ten wiek mało sprzyjał, jeśli podnietę religijną pominiemy, chociaż i ta rychło osłabła; ostygał zapał nowych zakonów, cudzoziemczących się zwolna; polskie kazania, pieśni i psałterze nie krzewiły się bujniej ani sięgały głębiej, nie rozkołysały leniwców, zadowalających się powtarzaniem pacierzy głównych i najprostszą egzortą - katechizmem (owym »Kaję się Bogu« i t. d.). Łacińskie pisma obracały się w zaklętym kółku hagiografii; mnożyły się legendy o Stanisławie, Jacku, Salomei, Kindze; najobszerniej spisywano rozliczne cuda, i tylko w ich protokółach przesuwają się jednostki tłumu, którego życie, mimo wszelkich różnic stanowych, było jeszcze tak jednolite, ciche, bezbarwne. Postęp był bardzo powolny; mnożyły się przecież szkoły po miastach, chociaż nauki obfitszej nie dawały; tej zawsze za granicą, w Pradze, w Paryżu lub Włoszech, szukać należało; jednostek wybitnych brak był zupełny, literata, jakim był mistrz Wincenty, próżnobyśmy teraz szukali; całe stulecie nie wydało dzieła, któreby z Kroniką Polaków równać się mogło; zadowalano się odpisami i notatami rocznikarskimi.

Z końcem wieku wymierały linje piastowskie w Małej i Wielkiej Polsce; do opróżnionych ziemic, witany przez przybyszów Niemców, zgłaszał się nowy, silny pretendent, król czeski, zagarniający jedną po drugiej, aż korona Chrobrego i Śmiałego na skroniach Przemysłowica spoczęła.

Wiek czternasty zaczynał się związkiem dziwnym, żywiołowi polskiemu wręcz groźnym, unią czeskoniemiecką. Wpływ czeski nie zaważył dotąd silniej nad dziejami i kulturą polską, mimo styków wojennych, blizkości granic i języka; zjawiali się Czesi między duchowieństwem np. zakonnym, jak Odraniec, spowiednik Kingi, ale to jednostki; teraz dopiero, za rządów Wacławowych, zaczęła się objawiać przewaga czeska na każdym polu, od urzędów i mennicy począwszy, aż do pisowni i języka. Szybko minęły rządy Wacławów, ale impuls raz dany trwał dalej; Śląsk ciężył zupełnie ku Czechom, a rychło wzrastająca Praga, wchłaniająca za Luksemburgów, szczególniej za Karola, wszystko, co kultura zachodu wydawała, stała się wzorem niedoścignym dla Krakowa; na szczęście, zlewały się z łatwością wpływy czeskie z polskimi. Inaczej, groźniej stawiały się niemieckie, zakon szczególniej, osiadły za polskim wezwaniem i za pomocą polską w Prusiech; mieszczaństwo krakowskie i poznańskie, coraz zamożniejsze, przywołujące do grodów zniemczałych książąt śląskich. Niemieckie otoczenie synów Henryka Głogowczyka, rządzących w Wielkiej Polsce, parło ich do pozbycia się żywiołów polskich, głównie szlachty; za hasło zakonu uznał wylękniony kronikarz wytępienie »języka« polskiego; dumny wójt Albert i biskup - Ślązak Muskata wypowiedzieli Łokietkowi posłuszeństwo i oddali miasto Opolczykowi. Lecz zdobył się Łoktek na energię, której poprzednim Piastowicom brakło; korzystał z tego, że miasta i klasztory nie stanęły ławą za Niemcami, poprzeciągał je na swoją stronę i z pomocą szlachty zgniótł Poznań i Kraków. Jak po roku 1036 opór chłopów, tak ginie po roku 1311 opór miast, które porzucają odtąd myśli polityczne i oddają się wyłącznie pracy i zarobkom, bogacąc siebie i Polskę, rosnąc w dobrobyt materyalny, a upadając w znaczeniu moralnym. Teraz są one już całkiem niemieckie; niemczyzna kwitnie po miastach (i klasztorach); księgi radzieckie i ławnicze piszą się wyłącznie w tym języku; na weselach krakowskich prawią oracye »rymarze« niemieccy; szerzą się po kraju podania niemieckie, choć przybierają zabarwienie miejscowe, jak świadczy podanie o Walcerzu Udałym, przyczepione dowolnie do Tyńca i Wiślicy. Po kościołach miejskich głoszono kazania niemieckie — aż w przysłowie weszło: siedział, jak na niemieckim kazaniu; dla szkół układali Niemcy dziełka, jak Frowin, co to Antigamerata, przeciw gachom — gamratom, napisał, ucząc za jednym zachodem morałów, prozodyi i homonimów łacińskich; dziełko to stanowiło pierwszy wkład krakowski do literatury pedagogicznej i przetrwało po szkołach polskich i niemieckich dwa wieki; cytują je retoryki polskie XV. wieku, a Niemcy drukują je jeszcze na początku XVI. wieku, ku zgrozie humanistów. W duchowieństwie polskim, i prócz zakonnego, Niemcy mają licznych przedstawicieli; gdy przy końcu stulecia pierwszy biskup przemyski, rezydujący na miejscu, Henryk von Winsen, kapitułę urządzał, ściągał do niej uczonych Niemców; prawda, że i po kościołach niemieckich, w Meklemburgu np., zjawiali się Polacy, których i w Czechach nie brak; trzy te kraje były w stałej wymianie, ale Niemcy czują się w Polsce, jak między

swoimi; tylko szlachta i chłop patrzą na to krzywo i twierdzą, że, póki świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem.

Energia Łokietka zgniotła zakusy antinarodowe Poznania i Krakowa; dumny Albert musiał sromotnie z Krakowa uciekać; w Pradze natrząsał się z niego Czech-łacinnik, przestrzegający w pieśni (o nim) Polaków przed skrytymi zamiarami niemieckimi. Krzyżowników jednak, jak ich zwano, nie zdeptał Łoktek; sił nie starczyło; i Płowce nawet, pod którymi mścił nowy król straszne spustoszenie, systematyczne splądrowanie Polski, walki nie rozstrzygnęły. Pozycyę, której utrzymać nie mógł, zlikwidował syn jego, nie mający hartu ojcowego, przesiąknięty wpływami zachodnimi od młodu, od pobytu na dworze andegaweńskim, zazdroszczący Budzie i Pradze poloru europejskiego, bogactwa, wykształcenia, przemysłu, kunsztów. Szara, drewniana, uboga Polska Łokietkowa, co się jednak na czyn stanowczy, na koronacyę, zdobyła i na walkę z przemożnym wrogiem wysiliła, zwlokła za Kazimierza dopiero skromny przyodziewek, przystroiła się świątecznej; wznosiły się teraz liczne a wielkie zamki, mury i baszty; miejsce świątyń romańskich zajmowały budowy gotyckie; miękki Piast oddawał się zmysłowemu życiu i użyciu, i zaroiło się od kobiet na dworze jego; mądry, zapobiegliwy, nie tonął w rozpuście; rozmiłowany w życiu czynnym podejmował i wykonywał najrozmaitsze zadania; przyłożył się, jak nikt z panujących, do wzniesienia gmachu kultury polskiej i odumarł Polskę inną, niż ją zastał, gdy po sędziwym ojcu skołataną nawę państwową obejmował.

Zrzekając się z stanowiska na zachodzie, zapewniał krajowi pokój pożądany na długo; zakwitnęły przemysł i handel; wzbogacały się miasta i zdumiewali się obcy na widok dostatków, jakie roztoczył przed nimi Wirsing, rajca, gdy w imieniu miasta królów i książąt ugaszczał. Utrzymanie ładu i pokoju wymagało sprężystszego i jednolitszego sądownictwa, i myśl Kazimierzowa dawno skierowała się ku ujednostajnieniu i skodyfikowaniu prawa zwyczajowego, niepisanego, dogodnego możnym dzięki wykrętom, po sądach odprawianych z hukiem i trzaskiem. Ustawodawstwo Kazimierzowskie, zwód praw tak zwanej Wiślicyi dla Małej Polski, osobny, mało odmienny zwód dla Wielkiej, były pierwszym krokiem w szeregu innych; i porządki sądów miejskich miały uledz

zmianie, miano przeciąć apelacye, idące od miast polskich zagranicę, do Wrocławia i Majdburka. Okazała się teraz dla kraju nieodzowna potrzeba prawników.

Tych dotąd Polska sama nie kształciła; szkoły jej, acz coraz liczniejsze, szerszego zakresu nauk nie obejmywały. Obcy, już i pierwsi Włosi, kierowali szkołami, na Wawelu,[1]) przy tumach i farach, po klasztorach, ale studya jurydyczne i medyczne — w głębie teologiczne mało kto się zapuszczał, odbywano za granicą, w Bolonii i Montpellier, w Padwie i Pradze. W ciągu takich studyów ugrzązł nieraz Polak nazawsze na obczyźnie; sławnych mistrzów Polaków znajdziemy nawet w Montpellier, byli i w Paryżu; z reguły wracał dekretysta do kraju, pewien szybkiej promocyi; dekretyści osiadali stolicy arcybiskupie i biskupie; między nimi znajdował król gorących popleczników nowych urządzeń; od nich wiał ten sam duch, zwrócony przeciw materyalnemu rozpanoszeniu się i moralnemu upadkowi duchowieństwa, który i Karola z arcybiskupem praskim cechował.

Ale droga do Padwy i Bononii, gdzie Polacy między »ultramontanami« niepoślednie zajmowali stanowisko, do Paryża i Montpellier, a choćby i do Pragi, była daleka, uciążliwa, kosztowna. Za przykładem Karola, co wielkim nakładem studyum generalne w Pradze niby dla własnej ziemicy, w istocie dla całej środkowej i wschodniej Europy urządził, powziął i Kazimierz myśl ustanowienia, za nieodzowną wtedy aprobatą papieską, podobnego studyum w Krakowie, dla Polaków i obcych przeznaczonego; jednak mimo przychylności papieskiej, *universitas litterarum* Kazimierzowa w życie nie weszła. Miała podstawę za wązką, skoro dla uniknięcia konkurencyi z Pragą i Paryżem, teologji, korony nauk średniowiecznych, z góry się zrzekała, a i o artystów, t. j. o wydział filozoficzny, nie dbała; zawisły więc dwa jej wydziały, prawniczy i lekarski, niby w powietrzu. Sama jednak myśl, przeszczepiania studyów włoskich i trybu ich na ziemię polską, i pierwsze kroki ku urzeczywistnieniu jej prowadzące, dowodziły postępu i potrzeby nowych torów dla Polski.

---

[1]) Jeszcze r. 1411 żebrała szkoła zamkowa u Kapituły Krakowskiej, aby dała jej zamiast obecnego rektora, obcego, źle uczącego, krzywdzącego szkołę — jakiego dobrego Polaka, coby nam w naszym języku autorów objaśniał.

PEDAGOGICZNA Biblioteka Wojewódzka w Białymstoku

Zakończyło się odosobnienie Polski średniowiecznej, żyjącej własnym, skromnym, szarym życiem za przesiekami po borach, za rzekami i jeziorami. Zmiana przebija się już w samym języku, którego rodzimość pstrzą coraz nowi przybysze, z czeskiego, niemieckiego, z łaciny. Przodują w tym, jak później za czasów francuszczyzny, panowie chorągiewni, kasztelanowie po »zamkach«; za nimi duchowieństwo, szczególniej zakonne, szerzące od swych »folwarków« z rzeczami nowymi w ogrodzie, »śpichrzu« i »śpiżarni« od dawna już i nazwy ich obce; przyłączy się później mieszczaństwo, od ławy sądowej i izby rajeckiej, od kramów i warsztatów, od »miasta«, »pokoju« i »sklepu«, co w ich ustach pierwotne, słowiańskie znaczenie odmieniły.

Piszą już więcej, ale zawsze jeszcze wyłącznie po łacinie. Przez cały wiek przesuwają się dzieła i autorowie bez przerwy, od Antigamerata Frowina do pierwszych zbiorów kazań łacińskich opata miechowskiego Stojka i innych. Przeważał kierunek religijny; pieśni piszą, ale nabożne, jak Jan Łodzia, biskup poznański, wykształcony, miłośnik muzyki i kobiet, składający »prozy« kościelne, na Wniebowzięcie i Oczyszczenie, na św. Wojciecha (z anagramem własnego nazwiska), na śś. Piotra i Pawła. Najdonioślejszym dziełem pozostaje kronika byłego podkanclerzego, Janka, syna wójta czarnkowskiego, Bogumiła, którego król, jak tylu innych »mieściców«, dla zasług i zdolności wbrew rodowitym »gniazdowicom« wysoko podniósł. Nie odwdzięczył się Janko dobroczyńcy swemu, gdyż dzieje świetnego panowania zbył krótko, tylko we wstępnych rozdziałach; opowiedział zaś szerzej wypadki lat 1370 — 1384, aby z wrogami swymi choć na piśmie się rozprawić. Nabierają przez to roczniki jego żywości, namiętności, stronniczości i odbijają od bezbarwnych dawniejszych tem skuteczniej.

Gdy tak łacina wszechwładnie panuje, zapiski sądowe czy rocznikarskie, legendy czy dzieła ascetyczne, dyplomaty czy ustawy nią się tylko posługują, świadczy brak literatury w języku narodowym, tak samo u nas jak u Węgrów, o zacofaniu umysłowym. Pisać po łacinie, wedle wzorów gotowych, nie silić się na żadną samoistność, nie przełamywać zapór — to cecha tego zacofania; to sprawiło, że literatura nasza i w XIV. wieku jeszcze najuboższa, daleko w tyle nawet za czeską pozostała. Umysłów nie musnął jeszcze duch ogłady; gnuśnieją w dawnej kolei, nad najbliższe

otoczenie się nie wznoszą. Tylko na polu religijnym budzą się potrzeby; płeć piękna, lud nizki, od szkół wykluczone, tęsknią za wylewem uczuć i ich wyrażeniem; nie wystarcza im powtarzanie pacierza, bicie się w piersi, witanie dawnym Pomagabóg. Na tym więc polu postęp będzie widoczny.

I tak dotrwały do dni naszych zbiorki kazań polskich, nie wykwintne myślą ani stylem, poziome i proste, szacowne wiekiem i służbą językowi narodowemu; jeden z prastarego klasztoru świętokrzyskiego, z Łyśca, drugi z prastarej katedry gnieźnieńskiej. Szczupłe one; wobec braku innych źródeł, jedyne, co przedstawiają język Łokietków i Kazimierzów; co uczą, jak wyglądało najdawniejsze kaznodziejstwo polskie, zakonne, trzymające się wzorów łacińskich, lecz sprowadzające je na niższy poziom, odpowiedniejszy kornej gromadce, siedzącej na ziemi lub stojącej obok kazalnicy; więc bez subtelności teologicznych, bez splotu cytacyi z Pisma św. i Ojców kościoła, ogólnikowe, blade i suche, wdrażają jednak przepisy moralności i objaśniają tajemnice wiary i obrzędu. Obok tych na poły oryginalnych kazań stawały przekłady Pisma św., dokonane na większą skalę poraz pierwszy, znowu dla kobiet. Jak w XIII. wieku Kinga, tak w XIV. druga Węgierka, Jadwiga świątobliwa, »rozkosz świata — nie widziano jej równia po rodach królewskich ówczesnych«, woła zachwycony autor spółczesny — wzbudzała ruch na polu literatury narodowej. Długosz, opisując jej nabożność, gorącą miłość Boską, wzgardę blasków doczesnych i próżności świeckiej, poświadcza, że przykładała się do modlitw i czytania ksiąg nabożnych, to jest pisma Starego i Nowego Zakonu, homilii (kazań) czterech doktorów kościelnych: Ambrożego i Augustyna, Hieronima i Grzegorza; dalej ulubionych w średnich wiekach żywotów ojców (zakonnych); pasyi świętych Pańskich, rozmyślań i modlitw śś. Bernarda i Ambrożego, rewelacyi św. Brygidy i wielu innych, wyłożonych z łaciny na polskie. Jest to zarazem pierwszy spis biblioteki prywatnej polskiej; przedtem bywały tylko kościelne i klasztorne. Z całej tej biblioteki, prócz psałterza jednego, świętofloryańskiego (klasztoru w Austryi Górnej, przechowującego ten skarb starodawny od XVI. wieku) nic nam w oryginale nie ocalało, chyba w późniejszych odpisach ułamki jakieś i resztki — biblioteka musiała uledz wczesnemu rozproszeniu, skoro jedna z następczyń Jadwigi, Zofia, ponownie biblię dla siebie przekładać kazała. A może

były to przekłady czeskie (ślady ich widoczne nawet w psałterzu floryańskim); mieściłyby i rzeczy świeższe, jak rewelacye św. Brygidy, szwedzkiej, w których rozkoszowali Praga i słynny nasz teolog praski, Mateusz Stadtschreiber z Krakowa, nie obcy Jadwidze i jej zamiarom. Jadwidze ofiarowali i dzieła łacińskie, ascetyczne, np. Dominikan Henryk Biterfeld.

Ciekawsze są próby poezyi polskiej, kroczącej po śladach »Bogurodzicy«; i tu okazów ani wiele ani wartościowych, ale brak natchnienia i głębokości zastąpią naiwność uczucia i koloryt miejscowy. Jak »Bogurodzica« ku Zbawicielowi się zwracała, tak przeważają między pieśniami nowymi pasyjne i wielkanocne, krótsze i dłuższe; krótsze, »Chrystus z martwych wstał jest, Nam przykład dał jest, Eż nam zmartwychwstaci, Z Bogiem królewaci« i »Przez Twe święte zmartwychwstanie i t. d.« przetrwały wieki w ustach ludu. Z dłuższych wyróżnia się pasyjna, Godzinki Zbawicielowe, najdawniejszy przykład długiego wiersza polskiego, trzynastozgłoskowego, ulubionego wiersza naszego od połowy szesnastego wieku; momenty męki Pańskiej ułożono, jak później wedle stacyi, tutaj wedle godzinek brewiarza:

Jezus Chrystus, Bóg-człowiek, mądrość oćca swego,
Po czwiartkowej wieczerzy czasu justrzennego
Gdy się modlił w ogrodzie oćcu bogu swemu,
Zdradzon, jęt i wydan jest ludu żydowskiemu i t. d.

Ciekawsza inna pieśń wielkanocna, wcześnie do obu zwrotek »Bogurodzicy«, niby dalszy jej ciąg, doczepiona; czas uświęcił ten zlepek, i już od r. 1420 rozumieją te dwie pieśni razem pod spólną nazwą »Bogurodzicy«. Pieśń:

Nas dla wstał z martwych syn boży,
Wierzyż w to, człowiecze zbożny,
Iż przez trud Bóg swój lud
Odjął dyablej stróżej i t. d.

najbardziej oryginalna ze wszystkich średniowiecznych przez to, że naiwny jej autor nie zawahał się, jak spółcześni i późniejsi malarze, szczegółów z otoczenia domowego wplatać w swój utwór; stróża, to termin urządzeń Polski średniowiecznej, Lucyfer, starosta piekielny, jakby szło o jakiego »grododzierżcę« polskiego,

a Adam, to Boży kmieć, siedzący u Boga w wiecu, jak »kmetones et barones« Królestwa Polskiego w wiecu koronnym; do takich zaszczytów przyszedł zaś Adam raz dzięki naiwności średniowiecznej, która go, o kanonizacyę niedbając, do świętych policzyła, jak »świętego« Jopa, Dawida i inne postaci Starego Zakonu; a powtóre dlatego, że Chrystus to wtóry Adam: zgładził, co pierwszy zawinił, w otchłani samej, bo o niej głównie się śpiewa. Inne pieśni były Maryjne, np. pozdrowienie: Maryja czysta dziewice, Daj nam widzieć boże lice, Niebieska dziedzice i t. d.; nigdy nie pojawia się w nich dawna nazwa ludowa Maryi, *Marza*. Takie i inne pieśni, nieraz dosyć nieudolne, o kulawych rymach, z myślą niedołężną, z słownictwem niewyszukanym, to cel i czoło tej literatury, dziwnie nie licującej z coraz bogatszym życiem narodowym, z nowymi jego napływami i widokami.

Najważniejszy odkrył jeszcze w roku 1340 Kazimierz Wielki. Polska Łokietkowa była zwrócona ku zachodowi, Kraków wskazywał śląskie i czeskie otoczenie, Poznań — marchijskie i pomorskie; teraz odwraca się Polska głównym frontem ku wschodowi. Śluby Kazimierzowe z Litewką, Aldoną, przepowiadały niby symbolicznie ten zwrot; dokonał go Kazimierz sam, zagarniając w imię rodowych praw Halicz po wygaśnięciu linii książęcej. Ale o wiele ważniejsze następstwa zapowiadał krok dalszy na tym torze, ślub Jadwigi z Jagiełłą, połączenie osobiste Polski i Litwy (z Rusią litewską), podjęcie misyi na wschodzie. Polska zasklepiała się dotąd w swych ramach etnograficznych, i w nich już niejedno uroniła na zawsze lub chwilowo; teraz opuszczała węższą podstawę narodową, sięgała na wschód, szerzyła tam ustrój swój i obyczaj, wiarę i język. Misya katolicka na wschodzie była dotąd zaniedbana a już najmniej biskupowie lubuscy, z dalekiego zachodu, co rościli sobie do niej pretensye, starali się o ich urzeczywistnienie, zadowalając się fałszerstwami dokumentów i jałowymi protestami; odosobnione misye franciszkańskie i dominikańskie sięgały nieraz głęboko, lecz trwałych skutków nie odnosiły, ani w Kijowie nawet, tem mniej na Wołoszczyźnie; ster sprawy uchwyciło teraz państwo. Kazimierz sam porządkował wprawdzie wraz z patryarchą konstantynopolitańskim zaniedbane stosunki episkopatu prawosławnego, lecz już planował organizacyę kościoła katolickiego na ziemi ruskiej, której następcy dokonali; nowe arcybiskupstwo, halickie, później do Lwowa

przeniesiono; nową prowincyę kościelną zlano później z gnieźnieńską. Kościół ten z początku istniał dla niewielu, dla przybyszów, Niemców kolonistów po miastach, dla szlachty, coraz liczniej z uboższych ziem mało- i wielkopolskich i mazowieckich na bogatą Ruś napływającej, tu stale osiadającej, rozradzającej się rychło, polszczącej całe otoczenie. Tymczasem przeszła rdzenna Litwa w roku 1387 na katolicyzm, za przykładem księcia swego, co, rok przedtem, po prawosławnym nowy chrzest przyjął i królowę polską poślubił; świeżo powstałe biskupstwo wileńskie, a później i żmudzkie, przyłączono zaraz do dyecezyi gnieźnieńskiej. Nieliczni Franciszkani, apostołujący już dawno w Wilnie, i męczennicy za wiarę, ogromowi pracy podołać nie mogli; nie starczył jej tem mniej dotychczasowy kler polski i koniecznym było pomnożenie jego szeregów. Tego mogło tylko dokonać wielkie studyum teologiczne, mieszczące się w kraju samym; ta nowa konstelacya, pozyskanie Litwy i widoki na Ruś, wykazały niezbędną konieczność urzeczywistnienia planu Kazimierzowego, chociaż go król sam niby na razie odstąpił. Zmiana sytuacyi odbiła się jednak na nowej szkole; nie wymagania prawnicze, jak w roku 1364, lecz teologiczne, wysunięto w roku 1400 na czoło. Po próbach oparcia o Pragę instytucyi potrzebnej, seminaryum dla duchowieństwa litewskoruskiego, chwycono się jedynej skutecznej i zbawiennej drogi, za poradą i wpływami mistrzów polskich zagranicznych, głównie sławnego z wiedzy i życia Mateusza Stadtschreibera z Krakowa, teraz rektora w Heidelbergu, przybywającego umyślnie w tym celu do miasta rodzinnego; za gorącym wstawiennictwem Jadwigi, przeznaczającej na ten cel testamentem swe klejnoty: odnowiono fundacyę Kazimierzową, lecz na odmiennej podstawie, i rok 1400 ujrzał wejście w życie nowego uniwersytetu, Jadwigi i Jagiełły, z wydziałami filozoficznym i teologicznym; obok nich prawo cesarskie i medycyna schodziły całkiem na drugi plan.

Gmachy nowego uniwersytetu stanęły przy ulicy Żydowskiej (czyli św. Anny). Żydzi ci nie teraz dopiero napłynęli do Polski. Prześladowani na zachodzie znaleźli w XIII. wieku w Wielkiej Polsce, w Poznaniu, gościnne przyjęcie i rozszerzyli się po dzielnicach polskich, we Wrocławiu i Krakowie, skąd dalej na wschód ruszali, do Lwowa i Wilna, aby na ziemiach ruskich i litewskich spotykać się z bracią, idącą od południa. Rządy Kazimierzowe

sprzyjały im stanowczo, i jedyne niezadowolenie głębsze, jakie Kazimierz u Krakowian wywołał, wypłynęło z podtrzymywania i popierania obcego żywiołu, które potem legenda, osobistymi wpływami kochanki »Esterki« i czarami Żyda Lewki, tłumaczyła. Żydzi, rosnący stale w zasoby materyalne, przedstawiali żywioł zupełnie odrębny, wiarą, obyczajem, językiem; na razie pochłonięci robieniem grosza, zaniedbywali stronę umysłową, żyli tylko okruchami z wiedzy wschodu i dalekiego zachodu. W jednolitą do niedawna ludność polską wdzierały się więc żywioły obce, niemieckie i Żydów niemieckich; świadczyły o nich choćby nowe nazwy miejscowe, od Kleparza i Melsztyna, od Lanckorony i Łańcuta (Landshut), po Rożenbark lub Giwont w Tatrach, Kulparków, Zamarstynów (Goldbergshof, Sommersteinhof) pod Lwowem lub Fulsztyn na Rusi; świadczył język, np. rot sądowych, wpisywanych po polsku w protokuły łacińskie, gdzie np. roku 1395 stawianie poręczycieli »ugwiesieniem« (od »gewiss«) stale nazywają; a nawet owych kazań lub psałterzy z słowami, jak *pielgrzym*, *kielich*, *szkoda* i t. d., i młodszymi, jak *waga*, *dach*, *strofować*, *szonować*, *pronga* (pręgierz), *szynkować*, *budować* i t. d.

Z rokiem 1400, z otwarciem wielkiej szkoły polskiej, kończy się ostatecznie zaściankowość, zacofanie i odosobnienie pierwotnej średniowiecznej Polski; rozchylają się zasłony gór i lasów, opary jezior i błot, mroki niewiedzy i zastoju, jakie Polskę przed oczami Europy dotychczas zakrywały; wprzęgnięta w rydwan postępu wkracza na tory wielkiego posłannictwa dziejowego.

ROZDZIAŁ DRUGI.

WIEK PIĘTNASTY. SCHOLASTYCYZM.

Państwo i społeczeństwo. Studyum generalne krakowskie; zasługi i wpływ jego; braki i wady. Literatura poza uniwersytetem; Długosz. Nowe prądy: husytyzm, Gałka; Ostroróg. Humanizm, Grzegorz z Sanoka, Kalimach, Celtes. Wzrost ogłady ogólnej. Mania pisania: kazania i poezya łacińska. Proza i poezya w języku narodowym. Zasługi Bernardynów; pierwszy wierszopis polski, bł. Władysław z Gielniowa.

Zaraz na początku wieku dojrzały plony owej polityki wielkiego stylu, zapoczętej w wieku XIV. Czemu nie podołała Polska Piastowska, tego dokonała Jagiellońska: złączonymi siłami polskimi i litewskimi rozbito groźnego wroga — zdawało się, na zawsze. I wytężała odtąd polityka polska swe siły, aby dzieło, któremu królowę wielką poświęciła, utrzymać; aby uniknąć grożącego nieraz rozbicia unii; o nowe, wielkie plany już się nie kusiła. Trony węgierski i czeski dodawały blasku Jagiellonom, nie sił Polsce; Jagielloni wyszafowali energię na plany dynastyczne, obce narodowi szlacheckiemu. Naród ten, nie pozbywszy się dzielnicowych uprzedzeń, korzystał z coraz nowego opróżniania tronu, z wymierania dynastyi piastowskiej i andegaweńskiej, z paktowania z Jagiełłą, aby zapewniać sobie przywileje, a osiągszy je, sięgał dalej; wojna pruska po roku 1454, prowadzona nie wysiłkiem jednomyślnym całego narodu, lecz rotami zaciężnymi, nastręczała sposobność targowania coraz nowych ustępstw u króla i już nie możnowładztwo, lecz cała szlachta bierze w nich udział kosztem tronu, mieszczan i kmieci. Wojny stają się niepopularnymi; szlachta

zapomina o obowiązkach, a cieszy się prawami i wyzyskuje je coraz bezwzględniej; głęboki pokój zalega Polskę.

Zmienia się odtąd jej postać. Zagospodarowuje i zabudowuje się; rosną dostatki, wygody, użycie; co za Kazimierza u mieszczan się zaczęło, szerzy się i na szlachtę. Zacierają się powoli ślady ubóstwa i prostoty Polski Piastowskiej; znikają bure i szare kolory z odzienia, krój jego poważny, jego niezmienność; nastają barwne szaty, »rzezane« kabaty, drogie chusty, trzewiki jak sierpy, włos długi trefiony, wieńce na głowie, lutnia przy boku, sukna najdroższe przywoźne, lundzkie, machelskie i inne, kroje coraz inne, coraz wymyślniejsze. Kobiety wymykają się z zamknięcia domowego, zrzucają zasłony z twarzy; strój ich dorównywa pstrością i wymysłami, rękawami, spadającymi aż do ziemi, czapkami, rogatymi aż do nieba, męskiemu i wnet go prześciga; pierścienie noszą nawet u palców nóg, a na »szlepach« ich dyabła jadącego widzą kaznodzieje, przerażeni tą falą kolorów, tym szelestem drogich materyi, wonnościami i kwiatami. Trunki są coraz kosztowniejsze, wkrada się rywuła, alikant i inne wina, które chytry morawczyk gipsuje; dania są coraz obfitsze i różnorodniejsze. Obudza się życie towarzyskie i poza obrębem miejskim; dziki gwar i grobowe milczenie dawnych czasów ustępują coraz liczniejszym i weselszym posiedzeniom, kuligom, zjazdom obu płci; śpiew i muzyka, gry i pląsy, warcaby, szachy, karty lub kostki urozmaicają je; rosnące dostatki, pokój zapewniony, brak troski o jutro nadają ton i swobodę temu życiu, które chyba na kresach napad tatarski przerywa, a po stolicach chwilowe podniecenie uczucia religijnego w brzegi, z których już całkiem wylewało, znowu wtrąca i hamuje, lecz chwile skupienia i skruchy bywają coraz rzadsze i krótsze, jednostki nawrócone coraz mniej liczne, świat chyli się widocznie ku nowemu pogaństwu i materyalizmowi.

Umysłowemu życiu wieku nadaje główną cechę »studyum« krakowskie; życie to rozwija się teraz również jakby za dotknięciem laski czarodziejskiej. Nie rozpraszają się już, jak dotąd bywało, siły naukowe polskie zagranicą; pierwsze grono profesorskie złożyli zaraz mistrzowie i doktorowie Polacy, uczący w Pradze, a szkoła stała i nadal siłami krajowymi, chociaż Ślązakom i Czechom przystępu do katedr nie broniono. Poziom naukowy podniósł się nagle; jeszcze w XIV. wieku było mało książek w Polsce, — jak ubogim

był nawet księgozbiór kapituły krakowskiej! teraz lada profesor, lada kanonik rozporządzał w testamencie, przekazując je wydziałowi lub kapitule, bogatymi zbiorami. Rosła znajomość łaciny: rozumiał ją przedtem ksiądz piąte przez dziesiąte, teraz czytał i pisał w niej swobodnie i zbiory oryginalne kazań układał wyłącznie w tym języku, dogodniejszym dla użytku pisemnego, niż język rodzimy. Z łaciną rosła wiedza Pisma św., prawa kanonicznego, autorów średniowiecznych, przez których się i do starożytnych docierało, nauk ścisłych, matematyki i astronomii wraz z astrologią; w drugiej połowie wieku słynęła szkoła krakowska właśnie z tych nauk: mistrzowie jej układają »judicia«, t. j. prognostyki na rok następny urodzajów, zdrowotności, wojen i t. d., cieszące się wielkim powodzeniem jeszcze i w wieku następnym, nawet i poza granicami kraju; »Krakauer Schreibkalender« w Wiedniu przeżył istnienie nawet państwa polskiego; Wojciech z Brudzewa, aby innych nie wspominać, zażywał zasłużonej sławy; tu uczył się Mikołaj Kopernik, nabywał wprawy, metody, wskazówek i podstaw; tu miał nauki odbywać doktor Faust; w reformie kalendarzowej rzymskiej zabierała głos i nasza szkoła. Uniwersytet nie zasklepiał się w badaniach umiejętnych, nie tracił łączności ze społeczeństwem, owszem, przejmował się sprawami ogółu i bronił ich wytrwale: z jego grona wychodzili szermierze praw polskich i prawdy polskiej przeciw uroszczeniom krzyżackim, jak Paweł Włodkowic z Brudzenia; tenże w duchu kolegów i za przykładem Mateusza Stadtschreibera, Krakowczyka, który traktat swój do Krakowa natychmiast przysłał, domagał się reform, usunięcia krzyczących nadużyć w kościele, mianowicie zgubnej symonii pod każdym kształtem; w jego myśli występował wielki uczony, asceta gorliwy, Jakób z Paradyża. W walce, rozdzierającej chrześcijaństwo, między rzecznikami wyższości soborów nad papieżem a poplecznikami papieskimi, stawał uniwersytet po stronie pierwszej, z najwybitniejszymi teologami francuskimi, i bronił stanowiska koncyliarnego do upadłego, odstępując go ostatni z uniwersytetów. Uniwersalny charakter studyów średniowiecznych, wykształcanie znakomitych latynistów (w średniowiecznym znaczeniu słowa), nie wykluczało w Krakowie bynajmniej opiekowania się dziejami ojczystymi i językiem narodowym. Kronikę mistrza Wincentego wykładano i objaśniano z katedry, i zachował się scholastyczny jej komentarz Jana

z Dąbrówki; Długosz, ukończywszy wiekopomne dzieło historyczne, polecał je opiece mistrzów krakowskich, aby je dalej prowadzili. Były rektor, Jakób, syn Parkoszów, obmyślał ujednostajnienie pisowni polskiej i polecał je w wierszu:

Kto chce pisać doskonale
Język polski i też prawie,
Umiej obiecado (abecadło) moje,
Którem tak napisał tobie i t. d.,

a gdy ktoś ułożył wedle źródeł czeskich tak zwany Mamotrept, t. j. słownik biblijny dla żaków, łacińskopolski, nie zawahali się »czcigodni mistrzowie z kolegium słynnej wszechnicy krakowskiej« poprawić jego polszczyzny, i taki poprawny odpis (z r. 1471) dochował się do dni naszych, obok owego mylnego.

Mimo tego ciążenia ku narodowi nie była to szkoła narodowa, partykularna; sam uniwersalny charakter katolicyzmu i wiedzy jego średniowiecznej nie dopuszczał tego. Podwoje jej stały otworem dla katolickiego świata północnego; od Szwajcaryi do Anglii i Szwecyi niebyło kraju, coby nie wysyłał do niej uczniów, mimo mnożących się uniwersytetów (Erfurt, pod którego murami Jakób z Paradyża do kartuzy uszedł, gdy mu reguła cysterska nie dosyć się ostrą zdawała; dalej Lipsk, Gryfia i in.); szczególniej od kiedy Praga »zheretyczała«, napływali postronni do Krakowa, najwięcej z tych ziem, które własnych uniwersytetów nie miały, a więc ze Śląska, z Prus zakonnych i z Węgier; spory narodowościowe rozstrzygali Niemcy i Węgrzy po bursach i na ulicach krakowskich; napływ ich przetrwał nawet wiek piętnasty. I nietylko uczniowie, lecz i mistrzowie pochodzili z zagranicy; więcej Ślązaków, mniej Czechów było między nimi od samego początku. Wcześnie, acz sporadycznie, pojawiają się na nim i Litwini, Gasztołdy i Giedrojcie; Rusinów wykluczał obrządek.

Uniwersytet był twierdzą katolicyzmu i takim ostał na zawsze; owszem, można go pod tym względem o zbytnią gorliwość i doktrynerstwo oskarżać. Że wymagał wyprzysięgania się husytyzmu; że z grona swego owieczki nim zarażonej, mistrza Jędrzeja Gałki, rychło się pozbył; że stawał jeszcze przy soborze, gdy go wszyscy inni porzucili; że bronił Niepokalanego Poczęcia przeciw Domini-

kanom, to wszystko było w duchu czasu; ale że w Polsce, wobec jej stosunków wschodnich, ślepo litery katolickiej się trzymał, kompromisów nie uznawał, powtórnego chrztu prawosławnych wymagał, dowodziło fanatyzmu, nie mądrości. Spadało to na drugą połowę wieku, kiedy uniwersytet od zenitu swej chwały już stanowczo schodził; jasne słońce szkoły krakowskiej wykazywało niemal od samego wejścia swego pewne plamy, wynikające z samych cech narodowych, i inne, z okoliczności zewnętrznych, składających się niepomyślnie. Nie otrząsł się bowiem naród odrazu ze swej ospałości średniowiecznej, ze swego wiekowego letargu umysłowego; i mistrzowie krakowscy świadczyli bierności słowiańskiej, zadowalali się powtarzaniem cudzych wzorów, nie silili się na używanie sił własnych, na samoistność, nie pracowali wytężenie; przeciętna ich produkcya literacka ani liczbą, ani treścią nie imponuje wcale; brak energii i wytrwałości dzielili z narodem. Usuwają się też rychło na drugi plan; jeżeli się zdawało, nawet około roku 1446, że z łona ich wyjdą reformatorowie społeczeństwa — przecież mistrz krakowski, Jan z Ludziska, sarkał na jarzmo, gniotące chłopa polskiego, człowieka, jak i inni, w mowie powitalnej dla Kazimierza, to niebawem ustały takie zapędy, już w drugiej połowie wieku nie występował uniwersytet ani razu z powagą i siłą, cechującą go nieraz dawniej. Zacieśniały się wcześnie i same wiązania szkoły; już roku 1450 wytykał kanclerz uniwersytecki i biskup krakowski, Zbygniew Oleśnicki, że mistrzowie promowują rodaków na katedry uposażone, pomijając zasłużonych obcych, a błąd ten rósł z wiekiem i zacierała się kosmopolityczna cecha szkoły. Inne wady płynęły z ustroju duchownego; z niedostatecznego uposażenia katedr; z braku wydziału medycznego; z opuszczania uniwersytetu przez wybitne osobistości między mistrzami, nie zadowalające się karyerą naukową, przynoszącą liche zyski i drobne zaszczyty; napływ mieszczaństwa wzmagał się, ubywało coraz bardziej szlachty, między mistrzami niemniej, jak między uczniami; Włochy nie przestawały wywierać uroku; do nich garnęło się, co było wysokiego rodu i wyższych ambicyi. Zasklepiał się nakoniec uniwersytet w rutynie, opierał się nowinkom i reformom, cofał rychło pewne ustępstwa, wracał na dawne tory, dysput, lekcyi arystotelesowych, pomijania autorów klasycznych — te wady podzielał uniwersytet krakowski z zagranicznymi, ale upierał się przy nich silniej i dłużej; pomimo

kilkakrotnych zapędów nie zakwitła też na nim np. ani greczyzna, ani hebrajszczyzna nigdy porządnie.

Naukę przedstawiał scholastyczną; zaniedbywał więc formę, nie przestrzegał czystości językowej, nie nęciły go wdzięki humanistycznego wysłowienia; poezya jego — bo i ona była rzeczą szkoły, sadziła się na napuszoność i nienaturalność wysłowienia, wyszukiwała najrzadsze, napoły greckie słowa i zwroty, unikała prostoty i prawdy; bez komentarza słownego trudno ją rozumieć, a postaci opiewane wyłaniają się słabo z pod komunałów. Co do treści, zaniedbywała ta nauka życie najbliższe, zamykała oczy na dzieje, unikała doświadczeń; żyła wyłącznie w abstrakcyach, badała dyalektycznie mniemania, nie fakty, gubiła się w objaśnieniach i dowodach, ginęła w mżonkach spekulacyi, w »snach niemądrych«. Wystarczał jej autorytet, czy kościelny, czy Arystotelesów; nabierała nadzwyczajnej zręczności w gimnastyce myślowej, w definicyach i sylogizmach; wojowała samymi argumentami logicznymi, pomijając zjawiska i fakty; bawiła się tylko w dedukcye. Szczytem jej była teologia, godzenie wiary z dyalektyką; tryumfem jej wyszukiwanie subtelności i rozstrzyganie ich ścisłą argumentacyą; podstawą jej autorytet; metodą, sylogizm; wyczerpawszy materyał, zabawiała się powtarzaniem, sadzeniem komentarzy na komentarze, nie wychodząc z zaklętego koła dyalektycznego. Praca mistrzów krakowskich filozoficzna i teologiczna nie przynosiła więc nic nowego, odbijała słabo walki realistów i nominalistów, skotystów i tomistów; w prawie kanonicznym sięgała w publikacyach swych rzadko poza popularny wykład (np. Sacramentale Mikołaja Pszczółki z Błonia), albo rozstrzyganie spornych kwestyi; bogaciej przedstawiała się tylko w dziale nauk ścisłych, w pracach geometrycznych i astronomicznych Marcina Króla, Marcina z Olkusza Bylicy, Wojciecha z Brudzewa, w słowniku (głównie) botanicznym Stanki, badającego gruntownie florę miejscową, opatrującego synonimy barbarzyńskiej łaciny nazwami polskimi i niemieckimi.

I poza uniwersytetem nie traciła literatura i nauka, posługująca się wyłącznie językiem łacińskim, t. j. światowym, tych cech zasadniczych. Listy, rozprawy, poezye Stanisława Ciołka, Jana z Barlina i innych, aż do łacińskiej poezyi bernardyńskiej z końca stulecia, sadzą się na kwiecistość stylową, na rymy leonińskie, na sztuczki retoryczne; wymowa dba o prawidłową budowę, o najgórniejsze

przenośnie i porównania, lubuje się w alegoryi, pomija tak starannie fakty, że za nieznaczną zmianą kilku słów tylko, tę samę mowę możnaby do rozmaitych osób i okoliczności przystosowywać; mowy ówczesne, pogrzebowe, przy różnych uroczystościach, polityczne, zwykle materyału faktycznego nie przedstawiają wcale, nie charakteryzują ani człowieka ani czasu i miejsca, bujają w empirejach, nie raczą schodzić na ziemię.

Z całej tej literatury scholastycznej wyróżnia się znakomicie dzieło **Jana Długosza**, kanonika krakowskiego, pedagoga synów królewskich, zmarłego arcybiskupem lwowskim: lecz za dziełem i człowiekiem stoi ten, co nimi kierował, Zbygniew Oleśnicki, mąż stanu i dostojnik kościoła w stylu wielkim, ostatnia ze znakomitych postaci polskiego średniowiecza, z ich hartem i z ich uporem krótkowidzącym, stanowym i hierarchicznym. Wciągnięty wcześnie w sprawy państwowe, odczuwał Zbygniew potrzebę gruntowniejszego, historycznego ich wyłożenia i związku; nie zadowalały go dotychczasowe ramoty kronikarskie, dowiedziawszy się, że biskup chełmski spisywał dzieje i sprawy spółczesne, starał się o wydobycie tego materyału; szukał, komuby polecił wykonanie gmachu dziejów polskich. Wybór jego padł na Długosza; znał jego sumienność nadzwyczajną, wytrwałość w pracy nadmierną, szerokość jego poglądów, nie zamotanych przędzą scholastyczną, niewzruszoność jego przekonań katolickich, miłość ojczyzny, przenikającą jego wnętrze; jego to pobudzał do gromadzenia materyałów. I odnosi się wrażenie, jakby wszystko, czego się powiernik Zbygniewa w pracowitym, długim żywocie tknął, miało na celu wystawienie tego okazałego gmachu, tych dwunastu ksiąg dziejów polskich, obejmujących je od początków bajecznych aż do ostatnich dni Długoszowych: czy katalogi biskupów wszystkich dyecezyi, czy żywoty polskich świętych pańskich, czy studya heraldyczne i genealogiczne, czy inwentarze posiadłości kościelnych w dyecezyi krakowskiej — wszystko to materyał surowy albo podwaliny owego wielkiego dzieła.

Kunszt dziejopisarski Długosza jest niewielki; nieodrodny syn wieku, jego okiem i duchem widzi i ocenia najodleglejsze dzieje; rozwoju nie upatruje żadnego, szlachecka, a od Mieszki I. katolicka Polska Popielów i Piastów, to projekcya w przeszłość Polski jagiellońskiej. Trzymając się porządku lat i dla czasów zamierzchłych,

nie zna perspektywy dziejowej; figury jego i zdarzenia wszystkie jednej wielkości, na tym samym tle; kieruje nimi Opatrzność, nagradzająca dobro, karząca występek, lecz Opatrzność to katolicka; strzeże niewzruszenie czystości wiary, powagi duchowieństwa, znaczenia stolicy apostolskiej. Fakty, niezgodne z tym duchem, omawia Długosz półgębkiem, przemilcza niejedno, aby nie wywoływać zgorszenia, poda za fakt życzenie samo, np. że księży husyckich w Zbąszyniu palono, i zbyt łatwo źródłom swym w błąd wprowadzać się daje; krytyka, nie głęboka, godzi po swojemu sprzeczności źródeł; styl nie wykwintny, jednostajne wysłowienie. Ale imponuje Długosz rozmiarami; materyały gromadził zewsząd, ze źródeł nawet, pisanych po niemiecku i rusku, i na stare lata pisma się tego wyuczył, aby z tych źródeł sam mógł korzystać; z dokumentów i dyplomów, nietylko z annałów i kronik czerpie daty i fakty; wciąga dzieje postronne, węgierskie, czeskie i t. d.; zajmuje go nawet topografia Polski, a wznosi się na wyżyny historyozoficzne, określając charakter polski. Imponuje korną wiarą w Boga i gorącą miłością kraju, choć zaślepiać się nie daje; widać jak boleje nad rozdarciem Polski dzielnicowej, nad utratą ziemic odpadłych, nad odstępstwem od zasad zbawiennych; dzieło jego ma być zwierciadłem, w którym przejrzą się rodacy, ma być źródłem, z którego orzeźwią się spracowani i wysileni; podjął się jego na chwałę Boską i dla sławy narodu polskiego. Przetrwało wieki; późniejsi zadowalali się streszczaniem, okradaniem Długosza, nie wnosząc wiele poprawek; pracy Długoszowej nikt przed Naruszewiczem nie powtórzył, nie sprawdził; on utrwalił i ustalił pojęcia o dziejach; nawet omyłki jego, np. co do złamania przysięgi przez Warneńczyka, nabrały wagi kanonicznej.

Ostatni to, a najbardziej wpływowy szermierz średniowieczczyzny polskiej, przewagi kościoła i wiary, przywilejów stanowych, nieruchomości instytucyi. Ale mury chińskie nie dzieliły jeszcze Polski od zachodu, od Czech i Włoch; nowe prądy religijne, umiejętne, społeczne przesiąkały do niej, przez książki i ludzi, bez przeszkody i zwłoki. Husytyzm wprawdzie granic nie przekroczył zwycięzko; hierarchia i uniwersytet stały na czujnej straży; antagonizmu przeciw duchowieństwu narodowemu nie było, mimo niesnasek z powodów bardzo materyalnych, nawet tak popularne hasło: »precz z dziesięcinami!« nie znalazło w szlachcie oddźwięku;

tem mniej utyskiwania na zbytni kult Maryi i świętych, albo protest przeciw przyjmowaniu sakramentu pod jedną postacią, i słuchaniu mszy świętej u księdza — jawnego przestępcy karności duchownej, chociaż w XIII. stuleciu polski episkopat sam podobnej puryfikacyi się domagał. Husytyzm, niezasilany żadnym prądem narodowościowym, który go w Czechach potężnie wspierał, poprzestawał na jednostkach między szlachtą, na Zbąskich i Melsztyńskich, bo panom, jak dzieciom, wszystko wolno, i na duchownych, alumnach praskich, którzy pieśni husyckie powtarzali, kielicha dla ludu się domagali, na rozwiązłość obyczajów duchowieństwa narzekali i świeckim urzędom karać je kazali. Najwięcej świadectw o tej propagandzie zawierają nie dzieje publiczne, lecz akty kapitulne, płockie i poznańskie, w których odprzysięgają się herezyi powołani przed sąd biskupi. Same piosnki husyckie, jak je w Polsce śpiewano, zaginęły; ocalała ta, którą Gałka szerzył, nadzwyczaj zjadliwa, wysławiająca Wiklefa, ojca duchownego husytyzmu, nad wszystkich mistrzów świata, »jemuż nie równego ani będzie większego aż do dnia sądnego« i kończąca twierdzeniem: »Prawdę popi tają, Iż się jej lękają, Łeż pospólstwu bają!«; już tu mamy ten dziki argument, którym protestantyzm przez dwa wieki wojował: »Cesarscy (t. j. rzymscy) popowie Są Antykrystowie, Ich moc nie od Krysta, Ale od Antykrysta!« Z ostrą krytyką, nie tylko uroszczeń rzymskich, lecz i wszelkich nadużyć domowych, luk i braków w ustroju społecznym, spotykamy się kilkanaście lat później, w najjaskrawszym pisemku politycznym, jakie polskie średnie wieki wydały, w Monumentum **Jana Ostroroga**, niby ku radzie królewskiej zwróconym, piętnującym po kolei wszystko, co młodemu wielmoży, zaprawionemu na pojęciach zachodnich, w Polsce się niepodobało, od nierówności w prawie, a równości w ubiorze, między stanami począwszy, przez stosunek do kuryi, wywożenie annat do Rzymu i kreowanie tamże za taksami doktorów - osłów, aż do kaznodziei niemieckiego, każącego przed pustymi ławami, i do ławników miejskich, szewców śmierdzących, ślących po »ortel« zagranicę do równych, jak sami, nieuków: dziwny chaos roszczeń magnackich, przywilejów stanowych, antypatyi narodowych i dążeń demokratycznych, chaos, godny młodej, polskiej głowy. Praktycznych następstw pisemko nie miało, dzieląc losy późniejszej literatury politycznej polskiej; w XVI. wieku powoływali się na nie

polscy protestanci za wycieczki antirzymskie, chociaż ku wierze niemieckiej właśnie Ostroróg nigdyby się nie był przychylił. Ścieżki husyckie i manowce Ostrorogowe nie wyprowadzały więc Polski średniowiecznej nigdzie.

Na polu umysłowym zato przygotowywał się zwolna wstęp na nowe tory. Ograniczał się najpierw na stylu i formie; niebawem jednak ogarnął i ducha, co się właśnie przez nowy styl wyrażał. Przeciw scholastycyzmowi, jego niekształtności i barbarzyństwu; przeciw pogardzie starożytności, nie oświeconej wiarą, tylko rozumem, gotowała się we Włoszech reakcya, na którą składało się u nich wszystko, od ich pogodnego nieba i piękności przyrody, aż do posągów, wydobywanych z ziemi, i ksiąg, przywożonych z Grecyi i z klasztorów północnych. Przy ciągłych, bezpośrednich stykach Polski z Włochami, z kuryą rzymską, gdzie się nieraz aspiracye humanistyczne zbiegały, humanizm ten rychło przekroczył Alpy i Karpaty. Zniszczenie potęgi krzyżackiej, rola Polski na pierwszym soborze, bogactwo i polor jej książąt kościoła, zwróciły uwagę na kraj północny, barbarzyński, i trafiali tam niebawem humaniści sami, jak Filelfo, albo szumne ich listy, oczekujące brzęczącej nagrody, jak pompatyczne posłania Franciszka hrabiego de Aqua Viva, do Witolda, do arcybiskupa (Rzeszowskiego, lwowskiego), do innych Polaków. Za włoskimi humanistami zjawiła się wykwintniejsza łacina w Krakowie, nawet w uniwersytecie, za staraniami Jana z Ludziska; kancelarya Zbygniewa, posłowie polscy do kuryi zaćmiewali nową łaciną Niemców; Zbygniew sam i satelita jego, Długosz, odczuwali potrzebę nowego stylu, silili się nań, chociaż Długoszowi, mimo Liwiusza, którego do Polski pierwszy przywiózł, a retorykę i sentencye jego naśladował, rzecz się nie udała. Między tymi pierwszymi humanistami polskimi zarobił na nadzwyczajną sławę Grzegorz z Sanoka, nie tym, co pisał — bo to trąciło średniowieczczyzną, ile wiemy, lecz tym, co mówił; pierwszy przykład polskiego geniusza bez teki, nieproduktywnej wielkości, błyszczącej na chwilę, jak meteor, aby na wieki zagasnąć — gdyby nie Włoch - spekulant, co go unieśmiertelnił, nie kryjąc się wcale z osobistymi przytym widokami. Grzegorz z Sanoka, mieszczanin, starający się brak »rodu« powetować, w jedynej możliwej karyerze duchownej, zabiegliwością i nauką, dostąpił chrztu humanistycznego na dworze węgierskiego humanisty - biskupa i zrobił

w Polsce prędką a świetną karyerę; odtąd spoczywał arcybiskup lwowski na wawrzynach; lubił, gdy mu kadzono, i popisywał się nowościami na każdym polu, od wymagania, aby klecha, mówiąc po łacinie, prozodyę oryginalną zachowywał (sztuka obca Polakom i Węgrom), aż do sarkania na dyalektykę scholastyczną, na suchość kaznodziejską, albo na niewstrzemięźliwość polską przy biesiadach, posługując się argumentami, jakie wyczytał lub dosłyszał, chociaż mu i własnego, trafnego sądu (np. co do dziejów pierwotnych Polski), bynajmniej odmawiać nie można.

Czynniej zakrzątnął się około humanizmu i powodzenia jego w Krakowie sam ów chwalca, Filip Kalimach, uchodzący przed pościgami inkwizycyi papieskiej przez Konstantynopol, gdzie Turków o swej niezbędności nie przekonał, do Polski, zawsze otwartej i gościnnej dla wszystkich obieżyświatów. Umiał Włoch zręczny i układny, dowcipny i zdolny, wmówić w swych patronów przeświadczenie o swej wyższości; wśrubowano go na dwór Kazimierzów, gdzie z Długoszem, ogień z wodą, nad kształceniem młodszych dzieci królewskich pracował; Jan Olbracht przylgnął do Włocha, darzył go zaufaniem, gdy na tron wstąpił; w skrytym Włochu uznawała publiczność głównego doradcę królewskiego, podsuwała mu maksymy, dążące do wyniesienia władzy monarchicznej, które z czasem w tak zwane Rady Kalimachowe ułożono, czy to opierając się na jakiejś istotnej podstawie, czy też fabrykując je dowolnie — bo do pamfletów i paszkwilów w Polsce nigdy najsubtelniejszych ingenjów nie brakło. Przez »Rady Kalimachowe« należy Włoch nazawsze do literatury: niema w XVII wieku ani rękopisu, ani głowy szlacheckiej, któraby tego domorosłego Makiawela nie powtarzała i nie potępiała. Humanizm jego i działalność polityczna i historyczna były za to objawami, przemijającymi bez śladu: historyk zużywał bez ceremonii, co grubi Sarmaci już przed nim pisali, tylko układał to w szumne tyrady klasyczne; polityka używano przy rokowaniach o sprawy tureckie, bezcelowych, skoro się w Rzymie tylko łudzono, że uda się Polskę zawikłać w wielką akcyę wschodnią; humanista nakoniec zaczepnie nie występował, gdyż nadto się Włoch cenił, aby wywoływać w szranki scholastykę uniwersytecką; działał tylko w kółku dobranych przyjaciół i mecenasów życzliwych, poglądając z góry na barbarzyńców, przybierając pozy, styl, nazwiska nawet klasyczne, Brudzewczyka np. w Brutusa maskując.

Do walki otwartej stawał inny błędny rycerz humanizmu, Konrad Celtis, Niemiec, nawet nie mistrz, poeta-laureat z ręki cesarskiej. Przybył do Norymbergi polskiej, do Krakowa, głośnego w całej Europie środkowej (Kraków — miasto! stare przysłowie), aby w imię autorów starożytnych przypuścić szturm do »artes«, do »filozofii« szkolnej, jej łaciny i filologii. Zbierał poklaski, znachodził słuchaczów i uczniów, szczególniej między Ślązakami, którym świetny rodak mile imponował, ale mimo pozornego powodzenia nie długo dał się Celtis łudzić, rzucił niewdzięczną ziemię sarmacką, przedstawiającą Niemcom-mieszczanom coraz mniejsze widoki, a przykład jego znachodził i później naśladowców, których sława Krakowa olśniewała, a rzeczywistość sarmacka odtrącała. Prócz szumu po lektoryach i garstki wierszów nie zostawił Celtis ani jego towarzystwo »wiślańskie« nic w Krakowie; zato Ślązacy, poruszeni przez niego, Rabe, Sommerfeld i inni, silili się w wykładach, wierszach i podręcznikach stylowych, zalecać nową łacinę, a z nią i ducha nowego, nie średniowiecznego, uczącej się młodzieży; odznaczał się między nimi Krakowianin, Jan »Ursinus«, autor wierszy i listów łacińskich, z ciekawymi szczegółami życia krakowskiego, wykształcony i w szkołach włoskich, gdzie wraz z innymi np. z Sakranem i Lubrańskim, greczyznę (u Greka Argiropula) dobrze posiadł.

Nowy ten duch, »humanistyczny«, gardził nietylko łaciną i dyalektyką średniowieczną; odrzucał i inne więzy: ideał ascetyczny, krępujący życie i użycie; pojęcia kastowe, uznając tylko człowieka, prawiąc o jego »kalokagatia« bez względu na ród i naród, zwracając się z tęsknotą, nieraz istotną, nie udaną tylko, do świata starożytnego i jego cnót obywatelskich. Pierwsi humaniści wnieśli też nowy element, erotyczny, do łacińskiej poezyi w Polsce i chyba na tym polu najrzetelniejsze święcili tryumfy, Kalimach w swojem Fannietum, i Celtis krakowiankę, Hasilinę (pseudonim wedle mody humanistycznej), sławiąc. Z nazwiskiem tej Hasiliny łączono pierwszy występ literacki Polki — w czeskim języku; istnieje bowiem w korespondencyi Celtisa list, pisany doń z Krakowa r. 1500, gdzie Hasilina wyrzuca »składaczowi« (poecie), że niewdzięcznik słodką ich tajemnicę światu objawił i ją niedyskretnością tą obra-

ził: z towarzystwa bowiem, gdzie wiersze te odczytywano, omal ze sromu nie uciekła. Lecz sam list jest wymysłem humanistycznym, nawet gdyby nie był po czesku i z jawnymi kpinami, bardzo nieprzystojnymi, pisany: list, ulubiona forma humanizmu, dla popisywania się ozdóbkami stylowymi stworzona, nie wymagająca pracy, choć ją udająca, w tym wyjątkowym razie, kiedyż miał od kobiety pochodzić, nie mógł w łacińskiej szacie się zjawić, więc go Czech - humanista po czesku napisał; wniosków z niego co do Krakowa i Polek żadnych czynić nie wolno. W każdym razie wiersze obu humanistów i treścią i formą zapowiadały, pierwsze w Polsce, zwrot stanowczy, chociaż jeden i drugi utwór humanistyczny, np. Aretyna, Bruni'ego, Franciszka de Fiano i in., dawno przed nimi do Krakowa i szkoły jego docierał, nawet wykładu się doczekiwał, ale ani mistrza ani uczniów nie wtajemniczał w świat nowy, ceniony na równi ze średniowiecznymi Alanami, Doliganami, »Owidyuszami«.

Były jednak bystrzejsze oczy, niedowierzające, nie dające się łudzić świetnością stylową, zaniepokojone duchem, którego ona kryła. Instynkt średniowieczny przestrzegał już Zbygniewa Oleśnickiego przed niebezpieczeństwami ruchu humanistycznego, rozluźnieniem obyczajów, rozpasaniem instynktów, podkopaniem powag; lecz dopiero za następców jego dojrzały owoce tego posiewu. Narazie był humanizm siłą dodatnią, budził ducha z letargu średniowiecznego; nie sięgał zresztą głęboko, nie tykał np. jeszcze ani klasztorów, ani masy duchowieństwa, a duchowieństwo stanowiło i nadal jedyną wykształconą klasę narodu.

Nową, walną zasługą uniwersytetu było właśnie, że nietylko w szkole głównej krakowskiej, ale i w całym kraju podniósł się znacznie ów poziom wykształcenia. Szkoły i szkółki parafialne, miejskie, kolegiackie i klasztorne, nieraz kolonie akademii, otrzymywały na kierowników bakałarzy i mistrzów krakowskich, ludzi wiedzy większej, prowadzących młodzież poza ciasny program dawnego trivium i quadrivium. Światło nie skupiało się w jedynym Krakowie, szerzyło się po kraju równomierniej; każda kapituła liczyła w swoim gronie mężów nauki, znachodzimy ich po ławach radzieckich i ławniczych; nie rzadcy oni i między szlachtą. Ludzie nie zadowalają się prostym pokarmem umysłowym, nawet kaznodzieje sarkają, że od nich oczekują węzłów trudnych, głębszych

zaciekań. Pomniki literackie szerzą się po całym kraju, wymagania rosną, średniowieczne »wy« zaczyna razić uszy czulsze; uczucia delikatnieją, ileż to razy odpisują żacy krakowscy dokumenty subtelnej miłości, jakie niegdyś Francuz, kapelan Andrzej, zebrał, i choć w nagłówkach listów miłosnych, wprowadzają osoby polskie, od króla Włodzisława i Zofii aż do rubryk: szlachta, panic, tak prawić ma, albo: szlachcianka, panna, odpowiedzieć tak ma (w odpisach z r. 1447); symbole więzów miłosnych nosi się jawnie i szczyci nimi, mimo oburzenia kaznodziei - moralistów.

Gwar ten i życie odbijały się naturalnie w literaturze. W porównaniu do XIV wieku i pomników jego, które na palcach wyliczyć można, ogarnęła wiek XV jakaś mania pisania; po półkach bibliotek można na jeden rękopis XIV wieku sto z XV naliczyć. Ksiądz polski spisywał teraz kazania własne albo obce, naturalnie po łacinie; naszych »postyl« niedzielnych i świątecznych, lub »sermones«, liczymy krociami. Kazania te — o obcych nie mówimy — zazwyczaj mało ciekawe; kaznodzieja żegnał się od niezbożnej pokusy powiedzenia czegoś własnego, nowego; wolał nizać dawne autorytety i cytacye na cienki sznurek własnych słów. Ale nie każdy był tak wstrzemięźliwy; szczególniej kto po farach na uczonych słuchaczy nie liczył, folgował własnemu temperamentowi i poziomowi owieczek, nie stronił od rubaszności, trywialności, wytykał wady pospolite w sposób równie pospolity, sarkał nawet na przełożonych, na niechrześcijański żywot duchownych. Inni lubowali się w alegoryach i symbolach; nie zadowalał ich sens dosłowny, historyczny, Pisma świętego; wykładali je moralnie i na inne sposoby, w każdym fakcie starozakonnym odgadując prefiguracyę Nowego Zakonu i t. d. Kto się zbutwiałą treścią tych foliantów i kwartantów odstraszyć nie da, znajdzie w nich niejeden cenny przyczynek, malujący czasy i ludzi, niejeden ciekawy tekst polski, niejedno niezwykłe podanie; kazaniom tym nie brak bowiem i opowiadań, anegdot, nawet żartów; słowo Boże podawano tak często i w takiej obfitości, że już wtedy w przysłowie urosło: kto spać nie może, niech idzie na kazanie; otóż dla urozmaicenia, dla zaostrzenia ciekawości, wplatał kaznodzieja opowiadania, zabarwiając je moralnie, albo budował kazania swe jak najkunsztowniej. Przez kazania wsiąkały też w lud rozmaite szczegóły legendowe, wątki

powieściowe, anegdoty dziejowe, nie obeszło się nawet bez szerzenia zabobonów i przesądów.

Szereg tych kaznodziei, prawiących kazania zawsze po polsku, a spisujących je dla oszczędzania czasu i fatygi zawsze po łacinie, jest nadzwyczaj długi, sięga od początku wieku, gdzie się ich najwięcej skupia, aż do końca; są między nimi Czesi, np. Szczekna, spowiednik Jadwigi; Jan Sylwan albo Hieronim z Pragi, spowiednik Jagiełły, misyonarz na Żmudzi, wkońcu kameduła włoski; Ślązacy, np. Maciej z Lignicy; przeważają Polacy, Krakowczyk Maciej Mikołaj Wigand, Łukasz z Wielkiego Koźmina, Piotr z Miłosławia, z Raciąża, Paweł z Zatora. Wydają kazania nieraz pod wyszukanymi tytułami, np. Więzienie duszne, Droga zbawienia, Wirydarz (Mikołaja Pszczółki z Błonia, drukowany w Strazburgu r. 1493, 1495, 1498 i nawet jeszcze r. 1613 w Kolonii) i t. d.; jedni sadzą się na uczoność, dodając nawet do każdego kazania kwestye teologiczne i rozsądzając je; drudzy nie gonią za nią, wykładając temat możliwie krótko i sucho; najciekawsi są ci, którzy zstępują do ludu, między przekupniów oszukujących, chłopów szalbierzy, księży prostaków, których gniewają szmer rozmawiających w kościele, wystawa sukien, pachnideł i barwiczek panieńskich, tańce zapustne (z wywróconym na nice kożuchem), myśli o Kasi, śmigusy i dyngowania wielkanocne, pieśni świąteczne. Nie wielki ich kunszt kaznodziejski, ale koloryt miejscowy występuje jak najdobitniej; poznajemy społeczeństwo, jego usposobienie, zwyczaje, zdrożności, aż do sposobu mówienia; rubasznością grzeszy i kaznodzieja sam, nie wahający porównywać siebie ze świnią, »jaż (która) dalej pysku nie widzi«.

Obok kazań takich zajmowały najwięcej miejsca inne pisma łacińskie; przepisywano Pismo św., ojców kościoła, legendy, pomniki ustawodawstwa kanonicznego z niezliczonymi glosami i komentarzami. Z nimi zjawiają się i obfitsze pomniki poezyi łacińskiej.

Średnie wieki rozumiały przez poezyę i wymagały od niej nie tego, co estetyczne poczucie nasze i starożytnych. Nie istniał bowiem dla średniowiecza żaden przedział między prozą a poezyą; poezya miała wyrażać to samo, co proza, tylko krócej, piękniej, dobitniej; służyła w pierwszym rzędzie nie sztuce, raczej pamięci. Reguły, artykuły, streszczenia ksiąg biblijnych, przepisów kanonicznych albo medycznych i t. d., układano wierszami; traktaty

gramatyczne, metryczne, o właściwościach kamieni czy roślin, słowniki nazw greckich i innych, strojono w metra i rymy. Barbarzyńska ta poezya przetrwała do XIX wieku w regułach gramatyki łacińskiej wierszowanych, w XV układano nią i słowniczki łacińsko-polskie, np.:

Est Albertus *Olbracht*, Adalbertus sit tibi *Wojciech*...
Est aquilo *północ* austerque *południe*...
Modiolus *piasta*, radius *stpica*, est *zwono* cantus...
Est tribulus *oset*, (tribu)la *cepy*, (tribu)lum quoque *wiercioch*...

albo układano w »Cyziojanach« święta całoroczne i uczono np.:

Duch, Krzyż, Łucja, po Popielcu śrzoda pirwa,
Każda parochia *suchedni* wiedzieć jima;

najwięcej popłacało polskie rymowane Dziesięcioro, jakie kaznodzieja co niedziela ludowi przypominał, a protestanci, np. Seklucyan w katechizmie roku 1547 jeszcze powtarzali, w licznych odmiankach, np.:

Pirwa każń Twórca naszego:
Niemasz mieć Boga jinego.
W próżności niestatku twego
Nie bierz jimienia Bożego i i. d.

W polskiej poezyi łacińskiej średniowiecznej przeważają znowu same odpisy: biblii czy ewangelii, czy dziejów apostolskich, czy legend, przełożonych na wiersze, traktatów gramatycznych, np. słynnego Doctrinale Francuza Aleksandra, o którym jeszcze Kochanowski w fraszkach śpiewał (»Aleksander ufrasował żaki«); alegoryi i poematów dydaktycznych i moralizujących; opowiadań o złości niewieściej, nieraz tak drastycznych, jakby je z Bokaccia wyjęto, a mimo to, dyabła dyabłem wyganiając, z katedry je wykładano. Są jednak i oryginalne, np. Marek z Opatowca napisał traktat o prozodyi i metryce, plądrując owego Aleksandra; Jan Polak reguły kalendarzowe w rytmy ułożył i przedostał się »poemat« jego, Computus, zagranicę. Ciekawsze są poematy mistrza Mikołaja w Poznaniu, który wady wszelkich stanów wierszami

przedstawił, a osobno nędzę i grzechy dworskie, choć sam nie dworzanin, karcił, od wyszukanego ubioru dworzańskiego aż do podłego ich życia, spania na twardej ławie, rozjazdów po kraju, wycierania i objadania cudzych kątów: pierwszy poemat przedstawia tylko niby wierszowanie jednego kazania Piotra z Miłosławia i prócz ogólników zbyt w szczegóły nie wchodzi, chociaż np. kmieciom zarzuca, jak, sprzedając wełnę, odwilżają ją dla wagi albo zboże fałszują przymieszkami; drugi poemat, o dworzanach, maluje zato jaskrawie stan i zdrożności jego.

Najliczniejsze były poematy historyczne i okolicznościowe, a więc relacye bitew, grunwaldzkiej czy warneńskiej; wiersze na zgon królów i dostojników, Jadwigi i Jagiełły, Łaskarza (biskupa) i Szamotulskiego, Zawiszy i Elżbiety (córki Jagiełłowej) i t. d. — kilka z tych wierszy zamieścił i Długosz w Dziejach; mało w nich nieraz treści, tem więcej szumu; język ciężki, wierszowanie niedbałe, obrazowość najpospolitsza: wiersze kanonika Adama Świnki, mistrza Marcina ze Słupcy, Grzegorza z Sanoka i in. Z końca wieku należą tu wiersze kanonika Mikołaja Kotwica, trącące już nieco humanizmem, bo rzucają leoniny, t. j. wiersze rymowane, w których dawniejsi smakowali; Kotwic opisał i zatargi arcybiskupa Oleśnickiego z Kośmidrem Gruszczyńskim, osoby występujące poprzebierawszy w maszkary łacińskie. Do wierszy okolicznościowych należały i wiersze Stanisława Ciołka, biskupa poznańskiego, z pierwszej ćwierci wieku, entuzyastyczna pochwała Krakowa np. i inne; jak w chwaleniu, tak i w szkalowaniu był Ciołek nieposkromiony, czego bezecny jego paszkwil prozą, na zaślubiny Granowskiej (przez Jagiełłę), dowodzi, przesadzający i średniowieczne prostactwa. Dalej dyalog wdzięcznego Długosza na śmierć Zbygniewa krakowskiego, wysławiający cnoty i zasługi kardynała i broniący pamięci jego przeciw uwłaczaniu i in.

Mniej bogato przedstawia się proza świecka, której najważniejsze pomniki już wyżej przytoczono, jeśli się nie uwzględnia wykładów mistrzów krakowskich i podobnych im traktatów naukowych. Zjawiają się pierwsze retoryki i wzory listów, z których się nieraz najrozmaitszych szczegółów dowiadujemy, np. że już w XV wieku »wymowny, jak Gąska« (o błaznach, którzy, sławny Stańczyk i inni, w XVI wieku toż nazwisko zachowali), mawiano; wzory te z końcem wieku nabierały już całkiem formy humanistycznej, wiersze ich (pochwała Krakowa np., Korwina-Rabego) wzorują się na Horacym, nie na leoninach średniowiecznych.

Gdy tak na polu literatury łacińskiej rozwidniło się nareszcie, z mroku i mgieł powychylały się i zarysowały wyraźniej pierwsze sylwetki autorskie, ścierały się rozmaite prądy i myśli, zalegało dziedzinę literatury narodowej głuche niemal milczenie. Wobec XIV wieku, i tu naturalnie był postęp, względnie wcale znaczny; mimo to świadczy o dziwnej opieszałości i gnuśności, o zastoju głów i serc, ten brak wydatniejszego ruchu i jednostronność pewna. Jeśli już w literaturze łacińskiej przeważał żywioł religijny, tutaj wykluczał on zupełnie kierunek świecki; chyba względy całkiem praktyczne zmuszały do tłumaczenia rzeczy świeckich; poza tym było wszystko ascetyczne. Ale było tego niewiele, i nie przypadkiem się stało, że małe Czechy kilkadziesiąt czeskich odpisów Nowego i Starego Zakonu z XV wieku posiadają, my niemal żadnego polskiego! Jak bowiem w wieku XIII z powodu Albigensów kościół tłumaczenia Pisma św. na języki narodowe wręcz zabraniał, taką samą podejrzliwością kierowało się duchowieństwo polskie, dla husytyzmu, wobec przekładów polskich; nie życzono sobie po prostu rozpowszechniania słowa Bożego między ludem — co za chryje i inkwizycye wywołał np. fakt, że w r. 1455 poszlakowano ks. Stanisława z Klecha o posiadanie kilku polskich książek: tłumaczenia ewangelii; książki, zaczynającej się od słów »Początek to ma« (tak cytowano w wiekach średnich traktaty wszelkie, od pierwszych ich słów); drugiej, poczynającej się od słów »Panie Boże« (był tam ustęp: »a drudzy chodzą ku Bożemu Ciałku na odpust«, więc może husyckiego zakału ślad); ileż to świadków, o te księgi, skonfiskowane naturalnie, badano; pytano i ks. Stanisława, czy był w Pradze, czy uczył kogokolwiek lektury polskiej lub czeskiej i t. d. Ślusarz zawinił, kowala powieszono.

Dla zupełnego wytłumaczenia zastanawiającej wręcz rzadkości zabytków polskich i jałowości ich treści, należy jednak, prócz obawy duchowieństwa przed szerzeniem się herezyi, jeszcze i drugi moment uwzględnić. W XV wieku pisali przecież zawsze jeszcze, wyłącznie żacy, mistrzowie, księża; pisali, co im było potrzebne, więc homilie i kanony, podręczniki szkolne i wykłady, traktaty i kwestye, t. j. rzeczy naukowe w języku naukowym; pomiatali językiem »wulgarnym«, a wzgarda ta przetrwała wiek XV, pano-

wała i w XVI. Teksty »wulgarne« przemycano chyba do rękopisów łacińskich; na rzecz tak małoważną, nie świadczącą o nauce, niepopłatną w sferach decydujących, ani w krakowskim kolegium, ani w kapitule, ani u dworu nawet, nie tracono więc czasu i pracy żmudnej, bo tylko »kto nieumie nics pisać, ten mnima, aby mała by była robota« (zauważył Maciej Zamokło roku 1436); po polsku pisano dla ludzi nieumiejących po łacinie, dla kobiet, i rzeczy te wcale nie wsiąkały w księgozbiory klasztorne, z góry na poniewierkę skazane; tem wyżej cenić należy, co ocalało.

A jest tego, mimo losów zawistnych, nie najdrobniejsza wiązanka. Proza, to niemal wyłącznie tłumaczenia, podejmowane i na nowo, jakby owe dla Jadwigi nie istniały, a więc Pisma św.; najobszerniejsze między nimi, tak zwana biblia Zofii, napisana na grodzie nowokorczyńskim roku 1455, wyłożona dla królowej-wdowy po Jagielle, Rusinki, przez księdza Jędrzeja z Jaszowic: ksiądz Jędrzej ułatwił sobie bardzo pracę, korzystając bez ceremonii z czeskich przekładów; z olbrzymiej księgi pergaminowej ocalało tylko kilkaset kart, uniesionych rękami protestantów polskich na Siedmiogród do Szarosz-pataku; z drugiego jej tomu we Wrocławiu obrzynki się znalazły. Z innego tłumaczenia Nowego Zakonu ocalał tylko skrawek pergaminowy; inny urywek z męki Pańskiej a może z całkowitego żywota Chrystusowego?); z żywotów świętych mamy kartę o św. Błażeju, psałterz w starym języku, choć w późnym odpisie, przetrwał całkowity, zgodny z psałterzem floryańskim Jadwigi; karta z jakiejś encyklopedyi teologicznej (tak zwany urywek Glogera); kazanie na Wszystkich Świętych, płynnym i jasnym językiem wyłożone; modlitewnik (pisany ręką »ubogiego Wacława«), i drugi, przeznaczony dla kobiety, Nawojki (t. j. Natalii), któremu niegdyś najmylniej wiek XIII przypisywano, jakby to się z niego św. Jadwiga śląska modliła, gdy rzeczywiście z końca XV wieku pochodzi; słowniczki biblijne; reguła tercyarzy franciszkańskich, właśnie dla potrzeby bractwa wyłożona i t. d. Z rzeczy świeckich były przekłady obowiązujących praw krajowych, przeznaczone dla Mazowsza i Rusi, bo tu znajomość łaciny była najmniejsza, między liczną a drobną i ciemną szlachtą mazowiecką i w ziemiach przemyskiej i lwowskiej, niedawno do Polski i kultury zachodniej przyłączonych. Przekłady wypadły fatalnie; tłumacz bał się oczywiście najmniejszego uchybienia od brzmienia oficyalnego i na uwięzi łacińskiej polszczyznę pozbawił wszelkiego ruchu; z takich prób nieudałych sądzić o dawnym języku nie uchodzi bynajmniej. Nie lepiej wypadły późniejsze tłumaczenia ustawodawstwa niemieckiego, Majdeburgii, potrzebne i dla mieszczan, zapominających doszczętnie dawnej niemczyzny, i dla wojewody i urzędników jego, nieznających jej wcale; teksty niemieckie tłumaczono na łacinę i polskie; statuty krajowe tłumaczono i na ruskie. Celom praktycznym służyły słowniczki łacińskopolskie, układane zwykle wedle materyi; najczęstsze i najobfitsze między nimi botaniczne, wobec znaczenia roślin, choćby krajowych, dla medycyny średniowiecznej. Roty przysiąg sądowych, od końca XIV wieku w księgach sądowych pisane po polsku, są ciekawe dla języka.

Obok zabytków, co rąk naszych doszły, wiemy o innych, co zaginęły, np. pamflet Jana Falkenberga, Dominikana niemieckiego na żołdzie krzyżackim, kazał król roku 1418 przed zgromadzonym rycerstwem po polsku odczytać; przekład sam zaginął; wyżej wymieniliśmy traktaty polskie (teologiczne) w posiadaniu księdza plebana kleckiego. Inne, obszerniejsze, doszły nas tylko w nieco późniejszych odpisach, z pierwszej połowy XVI wieku: dwa tłumaczenia ciekawej dla treści, a naiwnej w wysłowieniu Legendy o Trzech Królach Jana z Hildesheimu, opowiadającej dziwy o różnych ludach azyatyckich, aż do cyganów — jeszcze Goethe się nią żywo zajął; tłumaczenie legendy o »człowieku bożym« św. Aleksym (w prozie); obszerna Historya męki Pańskiej, oraz zejście do otchłani i pokonanie Lucypera (t. zw. ewangelia Nikodemowa), z licznymi szczegółami apokryficznymi; tłumaczenie romansu-historyi o Aleksandrze macedońskim, pełnego bajek o urodzeniu bohatera (z króla egipskiego, mszczącego w ten sposób klęski swego państwa nad Persami) i o jego pochodach między fantastycznymi stworzeniami na ziemi i morzu, napominającego w nagłym zgonie bohatera, o znikomości i marności świata; odpis z roku 1509 z biblioteki króla Zygmunta posiadają zbiory Zamoyskich warszawskie.

Najobszerniejszy i najbardziej oryginalny utwór, to »Rozmyślanie o żywocie Chrystusowym« (w rękopisie przemyskiej Kapituły gr. kat.; drobne urywki są i po innych odpisach). Nieznany autor zebrał w kilkuset »czcieniach«, t. j. rozdziałach, cały żywot Maryi i Syna, czerpiąc z najrozmaitszych apokryfów, z komentarza biblijnego czyli t. zw. »Historia scholastica« (Piotra Comestora-

pożeracza ksiąg), z ewangelii i i., długie ich ustępy wiążąc własnymi słowami, dodając zajmujące uwagi; najciekawszy to utwór średniowieczny, plon wielkiego oczytania, skarb istny bajek najrzadszych; niestety, już odpisu przemyskiego (na 840 stronicach) dokonano z egzemplarza, jakiemu brakowało kart początkowych i całego zakończenia (od prowadzenia Chrystusa na Golgotę). Dzieło tchnie najgrubszą średniowieczczyzną, ale właśnie dlatego jest bardzo charakterystyczne; widzimy, czym okarmiano lud wierzący, naiwny. Język jego już znacznie gładszy, lepszy, niż po owych niezdarnych, bo dosłownych tłumaczeniach; widać, że autor myślał już po polsku, nie trzymał się niewolniczo toku łacińskiego.

Swobodniejszy stawał się odrazu tok wiersza polskiego; i treść jego bywała bardziej urozmaicona. Gdy tłumacz w prozie sznura łacińskiego bał się opuścić, poczynał sobie w pieśni już dla rymów i liczby zgłosek swobodniej; tok wierszów, nawet tłumaczonych, jest bez porównania więcej szczeropolski; i w wierszach jednak, pierwszych oryginalnych utworach pierwszych rymopisów, przeważał żywioł religijny i dydaktyczny; dzieje i uczucia, epika i liryka, znachodziły niewielu przedstawicieli.

Wierszy religijnych przekazał wiek XV sporą liczbę, ciekawą już przez to, że przetrwały wieki, chociaż żaden z nich powagą dawnej »Bogurodzicy« nie dosiągł. Przeważały pieśni Maryjne, bo kult Maryi ciągle wzrastał; z innych świętych tylko matka Bogurodzicy, a »starka Zbawicielowa«, Anna św., była przedmiotem gorącego nabożeństwa i licznych wierszy; innych świętych wzywano krótko w rymach i do dawnej »Bogurodzicy« doczepianych lub w legendzie, opowiadającej żywot i męczeństwo; takie legendy wierszowane układał anonim około połowy wieku, o św. Stanisławie, św. Katarzynie, św. Jopie; ktoś inny o św. Krzysztofie i t. d., co wiek XVI w odpisach, z licznymi wstawkami i skażeniami tekstu pierwotnego zachował; układ był dosyć jednostajny; po wstępie ogólniejszym szło opowiadanie samo, bez ozdób poetyckich, proste, szczere, naiwne; przyjmowały się te wiersze znakomicie w ustach ludu; dziady i baby śpiewali je jeszcze w XVII wieku. Pieśń o św. Stanisławie np. wedle odpisu z roku 1460 zaczyna:

Chwała Tobie, Gospodzinie!
Jiż o twych świętych cześć słynie.

Która nigdy nie zaginie
I na wieki nie przeminie.
Wiesiel się, polska korono,
Jiż masz takiego patrona,
Dostojnego Stanisława,
Jenże wyszedł z Szczepanowa i t. d.

Starsze, niż te pieśni, są legendy o św. Dorocie i najobszerniejsza ze wszystkich, dwieściekilkadziesiąt wierszy licząca, o św. Aleksym, co czystość i ubóstwo poślubił, we wstępie z inwokacyą obowiązkową, naiwnie a szczerze wysłowioną:

Ach! królu wieliki nasz,
Coż ci dzieją (którego zowią) Mesyjasz,
Przydaj rozumu k mej rzeczy,
Me sierce bóstwem obleczy,
Raczy mię grzechów pozbawić,
Bych mógł o Twych świętych prawić.
Żywot jednego świętego...
Kto chce *słuchać*, ja powiem:

nie jest to przenośnia, gdyż wiersze średniowieczne nie do czytania, lecz dla słuchania pisano. Zaginęły pieśni o św. Mikołaju, o św. Barbarze i in.

Autorowie pobożnych pieśni z nazwiska nieznani, albo prócz nazwiska nic o nich nie wiemy, np. o mistrzu Macieju, autorze pieśni o Zwiastowaniu: »Mocne boskie tajemności O Maryej wielebności«, albo o Łopuchowskim i jego »wykładzie«. Na tym większą uwagę zasługuje Warszawianin, pierwszy poeta polski, którego bliżej znamy, poprzednik Stanisława Grochowskiego, **Bernardyn Władysław z Gielniowa.**

Jak Dominikani i Franciszkani w XIII, zaważyli Bernardyni — tak nazywano u nas braci obserwantów — w XV wieku w rozbudzaniu uśpionego uczucia religijnego. Nawrót do twardszej reguły, ogień, pałający od Kapistrana, najwymowniejszego ich rzecznika, szerzenie słowa Bożego, elektryzowały masy, pociągały nowicyuszów, przysparzały regule coraz nowych domów i klasztorów z niesłychaną od dawna szybkością. W drugiej połowie wieku, od kiedy Kapistran z tłumaczem Polakiem na rynku krakowskim kazał, przewodzili Bernardyni nietylko w Polsce, lecz i na Rusi i Litwie

(w Wilnie głównie), w dziele misyjnym. Niestrudzeni kaznodzieje, przykładni robótnicy, pokorni służkowie zyskali popularność, jaką się żaden zakon w Polsce nie cieszył ani przedtem, ani potem, i popularność »Bernachów«, ich rubasznych, jowialnych kwestarzy, przetrwała wieki. Na poziom ten zniżyli się dopiero później, gdy wszystko w Polsce upadało; w wieku XV byli to natchnieni głosiciele słowa Bożego, a najbardziej natchnionym był właśnie brat Władysław z Gielniowa. Żaden kościół warszawski nie zmieściłby tłumów, pragnących słowa jego; na placach i ulicach tłoczono się, by je słyszeć. Ale brat Władysław nietylko był kaznodzieją, znał wpływ pieśni i składał je gorliwie, po polsku dla ludu, po łacinie dla żaków. Roku 1488 wprowadził zwyczaj odśpiewywania po kazaniu pieśni; pieśnią tą był wtedy jego układu »Żołtarz (psałterz) Jezusów« o męce Pańskiej:

Jezusa Judasz przedał za pieniądze nędzne,
Bóg ociec syna wydał na zbawienie duszne i t. d.

jedna z najpopularniejszych dawnych pieśni; toć Kochanowski opowiadał o żaku, śpiewającym bezmyślnie: Jezus Judasza przedał i t. d.; każda zwrotka zaczyna się imieniem Jezusowem; później dodawano i wtrącano inne, poznać je po odmiennym zaczęciu. W masie bezimiennej liryki religijnej tego czasu łatwo i inne wiersze odnieść do błogosławionego autora, pałającego osobliwszym nabożeństwem do imienia Jezusowego; każde kazanie zaczynał od słów »Jezus Nazareński król żydowski«; wykładał je coraz inaczej; otóż parafraza poetyczna między tak zwanymi tekstami łysogórskim hymnu Salve Regina w 11-tu zwrotkach, z których każda przyśpiewem »Chrysta nazareńskiego« się kończy, może Błogosławionemu należy:

Zdrowa (t. j. zdrowaś Maryo!), my k tobie wołamy,
Wszystkę pewność w Tobie mamy,
Grzeszni synowie Jewini;
Racz prosić za nasze winy
Chrysta Nazareńskiego.
Zdrowa, wybaw nas z padołu,
Jiż nie zaginiem pospołu;
Wyzwól z jeństwa dyabelskiego,
Ukaży nam łaskawego
Chrysta Nazareńskiego i t. d.;

i następna pieśń tego zbiorku, ostatnia, O ciało Boga żywego, Jezu Chrysta niebieskiego, Przyjmi od nas pozdrowienie, Nad cię jinnego boga nie i t. d., będzie pióra bł. Władysława.

Bernardyńskimi utworami są pieśni Maryjne, w których przeciw Dominikanom, przeciw ich nauce i ich rzeźbie krakowskiej (Maryą rodzącą otaczają »babki«), Niepokalanego jej poczęcia bronią Bernardyni, np. w pieśni, której każda zwrotka od słów »O Marya!« się zaczyna:

O Marya, Tyś córka boska,
Wszystkich grzesznych radość wielka.
Pirwem grzechem niezmazana
Od Trójce świętej zachowana;

albo w pieśni o Narodzeniu Pańskim, abecadłowej (t. j. zwrotki zaczynają się literami A, B, C i t. d.) śpiewano:

Kłamając, niektórzy mówią,
A w tem Matce urągają,
Aby tam niewiasty były,
Któreby Matce służyły i t. d.

Pióra Błogosławionego jest i obszerne Dziesięcioro rymowane, gdyż kaznodzieje w ten sam sposób je wykładali i z bernardyńskiego rękopisu ono wyjęte, zaczyna się zwrotką:

Słuchaj tego, wszelka głowo,
Napisz to w swem siercu słowo:
Pełni boże przykazanie
By nie wszedł w piekielne łkanie...
Toć jest wtóre przykazanie,
Jezu Krysta miłowanie:
Jimienia Bożego szonuj,
Darmo go nigdy nie mianuj.
Przeciw temu wszyscy grzeszą,
Co się ku przysiędze śpieszą;
Wiarają się, przysięgają,
O swą duszę nic nie dbają...
To jest siódme przykazanie,
Brata wierne miłowanie;
Nie kradni mu nicze jego,
Życzy mu wszego dobrego.

Tego nie dbają lichwiarze,
Zdrajce, zbójce i kostarze,
Swoje bliźnie zawżdy szkodzą,
Do piekła z tym tako wchodzą i t. d.

Bernardyńskiej tej poezyi ocalało wiele; niewytworna ona, powtarzała dosyć jednostajnie układ treści, budowę wiersza, zwroty stylu; lubuje się w abecadłowych pieśniach, jak w pieśni o Annie św., którą gorąco Bernardyni czcili, np. brat Mikołaj Sokolnicki, może autor tej pieśni:

Anna święta i nabożna
Miłościwa i pokorna,
Dwadzieścia się lat smęciła,
Albowiem płodu nie miała i t. d.
Fałszywie, niedobrze mówią,
Którzy cudną Pannę (Maryę) mażą,
Pirwym grzechem niezmazaną,
Bo przez Boga zachowaną i t. d.

z ową polemiką przeciw Dominikanom; inna abecadłowa o Matce Bożej, czy tego samego autora, znowu zaczyna:

Anna niewiasta niepłodna,
Sprawiedliwa i nabożna,
Czysta Pannę porodziła,
Którą Maryą wezwała i t. d.

Bractwo św. Anny, u OO. Bernardynów na Stradomiu (w Krakowie), odmawiało godzinki, jakie może bł. Władysław ułożył, a odpis ich mistrz Wacław (Ubogi) z Brodni, teolog krakowski, nam zostawił. Z kultu tego przetrwały jeszcze inne ślady poetyckie, np. pieśń:

Anno matko matki Bożej,
Nie racz gardzić prośby mojej,
Za mną się raczy przyczynić,
Tobieć to łatwie uczynić i t. d.,

lecz pieśń ta sięga może już XVI wieku, skoro osiemnasta zwrotka brzmi:

Być pokoju od Poganów,
Turków, Moskwy i Tatarów,

Abyśmy się polepszyli,
Ciebie przezpiecznie chwalili.

I nie koniec tych pieśni; inna była: O Anno, pani szlachetna, O Tobie jest sława wielka, Proś za nami wnuka swego, Jezusa Nazareńskiego i t. d.; z innej »starej pieśni polskiej« zachował Litwin Mażwid (r. 1547) pierwszy wiersz: O Anno, Pani szlachetna z pokolenia i t. d., który i inną s t a r ą polską pieśń »Poprośmy świętego Ducha« przytaczał. Tyle to pieśni wywołał sam kult św. Anny; — z tego już wynika obfitość dawnej poezyi religijnej. Poezya ta zasługuje na uwagę jeszcze i z innej strony.

Ciekawa to bowiem rzecz, jak długo te skromne i proste pieśni w ustach ludu trwały, niemal bez zmiany, jedyne płody literatury polskiej średniowiecznej, co żywotnymi pozostały, gdy wszystkie inne dawna niepamięć zagrzebała nazawsze. Tak np. jest w zbiorku Pieśni postnych starożytnych, drukowanym w XVII wieku, Pieśń o Pannie Maryej:

O nadroższy kwiateczku, Panno panieńskiej czystości,
Marya matko Bożej miłości,
Dla smutku Twojego i dla, Panno, Twej czystości,
Napełnionaś jest, Panno, Boskiej miłości i t. d.,

otóż Aryan Czechowic w swoich Dyalogach z r. 1575 wspominał o »piosnkach onych, wszem z dawna pospolitych, jako i ono: O nadroższy kwiateczku, w której tak śpiewają: Która święta Trójca wyzwoliła Ciebie mieć za matkę sobie«. Że to pieśń jeszcze z XV wieku, pokazało się, gdy w oprawie foliantu z roku 1481 odnaleziono pasek pergaminowy z nutami i tekstem tym samym:

O nadroższy kwiatku Panieńskiej czystości
Marya matko Boskiej miłości
Dla twego smutku i dla twojej żałości
Napełnienaś Boskiej miłości i t. d.

Dla innych pieśni nie odszukano dotąd starszych odpisów, chyba w owych Pieśniach Postnych Starożytnych, albo w dwu rękopiśmiennych zbiorkach, puławskim i kórnickim z połowy wieku XVI, np. dla długiej, bo 62 strofy liczącej »Pieśni o zmartwewstaniu Pana Jezusowem barzo nabożnej i wesołej«, zaczynającej się od zwrotki:

Nasz Zbawiciel, Pan Bóg Wszechmogący,
Jezus Krystus *Nazarański* w Trójcy,
Wstał z martwych ninie,
Uwiesielił ludzkie pokolenie i t. d.

17-tą zwrotkę (Wstałci z grobu, nie ruszył kamienia, Ni pieczęci żadnego znamienia; Stróże posnęli, Jako martwi tako popadali) przytaczał ten sam Czechowic w Dyalogach: »wielkonocna ona piosnka, którą chłopstwo obżarszy się w karczmie, także żacy i baby całymi gębami śpiewają, iż też Chrystus wstał z martwych, nie ruszył kamienia, Ni pieczęci żadnego znamienia« i t. d.

Jedyny to dział w języku narodowym, uprawiany obficie już w XV wieku; gdy wszędzie indziej poezya polska jak najdalej w tyle pozostaje, już nie za francuską i niemiecką, ale choćby za pobratymczą, czeską, w pieśniach Maryjnych i pasyjnych śmiało się z nią mierzyć może. Zasługa to księży Bernardynów, acz się ich polskie i łacińskie pienia na kunszt poetycki nie sadziły; zamysł pobożny wynagradzał mdłe wysłowienie; nie darmo też poważny Bollandysta, drukując pieśń łacińską innego błogosławionego Bernardyna, Szymona z Lipnicy, westchnął: jeśli święty tę pieśń napisał, poetą chyba nie był. Ależ nie o poezyę chodziło w pieśni, lecz jak Łopuchowski mówił:

Kto ją będzie śpiewaci
Albo pilno słuchaci,
Panie Boże, raczy mu to wszystko dać,
Co będzie u Ciebie żądać.

I przetarł się po tych pieśniach język polski, płynny, czysty, gładki, tak, że go późniejsza poezya religijna już nie wiele prześcignęła; ani się wierzyć chce, że pieśniom tym zgórą czterysta lat minęło. Sprawiedliwość każe wyznać, że i na tym polu, nietylko w prozie, Polacy nieraz czeskie wzory naśladowali. Najjaskrawsze przykłady tej zależności dają teksty z pierwszej połowy wieku; legenda o św. Dorocie np. zachowała miejscami bez zmiany obcy pierwowzór, np.:

Slibując (ślubując) bohactwa mnoho,
Złato, kamienie droho...
Bez studu (wstydu) dziewkę związachu,
Haniebnie obnażachu,
Biczuwachu tak wielmi Jej to ciało sławne i t. d.

Również w kancyonale bakałarza niegdyś przeworskiego, Jana z r. 1435, znachodzimy nieraz teksty napoły czeskie. Nawet wolne od takich naleciałości z czeskich wzorów powstawały, np. kolęda:

Stałać się rzecz wielmi dziwna,
Panna syna porodziła,
Przeze wszej stradze cielestnej
Toć jest dziwne a nowe i t. d.

dosłownie czeską powtarzała; również dawna pieśń na Boże Ciało:

Witaj miły Jezu Chryste,
Tyś syn z prawej dziewki czystej,
Ty jeś za nas na krzyż wstąpił,
Swąś nas świętą krwią otkupił i t. d.

Bernardyni dopiero uwolnili pieśń polską z tej zależności; w XVI wieku tłumaczą już i Czesi z polskiego, np. ów Żołtarz Chrystusów Gielniowczyka.

Mniej obfite, zato tym ciekawsze, były wiersze treści dydaktycznej. Najdawniejszy z nich, z odpisu żaków krakowskich z r. 1415 w klasztorze sieciechowskim od XV wieku złożonego, to wiersz o zachowaniu się przy stole, wykład obyczajowości światowej; podobne istniały wtedy po łacinie (»Fagifacetus« t. j. jak »facet« jeść winien) i po innych językach. Autor, Słota, może sam żak krakowski — w takim razie najwcześniejszy to wkład krakowskiej Alma mater w literaturę narodową — wzywał na początku i polecał się na końcu pomocy Boskiej:

Gospodnie, daj mi to wiedzieć,
Bych mógł o tem co powiedzieć,
O chlebowem stole...
Też, miły Gospodnie mój,
Słota, grzeszny sługa twój,
Prosi za to twej miłości,
Udziel nam wszem swej radości! Amen.

Mimo tej ascetycznej obsłonki wiersz to świecki, pierwszy w Polsce, oddychał powietrzem miejskim, krakowskim i, co najciekawsze, pannom i paniom służył gorąco:

Nasz Zbawiciel, Pan Bóg Wszechmogący,
Jezus Krystus *Nazarański* w Trójcy,
Wstał z martwych ninie,
Uwiesielił ludzkie pokolenie i t. d.

17-tą zwrotkę (Wstałci z grobu, nie ruszył kamienia, Ni pieczęci żadnego znamienia; Stróże posnęli, Jako martwi tako popadali) przytaczał ten sam Czechowic w Dyalogach: »wielkonocna ona piosnka, którą chłopstwo obżarszy się w karczmie, także żacy i baby całymi gębami śpiewają, iż też Chrystus wstał z martwych, nie ruszył kamienia, Ni pieczęci żadnego znamienia« i t. d.

Jedyny to dział w języku narodowym, uprawiany obficie już w XV wieku; gdy wszędzie indziej poezya polska jak najdalej w tyle pozostaje, już nie za francuską i niemiecką, ale choćby za pobratymczą, czeską, w pieśniach Maryjnych i pasyjnych śmiało się z nią mierzyć może. Zasługa to księży Bernardynów, acz się ich polskie i łacińskie pienia na kunszt poetycki nie sadziły; zamysł pobożny wynagradzał mdłe wysłowienie; nie darmo też poważny Bollandysta, drukując pieśń łacińską innego błogosławionego Bernardyna, Szymona z Lipnicy, westchnął: jeśli święty tę pieśń napisał, poetą chyba nie był. Ależ nie o poezyę chodziło w pieśni, lecz jak Łopuchowski mówił:

Kto ją będzie śpiewaci
Albo pilno słuchaci,
Panie Boże, raczy mu to wszystko dać,
Co będzie u Ciebie żądać.

I przetarł się po tych pieśniach język polski, płynny, czysty, gładki, tak, że go późniejsza poezya religijna już nie wiele prześcignęła; ani się wierzyć chce, że pieśniom tym zgórą czterysta lat minęło. Sprawiedliwość każe wyznać, że i na tym polu, nietylko w prozie, Polacy nieraz czeskie wzory naśladowali. Najjaskrawsze przykłady tej zależności dają teksty z pierwszej połowy wieku; legenda o św. Dorocie np. zachowała miejscami bez zmiany obcy pierwowzór, np.:

Slibując (ślubując) bohactwa mnoho,
Złato, kamienie droho...
Bez studu (wstydu) dziewkę związachu,
Haniebnie obnażachu,
Biczuwachu tak wielmi Jej to ciało sławne i t. d.

Również w kancyonale bakałarza niegdyś przeworskiego, Jana z r. 1435, znachodzimy nieraz teksty napoły czeskie. Nawet wolne od takich naleciałości z czeskich wzorów powstawały, np. kolęda:

Stałać się rzecz wielmi dziwna,
Panna syna porodziła,
Przeze wszej stradze cielestnej
Toć jest dziwne a nowe i t. d.

dosłownie czeską powtarzała; również dawna pieśń na Boże Ciało:

Witaj miły Jezu Chryste,
Tyś syn z prawej dziewki czystej,
Ty jeś za nas na krzyż wstąpił,
Swąś nas świętą krwią otkupił i t. d.

Bernardyni dopiero uwolnili pieśń polską z tej zależności; w XVI wieku tłumaczą już i Czesi z polskiego, np. ów Żołtarz Chrystusów Gielniowczyka.

Mniej obfite, zato tym ciekawsze, były wiersze treści dydaktycznej. Najdawniejszy z nich, z odpisu żaków krakowskich z r. 1415 w klasztorze sieciechowskim od XV wieku złożonego, to wiersz o zachowaniu się przy stole, wykład obyczajowości światowej; podobne istniały wtedy po łacinie (»Fagifacetus« t. j. jak »facet« jeść winien) i po innych językach. Autor, Słota, może sam żak krakowski — w takim razie najwcześniejszy to wkład krakowskiej Alma mater w literaturę narodową — wzywał na początku i polecał się na końcu pomocy Boskiej:

Gospodnie, daj mi to wiedzieć,
Bych mógł o tem co powiedzieć,
O chlebowem stole...
Też, miły Gospodnie mój,
Słota, grzeszny sługa twój,
Prosi za to twej miłości,
Udziel nam wszem swej radości! Amen.

Mimo tej ascetycznej obsłonki wiersz to świecki, pierwszy w Polsce, oddychał powietrzem miejskim, krakowskim i, co najciekawsze, pannom i paniom służył gorąco:

Przyjmicie to powiedanie,
Prze waszę cześć, panny, panie,

nie darmo:

Boć paniami stoi wiesiele,
Jego (którego) jest na świecie wiele,

wołał więc z serca całego:

Ja was chwalę, panny, panie,
Jiż przed wami nic lepszego nie (niema)

— nie dziwnyż to traf, że świecka literatura, jak religijna od »Bogurodzicy«, od hołdów niewieścich zaczynała? Kult Maryjny i uwielbienie czci pięknej, cechujące Polaków przed innymi Słowianami, zlewało się w wierszach:

Ktokoli czci żeńską twarz (płeć),
Matko Boża, ji tym odarz,
Przyjmi ji za sługę swego,
Uchowaj grzecha śmiertnego
I też skończenia nagłego!

Czy to było tylko platoniczne, o tym możnaby nawet powątpiewać wobec wierszy:

Czci ją (żeńską płeć), jiżby żyła z tobą,
Ktoć je chce sobie zachować,
Będą ji wszytki miłować,
I *kromie oczu* dziękować,
Boć jest korona cna pani (wedle Salomona!)
Przepaść by mu, kto ją gani.

Nie dziwmyż się więcej, że żacy krakowscy wzory rozmów miłośnych odpisywali i wiersze łacińskie na cześć swych bogdanek składali. Główna treść wiersza odnosiła się zresztą do karności stołowej, zaczynała od podawania wody na ręce, widelców bowiem jeszcze nie było i do misy sięgało się palcami, a kończyła przestrogą co do małych kęsów i napominaniem uważnego słuchania »dobrej mowy«. Całość wykazywała już kulturę, pewną delikatność obejścia, i choć poezyi w tym nie było, a rubaszności jeszcze wiele, uczył ten wiersz, jakimi będą Polacy.

Inne wiersze dydaktyczne są przejęte silniej religijnym nastrojem na temat: memento mori. Jeden, abecadłowy, nadzwyczajnej doczekał się popularności; skarga to umierającego, gdy dusza z ciałem się rozstaje, a wyrzuty zmarnowanego na świeckie rzeczy życia się odzywają, z początku XV wieku, w XVI powszechnie znana:

Ach mój smętku, ma żałości!
Niemogę się dowiedzieci,
Gdzie mam pirwy nocleg mieci,
Gdy dusza z ciała wyleci i t. d.

przez całe abecadło, z strofy jednej cytował raz Zygmunt August:

Gdzie ma siła, ma robota?
Głupiem robił po ty lata,
Pięć miar płótna, ośm stóp w grobie,
Tom tylo urobił sobie;

wcześnie dodał ktoś i odpowiedź na owe pierwsze pytanie o noclegu:

Dusza z ciała wyleciała,
Na zielonej łące stała,
Stawszy rzewno zapłakała,
Przyszedł święty Piotr arzkący i t. d.;

dziś jeszcze śpiewają dziady o tej duszy na zielonej łące, jak niemal przed pięciuset laty; łąkę tę zna i tradycya ludowa niemiecka.

Najdłuższy poemat polski średniowieczny (490 wierszy) i najudatniejszy zarazem, rozszerzał temat łacińskiego traktatu o śmierci, w którym mistrz Polikarp na własne oczy Śmierć oglądał i, ochłonąwszy z przerażenia, z nią o jej wszechmocy i grozie rozprawiał. Autor, Polak, nieznany bliżej, może ten sam, co i legendę o św. Aleksym wyłożył, w pierwszej połowie XV wieku, zaczął od inwokacyi i treści:

Gospodzinie wszechmogący,
Nad wszytko stworzenie więcszy,
Pomoży mi działo złożyć
Ku Twej fały rozmnożeniu,
Ku ludzkiemu polepszeniu.

Wszytcy ludzie posłuchajcie,
Okrutność śmierci poznajcie...
Przykład o tem chcę powiedzieć i t. d.

Dalej rozprawiał, skąd się śmierć na świecie zjawiła, jak wszystkich morzy, wojewody i czestniki, bądź książęta albo grabie, aż do najniższych:

Karczmarze złe piwa dają,
Nie często mnie wspominają;
Jako swe miechy natkają,
Wtenczas mą kosę poznają:
Kiedy nawiedzą mą szkołę,
Będę im lać w gardło smołę..
Kanonicy i proboszcze,
Będą w mojej szkole jeszcze,
I plebani z miąszą (grubą) szyją,
Już to barzo piwo piją...
Szlachcie bierzę szypy, tulce,
Ostawiam w jenej koszulce...
Stoić mi za mało papież,
I naliszszy żebrak takież,
Kardynały i biskupy,
Zadam jim wielikie łupy...
Wszytki mnichy i opaty
Posiekę przeze zapłaty.

Dobrzy mnisi jednak mnie się nie boją; oni światem, a świat nimi wzgardził:

Ale gdy przyjdzie dzień sądny,
Gdzie się nie ukryje żadny,
Uźrzą mądrzy tego świata,
Jiż dobra boska otpłata;

inaczej ze złymi mnichami; następuje drastyczny opis złego mnicha, co ma zakon lichy, z niego ucieka, — rzecz nie rzadka przy nadchodzącym rozluźnieniu karności kościelnej:

Kto chce czynić co na świecie,
Zły mnich we wszystko się miece;
Jestli wsiędzie na szkapicę,
Wetknie zanadra kapicę,

Zawodem na koniu wraca,
Często kozielce przewraca.
Kiedy mnich na koniu skacze,
Nie weźrzałby na kołacze;
Umaże się jako wiła (błazen),
Wżdy mu ta rzecz barzo miła...
Niedba, jiż go kijem biją,
Zawód biega, skaziw szyję,
A drugdy mu zbiją plece...
Dam ji czartu na ofiarę i t. d.

Autor, zdaje się, był zakonnikiem, może Benedyktyn z Sieciechowa, bo najszczegółowiej przeorem - infułatem się zajmuje:

Z opata zejmę kapicę,
Dam komu na nogawicę;
Z skaplerza będą pilśnianki,
Suknia pachołkom na lanki (koszule);
Odejmę mu torłop (futro) kuni.
A niewiem, gdzie się okuni;
Odejmę mu kożuch lisi,
I płaszcz, co mu nazbyt wisi;
Koniecznie zejmę infułę
I dam za szyję poczpułę (uderzenie) i t. d.

Tekst poematu przerywa się na wysławianiu pań czystych, męczeniczek sławnych; dostał się, acz silnie skrócony, i na Ruś w następnym wieku i wobec jedynego polskiego, posiadamy trzy ruskie odpisy. Tak to wyglądała »poezya« polska pierwszej połowy XV wieku: ze znakomitych początków — bo i Rej by się nie zawsze gładziej wysłowił, ani szczegółów drastyczniej przedstawił — mogła się bezpiecznie rodzima poezya wyłonić. Nie przyszło do tego, zwyciężyły łacina, gdy wolano do jej morza przylewać wody, i wrodzone gnuśność i niedbalstwo. Z drugiej połowy wieku możnaby przytoczyć wiersze mniemanego »Sandomierzanina«, raczej bernardyńskie, tego samego kaznodziei, co i wiersz o Dziesięcioro ułożył, może bł. Władysława z Gielniowa; jego modlitwom przypisywano cudowne ocalenie Polski od grożącego napadu tureckiego, po klęsce Olbrachtowej; on ułożył też krótką łacińską antyfonę przeciw »poganom«; czas drugiej pieśni »sandomirskiej« dokładnie oznaczony:

Wylej Twój gniew na Tatary,
Turki, Wałachy, Pogany i t. d.

Wiersz pierwszy ułożony całkiem na sposób kazania (jak i owe Dziesięcioro), gdyż przytacza się siedm słów Chrystusa na krzyżu i objaśnia je stosownie, jako wzór dla nas, np. trzecie:

Zasmęconą matkę swoję
W trzeciem słowie pocieszył ją,
Miasto siebie Jana jej dał,
Aby ją tamo opatrzał.
Nierównoś Chryste przemieniał,
Za królaś jej rybitwę dał;
Miecz boleści ją przenikał,
Jak Symeon prorokował.
Synom i dziewkam przykład dał,
Gdy swej matki nie zapomniał,
By swą matkę, oćca czcili,
Zawżdy jim dobrze czynili i t. d.

Pomysł o bolesnej, upokarzającej odmianie, za króla (Chrystusa) rybaka (apostoła Jana), dawny, np. w kazaniu pasyjnym sławnego Gersona, kanclerza paryskiego, którego dzieła bardzo popłacały w Polsce, i u innych, *locus communis* kaznodziei XV wieku. Podobieństwo z wierszami Dziesięciorga wynika nawet z poszczególnych zwrotów, np. dał Chrystus naukę,

By braci każdy odpuszczał,
Gniew, mierziączkę i złe sierce,
By nie wszedł w piekielne mieśćce.

(por. wyżej: *By nie wszedł w piekielne łkanie* »Dziesięciorga«). Po wyłożeniu słów następuje przykład, *exemplum,* nieodzowny dla kaznodziei średniowiecznego, o złym »kostarzu« w Budzinie, jak go za bluźnierstwo dyabeł porwał. W drugiej pieśni przykładów więcej, o tem, jak Bóg ludzi karze głodem, morem, »krwie rozlaniem«, z historyi starożytnej, żydowskiej, polskiej:

W Sędomirzu, co się stało!
Tatary, płaczliwe działo!
Tak ludzi wiele pobili,
Wisłę trupy zastawili.
Dziatki w wodzie z krwią pławili;

czegoś podobnego obawiano się w Polsce roku 1498 ponownie, ale Bóg się zlitował i klęskę na »pogan« obrócił; wyraźnie jednak zaznaczono w tekście pieśni, że »figury« te można i opuszczać, jak i przy kazaniu je opuszczano lub dodawano. Może to więc jedyne ocalałe kazanie wierszowane bł. Władysława; o podobnych wyraźnie na początku XVI wieku ks. Fabian Orzeszkowski wspominał (w łacińskim wierszu na żywot Błogosławionego: »napisał on bardzo wiele kazań świątecznych, wydał je na święta i niedziele *w metrum i wierszu,* i czytałem je, gdym był w szkole Pabianickiej«; kazania wierszami prawiono na zachodzie jeszcze i w XVII wieku).

Tym mniej przechowało się wierszy świeckich, choć było ich wiele, ale raczej krótkich. Każde zdarzenie, ogólnodziejowe czy lokalne, wywoływało ballady czy pieśni: o grunwaldzkiej i warneńskiej tak samo, jak o zbóju Krzysztofie Szafrańcu z Pieskowej Skały, którego roku 1482 ścięto, »śpiewają tam jeszcze około Szczercowa chłopi po wsi pieśń staroświecką o nim«, prawi Joachim Bielski w kronice w stodziesięć lat później; pamięć ludowa jest bardzo konserwatywna, przecież i za czasów Długosza śpiewał lud o śmierci Ludgardy, żony Przemysłowej (zmarłej r. 1283), a nawet o zwycięstwie zawichojskim nad Romanem halickim, z roku 1205. Z tych pieśni nic się nie zachowało; kopista jeden przytacza pieśń grunwaldzką po łacinie, dalej miał polską wypisać, ale ją opuścił! Ocalały z niej albo z kilku takich kilka wierszy:

Hej Polanie! z Bogiem na nie,
Już nam Litwy nie dostanie (po jej ućieczce);

albo u Stryjkowskiego:

Witold idzie po ulicy,
Przy nim niosą dwie szablicy;

tenże przytacza i z jakiejś (tureckiej) staroświeckiej:

Byli nasi (Turkom) groźni kiedyś,
A cóż potem, kiedy nie dziś?

Roku 1422 zeznawał biskup Łaskarz, że słyszał przed czterdziestu laty pieśń, gdzie twierdzono: »królu Kaźmierzu, wtedy do-

stąpisz pokoju z »Krzyżowniki«, kiedy Gdańsk twoim będzie«. Ze wszystkich tych »pieśni historycznych« ocalała trafem jedna, o zabiciu Andrzeja Tęczyńskiego w Krakowie roku 1461 przez rozsrożonych mieszczan; pieśń znamienna przez nienawiść, jaką dyszał autor - szlachcic przeciw »chłopom« - Krakowianom:

Kłamacie chłopi jako psi, byście tacy byli,
Nie stoicie wszytcy za jeden palec jego;
Mnimaliście chłopi, by tego nie pomszczono?
Jużci jich sześć sieczono, jeszcze na tem mało.

Obok historycznych lubował się naród szlachecki w wierszach satyrycznych. Tak napisano roku 1443 w karczmie wiersze satyryczne na księdza i wywieszono je w kościele; roku 1483 urządził się ksiądz wygodniej, chcąc się zemścić na panu Strzeleckim, śpiewał: Chrystus zmartwychwstał jest, Strzelecki zdrajca jest, Kirieelejson; nawet w »Bogurodzicę« wstawiano słowa szydercze. Znamy z końca wieku szlachcica zacnego, który się tym rzemiosłem poetyckim parał; może być, że z pod pióra p. Ścibora wyszła satyra na chłopów, którą długo pamiętano i jeszcze po całym wieku rozszerzano:

Chytrze bydlą z pany kmiecie,
Wiele sie w jich siercu plecie;
Gdy dzień panu robić mają,
Częstokroć odpoczywają.
A robią silno obłudnie,
Ledwo wyńdą pod południe,
A na drodze postawają,
Rzkomo pługi oprawiają i t. d.

Byłyż to jeszcze święte czasy, kiedy chłop panu tylko dzień (w tygodniu) robił i bizuna ekonomskiego się nie obawiał. Wierszami mścił się kopista nad pracą nudną a ciężką, np. Lutosław z Chrościechowa roku 1414 w Krakowie dopisał do traktatu teologicznego:

Kapłanie, chcesz polepszyć dusze swej,
Niemów często: piwa nalej!
Boć piwo jest dziwny olej
(Pozbawia wołów i rolej, dodawano później),
Więce z nich kłamają chłopi,
Arzkąc: szaleni są popi i t. d.

Miłośnych i ludowych nie zachowało się prawie nic, prócz kilku początków (»Świątki lecie«; o słowiku), i urywków, np.:

Ach miłość, coś mi wczyniła,
Eżeś mnie tak oślepiła,
Eżeśm się na miłość podał,
Bych nikogo na świecie znał,

albo:

Miłuj miła, miłuj wiernie,
Miej go w siercu zawżdy pewnie:
Wiernie mienim, nieprzemienim;
Kto to wzdruszy,
Dyabeł bądź pan jego duszy.

Takimi to zasobami rozporządzała nie proza, lecz poezya narodowa: bo i w Polsce, jak w całej Europie, narodowe literatury średniowieczne, wierszem, nie prozą stały. Panowanie wszechwładne łaciny w literaturze, w kazaniu, traktacie i mowie, w liście, aktach, kronikach, nie wydaje jednak, maskuje tylko stan istotny; język narodowy nie wciskał się do literatury, zajmował w niej szary koniec, chociaż w życiu było naturalnie odwrotnie. Wystarczał temu życiu, potrzebom jego kuchennym; kto wyżej duchem sięgał, zażywał łaciny, języka nietylko poloru towarzyskiego, jak francuszczyzna XVIII wieku, lecz wiedzy istotnej, a tak bywało nietylko w Polsce, gdzie słowiański brak ruchliwości i ambicyi, cudzoziemszczyźnie każdej zawsze słał drogę, lecz i w krajach ościennych. Zupełnym upośledzeniem języka narodowego w literaturze przypomina Polska sąsiednie i pod tylu innymi względami nader, niestety, pokrewne Węgry; nie należy jednak zapominać, że i w krajach starszej kultury, u Czechów, Niemców, Francuzów, wiek XV to wiek zastoju i upadku literatur narodowych, to wiek blasku i siły nauki i języka naukowego, łaciny; nigdy ona nie święciła większych tryumfów, a koszty ponosiły literatury narodowe. I zdawało się panowanie łaciny ugruntowane nazawsze. Trzeba było nowego hasła, aby głęboko uśpione księżniczki literatur rodzimych ocucić.

ROZDZIAŁ TRZECI.

WIEK ZYGMUNTA STAREGO. PRZEWAGA ŁACINY.

Państwo i społeczeństwo; spolszczenie mieszczaństwa; obce żywioły etnograficzne, Ruś i Litwa; ich polszczenie. Literatura łacińska; uniwersytet; humanizm; poeci: Krzycki, Janicyusz; historycy; politycy. Literatura narodowa, rękopiśmienna i drukowana; Biernat z Lublina, Rej; jego dyalogi i psałterz. Śmierć Zygmunta Starego.

Oświatą stoją narody, siłą państwa, lecz obie niezawsze w parze chodzą. Rosła Polska Zygmuntowska w bogactwa umysłowe, aż do podziwu i zazdrości ościennym narodom, lecz słabła jej więź państwowa. Jakież zasoby wniosła Polska ze średniowiecza w wiek XVI-ty?

Gdy rządy monarchiczne państw ościennych w coraz nowe siły wzbierały, musiał Polsce na cały dalszy jej pochód dziejowy starczyć ów kapitał, uzbierany za Piastów, powiększony za Jagiellonów. W XV wieku przedstawiał się imponująco. Zwróciły się oczy i umysły ku tej Polsce: witano w niej wcześnie sprzymierzeńca przeciw Turkom; proroctwa i widzenia opiewały sławę białego orła, który i z Konstantynopola niewiernych, i z Pragi kacerzy miał spędzić i wieczysty pokój ludzkości zapewnić.

Szpony orła wcześnie stępiały. Klęski, warneńska i bukowińska, unicestwiły plany tureckie; długa wojna pruska i wojna z Maciejem świadczyły o dziwnej niegotowości do bojów, o ociąganiu się szlachty od jedynego jej obowiązku, o powolnym, ale statecznym jej gnuśnieniu. Na wschodzie przyjęto politykę zupełnej rezygnacyi, konieczną, skoro wobec naprężonych nieraz stosunków Polska Litwę na sztych wystawiała; łudzono się oczywiście, że

podział między wschodnią a zachodnią Rusią da się utrzymać; poświęcono Nowogród i Psków; przymknięto oczy na niebezpieczeństwo od Moskwy, groźne a jawne, skoro z Moskwy hasło do zbierania wszystkich ruskich »ziem ojczystych« wychodziło. Półwiekowe niemal rządy Zygmunta Starego, pana łagodnego, ludzkiego, rozjemcy między monarchami europejskimi, przyniosły błogi pokój, ale okupiły go zbyt drogo, bo i naród zgnuśniał do szczętu, i zrzeczono się nabytków i widoków wielkopaństwowej polityki. Węgry i Czechy oddano Habsburgom, Prusy ześwieczczone otrzymał Albrecht, przed Moskwą broniono się niedbale, chociaż, kto Smoleńsk stracił, Połocka i Kijowa również pewnym być nie mógł. Schodziła więc już Polska z dominującego na wschodzie stanowiska; ale trwały jeszcze świetne pozory. Bezwładność na zewnątrz tłumaczyły stosunki wewnętrzne. Dobiła się szlachta, już nie samo możnowładztwo, znaczenia rozstrzygającego i wyzyskała je na zduszenie chłopa, usunięcie mieszczaństwa od rządu i rady, ograniczenie króla; kończył się proces wiekowy, rozpoczęty paktami koszyckimi z Ludwikiem i krakowskimi z Jagiełłą. Wyjątkowe wolności zapewniła sobie szlachta wszechstronnie; przykuła chłopa do ziemi, do robót i danin coraz cięższych; mieszczaninowi zabroniła posiadania ziemi, wejścia do wyższych dostojeństw (duchownych, o świeckich nie było i tak nigdy mowy), i przygotowywała na upadek jego doszczętny osobne ustawodawstwo; królowi, w obawie przed zachciankami absolutystycznymi, wytrąciła oręż z ręki, nie pełniąc służby wojennej, a niedozwalając stosownych poborów na wojsko stałe — stałe dochody polskie, śmiano się później, starczyłyby właśnie na cyrulików dla wielkiej armii; bezkarność mordów i łupiestw zapewniali sobie silniejsi wobec zwłoki i niemocy sprawiedliwości. Już za Zygmunta wykluwało się to wszystko; już odrzucała szlachta jednomyślną ustawę sejmową, a król ją zato tylko łagodnie strofował.

Narazie używało wszystko złotego pokoju, który syn Zygmuntów jeszcze na ćwierć wieku przedłużyć miał. I odmieniła się znowu Polska, najbardziej szlachta, oddająca się gorączkowo gospodarce, coraz intratniejszej wobec pracy pańszczyźnianej i zbytu gdańskiego czy wrocławskiego; dawniej za mieszczanami ani nadążyć nie mogła, teraz prześcignęła ich i przyćmiła bogactwami, polorem, kulturą, jak znaczeniem i siłą w rządzie już dawno ich wyprze-

dziła. I mściło się na mieszczaństwie egoistyczne zasklepienie w korzyściach materyalnych, usuwanie się od spraw ogólnych, obce pochodzenie pierwotne.

To zatarło się już zupełnie, i za Zygmunta Starego znikały ostatnie jego ślady z miast i klasztorów. Proces zaczął się zaraz w pierwszych latach zjawiania się przybyszów niemieckich, skoro ci się z Polkami żenili, mimo to przetrwał dwa wieki. Żywioł niemiecki zasilali bowiem coraz nowi goście, nietylko ze Śląska, ale nawet z Frankonii, Szwajcaryi i Alzacyi nadciągający; nic bardziej pouczającego, jak opis Decyusza, jak to w ciągu XV wieku jeden Wissenburg alzacki w osobie Betmanów, Schillingów, Hersteinów, Decyuszów, Szmalców, Lemboków i t. d. do Krakowa się przenosił. Wzmacniała ten żywioł autonomia, wymagająca języka niemieckiego, i związki zagraniczne. Rozwielmożył się więc obcy język w Krakowie i po innych miastach, nawet miejscami po wsiach, a trwałą siedzibę uzyskał po cechach, kramach i ławach; w życiu codziennym ustępował z czasem polskiemu: w połowie XV wieku nawet w Krakowie zaznaczył się stanowczy przełom; w protokułach o cudach różnych świętych, gdzie mieszczanie zeznają, mimo nazwisk niemieckich zeznają już tylko po polsku, ci wszyscy Kopperschmider, Frischwoter i t. d., wyjątkowo zapisuje protokuł np. *mulier in toto teutonica* (kobieta całkiem Niemka), albo np. roku 1455 piekarz krakowski Szczepan »Niemiec całkowicie«. Na początku XVI wieku wieje już wiatr przeciwny; w samym mieszczaństwie, szczególniej niższym, rośnie niechęć przeciw Niemcom, już się Niemiec rodowity na rynku nie rozmówi i wszystko przepłaca, już Niemców gorzej, niż Żydów, uważają, a w niechęci tej przodują sami »Germanopoloni« albo *polonicati Germani;* przeniesienie niemieckiego kaznodziei z fary roku 1536 było niby oficyalnym uznaniem faktu dawno dokonanego.

Lecz z mową niemiecką po aktach i kazalnicach, z przybyszami Niemcami, których teraz Włosi coraz bardziej zastępują, nie niknęły z miast pomniki kultury niemieckiej; strzelisty gotyk ich tumów, ratuszów, sukiennic; ich snycerstwo i malarstwo, święcące w malaturach np. kodeksu Behema największy tryumf; urządzenia cechów, gildyi i miast, ich zabawy i zwyczaje, cząbry zapustowe, kurki świąteczne (strzelanie), koniki (później zwierzynieckie), śmigusy i dyngusy rozmaite, burkaty cechowe. A już najmniej pozbywał się język obcych przymieszek. Właśnie na przełomie obu wieków zakorzeniły się nazawsze najpospolitsze wyrazy niemieckie zamiast dawnych słowiańskich, np. *los* zamiast *żrzebia* i t. p.; słowo już raz dawniej przyjęte, przejmowano ponownie, np. *dank* obok *dzięku, hełm* obok *szłomu;* urabiano na modłę niemiecką własne, np. *gajono* sądy, albo prawiono o *pokoju* = izbie i *sklepie* = kramie. A nietylko w ustach mieszczan pojawiały się cudze słowa lub zmienione własne, sięgały one przez kolonistów i do chłopa, i śmiano się później z *gasy, tatynku* (sporu) i *wardęgi* (dobytku) mazurskiej; używała ich również i szlachta, dumna ze swych *buntów*, wywołująca *obermana* (jednacza) obcego i *tadynkująca* (spierająca się) po sejmach. Narazie nie ginęła ani znajomość niemczyzny, ani książka niemiecka, chociaż krakowscy drukarze jej już nie wybijali; w dwudziestych i trzydziestych latach drukowano słowniczki i inne najpopularniejsze książeczki (wiersze Katonowe obyczajowe, Dobrego zdrowia rządzenie i t. d.) z polskim i niemieckim tekstem. Po rzemiosłach nigdy go nie wykorzeniono: słownictwo cechowe całe nim zalane, wystarczy wziąć jakikolwiek inwentarz, z XVII wieku jeszcze, aby się o tym przekonać; opieszałość słowiańska zadowalała się przejmowaniem obcego, byle gotowego — tak samo obfitował język cechowy czeski w niezliczone słowa najgrubszej niemczyzny. Sam żywioł niemiecki tylko miejscami trzymał się uporniej, np. w Wilnie, pod wpływem blizkiego stosunkowo Królewca i Rygi, gdzie dotrwał do połowy XVII wieku: niemieccy nauczyciele, predykanci, »szpek augsburski«, drukarze »zur Wilda«, spierali się z Jezuitami i z ich uczniami jeszcze długo.

Rozluźniały się węzły średniowieczne nietylko z Niemcami, ale i z Węgrami. Węzły węgierskopolskie, zadzierzgnięte jeszcze w X wieku, ścieśniły się w XV za Jagiellonów na tronie węgierskim, gdy bawili Polacy u biskupów i gubernatorów węgierskich, Lasocki, dyplomata Jana Hunyadego; Grzegorz z Sanoka, uczył jego synów; Marcin Bylica z Olkusza, lekarz Macieja Hunyadego; odwrotnie zasilali węgierscy scholarowie bursy i lektorya krakowskie. Stosunek obopólny przetrwał początek XVI wieku; mistrzowie krakowscy przenosili się do Węgier i wracali do Polski, korzystając z opieki możnych Turzonów; dawną spólność podtrzymywały stosunki z Zapolią, później z Batorym; wybijano w Krakowie

nader popularne dziełka Węgra Hontera (seniora bursy węgierskiej przy ulicy Brackiej), gramatykę łacińską i kosmografię, dalej i najstarsze druki węgierskie; mimo to zmniejszała się rychło ilość studentów węgierskich, obniżało się znaczenie Krakowa dla Węgier. Węgrzy przywozili swe wina, udzielali ubiorów, sług (hajduków), piechoty i jej musztry i uzbrojenia — w zamian wywozili z Polski już tylko złoto, nie naukę, jak dawniej.

Zato rozsiadało się coraz gęściej i porastało w skarby żydowstwo. Nie pomagały przedstawienia mieszczan, skarżących się na intruzów od XIV wieku, nie pomagała wymowa Kapistrana i duchownych: »niewierni« znachodzili zawsze gorących opiekunów między dostojnikami świeckimi, choćby u Kalimacha. Wpływy ich wzrastały, już pod r. 1516 zapisał Decyusz skargę, odtąd tylokrotnie, a bezskutecznie, jak wszystkie inne skargi, powtarzaną: niema myta ani cła, któregoby nie dzierżeli, niema już prawie żadnego możnowładcy i dostojnika, któryby nie powierzał Żydowi zarządu domowego, Żydom nad Chrześcijanami przewodzić nie pozwalał i ich nie obraniał, rychlej niż Chrześcijan, przed krzywdą choćby zmyśloną; później dodawano skargi na Żydów-lekarzy, Żydów-rzemieślników, Żydów-dzierżawców. Nie tak, jak w innych krajach, — uważało się ich w Polsce za spółobywateli, wedle wyraźnych słów królewskich; nie dziw więc, że się nietylko organizowali, ale pojawiały się między nimi i wyższe dążenia umysłowe, i ci sami Żydzi polscy, uchodzący w XV wieku jeszcze za nieuków, żyjących okruchami wiedzy Żydów zachodnich, uczyli się teraz, drukowali (w Krakowie i Lublinie), rabinowie ich nabierali największej powagi między swoimi i sława ich dyalektyki niezrównanej rozszerzała się niebawem na Zachodzie; z pism ówczesnego Żyda litewskiego, Izaka z Trok, czerpali w XVIII wieku encyklopedyści francuscy najjadowitsze strzały przeciw chrześcijaństwu; szereg pisarzy polsko żydowskich z tego wieku jest znaczny; pisali wyłącznie po hebrajsku — wyjątkowo doszło nas pismo polskie rabina Jakuba z Bełżyc; zjawia się nawet autorka-Żydówka, wcześniej więc niż Polka (z Tykocina rodem).

Obok Żydów wyliczano wtedy Ormian, kupców, przebiegających kraj, osiadłych w koloniach, np. we Lwowie, podejrzywanych o konszachty z Turkiem; wyrosła z nich klasa zamożna, po przyjęciu unii (r. 1629) zaczęli się zlewać z Polakami zupełnie i od

drugiej połowy XVII wieku, mianowicie zaś w XVIII (Minasowicze, Muratowicze, Piramowicze i t. d.) wystąpili, jako pożyteczni pracownicy na polu literatury, cierpiący tylko na słabość przywłaszczania sobie dawniejszych znakomitości, choć nie z ich łona wychodziły, np. Szymonowica.

Pominąwszy te nieliczne odłamki innych narodów, które, prócz Żydów, w masę etnograficzną polską całkowicie wsiąknęły, pominąwszy Tatarów litewskich, którzy się po wiekach również zasymilowali, i cyganów, dzikich i dziś jak i niegdyś, stosunek do Rusi i Litwy rozstrzygał o dalszym rozwoju rasy, obyczaju, języka, a więc i literatury polskiej. W różnych dzielnicach ruskich i litewskich układał się ten stosunek odmiennie. Na Rusi polskiej zadokumentowała się niebawem przewaga polskiego żywiołu; emigracya i rozrost szlachty polskiej, wielkiej i drobnej, mieszczaństwa niemieckiego, polonizującego się niebawem, dwory, sądy i szkoły odruszczyły niebawem ziemię przemyską, lwowską, halicką, bełską; sięgnęła kolonizacya polska niebawem nawet na Wołyń i Podole; z wyjątkiem niektórych rodów polszczyła się i szlachta ruska, gdy polska domieszkę krwi ruskiej strawiała, wyższa w kulturze; lud tylko i niższe duchowieństwo, po wsiach i miastach (w Przemyślu, Lwowie i t. d.), zostawały i nadal przy prawosławiu; obrządek strzegł ich od wynarodowienia. Litwa dzieliła się na właściwą, etnograficznie odrębną, która z Jagiełłą katolicyzm przyjęła, i na rozleglejszą ruską, prawosławną. Litwini katoliccy, na niedostępnej Żmudzi głównie, pozostali do dziś Litwinami, podczas gdy Wilno z okolicami wcześnie się spolszczyło; wszystkie rody litewskie katolickie, Gasztołdowie, Giedrojcie i t. d., już w drugim pokoleniu były polskimi, była ich w XV wieku spora liczba na uniwersytecie, jeden wliczał się w szereg świętych polskich; przechodzili te same koleje, co i ród królewski. Na Rusi litewskiej szły rzeczy z początku odmiennym torem. Sanguszkowie, Ostroscy, Sapiehowie, Czartoryscy i t. d. pozostawali narazie przy obrządku wschodnim, jak i niektórzy Gedyminowicze, rzucali nawet Litwę dla Rusi moskiewskiej (Glińscy, Bielscy, Golicyni i inni), pociągającej ich obrządkiem, nie odstraszającej — przed Groźnym — samodzierżstwem. Ale i wierni obrządkowi wschodniemu nawykali polszczyźnie nie gorzej, jak tamci; w wieku XVI Gasztołd i Radziwił, Kiszka i Sapieha władali polszczyzną w piśmie i mowie, jak Tar-

nowscy i Tęczyńscy; ruskie słowo lub przysłowie, trafnie użyte, od czasu do czasu, jedynie Ruś zdradzało. I zaczynał się już z końcem XV wieku wpływ języka i literatury polskiej na ruską i zdobywała polszczyzna drogą pokojową, naturalną, bez cienia przymusu, obszerne dzielnice, daleko poza własnymi granicami etnograficznymi, lecz tylko w warstwach wyższych, kulturalnych. Najpierw na Białej Rusi zaczęli tłumaczyć Rusini dzieła polskie, zaciekawiające ich silniej, niezwykłe legendy (np. o Trzech Królach), Mękę Pańską, zebraną z ewangelistów i rozszerzoną dodatkami, o Piłacie, Weronice i t. p.; ewangelię Nikodemową, nieznaną Grekom; język ich ulega wcześnie zabarwieniu polskiemu, występującemu silniej i w języku urzędowym i u pisarzów czy tłumaczów, jak Skoryna, pierwszy doktor-Rusin. Od Krakowa biło światło na Ruś daleką; nie udała się wprawdzie próba dostarczania Rusi z nad Wisły ksiąg liturgicznych słowiańskich, gdyż cyrylickie druki i drukarnia Swajpolda Fiola, czynna w roku 1491 i 1492, niebawem uległy zakazowi duchowieństwa; katolicyzm średniowieczny, nadto podejrzliwy, przeszkadzał w Krakowie i uczeniu się greczyzny, jako czemuś podejrzanemu, stawiał się przez teologa krakowskiego, Jana Sakrana, ostro przeciw »błędom« ruskim. Mimo szranków wyznaniowych przeciskał się obyczaj i język polski coraz energiczniej na tę Ruś, mimo urzędowego charakteru ruskiego, w sądach i kancelaryach; sam przykład dworu, zjazdy panów ruskich i polskich, towarzystwo broni wytwarzało atmosferę polską; odosobnione protesty nie zmieniały biegu naturalnego; widoczna korzyść, przywileje szlachty polskiej, oświata jej i kultura uśmiechały się możnowładztwu litewskiemu, przerzedzały szeregi prawosławne, niepodtrzymywane wysiłkami duchowymi, wobec absolutnego braku wykształconego duchowieństwa, szkół i ksiąg ruskich, wobec idącego z nim w parze rozluźnienia karności cerkiewnej, przybierającego nieraz potworne rozmiary. Patryarchat w sprawy cerkwi ruskiej nie wglądał; ta, pozostawiona sobie, żyła dawną tradycyą, przywiązaniem głębokim warstw niższych, obojętnością katolicką: prób unii, t. j. uznania pewnej odrębności cerkwi ruskiej, nie popierał właśnie episkopat polski, liczący milczkiem na blizkie zupełne zhołdowanie »schizmy« przez katolicyzm; antiruska broszura Sakrana, przeciw której Orzechowski później protestował, wyszła z poduszczenia biskupiego.

Zwycięskiemu pochodowi umysłowości polskiej na Wschód nie odpowiadał jednak jeszcze wcale rozrost literatury narodowej na gruncie własnym. Czasy Zygmunta Starego cechuje rozdwojenie literatury, rozdarcie jej gorsze o wiele niż w wieku XV. Tam literaturę łacińską i polską przenikał jeden duch, jeden autor pisywał w obu językach, polski ustępował co do liczby utworów. Teraz literatura w języku narodowym zacofana, żyje średniowieczyzną, wiekiem XIV i XV, nie dopędza myśli nowożytnej, nie dostraja się do niej; literatura łacińska kroczy z Zachodem; Polak wykształcony chlubił się nauką włoską, stosunkiem z boskim Erazmem Roterdamskim — »z czerwonej groblej« przezywał go tłumacz polski, z Melanchtonem czy z kardynałem Bembo; zapominał o istnieniu języka polskiego, przynajmniej na piśmie nie używał go nigdy, a jeżeli już po polsku pisać wypadało, brano do tego nieuka: kancelarye królewskie i biskupie chyba z wojewodą wołoskim korespondowały po polsku; i w sądzie panowała łacina; liczne, coraz lepsze szkoły umożliwiały nawet warstwom niższym jej nabycie; pierwszym, nieraz wyłącznym zadaniem szkoły pozostała łacina. Nie dziwi więc sąd Decyusza: »Polacy umieją po łacinie wszyscy, a poszło to stąd, że w narodowym języku żadnych pism czy dzieł pamięci nie przekazano«; jeszcze w pół wieku później twierdził, mieszczanin niegdyś biecki, teraz dostojnik kościoła polskiego, że »uczą się Polacy chętnie łaciny dla obrządku i urzędu kościelnego i dla utartego od dawna zwyczaju używania łaciny tak po prywatnych pismach i listach, jak w publicznych aktach, dyplomach, mandatach, dekretach królewskich, urzędowych i sądowych, zwyczaj ten i teraz, acz nieco w mniejszych rozmiarach się zachowuje, gdyż język nasz ani tak obfity jak inne, ani łatwy do czytania i pisania«; pomieszał tu tylko Kromer skutek i przyczynę i wraz z Decyuszem zapomniał, że w XV wieku ta znajomość była wprawdzie ogólna, ale tylko między duchowieństwem, że świeccy ludzie starej daty, nawet kanclerz państwa za Zygmunta Starego, wymawiali się niebiegłością w łacinie. Później już tylko wyjątkowo znachodzili się obrońcy języka polskiego. Izdbieński, biskup poznański, gniewał się na Zebrzydowskiego o list polski roku 1549, a gdy Uchańskiego, który raz do Hozyusza list po polsku napisał, Hozyusz strofował, że nie w »katolickim« języku się odezwał, ten »niemowlęctwo własne w łacinie«, jako przyczynę

tego, wystawił i dodał, »chociaż pospolitego języka ojczyzny naszej używam, przecież zawsze po katolicku, t. j. szczerze i poufale pisać będę«; tenże Uchański z przekąsem pisał do kapituły gnieźnieńskiej: »kilkakroć piszę o jednę rzecz, a jako widzę, próżno, podobno przeto, że prosto po łacinie, jako ten ksiądz, który we Włoszech nie bywał; teraz po polsku piszę, abych się dał lepiej rozumieć, jako częściej tym naszym domowym językiem mawiam, a podobno też i wy wszytcy takież, luboście tam bywali (we Włoszech), gdzie ja nie najrzał«. Napisać do kogoś list po polsku, znaczyło przecież posądzać go o brak elementarnego wykształcenia, i należało się usprawiedliwiać, jak to czynił np. Andrzej Glaber, dedykując Kmicie listem polskim polski przekład psałterza roku 1539.

Tak zajęła łacina w Polsce Zygmuntowskiej stanowisko, jakiego, pomimo pozorów, w wieku XV bynajmniej nie miała, została teraz językiem sfer wyższych, wiedzy i poloru; u Czechów lub Węgrów spółcześnie panowały te same stosunki, i humanista czeski nie spospolitowałby pióra swego utworem czeskim, a przecież mieli Czesi o wiele więcej przyczyn trwożyć się o język własny, niż Polacy. Dlatego to wykształceni synowie miejscy i wiejscy, Jan z Wiślicy, Klemens (Janicyusz) z pod Żnina, Mikołaj z Husowa, unikali języka polskiego, którego szlachta-nieucy, jak Rej lub Uchański, się trzymali; tylko łacina polecała ich mecenasom, Ciołkom, Krzyckim, dawała im wstęp i patent do kościoła, do Włoch, do sfer wyższych.

Wszechwładza łaciny opierała się na szkołach i na ich macierzy duchowej, na studyum krakowskim. Powaga jednak tego studyum, znaczenie jego i działalność, słabiały widocznie; już za Zygmunta Starego następuje przełom, stanowcze pochylenie się ku ruinie. Spada znaczniej liczba słuchaczy obcych, Węgrzy i Niemcy zjawiają się niebawem już tylko wyjątkowo, szlachta mija niemal ostentacyjnie jej progi, nauczyciele zdatniejsi porzucają ją, skoro się im los jakiś uśmiechnie; na katedry posuwa nie zasługa i praca, lecz wiek i starszeństwo; uniwersytet, niedawno jeszcze zakład europejski, nęcący przychodniów z Szwajcaryi (Vadian) i Anglii (Coxe, chwalca Akademii wierszem i łaciną), liczący jeszcze na początku wieku tak wybitnych Niemców, jak Henryk Bebel (autor słynnych facecyi, opowiadający i z Polski historyjki śmieszne, ale

zastrzegający się wyraźnie, że nie zamierza ubliżać »czcigodnemu i prawemu narodowi«), Tomasz Murner (Franciszkan, uprawiający, jak polscy Bernardyni przed nim, sztuczki mnemotechniczne), Awentyn (późniejszy historyk bawarski) i in., między mistrzami i uczniami; sławiona jeszcze w roku 1495 entuzyastycznie niemal przez Schedela, zapisująca w roku 1500 najwyższą liczbę nowowstępujących uczniów (508), a r. 1517 jeszcze i 476, utraca siłę przyciągającą (od drugiej połowy wieku liczby 200 nie przekraczając prawie); garną się do niej mieszczanie z Oświęcima, Biecza, Kościana i t. d. (dla różnych fundacyi); schodzi na stanowisko szkoły dla mieszczan polskich. Na upadek ten składały się przyczyny ogólne — nauka uniwersytecka, zaprzepaszczona w dawnej rutynie, nie zdążała za nowym ruchem nigdzie, i w Niemczech nie — i specyalne, polskie, a więc ubóstwo jej wyposażenia, nie odpowiadającego bynajmniej zmienionym stosunkom i upadkowi monety, odstraszające siły wybitniejsze; rozluźnienie karności, nurtujące już dawniej, teraz jawne; kłanianie się bogom obcym: niebawem nęcą już nietylko Włochy przez humanizm i ogładę, lecz i Witenberg i Lipsk przez nowinki religijne; jeszcze większa, niż gdzieindziej, zaśniedziałość trybu szkolnego, wyłączność stanowiska religijnego, nieufność ku reformom, o które się woła, lecz które pozostają na papierze. Półśrodeczki, np. usunięcie barbarzyńskich autorów z planu wykładowego, nobilitacye profesorów-księży i ich potomstwa (!!), jeden i drugi zapis hojniejszy, sprowadzenie jednego i drugiego Włocha, Hiszpana (Royzyusz), Holendra kosztem biskupim, Tomickiego czy Maciejowskiego, mało skutkują; ubóstwo materyalne, upadek poziomu naukowego, brak karności wzmagają się z każdym lat dziesiątkiem. Ostatnie naukowe podręczniki większej wartości, scholastyczne co do metody, poprawniejsze co do języka, Sakrana, Głogowczyka i in., skupiają się w pierwszych dziesiątkach, przestają po roku 1540 wychodzić; kto może, nie kończy kursów w szkole krakowskiej, wyrywa się zagranicę; medycyny, jak nie było, tak niema; rażących luk na wydziale prawniczym (przy nieufności Polaków ku prawu »cesarskiemu«, t. j. rzymskiemu), nie łata się wcale albo tylko dorywczo jakimś przybyszem obcym. Szkoła stoi już tylko jednostkami, np. Marycyuszem; takie pojawiają się i poza jej obrębem, np. w Poznaniu, gdy do dawnej »akademii« Lubrań-

skiego Niemców, Bedermanna i Hegendorfa zwabiono. Dzieło szkolne stanowczo upadało, i tu trzeba było nowych impulsów.

W blizkim związku z potrzebami i życiem szkolnym stało drukarstwo, co nakoniec do Krakowa na stałe zawitało, chociaż tu już nieraz, przelotnie, gościło.

Że stałe drukarstwo, zamówienia nakładcy, potrzeby pras, wzmagają produkcyę umiejętną i beletrystyczną, a nieraz ją tworzą nawet, to pewna. Już około roku 1474 wychodziły w Krakowie pierwsze druki łacińskie, lecz nie utrzymała się oficyna, i zadowalano się drukowaniem zagranicą ksiąg, kościelnych mianowicie; jak przed założeniem uniwersytetu krakowscy uczeni zagranicą się tułali, tak uprawiali i drukarze Polacy w Hiszpanii lub Włoszech swój kunszt. Dopiero na początku XVI wieku księgarz Jan Haller (krewny owego Fiola, co księgi cyrylickie roku 1491 wybijał), drukujący dotąd zagranicą, sprowadził oficynę ponownie do Krakowa; jeden z pierwszych i najpiękniejszych jej okazów (i na pergaminie drukowany), zbiór ustaw krajowych, ułożony przez Łaskiego, Bogurodzicą, jako spuścizną św. Wojciecha, się rozpoczynający (r. 1506). Za Janem Hallerem (i drukarzem jego Kacprem Hochfederem z Mecu) pojawili się niebawem towarzysze uczonego rzemiosła, Niemcy, Ślązacy i inni, Floryan Ungler, Bawarczyk, Wietor (t. j. koszykarz) z Liebentalu, Szarfenbergerowie (Ostrogórscy), zasłużeni około nauk mężowie; dzieła ich oficyn odznaczały się poprawnością wydania, doborem czcionek i papieru, i dziś, po czterystu latach, zżółkły tylko, zresztą są, jak nowe. Ale wszystkie, łacińskie; dogadzają potrzebom duchowieństwa i szkoły, więc są to druki kościelne, mszały, agendy (z polskimi formułami i modlitwami), ustawy synodalne, hymny i prozy, legendy i t. p., albo podręczniki mistrzów obcych i krakowskich, dla retoryki (wzory listów i t. p.), prozodyi, botaniki (z nazwami polskimi roślin), chiromancyi nawet i fizyognomiki, prawnicze, od *privilegium* Łaskiego aż do zbioru ustaw miejskich Tucholczyka, gramatyki łacińskie z tłumaczeniem wokabuł polsko-węgierskich; słowniczki kilkujęzykowe, najciekawszy między nimi, znakomity przekład wszelkich frazesów, wybranych z komedyi Terencyuszowych (1545 r., trzy wydania); najbardziej rozpowszechniony, Wokabularz królewiecki (polsko-niemiecki, z kawałkami Marchołta i t. d.).

Nie zaskorupiały się jednak w tym dziennym trybie szkolnym ingenia zdolniejsze, lecz uprawiały samoistnie sztukę i naukę, naturalnie łacińską. Tak zajął między »poetami« studyum krakowskiego zaszczytne miejsce Paweł z Krosna, humanista, wykładający tylko wzorowych pisarzów łacińskich, przelewający nieco z własnego dla nich zapału i podziwu w piersi słuchaczów, jak na uczniu, Janie z Wiślicy, widzimy. Mistrz Paweł pisywał wiele, rzeczy okolicznościowe głównie i pobożne; nie zawahał się nawet w wierszu safickim i stylu horacyuszowym zejście Pana do otchłani, t. j. ewangelię Nikodema, parafrazować, albo świętych opiewać; zresztą mecenasi-Węgrzy, u których gościł, albo znajomi krakowscy wzbudzali brzęki jego liry, mieszającej tony klasyczne i chrześcijańskie, rzymskie i polskie; ani jego, ani spółczesnych nie raził ten brak stylowości.

Paweł Krośnianin to chorąży licznego hufcu swoich i obcych, miernot i talentów. Są to wyłącznie duchowni, mistrzowie, bakałarze, gdyż literaturze daleko jeszcze do zeświecczenia, a chleb duchowny, probostwa i inne beneficya kościelne pozostawały jedynym wynagrodzeniem ludzi pióra; są między nimi dygnitarze kościelni, biskupi i prymasowie, jak Dantyszek lub Krzycki, i ubożuchni kapłani, jak Janicyusz lub Husowczyk; uczniowie Krakowa i szkół włoskich; pomimo różnic wieku, stanu, temperamentu, mają jedno spólne: poezya nie jest celem, tylko środkiem, jest to sztuka dla chleba, pochlebstwa lub zemsty. Nie poezya to w nowszym znaczeniu słowa, z niej ma tylko cechę zewnętrzną, formę i wiersz; są to raczej ćwiczenia, wypracowania, dowody biegłości w języku, władania formą, oswojenia się z cudowną starożytnością, pacierz za panią matką. Konwencyonalne tu wszystko, od myśli do słowa, od treści do ramek, od tytułu do podpisu; zaciera się każda wskazówka czasu, rodziny, otoczenia; pozmieniać napisy, wtrącić lub opuścić słówko, a można tym samym poematem raczyć papieża i krzyżaka-wywłokę, króla hiszpańskiego i bakałarza krakowskiego, zwycięstwo nad Orszą i klęskę pod Mohaczem. Ton wymuszony, ciągłe reminiscencye z autorów klasycznych, z ich obrazowania, rozumowania i słownictwa, naśladowanie niewolnicze ich formy, treści i myśli, cechują te powodzi wiersza łacińskiego, zalewające ówczesną Europę. Najjałowsza ta poezya występuje z tym większymi, tym śmieszniejszymi pretensyami; schylając się kornie ku

hojnej dłoni mecenasa, choćby idyoty lub łotra, żywi przekonanie, że to ona rozdaje wawrzyny, zapewnia nieśmiertelność, że bez niej zwycięstwo nie zwycięstwem, król nie królem. Wierszokleci ci i rymotwórcy, nigdy poeci, ze sztucznymi, wymęczonymi elukubracyami, powtarzający starożytnych i siebie samych, wygrywający wszystko na jedną nutę, narzucili się Europie na cały wiek; dziś jeszcze zalegają stosy ich piśmideł, nieśmiertelne utwory nieśmiertelnych laureatów, najciemniejsze kąty biblioteczne; oni sami zapomnieni nazawsze.

Mimo wszystkie bijące w oczy braki tego szkolarskiego, kunsztownego, martwego wierszoklectwa, tej maszkary starożytnej, oznaczało ono niewątpliwy postęp w dziejach piśmiennictw. Wnosiło bowiem nowe żywioły w średniowiecczyznę ducha i myśli; zapatrzone w ideały starożytne odkuwało ludzi z więzów askezy i wstecznictwa, wznosiło nad ciasne poziomy narodowościowe i stanowe, proklamowało wolność i swobodę ruchów i myśli, stawiało wygórowane żądania co do poprawności formy, potoczystości wiersza, proporcyonalności budowy; wypowiadało wojnę bezkształtności i barbarzyństwu średniowiecznemu; wyswobodziło wreszcie poezyę z więzów i obsług praktycznych, jakimi je średnie wieki skrępowały, podniosło i wyszlachetniło ją ponownie. Obok tych zasług ogólnych znajdą się wybitniejsze talenty i treść więcej zajmująca i dążenia podnioślejsze, a Polacy nie ostatni na tym polu; tu poraz pierwszy wyłaniają się ich zdolności, zasoby ich wiedzy i ducha i, co dotychczas w samym tyle pozostawali, wysuwają się od razu na czoło pochodu, wyprzedzając np. Czechów lub Węgrów, równając się z Zachodem.

Uprawiano wszystkie działy poezyi nowołacińskiej: mamy epopeje, jak Wiśliczanina Grunwald, i legendy świętych Pańskich, jak Husowczyka — Jacek; nieskończoną ilość wierszy okolicznościowych: do zwycięstwa oręża polskiego nad Moskwą, Wołochami, Tatarami, do zaślubin, chrzcin lub pogrzebów w domie królewskim, do nominacyi i ingresów zlatują się humaniści z wierszami i wierszydłami, jak muchy na miód; pienia liryczne na wszelkie tony, zawodów i zwycięstw miłosnych, wesela i smutku; elegie tęskniące za ojczyzną lub zdrowiem, opisujące podróże i pobyty, saliny wielickie i łowy na żubry; są epigramy i satyry osobiste, obyczajowe, polityczne, religijne, pierwsze wiersze na herby i walka

na nie, np. Korabiu (Łaskich) i Łodzi (Tomickiego); są żarty, przygody ucieszne, anegdoty z niewyczerpanych skarbów, obiegających w Europie; są wiersze budujące, religijne, na święta i świętych, moralizujące, dla młodych, wstępujących w świat, pouczające o stanach i t. d. Żeby niczego nie brakowało, znajdzie się nawet mieszanina dwu języków, na drobną skalę już w wiekach średnich próbowana, teraz we włoskich »makaronach« Folengi wybujała, którą, jak każdą włoską modę i na dworze królewskim zaraz naśladują, chociaż z tej najdawniejszej poezyi makaronicznej polskiej przed Royzyuszem i Kochanowskim tylko wiadomość o wcześnie zgasłym młodzieńcu-poecie nas doszła.

Z masy latynistów polskich, od Pawła Krośnianina i lekarza Adama z Bochni (wystawiającego roku 1507 spór stanów bezżennego, żonatego, duchownego i mniszego, żonatemu nieśmiertelność przypisującego), aż do Hozyusza i Kromera, sięgających za innymi po wawrzyny poetyckie — rzemiosłem mógł się przecież parać każdy, skoro wprawy, nie natchnienia wymagano; otóż z całego grona tego, wyróżniali się dwaj, Krzycki, biskup przemyski, później prymas, wróg i pochlebca Bony, i pupil jego, później Kmity, Klemens Janicyusz, syn chłopski. **Krzycki** to niby Krasicki XVI wieku, z dostojnego rodu ksiądz również bez powołania, z burzliwszą tylko krwią, nieokiełznanych ambicyi i chuci, mądry, zdolny, układny dworak, znawca i wielbiciel sztuk pięknych, mecenas. W mniejszej mierze przypomina Janicyusz Karpińskiego, chociaż elegijny nastrój jego, z powodu dotkliwego ubóstwa i jeszcze dotkliwszego braku zdrowia, mniej sztuczny i robiony, niż u śpiewaka Justyny; pierwszy to poeta, który wawrzyn włoski w północne przeniósł Tryony. Krzycki w wierszach swych folgował rozpuście, dworactwu i nienawiści, chłoszcząc chciwość Łaskiego, nieudolność poetycką Tarły, sprzedajność Bony, prześcigając w najwyuzdańszym wierszu cynizm XVIII wieku i facecyi Poggia, nie przebierając w żartach. Tu miał kompanów doświadczonych, Korybuta Koszyrskiego, nieprzebraną kopalnię dowcipów i żartów obcesowych, protoplastę — chociaż Długosz dawniejszych z XIV i XV wieku wymienia, Kropidłę i Szamotulskiego, facecyonistów polskich, Reja i Woronieckiego, Smolika i Stawskiego, Paska i Zagłoby, czerpiącego dowcipy, jak błaznowie polscy, Gąski XVI wieku, z ksiąg i z inwencyi własnej; pod imię Koszyrskiego podszywał też

Krzycki pornografię własnej młodości. Do religijnej i dydaktycznej poezyi, jak Dantyszek, co podobną szkołę przechodził, lecz ani temperamentem ani talentem Krzyckiemu dorównywał, nie przeniósł się ostatecznie; politykował i w poezyi, choć nie nawoływał do zgody mocarstw chrześcijańskich przeciw Turkowi, jak ów kolega w urzędzie i piórze, choć, nie będąc mieszczaninem, nie wyszafował, jak ów, ostrych wycieczek i fałszywych proroctw przeciw Gdańskowi; bystrym okiem dostrzegał jednak przyczyn nierządu polskiego. Politykował i **Janicyusz,** ale przygodnie, mieszając rzeczy ważne i błahe (o stroju polskim), nie idąc za własnym popędem, który urodzonego na poetę, nie przymuszającego się do roli udanej, od wczesnej młodości do opiewania miłości, przygód własnych, zmiennych uczuć, skłaniał; smak wrodzony, niezadowolenie z utworów młodzieńczej niedojrzałości, trzebiły bez litości wczesne te utwory, z których popiołów możeby Feniks poetycki wzleciał, gdyby troski, choroby, śmierć przedwczesna nie złamały skrzydeł. Drobna więc jest spuścizna, którą godną ogłoszenia uznawał, elegiczna tonem, treścią i miarą. Prócz wdzięcznych nieraz przymilań się do Krzyckiego, Kmitów, Maciejowskiego, do nauczycieli — słynnego Bonamika w Padwie, lekarzy i znajomych, z nowinami i wynurzaniami, są tu listy z podróży włoskiej, pełne podziwu dla wykwintności obyczajów i piękna przyrody włoskiej, są epigramy, utoczone gładko, choć nie zaprawne humorem ani satyrą. Poecie brakowało rozmachu, lubował się w cyzelowaniu rzeczy drobnych, wierszyków, którymi opiewał np. królów polskich lub arcybiskupów gnieźnieńskich; te właśnie wiersze przetrwały wieki; drukowano je nawet zagranicą jeszcze w XVII stuleciu, dopełniano i przerabiano na polskie, np. Głuchowski roku 1585 i in.; naśladowano je, np. dla biskupów krakowskich; takie niepoetyckie rzeczy, podpórki i ułatwiania dla pamięci lubiono jeszcze zawsze. Spółcześni zachowali mu wdzięczną pamięć; był to pierwszy poeta polski, który przetrwał wiek; na jego skalę mierzono późniejszych, np. Kochanowskiego. Z innych inwektywę Dantyszka na Gdańsk zapamiętano i powtarzano jeszcze w XVII wieku z przyczyn wyznaniowych i politycznych; z Krzyckiego tłumaczono i naśladowano niektóre bezeceństwa i sprośności, najpierw z nazwiskiem autora, później bez tego. Ale on najciekawszy i najwięcej włoski z polskich humanistów; szkrupułów, jak Włoch ówczesny, nie znał

żadnych: jakżeż mam w dyabła wierzyć, kiedy w Boga ledwie wierzę — powtarzał nieraz, na nieprzyjaciół rzucał się z furyą włoską, Tarłę przyprowadziłby chętnie do samobójstwa, również włoska, potworna rozwiązłość jego wierszy. Charakterystyczna jego poezya do najdrobniejszych rysów, np. zajmuje się błaznami, bo rezygnacya ich, zadowolenie byle czym, przypomina mądrość staro-żytną niewymagania niczego od życia; zajmuje się literaturą i przestrzega dobrego smaku, a mimo to naśladuje jeszcze średniowieczne metra i sztuczki, jakby na przełomie dwu epok, jakby ucho młodzieńcze zbyt się wsłuchało w prozy kościelne i żakowskie, w rytmy pijane wagantów. Pierwsza to ciekawa postać w poezyi polskiej, skomplikowana, choć ani harmonijna, ani sympatyczna, śpiewaka godnego swej pani — Bony i dworu tej, którą dziwne szyderstwo losu Dobrą nazwało.

W całej tej poezyi humanistycznej niema jednak dramatu humanistycznego, komedyi szkolnej, a brak ten bynajmniej nie jest przypadkowy. Mogła Polska naśladować wszystkie wzory umysłowości średniowiecznej, nie przyjął się w niej tylko jej dramat albo raczej surogat jego średniowieczny, misteryum. Warunki zewnętrzne, zdawałoby się, sprzyjały, też same obrzędy kościelne, z których się dramat na Zachodzie rozwijał, Boże groby i jasełka, z udziałem księży, żaków, śpiewów i dyalogów pobożnych; były nawet te same profanacye obrzędów kościelnych, co i na zachodzie, więc zakazywał jeszcze biskup poznański Łaskarz nieprzystojności, tańców i pieśni sprośnych przy odprawianiu prymicyi, a niemal dwa stulecia wcześniej, roku 1230, uskarżał się opat i konwent tyniecki w Rzymie, że scholarze krakowscy, naśladując zwyczaj zastarzały, w Boże Narodzenie i dni następne nachodzą klasztory, jedzą, piją, śpiewają, dopuszczając się największych nieprzystojności, grabiąc zapasy klasztorne, nie szczędząc i krwawych bitek. Również nie obce były widowiska jigrców; oracye weselne prawili »rymarze«, jak je dziś jeszcze lud prawi, chociaż Kazimierz Wielki rymarzy z wesel krakowskich wykluczał, dopuszczając tylko występowania całej trupy, bo aż ośmiu kuglarzy, szpilmanów krążących i z łątkami, t. j. maryonetkami, w krótkich scenach komicznych, np. żyda i cygana z frymarczeniem koni i t. p.; z takich maryonetek urosła szopka nasza, ze scenami komicznymi, przeniesiona i na Ruś (»wertep«) wkońcu, obca Zachodowi.

Były więc zadatki misteryów, ale w obcej atmosferze niemieckiej, panującej po miastach polskich, w stronieniu szlachty od miast, w braku dworu — Węgier w Polsce ani rezydował, Jagiełło był na poły barbarzyńcą, Kazimierz łowami litewskimi się bawił, szukać należy przyczyn, dlaczego dramat w Polsce zjawił się, bo o rozwoju i wtedy mówić nie można, dopiero w wieku XVI. Misterya wielkanocne obchodzono już i wcześniej, skoro np. synod gnieźnieński z roku 1456 wyraźnie zakazywał »odprawiania igrzysk teatralnych albo dramatów w kościele« (samym, na cmentarzu było to dozwolonym), ale wyraźne wzmianki o tekstach i dyalogach pochodzą dopiero z XVI wieku, a i wtedy przeważały widowiska nieme. Równocześnie dawali żacy przedstawienia sceniczne na zamku krakowskim; same sztuki były pióra humanistów niemieckich, np. Jakóba Lochera, Sąd Parysów między trzema boginiami, przedstawicielkami życia rozmyślającego, czynnego i rozkosznego, albo tegoż Wizerunek narad i uchwał wojennych mocarzy chrześcijańskich przeciw srogiemu Turkowi; oba dramaty wystawił mistrz Stanisław z Łowicza, jako reżyser, roku 1522. Sąd Parysów Lochera, albo Akolastus (Niemrawa, parabola o synu marnotrawnym) Gnapheusa, mistrza elbląskiego i in., tłumaczono nawet rychło na polskie — oryginalnych dramatów jednak niema.

Z literatury naukowej, o ile stylem i przedmiotem z piękną łączyć się może, wyróżniała się historya; Długosz znalazł nareszcie, czego pragnął gorąco, następców, choć znacznie mniej zdolnych i pilnych. Zasłużony lekarz i profesor krakowski, Maciej z Miechowa, przerobił, skrócił i dopełnił Długosza aż do roku 1506; na inny ład przerobił go również Biernat Wapowski, kanonik krakowski, humanista i badacz na polu nauk ścisłych, astronomii. Obaj, Miechowita i Wapowski, zajmowali się i geografią. Miechowicie zawdzięcza się pierwsze dzieło, wyłożone na niemieckie zaraz niemal po wydaniu łacińskim, gdy tymczasem przekład polski dopiero w kilkanaście lat później się pojawił. Było to opisanie dwojej Sarmacyi, Tatarów, Moskwy, Litwy i t. d., uprzątające nakoniec bajki, jakimi starożytność północ europejską oplotła, bogate w szczegóły etnograficzne, i dziś jeszcze ciekawe. I kronika Miechowity, pierwsza zarazem ofiara cenzury świeckiej — nie spodobały się bowiem panom-radzie niektóre zwroty o pięknej Zośce, o klęsce bukowińskiej, o królu Aleksandrze i życzeniach poddanych, aby go

niebo rychło przyjęło, znalazła nieco później tłumacza polskiego, Chwalczewskiego. Dzieła Wapowskiego, jak i Długosza nie wydano; korzystali z niego inni, np. Bielski. Między nimi stanął Decyusz-Dietz, Niemiec, Polak przybrany, wierny sługa Zygmuntów, którego dzieje początkowe (1506—1516) i zaślubiny z Boną opisał; dzieje poprzedził krótką kompilacyą rzeczy dawniejszych; dał wiele szczegółów obyczajowych, o zmianach w życiu i stroju polskim, o żydzie, w kościele Panny Maryi przez Dominikana inkwizytora wobec profesorów badanym, broniącym się mężnie, spalonym i t. p.; dzieło przysmaczał wierszami typowy lutnista, obcokrajowiec, Gundelius, jak Vadianus, Eckius, Agrykola, tylko dłużej od nich Polsce i jej rzeczom oddany, więc przypominający Ślązaka Kuchlera lub Węgrów Frankoniusza i Emeryka, wierszami i prozą Polskę sławiących; ciąg dalszy tych dziejów Decyuszowych pozostał w rękopisie, z którego i Wapowski korzystał.

Tu należą i pierwsze opisy podróży: nikt tyle nie jeździł, co Polacy, nikt tak mało nie spisywał wrażeń i widoków. Podróże włoskie, trwające bez przerwy od trzech wieków, pierwszy Janicyusz choć w elegii opiewał; podróże na wschód znalazły nieco wcześniej w krakowskim Bernardynie, bracie Anzelmie, opowiadacza, co wszystkie miejsca cudowne i legendowe ziemi świętej wymieniał, notując ich odległości na miary krakowskie; opis jego zażywał w Polsce powodzenia i miewał tłumaczenia (i ruskie) i wydania jeszcze w wieku XVII i XVIII. Łascy podróżowali w zawody, do Ziemi świętej i na zachód, już od XV wieku; byli wprawni w pióro, światli i bystrzy, mimo to nie przyszło żadnemu na myśl opisem jakimś wzbogacić literaturę krajową; wojewoda Stanisław przynajmniej Niemcowi rzecz taką zlecił i Bernard Holtorp wydał wierszem łacińskim pierwszą księgę jego podróży europejskiej (r. 1548); opisu drogi po Azyi i Afryce już nie dokonał, wskutek śmierci wojewody.

Bliżej łączą się ze sztuką utwory treści politycznej, mniej memoryały księdza Stanisława Zaborowskiego, wahającego się między uznawaniem przywilejów średniowiecznych (duchowieństwa), a wymaganiami nowożytnego państwa; więcej satyry i pamflety, sypiące się na dostojników świeckich i duchownych w trzydziestych latach w takiej ilości i tak drastyczne, że aż senat w to wkraczał i surowymi karami groził — odpowiadał na satyry, nicu-

jące wszystko i wszystkich, Odrowąża i St. Łaskiego na sejmie roku 1635, sam niezgorszy pamflecista, Krzycki; najbardziej zaś pierwsze pisma polityczne Fryca i Orzechowskiego. Nierówni wiekiem i stanem, temperamentem i uzdolnieniem, równiejsi dolą a raczej jej zwichnięciem, zaczęli spółcześnie rolę polityczną obsiewać, nie stykając się narazie, choć w przyszłości nieraz ostro zetrzeć się mieli. **Andrzej Fryc,** Modrzewskim przezwany, potomek wójtów wojborskich, występował w mowach, które różnym osobom w usta kładł i różnym dedykował, przeciw najbardziej krzyczącym niesprawiedliwościom prawa polskiego, karnego i cywilnego. Prawo to, zebrane jako tako przez Łaskiego, nie uporządkowane zresztą, dopraszało się »korektury«; nad nią, jak nad wszystkim pożytecznym w Polsce, darmo pracowano; Fryc wybrał najsłabsze strony, prawo o karze za mężobójstwo, domagające się przy zabiciu szlachcica wieży i grzywien, przy zabiciu chłopa mord niżej taksujące, niż głowę psa lub konia, prawo więc, pobudzające raczej do mordów niż od nich odstraszające. Wymownie i mądrze zwalczał je Fryc z praw boskich i przyrodzonych, i sofistyczne wywody przeciwników zwycięsko rozbijał, lecz, choć mu przyklaskiwali roztropni, rzeczy samej nie zmienił, jak i drugiego prawa, przeciw któremu biadał, zabraniającego mieszczanom nabywania dóbr ziemskich, prawa podyktowanego przez egoizm i niechęć szlachecką.

Orzechowski nie od takich tylko szczegółów zaczynał, rozentuzyazmowany wojną kokoszą, t. j. mowami domorosłych Demostenesów, Katonów i Cyceronów, które na łacinę wyłożył, puścił się na trybuna szlacheckiego, a wypróbowawszy siłę swej wymowy na ziemiach przemyskich, stanął roku 1543 i 1544 w trzech pismach przed światem i odniósł pierwszy wielki sukces literacki w Polsce.

Dwa, nie drukowane, krążyły w odpisach, dopełniając się nawzajem: w jednym zwracała się Polska, wedle ulubionej maniery Orzechowskiego, wprowadzającego dla większego efektu ojczyznę czy wielkich przodków, do rycerstwa sejmującego w Krakowie; w drugiej »wierny poddany« apostrofował młodego króla. Rzeczpospolita wyliczała wszelakie braki w wymiarze sprawiedliwości, obronie granic, szafowaniu poborami; poddany pouczał króla, jakim go chce mieć, jak wychowanym, gdzie rezydującym, w otoczeniu

jakich ludzi - dworzan i rady - senatorów. Obie mowy cechowała ta śmiałość, bezwzględność i otwartość, którą w Polsce przeciw głowom koronowanym stosowano; zarazem ujmował się Orzechowski, czego później nie czynił, ludu wiejskiego, kreślił jego ucisk, wyzyskiwanie przez dziedziców i księży: czyż mniemamy, że skargi ich ustawiczne nieba nie przebiją; jeśli się nie wstydzimy, toż choć Boga się bójmy, jeśli tylko w niego wierzymy. Były i przeciw Żydom ostre wycieczki; przywileje ich nazywał przywilejami na rozboje i oszustwa; oburzał się na rosnące ich wolności, na niemożliwość uzyskania przeciw nim wyroku sądowego; świadectwo chrześcijan nic przeciw Żydowi nie ważyło, chyba, że przystępowało i świadectwo Żyda. Królowi stawiał się również hardo, przytykał jego wychowaniu, wczasowaniu się w Krakowie, zamiast przywykania do bojów na granicy, wrażał mu uszanowanie prawa, bronił wyboru biskupów przez kapitułę, nie przez naznaczanie królewskie, już tu wyznaczając biskupom stanowisko niemal nadludzkie. A wszystko wyraził łaciną najznakomitszą, toczącą się wartkim potokiem, wzbudzającą respekt przed mówcą i siłą jego.

Wyżej jeszcze wzniósł się w dwu mowach przeciw Turkowi; tamte bowiem rozrywały się na paragrafy, omawiały rzeczy najrozmaitsze, te zaś, jedna ku rycerstwu, druga ku królowi, toczyły się jednym ciągiem. Pierwszą mowę rozchwytano w najkrótszym czasie, drukarz odbił ją zaraz powtóre, przetłumaczono ją natychmiast na polskie (jeszcze roku 1543), na niemieckie (1544), a drukowano jeszcze przy końcu wieku i w następnym stuleciu. Tłumacz polski, bardzo niezdarny zresztą, pouczał, że autor pisał mowę »wspaniałym i dwornym językiem«, jaki ledwie bakałarz, cóż dopiero szlachcic dobrze zrozumie. Te »książki o ruszeniu ziemie polskiej przeciw Turkowi« dotykały materyi, po śmierci Zapolji i zdobyciu Budy przez Solimana, największej aktualności. Myśl wciągnięcia Polski do wojny z Osmanem, wygrzebywania żaru tureckiego jej rękami, kiełkowała długo w Europie, już w liście owego humanisty włoskiego do Witolda z roku 1429 były takie brednie o Turkach i Jerozolimie. Za Warneńczyka — pod Warną utracił dziad Orzechowskiego szlachtę przemyską, myśl przybrała kształty i odtąd wciągano Polskę do coraz nowych kombinacyi antitureckich, do ligi chrześcijańskiej. Zadomowiałą szlachtę, mimo całej grozy tureckiej, co na Polskę, otwartą, bez fortec i granic

warownych, spaść miała, mimo łudzących obietnic pomocy od innych, a szczególniej od ruchu narodów słowiańskich, trafny tym razem instynkt od wszelkich awantur dla wygody Habsburgów odwodził; hałasowano i emocyowano się po zjazdach, strumieniami jednak nie krew, chyba wino rozlewano. Ten ruch antiturecki wywołał był już na początku wieku tłumaczenie Pamiętników Janczara[1]); Czesi je wcześnie przetłumaczyli i kilkakrotnie drukiem wydali. Serb ów, janczarem jeszcze, brał udział w wyprawach tureckich, był i pod Konstantynopolem i gdy Bośnia ginęła; zemknął potem do chrześcijan i w Polsce relacyę spisał, z wielką znajomością rzeczy, o historyi tureckiej, o sposobie ich wojowania, o ich wierze i obyczajach rozprawiając: wyjątki z tej relacyi plączą się i luzem po rękopisach; rzecz cała czyta się z wielkim zajęciem; było to najdawniejsze i najdokładniejsze przedstawienie tureckich przodków i przyczyn ich powodzenia w literaturze europejskiej, o wiele ciekawsze i więcej pouczające, niż np. liczne a liche pisemka Kroata »Bartłomieja Gieorgiewitsa«, który czternaście lat tureckim więźniem był, tłumaczone na polskie roku 1548 (Rozmowa z Turczynem o wierze krześcijańskiej, Wieszczba tureckich obrzezańców o krześcijańskich nędzach). Klęska budzińska wywołała i pieśni polskie, np. z roku 1541, wzywającą do skruchy, straszącą gniewem boskim, który dotknął sąsiadów naszych, co to teraz:

Służą w pęciech panu baszy,
Już gospodarz gospodarza
Nie pożonie przed rychtarza...
Węgrzy zostali na koszu,
Turczyn radzi na rakoszu (polu elekcyjnem).

Opisawszy klęskę ich i Niemców, wylicza skarby, jakie carzowi (tureckiemu) zniesiono i kończy prośbą o zlitowanie pańskie:

Wszak jeszcze między Polany
Najdzie dobre krześcijany...

[1]) »Poczyna się czasów popisanie o tureckich sprawach przez (Konstantego syna) *Michała Konstantynowica* z Ostrowice, raca (Serbina), jen był wziął od Turków miedzy Janczary«, »pisana literą ruską lata 1500«, jest to pierwsze zarazem tłumaczenie z »cerkiewnego« na polskie. Rękopisy u Zamoyskich, w Petersburgu i t. d.; wydania nowsze tego bardzo ciekawego zabytku są nad wyraz podłe — oczekujemy niecierpliwie nowego.

Obróć ten gniew na pogany,
Przejmi w łaskę krześciany.

W tej to sprawie liczono już na Hieronima Łaskiego, jako na wodza i »Uliksesa« przyszłej wojny, wygotował przecież plany do niej, Turcyę i jej siły znał z własnego pobytu w Stambule — pomieszał je nagły zgon, opłakiwany po łacinie (przez Janicyusza) i polsku, wierszem tak lichym, że mógłby być Rejowy, ale ciekawym, bo pierwszym śmierć dostojnika opłakującym i nie gorszym od późniejszych »kamen« i »trenów« i »echów żałośnych«:

Wiele ta Łodzia po światu pływała
A sam to Bóg wie, kędy nie bywała,
Już teraz marnie na suszy została,
I wszelkie żagle swoje połamała,
Gdy tak śmierć chciała...

Ach miły Jaroszu, i cóż ci się stało?
Skrążywszy świat w koło i morza niemało,
Żeś w niebie nie był, małoć się to zdało.
Posłałeś duszę: acz zostało ciało,
Nam na tem mało...

jak zaczął pobożnie, tak kończy autor na tęż nutę:

Bo, nasz miły Panie, myć tu tak słychamy,
Iż tam w niebie pokój, a tu kłopot mamy,
A wżdy nam bierzesz potrzebniejsze stany!
Niechże Cię samego za hetmana mamy,
Takci wygramy.

Nic dziwnego, że i gorączka Orzechowski zapłonął. W obu mowach powtarzał te same argumenty, obrazy, ułudy i groźby; zachował jednak tyle trzeźwości, że nie wystawił samej Polski na sztych, lecz żądał wpierw zgody w Niemczech, gdzie się o błahe rzeczy, bo tylko o wiarę! swarzą, aż ich Turczyn pogodzi. Do zgody nawoływali wszyscy, naturalnie darmo, bardzo wymownie między innymi St. Łaski, w pisemku »Napomnienie polskie ku zgodzie do wszech krześcianów wobec, a mianowicie ku Polakom uczynione« z roku 1545, w jędrnym języku, wydającym trudy obozowe i hart wojenny; dzielny wojewoda ukrył się trafnie pod pseudonimem żołnierskim.

Panowała więc dalej łacina, w nauce i literaturze, w poezyi i korespondencyi w bibliotekach (spisy ówczesnych bogatszych bibliotek nie znają ani jednej polskiej książki), i szkołach, gdzie polszczyzna do programu wcale nie należała. Mecenasi: Łascy, Tomiccy, Krzyccy, Maciejowscy, dumni ze związków z Erazmem lub Melanchtonem; sprowadzający do Polski francuskich poecików i włoskich uczonych; podejmujący hojnie humanistów z Dubrownika i Dalmacyi a ci im w zamian poezyami hołdowali; utrzymujący na swe koszty zagranicą Hozyuszów, Janicyuszów i tylu innych, — ci książęta Północy na Południu podziw wzbudzali, wysyłając krewnych z całym orszakiem do włoskich siedzib nauki (np. wyprawa Łaskich) — o język polski i literaturę narodową ani dbali, jakby tylko łacina ambicyi ich dogadzać mogła. Nierozumne to pomiatanie językiem własnym, zasadnicze, wyjątkowo przełamywano, np. kiedy Samuel Maciejowski, ku zgorszeniu humanistów polskich, nad zwłokami starego króla w katedrze krakowskiej po polsku żywot i zasługi jego wysławiał; oddziałało to fatalnie na stan literatury polskiej, unieruchomiło jej rozwój, uprawniło rozszczepienie łaciny i polszczyzny, którego najjaskrawszym znakiem było, że w Krakowie od lat dwudziestu po łacinie drukowano, nikt jednak o książce polskiej ani pomyślał, a gdy wkońcu obcy drukarze w własnym, dobrze zrozumianym interesie i druku polskiego się chwycili, to go do warstw najniższych stosowali i odpadkami średniowiecczyzny je żywili; gdy z druków łacińskich światło i nowa myśl biła, czuć polskie stęchlizną średniowieczną, anachronizmem, spóźnieniem o pół wieku. Aż nadto uzasadnione były np. skargi sejmiku śrzedzkiego, przedstawione na sejmie walnym piotrkowskim roku 1534: prosimy, aby nam księża nie bronili imprymować po polsku historyi, kronik, praw naszych i też inszych rzeczy, a zwłaszcza o biblią. Albowiem każą bić sobie rzeczy rozmaite, a czemuż też nam nie mają bić naszym językiem? Tu też nam się krzywda wielka widzi od księży, albowiem każdy język ma swym językiem pisma, a nam *księża każą głupimi być.*

Choć nie w drukach, skołatała literatura w języku narodowym jakie takie zasoby; wymagały ich nieodbicie kobiety, które czytać i pisać się uczyły, a nie miały co czytać i pisać; nie mniej dworzanie i słudzy pańscy, nie umiejący ni »kęsa po łacinie, jakoż ich dosyć roście, prawie (całkiem) jako świnie«, jak Rej mawiał,

chociaż kiedyś sam do tegoż cechu się liczył. Należało przedewszystkim zapełnić najdotkliwsze luki; zgęszczają się na początku wieku tłumaczenia; tak kazała królewna polska, panna Elżbieta (urodzona roku 1478, od roku 1515 księżniczka Legnicka), mistrzowi krakowskiemu, Balcerowi Opecowi, wyłożyć na polskie »Żywot Chrystusów« św. Bonawentury (zm. r. 1274) i stworzyła tym pierwszą książkę popularną, co kilkadziesiąt wydań dostąpiła. Opec obniżył znacznie ton »doktora seraficznego«, skracał albo opuszczał jego alegorye i dedukcye, wstawiał opowiadania o młodości i o Wniebowzięciu Maryi, folgując polskiemu jej kultowi, czerpiąc z prastarego źródła łacińskiego, wraz z owym autorem »Rozmyślania o żywocie Pana Jezusa«. Tłumaczono i przepisywano modlitewniki, np. »Szczyt Duszy«, ułożony przez eremitę Polaka po łacinie i kilkakrotnie po łacinie w XVI wieku drukowany; polski odpis dla króla Zygmunta przeznaczony, dochował się w Monachium. Oryginalnie napisał trzy traktaty Maryjne eksbernardyn mistrz Jan Paterek z Szamotuł (zabity r. 1519), o poczęciu i narodzeniu Maryi, dowodzący wszystkiego »Pismem św., prawami duchownymi i cesarskimi, założeniem filozofów«, składaczami t. j. poetami, wedle nauki franciszkańskiej i szkoły krakowskiej, obszernie, wielomównie, uczono, z dyspozycyą scholastyczną, bardzo systematyczną. Pisano modlitewniki dla kobiet, np. dla siostry Konstancyi (z r. 1527), żywoty świętych, np. »Żywot św. panny Eufraksyej« (z r. 1524), późniejszy, ojca Amandusa (mistyka Henryka Susona) i in.

Z całej tej grupy tłumaczów wyróżnia się znakomicie pierwszy świecki tłumacz polski, **Biernat z Lublina,** lekarz Pileckich. Niezwykły to człowiek, miłujący język rodzimy, gdy nikt oń nie dbał; krytykujący ostro same podstawy katolicyzmu, gdy Luter jeszcze nie wystąpił; pracujący dla dobra ogólnego, gdy się każdy w sobie zamykał; starający się przedewszystkim, aby najdotkliwsze luki literatury krajowej zapełnił. Wytłumaczył więc np. bardzo lubiony modlitewnik p. t. »Hortulus animae« (Ogród duszny), co się w licznych wydaniach rychło rozszedł. Ponieważ literatura polska nie posiadała żadnego zbioru bajek, nadzwyczaj cenionych w całym świecie średniowiecznym, więc przerobił Biernat swobodnie (romansowy) żywot »szpetnego« Ezopa, mędrca - niewolnika, późniejszego doradcy królewskiego i niewinnej ofiary zawiści Delfijczyków; dodał

paręset bajek z Ezopa, ze zbiorów włoskich (Abstemiusza) i wschodnich (Kalila i Dimna w tłumaczeniu średniowiecznym łacińskim); opatrywał je przysłowiami polskimi w nagłówku, stworzył więc najdawniejszy zbiór przysłów polskich, z czego jeszcze po wieku Rysiński (r. 1618) korzystał; wszystko wyłożył *metrum* średniowiecznym, w ośmiozgłoskowych dwójkach rymowanych. Dzieło jego, stojące na czele drukowanej poezyi polskiej, przechowało się tylko w późnych drukach, np. z roku 1578 (»Żywot Ezopa Fryga, mędrca obyczajnego i z przypowieściami jego«), niepoprawnych, kusych (brak przedmowy, karcącej ostro duchowieństwo i jego rozwiozłość), a przecież nadzwyczaj ciekawych. Antikatolickie idee autora zaznaczał list łaciński, drukowany nieraz przez niemieckich protestantów, jako »świadectwo prawdy«; stosuje je nawet w wykładzie bajek; łasica np., która zęby o pilnik krwawi, to teologowie - scholastycy, okłamujący ludzi, jakoby coś o bóstwie wiedzieli; albo wycieczki przeciw wilkom szarym i czarnym (zakonnikom) w skórze owczej. Znachodzimy i grube przytyki panom (po sprawiedliwości należałoby wszystkich powywieszać!) i — cudzoziemcom, Węgrom i Niemcom, którzy nas tylko zdradzają, jak kruk; głupie go sowy z litości przyjęły, on wyszpiegował słabe ich strony i wrogom wydał. Rymy, jako średniowieczne, bardzo nieszczególne, ale język gładki i czysty, prócz przestarzałych słów i form. Przysłużył się Biernat literaturze i pierwszymi większymi dziełami lekarskimi po polsku, »Lekarstwami doświadczonymi«, choć je dopiero r. 1564 Marcin Siennik, nie znający autora, z luźnych rękopisów zebrał, uporządkował, w języku ogładził i wydał; lekarstwa, wedle członków ułożone, poprzedza wykład ogólniejszy o temperamentach, humorach, zabieżaniu i poznawaniu chorób i t. d.; dalej lekarstwami końskimi, tłumaczonymi z jakiegoś Konrada kowala królewskiego i in. Lekarstwa te całkiem średniowieczne, po kilkanaście dla każdej choroby, bo skoro kompleksye rozmaite, więc i leki różne, z najdziwaczniejszymi środkami, podeszwami starymi, moczem dziecięcym, kałem wilczym, który na ziemię nie upadł i t. d., chociaż autor sam przeciw gusłom występował. Dziwna, nadzwyczaj ciekawa ta postać, zapatrzona niby w najgrubsze mgły średniowieczne, a przecież z nich wychodząca, wietrząca nowy ruch, nowe idee. Językiem władał niepospolicie, chociaż przestarzałych, miejscowych słów i form nie unikał, przewyższał chyba Opeca i Paterka.

Pomnażała się stale liczba druków polskich; pierwszy, przy Agendzie łacińskiej Hallerowej z roku 1514, mieścił »Powieść o papieżu Urbanie«, t. j. polecenie kilku modlitw przy zgonie, za nim szedł »Hortulus« i in.; silniejszy jednak ruch liczymy dopiero od roku 1521.

»Jeronim (Wietor z Libentalu) z Wiednia, cudzoziemiec *impressor*«, opowiada: »gdy częstokroć słudzy (Anny z Jarosławia, kasztelanki wojnickiej, wielkorządczyni krakowskiej), przychodząc do mnie, cni słudzy cnotliwej paniej, ode mnie żądali, iżbych polskim pismem nieco wybijał... wziąłem przedsię śmiesznego a krotofilnego Marchołta gadanie z Salomonem, który przez Jana bakałarza, z Koszyczek, wyłożon jest w polskie z łaciny«. Bakałarz wywiązał się z niełatwego zadania znakomicie, »Marchołt«, z barbarzyńskiej szaty średniowiecznej przeoblókł się w piękną polską; miejscami wierszowany, i to wcale nieźle, z wycieczek przeciw duchowieństwu nieco okrzesany, ciekawy treścią, przeciw mędrcowi-królowi prosty rozsądek chłopa - gbura na plac wywodzący i króla-proroka zawsze pobijający, coś z Ezopa i Sowizdrzała razem, rozszedł się w kilku wydaniach między polskim czytelnictwem tak, że, jak i z Hortulusów, ani jeden egzemplarz czasów nowszych nie doszedł, prócz kilku ułamków; figura sama stała się przysłowiową: mawiano »marchołtowe drzewo« o wykrętach i t. d. Trefnym »Marchołtem« rozpoczynają się więc stałe druki polskie. Tenże sam Wietor wydał następnego roku 1522, »*Ecclesiastes* księgi Salomonowe, które polskim wykładem kaznodziejskie mianujemy«, tłumaczenia »drużby« (imiennika jego) Hieronima z Wielunia, który w »prozie do czciciela, a wiernego tej sławnej korony polskiej przyjaciela« przyczynę i pobudkę dzieła wyjaśniał: »dlatego pewno, jakoby wżdy polskie księgi były, ażeby się Polacy w mądrości mnożyli. Gdy zaiste wszytcy jini narodowie, Włochowie, Niemcy, Czechowie, swoje biblije mają, a w mądrości niewymownie się kochają«. Po tym Żywot Chrystusów Opeca, co i Jan Haller zaraz przedrukował, pomnażając wierszami nabożnymi Jana z Koszyczek i Hieronima Spiczyńskiego (roku 1522, 210 kart z drzeworytami).

Pierwsze te druki miały i tę zasługę, że ustaliły ortografię,

chociaż nie przyjęły pomysłów ks. Stanisława Zaborowskiego, zalecającego r. 1518 swoję ortografię, ze znakami dyakrytycznymi, kreskami i kropkami, wedle wzoru czeskiego, Husa. Po rękopisach XV wieku ortografia chwiała się całkiem dowolnie, i na początku XVI wieku doszła do największego zamieszania; drukarze pierwsi ją ustanowili, i, chociaż po rękopisach dawna dowolność jeszcze długo się utrzymywała, normy ich, prócz kilku zmian, zachowały do dzisiaj moc obowiązującą. Do druków Wietorowskich i Hallerowskich przyłączyły się Unglerowe i Szarfenbergerowe: rywalizacya jednak czterech nakładców nie popchnęła produkcyi literackiej na szybsze tory; książek polskich nie wychodziło wiele, nie były to rzeczy większe, tym mniej celniejsze, a już najmniej oryginalne. Do roku 1548 znajdziemy między nimi trzy rozmaite przekłady psałterza w kilkunastu wydaniach, jeden mistrza Wróbla z Poznania, wykonany dla Katarzyny z Górki, a poprawiony przez mistrza Andrzeja Glabera z Kobylina; modlitewniki, Tarczę duchowną i in.; legendy o patryarchach (Józefie, Tobiaszu) i świętych (Aleksym, Annie, Eustachym, powieść o klasztorze świętokrzyskim, o częstochowskim obrazie) i inne rzeczy ascetyczne; rzeczy dla początkujących, wydawane i przez Ślązaka Mimera, krewnego Szarfenbergerów, z podłą polszczyzną, np. »Dobrego zdrowia rządzenie«, przepisy średniowiecznej dyetetyki szkoły salernitańskiej albo paryskiej dla króla »angielskiego«, naturalnie wierszowane, co jeść, kiedy żyłę puszczać i t. p., albo dystychy »Katona«, podstawa każdej nauki początkowej, albo »Seneki formułki cnego żywota o czterech głównych cnotach«. Są drobne alegorye, apokryfy, zwrócone i przeciw Żydom; pierwsza malutka nauka rachunkowa, kuchmistrzostwo i podobne trywialności; są przekłady dramatów szkolnych, Historyi o synu marnotrawnym (Akolastus Gnapheusa) i Locherowego Sądu Parysa, o wiele naiwniejsze, pospolitsze, zgrubiałe wobec oryginału humanistycznego; zaplącze się i traktat Erazma Roterdamczyka o Języku, a obok niego Żywoty filozofów Burleja, sprośna średniowiecczyzna, z najobszerniejszym żywotem Aleksandra Wielkiego, cenione dla mądrych maksym; albo »Gadki Arystotelesowe«, bynajmniej nie Arystotelesowe, plotki średniowieczne, odpowiedzi scholastyczne na różne dworne pytania, dlaczego kobiety wąsów nie mają, dlaczego niedobrze wodę po rybach pić albo co za umysł rude włosy czy długie palce oznaczają i t. p. i dziś jeszcze ciekawe do czytania, później przerabiane (w XVII wieku) i tłumaczone na ruskie, przeznaczone dla pań, więc opuszczające wiele nieskromnych rzeczy. Najobszerniejsze dzieła to »herbarze«, ogrody zdrowia, opisy roślin, kruszców i t. d. z głównym względem na ich wartość leczniczą i zastosowanie w owych komplikowanych receptach, gdzie chyba jedne leki drugie paraliżowały, a całość nie szkodziła, z dodawaniem traktatów medycznych, o »powietrzu« (morze), puszczaniu krwi, babieniu; są Ezopy prozą, kroniki polskie i t. d.

Postęp był powolny. Gdy Stefan Falimirz r. 1534 herbarz wydawał, pisał w przedmowie, że skłoniły go do przekładu brak lekarzów powszechny i to, »iż ta sławna Korona, ksiąg żadnych językiem swym nie mając tak sławnym, tak była sirociała, iż też innym obcym narodom prawie (całkiem) w pośmiech i dziwowanie było«, a obcy, drukarz-nakładca, Ungler, tak samo prawił: »ten język wasz w niedbałość ludzką przyszedł a snadź przez obcy naród mało nie w upadek... tego wielmi lutując pracem się tej naprzód i przed innymi podjął, żem księgi polskie nigdy niebywałymi buksztaby drukował, potym inni ze mnie przykład brali. Już teraz to pismo na wsze strony rozszerzyło się i szerzyć się będzie«. Ta nadzieja była zbyt optymistyczna; roku 1541 inny cudzoziemiec, Wietor, prawił z równą słusznością (w przedmowie na »Język«): »będąc ja wmięszkanym a nie urodzonym Polakiem, nie mogę się temu wydziwić, gdyż wszelki inny naród język swój przyrodzony miłuje, szyrzy, krasi i poleruje, czemu sam polski naród swym gardzi i brząka, który mógłby iście, jako ja słyszę, obfitością i krasomową z każdym innym porównać«; przyczyny tego upatruje słusznie w skłonności polskiej do obczyzny, niesłusznie w trudności wyrażania polskich dźwięków; »prasował więc z pilnością« te książki, ażeby »się też język polski szyrzył«. Drukowano przeważnie dla kobiet, więc w *iudicium* czyli prognostyku p. t. »Osądzenie spraw niebieskich sławnej nauki krakowskiej« na rok 1529 czytamy, że przetłumaczono je z łaciny, aby »pospolity człowiek polski mógł czytać a osobnie panny, panie, gdyż matka Ewa to im po sobie zostawiła, żeby każda z nich wiedzieć tajemności chciwa była, a to co wie, żadnym obyczajem nie zataiła«. Glaber, tłumacząc Problemata Arystotelesowe, przyznaje też kobietom

bystrzejszy z natury rozsądek, niż mężczyznom, którzy z zawiści nauki przed nimi tają.

Największe zasługi około przełamywania tych lodów, oprócz księgarzy - wydawców, położyli tłumacze, lekarz Biernat Lubelczyk, bakałarz Jan z Koszyczek, co Marchołta i Poncyana, t. j. »Historyę o siedmiu mędrcach«, a może i »Historye rzymskie« tłumaczył; Poncyan, drukowany dziś jeszcze dla ludu, to zbiór nowel o chytrości niewieściej, pochodzenia wschodniego, rozszerzony we wszystkich językach świata od średnich wieków: król każe syna, oskarżonego przez macochę, tracić, lecz mędrcy wstrzymują zawsze wykonanie wyroku, póki niemy syn - Józef fałszu macochy - Putyfarowej nie odkrył, mowę odzyskawszy. »Historye rzymskie« z Rzymem nic spólnego nie mają; zbiór to anegdot, legend, alegoryi, z wykładem moralnym, z którego stukilkudziesięciu numerów tłumacz polski tylko trzydzieście kilka wybrał; i to książka, jak Poncyan, drukowana niezliczone razy, zawsze do szczętu zaczytywana przez fraucymer i dworzan, w polskim tłumaczeniu do najdalszej Rusi dotarła, przełożona na język cerkiewny. Nie wszyscy tłumacze byli jednak równie zdolni i pilni; Niemiec Mimer np. tworzył nazwy polskie wedle niemieckich; inny przemycał żywcem czeskie słowa i formy, tak posiadamy rodzaj »biblii dla pauprów«, przed r. 1520 wydanej, obrazki ze Starego a głównie z Nowego Zakonu z tekstem ewangelicznym na przeciwnej stronie, co chyba jakiś Ślązak sporządził, bo nie raziły go słowa napoły lub całkiem czeskie, jak *maudrosci, od tamtud sem, przatielu* i t. p. Jeszcze zawsze bowiem przeważał język czeski starszą swoją kulturą i literaturą obfitszą; jeszcze się wzorował na nim polski, szczególniej w dziale religijnym, w oznaczaniu pojęć oderwanych, a nawet terminów państwowych. Uchodziło to tym łatwiej, skoro obie mowy za jednę nieraz uważano, rozdzieloną tylko narzeczowymi właściwościami każdej; tak twierdził Hieronim Malecki jeszcze roku 1574: Czesi »są pirwszy niżeli Polacy i w tłumaczeniu ksiąg luterskich, chociaż mowa polska już dostatecznie *elegans*, ale w teologiej prawie barzo mało albo nic nie jest wypolerowana«; dlatego nie wahał się czeskich słów zapożyczać. Przybywała nasza manja popisywania się czymś obcym, i jeszcze Górnicki (r. 1566) wyśmiewał Polaków, co ledwie granicę śląską przejechali a już mowę czechizmami pstrzyli, zamiast o stanach, o »stawach« mówili i t. d.,

a Seklucyan (r. 1551) wyraźnie zastrzegał się, żeby go dla niektórych mniej używanych słów jego przekładu nikt »Czechem od Czerwieńska« nie chrzcił. Czescy pisarze i księgarze liczyli zawsze na odbyt dzieł czeskich w Polsce, poświęcali je też panom polskim, np. lekarz Czerny i inni. O znajomości czeszczyzny na dworze Zygmunta Starego, o porównywaniu obu języków, które dla polskiego, zacofanego, grubszego, niekorzystniej wypadało, prawi Górnicki wyraźnie, lecz były to już ostatki przewagi czeskiej; niebawem miała się literatura polska wzbić na wyżyny, dokąd czeska nigdy nie sięgała, czeska zaś tracić grunt pod własnymi nogami.

Narazie święcił pierwsze tryumfy na polu literatury narodowej stan mieszczański; szlachta się do niej jeszcze ani przyznawała, ślepo hołdując językowi cywilizacyi i świata. Dla zaspokajania potrzeb malutkich wystąpili mieszczanie, mistrze i bakałarze krakowscy, Biernat Lubelczyk; Jan z Koszyczek; Hieronim z Wielunia; Piotr z Poznania; Andrzej Glaber z Kobylina, co i »Problemata« i Miechowity »Wypisanie o dwojej Sarmacyi« i inne rzeczy dobrze wyłożył; Walenty Wróbel, wielkiej nauki, gorącej wiary i nieskazitelnego życia kaznodzieja poznański (tłumacz i wykładu, alegorycznego naturalnie, Psałterza); Tomasz Kłos; Rusin Stefanek Falimirz i inni, nieznani nieraz z nazwiska, i poświadczyli poraz pierwszy wyraźnie, że całe mieszczaństwo polskie, do niedawna napoły niemieckie, zlało się z narodem, przejęło się jego językiem, zwyczajem i życiem. Szlachtę reprezentuje nie tyle Hieronim Spiczyński, który całkiem się zrósł z Krakowem, ile Marcin Bielski. Lecz mimo zasług mieszczaństwa około polerowania polszczyzny i zawojowania coraz nowych dla niego działów, druki polskie za Zygmunta Starego nowej literatury nie tworzyły, gdyż były same tłumaczenia lub przeróbki starzyzny łacińskiej.

Nawet pieśń religijna, przez ojców Bernardynów, Władysława z Gielniowa, Mikołaja Sokolnickiego i in. pielęgnowana, nie robiła postępów. Nie sprzyjały czasy, za widocznym upadkiem nabożeństwa, za rozpasaniem duchownych (Franciszkanie krakowscy, kaznodzieja i inni bracia, zabili roku 1516 świątobliwego przełożonego, za co trzech ścięto, innych w Lipowcu zasadzono), za pierwszymi podmuchami luterstwa. Śpiewały przeważnie kobiety, i nie przypadkowo oba najdawniejsze kancyonaliki katolickie, rękopiśmienne, z połowy wieku (1551 i 1555) przemieniają, nie dbając na wiersz

i rym, w tekscie rodzaj męski oryginału na żeński, np. zamiast pierwotnego:

Ach niestojcie grzesznemu, czemum wonczas niebył,
Gdy się namilszy mój pan Jezus narodził i t. d.

wypisują oba teksty, puławski i kórnicki, dla Tercyarek franciszkańskich:

Ach niestojcie *mnie grzesznej*, czemum wonczas *niebyła*,
Gdy się namilszy mój pan Jezus *narodził* (!!).

Celne miejsce między tymi pieśniami zajmowały kolędy jasełkowe; Franciszkanie za przykładem św. Franciszka czcili nadzwyczaj Dzieciątko i coraz nowymi pieśniami obchód uświetniali. Liczne są one w obu śpiewnikach, które zresztą dawne i nowe pieśni, bernardyńskie i franciszkańskie, mieszały, jak i Żywot Opeców, gdzie, obok nowych pieśni Jana z Koszyczek i Hieronima Spiczyńskiego, znachodziły się »dawne nuty« (tak je Seklucyan nazywa): Trzy Maryje poszły, Drogie maści niesły i t. d. W kolędach lubował sobie lud prosty; tworzono coraz nowe, coraz drastyczniejsze, z szczegółami o pasterzach i apostołach, nie licującymi z powagą czasu, miejsca i święta; już też roku 1602 potępił synod gnieźnieński wyraźnie »niestosowne i mniej nabożne pieśni w narodowym języku na Boże Narodzenie«. Zakazy nie skutkowały, i lud zachował te kolędy i pastorałki po dziś dzień, jak wszelkie inne zwyczaje. Już w XVI wieku, tak jak dziś, czeladź na św. Szczepan służbę wymawiała, prawiąc: »Przyszedł św. Szczepan, Każdy sobie pan«; tak samo śpiewa ten lud dziś jeszcze kolędę w dzień św. Jana Ewangelisty, zapisaną już w XVI wieku:

Mesyasz przyszedł na świat prawdziwy
I Prorok zacny z wielkimi dziwy,
Który przez swoje znaki
Dał z wody winne smaki W Kana Galilei...
Piotr z Apostoły stoi przy dzbanie,
Woła na Jana: pij do mnie Janie...
Pił Jakub garncem do Tadeusza,
A Jędrzej kuflem do Mateusza...
Kiedy Bartłomiej szukał szlenice
Judasz Skaryot podał donice...

Pawle z Maciejem, wam oskomina,
Boście niepili dobrego wina i t. d.

Pieśń ta naśladowała niby łacińską:

Messias venit huic saeculo
Propheta magnus cum miraculo
Ei muri muri infernales
Casuri estis, quamvis duri etc.,

ale wzór nie znał szczegółów z karczmy polskiej. Zaczynano nawet w kolędach wyszydzać stany, narodowości i gwary, układano »kolędę Mazowiecką« z wyrazów gwarowych:

Perolmy sie sibretkowie tą gasą...
Tędurędu do tej to wyskulichy,
Niech rozdergnie na nase pienie słuchy.
Przeto my sie tutka przywąkrolili i t. d.

za przykładem scholarzy krakowskich, napastujących swych kolegów abecadłem mazowieckim albo pytaniami: któryto apostoł Mazurów ochrzcił (Judasz) i t. p., że aż sąd rektorski narodowi mazowieckiemu cześć przywracał (r. 1517).

Już tu przebijała owa niewybredna, dobroduszna jowialność staropolska, ów zmysł spostrzegawczy, które cechowały i pierwszego poetę narodowego, **Mikołaja Reja.**

Rok 1543 pozostanie na zawsze pamiętny, jako przełomowy, w dziejach literatury; wystąpili w nim poraz pierwszy, a równocześnie, Fryc, Orzechowski, Rej i na całym następnym dwudziestoleciu piętno duchowe wycisnęli. O obu statystach, gardzących barbarzyńskim t. j. narodowym językiem, wspominaliśmy wyżej; przybywa Rej, wybitny typ dawnej umysłowości polskiej, krańcowy jej wyraz w porównaniu z Orzechowskim szczególniej. Obaj zrodzeni na Rusi, jeden z krwi mieszanej, Orzechowski pod Przemyślem, drugi z krwi polskiej, Rej w Żurawnie nad Dniestrem; jeden namiętny i gwałtowny, zadzierający z całym światem, w wiecznej niesnasce nawet z samym sobą, warchoł; drugi, choć hulaka, spokojny i pogodny, od ludzi się ani opędzi, tak go wszyscy lubią; obaj towarzyscy, wymowni; jeden głęboko wykształcony i w świat starożytny wpatrzony, drugi kompletny nieuk w tym wieku wro-

nom płatki przyszywał, kiedy Orzechowskiego już humaniści w Wiedniu i Witenbergu trybowali. Szczęściem dla literatury narodowej — bo inaczej byłby ją zdradził i Rej, jak ją zdradzali Krzyccy i Janicyusze, Kochanowscy i Szymonowicy — nie umiał Rej po łacinie, choć w różnych szkołach kąty wycierał i mógł go p. wojewoda (Tęczyński) na dworze swoim tylko do korespondencyi polskiej używać. Zato umiał Rej co innego; był muzykalny i improwizował z nadzwyczajną łatwością, »teksty dziwne a wiersze rozmaite, tak nic się nie rozmyślając czynił«, świeckie i pobożne, na wesela i pogrzeby, na herby i sprzęty, a wszystko nocą, ile chciał, boć mu w dzień panięta i młodzież przeszkadzali. Wystąpienie Reja jest nadzwyczaj znamienne, rozstrzygające niemal, w dziejach literatury narodowej. Przed nim istniała książka polska, ale dla kobiet: gdy Hieronim Spiczyński wykład pacierza (Erazma z Roterdamu) 1533 r. lub mistrze krakowscy wykład psałterza (mistrza Walentego Wróbla, Poznańczyka) r. 1539 drukują, myślą o »paniach i panienkach«, o zakonnicach — do kobiet zwraca się ta literatura, począwszy od Opeca i Marchołta; przeciwnie Rej zawsze tylko z »dobrym towarzyszem« rozprawia, jego wyłącznie ma na myśli, żywioł męski wprowadza, odczuwając żywo trudność w zdobywaniu wiedzy, w rozgarnieniu myśli, dla każdego, co się w łacinę wcześnie nie włożył. I drugi ważny krok uczynił: przed nim tłumaczą tylko, trzymając się niewolniczo paska łacińskiego, jakby się lękali, żeby przypadkiem polska myśl, polskie słowo samoistne, im się nie wymknęły; Rej pierwszy nie tłumaczy, lecz tworzy swobodnie, choć wzór łaciński ma przed sobą, nie korzysta z niego lękliwie, występuje zamaszysto, otwarcie. I występuje odrazu w wierszu i w prozie, na polach rozmaitych; lecz przeważa kierunek religijny i dydaktyczny, potrzebom wieku i własnej naturze odpowiedni, obcy prostej zabawie, rozrywce, sztuce samej i pięknu. I tak przekłada Psałterz, poświęcając obszerny a wcale swobodny, nie przekład, parafrazę tylko, polskiemu Dawidowi, Zygmuntowi Staremu. Od końca XIII wieku, od Kingi, zajmuje Psałterz, najważniejsza, nieodstępna księga chrześcijanina (główna część składowa modlitw, wigilii, nieszporów), w literaturze polskiej celne stanowisko; modernizują pierwotny przekład jego w wieku XV, około roku 1470; ten średniowieczny przekład drukują bez zmian w Krakowie roku 1532; nowy, z obszernym wykładem nieuchwytnego nieraz

sensu psalmów, zatrudnionego chęcią wynajdywania w nim coraz innych proroctw i alegoryi, wydają mistrze krakowscy. Tę to księgę świętą uprzystępnia Rej (roku 1545) i dobrym towarzyszom; podejmuje pracę w nadzwyczajnym skupieniu ducha, nie pozwala sobie na najlżejsze odstępstwo, wybryk, tak częsty u niego zresztą; w najgłębszej pokorze, z namaszczeniem, z prawdziwą wymową, jakiejby i Skarga później się nie powstydził, rozmyśla i modli się na tematy psalmowe. I stary król uznaje wdzięcznie nowe, niesłychane dotąd zasługi szlachcica polskiego: »rymarzowi«, *vati polono* nadaje wieś Temerowce (rok 1546), zachęcając go do dalszych prac; pierwszy to hołd urzędowy, złożony literaturze polskiej.

Na oficyalny tytuł »rymarza polskiego« zasłużył Rej roku 1546 już rzetelnie. Z pierwszych ulotnych wierszy przeszedł bowiem do kompozycyi większych; milczenie muz polskich zachęcało go do coraz nowych wysiłków. Bezimienny poeta polski — bo się na żadnej książce nie podpisał, sławy autorskiej nie pragnął, wystąpił już roku 1543 z »Krótką Rozprawą miedzy trzemi osobami, panem, wójtem a plebanem, którzy i swe i innych ludzi przygody wyczytają a takież i zbytki i pożytki dzisiejszego świata« — tytuł wedle mody ówczesnej długi, treść dobrze wyrażał. Pierwsze to większe dzieło oryginalne polskie jest satyrą dyalogową, w której każdy z »rozmówców« wady innych stanów a dolegliwości własne wylicza, w owym krótkim wierszu średniowiecznym, w którym Rej sobie długi czas lubował, nim do trzynastozgłoskowca się nawrócił. Język jędrny, przesypany przysłowiami, porównaniami, malowniczy, płynny, wielomowny miejscami; treść codzienna, dostrzegana znakomicie; oko Reja przenika sobkowstwo posłów, wykręty prokuratorów (adwokatów), zdzierstwa duchownych, praktyki ku wyłudzaniu ostatniego grosza z mieszka chłopskiego, co w tym samym roku Orzechowski tak dosadnie wyliczał (w Przemowie Rzeczypospolitej); krótko a dobitnie wystawia życie nad stan, karciarstwo, namiętność myśliwską (jej zresztą sam się oddawał), strojnisiostwo kobiece, swywolę żołnierską; wszyscy mu »krzywi« (winni), a za wszystkich pokutuje nędzny kmiotek. Motto tych wierszy, ich zamiar i cel:

Gdy też kto z miary wykroczy,
Nie źleby mu prawdę rzec i w oczy;

obrazki realistyczne je przepełniają, lepszych i później nie kreślił, jak ogółem ponad stanowisko, w »Rozprawie« zajęte, wyżej się już nie wyniósł; owszem, dawał się później zbijać z tropu nadmiernej dydaktyczności, powadze namaszczonej, co mu nie zawsze licowały; prawdziwego Reja poznajemy np. w takich wierszach:

Kiedy się zejdą na odpust,
Ksiądz w kościele woła, wrzeszczy.
Na cmyntarzu beczka trzeszczy,
Jeden potrząsa kobiałką,
Drugi bębnem a piszczałką,
Trzeci, wyciągając szyję,
Woła, do kantora piję,
Kury wrzeszczą, świnie kwiczą,
Na ołtarzu jajca liczą i t. d.,

ale pod śmiechem i figlami kryje »rymarz« gorzką prawdę, szczególniej w końcowym narzekaniu Rzeczypospolitej na niewdzięczniki i wyrodne jej syny, co to

Upad blizki a gniew boski baczą,
Przedsie jednak bujno na to skaczą.

Od tego dyalogu, czym Rej znamiennie i świetnie zawód pisarski rozpoczął, przeszedł roku 1545 do owego Psałterza i do misteryum, co nie dla sceny, jakiej zupełnie nie znał, nie na «teatrum«, lecz dla czytania przeznaczał: »Żywot Józefa z pokolenia żydowskiego, syna Jakobowego, rozdzielony w rozmowach person, który w sobie wiele cnót i dobrych obyczajów zamyka«, w dwunastu »rozprawach«, pierwszy oryginalny niby, niby dramat polski, zawisły od łacińskiej Krokusa »Komedyi świętej Józef« (r. 1537), ale warunków dramatycznych wcale nie wypełnia. Nie rozwija się akcya; są tylko rozmowy; treść biblijna wyłożona z wielomównością, co odtąd Reja coraz bardziej cechuje, w wierszu płaskim i pospolitym, jaki go już nigdy nie opuści; wykład jednostajny ożywia się i urozmaica tylko w rozprawie trzeciej, najdłuższej (wiersz 880—3580), z Zefirą, żoną Potyfarową; afekty, walka między skromnością i wstydem a »niezbedną« miłością i zwycięstwo tejże, wcale dobrze przedstawiono; ledwie potrzeba nadmienić, że sposób myślenia i zwroty mieszczce krakowskiej, nie damie staro-

egipskiej, w sam raz do twarzy; przez to nabierają jednak Zefira i jej służebna życia, czego brak np. Józefowi. Całość ma cel moralny: uczy ufać Bogu i cnocie, nie fortunie, a ma zarazem pobudzać do dalszego czytania i ćwiczenia się, do przestrzegania się ze szkód obcych.

Równocześnie wychodziły z pod jego pióra liczne, krótsze dyalogi, odpowiadające najlepiej żywemu usposobieniu »rymarza«: »Kot ze lwem rozprawia o swobodzie a o niewoli« — sens moralny, bo z polityką nic nie ma do czynienia jak i następne, »lepsza trocha w swobodzie, niźli wielki koszt w niewoli«, maksyma iście Rejowa, co się nigdy żadnym urzędem nie pętał; Kosterę z pijanicą, Gęś z kurem, Śmierć z szewcem, Warwas z Dykasem — ten ostatni najciekawszy, bo wystawia, co Rej o kobietach sądził. Nie był o nich pochlebnego mniemania; uskarżali się i inni, np. p. Hieronim Łaski »żądał czegoś od Boga dla większego ciepła Polkom«; więc użył sobie Rej i w rozmowie dobrych towarzyszów wysypał wszystkie zarzuty i docinki, jakie słyszał i jakie wymyślił; lecz zmysł praktyczny nie opuścił go: nawymyślawszy dowoli, cofnął się i przyznał tę wartość kobietom, której inni spółcześni pisarze tak często im odmawiali; okazał się wyrozumialszym, sprawiedliwszym, niż większość ówczesna. Warwasa zaczytano do szczętu; posiadamy tylko egzemplarz czeskiego przekładu: pierwsza książka polska, co się tego zaszczytu doczekała, za nią poszły niebawem i inne.

Przekład jest dosłowny i z pod powłoki czeskiej przebija wiersz polski. Po wezwaniu Wenery (Wenusie! białych głów pani bądź przytomna mojej pieśni) opowiada »składacz« czyli »rymarz« treść; Lupa chce się żenić, ale boi się chytrości niewieściej i radzi się cnego kumpana, Warwasa z Czarnego Dołu, bo trudnoż ufać i matkom, które córki pięknie mówić i »jak za wiechą dudki łowić« uczą, jak w tańcu kroczyć:

Ujmi się Jóźko pod boki,
A ty jej graj na trzy skoki,

a jak one twarz malują! Warwas radzi bogate, stare, piękne, brzydkie, chude, tłuste (te lubią pijać), szczupłe, rude, piegowate nawet, lecz przeciw każdej Lupa słuszne przywodzi argumenty;

mają się rozchodzić, nic nie uradziwszy, gdy Paszczeka im prawdę ostro wystawia, jaki pan taki kram, sami się w tym sądzicie, wilk sobola nie urodzi; dajcie lepiej pokój,

Są także w męskiej koleji
Mnodzy łotrzy a złodzieji,

poczem autor panie przeprasza:

Chcecie snadź, bych krzyżem padał,
Mówiąc, bodaj zabit składał!
Temu łajcie, kto to mówił,
Wszakem ja się z nim nie zmówił i t. d.

W dziełku rozsiano wiele rysów charakterystycznych, np. o rozkochanych opowiada Lupa:

Dziwy broją, jak szalony,
Harcując padają z koni,
Prze zdrowie z trzewików piją,
Bez ługu się często myją...

każda panna swego przedrzeźnia:

Ukazuje jego sprawę,
Jego krok, jego postawę,
Jak ma krótkie nogawice,
Długi kabat, złe trzewice,
Pas nizko, rapierz wysoko,
Gdy idzie, kroczy szyroko,
K niebu lub ku ziemi głędzi,
Nierówno na koniu siedzi,
Kołpakiem zakrywa oczy,
Głowę wżdy na stronę boczy i t. d.

Rzeczywiście grały panny już wtedy cenzurowanego; one to wynalazły wyraz *przekwinty* na nadmierne »wydwarzanie«, a choć oczęta spuszczały i usteczka sznurowały, nie one, tylko »panicy« »kota ciągnęli«.

Takimi to, coraz nowymi występami literackimi wzbił się Okszyc Rej nad wszystkich »składaczy« polskich i rzeczy ich nie-

ciekawe [1]); zacierała się nawet pamięć o nich i wyrabiało się przekonanie, że to od Reja dopiero po polsku pisać zaczęto, że to on te lody pierwszy przełamał: inni pracowali, on odniósł zaszczyt, on już teraz rej wodził. Tymczasem układały się nowe stosunki w literaturze i życiu narodowym i Rej miał niebawem zająć rolę jeszcze wybitniejszą.

Rok śmierci Zygmunta Starego jest pamiętny w literaturze i w dziejach. Milczące zawieszenie broni, różnych partyi, religijnych i politycznych, nie wytaczających przedtem, wobec zgrzybiałości królewskiej, żadnej zasadniczej walki, wyczekujących niedalekiej chwili zmiany rządów, ustąpiło gorączkowemu ożywieniu, spotęgowanemu sprawą osobistą, fatalnym ożenkiem młodego króla. Jak pierwszy, tak i ostatni Jagiełło rozdrażnił uczucia narodowe, pojmując bezdzietną wdowę kochankę, »ją czcząc a hańbiąc Polskę« i przyszłość dynastyi narażając najlekkomyślniej. Do walki na pióra stanęli, jak wówczas Ciołek, tak i teraz literaci; pamflety Orzechowskiego, młodziutkiego Jędrzeja Trzecieskiego, Reja i innych, łacińskie i polskie, biblijne i świeckie, mowy i listy, dyalogi i satyry, zaroiły się, mianowicie w Wielkiej Polsce; jeśliby się tam królowa z królem udać mieli, przestrzegał Mikołaj Czarny, »upstrzą kolebkę paskwilusy, trzeba będzie osobnych sztafierów (lokai), coby je oddzierali«. Rej wprowadził w grę ulubioną fikcyę: »Rzeczpospolita polska chramiąc tuła się po światu szukając pomocy a narzeka na swe pany, iż o nię nie dbają« (r. 1549); sarkał tu strasznie na jad niewieści, jakim nas Bóg zniszczyć zamierza, niby Troję nową (pan Rej coraz bardziej w łacinie i mitologii się polerował), »zwłaszcza mając pana szalonego«, który zawinił:

[1]) U innych wadził język, np. Opeca lub Biernata z Lublina, dla XVI wieku przestarzały; nie rozumiano ich, jak Rej później przyznawał. Inne świadczył chyba o dziecinnej nieudolności, np. Księgi próbowane czyli Stary obyczaj wiary z r. 1545, poświęcony przez szlachcica jakiegoś Hedwidze »marchiance brandenburskiej i t. d.«, gdzie w 334 długich wierszach punkty wiary wyłożono, a każdy z nich w cytaty i objaśnienia zaopatrzono; najlepsze jeszcze dwa pierwsze wiersze:

Poradź mi w tym, miły kleryka, bo to ciężko na mię,
Gdy się na to rozmyślę, głowę w tym sobie łamię,

inne nieraz wręcz niezrozumiałe — nie dziw, że Reja wysoko ceniono, wobec takich próbek.

Kładąc złoto na parszywe ciało,
Które płodu już nie będzie miało,
Bo ten żywot czart zapieczętował,
Iż nie według Boga postępował;

równie ostre są wycieczki przeciw biskupowi Maciejowskiemu i hetmanowi Tarnowskiemu, przeciw Radziwiłom, którzy nie z nazwiska, lecz herbami oznaczeni, Ciołkiem, Orłami, ogoniastą gwiazdą i t. d.; nasiekaj z nich bigosu, ty ostry Toporze (Tęczyński); nie dziw, że księża hołdują Barbarze: rokieta i ciasnocha (koszula żeńska), jednakie odzienie! Orzechowski zwracał się równie gwałtownie ku rycerstwu wielkopolskiemu, skoro małopolskie biskup i hetman zpraktykowali dla króla; wystawiał zapomniane dawno dzieje, żeć to Wielkopolska, właściwa Polski kolebka, swoją krwią resztę zdobyła, niechżeż i teraz wszystkich ratuje; jego powtarzał Rej. Trzecieski pisał spokojniej; winił rozwiozłe wychowanie królewskie, które go kobieciarzem uczyniło; otoczenie, dla własnych zysków jemu zawsze potakujące; szydził z orłów radziwiłowskich na ład humanistyczny (o Ganimedzie); przedstawiał przykre wrażenie zagranicą, król węgierski (Ferdynand) będzie myślał, że mu siostrę (Elżbietę), pierwszą żonę Zygmunta Augusta, otruto; winił i Bonę, która między owym młodym małżeństwem niesnaski budziła.

Próbka ta pamfleciarstwa polskiego jest tym ciekawsza, że Rej nigdy zresztą osobistości nie szczypał i kąsał. Wrzawa o Barbarę ucichła wnet; upór królewski i nagła jej śmierć — tak się z niej cieszyli, jakby Turka zwyciężyli, skarżyła się królowa w pieśni pośmiertnej [1]), — zahamowały rozpasane pióra. Inna zato wrzawa uciszyć się nie dawała niczem i rosła z dnia na dzień gwałtowniej. Lecz jak nadzieje narodu ślubami nieopatrznymi, tak zawiódł Zygmunt August nadzieje, jakie, nie w Polsce tylko, lecz i zagranicą, w nim pokładano, w sprawie ważniejszej o wiele, bo o — wiarę.

[1]) Pieśni polskich na zgon Barbary pojawiło się kilka; w jednej z roku 1551 (drukowanej 1558: Napis nad grobem zacney krolowey) przemawiała królowa do przechodnia, wypominając kruchość szczęścia ziemskiego i nie darmo Dydonę powołując (boć i to wdowa); druga, ciekawsza, Narzekanie Królowej na nieszczęście, przeprowadza rozmowę między nią a szczęściem, chełpiącym się swymi darami.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

DRUGA POŁOWA XVI WIEKU. REFORMACYA.

Początki ruchu religijnego; przyczyny jego opóźnienia i rozbieżności. Lutrzy, Bracia Czescy, Kalwini, Aryani. Polemika o wiarę; wpływ na literaturę. Reakcya katolicyzmu; dlaczego zwyciężył? Jezuici; Wujek i Skarga. Unia brzeska. Pisarze, wykolejeni polemiką teologiczną: Orzechowski, Fryc, Wolan.

Umysłowe i religijne życie Zachodu wkraczało stale w granice polskie i wciągało naród w swe wiry. Już w trzynastym wieku sekta biczowników i Polskę przebiegała; w piętnastym opanował husytyzm, między panami, mistrzami i duchowieństwem, jednostki, chociaż ani dosyć liczne, ani dosyć energiczne; reformacya XVI wieku miała, jak się między latami 1550 — 1560 zdawało, Polskę pochłonąć zupełnie.

Siłę i gwałtowność nowego ruchu tłumaczył straszny zanik życia religijnego w stanie, powołanym do jego strzeżenia. Zemściło się teraz, że biskupi byli świeckimi dostojnikami, panami radami, jak wojewodowie i kasztelanowie i nawet przed nimi w radzie zasiadali; hierarchia, Łascy i Krzyccy, Latalscy i Górkowie, Gamratowie i Dzierzgowscy, w rzeczach wiary zobojętniała doszczętnie i nie jej to zasługą, że reformacya późno Polskę porwała; wyjątki, jak Maciejowski między biskupami, liczniejsze po kapitułach i w klerze niższym, nie zrównoważały zeświecczenia duchowieństwa polskiego i zgorszenia, jakie w myślących i widzących budziło; karność klasztorna, życie zakonne rozprzęgło się zupełnie. Niesmak przejmował niechętnych, a przyczyn do niechęci, zawiści, pogardy, do-

starczały olbrzymie bogactwa kleru, które już w XV wieku skrupulatnie obliczano, żądając ich konfiskaty; uwolnienie obszarów duchownych od obowiązków, jakie na dobrach szlacheckich ciążyły, gorszące spory o dziesięciny; annaty i inne opłaty, wywożone do Rzymu; bezprzykładna kumulacya prebend i beneficyów w rękach uprzywilejowanych, zagarniających chciwie dochody, a spychających obowiązki duszpasterskie na bylejakich głodomorów; indywidua bez czci i wiary, kupczące biskupstwami, bo z targu je dostawano; nieuctwo kleru niższego, który, za przykładem z góry, nie o kościół i owieczki, lecz o intraty dbając, byle czym, średniowiecznymi baśniami i plotkami, potrzeby duchowe opędzał, zewnętrznymi praktykami się zadowalał; na podatnej niwie słowiańskiej zepsucie przybrało przerażające rozmiary. Niechęć i nienawiść ku duchowieństwu rosły między szlachtą, napastowaną o dziesięciny, o miedze, o prestacye, ciąganą przed sądy duchowne (rządzące się innym prawem), oburzającą się na nieopatrzność przodków, którzy takie jarzmo nieznośne na nią włożyli.

Do tego ognia domowego dolewały oliwy nowinki zagraniczne. Szerzyły się najpierw po miastach w pasie granicznym; po ziemi pruskiej, w Poznaniu, Krakowie, Wilnie, dokąd od Gdańska i Torunia, od Wrocławia i Marchii, od Królewca i Rygi, przy ciągłych związkach dostać się musiały; między Niemcami odzywały się najpierw, a potym przez propagandę ustną, przez książki i do szlachty docierały. Ciekawa nowinek młodzież zaczytywała się książkami, tym ponętniejszymi, im surowiej je zakazywano; niebawem zrzucali nawet niektórzy jawnie maskę prawowierności; większej wrzawy narobił np. mistrz Jakób z Iłży w Krakowie, głoszący z kazalnicy (u św. Szczepana) rzeczy luterskie, przeciw odpustom, czyśćcowi i t. d., a choć mistrz sam z Krakowa przed sądem biskupim uszedł, liczne pamflety, za i przeciw, o sprawie jego zapominać nie dawały. Tak i Hegendorf ze szkoły Lubrańskiej w Poznaniu, po nim Dominikan i kaznodzieja farny, Samuel Andrzej (r. 1542), dla szerzenia nowinek ustępowali za granicę. Przyczyniały się wycieczki młodzieży polskiej do blizkiej Witenbergi, przypadkowe, jak Orzechowskiego, umyślne, jak Fryca i innych; rosła powoli liczba Polaków, nie humanizmem Melanchtona, lecz sławą Lutra wabionych. Zaczynają się pojawiać zakazy królewskie wyjazdu, nakazy powrotu, ale te, jak i zakazy książek, wykonywano

miękko albo odwoływano niebawem. Stary król, łagodny z usposobienia i zasady, ku ostrym środkom wyjątkowo, np. w Gdańsku, nakłaniać się dawał, nie przywłaszczając sobie, jak później i syn jego, sądu nad sumieniami, chcąc panować, jak mawiał, nad kozłami i nad owcami.

Mimo sprzyjających okoliczności nie szerzyła się narazie reformacya, i biskupi z królem mogli mniemać, że, jak husytyzm, poza jednostki nie wyjdzie, że zastosowaniem dawnych edyktów da się niechybnie wytrzebić. I rzeczywiście, najznakomitsi zwolennicy reformy albo się jej wypierali (np. Decyusz), albo opuszczali kraj, jak Jan Łaski, synowiec prymasa, czciciel Erazma z Roterdamu, którego bibliotekę zakupił, zostawiając mu wielkomyślnie, jak Katarzyna II Diderotowi, użytek jej do zgonu; z Erazmem dzielił narazie stanowisko niechętne nowatorom, zagrażającym postępowi humanistycznemu swymi sporami jałowymi o wiarę; wróciwszy do Polski wciągał się jednak coraz konsekwentniej w nowy ruch, prześcignął niebawem i Lutra, a nierówny swoim kolegom, zrzekł się widoków na biskupstwa, trzymał prebendy, aż spłacił węgierskie długi braciszka (Hieronima), a potem rzucił wszystko, kraj i rodzinę; nagi sługa nagiego Ukrzyżowanego poszedł na tułaczkę i zaważył na szalach protestantyzmu niemieckiego i angielskiego, urządzał kościoły we Fryzyi i Londynie, gdzie pamięć wielkiego, świątobliwego męża, zaraz po Lutrze i Kalwinie, dziś jeszcze wdzięcznie przechowują. I jego zelektryzowała wieść o zgonie starego króla, i nasłuchiwał ciągle, czy się do niego na obczyznę nie odezwą głosy ukochanej ojczyzny.

Tutaj jednakże czyniła reformacya bardzo wolne postępy; Polak wierzył, jak król jego, twierdził słusznie Luter; nie rwali się do nauki niemieckiej — lud przez konserwatyzm, szlachta przez obojętność. Duchowieństwo i szlachta rozruszali się powoli, w Krakowie, nawet w otoczeniu starego króla i w kapitule samej; w Wilnie, obok młodego króla, u jego kaznodziei, oddziaływał i blizki Królewiec i książę Albrecht, wielkiego w całym kraju poważania używający. Już odbywały się schadzki w Krakowie u Trzecieskiego (ojca); Leonard Słończewski w kazaniach w kościele Maryackim napadał ostro na papieża i duchowieństwo i został mimo to biskupem, za wpływem Bony; Bona udzielała kazań reformatorskich Ochina opatowi franciszkańskiemu, Lismaninowi, i od Franciszkanów

wyszła niebawem herezya, którą się szlachta krakowska powoli zarażała; między ruską, przemyską i sanocką agitował Orzechowski. Już na sejmie piotrkowskim (z roku 1547 na 1548) domagała się szlachta w pierwszym artykule »przepowiadania czystego słowa Bożego«, t. j. bez domieszek ludzkich, rzymskich. Wszystko jednak odbywało się zawsze jeszcze niby cichaczem, prywatnie, bez walki.

Dzień zgonu królewskiego objawił grozę położenia; czym dłużej ogień się taił i tlał, tym gwałtowniej wybuchnął. Hasło rzucono w Krakowie; napływ cudzoziemców wprowadził tu już i skrajne żywioły; biskup kamieniecki (Leonard) kazał przeciw prymatowi Piotra, celibatowi, rozpasaniu duchownych; przed nim tłoczono się a szydzono z kaznodziei katolickich; już odzywały się głosy: »Gdyby to od nas zależało, małoby się w Polsce papieżników za rok jeden ostało«. Księża i mnisi - apostaci, między nimi i nauczyciel hebrajszczyzny na uniwersytecie, Stankar, reorganizują kościoły, t. j. wyrzucają obrazy, wprowadzają kielich, usuwają mszę, żenią się lub grożą ożenkiem, a panowie, Oleśniccy, Stadniccy i inni, podtrzymują ich i podniecają.

Na tę chwilę przypada wskrzeszenie literatury polskiej w celach propagandy religijnej. Do działania na szersze masy nadawał się tylko język narodowy; skoro protestantyzm z Pisma św. broń wyłącznie czerpał, należało przedewszystkiem pismo to ogółowi uprzystępnić. Najkonsekwentniej postępował ks. Albrecht; jego Prusy obejmowały ludność i litewską, i pruską, i mazurską; z nowego, królewieckiego uniwersytetu mieli więc wychodzić nauczyciele i pisma w tych językach, a działalność ich miała sięgać poza granice księstwa, do Polski i Litwy. Z zadania tego wywiązał się książę znakomicie: na kilka lat przesunął rzeczywiście centrum nowej literatury polskiej do Królewca i nowinki pruskie, z drukarń Weinreicha, Aujezdeckiego (Czecha), Daubmana, zalewały Koronę i Litwę. Pomocnikiem był **Jan Seklucyan** z Bydgoszczy, bakałarz lipski i pisarz na cle poznańskim, co owego Dominikana Andrzeja Samuela nawrócił, a teraz sam, niechcąc luterstwa się odprzysiąc, do Królewca uszedł; Andrzej i Seklucyan wystąpili natychmiast z pisemkami nowowierczymi; szczególniej wymowne i drastyczne było »Wyznanie wiary chrześcijańskiej« Seklucyana z r. 1544. Skupiło się w Prusach książęcych całe kółko litewsko-polskie, Kulwa, Rapagelan, Mażwid, Andrzej Samuel; »Malecki«, tak przezwał się

były drukarz krakowski, Jan z Sącza, wróg zawzięty Seklucyana; młody a bardzo uzdolniony Murzynowski - Suszycki; później Radomski, Kwiatkowski i inni, profesorowie królewieccy i »fararze« pruscy, a cisnęli się do usług książęcych Biernat Wojewodka z Krakowa, Wielkopolanin Ostafi Trepka, młodszy Andrzej Trzecieski i i., licząc na jego jurgelty, na udział w propagandzie literackiej.

Należało najpierw katechizmami, czego średnie wieki wcale nie znały, rozruszać umysły; książę wystarał się wcześnie, jeszcze w trzydziestych latach (1531 i 1535) o polskie przekłady Luterowego Katechizmu, ale, szczególniej pierwszy przekład, raził barbarzyńską polszczyzną. Nowe, obszerniejsze, z polemicznymi przeciw katolicyzmowi wycieczkami, wychodziły teraz z pod pióra Seklucyanowego (1545 i częściej), a uzupełniały je kancyonały, dyalogi satyryczne, przekład nakoniec Nowego Testamentu, z dodanym do ewangelii Mateusza i komentarzem, pełnym wycieczek przeciw starej wierze. Lata 1545 — 1552, to rozkwit tej działalności królewieckiej a szczególniej Seklucyanowej; umiał on dobierać spółpracowników (najwybitniejszy z nich, młodo zmarły Murzynowski, filolog niepospolity, co mu przekład ewangelii z greckim oryginałem porównywał; później Wojciech Nowomiejski, bakałarz toruński, tłumaczący dla niego wiele rzeczy polemicznych i i.), wybierać dzieła, co mu zewsząd nadsyłano; on sam był raczej wydawcą i nakładcą tylko, nie autorem - tłumaczem, chociaż się później i na Postylę, zbiór kazań, zdobył. Najpłodniejszy był rok 1549: wysypały się wtedy jak z rogu obfitości książeczki popularne, wierszowane, jedna zjadliwsza niż druga, wszystkie bijące taranem w mury »papiestwa«. Najcelniejsze wyszły z pod pióra Reja, co z »dobrego towarzysza«, z moralizatora i satyryka, przedzierzgnął się niespodzianie w namiętnego apostoła, w zręcznego teologa, w zawziętego polemistę i olbrzymim powodzeniem się cieszył — nie wadziło mu nic, że się w obce nieraz piórka stroił.

Najobszerniejsze dziełko, to »Kupiec«, komedya niby »Józef«, około 10000 wierszy licząca i naukę katolicką o dobrych uczynkach, postach, odpustach i t. d. strasznie nicująca, wymysłom ludzkim wiarę samą, jako jedyny grunt zbawienia, przeciwstawiająca. Nie oryginalny to płód Rejów, lecz naśladowanie, miejscami nawet tłumaczenie »Merkatora« Tomasza Kirchmajera (Naogeorga), naj-

zręczniejszego i najnamiętniejszego z polemistów protestanckich; alegorya o kupcu, którego przy zgonie opuszczają dobre uczynki wobec dyabła, kpiącego z nich; kupca na sądzie Chrystusowym ratuje tylko gorąca wiara; najdrażliwsze sceny pamfletu Polak osłabił, a w innych, w słowach skruchy i pokory, wzniósł się wyżej, niż autor oryginału. Równocześnie wydał Seklucyan »Rozprawę o niektórych ceremoniach a ustawach kościelnych«, gdzie w formie dyalogu student z Witenbergi rodziców od papiestwa odwodził, argumenty księże zbijając; inna, gdzie grzesznik z szatanem się rozpierali, ale szatan ten, to kościół rzymski:

Msza twoja, czarcie, fałszywa
Od twych sług jest wymyślona...
A Chrystusowej przeciwna i t. d.
Księża za grosze czytają,
Nikomu nic nie dawają,
Jedno przez głowę ukażą,
Potem sami spośnikują (zjedzą ciało Pańskie);

następuje opis procesyi Bożego Ciała, godny pióra Rejowego. W innej książeczce rozprawiał z księdzem rzymskim pop ruski, ale ten pop, to ewangelik, szydzący z obu obrządków, w których błędów co niemiara, np. wzywanie umarłych:

Wasz Stanisław, nasz Mikuła,
Staśka oświęciła buła,
Wybornego muła!
Patryarcha urząd kupił,
A papież go przez krew nabył...
Zowie się tylko językiem
Chrystusowym namiestnikiem...

rozterki między obrządkami powstały tylko,

Gdy (papież i patryarcha) się o zwierzchność spierali,
Czci próżnej żądali,

ale gorsze jeszcze błędy rzymskie:

Niecnotliwy ślub czystości,
Czyśćcowy ogień, odpusty,
Z czego tyje wasz wieprz tłusty,
Tym czyniąc lud pusty,

a łgarstwami opętaliście się, np. jakoby Piotr w Rzymie był i Neron go zabił, który sześć lat przedtem umarł, więc chyba Neron:

Z góry nań spaść zdechły musiał,
Czapką ji ściął, w której leżał,
Ściąwszy go w grób wbieżał.

Wymienione broszury, to tylko cząstka dorobku królewieckiego w wierszu i prozie, i tak np. wytłumaczył Stanisław Murzynowski r. 1551 »Historyę o Franciszku Spirze« (protestant wyrzekł się herezyi, a potem w rozpaczy zginął); usprawiedliwiał się, że na książce polskiej śmiał swe imię położyć, skoroż tylko z łaciny »dziś pospolicie naukę sądzą«, jakoby w języku polskim, niemogła być żadna rzecz pożyteczna a poważna wypisana, abo, jeśliby mogła, tedyby to krom wszelakiej trudności każdemu, ktoby chciał, przyszło. I stądże niektórzy za lekkie sobie ludzie ważą ty, którzy co po polsku piszą, zwłaszcza jeśli swe imiona podpisują«.

Jak pisma Seklucyanowe działały, świadczy r. 1555 autor »Nauk duchownych« dla Zofii Odrowążówny, narzeczonej młodego Tarnowskiego, przestrzegający owieczkę duchowną: »nie dawaj uszu twych ani serca sobie kazić onym to pannam i paniom, które się włóczą z książkami kacerskimi, mówiąc i zwodząc dobre i proste w wierze dzieweczki stanów wielkich« (że nie kazał Chrystus świętych wzywać i t. d.). »Nadewszystkoć radzę, czytaj historye i żywoty świętych, które z łacińskiego języka przełożono na polski nie dla kogo jinego, jedno dla panien i dla pań stanów wielkich, aby, czytając, brały wzór życia... czytaj Żywot Pana Jezusów (Opeca)... miasto tedy niepotrzebnych rytmów i dwornych a świeckich pism, których czasu dzisiejszego wiele jest polskim językiem drukowanych a zwłaszcza podeźrzanych ksiąg i pism kacerskich, a osobno Jana Seklucyana i jinych, których jest mnóstwo puszczono po polsku... nie czytaj jich ani z dworności ani z żartu ani z krotofile ani kwoli komu... nie daj się unosić ani czyją namową ku czytaniu pism i książek pokątnych żadnej pani i wielmożnej, żadnej pannie najwyższego stanu, własnemu mężowi«.

Nowinki pruskie zmuszały katolików, aby tą samą bronią odpierali napaści. Na dyalogi odpowiadali innymi, gdzie student witenberski albo królewiecki, pobity Pismem św., uznawał argumenty katolickie, albo gdzie wykładano i uzasadniano naukę kato-

licką w rozmowie z plebanem czy mnichem. Już roku 1549 uczeń szkół krasnostawskich, Stanisław z Szczodrkowic, pokusił się o taką »Rozmowę pielgrzyma z gospodarzem o niektórych ceremoniach kościelnych«; nastąpiły dowcipniejsza »Komedya o mięsopuście«, całkiem dla sceny przeznaczona, z pobożnymi pieśniami przy końcu aktów, zabraniająca zapustu (jeśli protestanci ten zwyczaj starodawny zachowali, czemuż inne, świętsze, zarzucają?), a broniąca celibatu; Kromera »Mnich« (rozmowa dworzanina z mnichem o rzeczach wiary, tłumaczona na obce języki), znakomity, językiem, spokojem, gruntownością wykładu — najlepsza książka katolicka, zarówno co do stylu jak co do treści; Korczewskiego »Rozmowy polskie« r. 1553, jedna o obrządkach (popielcu i t. d.), druga o dziesięcinie i klątwie, z babą czarownicą, naiwnie się przyznającą:

W wiliją świętego Jana
Doiłam mleko ze zwona,
Ale tylko jeden szkopiec,
Bo mi nie chciało więcej ciec i t. d.

Teraz dopiero dawano katolikom i Pismo święte, bez owych glos protestanckich, więc roku 1556 pojawił się Nowy Testament, roku 1561 biblia, tak zwana Leopolity; ksiądz Jan użył gotowego, średniowiecznego przekładu, poprawiając nieco tekst a modernizując język. Przeciw niej wytoczyli protestanci dopiero roku 1563 ciężkie działo biblii brzeskiej (kalwińskiej); zato pozostawali katolicy znacznie w tyle za kancyonałami protestanckimi i postylami ich. Seklucyan wystąpił już roku 1547 z pierwszym zbiorem Pieśni duchownych a nabożnych, tłumaczonym po części z niemieckiego, niezdarnym; rozszerzył go znacznie i poprawił roku 1559; równocześnie roku 1554 przekładał kancyonał Braci Czeskich ksiądz Walenty z Brzozowa na polskie, zachowując liczne czechizmy; nie lenili się i katolicy wybierać pieśni z kancyonału czeskiego i wydawać je osobno (np. Pieśń o Narodzeniu Pańskim na świat roku 1550 i t. d.); wydał też r. 1558 Jakób Lubelczyk przekład psałterza całego w »piosneczkach polskich i pięciu księgach«. Postyle, kazania na niedziele i święta — Arzacyusza, krótką, i obszerniejszą — Corvina (Rabe Antoni), bardzo popularną, wyłożoną i na litewskie, przetłumaczył **Ostafi Trepka** z Poznania, który pisma Wal-

desa (Mleko duchowne dla karmienia i wychowywania chrześcijańskich dziatek roku 1556), Wergeryusza, Brencyusza i innych protestantów na polskie wykładał; Luterową postylę przełożył Hieronim Malecki, syn Jana, pleban łecki, roku 1574. Największej popularności zażywała postyla **Reja.**

Dokończona roku 1556, zamyka, wraz z wykładem Apokalipsy św. Jana z roku 1565, opartym o łacinę genewskiej powagi, Henryka Bullingera, długoletnią propagandę Reja dwoma najcelniejszymi, najdojrzalszymi dziełami, ozdobami polskiej literatury protestanckiej. Gdy wiersze i dyalogi, psałterz i alegorye, odpowiadające wymaganiom chwili, niebawem niepamięć pochłonęła, tak, że niejedno tylko z tytułów znamy, przeżyły postyla i wykład Apokalipsy autora; postyla Rejowa jedyna, mimo obszerności, pięciu wydań i tłumaczenia na litewskie się doczekała; protestanci śląscy przedrukowali ją (opuściwszy wycieczki antirzymskie) jeszcze roku 1864; rozeszła się po całej Polsce, i między katolikami, a nawet na Rusi znano postylę »światoho Reja«; Wujek jeszcze świadczył o niej, że »dla dworności i gładkości mowy języka polskiego między innymi górę otrzymała«. Mylił się wprawdzie Trzecieski, twierdząc, że Rej w niej »niczym nie allegował dla lepszej pewności, jedno Starym a Nowym Zakonem (i wielu ludzi się było tą postylą w prawdzie obaczyło z onych dawnych zwykłych a zawikłanych nałogów starych)«, ponieważ są i cytaty z ojców kościoła, co na karb spółpracowników odliczyć należy. Szczera, prosta wymowa tej postyli, unikającej dogmatycznej strony przedmiotu, życzliwe spółczucie ku »braciszkom«, bijące z każdego jej zwrotu, gorąca skrucha i głęboka wiara — to jednało jej wdzięczne ogółu uznanie. W przedmowie jej czytamy, że naród polski, chociaż, jak mówią, z natury ostry i roztropny, ale snadź pośledniejszy za wszystkimi innymi w naukach świata tego, że język jego »niefo remny« i »zatrudniony«, że »bardzo prosta szkoła się tu zniosła do tego« (dzieła); powtarza się maksyma i motto całej pracy życiowej Reja, o kamieniach (prostakach), które wołają, gdy powołani milczą. Pierwsza jej część rozprawia o bóstwie Chrystusowym; druga o obowiązkach naszych; trzecia o świętych pańskich; lecz nie o teologię i dogmata chodzi, głównie stoi moralność na widoku. Stąd żywotność i dostępność książki, unikającej jałowych sporów, a cudnym językiem, malowniczym stylem, szczegółami

powszedniego życia nęcącej. Maryi np., która nie uniosła się pychą, gdy jej wielkość jej syna przepowiadano, przeciwstawiał Rej nasze kobiety, które, i bez przepowiadania, gdy się zejdą, jedna drugiej o synie prawi, toć będzie pewnie biskup z niego albo wojewoda i przynoszą na to »konfekty i poczty«, tymczasem ów pan biskup albo wojewoda z chłopami w karczmie zasiadywa albo za pługiem chodzi. Tajemnica powodzenia Postyli zasadzała się nie na polemice wyznaniowej, której mało co było, lecz na radosnym uczuciu, jakie z niej przebijało: skakałoż w niej serce, że z mroków i manowców średniowiecznych wybiwszy się, z bajek i formułek ludzkich, do samego Pana, kornie a ufnie, drogę nową, jasną, odnalazło.

We wstępie do Apokalipsy czytamy znowu: »Ja, będąc Polakiem a życzliwym narodowi swemu i ojczyznie tej, która mię, jako własna matka, w pośrodku siebie wychowała, gdyżem widział, iż ini, od Boga obdarzeni, a snadź ci, co im to powinnie należało, mało o tym dbają, musiałem się tym jednym kamieniem uczynić, (który by mówić umiał, powinienby każdy wyznać tę chwałę Pańską), a z strachem się o to pokusić, abych wołał o tej dziwnej wielmożności jego, aby też ta ojczyzna moja, a zwłaszcza w tych zaziębłych krajoch a w ludziach mało dbałych, przypatrowała się tym zakrytym tajemnicam Pańskim a temu Bóstwu żadnym rozumem nie ogarnionemu, gdyż bez tego nic dobrego nikomu ani zacząć ani zstać się nie może. I pokusiłem się o to, acz z wielkim postrachem, abych też Polskim językiem, jako tako dogrzebając, Braciey swoiey a Narodowi swemu na pamięć zostawił«. Namiętnie zwalcza wszystko rzymskie; tryumfuje, że »nie leda ten handel (rzymski), darmo wziąwszy i drogo przedawać« upada, »jakoż już i dziś na oko widzimy smętek niemały między tymi kupcy, bo im barzo jakoś ta apteka wietrzeje, już w niej tańsze recepta, niż pirwiej bywały«. Jeszcze roku 1900 Niemiec protestant z rozkoszą zbierał te wycieczki na pokrzepienie wojującego szyku protestanckiego. W Apokalipsie jednak zwalczał kalwin Rej już nietylko Rzym, lecz i własnych towarzyszów wczorajszych.

Dziwne bowiem przechodził zmiany protestantyzm polski w ciągu tych lat kilkunastu. Nie długo trwała jednolitość ruchu. Jeszcze w roku 1554 mógł Stanisław ze Lwowa, układając »apologię wiary krześciańskiej« pisać ją »obyczajem rozmowy Polaka

z Prusakiem, bowiem z Prus najpierwej kacerskie pismo do Polski polską mową poszło«; w istocie jednak luteranizm pruski trzymał się niemal już tylko miast pruskich, z Gdańskiem i Toruniem na czele, i Wilna, gdzie augsburska konfesya, z niemieckimi kaznodziejami i książkami, od Królewca i Rygi wzmacniana, do XVII wieku przetrwała. Do Wielkiej Polski, gdzie luteranizm również zakorzenionym się zdawał, uszli przed nietolerancyą Ferdynandową Bracia Czescy, znajdując u Górków, Ostrorogów, Leszczyńskich, walne poparcie, a obrządek ich, chociaż się Luter niegdyś chrześcijaństwem Braci Czeskich zachwycał, różnił się znacznie od luterskiego choćby co do stanowiska ich duchownych, odpowiadał gruntowniej demokratycznym tendencyom słowiańskim. W Małej Polsce zaś masa nawróconej świeżo szlachty a nawet mieszczaństwa nie zatrzymała się przy luterstwie, lecz stoczyła się ku konsekwentniejszemu, radykalniejszemu kalwinizmowi, a niebawem dała się porwać najkrańcowszemu wirowi. To była wada organiczna protestantyzmu polskiego, co się prędko wzniecił, ale jeszcze krócej świecił. Odczuł to i wyraził najpierw Seklucyan sam, co po r. 1560, chociaż jeszcze ćwierć wieku przeżył, wszelką czynność wydawniczą zawiesił: już się nie opłacały luterskie rzeczy, posłuchu w Polsce już dla nich nie było, tym mniej pokupu.

Teraz zemściło się owe długie wyczekiwanie. Gdyby protestantyzm szerzył się w Polsce, jak w Królewcu i Gdańsku t. j. w latach dwudziestych, byłby już zyskał organizacyę, przywódców, którzyby nim jednolicie kierowali. Po roku 1548 w samym ruchu protestanckim zagranicą jednolitości nie było, i zdawało się, że protestantyzmowi grozi większe niebezpieczeństwo we własnym łonie, niźli od Rzymu; tak zażarcie zwalczały się mniemania i sekty. Taki to rozszczepiony prąd porwał Polskę, nieprzygotowaną, gdyż niebyło nikogo powołanego, któryby zapanował nad ruchem. Chciwie słuchała szlachta coraz nowych nowinek, wymysłów, argumentów i otworzyła się jej nagle perspektywa, wprost olśniewająca, niebywała dotąd na świecie.

Szlachta ta, po dwuwiekowej niemal walce z tronem i władzą, dobiła się szczęśliwie zupełnego usamowolnienia; *nil de nobis sine nobis* było już jej świadomym hasłem, i już nurtowały myśli, że do ustawy obowiązującej wszystkich potrzeba i zgody wszystkich; i już powtarzał szlachcic polski dumnie, że nie miał sobie równego

w Europie, wszystko chłopi, on jeden królowi swemu »niewinienem ci więcej nic jedno podymne (t. j. dwa grosze z łanu, które chłop, nie pan płacił), pospolitą wojnę (o którą nikt nie dbał), i tytuł na pozwie«. Ten szlachcic autokrata, to królewiątko, był dotąd tylko w rzeczach wiary wiązany tradycyą. Teraz uśmiechało się rozbujałemu indywidualizmowi, samowoli, instynktom anarchicznym, że będzie każdy szlachcic sam rozstrzygał, co on i Bogu powinien; że będzie wedle swego widzimisię ustalał stosunek obopólny; że będzie rozkazywał, jak jego »*minister verbi Dei*«, gdyż tytuł »*księdza*«, jako przypominający niewolę rzymską zarzucono, miał wierzyć i uczyć; on zagarniał dochody i skarby kościelne i wydzielał z nich ministrowi swemu, co łaska, a wydzielał na rzeczy wiary tak skąpo, że, gdyby nie Radziwił, to i biblii protestanckiej niebyłoby za co wydać. Sługę słowa Bożego uważał za sługę własnego, i słusznie, gdyż, kiedy ksiądz rzymski bywał szlachcicem i radą, senatem, minister protestancki z najniższych warstw pochodził; Łaski, Lubomirski to świecące wyjątki, reszta to albo wątpliwa szlachta (Krowicki, Wolan), albo obce przybłędy (Stankar, Lismanin, Francuzi i Niemcy), albo miejscy i wiejscy synkowie, którzy do szlachectwa się pięli, jak Kalinowski (bo tak się ze szlachecka przezwał, chociaż mu się tylko »z Kalinówki« patrzyło), Grzegorz z Żarnowca, z którego inni szlachcica udziałali, i tylu a tylu innych, Sudrowski np., co to był sobie katem lwowskim, Suderkiem.

I nie było powagi, siły, ręki, któraby rozbieżone koła zahamowała. Żebyż to jeszcze król do jakiejś sekty przystąpił albo jaka głowa kościoła polskiego się oświadczyła — ale biskupi albo z każdej wiary szydzili, albo odgrażali się Rzymowi, lecz po cichu, np. Uchański, który i najstraszniejsze bluźnierstwa na Rzym miotał jeszcze roku 1559 [1]): rzeczywiście apostatowało ledwie dwu

[1]) Na pozew rzymski księży »zawieśników« (kardynałów) odpowiedział »Jedyną obroną, prawdą Bożą«, tłumacząc i nicując każdy ustęp pozwu, przeciw »nieurzędnemu urzędowi rzymskiemu«, służącemu mamonie; moja przysięga posłuszeństwa papieżowi nie więcej waży, jedno jako starodziejskie zaklinanie; Rzym prześladuje prawdziwą wiarę i chce świat, »słowem Bożym w tych czasach niedawnych lepiej niż przedtem *średnich czasów* oświecony zasię w ciemności wciągnąć«; on obłudny, gardzi prawem boskim i ludzkim, ale teraz już nie tak straszny, jak dawniej, kiedy to Bóg świat karał »tą plagą ciemności i niewoli rzymskiej, która się faraonowej równała«; narabiając starym dyabłem, poduszczającym Rzym, i żałując, że mszy dotąd nie zarzucił, kończył biskup jawną groźbą: pożal się Boże, że są tu jeszcze, którzy was (Rzymu) słuchają, nie wiedząc co czynią; owa »da Pan Bóg, że rychło i ci się obaczą; ale będą oni was upornie słuchać więcej chcieć, jeszcze z wolej Bożej może ich to potkać, co też takie przed laty w Polsce potykało« — co to za groźba? czy nie najdawniejsza aluzya do tak zwanego rokoszu gliniańskiego, gdy to niby Granowski wyścinać kazał Polaków-senatorów, schlebiających i potakujących Ludwikowi węgierskiemu? Uchański należy do literatury nietylko przez ten pamflet; wytłumaczył on *z cerkiewnego na polskie* — rzecz niesłychanie rzadka u Polaków, możliwa w ziemi chełmskiej, gdzie się z Rusią stykano — katechezy (»pouczenia czyli ogłoszenia uczytelne«) Cyryla, patryarchy jerozolimskiego, księgi o wierze i o świętych »tajnach«, zachowując nieraz terminy słowiańskie. Przekładu dokonał niemal równocześnie z Janem Grodeckim, który grecki oryginał poraz pierwszy na łacinę przetłumaczył i w Wiedniu, Antwerpii, Kolonii wydawał. Uchański znał, jedyny z Polaków, dobrze literaturę cerkiewną, cieszył się np. z jej wykładu psalmów Teodoreta, poszukiwał rękopisów jej i na Bałkanie.

dalekich biskupów, bez znaczenia, kijowski i żmudzki. I przemieniła się szlachta polska, od pola, na które już nie wychodziła, w teologów, decydujących o naturach Chrystusowych i wzywaniu św. Trójcy, wedle swego widzimisię, ich normy i prawniczej, co obcy jurysta, Royzyusz, z przekąsem stwierdzał.

Jedyną powagę posiadał Łaski, lecz zwlekał on z przyjazdem do Polski, czekając wezwania królewskiego na próżno. Gdy na reszcie wrócił, zmarnował już siły na dalekiej tułaczce i w ciężkich przejściach, wewnętrznych i zewnętrznych; była to ruina, cień człowieka; trzymał się żelazną siłą woli, lecz niebawem zamknął znużone powieki na zawsze. I głowami protestantyzmu pozostawali panowie świeccy, Boner i Radziwiłowie, Zborowscy i Sapieha, Górka i Chodkiewicz, a gdy ich życie albo wiara się urywały, i sam protestantyzm ginąć musiał.

A ginął tem pewniej i rychlej, skoro sam sobie grób kopał. Bo gdybyż zostało przy tych trzech obrządkach, jakie przed rokiem 1560 w Polsce się zagnieździły! Luteranie, Kalwini, Bracia Czescy, acz różni nawet w dogmatach, np. o sakramencie ołtarza, mieli przecież grunt spólny, nie targali się na podstawowe dogmaty chrześcijańskie, na Bóstwo Syna, Trójcę św., nieśmiertelność duszy i ciała, wieczność kar piekielnych. Ale co Luter zaczął, zdzieranie dachu, Kalwin dalej poprowadził, burząc mury, dokonali, burząc fundamenty, Serwet, Ochin, Gentilis, Blandrata, Socynowie, wszystko

Włosi, zguba Polski, jak zauważył trafnie Beza. Protestanci, odkrywszy właśnie Polskę, jako jedyny kraj wolności sumień, gdzie *cuius regio eius et religio* nie obowiązywało, dostrzegli niebawem, co to »u nas w Polsce, wolno jak kto chce« w rzeczach wiary znaczyć miało; kacerstwa, prześladowane wszędzie, znalazły przytułek, bezpieczeństwo i rozwój w gościnnej, wolnej Sarmacyi; tu ściekały, jak do kloaki, wszelkie rynsztoki herezyi, na co utyskiwano w Szwajcaryi, w Marchii i w Prusiech. Subtelna a konsekwentna mądrość włoskich prawników i lekarzów, stosowana do teologii, wydała owoce, a gdy ci, co je szczepili, uchodzić musieli nietylko przed nową, straszną inkwizycyą, lecz i z Genewy, gdzie Kalwin Serweta stracił, zwracali wzrok ku dalekiej Polsce, ku jej młodemu królowi, co sumień gwałcić nie chciał, ku jej możnym panom, których ramię przed Rzymem i Genewą chroniło, ku jej bogatym a gościnnym domom szlacheckim i mieszczańskim. I dziwny, poruszający widok tych starców, ślących z dalekiej Gryzonii do Polski dzieła i listy, taki Negri np., co dla wieku i odległości do Polski nie pójdzie, lecz poświęci Radziwiłowi tragedyę o wolnej woli (roku 1559), paszkwil na katolicyzm, z nadmiernymi pochwałami Radziwiła, Andrzeja Trzecieskiego, znawcy trzech języków (łaciny, greki, hebrajszczyzny; języków narodowych w języki nie liczono), Reja (za »Kupca«). I wnosili inni zarzewie dalszych swarów, dla których przygotowywał umysły Piotr z Goniądza, pierwszy polski antitrynitaryusz i nowochrzczeniec; czym w Szwajcaryi i na Morawach nasiąknął, ziarna tych wątpliwości zasiewał u samych przeciwników swoich; jeszcze fatalniej wpływał luteranin Stankar nauką o Chrystusie, który znajdował przekonanych uczniów, np. Krysztofa »Przechackiego« ze Lwowa, autora pisemka »Okazanie tego, iż P. Krystus Pośrzednikiem jest Boga i ludzi z strony człowieczeństwa telko« (1560), chociaż dotąd nie teologią, ale szkołą się parał i język polski dla takich rzeczy jeszcze mu był nie dosyć wypolerowany. Coraz bardziej wzmagało się »aryaństwo«; to Piotr Statoryusz (Stoiński później, Franzuz rodem, w szkole pińczowskiej i przy tłumaczeniu Biblii Brzeskiej zajęty), odezwie się, że Duch św. nie jest osobą boską, lecz tylko własnością Boga Ojca, że wzywać się Ducha św. nie godzi; to synod sam poleci ministrom, aby w kazaniach wystrzegali się używania »filozoficznych« terminów (nie istniejących w Piśmie św.), o Trójcy św., o przedwiecznej istności i t. p. Już roku 1560 jedność między protestantami, małopolskimi przynajmniej, najruchliwszymi, stanowczo się zachwiała.

Rok ten przedstawiał szczyt agitacyi protestanckiej, naciskającej zewsząd. Jeszcze roku 1556 zmobilizował był Trzecieski cały obóz antikatolicki, wyliczając w elegii łacińskiej »o początkach i wzroście ewangelii po zdemaskowaniu antychrysta« (t. j. Rzymu), jednym tchem od króla aż do »ministrów« wszystko niemal, co wybitniejszych umysłów w Polsce było i jawnie lub skrycie nowej ewangelii sprzyjało. Odbił bolesny ten sztych Royzyusz, z jurysty w apologetę się przedzierzgnąwszy, swoim »Tysiącznikiem«, gdzie z większym ferworem, lecz mniejszym skutkiem, »heroów katolickich« głównie z duchowieństwa samego zaciągał; ci jednak nie wstrzymywali zwycięskiego pochodu nowowierników, nie zbierali się na wystąpienie energiczniejsze. Więc mieli już protestanci własne drukarnie: nie wystarczał Królewiec, nie potrzeba było Lottera w Majdeburku, u którego jeszcze Marcin Krowicki patetyczne posłania do króla i narodu polskiego przeciw Rzymowi, niby nowy Luter, drukował: teraz miano drukarnie w Pińczowie Oleśnickich, Radziwiłłów w Brześciu Litewskim (Murmeliusz), w Krakowie (Wirzbięta), później inne, w Węgrowie, Łosku, Nieświeżu i t. d. Teraz drukowano już w Polsce najzjadliwsze pamflety na katolicyzm, tłumaczone i oryginalne, tak obie »trajedje krotofilne« Ochina, o papieżu i o »mszey«, co Lismanin wydał, wykazując w formie dramatycznej szatański obu początek, i obszerną Apologię **Marcina Krowickiego,** zbijającego »Krótką odpowiedź« biskupa krakowskiego (Zebrzydowskiego) stałym przeciwstawianiem krzyża, wiary, pokory i t. d. Chrystusowej a Rzymskiej; pismo tak ostre, że w przedruku po dwudziestukilku latach już się nowy wydawca usprawiedliwiał, jakoby na rzymskie pokrzywy takiego mrozu trzeba było; jeszcze w roku 1602 przetłumaczył ją na niemieckie i poświęcił miastu Rydze Cyryak Moller, przyczem zaznaczał, że mowa jego z ozdobnością polskiej równać się nie może. Krowicki kończył wywody twierdzeniem, że papież to Antykryst, i wydał zaraz (roku 1561) nową książeczkę o tym właściwym obrazie a konterfekcie antychrystowym, rozszerzając pomysł niegdyś husycki, później luterski, wykazując, gdzie jego członki i t. d., a dodając autobiografię swoję w wierszu polskim, pierwszy utwór tego ro-

dzaju. Jeszcze większe znaczenie miała polemika, jaką spółcześnie włoski eksbiskup i rzymski eksnuncyusz a teraz nadworny teolog wirtemberski, Wergeryusz, z Hozyuszem prowadził. Do Polski zazierał Wergeryusz już od roku 1556; wydawał listy nuncyusza i papieskie, drukował w Królewcu a rozrzucał po Polsce zjadliwe utwory, np. Historyę o papieżnicy, bajkę średniowieczną, co kronika papieżów i cesarzów Marcina z Opawy uświęciła; agitował przeciw Łaskiemu; liczył na króla, wysyłającego właśnie r. 1560 do Tubingi dla nauki »czystej« wiary kilku młodzieńców. W Czterech Dyalogach (roku 1559) polemizował z »Osyuszem«, którego *osor lucis*, nienawistnikiem światła nazywał: szydzić z nazwisk i przewierzgać je lubił nadewszystko, on to wynalazł owe *apostaticus* zamiast *apostolicus, Satanissimus* zamiast *sanctissimus* i t. d., czym się i w Polsce rozkoszowano, *bajędę* z *agend, kątolików* (pokątnej wiary) z *katolików, konewnij* z *kanonij* i t. d. dorabiając. Na poły Słowianin wstawiał się za używaniem języka narodowego w biblii i liturgii, czemu *Germanopolonus* Hozyusz się sprzeciwiał, twierdzący, że rozumienie słowa Bożego nie konieczne; któryż uczony rozumie choćby psałterz, któryż laik choćby modlitwę pańską? na Rusi i duchowny sam nie rozumie, co czyta. Narzecza słowiańskie różnią się; czyż dla każdego z nich tłumaczyć wszystko z osobna? któż zaręczy za prawowierność tłumaczenia? Tu wyłonił się osobliwszy pomysł Wergeryusza, znającego z biskupstwa i rodziny język chorwacki; twierdził, że należy dla Słowian, jak dla Niemców lub Francuzów, wybrać jedno narzecze, najpospolitsze między nimi, i nim zabarwić przekład, więc pierwszy starał się utworzyć niby język wszechsłowiański i zapowiadał wydanie obu Zakonów w języku, jaki i inni Słowianie zrozumieją, do czego jednak nie przyszło.

Postępowała nawet organizacya; na synodzie w Książu roku 1560 podzielono kalwińską Polskę na prowincye i powiaty i przedłożyli panowie »porządek zborowy«, co ministrów wykluczał niemal ze zborów; na protesty ich zmieniono projekt, przybrano ministrów do »seniorów«, do starszych świeckich, lecz świeccy stanowczo przeważali. Rosły nadzieje protestanckie; na króla liczono, nęcono go przecież widokiem zerwania nienawistnych ślubów z Austryaczką; liczono na magnatów, nawet Tarnowski uchodził za sprzyjającego nowej wierze; wybitniejsza szlachta była niemal już protestancką;

protestanccy posłowie wodzili rej na sejmikach i sejmach; Litwą trzęśli Radziwiłowie i Kiszka; ze skuteczniejszym oporem duchowieństwa katolickiego już się nie liczono. Lecz »wiatrem nadziane puknęły nadzieje«; protestantyzm wrzawy i hałasu narobił ogromnego, podstaw nie miał; rozbił się już o bierność ludu, chłopów i mieszczan. Ci zżyli się z dawną wiarą, z wiarą ojców, za której kwitnęły sioła i miasta; nieufnie spoglądali na nowego księdza, z żoną i dziećmi rozstasującego się w probostwie, zabraniającego postów, zasłaniającego lub wyrzucającego obrazy i posągi, chociaż żadnym nowym objawieniem, żadnymi cudami misyi swej nie popierał, ciału tylko dogadzał, świętych ani czcił ani wzywał, jakby to do Boga samego przystęp był tak łatwy, o Matce Boskiej niczego nie dzierżył, z »deski częstochowskiej« szydził. Zarzucenie ceremonii, czym się nabożeństwo chłopskie głównie trzymało, niepokoiło; jakżeż rozpędzać chmury, czym leczyć siebie i dobytek, jak zapewniać obfitość w stodole i oborze, jeśli żadnych »świętości« nie będzie? do kogoż się udawać, jak nie do św. Agaty od ognia, do św. Rocha od moru, do św. Apolonii od zębów, do błażejków, paschałów, rózgi palmowej, kwiecia święconego? A gdybyż jeszcze z nową wiarą kmiotkowi ulżyło! przeciwnie, pan-nowowiernik zdzierał jeszcze niemiłosierniej, nie czuł przecież nad sobą żadnej już grozy. Ta apatya chłopów polskich uderzała protestantów, tym bardziej, że w Niemczech właśnie od siół i miasteczek ku nowej wierze najbardziej się garniono. Pytanie to poruszył na synodzie toruńskim roku 1595 ks. Turnowski, opowiadając o ewangeliku, co chłopa pytał, dlaczego nie rzuca rzymskiej wiary z jej widocznymi błędami? Lecz chłop odpowiedział: »azaż się nam czego chce w tej niewoli? Niemamyć my czasu i o Bodze myślić. Najdą panowie i w niedzielę nas czym zabawić. Już nas z tej ciężkiej niewoli ani Bóg, ani dyabeł nie wybawi. W gorszymeśmy u państwa swego poważeniu, niż bydło. Psią krwią nas nazywają a jeszcze barziej swoje psy niż nas poważają. Już nam tak przyjdzie i na tym i na onym świecie cierpieć«. Na apatyi i konserwatyzmie słowiańskim ugrzązł, jak na mieliźnie, protestantyzm polski, który wsi ani się tknął, nawet do miast (Lwów, Przemyśl) nie docierał, u drobnej szlachty, na Mazowszu np., zwolenników nie znajdował. Była to wiara pańska i niemiecka.

Głowy lekko zapalne, skłonne ku naśladowaniu wszystkiego,

co nowe, obce, modne, przyzwyczajone do samowoli, zajęło nowatorstwo; »teraz król do kościoła, a większa połowica senatu i dworu, jako złe z trzewika, króla o drzwi kościelne otarszy, do swych borów abo zborów się rozbieżą«, sarkał wójt wileński, Rotundus, roku 1564. I między panami jednak nowa wiara głębszych korzeni nie puszczała; przeszkadzały temu widoki świeckie; pytano się, czy po wypowiedzeniu posłuszeństwa papieżowi i kościołowi nie nastąpi i złamanie porządków państwowych, czy luterstwo, jak Tarnowski mawiał, w łoterstwo się nie przemieni? Później przecież sami ewangelicy nie życzyli sobie króla protestanta; król papieżnik dawał im choć tę gwarancyę, że kogoś nad sobą uszanuje, będzie się bał przysięgi. W ten punkt bili katolicy: kto się wstydzi być papistą, i regalistą nie zostanie. Jeszcze gorzej skutkowało rozszczepienie protestantyzmu; tryumfująco dowodzili katolicy: zaczęło się to od brakowania nadużyciami kościelnymi, od jubileuszów i odpustów, od mszy i czyścca, od świętych i postów, a skończyło na przeczeniu Trójcy św., bóstwa Chrystusowego, nieśmiertelności duszy i skłaniało się widocznie ku ateizmowi. Sami protestanci czuli ten brak zgody; sromali się na pytanie, któraż to nowa wiara prawdziwa, czy królewiecka, czy genewska, czy morawska? składali na dopuszczenie boże niesnaski, a po cichu próbowali budowania wspólnej podstawy. Z góry jednak wyłączali z niej »Aryanów«, brzydzili się nimi gorzej, niż Rzymianami, żądali ich wydalenia — nie dopuszczał Hozyusz; jednych wydalać znaczyłoby drugich upoważniać; rozłam między zborem większym (kalwińskim) a mniejszym (aryańskim) był faktem dokonanym. Więc nie pomagała i powaga Pisma św., bo któż miał rozstrzygać, jak je wykładać? pismo przecież to niby statut, i musi jeszcze ktoś być obok niego, kto je zastosuje i objaśni, nie może pierwszy lepszy tej władzy sobie przywłaszczać, skoro wszystkie błędy na Pismo św. się powołują. Po wyłączeniu Aryanów skołatały tamte wyznania jaki taki »konsens sandomirski«, krok nadzwyczajny, w owych czasach, gdzie o literę się kacerzowano, przedwczesny, dla innych kościołów więc nie obowiązujący, a nawet w Polsce samej pozorny raczej, niż istotny, skoro do rzeczywistego zlania się zborów nie przyszło; ustawały chyba gorszące, podjazdowe, wewnętrzne walki, gdyż wspólny wróg, katolicyzm, coraz bardziej głowę podnosił. Po konsensie z roku 1570 odniósł protestantyzm polski

tylko jedno jeszcze świetne zwycięstwo, gdy mu się udało, mimo oporu biskupów i Mazurów, artykuł o wolności sumienia (dla panów szlachty) *de pace inter dissidentes servanda,* w pakty henrycyańskie wstawić, roku 1573. Niedbalstwo katolików umożliwiło ten tryumf, wcale już nie odpowiadający stosunkom sił obopólnych; już się protestantyzm cofał, już postradał najwybitniejszych przedstawicieli, Chodkiewiczów, Łaskich, Radziwiłłów; nowych zdobyczy nie robił już żadnych; tracił, co posiadał.

Z obcego tego posiewu na ziemi polskiej wystrzelił przecież dziwny jeden kwiat — aryanizm polski. Opór Łaskiego, a po jego rychłej śmierci, Sarnickiego, nie udaremnił zakusów nowej sekty, luźnej, żadnym wspólnym wyznaniem, obrządkiem, nauką nie związanej, stojącej kilkudziesięciu ludźmi, Piotrem z Goniędza, Grzegorzem Pawłem z Brzezin, bardzo czynnym w latach sześćdziesiątych, Krowickim i Włochami wraz z Statoryuszem. Mimo to reprezentowali ci nowatorzy siłę w społeczeństwie szlacheckim, rozgorączkowanym swarami o wiarę, o którym »Zgoda« Kochanowskiego r. 1562 prawiła:

Jęli się sami kazać i żony wćwiczyli,
Więc teraz wszyscy każą, a żaden nie słucha;
Spytajże, zkąd apostoł? — Duch, pry, gdzie chce dmucha;

a w roku 1564 »Proteusz« (Wolana):

wasze biesiady
(Zwłaszcza na wety) o wierze dysputują rady:
A chcą ci być doktormi, co nic nie umieją;
Tym rozumu przybywa, gdy szyję naleją.
Fraszka u was, swarzyć się o Pańską wieczerzę (jak u Niemców),
Powadziła was, słyszę, ona święta Trójca;
Chcecie wiedzieć, jako Syn urodził się z Ojca,
Chcecie wiedzieć, jako duch z Obudwu pochodzi,
A widzę, żeście barzo w tych naukach młodzi...
Ztąd wielkie zamieszania rostą i fasoły;
Drudzy się korda radzą, nie prawdziwej szkoły i t. d.

Z początku poszli tylko ministrowie za nowinkami włoskimi, ale później pociągnęli za sobą i nieco szlachty i mieszczaństwa, Mikołaja Sienickiego, Demostenesa izby poselskiej, Niemojewskiego Jana, bardzo poważnego i wymownego, acz nie głębokiego teologa

(brat jego Jakub kalwin, ostro się ucierał z Aryanami i katolikami; obszerne wywody jego przeciw ks. Herbestowi przetłumaczono nawet na niemieckie — pierwsza protestancka książka polska o wierze, godna takiego zaszczytu), Taszyckich, Błońskich, Otwinowskich, Lubienieckich, Morsztynów, Potockich i innych. Szeroko jednak aryanizm nie wylał nigdy; trzymał się Podgórza, podsycany tu z Węgier i Siedmiogrodu; był i na Litwie, skąd potym w Lubelskie, do Rakowa, się przeniósł, usychając powoli w litewskiej kolonii. Istota tej wiary nie dopuszczała jej szerzenia; Aryani polscy konsekwentni byli nie tylko w przeczeniu dogmatów chrześcijańskich, ale, trzymając się samej ewangelii, żądania jej nie na żart wypełniali: nie zabijać (a więc i nie wojować), nie sądzić innych, aby nie być sądzonymi, w imię braterstwa chrześcijańskiego nie dopuszczać niewoli ludu, nie sprzeciwiać się czynnie złemu, unikać marności świeckich, tańców i zabaw, strojów i wymysłów; chrzcić nie niemowlęta, lecz dorosłych, którzy wiedzą i wierzą, co ślubują Bogu, to przechodziło powoli w dogmata i obyczajowość aryańską. Już roku 1568 spierano się na synodziku litewskim o to, »jeśli się godzi Chrystyaninowi mieć poddane i niewolną czeladź, abo nie« — nazywali się Chrystyanami, nie Chrześcijanami, boć »Pan nasz Chrystusem, nie Chrzestusem się nazywa« (wedle Piotra z Goniędza). Strony ścierały się namiętnie; ci Aryani, którzy, jak Szymon Budny, odmawiali Chrystusowi bóstwa i dlatego obok Nowego Zakonu na Starym się osadzali, aż się do żydostwa stoczyli, nie dopuszczali skrajności, urząd, miecz, niewolę i sobie przywłaszczali; inni, co Nowego Zakonu nie poniżali, nie poddawali się wymaganiom świeckim i zatrzymali w dziejach kościelnych miejsce między Mennonitami, Kwakrami, Baptystami i innymi racyonalistycznymi sektami. Że taka nauka w świeckiej i światowej Polsce licznych zwolenników zyskać nie mogła, że żaden magnat między tą szarą bracią się nie zjawił, że garnęli się do niej ludzie z miasteczek, od cechów i kramów, było naturalne. Lecz również wypływały z takiego założenia troski o oświatę, o życie myślące, o zgodę i harmonię, i Aryani, acz mała garstka, w literaturze zajęli stanowisko wybitne. **Marcin Czechowic** i **Szymon Budny,** znawca cerkiewszczyzny znakomity, należą do najznakomitszych pisarzów polskich; nie pisywali oni po łacinie, zwracając się do wszystkich, nawet do Żydów; pierwszą polemikę wyznaniową z rabinem żydowskim po polsku odprawił właśnie Czechowic. Dzieła ich tępiono; były to nie tylko polemiczne, katechizmowe, moralizujące, dyalogi, wiersze, traktaty, lecz były i tłumaczenia Pisma św., jak biblia nieświeska Budnego; Białorusin ten, polski przekład z cerkiewnym porównywał, słów i frazesów cerkiewnych używał (np *nadzieję się na nim* zamiast *ufam w niego* itp.), i hebrajszczyzną (nawet w imionach własnych, niezwykłych dla uszu polskich), narabiał; Nowy Testament i Budnego i Czechowica; oni najwcześniej zbierali pamiątki po swoich mistrzach, materyały dla historyi tych »bohaterów chrystyańskich«. Dogmatykę ich stworzył Włoch, Leliusz Socyn młodszy, ów Katechizm rakowski, tłumaczony na wiele języków, angielski, holandzki; krańcowe, antispołeczne dążności uśmierzał i przeciw Czechowicowi i innym zagorzalcom zwyciężył; żył i umarł w Lucławicach; jako Włoch, pisał wyłącznie po łacinie; łacina i w późniejszych dziełach aryańskich panowała, gdyż dla subtelności dogmatycznych nią się posługiwać należało; wyjątkowo zjawiała się jaka polska książka w tej materyi, np. Odpowiedź Piotra Statoryusza na księgi jezuity Śmigleckiego.

Język łaciński przeważał raz dlatego, że wmieszało się wielu obcych, np. ów Mantuańczyk Stankar, później Niemcy, Szmalcyusz i in., wyłącznie po łacinie piszący; dalej, ponieważ do sporów teologicznych znakomicie się nadawał. Żeby działać na tłumy, należało naturalnie pisać po polsku; pierwsze więc dzieła, Seklucyana i Reja, Lutomirskiego i Krowickiego, od których ruch wychodził, były polskie i do rozszerzenia praw języka narodowego walnie się przyczyniły. Później ustawała ta potrzeba, i łacina wracała. U protestantów pierwszy szereg wymownych głosicieli słowa Bożego niebawem zamilkł; najwybitniejsi, Lutomirski, szlachcic jak Łaski, autor konfesyi polskiej, wydanej roku 1556 w Królewcu, zwróconej przeciw »ziemnym, błotnym a glinianym doktorom, muniom a słupom przymaszkarzonym«, »pieńkom a strugałkom malowanym« (nie znającym prawdziwego słowa), i Krowicki z innymi przeszli do Aryanów; Sarnicki rzucił zniechęcony pióro teologiczne; wytrwali Gilowski, objaśniający katechizm, i piszący kazania; Gliczner, jedna z nielicznych powag luteranów polskich; Łasicki, brat czeski, historyk ich zgromadzenia. Coraz przerzedzały się szeregi, zapełniane chyba synami ministrów lub jakim śląskim czy niemieckim przybyszem; czasem zaplątał się i stary szlachcic, taki np. Chrząstowski,

co sam roku 1574 jeszcze pospólstwo do zburzenia brogu (zboru) kalwińskiego krakowskiego podbudzał, pod Pskowem walczył, a potym najwymowniejszym kaznodzieją kalwińskim został, nigdy w kazaniu ani powtarzając się, ani utykając, i najgorliwszym szermierzem pióra — więc niby Bernatowi Maciejowskiemu podobny, co też z żołnierza biskupem i kardynałem został. Między ową młodszą nieco generacyą wyróżniał się **Grzegorz z Żarnowca,** choć mieszczanin szanowany między szlachtą »z cnót prawie ewangelickich«, autor postyli, po Rejowej najpopularniejszej dla jasnego wykładu i pięknego języka, którą wraz z Gilowskim przeciwko Wujkowej wydali i wycieczkami przeciw Jezuitom »nafasowali«; obszerne to dzieło miało dwa wydania w XVI wieku, na niemieckie przełożył je roku 1587 Freiherr Heinrich Kürtzbach starszy, w XVII wieku zalecał je synod ministrom, nieumiejącym po łacinie, a jeszcze r. 1864 wydał ją ponownie dla protestantów śląskich ks. Th. Haase; ciekawa w nim częsta obrona Reja przeciw Jezuitom, szydzącym z »dworzanina i doktora apostackiego Kościoła«, co swój żywot »w żarciech, karciech a rymowaniu strawił, nie teologiej się uczył«; Grzegorz wskazywał Chrystusa, że z celników i rybaków, nie z uczonych w piśmie, apostołów wybierał, Mojżesza, również dworzanina, nie teologa. Obok postyli wydał dziełka polskie, to w jej obronie, to przeciw Aryanom i katolikom, zawsze wymowne i cięte. Dalej Piotr Artomiusz (Krzesichleb), piszący również po polsku, piosneczki i kazania; brat czeski Turnowski, po Jerzym Izraelu, Żydzie niegdyś, pierwszym organizatorze ich zborów polskich, najznakomitszy; ów niby kat lwowski, Sudrowiusz, wykładający pacierz roku 1580 i t. d.

Z bogatej literatury różnowierczej XVI wieku zaginęło niejedno, najciekawsze nawet; są pisarze, po których dziś niczego dotąd nie odszukano, taki rajca niegdyś wileński, stary Łukasz Mundius np., co z wójtem wileńskim Rotundem po polsku i po łacinie polemizował, aby się w wiarach rozejrzeć, po świecie jeździł i bywał na Morawach, aby dla swych Aryanów przypatrzyć się trybowi Braci Morawskich, i nadzwyczaj ich polubił, lecz oni aryana wyświecili; albo Daniel Bieliński, później minister wileński, co dla zohydzenia Nowego Testamentu, Staremu folgując, stotrzydzieściedziewięć sprzeczności między ewangelistami wyliczał, do żydowstwa i turectwa pomykał; o innych autorach i dziełach nawet takich

szczegółów nie znamy, chyba, że na indeksach ksiąg zakazanych figurują. Ciekawą zaś jest ta literatura dla historyi, nie dogmatów i obrządków, lecz obyczajowości polskiej: we wzajemnych napaściach, gwałtownych i nieskromnych, objawiają się ci ludzie, jak żyli, mówili, myśleli, aż do najdrobniejszych rysów, jeśli np. Wolana pomawiają, jakoby do czarów dyabelskich się udawał, gdy mu sto złotych ukradziono, a Łasicki go bronił, że nie dyabła przy tym wzywał, lecz dla objawienia kradzieży ser połykać kazał, i to nie on nawet, lecz jego znajomy[1]). Wszystko się tu odnajdzie, od żaczka, z garnuszkiem, pod oknami mieszczki pieśń nabożną *pauperibus* śpiewającego, przez cały tryb szkolny, aż do wystąpienia jego w licznym orszaku szlachty i mistrzów, gotujących się do dysputacyi publicznej z Jezuitą; od ciekawych szczegółów historycznych, np. że na Litwie nie Radziwiłowie dopiero protestantyzm szerzyli, lecz przed nimi Kieżgajło to czynił[2]), aż do wiadomości literackich i innych.

Lecz ta literatura jest nie tylko kopalnią niewyczerpaną najrozmaitszych rysów obyczajowych i innych; ważną jest i jako wymowny dowód ostatecznego przepolerowania języka.

Oto jak pisał Orzechowski (do Stadnickiego) o kacerzach w r. 1560: »Ej, miły Panie (Boże), cóżeś wżdy na naszą Polskę dopuścił? Oto ci zbiegowie pogańscy, mahometanie jawni, chłopi nikczemni, ludzie przez wiary, przez sumienia, przez gruntu i przez prawdziwej nauki, zaplugawili nam w Polsce wiarę, którą nam ojcowie nasi mili po sobie zostawili... a pan Stadnicki rzuci prawie w czac duszę swą między kacerze te, aby ją dłuższy i jadowitszy kacerz sobie miał i dyabłu dał... Oto w Polsce jakoby króla nie było; sprzysięgania jawne się dzieją, tak, iż też przeciwnej strony ludzie sprzysięgają się nie jeść ani pić, nakoniec ani Pomagabóg

---

[1]) Przesąd to dawny; »Jeżeliś syr dawał święcić i on w piątek ludziom jeść dawał dla doświadczenia się w kradzieży«? pytał Zbiór generalny grzechów z roku 1776.

[2]) Seklucyan poświęcił katechizm królewiecki z roku 1547 Kieżgajle, stolnikowi, acz nieznajomy, dlatego, że »raczyłeś k sobie uprzejmie nakładem swym ludzi uczonych a kaznodziei prawdziwych słowa Bożego wezwać, naprzód w Litwie, niż kto iny słowo Pańskie od nieprzyjaciół Bożych wyrzucone, zatłumione i podeptane zalecać, wychwalać i przyjmować« i t. d.

mówić przeciwnej stronie, sędziego nie mieć, jedno człowieka sekty swojej, nie apelować od niego, nie słuchać starosty... Bo co się teraz w Polsce dzieje!... Owo, by król Zygmunt wstał z martwych, pewnieby tak rzekł: żem ani ja, ani przodkowie moi w tej Polsce królowali, nie tom ja królestwo synowi swemu był zostawił. Jam był Polakom zostawił obyczaje stare, wiarę starą, całe kościoły nieodarte ołtarze, duchowny stan cały; tu teraz widzę, że plebany wygnano, nadania kościelne pobrano, ołtarze zburzono, kościoły zchlewiono, wiarę zturczono, urzędy zwojowano; za mnie w Polsce urząd albo od króla polskiego abo od rzymskiego papieża szedł tu teraz widzę nowe urzędy, nie wiem zkąd, widzę, iż wybierają sobie niektórzy sami przez się biskupy i ministry, a czemu też i nie króla?...«

Lecz Oksza (siekiera) Orzechowskiego trafiła na twardy sęk, i oddał mu przyjaciel niegdyś serdeczny, Krowicki, piękne za nadobne, pisząc między innymi: »Plebanów też waszych nie wyganiają, ale sami przed Chrystusem ukrzyżowanym i słowem Jego prawdziwym uciekają, abowiem chłopi z pleszami (tonsurami) nic nie umieją, jedno beczyć, mszyć, plesze i brody golić, kucharki chować, przed bałwany dudkować i po gospodach biegać, siadać i gorzałki szynkować... O papieżu, drugim panie w Polsce, nie chcemy nic wiedzieć, abowiem gdzie dwu panów rozkazują i rządzą, nie bywa tam dobrze: dosyć mamy na panie jednym, od Boga nam danym, abowiem papież nie ma żadnego prawa na Polaki sprawiedliwego, jedno tylko ma prawo złodziejskie, łotrowskie i dyabelskie, którym króle i pany tego świata zmamił, podszedł i zhołdował, iż się tej mersze rzymskiej kłaniają... toć jest on wieprz dziki, byk tłusty, ono drzewo bez owocu, on wilk, niedźwiedź i smok, pies niemy, złodziej i łotr chytry, grób pobielany, syn dyabelski, mężobójca zdradliwy, prorok fałszywy, którego Bóg brzuch jest, a chwała jego w posromoceniu... o uchowaj nas, Panie Boże wszechmogący, tego sędziego ślepego i syna zatraconego, który siedzi w kościele Bożym i uzłocił się złotem, srebrem i kamieńmi drogimi, aby mędrce tego świata zmamił i osiadł i wspiął się naprzeciwko Bogu nawyższemu nie inak, jedno jako on Lucyper... A iż też jeszcze piszesz, iż mnisi są zębaci — i my tak o nich trzymamy i rozumiemy, a wiesz czemu? powiem. Abowiem je Duch św. tak zowie, — dzikimi albo leśnymi wieprzami, którzy

kły swoje naprzeciwko Królowi i Panu nad pany wyszczerzyli i pyski swoje wzgórę podnieśli w niebo, które Pan Bóg duchem ust swoich porazi i zatraci, abowiem nie macie uczonej wiary, ale macie wiarę, jako powiedasz, przyrodzoną od matek, od mamek i od bab, t. j. wiarę cieleśną, zmyśloną i dyabelską... A iż nas też zowiesz nikczemnymi niemotami, ludźmi przeklętymi, wiecznemu potępieniu poślubionymi, mordercami dusz ludzkich, wilkami jadowitymi... gdzie też przykładasz księdza Łaskiego nieboszczyka, człowieka świętego, przed którymeś ty w Pińczowie nic nie umiał, kiedyś się z nim gadał, i sameś to tym twoim plugawym językiem natenczas wyznał, a naostatek, klęknąwszy przed nim, kolanaś jego i ręce całował, mówiąc do niego te słowa: te ręce zwyciężony tobie, mężu Boży, oddaję — czyniłeś to, jako Judasz, kiedy Chrystusa syna bożego zdradzał« i t. d.

Do takiej to mocy i jasności doszedł ów język w prozie; nie w poezyi, chociaż pieśń religijna, zaniedbana nieco od początku wieku, po roku 1548 już dla celów propagandy gorliwych znachodziła czcicieli. Pojawiały się odtąd u »Łazarza Jandrysa«, Sibenejchera i innych luźne pieśni i psalmy — najrozmaitszych autorów, przeważnie protestanckich, pieśni, które kancyonały protestanckie jeszcze w XVII wieku powtarzały. Autorowie ich albo oznaczani literami M. R. (Mikołaj Rej), A. T. (Andrzej Trzecieski), J. L. (Jakób Lubelczyk), B. W. (Biernat Wojewodka) i t. d.; albo z anagramu, t. j. z pierwszych liter strof czy wierszy, wypłynie to »Jan Dziki, lutenista gdański«, to »Pomóż Panie służce twemu Andrzejowi Trzecieskiemu«, to »Zofia Oleśnicka z Pieskowej Skały« (pieśń wielbiciel jej napisał), to »Jeronim Bużeński«, możny żupnik wielicki, to »Lament Jeronima Szafrańca«, starosty chęcińskiego o śmierci syna jego i t. d.

Jakżeż zachowywał się katolicyzm wobec tego najazdu sekt i wiar najrozmaitszych, gdyż Polska — szydził Rotundus — to wendeta (tandeta) nie tylko strojów i mody całego świata, ale i dogmatów jego? Z początku nader obojętnie; kler wyższy, ześwieczony, dbał o wygody i używanie; wierz i w kozła jeżeli chcesz, płać mi tylko dziesięcinę — mawiał biskup krakowski (Zebrzydowski, prawiący wobec lutra o »jakiejś tam różnicy w wierze«, choć się później na ostrą odpowiedź Krowickiemu zdobył); kujawski, Drohojewski, o którym twierdzono, że się jawnie z piękną szwagrową

ożenił, mawiał do kaznodziei, grożącego wyrywaniem kąkolu: ostrożnie z tym, szczególniej u nas, gdziem żadnej pszenicy ani widział, ani się takowej spodziewam. Lecz znaleźli się i w tym episkopacie, urosłym z symonii (zakładała się przecież Bona z duchownym o 20.000 złotych, że zostanie biskupem tam i tam), i z protekcyi, co oparli się energicznie, nie tylko fanatycy, jak przemyski, Dziaduski, niemogący ścierpieć księży wykształconych, greczynków, lecz i światli a cnotliwi, jak **Hozyusz** i **Kromer**. Obu wymieniał razem już roku 1543 Orzechowski, jako zaszczyt kościoła polskiego; obaj występowali na polu piśmiennictwa — dawniej z wierszami humanistycznymi, teraz z pismami apologetycznymi najdonioślejszego znaczenia; obaj zawiadywali tą samą dyecezyą i zlutrzeniu jej zupełnemu jedyni przeszkodzili; obaj byli wreszcie mieszczanami; Kromer był tylko więcej dyplomatą i historykiem, Hozyusz apostołem i reformatorem; ów kościołowi polskiemu, ten, jako prezes soboru trydenckiego, powszechnemu służył. Hozyusz, jak z całego duchowieństwa największych wpływów, tak zażywał ze wszystkich autorów polskich największego rozgłosu; jego »Wyznanie wiary katolickiej«, złożone na synodzie piotrkowskim roku 1551, doczekało się najliczniejszych przedruków i tłumaczeń: gdy je w roku 1560 w Wiedniu wydano, »rozeszło się 1400 egzemplarzy w kilku dniach, zatem je drugi raz tegoż roku w Wiedniu przedrukowano«; *Confessio* ta i inne rozchodziły się w tłumaczeniach czeskich, niemieckich, francuskich, holenderskich i angielskich — pierwszy światowy sukces pióra polskiego; Hozyusz z zasady przeciwny językom narodowym w kościele (nie godził się nawet na »Mnicha« Kromerowego — któż to czytać będzie, któż zrozumie?), sam po polsku nie pisywał, chyba listy do dworu królewskiego, polskie wydania tłumaczyli inni z oryginałów jego łacińskich; polemika jego, choćby przeciw Łaskiemu, przyjacielowi i mecenasowi niegdyś, nie przekraczała granic przyzwoitości; tym ostrzej napadał na niego Łaski, stale go »Caligulą« od nazwiska *(Hose = caligae)* przezywając.

Lecz spółpracowników obaj prawie nie mieli. Akademia krakowska, twierdza katolicyzmu, niegdyś tak gorliwie Husytów zwalczająca, zaśniedziała w średniowiecczyźnie, w Arystotelesie i Lombardzie (którym się jeszcze Stankar zachwycał i nad stu Luterów go przekładał), nie dorastała potrzebom nowym — »napróżno ważyłem się uczyć owych zastarzałych zagadek szkoły krakowskiej,

wniosków z Arystotelesa i reguł dyalektycznych z Piotra Hiszpana«, twierdzi Sylwester w dyalogu Czekanowskiego (pseudonim) »O zepsuciu obyczajów u papieżników i ewanielików« (około roku 1562[1]). Na szkołę skarżono się powszechnie: wedle Ossolińskiego (na sejmie piotrkowskim r. 1563), w taką się jaskinię łotrowską obróciła, że ludzie stateczni chronią się synów swych dawać, bo więcej złych, aniż dobrych, obyczajów się uczą; toż samo powtarzał Siennicki roku 1565, »jako to wszystko opustoszało, jako z wielkim nakładem młodzież do innych krajów słać trzeba, bo doma w Polsce niemasz się czym bawić... anoby czas już Polakom inną łaciną nauczyć się mówić aniż oną dawną polską, z której gdzieindziej się śmieją«. Najczarniej jednak malują stan szkoły katolicy sami; tak np. czytamy w instrukcyi na synod spółczesny skargi na nieuctwo księży, których kazania panowie słusznie bajkami nazywają, którzy używają samych starych szpargałów *(Dormisecure, Vademecum* i t. p.). Akademię krakowską zagarnęli plebejusze, nienawidzący nielicznych między nimi szlachciców, jak wężów, mszcząc się na nich za wykluczenie plebejuszów z kapituł; gardzą nimi właśni uczniowie; oni czytają przed jednym słuchaczem, nieporządnie, barbarzyńskich Wojciechów (Wielkiego z XIII wieku), Cezaryuszów, mieszając wszystkie fakultety, a żadnego nie znając (mistrze awansowali bowiem od filozofii do innych wydziałów); upada już słynne niegdyś studyum astronomii; śmieją się z nas powszechnie dla rzeczy, których tu uczą. Mistrzowie promowują tylko swoich; starsi nic już nie robią; czytają ledwie raz w kilka tygodni albo dają się zastępować; prawda, że filozofowie mają bardzo szczupłe dochody, i tych im nawet nie płacą. Biskupi muszą się podjąć reformy szkoły, zdolnego rektora powołać, a w razie potrzeby i mistrzów z zagranicy, jak i dawniej bywało.

Wobec takich stosunków w kraju należało się chwycić środków radykalnych i transfuzyą obcej krwi odświeżyć organizm kościoła polskiego. Powołano więc Jezuitów. Wspominała o tem już

---

[1]) Dyalog, nadzwyczaj ciekawy, pełen aluzyi do rzeczy spółczesnych, niezawsze dziś zrozumiałych, opowiada horrenda o obu stronach, np. o biskupie, który, napominamy by się wyrzekł »Epikura«, wołał: *lassa me godere di questo episcopato*, o innych zagłuszających trzask upadającego Kościoła biesiadami głośnymi i t. d.

owa instrukcya, ale nie wiele sobie po tym obiecywała, gdyż to obcy, nie nasi, chyba, że szkoły całkiem przez to opustoszeją. I rzeczywiście, nowy zakon, sami cudzoziemcy, Niemcy i Hiszpanie, Anglicy i Włosi, zdobywał sobie, mimo najdzielniejszego poparcia biskupów, Hozyusza, Noskowskiego, Protasowicza, powoli a żmudnie uznanie; pierwsze jego szkoły świeciły narazie pustkami; drwiąco spoglądali różnowiercy na nową »sektę« Lojolitów, jak ich jeszcze najłagodniej przezywali. Ale rygor, poświęcenie, zapał nowych zakonników, tak odmiennych od wszystkich dawniejszych, porywał i opornych, przełamał i apatyę i niekarność słowiańską; ich wiedza i metoda, nowe podręczniki i obszerniejszy program, znakomite, wszechstronne oddziaływanie na młodzież zapewniły ich szkołom niebywały sukces; nawet protestanci, pewni, że ich synom to nie zaszkodzi, skoro ojcowie sami z Rzymu do nowej wiary drogę odnaleźli, oddawali dzieci do ich szkół. Zbyt późno spostrzegli się ministrowie, co za niebezpieczeństwo nowym wiarom od tych wychowańców jezuickich groziło; przetłumaczyli więc dla przestrzeżenia niebacznych rodziców pisemko jeneńskiego profesora Miliusza, posługującego się tymi samymi argumentami przeciw szkołom jezuickim, których później Broscyusz za akademią zażywał. Nicował bezpłatność ich wkońcu bardzo kosztownych szkół, na które się ofiarność obywatelska składać musi; przyznawał wprawdzie, że młodzież wprawiają prędzej, niż inni, »w naukę i języki«, skarżył się jednak na zarozumiałość uczniów, którzy »insze za proste Biernaty mają«, przeświadczeni, »że więcej u nich w pięcie, niż u drugiego w głowie«, i tylko to uznają, czego się nauczyli »u swych bakułów rogatych«. Nadmierną odpowiedzialność biorą na się rodzice, dufające w to: umie (syn) katechizm, *ergo* może u Jezuitów bezpiecznie mieszkać; kazał się »jako biesa strzedz Wyzuitów«. Przestrogi przychodziły po niewczasie; już młodzież należała do Jezuitów i Rzymu; już zeznawał Chrząstowski r. 1591, strofując ostro niebacznych rodziców: tuszą sobie Jezuici, że, gdy tylko powymierają starsi, między panami i śladu »czystszego chrześcijaństwa« się więcej nie odnajdzie. I nie pomylili się Jezuici.

Siłę ich stanowiło ich poświęcenie bez granic, posłuszeństwo ślepe, kierownictwo wytrawne, nie trzymające się pewnej modły, nie zacieśnione do jednego pola działań, lecz zażywające każde *ingenium* wedle jego zdolności, wypychające tych do dworów

pańskich i królewskich na spowiedników, owych do szkół, posuwając ich wedle lat i zasług, innych na misye do Rusi, na Litwę, między ludem katolickim, dopełniając, czego zaniedbali duszpasterze powołani; inni organizowali uczynki miłosierne, odwiedzali szpitale i więzienia lub wyzywali heretyków na dysputy publiczne; jeśli heretycy się nie zjawiali, rozdzielali Jezuici między sobą ich role i akt publiczny odprawiali; działali na wrażliwy umysł i fantazyę młodzieży i ludu wystawnością nabożeństwa, muzyką, śpiewami, procesyami, widowiskami dramatycznymi, wciąganymi do programatów szkolnych (na koniec »bakchanaliów«, zapust, na święta patronów zakonnych, na Boże Ciało wystawiano z wielką okazałością udramatyzowane legendy i alegorye); wreszcie bractwami rozmaitymi. Dobór osób, ścisłe a długoletnie próby nowicyatu przesiewały najlepsze *ingenia*. I zerwało się wszystko, co zdolniejsze i gorętsze, do Jezuitów i zajaśniały między pierwszymi nazwiska Stanisława Warszewickiego, ucznia niegdyś Melanchtona i Witenbergi, pierwszego niegdyś tłumacza greckiego Heliodora (romansu Etyopik) na łacinę, teraz tłumacza dzieł ascetycznych Ludwika z Grenady, kaznodziei i Bogomodlca natchnionego, który młodego Zygmunta w szwedzkim otoczeniu kacerskim od herezyi sześć lat strzegł; św. Stanisława Kostki, towarzysza jego w zakonie; Marcina Laterny, Rusina z Drohobycza, męczennika za wiarę w Szwecyi, który Batoremu po łacinie, a dworzanom po polsku kazał, zastępując stale Sokołowskiego chorego, a wydał polski modlitewnik z pieśniami, »Harfę duchowną«, liczący niebawem wydań szesnaście i zwalczany ostro, lecz daremnie, przez protestantów; dalej Benedykta Herbesta z Rusi, niewyczerpanego w walkach z herezyami, w książkach moralizujących, pierwszego promotora unii ruskiej; Stanisława Grodzickiego, znakomitego kaznodziei, obrońcy kalendarza gregoryańskiego; Lwowczyka Wuchaliusza, tłumaczącego również Grenadę, i tylu a tylu innych. Jezuici ci wydawali pisma polemiczne i pod obcymi nazwami, żywo, dowcipnie, ostro, np. broszury Sawickiego, pod nazwiskiem Gołubskiego wydane, pełne i żółci i soli. Oni to nawracali magnatów i przekupki; pod każdym rokiem zapisuje kronika domu krakowskiego św. Barbary córki i synów, a choćby i samych ministrów nawróconych, a oprócz tego nazwiska Chodkiewiczów, Radziwiłłów, Gostomskich, Opalińskich, Mieleckich (co to Skargę, gdy mu powrót

blizki do katolicyzmu zapowiadał, z mostu zamkowego zrzucić chciał), i innych.

Najwydatniejsze zasługi około literatury katolickiej polskiej położyli dwaj z nich, Wielkopolanin **Wujek** z Wągrowca i Mazur **Skarga** z pod Warszawy. Obok ks. Białobrzeskiego z jego zbyt ciężką, niepopularną więc postylą, stanął Wujek z większymi i mniejszymi postylami, zbiorami kazań własnych, które pierwsze poderwały wziętość postyl kacerskich, Rejowej i innych; w samym XVI wieku wyszły cztery razy i przetłumaczono je na czeskie, a ks. Dauksza wyłożył je na język żmudzki; była to pierwsza większa rzecz katolicka w tym języku (1599). Wujek, co kazalnicę na szkołę rychło zamienił, gnany aż na Siedmiogród dla urządzania i kierowania kolegiami rozmaitymi, oddał ostatnie swe lata w Krakowie tłumaczeniu Pisma św.; dawna biblia Leopolity, acz i w drugim wydaniu nieco poprawiana, nie odpowiadała czasowi już samym językiem przestarzałym, protestanci wygrywali już samą gładkością stylu swoich biblii, Nowych Testamentów i psałterzów; należało im przeciwstawić coś doskonalszego. Nie doczekał się Wujek wykończenia biblii; już po jego śmierci ofiarowali Jezuici królowi, który im wtedy właśnie kościół św. Piotra i Pawła budował, Biblię o 1500 stronicach roku 1599, jedyne dotychczas aprobowane tłumaczenie katolickie, »mając ono przed oczyma, co niekiedy Izajaszowi św. rzeczono, żeć nas Bóg nie do obcego i nieznajomego języka ludzi posłał, ale do braciej naszej, ludzi jednegoż narodu, kość z kości, ciało z ciała, krew ze krwi polskiej, na to abyśmy naszej ojczyźnie miłej we dnie i w nocy służyli!« Tok Wujkowy znacznie jednak ci wydawcy zmienili, nie na lepszy.

Jeszcze znamienitsze są zasługi księdza Piotra Skargi. Obok Harfy Laterny, Postyli Wujka, stanęły r. 1579 jego Żywoty Świętych, jako czytanie domowe katolickie i zatrzymały do dziś, po dwudziestukilku wydaniach, znaczenie, oddziaływając aż na Ruś prawosławną. Mniejszego rozgłosu nabyły jego kazania, z góry przeznaczone dla kół szczuplejszych; lecz właśnie te kazania, to szczyt wymowy religijnej polskiej. Nie goniąc za efektem, prosto a skromnie, bo takim był i człowiek, ale rzewnie i wzruszająco, przemawiają natchnione słowa jego i dziś jeszcze do czytelnika; stroniąc od wszelkich subtelności, od świeckich przydatków, równie od rubaszności późniejszej, jak i od jej dworności i sztuczności

oddalone, pociągają, przejęte prawdziwą wiarą i pobożnością, myśl i serce. Kaznodzieja nadworny nie schlebiał nikomu, ani królowi, ani możnym, ani narodowi; nie dawał się zaślepiać powodzeniom chwilowym; ojciec sumienia, roztrząsał je ludowi swemu; gdy miał za świetne Zamoyskiego zwycięstwo hołdy składać dziękczynne, przerywał tok tryumfującej myśli a zwracał się do ciężkich grzechów i win narodowych, do opuszczeń lekkomyślnych, które wojnę wywołały, i zamiast próżność narodową głaskać, wybuchał żalami i skargami. Tak samo, gdy widzi przed sobą zebrane głowy narodu, panów możnych, dzielnych, mądrych, nie cieszy się ani raduje na widok kwiatu narodu, ale wytyka przed nimi ogólne braki, winy i grzechy tak ostro i tak otwarcie, że oburzą się katolicy i wniosą — przynajmniej wedle zeznań kalwinów, Górajskiego i Dorohostajskiego — artykuł przeciw Jezuitom na konfederacyi Sandomierskiej, »iż się w sprawy świeckie na dworze i publiczne wdawają, na kazaniach zachwalając *absolutum dominium*, wolność i porządki Rzeczypospolitej ganią«. W wydaniu Kazań przygodnych, gdzie się osiem sejmowych pojawiło, drugim z roku 1610, wypuścili nawet Jezuici szóste, »o monarchiej i królestwie«, uchodząc owych przytyków. Kazania sejmowe, nie przeznaczone dla jakiejś specyalnej kadencyi, wydane najpierw r. 1595 osobno, przedrukowane trzynaście razy, tworzą rodzaj całości. Pierwsze, wstępne, uczy zgromadzone stany mądrości, skąd jej czerpać, przy widocznym nierządzie, przy braku władzy u króla — a cóż bez władzy i Salomon mądry poradzi? — przy próżnej stracie czasu i kosztów waszego sejmowania, przy nadchodzącej grozie tureckiej. Drugie — o miłości ojczyzny, bo teraz rozbiera kaznodzieja po szczegółach wszystko, czego brak uczuwać się daje i zaczyna od niemiłości kraju, od niesytej nigdy zachłanności. W trzecim wytyka brak zgody, psujący państwo z wewnątrz, nader niebezpieczny. Że katolicyzm upragnioną jedność i zgodę wyłącznie zachowuje, że religia i władza duchowna jest podstawą państwową, dowodzi czwarte, choćby teokracyą Starego Zakonu albo ruiną węgierską; na skale Piotrowej zbudowane królestwo nasze, a kacerstwa roztrącają państwa, co piąte kazanie bliżej rozwija. Szóste wykazuje potrzebę władzy: i Pismo św. i prawo natury takiej się domagają, despotyzm nawet byłby dobry, gdyby despota był zawsze mądry a cnotliwy; ponieważ tej pewności

osiągnąć nie można, mamy monarchów, ograniczonych prawami i radą, ale prawdziwa złota wolność to nie samowola nieokiełznana, panująca w Polsce, lecz poszanowanie prawa. O prawach siódme traktuje: naturalnych, duchownych i świeckich, mających moc boskich, ale nieważnych, jeśli się ich nie wykonywa, jako u nas; my »karty mażem a papier ukazujem, a postaremu w nierządzie żyjem: na czym to królestwo i ludzie w nim bardzo chramie. Mówić, pisać, wywodzić umiemy a czynić najmniej« (jest to późniejsze: przegadaliście, przedysputowaliście ojczyznę waszę). Są jednak i prawa niesprawiedliwe — tutaj obok praw czyli przywilejów rzeczywiście zgubnych, jak niewoli poddanych, nie więzienia nikogo, chyba prawem przekonanego, odsyłania spraw głównych do krótkich a swarliwych sesyi sejmowych (pisane to, jakby trybunały koronne i litewskie jeszcze nie funkcyonowały), wymienia Skarga i prawa, gwarantujące wolność sumień — przeciw konfederacyi roku 1573 bił i osobnymi, wymownymi pismami i ujmował się za tymi, co zbory burzyli, a na Aryany przeżarł go gniew świątobliwy; więc chociaż do gwałtów nie wzywał, w duchu czasu przeciw tolerancyi stawał. W ósmym, imponującym zakończeniu, wyliczał, co wszystko w Polsce bezkarnie uchodzi.

»Przełożę wam i ja, niegodna proroczyna wasza, niesprawiedliwości, krzywdy, potwarzy, zdrady, którymi to królestwo i obywatele jego uwichłani są, a wychodzić z nich i poprawować się nie chcą, dla których ziemia ta was podobno wyrzuci, a Pan Bóg innym ją narodem osadzi, a od was i synów waszych królestwo odejmie i da je obcym, nieprzyjaciołom waszym, pogubiwszy was i syny wasze, jeźli się nie upamiętacie«. Tu należy »ona krew albo pot żywych poddanych i kmiotków, który ustawicznie bez żadnego zakreszenia ciecze, jakie wszystkiemu królestwu karanie gotuje? Powiadacie sami, iż nie masz państwa, w którymby bardziej poddani i oracze uciśnieni byli, pod tak *absolutum dominium*, którego nad nimi szlachta bez żadnej prawnej przeszkody używa... tak to królestwo poddane robaczki nędzne, z których wszyscy żyjem, opatrzyło... Jako ziarna pod młyńskim kamieniem, tak ci kmiotkowie pod pany swymi. Jeźli nie kupni ani pojmańcy, jeźli Polacy tejże krwie, nie Turcy ani Tatarzy, jeźli Chrześcijanie, czemuż w tej niewoli stękają? Czemu ich nie jako niewolników, ale jako najemników używać nie mamy? Na twej roli siedzi, a źleć się zachowa, spądź go z swej roli; a wrodzonej i chrześcijańskiej wolności mu nie bierz i nad jego zdrowiem i żywotem panem się najwyższym sam bez sędziego nie czyń... A my wierne i święte Chrześcijany, Polaki tegoż narodu, którzy nigdy niewolnikami nie byli, bez żadnego prawa mocą zniewalamy i jako okupione bydło, gdy dla swej nędze uciekać muszą, pozywamy i gdy żywności swej indzie ubodzy i znędzeni szukają, okup na nich, jako Turcy za więźnie, wyciągamy. Czego we wszystkim Chrześcijaństwie nie słychać... Jakoż się z takim prawem wszystkiego na świecie Chrześcijaństwa nie wstydzić? Jako się o taką tyrańską krzywdę na oczy Boskie ukazać? Jako się nie bać, aby nad nami na pomstę od Boga poganie takiej mocy i *absolutum dominium* nie używali?«

Obok tak groźnych wyrzutów stają równie groźne proroctwa:

»I ta niezgoda przywiedzie na was niewolą, w której wolności wasze utoną i w śmiech się obrócą... Bo wszyscy z domy i zdrowiem swoim w nieprzyjacielskiej ręce stękać będą, poddani tym, którzy ich nienawidzą. Ziemie i Księstwa wielkie, które się z Koroną zjednoczyły i w jedno ciało zrosły, odpadną i rozerwać się dla waszej niezgody muszą... Odbieżą was, jako chałupki przy jabłkach, gdy owoce pozbierają, którą lada wiatr rozwieje, i będziecie jako wdowa osierociała, wy coście drugie narody rządzili, i będziecie ku pośmiechu i urąganiu nieprzyjaciołom swoim. Język swój, w którym samym to królestwo między wielkimi onymi słowieńskimi wolne zostało, i naród swój pogubicie i ostatki tego narodu tak starego i po świecie rozkwitnionego, potracicie i w obcy się naród, który was nienawidzi, obrócicie, jako się inszym przydało. Będziecie nie tylo przez pana krwie swojej i bez wybierania jego, ale też bez ojczyzny i królestwa swego, wygnańcy wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy włóczęgowie, które popychać nogami, tam gdzie was pierwej ważono, będą. Gdzie się na taką drugą ojczyznę zdobędziecie, w którejbyście taką sławę, takie dostatki, pieniądze, skarby i ozdobności i rozkoszy mieć mogli? Urodzi-li się wam i synom waszym taka druga matka? jako tę stracicie, już o drugiej nie myśleć...«

»Cóż mam z tobą czynić, nieszczęśliwe królestwo? kto tu na was ze wszech stron królestwa zebrane i na głowy ludu patrzy i wasze obyczaje i sprawy widzi, domyślać się może, jakie niezbożności i grzechy po wszystkiej koronie panują. Bychbył Izaja-

szem, chodziłbym boso i na poły nagi, wołając na was, rozkoszniki i rozkosznice, przestępniki i przestępnice zakonu Bożego... Ustawicznie się mury Rzeczp. waszej rysują a wy mówicie: nic, nic. Nierządem stoi Polska! Lecz gdy się niespodziejecie, upadnie i was wszystkich potłucze... Bójcie się wżdy tych pogróżek. Jać objawienia osobliwego od Pana Boga o was i zgubie waszej nie mam; ale poselstwo do was mam od Pana Boga i mam to poruczenie, abym wam złości wasze ukazował i pomstę na nie, jeśli ich nie oddalicie, opowiadał. Wszystkie królestwa, które upadły, takie posłańce Boże i kaznodzieje miały, którzy im wymiatali na oczy grzechy ich i upadek oznajmiali«.

Na takie wyżyny nie wzniósł się żaden kaznodzieja, spółczesny ani późniejszy, katolicki ani protestancki. Spowiednik swego narodu, gorącą jego miłością niepokojony o przyszłość, nie zaniedbywał Skarga żadnej sposobności, by nawoływać do kolei, co z niej wykroczyło, czy żołnierstwo polskie, które wedle słów Jana św. strofował (Żołnierskie nabożeństwo, 1606, przetłumaczone na czeskie, Pobożny soldat, 1636); czy trybunały polskie, na które wybierają ludzi młodych i kacerzy (1609); nie przewidywał Skarga, że już w trzydzieści lat później przyzna katolik:

Gdyby czasem nie Lutrzy oparli się sami,
Snadźby wszystek trybunał wzgórę stał nogami

(Twardowski S., »Satyr« 1640 r.). Ostatnią jego pracą kaznodziejską było »Wzywanie do pokuty obywatelów Korony i W. Księstwa Litewskiego«, streszczenie niby Kazań Sejmowych, przedsięwzięte na usilne prośby spowiednika królewskiego, pytającego słusznie: któż je w grubym owym tomie Kazań Przygodnych czytuje? w pierwszej jego części wylicza przewinienia narodowe, w drugiej wzywa do skruchy i żalu. Dalej epilog niby tego kazania: Wzywanie do jednej zbawiennej wiary i Na moskiewskie zwycięstwo kazanie czynione w Wilnie 25 lipca roku 1611; we wrześniu umarł; »twarda rola strudziła wołu starego, a pracy na niej w dobrym żniwie nie znać; chytre ryby, od sieci Twej uciekając, poimać się nie dają... nie pomaga im poselstwo Twoje i wołanie moje, do pokuty rzadki bardzo powstaje«.

Wujek i Skarga pisywali niemal wyłącznie po polsku, nawet

na zaczepki łacińskie; z przekąsem mawiali protestanci, że czyni to Skarga dla udatniejszych żartów i żeby na pospólstwo działał. Skarga przyłożył się walnie do jeszcze jednej roboty, otwierającej najdalsze widoki, najfatalniejszej w skutkach.

Proces polonizacyi, a po części i latynizacyi, Rusi polskiej i litewskiej odbywał się w coraz żywszym tempie, gdyż Rusi brakowało żywiołów moralnych, o któreby się w nierównej walce opierać mogła. Trzymał ją jedynie obrządek; poza nim Ruś szlachecka mówiła, pisała, myślała tylko po polsku; ta szlachta spolszczona dostępowała nieraz i episkopatu ruskiego, nadawanego przez króla i byle jakiemu grzesznikowi, co na stare kolana wczasów i dostatków biskupich chciał zażywać; od szlachty przechodził język polski i do ruskich mieszczan, co się około cerkwi i bractw, założonych na wzór zachodni, kupili; chłopi tylko i duchowieństwo wiarę i język i obyczaj dawny zachowywali. Nauki, wiedzy, poloru nie było; kto ich nabywać chciał, szkoły polskie, dwór pański nawiedzał; domorosły uczony, jak ów ihumen supraślski Kimbar, poprawiał chyba Pismo święte, np. Waryona na Howory o nich, albo, choć mędrszy i głębszy, odrzucał fanatycznie naukę łacińską, jak Jan z Wiszni, gorący wielbiciel Rusi patryarchalnej; wychodźca z Moskwy, kniaź Kurbski, dziwił się upadkowi, brakowi książek, tłumaczeń, i sam łaciny się uczył, aby niedostatki łatać. Jednostki nawet rozporządzający olbrzymimi środkami, książę Ostroski, twardy Rusin, lecz dobry Polak zarazem, nie uchronił syna własnego od przyjęcia katolicyzmu; inni trafiali do Rzymu przez Genewę lub Witenberg; przy Konstantynopolu nie został rychło nikt prócz czerni. I ci nawet, którzy nie rzucali pisma ruskiego i mowy przodków, naginali się coraz bardziej do polszczyzny; tłumaczyli rzeczy polskie językiem, wchłaniającym coraz więcej elementów polskich, tak, że wkońcu tylko pisownia i formy niemal oba języki dzieliły. Gdy więc po chwilowym powodzeniu protestantyzmu katolicyzm znowu na siłach się poczuł, gdy coraz liczniejsze odstępstwa przerzedzały szeregi luterskie i kalwińskie, musiała u Jezuitów, postępem dotychczasowym ośmielonych, zakiełkować i myśl, czy nie da się o wiele łatwiej i szybciej i duchowieństwa ruskiego, a z nim i ludu do uznania Rzymu, do unii nakłonić; mogłaż przecież ta Ruś, jeśliby do unii doszło, oddziaływać i dalej na wschód, i zamajaczyło może gorącym wyobraźniom niby poweto-

wanie straconego Zachodu i Północy, pozyskanie Wschodu, tak jak i szerzenie katolicyzmu w Indyach Wschodnich i Zachodnich szczerby europejskie zapełniać miało wedle planu Opatrzności. Herbest, na ruskiej ziemi zrodzony, i Skarga, w Wilnie o Ruś prawosławną ocierający się, wydali hasło, szczególniej ostatni księgą dedykowaną księciu Ostroskiemu »O jedności kościoła Bożego pod jednym pasterzem i o greckim od tej jedności odstąpieniu« (1577, dziełem tępionym przez prawosławnych, powtóre 1590 wydanym). Lecz uznał Skarga sam, że łatwiej nowotnych kacerzy nawracać albo choć pokonywać, niż Ruś, na starodawną cerkiew i ojców swoich się powołującą; mimo to nie ustawał, dowodząc, że nie prawdziwego słowa, raczej prawdziwego kościoła szukać należy, że, kto się z katolickim nie połączy, bez głowy uschnie. Myśl nie padała na opokę; próby porozumienia podejmowano i dawniej; sam związek państwowy myśl tę poddawał ciągle; po jej urzeczywistnieniu mogła Ruś oczekiwać zrównania swego duchowieństwa z katolickim, nabywania szkół, szerzenia oświaty i moralności. Więc i Ostroski sam jakiś czas myśli tej sprzyjał, choć ją później bezwzględnie zwalczał, i wyższe duchowieństwo ruskie, metropolita i episkopi, nie mogąc od patryarchatu z pod niewoli tureckiej ani moralnego poparcia skutecznego otrzymywać ani zbyt się go obawiając, zaczęło pertraktacye z Rzymem, które na synodzie brzeskim unią ukoronowano. Dziejopisem tej unii został Skarga: »Synod Brzeski i jego obrona« (przeciw prawosławnym, odmawiającym synodowi prawomocności). Rok 1596 zaczął więc nową walkę wyznaniową; do dawnych sporów z protestantami wszelkich odcieni przybyła walka o unię i prawosławie, i poraz pierwszy, co się protestantom niemieckim w Konstantynopolu nie udało, dobić się jakiegoś uznania od patryarchy, dokonali oni na ziemi polskiej przeciw wspólnemu wrogowi, przeciw katolicyzmowi; na synodzie toruńskim bratali się jawnie protestanci i prawosławni, ślubowali sobie pomoc skuteczną.

Otóż i ta walka toczyła się wyłącznie niemal piórem polskim, nawet ze strony ruskiej. Na księgę brzeską Skargi odpisał z polecenia starego Ostroskiego Philalet — prawdomił, co dla swej *Apokrizis* ten pseudonim wybrał, aby nie zdradził, że to Polak i kalwin Rusi i prawosławia bronił; Hipacy Pociej, metropolita unicki, prowadził tę polemikę wytrwale a zręcznie dalej, w licznych, anonimowych broszurach.

Tak wszechstronną działalność rozwijali Jezuici. Zwalczali protestantyzm na każdym polu; oni wyłącznie polemizowali z Wolanem na Litwie, z Socynem i Grzegorzem z Żarnowca w Małej Polsce, z Glicznerem i Turnowskim w Wielkiej, po łacinie i po polsku; ich kazania i przekłady Pisma św. rugowały inne; ich szkoły zaludniały się, coraz nowe kolegia przybywały, od Rygi i Połocka aż do Sandomierza; kolegium wileńskie przybrało tytuł i funkcye Akademii, choć tylko o dwu wydziałach, filozoficznym i teologicznym; już zaczynała się lękać akademia krakowska o przywileje i egzystencyę, chociaż dotąd zgodnie z Jezuitami przeciw kacerzom stawała. O ile szkoły jezuickie przewyższały akademickie, dowodziły najlepiej pisma, z nich wychodzące, np. co »retorowie« poznańscy za Belarminem przeciw Chrząstowskiemu roku 1600 spisali: znajomość greczyzny, cytaty z Arystotelesa, Platona i t. d. w oryginale, wzorowanie się na najlepszych źródłach łacińskich, czerpanie pełną ręką z Ojców kościoła wykazywały wiedzę i wprawę, jakiej nie w szkole krakowskiej nabywano; starsi uczniowie ćwiczyli się codziennie w »kontrowersyach«, młodsi tylko w dni świąteczne.

Że te nadzwyczajne postępy, fawory Batorego i Zygmunta III, książąt kościoła i magnatów, połów dusz coraz obfitszy, strasznie protestantów w oczy kłóły, było naturalne. Nienawiść całą wyzionęli w pisemku, naśladującym niby Ostroroga dawne *monumentum*, protestantom znane, a podszywającym się pod firmę szlachcica polskiego, w słynnym *Equitis Poloni in Jesuitas actio prima* wydanym roku 1590, powtórzonym 1591, przetłumaczonym roku 1592 na niemieckie *(Schwarm des heiligen römischen Bienenkorbes)*, wywołującym bogatą literaturę; w samej Polsce odpisał natychmiast Reszka, prawa ręka Hozyusza, wydawca pism jego [1]); dzieło Reszki (Gąbka, którą mażą się wyzwiska i t. d., łacińskie) powtórzono r. 1591 w Ingolsztadzie, a roku 1592 w Neapolu; kanonik, a późniejszy biskup krakowski, Marcin Szyszkowski, wydał

[1]) Prace Reszki inne celują polszczyzną, np. jego Przestroga pastyrska do miasta Warszewskiego roku 1585 z ślicznym listem o jubileuszu rzymskim roku 1575, napisanym do świeżego konwertyty Zborowskiego, z opisem Rzymu, z wzmianką o »wierze węglarzowej« wedle Hozyusza: ja wierzę w to w co kościół św. wierzy — a kościół? w to, w co ja, tak uszedł węglarz sideł doktorowych.

jeszcze roku 1590 mowę za Jezuitami. W autorstwo owej napaści, był wmieszany Aryan, nauczyciel szkoły lewartowskiej, Wojciech z Kalisza, a poniekąd może i Klonowic; już on wytoczył działa, z jakich przez wiek XVII Jezuitów, nie tylko w Polsce, ostrzeliwano, nabite kłamstwem i oszczerstwem. Jezuici to nowi krzyżacy na usługach króla hiszpańskiego, którego absolutyzm zachwalają, drogę mu do Polski torują; w sześć dni dostanie się okrętem z Antwerpii do Gdańska; dla niego to budują oni swoje kolegia na wzór fortec! Nicuje wszystko, ich ubranie, sposób życia, głównie zaś szkoły; one wyludniły krakowską, liczącą dawniej po cztery tysiące młodzieży; one nęcą wystawieniem bogatym, a częstym komedyi i tragedyi, odwodzącym tylko od właściwej nauki; mimo to ze szkół ich, bezpłatnych niby, pożytku niema, nie wychodzą z nich większe talenty; narażają tylko kościół rzymski pismami swoimi na pośmiewisko, nawołują do wytępiania protestantów mieczem i gwałtem, burzą pokój publiczny; kto ojczyznę miłuje, zguby tej dłużej niech nie znosi. Spółcześni nie wiedzieli dobrze, kto tę »akcyę« uknuł, a kto ją w Niemczech wydrukował. Nie jedyny to zresztą pamflet polski na Jezuitów XVI wieku; pisano je i po polsku i wierszami, np. Konterfet Jezuitów, Rycerstwo jezuickie z powodu napadu na zbór poznański; odpowiadano tak samo, np. w zjadliwym, a trafnym Odpisie »Chwaliboskiego«, roku 1597, lecz z *Actio* nic porównać się nieda.

Inne zakony i duchowieństwo świeckie, wobec tej nadmiernej ruchliwości jezuickiej, cofają się zupełnie na drugi plan, chociaż i z nich wychodzą nieraz dzielni szermierze, np. słynni kaznodzieje dominikańscy, Łukasz ze Lwowa i Melchior z Mościsk, których Orzechowski, Nidecki, Sokołowski i Wojciech z Kalisza wspominają; gdy w Przeworsku Łukasz przyszłe klęski polskie wzorował, drżeli wszyscy, jakby dzień sądu nadszedł. Kaznodzieja Batorego, Sokołowski, działał więcej uczonością, niż wymową, i głównie po łacinie kazał i pisał; on to odkrył Europie konfuzyę, w jaką patryarcha konstantynopolitański protestantów wprawił. Kanonik poznański, Hieronim Powodowski, z polskich kazań swych układał traktaty moralne, np. Korab zewnętrznego potopu (przeciw zbytkom w jedzeniu i piciu, r. 1578) w jędrnej polszczyźnie, chociaż twierdził, że różnych słów albo tytułów dyalektycznych »naszym polskim językiem, który się więcej kuchnią, niż dyalektyką, bawił — Polski język o rzeczach kuchennych obfity — właśnie wyłożyć nie możemy«, tedy je po »łacinie« kładł. Układał ze swych kazań i traktaty polemiczne, np. Wędzidło na sprosne błędy a bluźnierstwa nowych Aryanów (1582) r. i t. d.

Swary teologiczne zaprzątały głowy świeckich i duchownych; nic więc dziwnego, że wykoleiły liczne talenty, sprowadziły je z dróg właściwych na manowce jałowej polemiki, gdzie zmarnowały się siły najlepsze. Zapowiadał się np. ks. Patrycy Nidecki, jako filolog, zbiorem swym fragmentów Cycerońskich, tymczasem zeszedł wkońcu na »miedź brzęczącą«, a jedyną jego zasługą było, że marną polemikę, obce argumenty, w najświetniejszą szatę humanistyczną, Chrystusa w Cycerona, ubierał. Luteranin Erazm Gliczner, wypowiadający trafne poglądy pedagogiczne w najdawniejszej, oryginalnej polskiej książce o wychowaniu dziecinnym (1558), tłumaczący, aż nadto niewolniczo, mowę Izokratesa[1]), niebawem rzucił pedagogię i filologię na zawsze, aby się z nowochrzczeńcami o chrzest dziatek, z kalwinami o konfesyę augsburską a z »księżą szkolną Jezuitami« o wszystko spierać. Toż było z Jezuitami, Warszewickim i Herbestem; ale i zwycięski antagonista Herbesta w sporze gramatyczno-dyalektycznym o budowę okresów, pierwszym w Polsce, poruszającym wiele piór, Jakób Górski, najzasłużeńszy profesor krakowski, od filologii i wymowy do teologii dał się przeciągnąć. Przykłady odwrotne należały do rzadkich wyjątków, np. Marcin Płachta, później Kwiatkowski, co to od fałszowania wyznania augsburskiego do panegiryków łacińskich i polskich na cześć Stefana Batorego przeszedł; Sarnicki zbiegł od teologii do historyi i praw polskich. Najwybitniejsze przykłady

[1]) Dodał ją do dzieła Reinharda Lorichiusa o wychowaniu i o ćwiczeniu każdego przełożonego, co St. Koszucki, na życzenie książąt Słuckich z łaciny wyłożył. Obce te dzieła moralno-pedagogiczne oddziaływały znacznie na literaturę domową, na Reja np.; tu należą przekłady z dzieła starszego Wergeryusza, owianego, acz z XIV wieku pochodzi, świeższym duchem (Marcina Kwiatkowskiego książeczki rozkoszne o poczciwym wychowaniu dziatek roku 1564) i, przy samym końcu wieku, za przykładem Niemców i Czechów, Hermana Schottena, »O cnocie albo żywocie człowiekowi przystojnym«, dziełko XVI wieku, trybem średniowiecznym napisane, z ciągłymi cytatami autorytetów chrześcijańskich i pogańskich, prozaików i poetów, których tłumacz gładkim wierszem polskim przekładał; traktat Schottena i w oryginale i w przekładzie zażywał popularności w Polsce, większej, niż we własnej ojczyźnie.

zupełnego wykolejenia przedstawiali głównie Orzechowski i Fryc, po części i Wolan.

Anarchizm ruski, wybujały jeszcze za walk bojarskich z Romanowicami, nie poskromiony późnym przyłączeniem Rusi do Korony, objawiał się i w rodach polskich, osiadłych na Rusi, u Stadnickich, Zborowskich, Herburtów, Szafrańców, Jazłowieckich i in.; udzielał się i blizkim małopolskim sąsiadom, a wyróżniał ich dobitnie od Wielkopolan i Mazowszan; ujawniał się i w przeciwieństwie dwu odmiennych typów, demagoga-warchoła Orzechowskiego i Fryca, pedantycznego niemal rzecznika porządku monarchicznego. Obaj, wystąpiwszy z pismami politycznymi, dla teologii je rzucili, i razem idąc z początku, niechybnie zderzyć się musieli. **Orzechowski** wolnomyślniejszy od młodości swej, wypielęgnowanej w Witenbergu; nie nawrócony w Rzymie; zgorszony nieuctwem kleru i biskupa, wobec których perły swej wymowy miotał napróżno, i rozwiozłością ich obyczajów; nachylający się już dla samej przekory ku Rusi domowej; oburzony na potępianie jej krakowskie; z punktu celibatu, wniesionego do kościoła, jako obowiązującego, późno, zaczął się na kanony i autorytety burzyć, odgrażać, że i sam do Grecyi trafi, do której właściwie z plemieniem słowiańskim należy; że zaś przedewszystkim był retorem czy sofistą, iście aleksandryjskiego wyrobu, więc i argumentów za greczyzną, a przeciw celibatowi mu nie brakło. Listem polskim do Modeckiego, który w miesiącu całą niemal »Sarmacyę« obiegł, łacińskimi mowami i pismami do papieży, poruszał opinię publiczną, wyzywał przełożonych, a miary dopełnił, żeniąc najpierw Krowickiego, potym siebie samego. Tu jednak zwichnęła się karyera jego; żenilić się i inni, od Lutera począwszy aż do Łaskiego i Krowickiego, ależ konsekwentnie rzucali i kościół rzymski; tegoż więc oczekiwali protestanci polscy od Okszyca, co to dostawał już jurgielty od Radziwiła; lecz Okszyc o wystąpieniu z kościoła przodków ani myślał, choć »Precz z Rzymem« nawet napisał, za dumny, żeby jakiej nowej wiarce się poddać, pójść pod komendę jakiegoś wywłoki czy wyrwy; teologia sama była mu obojętna, nie wiele on też z niej wiedział, chociaż przeciw herezyom, przeciw Stankarowi i Frycowi pisał, a przyjaciela dawnego, Krowickiego, i napaści na wiarę rzymską już się roku 1551 uroczyście wyrzekał; co pisał przeciw »kacerzom«, ma wartość jako próbka sarkazmów,

sofistyki, ślepego zacietrzewienia wreszcie, tylko z teologią i z prawdą, a choćby powagą, nie wiele ma spólnego. Więc nie tylko przy katolicyzmie został, ale nawet na jego najgorliwszego obrońcę się wykierował, gwałtownością wystąpienia zagłuszając głos we wnętrzny i opinię protestantów, którzy chwiejność jego nerwom, lunatyzmowi przypisywali. Tak strawił Orzechowski na polemice teologicznej, przeciw Rzymowi i za nim, lat kilkanaście, kąsając, kto się nawinął, choćby Fryca lub Kromera, którego dawniej podziwiał — jakżeż śmieli miejscy synkowie być innego zdania, niż szlachcic z antenatów? tem bardziej, skoro zdanie Kromera cały kościół dzielił. Innymi rzeczami przez ten czas mało się bawił; najważniejsze, to pamiętniki burzliwego pięciolecia po śmierci starego króla, pisane łaciną, z pod której żywość temperamentu i barwność opowiadania na wierzch biją; znaczenie ich umniejsza nieco wysunięcie zbytnie sprawy własnego ożenku. Ale wyłajawszy dosyta teologów, a heretyków oplwawszy z wściekłością, pofolgował Orzechowski wrodzonej żyłce publicystycznej, odzywania się na każdą potrzebę i złość dnia, i zaczął pisywać dyalogi polityczne, aby »Policyą Królestwa Polskiego«, niby w kontr platonowej i arystotelesowej, zakończyć, lecz styrany i znękany walkami, wywołanymi lekkomyślnie, zgasł przedwcześnie. Te dzieła miały szlachcie oczy otworzyć na prawdziwe znaczenie ruchu egzekucyjnego, na fundamenty ustroju polskiego, na grożące ich nad wątlenie; lecz i tu nie ustrzegł się najkolosalniejszych paradoksów; owszem, jakby umyślnie, brnął w nie coraz głębiej, wyzywając i policzkując opinię publiczną, np. tyradami o niewoli litewskiej, należnej dla Wielkiego Księstwa, a złotej wolności polskiej, Koronie w darze od niebios zesłanej; nawet arcykatolik i dobry Polak, wójt Rotundus, musiał się na to srogo »oszunąć« (ofuknąć), wykazać matactwa, »łapaczki« »przybranego« Polaka. Paradoksy, o hierarchicznym ustroju Polski, o nadwładzy prymasowej, bo boskiej, o węgłach duchownych, na jakich filary państwowe osadzał, czyniły dyalogi, rozrzucane podczas sejmu, niesmacznymi, bo jednostronność i skrajność ich raziły w oczy, schlebiały nadto stanowi, którego znaczenie właśnie wtedy się podrywało; płynął więc polityk przeciw prądowi, zyskiwał aprobatę nuncyuszową, a tracił powagę między bracią, jak nieraz, »gdy go pióro unosi, a tak się rozbaje« (A. Wolan o nim roku 1564). Po raz ostatni wystąpił

publicznie na sejmiku wiszeńskim roku 1566, prawiąc od rycerstwa ku panom, skromnie niby, a ostro, zarzucając im, że nie wiedzą, co się w Polsce dzieje, jak obrazy malowane: oto ja ich przed wami spytam, o święci malowani, powiedzcie nam ludziom grzesznym, co się teraz w niebie dzieje — pytam was, czemu milczycie? Oto milczą, nic nie mówią — tym świętym podobni w radzie polskiej wyście są, nasi miłościwi panowie! I tu to wyznanie chylenia się ku upadkowi: »my wszyscy, co nas kolwiek ludzi w Polsce jest, mówimy i to słowo w uściech swych mamy zawsze: zginiemy... niemasz w niej Boga, niemasz prawa, niemasz rządu, niemasz zgody«; i tu skargi na obniżenie władzy prymasowskiej. Występowaniem przeciw władzy królewskiej zaskarbił sobie Orzechowski łaski szlacheckie i aż do XVIII wieku kołatały się po obronach anarchii polskiej cytaty dzieł nawet rękopiśmiennych, nie mówiąc o przedrukach, w których »Wiernego Poddanego« (*Fidelis Subditus,* od roku 1584, potym 1639 i 1696) i »Apokalipsę« (około roku 1580, potym 1626, 1630, 1660, 1696 — nie mówiąc o polskich jej przeróbkach), coraz odnawiano; warchoł Zborowski na sejmie konwokacyjnym r. 1587 czytał nawet słowa »naszego Orzechowskiego« (z »Wiernego Poddanego«), aby panowie Rada wiedzieli, »jako chwalić i jako się oponować Panu o wolności i dobro pospolite«.

Z dzieł tych jedno, »Apokalipsa«, nie było nawet wcale pióra Orzechowskiego; znaleziono je między jego skryptami i, jako jego, zawsze wydawano; tonem, otwartością przypominało Okszyca, chociaż godziło właśnie w Zborowskich i Szafrańców. Napisał je i ofiarował królowi roku 1564 **Solikowski,** późniejszy arcybiskup lwowski, dyplomata i historyk w rodzaju Kromera, popisujący się niegdyś i wierszami łacińskimi i polskimi (o Lukrecyi, gdzie najlepsze jednak wiersz polecający Trzecieskiego); umyślnie jednak zostawił rzecz w manuskrypcie, aby obcy nie dowiedzieli się o stanie Rzeczypospolitej [1]). Widzenie to autora, rzuconego na

[1]) Dziecinny ten wzgląd wystawiano nieraz, np. gdy zakazywano przedruk Długosza i t. d., jak gdyby ci obcy nie wiedzieli byli lepiej, niż Polacy sami, co się w Polsce dzieje, gdzie żadnej tajemnicy państwowej ani na chwilę ukrywać nie umiano; wiedziałyż o niej zaraz przekupki na trecie. I »Apokalipsa« natychmiast się w obce ręce dostała: najlepszy jej odpis posłano z Piotrkowa w lutym roku 1565 do Gdańska, gdzie w archiwum miejskim do dzisiaj przetrwał. Odpis ten ma licz-

wyspę Patmos, grodu otoczonego wrogami, wewnątrz niedbałego i rozerwanego, gdzie śpią prawa i władza, a panuje prywat-sobkostwo, pędzący nawę państwową ku rozbiciu; opierają się król i cnoty, porządek się przywraca, nieprzyjaciele strwożeni odstępują. Aluzye były bardzo przejrzyste, dotykały haseł ówczesnych, unii, egzekucyi, bezdzietności królewskiej, anarchii religijnej — wstawiał się autor nawet za ubóstwem akademii, żądał nagród dla jej prac, a w przedmowie przestrzegał trafnie przed Moskwą, której potęgi nawet liczne klęski nie nadwerężą. Przeróbka polska Grzegorzkowica około roku 1589 (wydana przez Herburta r. 1616) w bardzo lichym wierszu całkiem swobodnie z oryginałem sobie poczyna, i tu zjawienie młodego króla i »niemieckie nieuszanowanie« (Byczyna) ratują porządek i państwo, chociaż jeden z kamieni przydrożnych nawet woła:

O przed upadkiem nad kamień stwardziały
Narodzie polski, przygód zapomniały,
Jeśli przypadki blizkie cię nie zkrócą,
Twoje wywrócą.

Orzechowski to w dawnej Polsce pierwszy pisarz z temperamentem, nerwowy; inni, jeśli prywacie nie folgowali, pisali rozważnie, chłodno, głową, nie sercem, nadrabiając. Pierwszy odczuwał gorąco i głęboko, co pisał; pisał namiętnie, z krzykiem na ustach i z bólem w sercu; chciał słuchacza to olśnić przepychem i doborem słów, to przerazić zeznaniami straszliwymi: »byś serce moje rozkroił, nie znalazłbyś w nim nic innego, jedno to słowo: zginiemy«, albo »iż nas i tę sławną koronę postronni sąsiedzi między się, jako psi flak, roztargną«. Ta miłość gwałtowna tej ojczyzny nierządnej i tej braci nieopatrznej każe nam zapominać o paradoksach tej świetnej a burzliwej, wichrowatej głowy — nie darmo z tej samej ziemi wychodzili i inni podobni patryoci, a doktrynerzy, Herburt i Fredro. Mało pisywał po polsku sędzic prze-

niejsze, niż inne, rysunki i wiersze łacińskie Solikowskiego do możnowładców, gdzie ich o zgubę ojczyzny oskarża: napisałem, com widział... nie dosyć słów samych i tylko powtarzać zawsze, zginęliśmy, zginęliśmy, nieszczęśni... wasza to (możnowładców!!) zasługa, że giniemy i Macierz nasza z was ma przyczynę swej zguby! Oblicze króla, ratującego wóz państwowy przed stoczeniem się w przepaść, to portret Zygmunta Augusta.

myski, dbający o rozgłos po świecie, ale co pisał, czy to panegiryk na Tarnowskiego hetmana, czy paszkwil na Stankara lub Krowickiego, krwią a żółcią pisał, a tak wymownie, że świadectwo o złotym jego piórze, wobec którego Górnicki własne ołowianym nazywał, tylko mu sprawiedliwość wymierza.

Nie dziw więc, że zapalała się szlachta do pism i pomysłów Demostenesa roksolańskiego, chociaż między nimi jak w śliwkach przebierała, odrzucała teokratyczne hiperbole tego X. de Maistre XVI wieku i sarkania na kacerzy jadowitych, a trzymała się oburącz tyrad opozycyjnych. Tylko duchowni szli całkiem za Orzechowskim, np. taki ks. Hieronim Krzyżanowski, który kazania swe (r. 1566) poprzedził przemową do Polski; nastawał na blizkie jej zginienie: nic się nam nie wiedzie, wewnątrz rozdarcie, na zewnątrz niemoc, daremne obrady, daremne nawoływania, a wszystko dlatego, że rzuciliśmy dawną, prawdziwą wiarę — tak zwalono winę anarchii na reformacyę! — »których kacerzów obłędliwych a sprosnych takeś się barzo rozmiłowała, ucieszna Polsko (nieszczęśliwa teraz), że chodzisz za nimi, jako za jakimi skokany, bowiem cię wiedli i jeszcze wiodą za nos tam, gdzie chcą«. Już to duchowni zawsze źle wróżyli Polsce, już w pół wieku przed Skargą Górski (Stanisław) w żywocie Kmity prorokował to samo, że zaślepił nas Bóg, aby nas dla grzechów naszych »oddał w niewolę ludowi okrutnemu, ludowi sprośnemu, ludowi, którego języka nie rozumiemy — zguba wasza nadchodzi«. Nie przypadkiem więc i pleban we »Wróżkach« Kochanowskiego tak »bardzo źle tuszy Rzeczypospolitej: wszyscyć to ludzie tak mali, jako i wielcy, wobec mówią, żeśmy zginęli«; i on w rozterku około wiary »wzruszenie fundamentów Rzeczypospolitej«, upatruje.

Między duchownymi więc znachodził Orzechowski przekonanych wielbicieli, takiego Górskiego (Jakóba), co po jego śmierci dzieła jego (»Poddanego«, czy i »Apokalipsę«?) wydawał, albo Jana Łazarzowica (syna drukarza Łazarza Jandrysa), później uszlachconego (Januszowskiego), niegdyś dworzanina królewskiego (dlatego i pod pseudonimem Jana Podworzeckiego pisał?), potym duchownego. W »Syon pochylonym« (r. 1587), przyczyny pochylenia Syonu, osierocenia Polski, jawnego jej upadku, upatrywał w odstępstwie od wiary, w związaniu sumienia królewskiego niezbożną konfederacyą, w ograniczeniu władzy duchownej, którą z »onym

wielkim Orzechowskim« na czoło wysuwał, żądając, żeby nareszcie jego »Policyę« ogłoszono; Polska mu wszystkim, tu mogłaby być Wenecya z bogactwami, Paryż z wielkością i ochędóstwem, Rzym z duchowieństwem i starożytnościami, »których pełno około Kijowa«: mogłaby być, jednym słowem, krajem najpiękniejszym i najbogatszym, gdyby tylko chciała! Wdzięczniejsze zadanie wypełniał Januszowski, wydając dzieła innych, Górskiego lub Kochanowskiego, troszcząc się o ortografię polską, zbierając konstytucye polskie w brzmieniu polskim, nawet pisując *ascetica*, np. »Naukę umierania chrześcijańskiego«, i rzeczy obyczajowe, »Poprawę niektórych obyczajów polskich potocznych«.

Fryc po polsku nie pisał; pedant, łaciny nie odstąpił ani na krok, prawda, że w latach późniejszych głównie rzeczy dotykał, jakich nie horyzont polski określał. Gdy politykę rzucił, już do niej nie wrócił; zastygł przy sporach dogmatycznych, do których przystępował ze spokojem i chłodem włoskich herezyarchów jurystów, Alcyatów i Socynów, i do podobnych rezultatów docierał, w naiwnej wierze, że trafne argumentowanie każdego, i katolika i Aryana, przekonać potrafi. Przedtym gardłował, jak wszyscy protestanci polscy nawet przy końcu wieku, za soborem narodowym i od niego oczekiwał zniesienia celibatu, a dozwolenia kielicha. Nim jednak sekretarz królewski w spory teologiczne z Hozyuszem się wciągnął, do których już w czterdziestu latach zaglądał, układając niby instrukcye dla posłów na sobór, złożył swe przekonania polityczne w najobszerniejszym traktacie politycznym, jaki dawna literatura (przed Konarskim) posiada, w łacińskich naturalnie księgach o poprawie Rzeczypospolitej, tłumaczonych w całości na niemieckie (r. 1557), na polskie (r. 1577), w XVII wieku na rosyjskie, częściowo na hiszpańskie (roku 1555). Naturze Fryca odpowiada ten nie tylko najobszerniejszy, ale i najsystematyczniejszy wykład wszystkiego, co sądził o obyczajach, prawach, wojnie, kościele i szkole — bo na tyle materyi i ksiąg podzielił dzieło, które w Krakowie 1551 (i w polskim tłumaczeniu Bazylika) tylko trzy księgi obejmowało; Hozyusz bowiem przeszkodził drukowi czwartej i piątej; dodano je dopiero w Bazylei.

Najdotkliwszy cios politykowi Frycowi zadał Fryc teolog; dla jego herezyi odrzucali Jezuici polityczne dzieło, które całkiem wedle ich myśli wypadło, a Reszka oburzał się na samo zesta-

wianie z Hozyuszem i Kromerem »człowieka, oddanego oborze i gnojówce, dlatego, że coś tam o Rzeczypospolitej bredził«. I zapomniano o monarchiście w Polsce, gdy pamięć anarchisty Orzechowskiego przetrwała, chociaż zagranicą nazwisko Fryca bynajmniej się nie ulotniło. Dzieło jego nie było ani utopią hierarchiczną Orzechowskiego, ani się skłaniało ku absolutyzmowi Makiawela; uznawało ustrój polski stanowy; nie żądało równouprawnienia politycznego ani społecznego, ani mieszczan ani chłopów, chociaż żądało jednego prawa, t. j. żeby szlachcic nie cieszył się przywilejem główszczyzn, żeby chłop ukrzywdzony mógł się z panem prawować, żeby żołnierz nie grabił bezkarnie, żeby ustawał wyzysk w kupiach. Polityk liczył się więc z istniejącym porządkiem; znał i obce, niemieckie i włoskie, i zapożyczał się u nich, np. co o ludziach żebrzących prawił, wyjęte jakby z spółczesnych ustaw gdańskich, albo żądanie większej kary za te same winy, jeźli znaczniejsi je popełnią, przeszło z Wenecyi. Od rzeczy najogólniejszych, od pojęcia państwa, wzorowanego na starożytnych, aż do najdrobniejszych, o ustawach rzeźniczych np., wszystko obmyślane porządnie; sarkanie na ucisk kmiecy, projekty poprawy sądów polskich, utworzenia skarbu stałego są najznamiennejszymi dla całego dzieła. Najkrócej uporał się Fryc ze szkołami, upatrując im prowenty tylko i protestując przeciw nauczaniu dawnej skażonej łaciny i owych rzeczy, »które nie nam, lecz jakiemuś nieznanemu światu, służyć miały«. Mógł się powołać na świeżo wyszłe dzieło mieszczanina pilzieńskiego, **Szymona Marycyusza** (»O szkołach czyli akademiach«, po łacinie naturalnie, roku 1551); autor wyniósł z Włoch wysokie wyobrażenie o godności, zasługach i zyskach stanu nauczycielskiego, ale rozczarował się w kraju, widząc upokarzającą rzeczywistość: dochody czterdziestu profesorów krakowskich, nie przenoszące tysiąca dukatów, t. j. tyle, ile we Włoszech jeden pobiera; barbarzyński tryb nauczania — na autorach niemoralnych i niezrozumiałych; awansowanie od stołu i stajni, nie od nauk — skarga to powszechna na rzucanie nauk dla dworów przed ukończeniem nawet wieku chłopięcego; pogarda mistrzów i wiedzy dla praktyki dworskiej; opustoszenie wskutek tego audytoryów. Od skarg i żalów przechodzi Marycyusz do dobrze obmyślonych i skutecznie poleconych programów lepszego nauczania, chociaż nadto wielką wagę, za trybem czasu, na styl wykwintny kładzie.

Lecz sam niebawem rzuca niewdzięczne nad miary bakalarstwo i korzysta z protekcyi Hozyusza, by się innego chleba czepić; tak samo opuszcza inny znakomity kolega, **Wojciech Nowopolczyk,** szkołę i autorów, aby i teologicznej polemice się poświęcić. Została szkoła krakowska »kołem w oczach kacerskich« (reformacya i dwory dobiły ją do szczętu), ale życia już nie budziła, chociaż mistrzowie jej »na dziesięć grzywien jednak dosyć wymyślali«.

Papież kalwinów litewskich, **Andrzej Wolan,** zapowiadał się, jak Orzechowski i Fryc, również jako polityk — tej karyery zupełnie nie rzucił nigdy — raczej, niźli jako teolog. Podziwiał **Rotunda,** i obaj sobie nawzajem dzieła własne wierszami i listami pochwalnymi polecali; w pierwszym dziesięcioleciu pracy literackiej, od satyry wierszowanej na zmienność polską, nie tylko w strojach i głowie (»Proteusz czyli Odmieniec«) aż do księgi »O wolności Rzeczypospolitej albo szlacheckiej« (*De libertate politica seu civili,* pod takim tytułem w roku 1606 wytłumaczono oryginał łaciński z roku 1572) poświęcał się wyłącznie badaniu życia potocznego. Skreślił je, w barwach bardzo posępnych, w owej księdze, gdzie nie zaciekał się nad sprawami politycznymi, o sejmowaniu i t. d., lecz głównie bił na obyczaje, zbytek, brak sprawiedliwości, więcej satyryk i moralizator, niż polityk, i tym od tamtych różny. I Fryc i Wolan zwracali się do indywiduów, budząc moralne ich uczucia, żądali nie praw i instytucyi, lecz polepszenia, poprawy jednostek i łudzili się najzupełniej. U Wolana przebija też skarga na wieczne odkładanie wszelkich spraw do sądnego, nie do sądowego dnia, na ową dojutrkowość Zygmunta Augusta, co nawet takich zawziętych rojalistów, jak Royzyusza, Rotunda i innych drażniła. Niebawem jednak stanął do walki wyznaniowej, prowadzonej na dwa fronty, przeciw »Ebionitom« (Czechowicowi, Budnemu i in.), przeciw którymby cały świat chrześcijański chciał poruszyć, i przeciw Lojolitom, przeciw Skardze, a później Jurgiewiczowi, uczniowi akademii wileńskiej, a potym kanonikowi wileńskiemu, co browarczyka z Lwówka, bo tak Wolana chrzczono, strasznie szarpał: pisma Jurgiewiczowe wychodziły w pięciu językach, najwięcej podobały się jego zjadliwa »Piąta Ewanielia« (czyli wojna jego przeciw maszkarze konsensu sandomierskiego), i »Najstarsi wyznawcy piątej ewangelii, Żaden i Nikt, ukryci w niewidzialnym kościele protestanckim, a przez Lutera, Cwingliusza i Kal-

wina z ciemnic wyprowadzeni« (roku 1599, tłumaczenia niemieckie, czeskie; francuskie roku 1608). Wielkopolanin Wolan na Litwie znaczenia i majątku się dorobił, ród jego do dziś istnieje, ale, schodząc w sędziwym wieku do grobu, widział nadzieje zawiedzione, tryumf katolicyzmu zapewniony.

Tryumfu tego dopinał katolicyzm nie środkami gwałtownymi, jak w krajach habsburskich lub włoskich; dla terroryzmu religijnego miejsca w Polsce wcale nie było. Jeżeli Lippomano, gorąco kąpany Włoch, doradzał, aby z ośmiu herezyarchów ścięto, poczem ruch cały uwięźnie; jeżeli nawet w instrukcyi synodowej z roku 1563 żądano krótkiego procesu i natychmiastowego potym ścięcia (aby ich nie odproszono), Filipowskiego i Lasockiego, Oleśnickiego i Szafrańca, Bonera i Górki, to projekty te były akademiczne chyba, wszędzie, tylko nie w Polsce możliwe. Zarzekali się obaj królowie, stary i młody, gwałcenia sumień, nie przywłaszczał sobie Zygmunt August roli Ducha św., a nawet gorliwy katolik, Zamoyski, ubolewający szczerze nad rozterkami wyznaniowymi, opowiadał się jawnie przy nienaruszalności praw dysydenckiej braci szlacheckiej; nie zdołano, nawet mimo biadań jezuickich i duchowieństwa, osłabić artykułu konfederacyi. W Polsce szlacheckiej wyznania nie dzieliły ludzi; ku zgorszeniu Włochów zasiadał jawny protestant przy stole dostojnika kościelnego, i nikt na to nawet uwagi nie zwracał; do zaostrzenia waśni wyznaniowej, do namiętnych jej wybuchów jeszcze nie przychodziło. Że po miastach młodzież szkolna i rzemieślnicza, podrażniona niewczesnym wystąpieniem jakiegoś akatolika, brogi i zbory napastowała, Socyna i jego książki poturbowała, którego mistrz Wadowita wybawił, było wobec tego, co na Zachodzie się działo, niewinną igraszką. Protestanci mieli prawa zawarowane; nie skutkowały wcale perswazye jezuickie, że protestanckie państwa katolików nie tolerują; w łagodnej, dobrodusznej naturze słowiańskiej miejsca dla nienawiści wyznaniowej jeszcze nie było; cierpiano obok siebie prawosławnych, Ormian, Żydów — czemużby nie i protestantów? Na polskiej ziemi łagodniał nawet sam protestantyzm; powtarzał dawne pieśni katolickie bez skrupułów, a protestantyzm śląski i posty i kult Maryi zatrzymywał. I została Polska gościnnym krajem słowiańskim, do którego trapiony o wiarę, ścigany, jak zwierz dziki, Moskwicin (Kosy albo Artemij) czy Włoch, tęskne zwracał oczy. Wobec niecnych

zbrodni, zapełniających dzieje zachodnie, wobec rzezi hugenockiej, prześladowań angielskich, hiszpańskich i włoskich inkwizycyi, spoczywa wzrok chrześcijański z upodobaniem na cichej, spokojnej Polsce. Mógł Łaski żądać wygnania duchowieństwa katolickiego »nie tylko z Rady koronnej, ale i z Polski, jako Anglia nie dawno udziałała«; można było wypowiedzieć pobyt starcowi, Ochinowi, ale do walki bratobójczej przyjść nie mogło nigdy — braciaż to nasza krew! Na szerokich niwach polskich, gdzie życie nie ześrodkowywało się, gdzie rozpraszały się hasła, a słabły prądy, różnice wyznaniowe jeszcze się nie zaostrzały. I pokazało się niebawem, że pożoga protestancka spaliła tylko na to pola i łąki polskie, aby użyźnić je pod przyszły, bujniejszy posiew nowego katolicyzmu.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

LITERATURA ZYGMUNTOWSKA.

Literatura staropolska: Bielski i Rej, Paprocki i Stryjkowski. Tłumacze. Beletrystyka (powieści ludowe). Wierszoroby. Dyalogi i dramat szkolny. Poezya humanistyczna, łacińska; polska, Kochanowski; pierwsze włoskie tchnienia; Szarzyński; ksiądz Grochowski; mieszczanin Klonowic. Tłumaczenia, Górnicki i inni. Proza humanistyczna, historycy, mowcy. Wynik tej pracy umysłowej; wysoki poziom literatury narodowej; jej język.

Skrzydła reformacyi musnęły wodę sadzawki Siloe, i wyszedł z niej uzdrowiony niemocny, język polski, i ruszył o własnych siłach w dalszą drogę. Lecz zbyt bogate było to dawne życie polskie, żeby się wyczerpało w jednym ruchu, choćby religijnym; na chwilę tylko mogła walka o prawdziwe słowo Boże zagłuszać inne potrzeby umysłowe, przerywać tok myśli humanistycznej i politycznej, zobojętniać ludzi dla sztuki i piękna. Reformacya przyśpieszyła tylko rozwój ich prawidłowy.

Humanistom była nadzwyczaj nie na rękę; gniewali się po prostu na ten gwałtowny zwrot ku ideałom średniowiecznym, ku sporom teologicznym, zagrzebanym, jak mniemali, na zawsze; Erazm Roterdamczyk i Jan Łaski ubolewali nad sekciarstwem rubasznym Lutera, tak niezgodnym z wykwintnym ich humanizmem, tak pogardzającym i potępiającym bożyszcza pogańskie. Ale wobec prądu okazali się bezsilnymi: Erazm stąpił do grobu, pokłócony z protestantyzmem, pozbawiony nimbu nieomylności; Łaski wciągnął się sam między najgorliwszych szermierzy o wiarę; humaniści, Hozusz, Kromer, Nowopolczyk, Nidecki, mieniali klasyczne

elegie i panegiryki na obrony i wyznania wiary. Nie nazawsze jednak i nie wszyscy; wracano do przerwanych studów, a przy nich domagał się język narodowy, wywalczający sobie prawo w piśmiennictwie, coraz większego uwzględnienia. Po tej drodze zaś kroczyli, najlepszym wzorem dla innych, ludzie, którzy albo humanistycznej szkoły, jak stary **Wolski,** albo żadnej szkoły nie przeszli, jak Rej.

Stary Wolski przywłaszczał sobie zasługę:

Jeszcze od swoich młodych lat
Pisał wszem polskie rzeczy rad,
On się na to pirwej obrał,
Drogę impressorom podał,
Pisma polskie imprymować —

rzeczywiście przyłączył się już roku 1535, jedyny niemal szlachcic, do mieszczan, tworzących literaturę narodową, i wydaniem »Kroniki świata« po polsku roku 1551, zarobił na imię polskiego Kariona: kronika opowiadała o monarchiach uniwersalnych, o nowym świecie, o dziejach czeskich i węgierskich, a podług Bernata Wapowskiego, o dziejach polskich. Wolski albo, jak się później od nowej posiadłości ziemskiej nazywał, **Bielski,** nie był historykiem z zawodu: pisarz to średniowieczny, moralista, satyryk, dydaktyk i, prócz kroniki, tylko na tym polu pracował, ale zawsze po polsku i tym na wielką wdzięczność zasłużył, chociaż mu to niepamięcią oddano, wysuwając Reja na plan pierwszy. »Prawdzic« ten, nietknięty od humanizmu, pokazał w swoich wierszach, satyrach, alegoryach, jakimi drogami samorodna, domorosła poezya polska kroczyć mogła, bez podpór i ozdóbek humanistycznych, fałszujących styl polski. Wydał roku 1557 pierwszą polską oryginalną *moralité*, »Komedyę Justyna i Konstancyej, brata z siostrą, jaką im ociec naukę po sobie zostawiał«, niedramatyczne zapasy występków i cnót o posiadanie obojga młodych, zakończone tryumfem cnoty; wiersz wstępny, oprowadzający książkę po ziemi naszej, jest jednym z piękniejszych okazów całej poezyi wieku; nigdy nie napisał Rej czegoś podobnie wdzięcznego i miłego. Znamienne są i satyry jego; »Rozmowa dwu baranów« (z kamienicy krakowskiej pod Baranami), kreśli stosunki miejskie — Bielski, choć na wsi mieszkał, myślą do miasta zawsze wybiegał i szlachtę do polerow-

niejszego, miejskiego życia mądrze i gorliwie, ale próżno nakłaniał; »Sejm niewieści« szydzi z niezaradności i opieszałości męskiej, narzuca się na zbawcę ojczyzny polskiej; obie dowodzą wiele daru spostrzegawczego, dowcipu domorosłego, pojęć zdrowych, wysłowienia jędrnego.

Syn, **Joachim**, wciągnął się w szeregi humanistyczne, pisywał gładkie wiersze, łacińskie, wyjątkowo (na Byczynę) polskie; rozszerzeniem i doprowadzeniem kroniki polskiej ojcowskiej aż do Zygmunta III znakomitą piśmiennictwu narodowemu wyrządził przysługę; czytając jego kronikę, naiwną, szczerą, prostą, acz powierzchowną, oddycha się polskością, wciąga się niby w sam tryb spółczesny i odczuwa tym bardziej krzywdę, jaką wyrządził humanizm literaturze polskiej, jak zatracają się cechy polskie w łacinie Orzechowskiego, Orzelskiego, Heidensteina.

Równocześnie z »poetą« Wolskim wrócił na pole poezyi obyczajowej i satyrycznej, zarzucając polemikę wyznaniową, **Rej**, teraz już pięćdziesięcioletni mąż, rymami i propagandą nowej wiary na całą Polskę sławny. W krótkich odstępach wypuścił w świat »Wizerunek własny żywota człowieka poczciwego, w którym, jako we zwierciedle, snadnie każdy swe sprawy oglądać może«, wzorowany na dziele łacińskim, *Zodiacus Vitae* »Palingeniusza«, humanistycznym, filozoficznym, suchym, i oryginalny »Zwierzyniec, w którym rozmaitych stanów ludzi, zwierząt i ptaków kształty, przypadki i obyczaje są właśnie wypisane, a zwłaszcza ku czasom dzisiejszym naszym niejako przypadające«. W pierwszym dziele oprowadzał autor młodzieńca po rozmaitych filozofach pogańskich, po ogrodach Epikura, po piekle i raju, ażeby w obszernych przemowach cel bytu, drogę żywota, manowce występków wykazać; rzecz w filozoficznej części naiwna i słaba, pozostająca daleko w tyle za subtelnością i głębokością mędrca-ascety włoskiego, w części opisowej zato, obserwującej, satyrycznej, pełna Rejowej werwy, rysów dosadnych, obrazów trafnych, więc bardziej żywa i zajmująca, niż uczony, abstrakcyjny oryginał, bardzo zresztą poważany w Polsce, choćby dla ostrych wycieczek przeciw duchowieństwu, i przeciw — mitologii. We wstępie znachodzimy znowu to charakterystyczne wyznanie, malujące czasy i ludzi: słychać, że »postronni narodowie język, a podobno i dowcip polski na małej pieczy mają, jakoż też z łaski Bożej nie bardzo się jest czym chlubić, gdyż niedbal-

szych ludzi niemasz, jako Polaka, coby się w swym języku mniej kochali... Kto pomni mało przeszłe czasy, albo czyta pirwsze pisma polskie: jeśliże język, albo wymowa, albo każdy iny kształt dzisiejszych Polaków, ku pirwszym terminom polskim jest podobny: którym snadź drugim ledwie rozumiemy. A to się niczym inszym nie dzieje, jedno iż nastało niemało książek polskich, a są drugie i od zacnych i od uczonych sprawione. A tak ty książki, niżej napisane, acz za wstydem wydane: gdyż puścić co na świat, na rozmaite sądy, jest się na co rozmyślić. Ale iście więcej z chuci prawej, niźli dla czego inego są pisany: aby ci, którym Pan Bóg ten funt dał, tu znalazszy co poganić, z tej przyczyny do czego się szyrszego a potrzebniejszego pisać przychylili, a naród swój i język zdobili, a z tego mnimania nikczemnej niedbałości u postronnych się ludzi wywodzili«.

»Zwierzyniec«, nowe świadectwo niezrównanej łatwości wierszowania Rejowej, to wiersze na króla i szlachtę, na kobiety zacne w dziejach, na cnoty, na stany i sprzęty, zakończone pierwszym zbiorem fraszek polskich, figlików, przeważnie z obczyzny zaczerpniętych, z facecyi włoskich i niemieckich; wszystko w szczupłe ramy ośmiowierszowe i w bardzo lakoniczne, cięte zato wysłowienie ujęte, zresztą drastyczne i rubaszne aż nadto. W obu dziełach nie wyzwolił się Rej jeszcze od wycieczek przeciw katolicyzmowi i jego porządkom; dopiero w ostatnim, najdojrzalszym, porzucił je, chociaż podstawy swej kalwińskiej bynajmniej się nie puścił. Jest to zbiór kilku dzieł i rozpraw, objęty głównym tytułem »Zwierciadło albo kształt« i t. d., mieszczący w sobie na czele »Żywot poczciwego człowieka«, drukowany od roku 1567 do 1568, każda część dedykowana innym osobistościom, z coraz nowego miejsca pobytu, dowodząca najwymowniej, jak to autor żył na dyszlu. Do »Żywotu« przydał traktaty polityczne, alegorye, wiersze na ludzi i narody — pierwszą ich charakterystykę, po części wcale trafną, choć Rej z granic polskich, a raczej małopolskich nogi nie wychylił — i napisy na sprzęty: ówczesna »poezya« rozkoszowała w nich, jakby napis z moralną nauczką ręczył za moralność właściciela czy mieszkańca; wiara w magiczną siłę słowa, czy przesąd, trzymały się głów uparcie. Katechizm Reja o obowiązkach i trybie życiowym, od kolebki do zgonu, choć ogólnikami swymi wpływy Seneki, Schottena i Lorichiusza ciągle zdradzał, zastoso-

wany ściśle do pojęć i potrzeb szlachty - braci (innych stanów nie dotyczył), malował już tę szlachtę zadomowioną, co od przygodnych posług obywatelskich, mieczem i radą, stale do domowego ogniska, do żonki i dziatek, do konika i piesków, do gospodarstwa, pola i książki się wymykała, jakby ta Polska szlachecka żadnych granic otwartych, żadnych wrogów czujnych, żadnych skaz wewnętrznych nie miała; krótkowidzący optymizm autora nie znał rozdzierającego piersi okrzyku Orzechowskiego: giniemy!

Jak polityka - Fryca, tak i moralistę - Reja zabił protestantyzm; stanowisko wyznaniowe ograniczało wpływ autora kołami protestanckimi i, gdy protestantyzm wymierał, ginęła i pamięć o rymarzu polskim, którego dzieła wyjątkowo jeszcze protestanci przedrukowywali, a katolicy pomijali, nawet nazwiska jego w najdawniejszych dziełkach o historyi literatury polskiej nie wymieniając. W szesnastym jednak wieku wpływ i przykład Reja znano i ceniono ogólnie; naśladowano jego styl, np. anonim, czy nie Lubelczyk Jakub?, w »Historyi w Lundzie« (o ukaranej niewdzięczności dzieci) roku 1569, tak, że wiersz za utwór Rejów uchodzić mógł później; naśladowano jego pomysły, np. ze »Zwierzyńca«; naśladowano jego prozę, okradając go żywcem, np. ks. Wereszczyński. Nadto popularny za życia, niedbały o dzieła swe, dający im marnie ginąć, stracił po śmierci rychło tę popularność i przyćmiony od innych i przez własne stanowisko wyznaniowe — mimo to rej wodził między pisarzami polskimi, uchodził za polskiego Dantego (bo od tego literaturę włoską zaczynano) i Enniusza; tak szczycili się nim protestanci.

I nie mylili się wcale, bo Rej, to pierwszy literat z powołania, choć niestety bez wykształcenia. Wszyscy przed nim przygodnie, od niechcenia, literaturą się zajmowali; on w niej siłę odczuł, oddziaływanie na szerokie kręgi i dlatego jej się oddał. Nie cały, skoro go »światek« strasznie odrywał i rozrywał — ciągle się też zarzekał, że już pisać nie będzie, żegnał się z literaturą a mimo to do niej wracał; nawet w ostatnich miesiącach przed śmiercią nowe figliki dorabiał (do nowego wydania Zwierzyńca), ani się spodziewając, jakiego figla śmierć mu spłatać miała. Naiwnemu, płytkiemu, jowialnemu towarzyszowi tajemnice sztuki, stylu, piękna zawsze pozostały obcymi, ani się ich domyślał; nie miał nawet czasu ani do starannego obmyślania rzeczy, ani do gładzenia

formy; wytrząsał wszystko z rękawa, ale pisał, gdy inni milczeli, nawoływał, dawał przykład i podnietę, nieustanną a żywą; próbował rzeczy najrozmaitszych; rozszerzał widnokrąg; wzmacniał język, dowodził jego żywotności. Dowcip wrodzony, życiowe doświadczenie, przegryzanie się i otarcie w towarzystwie, gdzie np. do kalamburów, pierwszy w literaturze, się włożył, zastąpiły braki systematycznej jakiejś nauki i ogłady. Nietylko fizycznie, ale i umysłowo, za granice polskie nie wyzierał nigdy; przykłady jego i sentencye starożytne, to tylko nawiane z wierzchu, do niego nie przylegały wcale. Typ to szczeropolski, staroszlachecki, sympatyczny w gruncie bardzo: jako człowieka i pisarza.

Do tej domowej literatury staropolskiej, tworzonej przez Bielskiego i Reja, należeli z późniejszych głównie dwaj Mazurzy, katolicy naturalnie, pilni i gorliwi pisarze, **Paprocki** i **Stryjkowski.** Pierwszy przedstawia szlachtę zaściankową, oddaną już na usługi panom możnym, ale sarkającą jeszcze na uniżenie, rojącą jeszcze sny szlacheckiego równouprawnienia, zazdroszczącą mieszczanom zasobów, zagorzałą w fakcyi politycznej aż do krzyczącej niesprawiedliwości, twardą w prawej wierze, przeciwną wszelkim nowinkom. Wiedza i myśl, forma i język nie wykraczały poza zaścianek, choćby Dobrzyński, którego antenatem w literaturze jest Imć pan Bartosz Paprocki; góruje tu »cnota« stara i wyraz jej zewnętrzny, »herb« jako oznaka szlachectwa; morały tu patryarchalne, z kijem, jako receptą niezawodną, mianowicie przeciw babom i ich naturze wężowej; jest i silna żyłka pamfleciarska; jest zaciekawienie tego, co się też w naszej Polsce dzieje; książek czyta się mało, ale tym głębiej przyswaja się treść ich i powtarza się je lub przerabia, w naiwnej zarozumiałości, że maksymy, pozbierane tu i owdzie, nanizane na wązkie pasmo słów własnych, pouczą choćby samego króla, hetmana, senatora o ich obowiązkach — wszystko kompletna parafiańszczyzna. Gdy się los p. Bartosza w Polsce wykoleił, pracował on i na obcej ziemi jak najprzykładniej w tym samym herbowo - moralizatorskim kierunku: pierwszy to Polak, który do dwu literatur, do polskiej i czeskiej, należał. Chociaż po łacinie lepiej umiał, niż pan Rej, trafiał tylko polskim pismem do braci - szlachty, czy kiedy im zbiór bajek łacińskich, drugi po Ezopie Biernatowym, lichym, gorszym, niż Rejowski, wierszem rymował i aluzyami na zepsute czasy, przeciw pa-

nom, różnowiercom i mieszczanom cukrował (»Koło Rycerskie«, bo w kole takim zasiadają stworzenia i nauki nam prawią); czy to, kiedy im »Dziesięcioro Przykazanie Mężowo«, »Naukę obierania żony« i t. d. wierszem, »Króla«, »Hetmana« i t. d. prozą, najazdy tatarskie na Ruś i własne najazdy na cześć i sławę Batorego i Anny, Zamoyskiego i Zygmunta, wierszem i prozą wystawiał. Większą i trwalszą zasługę, niż wierszydłami i piśmidłami, wyrobił pracami heraldycznymi i historycznymi, »Herbami rycerstwa polskiego, na pięcioro ksiąg rozdzielonymi« (roku 1585), czerpanymi z aktów, dyplomatów, nagrobków; i »Ogrodem królewskim« (r. 1599), dopełnieniem niby do owych »Herbów« rodami panujących w Austryi, Rusi i t. d.; prace te urosły z poetyckich prób »Panoszy« i »Gniazda Cnoty«, gdzie trybem »Zwierzyńca« Rejowego, z jeszcze liczniejszymi docinkami nieraz, szlachtę ruską, a potym całą polską, herby i ludzi, opiewał; Paprocki więc zainaugurował długi szereg heraldyków polskich i litewskich, Okolskiego i Kojałowicza, Potockiego i Niesieckiego, i trafił w sam gust drobnej szlachty, ceniącej nadewszystko herb i koligacye. Tę szlachtę z jej narowami, mniej z jej przymiotami, wyrażał, czy to nienawidząc Niemców — gdy »czytedlnika« prosił o wybaczenie myłek w nazwach pruskich, jako ten:

Kto niemej tej przeklętej mowy
Niemoże właśnie *exprimere* słowy;

czy to dla niesforności nienawidząc Batorego i Zamoyskiego tak szczerze, że nienawiść mu jedyne jego wymowne wiersze podyktowała, gdy twierdził, że z Batorym

Zaczątek nędze i niewoli wszelki,
Wolności ucisk, nieporządek wielki
Wionął na Polskę przez Tatry wysokie;
Wewnątrz próchniało królestwo szerokie;
Sobole drogie staniały, tak darzy,
A w cenę wielką weszli wilcy szarzy (Saryusz Zamojski).
Jenoć to wino, panowie Polacy,
Z tych krain dobre! mów lepiej — kto raczy.

Podobną nienawiścią dyszało »Oclenie (Uleczenie) mieć albo Przestrożnik« i t. d., Jana Karczowskiego, podczaszego czerskiego,

również Mazura; czytając te namiętnością i prywatą napiętnowane, a pod płaszczykiem *pro publico bono* kryjące się chryje, widzi się ciągle klucznika Gerwazeńka i spryt jego podziwia.

Sympatyczniejszy jest inny Mazur, co to również od wierszydeł okolicznościowych (opis koronacyi Walezego), i polemicznych (przeciw Aryanom), do kreślenia dziejów się zabrał, **Matys Stryjkowski,** który jednak, jak Krakowianin Rotundus w XVI wieku, jak Wołynianie, Rzewuski i Kraszewski w XIX wieku, całkiem na Litwina przeszedł. I on najpierw w wierszach, w »Gońcu cnoty do prawych szlachciców«, wysławiał cne czyny królów i książąt, odstępstwo potomków od dawnych torów, fałszywe pojęcie szlachectwa (z rodu, zamiast z własnej cnoty), aby potym w obszernej kronice, »Która przedtym nigdy światła nie widziała, Kronika Polska, Litewska, Żmudzka i wszystkiej Rusi« i t. d. (r. 1582), wyłożyć w prozie, coraz wierszami przerywanej (w opisach bojów i podobnych efektownych scen), dzieje, czerpiąc z Długosza, z latopisców ruskich, których mu Rotundus i Chodkiewicz dostarczali, z kronik niemieckich, nie gardząc tradycyą miejscową, bacząc na wykopaliska nawet, na zwyczaje i zabobony. Podanie o rzymskim pochodzeniu szlachty litewskiej, jakie próżność litewska już w XV wieku, czepiając się powierzchownego podobieństwa litewszczyzny i łaciny (*Lituani = L'Italiani*), wypielęgnowała, zastosował on w całości.

Te same żywioły, wyłącznie narodowe, przedstawiał biskup kijowski, pełen wojowniczego animuszu, jako na kresach chrześcijaństwa osadzony, **Józef Wereszczyński,** syn zlaszonych rodziców, w imię spólnej narodowości i spólnego wroga, półksiężyca, i w zruszczonych wierszach do hosudara moskiewskiego się zwracający. Pisma jego polityczne dotykały przyszłej wojny tureckiej, gromadzenia na nią sił i zasobów, utworzenia szkoły czy zakonu wojennego na granicy, osadzenia opustoszałego Kijowa; obyczajowe były w formie kazań i traktatów, np. »Reguła dobrego życia króla« i t. d., albo »Gościniec pewny niepomiernym moczygębom a obmierzłym wydmikuflom« i t. d.; najciekawsze z nich to »Wizerunek na kształt kazania« (nad zwłokami ojca), świadectwo wyraźne, jak to rodziny ruskie polszczały. Zresztą nabrał biskup, dysputujący z »infułaty oczakowskimi« (Tatarami) nie biblią, ale szablą, tatarskich pojęć o własności, bo wypisywał poprzedników, Reja, »Dworzanina« i innych bez skrupułów; zato odznaczał się wykład jego, aby

»wszyskim stanom folgował«, nadzwyczajną przystępnością i do sadnością.

W tej to literaturze, obcej artystycznym zakusom, dbałej wyłącznie o rzecz, nie o formę, starającej się szerzyć w narodzie szlacheckim i miejskim zajęcia umysłowe, wiedzę jakąś, wtykającą każdemu książkę polską do rąk, odgrywali znaczącą rolę tłumacze, często i z nazwiska nieznani, skromni a pożyteczni pracownicy. Jeden z celniejszych, to **Cypryan Bazylik,** mieszczanin sieradzki, tłumaczący Fryca »O poprawie Rzeczypospolitej« i historyę Attyli Olaha (Węgra) i Włocha Barlecyusza historyę o »żywocie Skanderbega«, aby do wojny tureckiej otuchy dodawać, zbierający, jako gorliwy protestant, »Historyę o srogim prześladowaniu kościoła Bożego« (Husa i t. d., aż do dziejów »zboru cudzoziemskiego« Łaskiego w Londynie), z rozmaitych źródeł, przerabiacz ciekawego »Postępku prawa czartowskiego«; starej średniowiecznej fikcyi, procesu o człowieka między Chrystusem a Belialem, w formach przewodu kanonicznego, użył Bazylik, aby za przykładem niemieckiej literatury dyabelskiej, którą pierwszy do Polski wprowadził, dyabłów, od kufla, kart, kostek, strojów, gachów i t. d., i ich robotę wystawiać; pismo drastyczne, jeszcze w XVII wieku na Rusi moskiewskiej tłumaczono; z niego wyszedł i arcykatolicki »Sejm piekielny«, w kilkunastu wydaniach (jeszcze w połowie XIX wieku drukowany), czyli »Examen księcia piekielnego«, gdzie to przed Lucyferem dyabły babskie, heretyckie, szkolskie, ruskie i t. d., co który wyrządził, się chlubią, jedno z najudatniejszych pisemek wierszowanych dawnej literatury ludowej, pełne szczegółów o przesądach, czarach i gusłach.

Inny mieszczanin, krakowski, **Marcin Siennik,** do rzeczy wyznaniowych wyjątkowo rękę przykładał; wydawał i tłumaczył rzeczy lekarskie, cieszące się wielkim odbytem na prowincyi wobec braku lekarzów — zielniki, herbarze, medyczne, ciągną się nieprzerwanie od Stefankowego aż do Syreńskiego, od roku 1534 do 1611; ale najwięcej zaskarbił sobie Siennik łaski płci pięknej, drukując dla niej pierwsze powieści i romanse, przekładając je z nieprzebranej skarbnicy niemieckiej. Ten dział świecił dotąd pustkami; jedyny »Marchołt« i »Poncyan«, bo już »Historye rzymskie« alegoryę zbyt umyślnie wysuwały na cel, go zastępował. Teraz zjawiają się historye o Meluzynie, Magielonie, Cesarzu Ottonie, Fortunacie, Sowizdrzale, tłumaczone z niemieckiego; z łaciny »Historya Trojańska« jakiegoś protestanta, bardzo starannie i przyzwoicie ułożona, »Historya Aleksandra« (Macedończyka), o bojowaniu, o wiele mniej ogładzona; wszystkie prozą; wierszami z łaciny, »Historya o Euryalu i Lukrecyi« Goliana, niezdarna przeróbka słynnej, acz nieskromnej noweli Eneasza Sylwiusza; z »Przemian Owidyuszowych«; o »Lukrecyi« i t. d.; z nowel Bokaccia: przeróbki Jana Stoka, Dębowskiego, Pudłowskiego (»Dido«), anonimów, »O Gryzeldzie«, co i prozą wydano, bardzo rozszerzone naukami o małżeństwie w porównaniu z oryginałem Petrarki; o »Barnabaszu kupcu i jego wiernej żonie«, o »Wdowie Berytoli i jej ciężkich przejściach« i t. d. i t. d. Losy tych książeczek czy powieści ludowych bywały najrozmaitsze; jedne ginęły, rychło zapomniane; drugie pojawiały się w nieprzerwanym ciągu aż do XIX wieku, a po części i dziś jeszcze Foltyn w Wadowicach, inni w Warszawie na jarmarki je drukują; tłumaczono je w zawody na ruskie w XVII wieku, biblioteka ks. Golicyna i innych magnatów ruskich w nie obfitowała. Książeczki te, pomimo licznych wydań, tak zaczytano, że egzemplarzów dawniejszych, z XVI, nawet z XVII wieku, doszukać się niepodobna; stanowią one ważną rubrykę w umysłowości dawnej, jedyną karm powieściową przez trzy stulecia; wsiąknęły aż na dno ludu samego, powtarzającego w swej tradycyi, zmieniwszy lub zapomniawszy nazwy, treść lub szczegóły tych fabuł naiwnych, zmysłowych, okrutnych, romantycznych.

Główny zrąb tych powieści powstał właśnie w tych czasach; zaczynają się one roku 1551 od Aleksandra — o Łokietku powtarza dziś lud, co o Aleksandrze mu niegdyś rozpowiadano — a kończą bardzo udatnymi przeróbkami Jana Achacego Kmity, niestrudzonego wierszopisa. Wszystkie te powieści wychodziły luźnie, o zbieraniu ich (jak np. w niemieckim *Buch der Liebe),* nikt nie myślał. Tłumaczenia bywały wcale udatne; im starszy ich tekst, tym poprawniejszy, chociaż nie brak nieporozumień i nazwiska przekręcano. *Meluzyna* (ona to weszła, jako »syrena« w herb warszawski), opowiada o losach kobiety-potwora, uszczęśliwiającego męża i kraj, póki tajemnica się nie wydała, i o losach jej dzieci; *Magielona* o rozłączeniu pary wiernie kochającej i jak się w szpitalu znaleźli; *Otton,* to waryacya Genowefy, tylko świekrowa zastępuje miejsce Golona; *Fortunatów* mieszek (niewyczerpany) pod-

stępem wykrada kobieta niewierna i podstępem go traci; *Sowizdrzał* płata mieszczanom najdotkliwsze psoty, dosłownie zlecenia ich wykonując, tryumfując w złośliwej, udanej naiwności nad zarozumiałym kupcem lub mieszczką, mszcząc zniewagi ludzi, wyświecanych z miast, gdzie chciał siać złych, gdyż dobrzy i takby na tym gruncie nie zeszli.

Poraz pierwszy więc powstaje — i to jest zasługą mieszczaństwa, obfitsza literatura powieściowa, choć bardzo prymitywna, wyłącznie kosztem obcych żyjąca. Ujawnia się zarazem przewaga wiersza nad prozą, rosnąca z każdym dziesiątkiem lat; czy materya do wierszy się nadaje, nie pytano nigdy; kryteryum stanowił język nieraz, po polsku wierszem pisywano, a prozą po łacinie, — zasada, którą wiek XVII jawnie sformułuje. Polskim wierszem, dla wszystkich, pisano więc i rzeczy biblijne, polemiczne, historyczne, a maczał w tym pióro i sam Kochanowski. Tak np. ulubioną zabawą wierszopiską było, historye Starego i Nowego Testamentu przelewać w wiersze; czynili to katolicy i akatolicy; tak opisał Kochanowski epizod z »Danielowych ksiąg o Zuzannie«, trzymając się dosyć wiernie oryginału; inny o »Heliaszu proroku« (1572); tak wierszował Trzecieski historyę biblijną, Mojżeszową, ale wiersze te naszych czasów nie doszły, a spółwyznawca jego, Chrysztoporski, »Niniwe Miasto wykonterfetował« (roku 1572), przypodabiając mu Polskę, której »Bóg już dłużej nie sfolguje«; więc zgromiwszy łakomstwo, opilstwo i t. d. nawoływał do pokuty, do postu, t. j. do wstrzymywania się od jadła, nie do śmiesznego brakowania pokarmami, jakby to Bóg lepiej widział brzuch »rybami, rzodkwią i grzanką nafasowany, aniżeli mięsem albo mlecznem« (powiada Grzegorz Żarnowczyk w Postyli); nie dziw więc, że cenzura biskupia »Niniwę« między zakazane księgi umieściła.

Podobnymi wierszami wsławił się Aryan polski, **Erazm Otwinowski,** herbu Gryf, co to z bratem Jerzym, niegdyś mnichem tynieckim, w budującej zgodzie długie lata w Rakowie trawił. Niecierpieli katolicy »starego wyrwy« za sam srogi despekt, który w Boże Ciało monstrancyi w Lublinie roku 1564 jeszcze był wyrządził i co mu bezkarnie uszło, gdyż Rej, broniąc go, o krzywdę Bożą Bogu samemu upominać się kazał; zaginęły też dzieła jego, np. wiersze polskie o »Bohaterach Chrystyańskich«, t. j. o rozszerzeniu wiary »prawdziwej«, o jej wyznawcach (np. Dudyczu, niegdyś biskupie pięciokościelskim, ożenionym z Polką) i o jej »męczennikach« w Polsce — źródło ważne, z cytat u Lubienieckiego i Węgierskiego nieco znane; albo dyalog satyryczny p. t. »Spór piekarza i z malarzem o bogach swoich« (pieczonych w hostyi, malowanych w obrazach i puszkach; malarz wygrywa, gdyż jego bogi trwalsze i mniej przypadkom podlegają, niż piekarzowe). Ocalały zato jego »Przypowieści Pana naszego Jezusa Chrystusa«, r. 1599 na kolędę staremu księciu Ostroskiemu posłane, ciekawe i jako dowód ścisłych związków schyzmatyckiego książęcia z Aryanami, »których W. Ks. M. i w szerokich państwach swoich (por. Filaleta!) i na sławnym dworze swym wiele z dawna chować raczysz«. Poezyi w tych wierszach niema, ale polszczyzna ich wytworna, ton spokojny i równy, aryańskie zakusy nie zbyt ostro wydane, aluzyi do spółczesnych stosunków wiele; dzieło ważne i przez to, że w XVII wieku W. Potockiego do podobnej, o wiele obszerniejszej, pracy pobudziło. Aryan dopuszcza użycia miecza tylko urzędowi dla karania przestępcy, zresztą:

Miecz tedy *dziatkom bożym* ten tylko przystoi:
Słowo Boże, którego i sam się czart boi;
A mieczów zaś i broni wtenczas będzie trzeba,
Gdyby nam wojnę podnieść Pan rozkazał z nieba.

Aryan obrusza się na puste zabawy świeckie, np. na świąteczne strzelanie do kurka:

Więc niewiem, dobrzeli to dziś drudzy działają,
Gdy wtenczas w wielkich mieściech wszyscy wychadzają,
Obchodząc tu pamiątkę zesłania onego (Ducha św.),
Miasto Gołębia kura stawiają spornego i t. d.;

argumenty przeciw dziesięcinie powtarzał później po niezliczone razy Potocki, z owym sarkaniem szlachty na dobra duchowne, przewyższające szlacheckie, więc prawi Otwinowski (do rozdziału 23 ewangelii św. Mateusza, albo Macieja, jak go dawniej stale przezywali):

Ten nienawistny trybut złe ma przywileje,
Gdyż pod Nowym przymierzem precz zakonne dzieje,
Bo go tylko Lewitom w zakonie dawano,
Dawano dobrowolnie, nie przyniewalano!

Cóż się zstało, że potym faryzeuszowie
Dawali dziesięcinę (trybut i pogłowie)
Z miętki, z ruty i z kopru — zboża nie wspomniano,
Znać że tam w kopach nigdy nie przepyskowano.
Dawał i on, co się stąd lepszym być rozumiał,
Choć zakonnik, tej łaski Bożej nie rozumiał.
Gdyż pod Nowym przymierzem Pan Bóg wszystkie stany
Pod urząd świecki poddał, ubogie i pany,
Którzy wszyscy zwierzchności czyńsze oddawali,
I sam się Pan i z Piotrem k temu przykładali.
Przeto, co się dziesięcin dziś upominają
I wielkie o to burdy z bracią zaczynają,
Mieliby na tych przestać, które Pan wspomina,
A kto się jego mieni — już wymówki nie ma.
Zwłaszcza gdy nas i wsiami daleko przebrali,
Których tam Lewitowie żadnych nie trzymali.
Niechże to mądre głowy dobrze uważają,
Panowie li, czy słudzy bogatszy być mają?

Przed Otwinowskim inny Aryan, Marcin Czechowic, wypisał był wierszami »Summaryusz wszystkiego Nowego Testamentu«; gdzie treść każdego rozdziału wyraził, co Wirzbięta, mimo jego wiedzy, wydał roku 1570. Katolicy nie zostawali dłużni; wydawał np. Erazm Otwinowski wierszem opisy dysputacyi z Jezuitami, ci natychmiast w »Pogromie lewartowskim« z roku 1592 nader kostycznie i drastycznie zwycięstwo swe zwierszowali i t. p.

Tak samo wierszowano każde ważniejsze zdarzenie, i tu powoływanoby się na przykład Kochanowskiego, który w »Jeździe do Moskwy« (Krzysztofa Radziwiła) rymowaną jej gazetę wydał, wyliczając dosyć jednostajnie wszystkie jej stacye i szczegóły. Przed nim, np. Jan Ponętowski, »na prędce opisał« Krótki rzeczy polskich sejmowych pamięci godnych komentarz 1569 r., t. j. sejmu unii lubelskiej, bardzo prozaiczny, ale pełny wycieczek przeciw zdrożnościom, głównie zaś przeciw sektom, przeciw krakowskim mieszczanom, umyślnie główną szkołę katolicką poniżającym; z radością, że Kondego porażono, z pobożnym życzeniem:

Boże! by się Orandzie też także dostało

Albo »Lament nieszczęsnego Hrehora Ościka« (za zdradę ściętego roku 1580) Stanisław Wawrzyńcowic opisał, z całą historyą zbrodni i procesu i z piosnką z modlitwy Ościkowej, gdy klęczał na

placu. Tak opisał wierszami »własne wyobrażenie Kniazia W. Moskiewskiego« (Groźnego) minister słowa bożego Walenty »Neothebel« roku 1581, w języku pełnym prowincyalizmów, co się protestantom nieraz zdarzało [1]), a z czego katolicy szydzili; zresztą ucierał się gorąco z »Marciszkiem« (małpą, t. j. Marcinem Czechowicem) i t. d., lecz podobnych pisem i pisemek możnaby długi szereg zestawić.

Mania wierszopiska nie zatrzymała się u historyi; opisywano rzemiosła i gry, a najchętniej dydaktycznym albo okolicznościowym celom (witaniom, pogrzebom i t. d.) służono. Jeśli Kochanowski w »Szachach« wykład reguł szachowych z opowiadaniem turnieju połączył, toć i Jan Grochowski np. »o szlachectwie rozmowę«, czy tylko na rodowitości polega, czy też własnych zasług wymaga, Dyogenesowi i Temistoklesowi w usta włożył, chociaż rody polskie wysławiał, a nietrefnym obyczajom przyganiał, które skąpstwo gospodarnością, pychę dworstwem, pijaka godnym, co łotrostwa pomoże dobrym towarzyszem i t. d. przechrzciły: pomysł ten, podobny w »Radzie Pańskiej« Górskiego, w XVII wieku rozszerzano na tak zwane Kalepiny czyli Leksikony dworskie, uczące takiej »dworskiej« mowy. Tu wystąpili na arenę pierwsi Rusini i Litwini w literaturze polskiej, np. »Wojciech Bassaj z Szczebreszyna Rusak« w ckliwej ramocie wierszowanej »Wyprawa niewinnego człowieka« (przeciw oszczercom, z roku 1566), albo Mikołaj Pac z Kiwaczyc, podkomorzy brzeskolitewski, zmarły roku 1595, który »stał za wdzięcznego tego wieku Orpheusza«:

wielkiego człowiek rozsądku, poeta wytworny,
krasomówca roztropny, filozof wyborny...
znać to było po księgach, których miał nie mało,
tak, że dla nich w mieszkaniu ledwie listew stało.

[1]) Tak pisywał z kaszubska Szymon Krofei, Duchowne pieśnie Dra Marcina Luthera (Gdańsk, r. 1586), »aby potem więce potrzebnych księgów w te mowie wyłożono... aby wiekuja cierkiew i pospolstwo westrzód tych ludzi zbierano być mogło, naostatku, aby jem też wdzięczność i pokorę procimu W. Ks. M... do uznania dał«. Podobnie z kaszubska wydał Brückmann — Pontanus (Mostnik) roku 1643 »Catechism... to jesta z niemieckiego w słowięski wystawion« z Passją Pańską i t. d., gdzie czytamy: »czwiarte« przykazanie, albo w ósmym: ty niemasz fałszywie swiadczic procimko twemu bliznemu i t. d. Jedyne to »kaszubskie« druki przed XIX wiekiem i Dr. Cenową; szląskie dla »Wasserpolów« miłych mniej gwarą trąciły.

Albo Jan Benedyktynowicz Protasowicz na Mohilnej, w powiecie pińskim leżącej, z Jałmużnikiem, Konterfetem człowieka starego i t. d.; najciekawsze jeszcze były wiersze jego o wynalazkach różnych, opracowane wedle źródła łacińskiego, nie bardzo trafnie, skoro np. o Gocie Ulfilasie czytano:

Gulfila też *Tatarom* charakter podała,
Skąd nieśmiertelnej sławy u onych dostała,

ale ciekawsze uwagi o naszym całowaniu się mężczyzn, każdy pierwej go rad używał:

Dzisia ten zwyczaj prawie (całkiem!) ustał u Polaków,
Lecz tylko jeszcze został u Rusi prostaków,
Bowiem się przywitawszy, radzi pocałują —

później nieforemny ów zwyczaj znowu odżył. W niezliczonych tych produktach — bo trzeba dodać wszelkie możliwe »Nadobne Pieśni o błogosławionym a najaśniejszym Książęciu« (Batorym, protestanta Kwiatkowskiego, 1577 r.), »Pieśni Nowe o Królewnie Annie« (1592, Tomasza Bielawskiego, arcykatolika), »Witania«, »Threny« (Strussowi Marcyana Kobiernickiego, wiersze o »Hołubku«) i t. d. i t. d. — poezyi niema, lecz dla dziejów obyczajowości mieszczą się tu nieocenione nieraz szczegóły, np. w takim »Myśliwcu« tegoż Bielawskiego (r. 1595), gdzie w szesnastu »obrotach« wszelkie łowy zwierza, ptactwa, ryb wierszami najciekawiej opisane: ostatni obrót daje opis polowania w pruskiej kniei. Albo takie »Gospodarstwo dla młodych a nowotnych gospodarzów«, w kilku wydaniach, dla maluczkich przeznaczone z trafnymi anegdotami sielskimi o głupim Maćku, cieszącym się, że mu Kaśka nie »radziła«, bo tylko mu poroże (włosy) urwała, a sama upadła, albo o leniwej Maśce i t. d. Niektóre sięgały nawet starożytności, np. wykład wierszami tablicy filozofa Cebesa (biegu życia ludzkiego) z roku 1581 i t. p.

Rozpanoszyło się więc znakomicie wierszopistwo polskie, epiczne, okolicznościowe, dydaktyczne z bardzo wybitnymi cechami narodowymi, nawet tam, gdzie z obczyzny zarywało, chociaż bez żadnej sztuki i stylu, proste, czasami aż prostackie, ale też nie bez humoru staropolskiego; tylko jeden dział zawsze jeszcze nie miał przedstawicieli; brakowało dramatu. Pisał wprawdzie ks. opat i biskup Białobrzeski »misterya« o Jobie i o Tobiaszu, — czy na podobieństwo Rejowego »Józefa«, aby w dramacie z kalwinem, jak i w postyli z nim spółzawodniczyć — nie wiemy, gdyż w druku się nie pojawiły i tylko Trzecieski je wymienił.

I na tym polu Jezuici torowali nowe drogi; wystawianie dyalogów w dni doroczne było zadaniem profesorów poetyki i retoryki i już z XVI wieku posiadamy pierwsze rękopisy — do druku nie dostawało się nic — z dyalogami, np. kaliski od roku 1584, pułtuski (od r. 1579), dyalogi Knapiusa [1]) i innych. W łacińskie (albo i polskie pobożne) dyalogi wstawiano dla urozmaicenia sceny komiczne, bez związku z akcyą główną, monologi albo rozprawy całe, humorystyczne i satyryczne, ucieczka uczniów ze szkoły, łgarstwa samochwała, nieuctwo albo szalbierstwo chłopskie i t. p.; najdawniejsze z nich dwa mieści ów rękopis kaliski z r. 1584, bo pułtuski zaginął, wysłowienie ich wcale nie złe, jędrne, dowcip domorosły. »Sołtysa z Klechą«, co ksiądz Sebastyan Skarga w kolegium pułtuskim roku 1590 wystawił, drukowano nieraz; sołtys chwali się wobec klechy, że ma Pana Boga w swej woli, a w domu klusiątko (bydełko), mędrsze i szlachetniejsze, niż klecha — klecha pozywa go o bluźnierstwo, ale sołtys wygrywa sprawę, bo postępuje wedle woli Bożej, a bydełko nadmiarę nie pija (jak klecha) i zawsze je w pole prowadzą jak pana.

Już przed Jezuitami uprawiano po szkołach komedyę, mianowicie w głównych miastach, w Krakowie i Lwowie, i mieszczanie przy byle uczcie uczniów do odegrania komedyi zamawiać mogli, lecz giną bez śladu, niema nawet tłumaczeń komedyi szkolnych, jakie pierwsza połowa wieku niejednokrotnie wykazywała; widocznie grywano je i po łacinie. Przypomina taką chyba komedya o »Lizydzie w stan małżeński wstępującej« roku 1597, Czernym, gdy siostrzenicę wydawali, przez Adama Paxillusa z Brześcia poświęcona, niby rozszerzona z ostatnich scen »Konstancyi« Bielskiego, tylko rozwleklej, nudniej napisana: Lizyda, bogata sierota, oczekuje z utęsknieniem męża, aby mogła zażyć świata; ostromądr (astrolog) jej go wyprorokował; element komiczny zastępują pijacy

[1]) Pięć jego dramatów (trzy tragedie i dwie komikotragedie), wedle zwykłej normy zbudowanych, t. j. w pięciu aktach łacińskich z polskimi prologami, chórami po każdym akcie i epilogami, z końca XVI wieku i początku XVII przechował rękopis niegdyś poznański, dziś upsalski.

Liżyczop, Dybidzban i t. d. Nierównie ciekawszą była, ale raczej satyra obyczajowa, niż dramat, Tragedya Żebracza z roku 1552, Trzecieskiemu (ojcu) poświęcona, zachowana, acz z opuszczeniem miejsc nieskromniejszych, w przeróbce czeskiej. Opowiadający tę tragedyę mówi: Widziałem jednego roku Przed Częstochową w Potoku Wszystko zuchwałe żebraki, Zgromadzone jako szpaki, Parzychosta, Wyrywanta, Żyżkę, Kłysza, Wilkołka i t. d.; hulankę ich przerywa nadchodzący kupiec, swarzą się i lżą nawzajem, aż kupca silnie pobili, a »wójt« ich rozsądzał: istny skarb dla obyczajowości, że szczegółami i mową bardzo drastycznymi. Lecz zresztą cisza na tym polu mimo, zdawałoby się, sprzyjających okoliczności, np. sutej wystawy jasełkowej, nęcącej ludzi każdego stanu i wieku; albo na Wniebowstąpienie wyciągają do góry Chrystusa, a zrzucają Judasza na dół, wloką go przez ulice pod zbór i biją tam szyby, a czasem przyjdzie i do gorszego ekscesu; literatura dramatyczna z zarodków tych jednak nie korzysta. Tylko »Historya o chwalebnem zmartwychwstaniu Pańskim«, t. j. »Historya częstochowska«, w ostatecznej redakcyi zakonnika, **Mikołaja z Wilkowiecka,** dostaje się do druku i w oryginale lub przeróbkach aż do połowy XVIII wieku przetrwała. Utwór to całkiem średniowieczny, w języku, wierszu i treści, nie zadowalający się apokryfem, ewangelią Nikodema o zstąpieniu Pańskim do otchłani, lecz rozszerzający go szczegółami z innych źródeł, np. z osławionych kazań Baraleta, rażących dziwacznymi wymysłami; nie pozbawiony komizmu, owszem, miejscami, np. przy straży u grobu, w scenach piekielnych i in., aż nadto poufały i rubaszny, chociaż sprosności średniowiecznych już się wystrzegał. Z tą częstochowską (bo tam stale wyprawianą) historyą i kilku innymi misteryami o męce Pańskiej, o Abrahamie, o Janie Chrzcicielu i Herodyadzie wypełnia się już dawny repertuar; prócz pierwszego zachowało się w całości i misteryum o św. Annie, na jej święto w Polsce tak czczone, Komedya o niepłodności Anny św. z Joachimem mężem jej i t. d., przeznaczone dla sceny:

Rzecz, którą teraz na tym placu zaczynamy,
Acz nie owszem niegodną Waszych osób znamy,
Prosim o trochę czasu, byście jej słuchali...
Historyą przykładną Waszmość obaczycie,
Jeśli oczu i uszu pilno przyłożycie;

element komiczny zastępują pasterze (Bardej, Mizgoła, Dygudej) i służące Anny, Bascania ze sługą — Gąską Sarksem. Należały tu i dyalogi polemiczne, »Komedya o Mięsopuście« np., przeznaczona, jak z dodanych pieśni nabożnych (przy końcu aktów) wynika, również do wystawienia i słuchania. Najpopularniejsze były dyalogi, prace klechów i mistrzów, szydzący z mizeryi szkolnej, z rabusiostwa wojskowych, z zacofania wiejskiego, taka »Wyprawa Plebańska« (żaka Albertusa) na wojnę tatarską i »Albertus z wojny«, opowiadający dziwy plebanowi o wojnie i ciężkich czasach: osoby i dyalog komiczne, rubaszne, prawdziwe; Albertus stał się typem przysłowiowym; przez cały XVII wiek pojawiają się bądź przedruki, bądź wzmianki o nim.

Wobec tej niesamoistności w pomysłach, niedbałości w formie i wyrażeniu, a zacofaności w myśli tej domorosłej, trącącej średniowieczem poezyi, odbijał znacznie, szerszy polot duchowy poezyi humanistycznej, wybredność i smak jej, odpowiadające polorowi nowego życia, nowym jego ideałom, i wzniosła się ta poezya humanistyczna wyżej, niż jej poprzedniczka z pierwszej połowy wieku, a co najważniejsze, zwróciła się nareszcie ku mowie ojczystej i stała się, gdy innych sztuk pięknych wcale nie lub mało uprawiano (prócz skromnej muzyczki), najpiękniejszą nowego życia okrasą.

Życie to nowe, szlacheckie, wzorowane częściowo na włoskim, renesansowym, toczyło się coraz gwarniej i szumniej. »Posiedzenia« towarzyskie, biesiady krotofilne, gdzie to młodzieńcy z wiankami na głowach do muzyki i żartów zasiadali, odbywały się i bez płci pięknej, bez »podwiki«, lecz i z nią się zabawiano, w licznych tańcach, obcych i własnych, w cenarze, gdzie jeden drugiego naśladował, w gonionym, świeczkowym (z świecami w ręce) i in. Zresztą płeć piękna bardzo powoli średniowieczne zawarcie domowe opuszczała; nie pomogły nawet narazie Włoszki Bony, które ona za szlachtę swatała; jeszcze Rej się wcale niepochlebnie o »białogłowach naszych« wyrażał, a gdy Górnicki rozmowy włoskie przerabiał, musiał panie dworskie mężczyznami zastąpić, gdyż polskie nie nadawały się jeszcze do konwersacyi dowcipnej. Obniżał te biesiady coraz znaczniejszy nałóg pijaństwa, ale w XVI wieku sarkano jeszcze nań, wyłamywano się z pod grozy pełnienia kielichów, z pod całego tego ceremoniału; za przykładem niemieckim,

gdy napróżno włoską trzeźwość przeciwstawiano, grzązł naród coraz bardziej w nałogu haniebnym; północ brała swoje, klimat i ludzie.

W rozbudzonym tym życiu towarzyskim — i mieszczaństwo bawiło się niezgorzej, literatura nadobna niepoślednią odgrywała rolę. Do serca bogdanek szturmowano pieśniami; hołdy składano Zosiom i Kasiom, nieraz bardzo obcesowe; rymy kreślono zawzięcie i bez osobliwszej przyczyny; gospodarz rad gościom wzywał:

Pójdźmyż do izby, niż będzie gotowo (jedzenie),
A rzeczcie sobie jakie dobre słowo;
Dodaj gorzałki, mów: Boże, daj zdrowie!...
Są też i księgi, jeśli kto chce czytać;
Jest i kałamarz, kto ma pozew pisać;
Jest kreda, kto chce, niech ściany maluje...
Zatem się jedni do kredy rzucili,
A drudzy zasię w pozwy uderzyli,
Ci swoje rymy po ścianach pisali,
Drudzy wczas sobie pozwy gotowali...

Tak wyglądało »posiedzenie« przed obiadem, nieco później zato:

Jedni się wadzą; drudzy piwo piją;
Miasto śpiewania na ośm głosy wyją;
Szklenice tłuką, czasze przewracają;
Jedno wżdy dla kart przed sobą ścierają i t. d.

Obudziło się więc towarzystwo polskie ze średniowiecznej niemoty; rzuciło się do wyrażania swych uczuć wierszami, i dziś trudno już wyobrazić sobie dawną ich obfitość; bo w parze z zamiłowaniem do wierszu szła iście polska niedbałość o zachowanie i wydoskonalenie jego; do druku nie dostawało się z tej powodzi wierszowej nic; czysty traf zachował wiersze miłosne, od których poczynali Górnicki, Szarzyński i inni zawód literacki.

I nadobna literatura, jak prozaiczna, rozszczepiała się na łacińską i polską, lecz obie mieniają rolę; brak wartości większej, ciągłe powtarzanie, naśladownictwo ślepe stanowią tym razem cechy literatury łacińskiej, zaczynającej widocznie przed polską ustępować. Wybitniejszych talentów, któreby się jej wyłącznie poświęcali, prawie już niema wcale; nie był takim ani Samborczyk Grzegorz, profesor krakowski, piszący wiersze okolicznościowe,

eklogi, pochwały i t. d. i wierszujący biblię na poemat epiczny; ani prawnik-Hiszpan, Piotr Royzyusz, kujący tysiące wierszy na królów, na panów duchownych i świeckich, na epitafia i epitalamia, nawet na *Baccheis* czyli *epos* dydaktyczne o pijaństwie polskim i jego regułach, z wielką łatwością łaciny, lecz bez smaku i dowcipu, choćby we fraszkach. Od tych »latynistów«, swoich i obcych (Ślązaków, jak Schonaeus), roją się spisy bibliograficzne, jest między nimi wielu mieszczan, wyjątkowo tylko ciekawsza jaka osobistość, taki Andrzej Trzecieski (syn) np., który po polsku pisuje wyłącznie religijne rzeczy, pieśni, psalmy i t. d., w łacinie zaś całkiem w panegiryzm się rzuca i w swoich *Silvae* wszystkich dostojników i znajomych w najwyszukańszych słowach i rytmach okadza albo Aryanów wyklina; nie pojawiła się wtedy książka, którejby na drogę wierszów polecających, chwalących autora pod niebiosa, niby paszportu literackiego, nie wydawał, bez względu, czy to kalwin czy to katolik, czy Rej czy Białobrzeski. Jeszcze osobliwszy — Stanisław Niegoszewski, improwizujący po łacinie, jak Rej po polsku, imponujący nawet Włochom gotowością dysputowania z punktu wierszami w każdej materyi naukowej, kujący nadzwyczajne sztuczki, np. wiersze, które, z przodu i z tyłu czytać można, uczące o jeździe końskiej:

Si bene te trades, sedes sed arte tenebis,
Et si se retro feret, utere, forte resiste;

później nimi febrę zamawiano między ludem! Niegoszewski jednak większych rzeczy nie pisywał, tylko okolicznościowe, np. na śmierć Kochanowskiego i innych.

Takich było wiele — Maciej Piskorzewski, sekretarz Zamojskiego, Andrzej Dzierżanowski i inni; talentem, smakiem i wiedzą wybujał nad nich wysoko mieszczanin lwowski, **Szymon Szymonowic** (t. j. syn mistrza Szymona z Brzezin, Mazura, który na Ruś wywędrował i we Lwowie imię i majątek zrobił), uczeń Górskiego, Sokołowskiego i Skaligera, filolog (tłumacz rzeczy greckich na łacińskie) i poeta, rywalizujący z Pindarem wierszami łacińskimi, okolicznościowymi, opiewający śmierć Górskiego, zasługi Zamoyskiego, szczypane przez zazdrość, gody weselne Zygmunta i Zamoyskiego, a prócz tego to św. Stanisława, w kontr Royzyuszowi,

wysławiając, to proroka (Joela) parafrazując, to o dramat biblijny w szacie klasycznej się kusząc. Napisał bowiem »Czystego Józefa«, w stylu Euripidesowej Fedry (i Seneki) nowelę biblijną przerabiając [1]), a dramat ten, właśnie dla braku dramatyczności, tak się w Polsce dla swoich morałów podobał, że go i na polskie niebawem wyłożono; przekład polski (Stanisława Gosławskiego z r. 1597), bardzo nieudolny, rozwlekły (dla dobierania rymów), rubaszny, tak że zaciera zupełnie wytworne cechy humanistyczne oryginału, np. myśl Szymonowica (zaprzestań słów, o matko, błagam cię, abym i ja przeciw tobie nie wykroczyła), oddał Gosławski wierszami:

Stulże już powiadaczkę, dosyć było tego,
Byś też nie oberwała, strzeż się, sama czego.

Lecz jak »Dzierżanowski poeta, którego Kameny (Muzy) U wszystkich są przyjemne i niemałej ceny« (słowa Zbylitowskiego w Drodze do Szwecjej roku 1597), tak i Szymonowic próbował się i w wierszu polskim, pisząc między innymi rymy na ślub Sieniawskiego i Kostczanki (r. 1593); pomysł był znowu całkiem humanistyczny, ale treść, dowolnie wyłożony mit o Adonisie i Wenerze, trawestowana tym razem po polsku. Dlaczego? wyspowiadał się z tego kolega po piórze, mieszczanin również (sekretarz toruński), Jan Rybiński, gryzmolący stale panegiryki łacińskie, lecz zrywający się dla wesela Ostroroga z Firlejówną na »melos« polskie (roku 1594): jedna z »dziewiąci« muz zaleca poecie nie zwykły wiersz ateński lub łaciński:

teraz spraw rym winszowny *z polska* a chędogo,

— ażeby i *oblubienica* nim się nacieszyć mogła, więc prosi poeta o łaskawe przyjęcie:

choćby się też zdało
Co nie po Kochanowsku — w lot ci się pisało;
Częściej Statut, niźli Rej w ręku się przewija,
Częściej Themis obrotna, niż cicha Thalija.

[1]) Pozwolił sobie przytem kilka dodatków, np. złowrogi sen Józefa przed katastrofą, gdzie przemienionego w ptaka zapędziła w przepaść kukułka, motyw wcale stosowny, skoroż kukułka symbolem lubieżności była.

Wszyscy trzej poeci spóźnili się znacznie; już w pół wieku przed nimi dokonał stanowczego kroku **Jan Kochanowski,** gdy odwiązał nareszcie poezyę narodową od pręgierza lekceważenia i wzgardy jawnej, u którego jeszcze w oczach Krzyckiego i Janicyusza tkwiła. Za jego to przykładem zlała się po raz pierwszy poezya polska z łacińską, narodowa z humanistyczną. Oddziałało to na nią nadzwyczaj dodatnio; nie wyrzekała się wprawdzie średniowiecznego rymu, ale stosowała się do sztucznej formy łacińskiej, do jej zwrotek i rytmów, lubowała się np. w strofie safickiej, nawet w poematach opisowych. Jeszcze bardziej naginała się do innych jej wymagań; dotąd »poezya« różniła się od prozy rymem, a prześcigała ją wielomównością i rozwlekłością (dla tego rymu); teraz dopiero, pod wpływem łacińskim, nabrała stylu, stroju i kroju, rzuciła zwroty banalne i prozaiczne, szukała wzniosłości i malowniczości, upiększenia, porównania, figury, piękną myśl pięknie wyrażała, o gnomy i sentencye się kusiła, rzecz wedle planu obmyślanego układała, dbała o harmonię i nie zadowalała się pierwszym rzutem, ale za przykładem Horacego gładziła i piłowała do możliwej doskonałości. Obok tych nadzwyczajnych korzyści, jakie Kochanowski osiągnął odrazu, zjawiały się jednak i braki: obca pomysłowość, obce obrazy przygniatały swojszczyznę; czytając oryginalne wiersze polskie ma się wrażenie, że to tłumaczone łacińskie: ten sam duch, te same ozdóbki, ta sama sztywność i napuszoność, ta sama niesmaczna gmatwanina pojęć pogańskich i chrześcijańskich, starorzymskich i polskich, sztuczki i regułki szkolarskie zamiast natchnienia i prawdy. Poezya ta wznosi się odrazu wysoko, w porównaniu do dawnego pełzania jej po ziemi, ale na wyżynach nie zdobywa warunków dalszego rozwoju, niebawem wysila się i jałowieje.

Na skale »pięknej Kalliopy, gdzie dotychmiast nie było znaku polskiej stopy«, stanął więc pierwszy **Jan Kochanowski,** Sandomierzanin. Talent poetycki obudził się w nim wcześnie, a rozwinął we Włoszech, gdzie się lekkie miłostki sarmackiego Tybula i Propercyusza w wierszach łacińskich wynurzały, aż podziałał naoczny, przekonywający przykład poezyi włoskiej, poezyi Petrarki i Ariosta, że to samo, mniej uczenie, ale z większym ogniem i zapałem, da się i w języku narodowym wyrazić, dla całego narodu, nie dla szczupłej latynistów garstki. Pierwsze próby miłosnej poezyi pol-

skiej może i nie zadowalały poety, łamiącego się z nową, twardą formą, nie odnajdującego w swym wierszu wdzięków i harmonii włoskich; ale na drodze raz obranej wytrwał, a przykład francuski — Ronsarda, którego w Paryżu poznał, mógł go tylko wesprzeć w usiłowaniu przelewania w wiersz ojczysty piękności starożytnego, wyrażania w nim »myśli godnych siebie«, stworzenia poezyi, gdzie dotąd tylko wiersze i rymy były, gdzie pomysł najwdzięczniejszy zeszpecało liche jego, Rejowe wydanie; teraz i najbłahszą rzecz uszlachetni kunszt Kochanowskiego.

Natura jednak sarmacka jego, poważna, chłodniejsza, w fraszkach miłosnych tonąć nie mogła; taki wieszcz, jaki słuchacz; przed gronem wytrawnych ludzi, hetmanów i senatorów, w imieniu nowej sztuki z przygodami erotycznymi występować — tym mniej się godziło, skoro umysłu młodego musiał się dotknąć wicher religijny, szalejący za Karpatami, nie uśmierzony całkiem i nad Apeninami. Lecz do zbytnich zaciekań dogmatycznych natura, choć z gruntu religijna, nie ciągnęła; tradycya wiekowa, wpływy domowe zdziałały swoje, i już we Włoszech sformułowałby Kochanowski stanowisko religijne słowami Orzechowskiego (z listu z roku 1560): »pycha rzymska, sodomia, symonia, wojny świętokradzkie, zbytek i wszelka pompa — toć upaść musi, bo ten klucznik (papież) tego od Syna Bożego nie wziął; wziął to od złego ducha, jako dalibóg tego doczekamy, iż to wszystko upadnie; ale co od Pana Boga ten klucznik ma, próżno tego czekać mamy: nigdy on tego nie utraci«. Na takim stanowisku wytrwał Kochanowski do końca, wierny Kościołowi, nie ślepy na błędy duchownych, obojętny, jako stoik i humanista, na zewnętrzne oznaki kultu, stroniący od swarów wyznaniowych. Tym głębiej odczuwał moc i łaskę Bożą, kierującą wszechświatem; tym wdzięczniej ją rozpatrywał i przeciw pompie i symonii rzymskiej, ranionej ostro we własnych wierszach łacińskich, wyśpiewał po polsku hymn dziękczynny do Boga; i oto zajaśniał pierwszy dzień wiosenny poezyi polskiej, gdy skowronek sandomierski wzbił się do nieba z pieniem natchnionym:

Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary,
Czego za dobrodziejstwa, którym niemasz miary?

A takich pieśni rozlegało się teraz więcej i coraz inaczej wysławiał poeta cuda mocy Boskiej i wiersze (fragmentu III, spółczesnego):

Jego porządkiem lato wiosnę goni,
A czujna jesień przed zimą się chroni...
Ten opatruje, że morze nie zbierze,
Choć wszytki rzeki w swoje łono bierze,

poprzedziły może ostateczną redakcyę owego hymnu:

Za Twoim rozkazaniem w brzegach morze stoi,
A zamierzonych granic przeskoczyć się boi...
Tobie kwoli rozliczne kwiatki wiosna rodzi,
Tobie kwoli w kłosianym wieńcu lato chodzi...

Do wierszów miłosnych i towarzyskich; do fraszek, przysmaczających trefne biesiady przy lutni i wieńcu na głowie; do wierszów religijnych i okolicznościowych, jak »Pieśń o potopie«, odskakująca od spółczesnych pieśni religijnych, lub »O śmierci Jana Tarnowskiego«, o »Tęczyńskim młodym«; do poematów opisowych i epicznych (Zuzanna; Szachy) przystąpiły niebawem dwie satyry polityczne, »Zgoda« i »Satyr«, parafrazujące mowy Padniewskiego i Myszkowskiego dowcipnie i trafnie. I rozniosły te utwory, choć do druku wyjątkowo się dostawały, chciwie rozchwytywane w odpisach, sławę poety po całej Polsce, i już roku 1562 Rej, bez cienia zazdrości, kazał go podziwiać:

Jako go przyrodzenie z ćwiczeniem sprawuje,
Co jego wiele pisma jaśnie ukazuje...
Tybulus... nie wiem umiałli tak cnotą zafarbować.

Hymn ów naśladował aryan Grzegorz Paweł już roku 1564, a kalwin Andrzej Wolan, naśladując w »Proteuszu« (r. 1564) Satyra, nawet w całym układzie, dołączając nauki »pana dla syna«, jak Kochanowski »Chirona dla Achilesa«, w osobnym »Zamknięciu do poetów polskich«, wysławiwszy poetów-kalwinów, Reja, co bez żadnego wodza przyrodzonym dowcipem wielkiej sławy dostał, i Trzecieskiego, którego język i nad cukier słodszy, stawia *przed nimi*

Kochanie wieku tego, bo strunami swymi
I uczonym śpiewaniem tak się popisuje,
Że też przeszłemu wieku mało ustępuje...

Jeśli w moich rymiech będzie co chwalnego,
Z nieba naprzód, a potym *mam to z łaski jego.*

I odtąd rośnie coraz sława poety, pierwszego poety polskiego, który świadomie w poezyi cel i zasługę i chwałę życia całego pokładał; który nie nadużywał jej dla zaskarbienia łaski, darów, protekcyi, aby ją potem rzucić; który nie kwapił się z ogłaszaniem pierwszego rzutu, lecz gładził i piłował, wszystkie tajemnice swej sztuki posiadszy; który wycofał się z urzędów i obowiązków, podziękował za kanonie i prowenty, za lafę i jurgielty, aby, »ludnymi miasty wzgardziwszy« i wycieraniem podwoi pańskich, w sielskim zaciszu, w gronie rodzinnym, sobie, a Muzom

Tem głośniej śpiewał, a nie podlegał nikomu.

Tylko nie był on poetą, co »słuchaczów próżen gra za płotem, przeciwiając się świerczom«, i nie potrzebował wątpić o nagrodzie pośmiertnej. Nie skąpiła takiej i spółczesność: Padniewski i Myszkowski, główny jego wielbiciel, Batory i Zamoyski, małopolscy panowie, Tarnowscy i Tęczyńscy, Firleje i Czerni, i choć się poeta z drukiem nigdy nie kwapił,

Nacieszywszy naprzód uszy domowe swych panów,
Posyłał też nowe psalmy do innych ziemianów;
Potym też przy dobrej myśli czasem się przydało,
Że się też to, choć nie rychło, między gmin podało:

pisał Klonowic o nim. Bardzo produktywnym poeta nie był; zdobywał się wprawdzie na wiersze okolicznościowe i większych rozmiarów (Proporzec na hołd pruski roku 1569), pociosywał dawniejsze pieśni, dodawał coraz nowe »Fraszki«, tłumaczył niejedno ze starożytnych, np. z Iliady, aby toku epickiego dla wysławiania rzeczy polskich nabyć, wtórował od czasu do czasu zdarzeniom politycznym, szczególniej pieśniami łacińskimi, lecz głównym plonem całego dziesięciolecia był »Psałterz« jego przekładania, wydany roku 1578.

Humanisty szkockiego Buchanana parafraza psalmów Dawidowych była zewnętrznym bodźcem tej pracy, do której dawno poeta się skłaniał. Swary teologiczne o łączeniu natury boskiej i człowieczej w Chrystusie lub o jedyny trafny wykład słów, usta-

nawiających wieczerzę Pańską, odrażały humanistę-poetę, który poza ewangelie i zażarty bój o nie toczony cofał się na grunt i spólny fundament wiary, gdzie królował z niezachwianą potęgą psalmista; wyśpiewywał już przedtem Kochanowski wszechmoc Pańską, a niechcąc siebie samego powtarzać, trafiał mimowoli do psałterza. Wybierał pojedyńcze psalmy, odpowiadające nastrojowi własnemu lub okolicznościom; powoli rosła liczba tych luźnych przekładów, aż urosła chęć pozapełniania luk i wykonania całości ozdobnym wierszem. Nie brakło dotąd przekładów psalmowych; Rej i Trzecieski i Jakób Lubelczyk próbowali się w wierszowaniu całości lub wyboru, prozaiczne tłoczyły się dla wszystkich konfesyi, były i łacińskie humanistyczne parafrazy rozmaitego układu i ceny; nie było polskiej, godnej. Tę szczerbę zapełnił Kochanowski; zebrał niesłychaną dotąd w wierszu polskim ilość układów stroficznych; nie trzymał się tekstu niewolniczo, snuł na nim nieraz własnej myśli pasma; zmieniał coraz ton, od spokojnego, równego, do skruszenia duszy upadłej i do tryumfującego okrzyku zwycięzcy, trafiając każdy, i stworzył dzieło, acz nie oryginalne, ale rzetelnej wartości poetyckiej. Rzuciły się do niego wszystkie konfesye, nawet Aryani, »pokinąwszy Jakubków psałterz, zaś Grzegorzowe krakowskie pieśni i Czechowicowe wileńskie, trzymali się psalmów, które złożył osobliwiej Kochanowski«. Posypały się coraz nowe wydania, dwadzieścia do roku 1641, i czerpały z nich kancyonały protestanckie, Rybińskiego i innych, i szerzył się »słodki Kochanowski« aż do Moskwy samej, skąd go Szymon Połocki swoim niefortunnym przekładem poetyckim (r. 1674) rugować zamierzał. Ci, co później w tory Kochanowskiego wstępowali, jemu powagą, siłą i lotem nie dorównali nigdy, ani Gawiński w XVII, ani Karpiński w XVIII wieku.

Równocześnie wyszła »Odprawa posłów greckich«, dramat okolicznościowy, jakim festyny spółczesne ozdabiano, ale nad nie wzniesiony, jako pierwsza próba oryginalna dramatu humanistycznego, ze świata starożytnego zaczerpnięta, a tysiącznymi nici do spółczesności nawiązująca, tendencyjna niemal i aktualna. Forma klasyczna skopiowana wiernie, aż do zachowania chórów, stychomityi, t. j. odcinania się mówiących co wiersz, i długiego opowiadania, zastępującego akcyę; lecz nietylko forma i treść, duch sam starożytnej Hellady z utworu tego wieje, chociaż i polskie sejmo-

wanie, polskich demagogów i polską niegotowość wojenną autor wystawił, zamiarom Batorego i Zamoyskiego wtórując, umysły pobudzając do wojny. Że właśnie Polska w obozie trojańskim stanęła, cóż dziwnego, skoro głos był powszechny:

Giniemy! Giniemy!
Ale temu zginieniu kto wiernie zabiega?

Zabiegali Batory i Zamoyski, lecz ramię ich paraliżowały niechęć, zazdrość i nieufność polska; za Antenorami ujął się Kochanowski przeciw Parysom - Zborowskim. Pod względem językowym rzecz była mistrzowska, mniej zadowala sam dramat dla luźności scen, jak w szopce następujących; charaktery nie rozwijają się, ani akcya napięta należycie — lirykowi brakło żyły dramatycznej, ale samo przerzucenie się nagłe ze świata hebrajskiego w klasyczny, z liryki w dramat, z form zwyklejszych do zupełnie obcych i nowych, dowodziło wszechstronności autorskiej, siły i poczucia jej.

Stał on już u zenitu i, czując to, zabierał się do uporządkowania spuścizny poetyckiej ćwierćwiekowej, gdy go w szczęśliwym dotąd pożyciu rodzinnym trafił cios bolesny; umarła mu ulubiona córeczka, Urszulka, rozwinięte nad wiek dzieciątko, wsłuchane w muzykę, dziedziczące niby po ojcu prawa do lutni; rychło po niej umarła i siostrzyczka. Wybił narazie ten cios poetę z równowagi, którą mądrością i umiarkowaniem zdawało się zdobył na zawsze, i wyśpiewał miotające nim teraz uczucia w kilkunastu luźnych trenach, które, jak dawniej psalmy, w całość zaokrąglił, ze wstępem, najsłabszym, przygrywką niby do tych bólów, z ich stopniowaniem, dochodzącym do szału i bluźnierstwa, z powolnym upamiętywaniem się, ukołysaniem, czego »Sen« słowami i radami matki poety dokonywa. Treny nie są wszystkie jednakiej wartości, nie wolne od powtarzania motywu, reminiscencyami klasycznymi, z lektury, miejscami nadto przetkane, ale kunszt słowa i wiersza, głęboka rzewność uczucia, piękne obrazy, mądre myśli nadały temu utworowi, oryginalnemu nawet pod względem budowy, wiązania, wartość nadzwyczajną.

Była to jego praca ostatnia; o nowy dramat się nie kusił; próby epiczne zawodziły stale, po wawrzyn Wirgiliusza, szczyt ambicyi humanistycznego poety, nie sięgnęła jego ręka, napróżno

mamiły go i wabiły i Grunwald i Warna; rozmachu epickiego brakowało mu zawsze. Teraz zbierał wiersze łacińskie i polskie; śmierć nagła i tę czynność przerwała.

Cóż po nim zostało, co zrobiło go wielkim, jedynym poetą polskim przed Krasickim i Trembeckim? dlaczego ten jednogłośny hołd podziwu, jaki mu składają wszyscy, szlachta i mieszczanie, kronikarz i jezuita, Zamoyski i Klonowic, Bielski i Wielewicki, Kochowski i Potocki? Nie było działu wiersza lirycznego, okolicznościowego, dydaktycznego, sielskiego, któregoby nie uprawiał godnie a wdzięcznie. Pisywano i przed nim wiersze miłosne, o zakroju domowym; lecz on dopiero wprowadził pustotę anakreontyku i zadumę tybullową i horacyuszowskie wdzięki i namiętność katullową; jego to pomysły, zwroty, obrazy stworzyły kanon polskiej muzy erotycznej, jaki chyba u Morsztyna porzuciła; jeśli on np. zapewniał:

Złota to strzała i krom wszego jadu była,
Którą mię niepochybna miłość uderzyła i t. d.

to nie trudno dopatrzeć się wzoru dla Szarzyńskiego, śpiewającego;

A ty, co serca ranisz hartownymi
Strzałami, czasem nie jadowitymi,
Ugodź ją (Zofię) *złotą*, aby twe postrzały
Już tam moc miały.

I zaroiło się odrazu na polskiej niwie poetyckiej od erotyków w guście Kochanowskiego, u Anonima, Szarzyńskiego, Smolika i in. Jeszcze bardziej wzorowano się jednak na jego »Fraszkach«. Pisali je dawno przed nim Rej i inni, sarkał Royzyusz na fraszki, w których nic, prócz tytułu, warowniejszego nie było; sarkał Bielski w roku 1569:

Dosyć się insi w Polsce błazeństw napisali...
Gdzie pojrzysz, ali fraszki...
I tych się naczytawszy, ali pieprz zawinąć,
Żeś dał pieniądze w ten dzień, źle możesz wspominąć.
I składaczowi (poecie) zato sławy nie przyroście...

Lecz zrzędzenie staruszka, dydaktycznemu wierszowi stale hołdującego, nie trafiało do przekonań, i siliły się dowcipy za Kocha-

nowskim na fraszki; tak wydał zaraz w następnym roku po nim (1584) Malcher Pudłowski, nie młodzik już, piękne i poważne fraszki swoje, których tytuł nie całkiem nawet odpowiedni, bo więcej w nich statku, niż u Kochanowskiego, a humor tylko miejscami przebijał, mianowicie w owym testamencie Mazura, rozrządzającego rupieciami swymi, jakby skarbami. I z lekkiej ręki czarnoleskiego śpiewaka, co w swych fraszkach rzeczy obce i własne, śmieszne i smutne, bezecne i prawe, anegdoty i refleksye, żarty i przestrogi, szyderstwa i pochwały, świeże i dawne, krótkie i dłuższe pomieszał, wyroiły się na świat polski fraszki, fraszkolasy, fraszkorytmy, dworzanki, wety parnaskie i jak je tam nazywano.

Największe wrażenie, chociaż niejednemu rzecz sama »lekką« się przedstawiała, wywołały Treny, i od roku 1580 ciągnie się ich szereg nieprzerwany, pod tym samym lub zmienionym nazwiskiem, ze szczegółami, zwrotami, myślami, zapożyczanymi bez ceremonii. Podobnie ma się rzecz i z »Satyrem« jego. Pomysł nie był nawet bardzo szczęśliwy, bo po cóż było »dzikiego męża«, utwór fantazyi słowiańskiej, jakim ona swe lasy zaludnia, koniecznie w starożytnego satyra przedzierzgać, prawiącego Polakom przestrogi najświeższej daty, choćby i o szkole krakowskiej, a łatającego je naukami Chirona — mimo to, dzięki Kochanowskiemu, ten satyr właśnie zdobył w literaturze polskiej prawo obywatelstwa; Wolan przynajmniej zastąpił go jeszcze Proteuszem, ale późniejsi, Twardowski i in., stale z Satyrem wychodzili i jeszcze Gracyan Piotrowski w XVIII wieku ze czcią go wymieniał. Jedyna »Odprawa«, jako rzecz »nie wedle uszu naszych«, naśladowców nie znalazła. I niektórymi mniejszymi rzeczami bardzo pociągał poeta, czy to przez »epitalamion«, czy przez pamiątki nagrobne Tarnowskiemu i Tęczyńskiemu, czy Sobótkami, w których poeta - ziemianin »wczasy i pożytki« »wsi spokojnej, wsi wesołej« opiewał, naginając się miejscami całkiem do nuty ludowej. Nawet sztuczki rozmaite za nim powtarzano, takie »Raki« np., gdzie pochlebny wiersz nawspak czytany hańbił i szydził: broń, której w politycznych i religijnych pamfletach nieraz używano i in.

Poetę ziemiańskiej Polski odznaczały umysł niezawisły, przestawanie na »równym« (miernym), ale swoim, umiłowanie żywota sielskiego, niewspinanie się ku zaszczytom i dostojeństwom, kwietyzm pewny, dbałość o wczas, wygodę i zdrowie, nie wykluczająca jednak żywego udziału w rzeczach, obchodzących ogół, biorąca do serca i obcych wyzwiska na Polskę (odpowiedź skrzeczącemu Francuzikowi), i niewdzięczność Walezego, i klęski, żywiołowe czy tatarskie, bolejąca nad nierządem, nad rozterkami religijnymi, ceniąca co obce, ale miłująca co swoje, choćby starą, zasłużoną a sponiewieraną szkołę krakowską. W fizyognomii jego moralnej żadne namiętności brózd głębokich nie wyorały; wyszumiał rychło; uczucie było rzewne, lecz spokojne, ciche; przebijała wszędzie dobrotliwa, gościnna, towarzyska, jednym słowem polska natura. I estetyczna równowaga zachowana: rozwój naturalny, bez gwałtownych przeskoków; wzorowanie na jedynie cenionych, na dziełach starożytności, ale bez jednostronnego zapatrzenia się w te dzieła, z zachowaniem większej swobody od powijaków klasycznych, krępujących plejadę Ronsarda; siła wyobraźni mierna; dar obserwacyjny znaczny; humor pogodny; pierwsze zwroty ku naturze, obce jeszcze zupełnie Rejowi lub Bielskiemu, dla których tylko ludzie istnieją. Pomysłowość nie uboga; tok wiersza gładki; mowa jędrna, trafna, obrazowa, bez Rejowych rozwlekłości, trywialności, prostactwa; język poetycki stworzony po raz pierwszy i wiekom całym za wzór podany, ponad jaki się wyżej nigdy nie wznosiły. Skłonność ku refleksyi i dydaktyce widoczna, i uczucie religijne tak zabarwione. Obcowanie z nim podnosiło i polepszało; wiało od niego ciepłem moralnym i przenikającą wszystko swojskością; miło z nim szaleć, kiedy czas po temu; z nim służyć poczciwej sławie, »a jako kto może, niech ku pożytku dobra spólnego pomoże«.

Stąd ta sympatya, którą poetę za życia i po śmierci otaczano; jeszcze w czterdzieści lat po zgonie apostrofował go poeta-mieszczanin:

Najsławniejszy poeto między poetami!
Ty nigdy nie umierasz, zawżdy jesteś z nami,
Bo zawsze poglądając na twój wiersz *wspaniały*,
Musimy się dziwować, że był rozum cały.
By nas kilka tysięcy stanęło z wierszami,
Żaden taki nie będzie, musim przyznać sami,
Choć jeszcze drudzy kradną ziarno z twej śpiżarnie,
Przywłaszczając za swoje...
Woli wiersz, choć kradziony, by jedno gotowy.
Biedneż nasze żebracze płaszczyki łatane...

Przetoż też naszej pracy marnie używają...
A Kochanowski przeciw jako pan na stole,
Czasem dwakroć oprawny, co pojadły mole.

Nie wybredny to wiersz, ale szczery, a podobnych możnaby wiele naliczyć; Miaskowski roku 1612 powtarzał, co Wolan roku 1564 wyprorokował — o nieśmiertelnej sławie, a Paprocki zapewniał:

A snać by mieli mówić po polsku bogowie,
Iścieć by z Kochanowskim przestali na mowie!

I był to pierwszy poeta, którego sława nie zamykała się w obrębie stanu, prowincyi czy konfesyi, rozciągała się jednostajnie na całą Polskę; zgon nagły poety opłakiwał i Kraków posiwiały od ołownych dachów, i Poznań staropolski, i Litwa spolszczała, dwugrodne Wilno i porządny Lwów a Lublin (śpiewał słusznie Klonowic).

Spółcześnie z Kochanowskim, wywołane po części przez niego, występowało całe grono pisarzów; dzielili oni z nim zwyczaj fatalny nie drukowania wierszów, szerzenia ich w odpisach tylko, a za tym poszło utrata i dzieł, zanik i autorów całych. Tak ocalały przypadkiem tylko wiersze **bezimiennego dworzanina-protestanta,** pisane przed r. 1570 jeszcze, wiersze miłosne, blade i konwencyonalne nieco, i wiersze okolicznościowe, fraszki, żarty, anegdoty i wykończone obrazy staroszlacheckiego życia, np. szlachty, wybierającej się kuligiem, a przerywającej niewczesną zabawę za przybyciem posła, donoszącego o najściu tatarskim i zwołującego na odsiecz; albo »Biesiada o dobrym gospodarzu«, jak się goście jego mile bawią, aż mruk jakiś, żubr, pijany zwadę zaczyna i t. p.; wykończone do najdrobniejszych szczegółów obrazki rodzajowe z wyraźną żyłką epicką i lubowaniem się w opisach, czego u Kochanowskiego zupełnie niema, z dobroduszności, nie wolną od lekkiej ironii, gdy np. mówił o Zygmuncie Auguście, co na przedstawienia p. hetmana w radzie »czapeczki poprawiał«,

Do jutra tę rzecz każdy raz odkładał,
Czasem też z gniewu pilnie główką trząsał...

albo o swoich »dilektach« — Polakach, co siła na się nieprzyjaciół macie,

a wżdy nic nie dbacie,
Choć się źle dzieje, wszystko u was fraszka!

Fraszki anonima odznaczają się wobec figlików Rejowych i fraszek Kochanowskiego i tym jeszcze bardzo dodatnio, że niema w nich prawie przywoźnego towaru, że odnoszą się, acz imion nie nazywają, do małopolskiej i ruskiej szlachty, są najbardziej swojskie, grzeszą tylko wadą polską albo słowiańską: rozwlekłością dykcyi — nie »teskno« przecież autorowi przy flaszy bajać swobodnie:

Aby tym snadniej płynęły te fraszki,
Muszę się przysiąść do tej waszej flaszki,
A wy co wiecie, wszystko powiadajcie;
Czego nie wiecie, pisać mi nie dajcie.

Zato tok ich nadzwyczaj gładki, chociaż to łatwość i gładkość prozaiczna. Z fraszek wieje silny duch akatolicki; jadąc więc między Mazurów, gdzie »się twarde kijce rodzą«, musi »swoję gębusię zasznurować śpieniem«, używa zato we fraszkach; taki »Indult papieski« np. — na temat apokryfu, Listu z nieba zesłanego, i dziś między ludem znanego — to jakby odpowiednik poetycki do najdrastyczniejszych kart Apokalipsy Rejowej. Kazi jego wiersze treść, rozwiozła strasznie, ale rubaszna, bez śladów włoskiej lubieżności — przypomina i tym W. Potockiego z XVII wieku. Nazwiska jego nie znamy; może to Stanisław Porębski, »złoty«, którego »skotopaski« (idyle) Kochanowski wysławiał z Teokrytowymi na równi, albo Chwalibogowski, Jan czy Krzysztof, bo o obu spółcześni jako o poetach wspominają (o Janie, jako znakomitym poecie, wyraża się pisemko z roku 1578, o Krzysztofie pisze Paprocki »wieku mego był poeta *non vulgaris*«). Poeta sam siebie wysoko nie stawiał, wymieniał »dwu mistrzów, Kochanowskiego, Reja«, siebie »prostym, z wierszów nic niećwiczonym« nazywał. Gdyby nie jego erotyczne pieśni, możnaby go do szkoły Rejowej zaliczyć, do Kochanowskiego znowu, — gdyby nie brak zupełny mitologicznych reminiscencyi, bez jakich Jan nawet w »Sobótkach« się nie obywał. Czy nie był ten anonim na najlepszej, najwłaściwszej drodze rozwoju oryginalnego poezyi polskiej? starożytnych znał, Owidyusza elegię wytłumaczył, mimo to ich nie naśladował.

Naśladował ich tym bardziej **Szarzyński,** przynamniej w młodocianych wierszach miłosnych do różnych Zoś i Kaś, z anagramami i innymi sztuczkami, mitologią, Wenerą, Kupidynem, Narcy-

zem brak własnej inwencyi łatając; igrając raczej z miłością, niż nią przejęty. Lecz podniósł się niebawem z tego stopnia niższego, rzucił miłostki; wpatrzony w odmienność świata zagrzewał do cnoty, sławił waleczne czyny przodków, torując sobie tutaj sam ścieżkę; poezya jego nabiera hartu, nawet wyraz jej z lekkiego, wodnistego tężeje, staje się szorstkim; religijność jego odmiennej od Kochanowskiego natury, ściśle katolicka, »był wielki Panny Maryej służka i gorący miłośnik«, mówi o nim spowiednik jego, »miał do tego od Pana Boga niedosiężony dowcip«, »dziwnie wedle stanu swego pokorny«. Lecz nie szczęściło się Szarzyńskiemu ani w życiu, gdyż bogdanki (Tarłówny) nie otrzymał, ani w literaturze, gdyż pozostałe w odpisach dzieła zniszczały, tak, że własny brat w dwadzieścia lat po śmierci jego już tylko drobną ich wiązankę od zagłady wiecznej ocalił. Nadziejom, może i wygórowanym, jakie spółcześni o nim żywili, przedwczesna śmierć kres położyła; mimo to widać usilną pracę nad sobą, respekt przed sztuką, która dla niego była nie krotochwilą tylko, myśli poważne, gorącą miłość ojczyzny. Uderza znajomość literatury włoskiej, posługiwanie się formą sonetu, igraszkami słów i obrazów, przypominające już Marina i barok.

Jeszcze dobitniej występują wpływy włoskie u dwu młodszych. **Sebastyan Grabowiecki** naśladuje lirykę religijną włoską w dwu setnikach Rymów duchownych, o formie wierszów bogatej bardzo, o wysłowieniu nadzwyczaj jasnym i gładkim; to biada ciągle, nieco jednostajnie, nad upadkiem i grzechem, to wznosi się z korną nadzieją, prawie bez wszelkich aluzyi do miejsca i czasu, jak późniejsza liryka protestancka; mimo to nie przepomina uciemiężonego ludu:

Pot ludzi robotnych nie może mi z ręki,
Za co ja przekleństwo rychlej, aniż dzięki,
Odnoszę i pewne do Ciebie wołanie,
Abyś na swej łasce mnie pokarał, Panie!..
Iż mnie krzywda ludzka dawno boli, Boże!

Jak Grabowiecki, tak i **Jan Smolik** z dworzan królewskich wyszedł; pisywał przy końcu wieku, ale poezya jego całkiem późniejszą, Hieronima Morsztyna, Szlichtynga, przypomina, treścią swywolnych fraszek erotycznych, konwencyonalnością pieśni miło-

snych, przebiegających od jednej »panny« do drugiej, łatwością, ale i wodnistością wiersza, z którego precyzya Kochanowskiego już się całkiem ulotniła. Tłumaczy jeszcze pieśni Horacego, pozostając daleko w tyle za Kochanowskim, lecz zarazem tłumaczy pierwszy pastorele z włoskiego i z włoskiej tragedyi *La Dalida* Grotta (wydanej roku 1583), początek — możnaby i jemu przypisać początek przekładu tragedyi pasterskiej, słynnego Guarina (»Wierny Pasterz«, w rękopisie z początku XVII wieku).

Innego rodzaju poezyę uprawiał **Andrzej Zbylitowski,** głównie dworacką, powinszowania koronacyi i zwycięstw, pieśni na śluby i pogrzeby, nawet epopeja jego »Droga do Szwecyi« (Zygmunta III z roku 1594) jest całkiem dworska, wychwala i zaleca dworzan, owego Niegoszewskiego z jego »darami Pegaskich bogiń«, Warszewickiego »Demostenesa drugiego«, i różnych dygnitarzów. Forma i mowa nadzwyczaj gładka, nieznośna jednak mieszanina całego mitologicznego balastu, bez którego i kroku nie robi poeta — narów ten udziela się poezyi ostatniego dziesiątka wieku, jak i drugi — nieskończonego tworzenia złożonych przymiotników, niepolskich, jakie z łaciny naśladowali Rybiński, w »różnorymnych« gęślach na «zgodnociągłych« strunach »skrzydłopiętą« cnotę sławiący; Liricyusz, w długim poemacie: »Wzory Cnót«, »przedziwny żywot« św. Franciszka (z Assyżu) opisujący z dygresyami, naturalnie i przeciw polskim nowowiernikom; Gosławski, tłumaczący dramat Szymonowica. Konwencyonalnego balastu mitologicznego nie rzucił Zbylitowski, ojciec tego bezsmaku, nawet i wtedy, gdy dworacka poezya ze służbą dworską nie zbyt mu się opłaciła i gdy zacisze wiejskie opiewał w »Żywocie Szlachcica na wsi« i w »Wieśniaku«; za przewodem »Sobótek« Kochanowskiego trafił tu na ziemiańską nutę, »rozmyślając w chłodnym cieniu, twe rozkoszy, twe pożytki i uciechy, wczasy wszytki, wsi wesoła!« W »Żywocie« zamieścił wycieczki ostre przeciw modnym zbytkom i marnotrawstwu; »Wieśniak« w krótkich rymach, wypadł żywiej, lecz i tu nie obeszło się bez wyliczań z mitologii i z dziejów Polski, jako treści lektury zimowej.

Jedynie gładkość wysłowienia ratuje Zbylitowskiego; tej nawet brak poetom - żołnierzom, Gruszczyńskiemu i Czahrowskiemu, którzy z ręką, od władania kopią ociężałą, do pióra się brali, Gruszczyński — obowiązki towarzyszów i panów kreśląc i tych, z któ-

rymi razem u króla węgierskiego służył, wyliczając i opisując; Czahrowski — trafunki niewdzięcznej służby węgierskiej, rozmaite przygody, śmieszne i smutne wystawiając, w wierszu, którego się z musu chwycił, leżąc na bruku i szturmując do łaski Zamoyskiego, przeciw któremu nieopatrzny pod Byczyną stawał; poeta z niedoli i musu wie:

że tego nie pisał Rej ni Kochanowski,
Lecz żołnierski pachołek, ja Adam Czahrowski,
Któremuby przystojniej rybne *wiersze* (sieci) składać,
Niż nad polityckimi *wierszmi* piórem władać

— dowcip ten z »wierszami« powtarza się przez cały wiek następny. Tak to się czasy zmieniły; milczeli przedtem powołani, teraz i całkiem niepowołani się odzywali, choćby »żabim skrzekiem«.

Do powołanych chyba należał ksiądz **Stanisław Grochowski,** wychowanek Jezuitów pułtuskich, więc humanista, zarazem uczeń Kochanowskiego wdzięczny. Łatwość do wiersza miał wrodzoną, niby Rej; odzywał się od młodych lat w satyrycznych docinkach osobom i stronnictwom, które z czasem ginęły, niszczone później umyślnie przez starca; niewiele z nich nabrało rozgłosu, co się przykro i na poecie odbiło, np. »Babie Koło« jego, nicujące kandydatów do biskupstwa krakowskiego. Jawnie występował, jako panegirysta, niegorszy od Zbylitowskiego, chociaż, jako ksiądz, głównie pogrzebowym, nie weselnym aktom służył, naśladujący Zbylitowskiego (np. tegoż »Witanie Zygmunta III« roku 1587 lub »Epithalamium« r. 1592) i w tym, że gratulacye czy pociechy od rozmaitych ziem, stanów, a choćby części domu prawił: taka »Kallio pea słowieńska« r. 1587 od owego »Witania« niczem się niemal nie różniła. Wiersze te jednak powstawały dla festów czy »planktów« i z nimi ginęły; dłużej przetrwała pamięć poety ascetycznego, chorążego owego rozmodlonego hufca poetyckiego, który przez półtora wieku z górą parnas polski oblegał, zagłuszając nieraz każdy inny, świecki ton. Jako poeta ascetyczny, wypełniał Grochowski program, na który się i w XVII wieku godzono: nie tworzyć oryginalnie, lecz przelewać w gładki wiersz polski, co po łacinie, prozą lub wierszem, Tomasz a Kempis czy Jezuici (Androcyusz, Pontan i inni), »Hymny« brewiarzu lub mszału wyrażały; nie szedł jednak Grochowski za przykładem Kochanowskiego w »Psałterzu«, lecz starał się np. w »Hymnach i Prozach kościelnych« oryginału jak najwierniej się trzymać. Łatwość rymowania i nadzwyczajna płynność mowy wyniosły go nad późniejszych tłumaczów i wierszopisów, którzy w tych »Hymnach« lub w »Tomaszu a Kempis« z nim współzawodniczyli; zresztą pisywał i legendy (o św. Cecylii i in.), wszystko niezgorzej, a rymy liczne nietylko po kilka razy wydawał, lecz i o obszernym ich zbiorze pomyślał (roku 1608 i później). Miał humor i werwę, udawały mu się najlepiej rzeczy niepretensyonalne, gdzie się nie sadził na »treny«, a pisał, co czuł, czy to w elegii p. t. »Nocy toruńskie u schyłku życia«, do starca, jak on, do Skargi, zwrócony, czy dawniej, w imię snu zagrożonego na hałasy warszawskie się skarżąc lub z postępów Dymitra i zgody ruskiej się ciesząc, albo trefnisia biskupiego opiewając lub polszczyznę ministra pruskiego wyszydzając. Mazur ten władał wierszem, jak mało kto inny, szczególniej krótkim, ośmiozgłoskowym, w którym całe dziełka układał.

Szereg poetów, obok tego księdza, zamyka mieszczanin, **Sebastyan Klonowic,** Wielkopolanin, co to, jak inni, na Rusi, we Lwowie i Lublinie, stanowiska się dorobił; humanista, Greczyn znakomity, mógłby i Szymonowicowi dorównać, gdyby nie troski i kłopoty go w gmin nazad tłoczyły, ilekroć głowę wychylał, chociaż »zmarszczywszy czoło«, zawsze wracał do swych »zabaw uczonych«. Jak Rej szlacheckiego, tak to śpiewak życia miejskiego z żyłką satyryczną, spostrzegacz bystry, ciekawy natury i otoczenia. Zaczął, jak każdy mieszczanin, jak Szymonowic i inni, łacińskimi wierszami, żeby nikt syna Klonowego o nieuctwo nie posądzał, i dzieła większego rozmachu tylko po łacinie wykonywał. »Roksolania« jego, to pierwszy malowniczy opis kraju malowniczego; od skrzypiącej maży, od kwilącego niemowlęcia, które kuma tuli, aż do listu, wtykanego umierającemu Iwanowi do rąk, aby się przed św. Piotrem wylegitymował, opisane tu wszystko: i kraj i ludzie i zwierz i łowy na niego i czary miłosne; najciekawsza to rzecz z całej łacińskiej poezyi polskiej, z którą chyba »Łowy żubra« Husowczyka mierzyć się mogą. »Zwycięstwo Bogów« to znowu największy poemat alegoryczno dydaktyczny, na jaki się poezya polska kiedykolwiek zdobyła; mieszczanin protestuje przeciwko wyłączności szlacheckiej, która samo urodzenie zaszczytami i przywilejami zarzuca, wykluczając od nich godność i zasługi osobiste, nie wy-

legitymowane herbem, majątkiem, urodą; olbrzymi, bo kilkanaście tysięcy heksametrów liczący poemat znalazł nawet tłumacza polskiego, obfitował w dygresye i epizody, o szarańczy żydowskiej, pielęgnowanej przez panów na zagubę klas niższych, o nędzy kmiecej, o grozie tureckiej i t. d.

Mniej górne tematy opracowywał mieszczanin lubelski wierszami polskimi, i tak opisał, przeciw Roksolanii, niby Bedeker wierszowany, »Flisa« czyli spuszczanie statków Wisłą, od mostu warszawskiego do bramy gdańskiej, ze »szpruchami« i zwyczajami »bosmańskimi«, z wyliczaniem rzeczułek, ostrowów i miast; zaś przeciw »Zwycięstwu Bogów« »Worek Judaszów, to jest złe nabycie majętności«, gdzie rajca i ławnik z praktyki sądowej i obywatelskiej najrozmaitszych wydrwigroszów i łupiezców realistycznie wystawił, z szczegółami miejskiego żywotu, i pedantycznie, jakby jaki sędzia śledczy czy prawnik, dzieląc materyę na rubryki i ustępy. Honor mu czyni ujęcie się za dolą kmiecą:

kmiotaszek ubogi ustawnie do dwora
Robi sobą i bydłem aże do wieczora,
Karmi się ustawiczną biedą i kłopotem,
Zimnem i upaleniem, łzami, dymem, potem,
Cierpi kuny, biskupy, korbacze, gąsiory,
Osoczniki, pochlebce, podatki, pobory
I pany furyjate, opiłe tyrany,
Pyszne, chciwe, wszeteczne, gorsze, niż pogany...

Lecz jeszcze znamienniejszym, dla wybryków i nietolerancyi czasów, było wyznanie »poety«, co o »lwiej skórze w worku judaszowym«, t. j. o jawnym rozboju i zdzierstwie możnych, mówić się nie odważył; strach o tej skórze pisać:

Więc mamli o niej pisać, namyślę się na tym,
Bym się zaś nie uprzykrzył Judaszom zębatym.

Nietylko wybór tematów cechował mieszczanina, lecz i język jego; Klonowic, chociaż Wielkopolanin rodem, przejął się tak ruszczyzną okoliczną, lwowską i lubelską, że wiersz jego pstrzy się nieraz od słów i form ruskich; *izmiennik, hołowieńko, diedu, młodziec* i t. d. mają u niego prawo obywatelstwa, a obok ruskich

znajdą się i czeskie. Nazwisko jego uległo wczesnemu zapomnieniu, ledwie że »Flisa« później przedrukowano; zaszkodziło gorliwemu katolikowi w życiu i pismach, że się z protestantami wdawał, Gorajskim, kalwinom zajadłym, dzieła dedykował, u arcykacerza Sternackiego prace swe wydawał, z Wojciechem z Kalisza się bratał, tak, że nawet na niego autorstwo słynnego pamfletu antyjezuickiego zwalono.

Obok tych dzieł oryginalnych odegrały i tłumaczenia ważną rolę w oddziaływaniu humanizmu na literaturę narodową. Na czele tłumaczów, jako najwpływowszy między nimi, stanął **Łukasz Górnicki,** mierny talentem, wielki zasługą pisywania wyłącznego po polsku mimo wszelkich ponęt łacińskich, którym ani Kochanowski i Szarzyński, tym mniej Szymonowic i Klonowic się opierali. Zaczął wierszami, lirycznymi, własne miłostki opiewając, i epicznymi, o »Grunwaldzką« się kusząc: w obu jednak nie zdradzał żadnych zakusów humanistycznych; kroczył śladami Bielskiego i Reja. Pobyt i studya włoskie zmieniły go zupełnie; wyrzekł się wprawdzie samoistnego tworzenia, jakby się na siłach nie poczuwał, lecz oddał się stosowaniu rzeczy włoskich i łacińskich na ład polski. Brał się do wszystkiego, i do tragedyi Pseudoseneki i do traktatu Seneki, naśladował dyalog Platoński, przyczem poziom jego strasznie obniżył — prawdziwy sukces odniósł tylko, »Dworzanina« polskiego wedle włoskiego »Cortegiano« odtwarzając. Dzieło Castigliona znachodziło wszędzie tłumaczów, Polak jeden zamiast tłumaczenia dał przeróbkę, przenoszącą nas z dworu esteńskiego i wyrafinowanego renesansu włoskiego do Prądnika Maciejowskiego i na Zamek krakowski. Kilka lat tylko dzieli przeróbkę Palingeniusza Rejową od tej przeróbki Castigliona — lecz cóż za różnica: Palingeniusz schłopiał, Castiglione spolszczał; włoski ideał harmonii fizycznej i psychicznej, równego ukształcenia ciała i umysłu, wcielił się w formy polskie. Z raz obranego toru Górnicki zbić się już nie dał: przeciw Orzechowskim i Solikowskim pamiętnik swój z czasów Augustowskich spisał po polsku, przyczem pofolgował żyłce retorycznej, umieszczając próbki wymowy sądowej przy opisywaniu sprawy Halżki Ostroskiej. Przeciw Wolanom i Warszewickim również po polsku napisał obszerną »Rozmowę o elekcjej, o wolności, o prawie i obyczajach polskich« (między Włochem, dziwiącym się porządkom polskim, a Polakiem, ich broniącym, podczas

elekcyi Zygmuntowej roku 1587), i »Drogę do zupełnej wolności«, krótkie streszczenie nowych poglądów autora: jedyne to jego (prócz króciutkiego »Raczyła« t. j. wyszydzenia, w imię mowy rozumnej, owego niewczesnego »raczenia« polskiego — raczył umrzeć i t. p.), oryginalne pisma, które, jak wszystkie inne, prócz »Dworzanina« (wydanego roku 1566, powtórzonego roku 1639 i 1761, tłumaczonego nieraz i na niemieckie), niechybnie byłyby zaginęły, gdyby starosta tykociński nie zostawił synów, dbałych o imię ojcowe; szczególniej ks. kanonik warmiński zasłużył tymi wydaniami (i własnymi tłumaczeniami) na wdzięczność późniejszych. Polityczne pisma Górnickiego, uszlachconego mieszczanina, grzeszą przeciw zasadzie, przez Skargę sformułowanej: »przezacni panowie, nie czyńcie z Królestwa Polskiego niemieckiego rzeskiego miasta, nie czyńcie malowanego króla, jako w Wenecyej, bo weneckich rozumów nie macie i w jednym mieście nie siedzicie«. Górnicki zaślepiony Contarenim i porządkami włoskimi, jak ich literaturę i kulturę, takby i politykę ich do Polski przenosił; niestosowność zasadniczą wynagradzają szczegóły obyczajowe, z praktyki sądowej mianowicie, nadzwyczaj wymowne; krytyka włoska polskich nieporządków nadzwyczaj udatna; bardzo znamienne dla rosnącej drażliwości Królowej Opinii było, że ludzie wpływowi, Zamoyski i inni, którym Górnicki odpisy przesyłał, ogłaszania odradzali, choć zapatrywaniom autorskim nie przeczyli.

Inni tłumacze nie pojmowali tak wysoko zadania swego. Jedyny **Ciekliński** poszedł w tropy Górnickiego i »Potrójnego« Plauta nie przełożył, lecz do Polski i Lwowa dostroił. Gdy Bielski stary oryginalną komedyą o »Justynie i Konstancjej« niemoralnego Terencyusza w szkole zastąpić albo wyrugować pragnął, co już dla rozmowy łacińskiej, z Terencyusza się stale zapożyczającej, możliwym nie było, Ciekliński przebrał Plauta »w giermak i kowane buty« i zyskał aplauz znawców — Lwowianie i Zamoyszczycy nie mogli się go dosyć wychwalić, Szymonowic niemniej jak Szczęsny Herburt; Średziński porównał go nawet z »dawnymi komikami polskimi« (Rejem, Bielskim — tych tylko znamy), którzy pisali:

Na jeden dzień wielu lat dzieje zgromadziwszy;
O rzeczy i podanie ich kształtne niedbając;
Osób i zapędów serc wyrazu chybiając,

Własnych słów, gładkiej mowy i w żarciech wdzięczności,
Do mowy pospolitej wierszów podobności
Nie patrząc...

Zalety, których im brakowało, połączył Ciekliński, i rzeczywiście komedya jego, przeznaczona na scenę (mowa o dekoracyach: to miasto malowane Lwowem niechaj będzie) wrażenie wielkie zrobiła, i ślady jej można i w XVII wieku odnaleść, chociaż Plauta tak nie spolszczyła, jak Górnicki Castigliona. Dodał Ciekliński wiele od siebie, wycieczki satyryczne na zbytki, na utratniki, co radzić sobie umieją:

Będę umiał z inszymi mówić na sejmiku,
Że drugim pójdzie w pięty... i posłem zostanę,
Muszą mi przedsię co dać, choć z niedobrej woli!!

na wszelakich warchołów polskich, których sprawki zjadliwie wyjawił; zresztą z moralnością delikatniej się nie liczył i od przedmieścia halickiego swoim bohaterom docinał chętnie; stworzył jednak, obok dramatu Kochanowskiego, jedyną polską komedyę XVI wieku, godną widzenia. Inne tłumaczenia dramatyczne, ani »Troades« Górnickiego, tem mniej »Jephtes« (Buchanana) Zawickiego, porównania nie wytrzymują.

Najczęściej jednak utwory klasyczne przerabiania na ład polski, z góry nie dopuszczały, np. »Eneida«, którą Kochanowski Jędrzej nie zbyt szczęśliwie wyłożył; Wirgiliusza humaniści najwyżej cenili, tusząc, że i z pomiędzy nich Maro wyjdzie, skoro się tylko Mecenas znajdzie (»siłać więc jeden Mecenas naczyni Maronów, nie szczędząc swych zagonów« dopraszał się Klonowic) — nie dziw więc, że całą spuściznę po nim przetłumaczono, Kmita bukoliki (»Pasterskie rozmowy«), a Świrski georgiki, chociaż o Ziemiaństwie polskim, jak Koźmian później, nie pomyślał; z przekładu Świrskiego ocalała tylko jedna księga, o pszczołach (»Pasiecznik«), tamte trzy w trwogę tatarską

Na kęsy roztargane od pogańskiej ręki;
Ciebie (Pasiecznika) prawie zgniłego naleziono w błocie,

poświęcił on go Sienieńskiemu (założycielowi Rakowa), nie dla ostentacyi, lecz dlatego,

Abym cię do pisania pobudził jakiego,
Coć Bóg dał, byś nie kopał.

Kmita nawet »księgi trzynaste o Eneaszu trojańskim« wyłożył (dorobione przez humanistę-poetę Wegiusza). Wszystkie te przekłady dosyć liche, ze względu na rymy konieczne zbyt rozwlekłe, nigdy nie dopinają siły oryginału, np. *Timeo Danaos et dona ferentes* brzmi: niechaj co chce będzie, Boję się Greków, chocia dary niosą, wszędzie, albo *Et haec quondam meminisse iuvabit:* snadź na to wspomnieć potym będzie nam rzecz miła. O wiele lepiej udała się pierwsza komiczna epopea polska, jedyna przed Myszeidą, Kmity Spitamegeranomachia, bój żórawi i pigmejów (pięd zimężyków), na śladująca niby homerowe boje myszy z żabami i t. p., pełna aluzyi do stosunków polskich, czerpiąca z umysłowości ludowej, z przesądów i bajek, komicznych efektów nie pozbawiona, formą udatniejsza.

Innym autorom klasycznym mniej się wiodło. Jeszcze Horacego najczęściej tłumaczyli i naśladowali, np. Jan Kochanowski i Jan Smolik, ale tylko wybrane ody; podobnież, tylko jeszcze mniej, z Owidyusza np. z Przemian i in., z Anakreonta i t. d., nieraz raczej przeróbki i parafrazy, niż tłumaczenia, Pudłowskiego, Dębowskiego i in. Dla prozaików przeważały względy dydaktyczne, lubowanie się w morałach, więc Plutarch znajdował tłumaczów chętnych, w druku i rękopisach; zbiór »Moralia« przełożył r. 1570 Mikołaj Kochanowski, brat Jana, autor »Rotuł«; nawet Lucyan się tu zaplątał (Kur z greckiego na polskie przełożony r. 1578, ale przerobiony na ład chrześcijański); częściej Cycero, w księgach o obowiązkach (tłumaczył sekretarz niegdyś Barbary od listów polskich, Stanisław Koszutski, co i Lorichiusza tłumaczył), albo o starości (Bieniasza Budnego); dalej Isocrates (Glicner), Seneka, Cebes i inni. Niektóre tłumaczenia podejmowano dla względów wyznaniowych, np. »Justyna rozmowa z Tryfonem żydem«, przełożona dla przedmowy, terminologię chrześcijańską i początki aryaństwa polskiego objaśniającej, ciekawy; albo »Józefa Żydowina«, księgi o wojnie żydowskiej Lenarta z Urzędowa roku 1554 i t. p.

Obok tej poezyi humanistycznej, oryginalnej i tłumaczonej, stawała i proza humanistyczna, przeważnie łacińska, rzadziej polska. Poznaliśmy ją już po części, u Fryca, Orzechowskiego, Wolana,

Górnickiego; i Kochanowski sił w polskiej próbował, w traktacikach politycznych, krytycznych, anegdotycznych. W prozie historycznej pierwszy dank odniósł zasłużony **Marcin Kromer,** który, obok zajęć dyplomatycznych, a później i duszpasterskich, znalazł czas na ułożenie i kroniki polskiej, sięgającej niestety tylko po rok 1506 — ostrożny autor nie chciał się narażać kreśleniem rzeczy bliższych, i statystyczno politycznego opisu Polski i jej urządzeń; liczne wydania i tłumaczenia (kroniki na niemieckie 1559 roku, na polskie dopiero roku 1610), o poczytności obu dzieł najlepiej świadczą; skrócił ją i przedłużył do roku 1548 kasztelan Herburt roku 1571; i ta kronika doczekała się licznych wydań, przetłumaczona na francuskie już roku 1573, z powodu wyboru Walezego, który to wybór na rzeczy polskie we Francyi i Włoszech wielki popyt wywołał; wtedy to młody Krasiński, uproszony od ciekawych, Sygoniuszowi i Włochom Polskę szlachecką niezgorzej opisał. Dzieło Kromera, oparte na Długoszu i Miechowicie, uświęciło na zawsze ich przedstawienie; Kromer bowiem samoistnych studyów nie podejmował, złożył tylko na wstępie, początki polskie omawiając, dowody myśli krytycznej, nie dającej się byle pozorami łudzić; w przeciwieństwie do Bielskiego (syna), Sarnickiego i in. nie mieszał narodów germańskich ze słowiańskimi, lecz słuszne uwagi jego zagłuszono, oskarżając go, że odziera naród ze starożytnej sławy. Zresztą przelał tylko treść poprzedników we wzorową łacinę i tą formą właśnie zaskarbił sobie sławę zagranicą a później i uznanie rodaków, co na niego z początku bardzo sarkali, bo wychowanek starej szkoły politycznej, uroszczeniom posłów (»dud nadymanych przez panów«), ostro docierał, ich znaczenie obniżał.

Do łaciny zobowiązywał się i nadal każdy historyk; przykład Bielskiego nikogo nie nawrócił; dzieje czy bezkrólewia, czy wojny moskiewskiej, wyczerpujące i pragmatyczne, czy krótsze rzeczy o wyprawach wołoskich, gdańskich i innych, pisali po łacinie, Orzelski i Heidenstein, Górecki i Solikowski; tłumaczono to i na niemieckie, tylko o polskim tekście nikt ani myślał, nie tylko obcy, — taki Heidenstein, Niemiec rodem, lub Włoch Gwagnin, którego opis Sarmacyi europejskiej, po Miechowicie bardziej obfity, zaraz na niemieckie (r. 1582) i czeskie nawet (r. 1590) tłumaczono, a na polskie dopiero roku 1611 autor do tego się zabrać raczył, — lecz

i swoi, jakby obcy język jedyny wystawiał patent nauki i pożytku. Taki np. Filip Padniewski (biskup późniejszy), żywoty sławnych Polaków spółczesnych wypisał, łaciną tak górną, że za jej frazesami zacierały się zupełnie właściwe rysy i czyny sławionych mężów; mimo to rzeczy nie ogłosił.

Świadczyła ta łacina świetnie o »ingeniach« polskich; huma niści włoscy i francuscy, belgijscy i szwajcarscy, podziwiali wynurzającą się z mgieł średniowiecznych północ sarmacką; imponowały im zdolności młodych Polaków, Nideckiego, Zamoyskiego, Goślickiego i tylu innych; imponowało im używanie języka klasycznego, obszerniejsze w Polsce słowiańskiej (niestety!), niż we Francyi romańskiej; uderzał ich król i kanclerz, starający się zwabić do Polski najznakomitszych filologów świata, Mureta i innych, nie skąpiący na to ni kosztów, ni zachodów. Jak reformatorowie z wytężoną uwagą śledzili rozwój nowej wiary w Polsce, jak łudzili się rychłym i zupełnym zwycięstwem, jak się potem gorzko rozczarowali, podobnie humaniści i łudzili się, i łudzeń się pozbawiali. Nadzieje zawodziły na wszystkich punktach: ani klasztory polskie nie przechowały żadnych skarbów klasycznych, nieznanych na zachodzie — bajka o Cyceronowych księgach *De Republica*, ocalałych w Polsce, kołatała się długo, równie długo, jak wieść o skarbach literatury greckiej w Kremlu, o które się jeszcze Jan Łaski starał, — ani mężowie nie dotrzymywali tego, czego się po młodzieńczych pracach spodziewano; brak wytrwałości, rzucanie nauki dla życia politycznego, w którym i duchowni udział brali, osierocały stale panteon nauki polskiej, zadowalającej się wtórym miejscem, pozbawionej szlachetnej ambicyi celowania nad innymi; kończyło się zawsze na świetnych zadatkach. Przy literaturze pozostawali z reguły tylko wykolejeni, co pismami brak innych zasług wetować, królowi i mecenasom przypominać się chcieli, taki Sarnicki np. lub Warszewicki.

Najruchliwszym pisarzem był **Krzysztof Warszewicki** (brat Jezuity), który w karyerze zawsze się spóźniał, a w literaturze zawsze naprzód wybiegał: mimo znacznej i rozległej wiedzy, niezaprzeczonych zdolności krytycznych, szerokich a nowych widnokręgów, wielkiej ambicyi, ani w życiu, ani w literaturze na nic trwałego się nie zdobył. Żołdak habsburski, jak inny rodak — Mazur, Paprocki, z góry skazywał się na rolę niewdzięczną: polskim

obszernym poematem (Wenecya, r. 1572 i 1587) i łacińskimi mowami, wysmażanymi na wzór filipik, krucyatę turecką głosił, lecz słuchaczów nie znachodził — przynajmniej nie w Polsce, którą zdrowy instynkt przestrzegał, że nie od Osmanów grozi jej niebezpieczeństwo. Nawoływania literackie, przedruk »Okszy (Orzechowskiego) na Turka«, »Gwałty na pogany«, »Wróżki«, »Pożary« Paprockich, Wereszczyńskich, Klonowiców; pisma polskie i łacińskie, swoich i obcych; przepowiednie i wyrocznie, że od północy — naturalnie od Polski, Turkom upadek grozi; sojusze moskiewskie; dywersye perskie i wołoskie; pewne bunty chrześcijan bałkańskich; zabiegi nuncyuszów papieskich i agentów habsburskich — nic nie skutkowało, naród szlachecki mądrej ostatnich Jagiellonów polityki nie rzucał, choćby dla złotego wczasu [1]). Równe niepowodzenie spotykało i inne pisma, dyalogi i t. d. Warszewickiego, rozrzucane w interesie Habsburgów przy elekcyach. Ale i historycznym nie wiodło się lepiej: skrytykował wprawdzie dosadnie dawniejszą historyografię polską, np. Bielskiego, który chyba o wylewach Wisły lub spaleniu Malcherowej rozprawiać umie, nawet biografom Tarnowskiego nie przepuścił — ale sam albo tylko kusił się o większe rzeczy (o dzieje spółczesne od roku 1572, z których napisał tylko księgę I, III i XIII), albo niedokładnie, chaotycznie, pobieżnie zestawiał notatki własne i obce, chociaż sięgał wysoko, z Plutarchem rywalizował w paralelach biograficznych, zbierał daty synchronistyczne, kładł podwaliny historyi literatury w pierwszym spisie autorów polskich. Lepiej powiodło mu się na innym polu.

Wystawiano wtedy chętnie w eleganckiej łacinie, z miną wtajemniczonego i znającego się na rzeczy, obowiązki, cele i drogi mężów stanu, panujących i wojowników; o to ubiegali się Hiszpani i Włosi, a Polacy niezgorzej dotrzymywali im placu. Tak napisał

---

[1]) Najfantastyczniej występował jakiś Daminaeus w broszurze p. t. Liga i t. d. 1596 r., gdzie już dla królewica tron cesarski w Stambule upatrywał, siłami Kozaków i Moskwy operował — do przymierza przyjść musi, »zarwon Bogu z Smoleńskiem« (co tam o Smoleńsk się spierać!) — i inne gruszki na wierzbie okazywał. Specyalność to duchowieństwa polskiego, jak owe grożenie zagubą z powodu sekt, tak to nawoływanie do wojny, oboje dla miłości Rzymu, nie z rzeczy samej płynące. Daminaeus był więźniem tureckim, ale i to go nie upamiętało. Projekty, które do poprawy finansów i wojennej gotowości zdążały, układano głównie w widoku kampanii tureckiej, np. »Zdanie syna koronnego« ks. Piotra Grabowskiego i in.

Goślicki rzecz znakomitą o senatorze, którą Anglicy jeszcze w XVIII wieku tłumaczyli; tak napisał Warszewicki o posłach i poselstwach; nie bez mądrych uwag, stosownych wskazówek (dokąd kogo posłać), znamiennych anegdot (o posłach polskich i moskiewskich). Jeszcze później Heidenstein rzecz o sekretarzach wyłożył. Ale, pisząc po łacinie, więc dla świata, autorowie ci polskich stosunków i wymagań nieraz wcale nie przestrzegali, narabiali ogólnikami.

Z politycznych jego pism, tyczących Polski wyłącznie, najlepsze było najkrótsze, mowa polska z roku 1587, wyliczająca przyczyny upadku i kary Boskiej; najobszerniejsze łacińskie, »O najlepszym stanie wolności«, ciekawe pomysłem, przeprowadzeniem formy dyalogowej (między warchołem Orzechowskim a monarchistą Ocieskim; Padniewski był »obermanem«, arbitrem rozmowy) i odpowiednim rozdzieleniem ról, lecz nie myślami, pożyczanymi lub powtarzanymi za Frycem, za starożytnymi. W ostatnich latach życia, niby dla przybranej świeżo sukienki duchownej, i teologicznymi rzeczami parał się autor, z nielepszym sukcesem, jak historyą i polityką, jako cyceronianin i chrześcijanin. Tak zmarnował się raczej talent, niż wyrobił.

Sarnicki talentu nie posiadał, zarozumiałości aż nadto. I on rzucił się na pole historyi, ale, chcąc olśnić rodaków, nie powtarzał dawnych dziejów, zato wywodził ich od arki Noego, od Assarmotha i innych równie pewnych przodków; i on pisał księgi hetmańskie, chociaż wojownikiem nie był, ale, wedle znanej recepty, starczyło plądrowanie pisarzów starożytnych, deklamacye moralne i polecanie środków wcale nie moralnych; w ten sposób pisali o wojnie wszyscy ci niepowołani, od Fryca i Przyłuskiego aż do Sarnickiego; powołani, Jan Tarnowski, Łaski (Stanisław, żołnierz Franciszka I, dzielący z królem więzienie), zadowalali się spisywaniem krótkich artykułów (o porządku podczas marszu, przy rozbijaniu obozów, o ludziach luźnych, o »bitunku«-łupie i t. d.), nie szerokich traktatów, przyczym Łaski nieraz wcale dowcipnymi aforyzmami szafował — lecz obaj pisali po polsku i to jeszcze w pierwszej połowie wieku; tłumaczono nawet na polskie artykuły podobne księcia pruskiego Albrechta (Strubicz). Wyjątkowo taki zagorzały humanista jak **Jakób Górski,** najwybitniejszy z profesorów krakowskich drugiej połowy wieku, gorliwy jej rzecznik, biadający nad upadkiem szkoły szczerze, autor podręczników retorycznych i gra-

matycznych, pisemek antysemickich i prelekcyi teologicznych, zdobył się również na polską przeróbkę włoskiej »Rady Pańskiej«, którą i Warszewicki na łacinę wyłożył (z oryginału hiszpańskiego, Furyusza Cerioli, którego dziełka i Paprocki na polskie tłumaczył, »Król« 1578, »Senator« 1579). Ciekawe, że profesor niegdyś krakowski »mazowiecczyzną« narabiał, tak, że wydawca i uczeń jego, Januszowski, musiał wpierw język »wypolerować«; ciekawsze, że dodawał do obcego dzieła własne trafne uwagi o polskiej zaściankowości, nie na człowieka, lecz na to, kto go rodzi, patrzącej, czy to Mazur, czy Litwin; o polskim nieposzanowaniu praw i o samowoli możnych i o innych brakach i wadach narodowych, niedocenianiu wroga i t. d.

Stanisław Górski, sekretarz jeszcze Tomickiego i Bony, przysłużył się historyi swego czasu zbiorem olbrzymim (w dwudziestusiedmiu tomach) »Tomicyanów«, t. j. listów, instrukcyi i t. d. wychodzących z kancelaryi królewskiej, za Tomickiego i później, opatrując je ważnymi dopiskami; sam napisał po łacinie »Życie Piotra Kmity«, gdzie z Kmitą i Boną wraz z jej kreaturami duchownymi, Polakami i Włochami, surowo się obszedł, ale nie szczędził i króla i Tarnowskiego, i obum wymarcie rodu przepowiedział; opłakując nie ich, lecz Polskę, zawichrzoną fakcyami wewnętrznymi. Orzelskiego, gorliwego protestanta, rzecz o bezkrólewiu po Zygmuncie Auguście była napisana po polsku, lecz tylko łaciński jej przekład po rękopisach się zachował, w druku bowiem rzecz tak otwarcie odsłaniająca wszelkie machinacye, już się pojawić nie mogła; już rosła nadzwyczaj drażliwość przeciw każdemu niedyskretnemu słówku; już gniewano się coraz bardziej o szczerą prawdę i napastowano dzieła (Heidensteina i Rzeczyckiego) i drukarzów, gdy na autorach za prawdę mścić się nie było można. Doznał tego i Solikowski, który nagabanego drukarza wyręczać musiał; sam pisywał tylko rzeczy krótsze, pamiętniczki i t. p. Najobszerniejsze i najwięcej pragmatyczne dzieło zostawił Heidenstein o wojnie moskiewskiej, komentarze w rodzaju Cezarowych, ze źródeł oficyalnych czerpane, Batoremu i Zamoyskiemu przychylne, więc po śmierci króla od szlachty napastowane.

Tu należą opisy podróży; ubóstwo ich uderza; honor domu ratuje Sierotka (Radziwił), opisując w listach do przyjaciół Ziemię świętą w ciągu podróży 1582—1584; listy zebrał i wytłumaczył

na łacinę kanonik Treter: wiek XVII miał ich wiele wydań i przekładów, na ruskie i niemieckie (roku 1603), i polskich (wydań pięć); lecz i książę całej drogi nie opisał, chodziło mu wyłączniej o miejsca święte. Oprócz niego istnieją tylko »Wypisania drogi tureckiej«, Otwinowskiego i Taranowskiego, lecz i te w druku nie wychodziły; zadowalano się tłumaczeniami obcych; tak dostarczył Ślązak-aryan, Jan Liciniusz (Namysłowczyk, nauczyciel w Jewiu, który dla szkoły we wzorowym łacińskim, a prostym polskim i niemieckim wierszu »Sentencye życiowe« zebrał) tłumaczenia Busbequiusa legacyi tureckiej; łacinnik planował więcej, przełożyć Polakom, co Niemcy już dawno mieli, historyków łacińskich (Liwiusza, Cezara, Józefa Żydowina i innych) i na próbę w podróży do Wilna i na Żmudź Busbequiusa wyłożył na wozie i po gospodach; jako aryan zastrzegał się naturalnie, że tłumaczył i nawoływanie do wojny nie z zamiłowania ku niej. Zresztą milczą źródła polskie; przygody podróżne można znaleźć np. u Paprockiego (z podróży hiszpańskiej Tęczyńskiego), więc przypadkowo; nie nęciło Polaka kreślenie wrażeń cudzej ziemi, co najwyżej wpisywał on w dyaryusz noclegi i odległości; nawet Kochanowski nie wypowiada się, jak to przecież Janicyusz czynił, albo ci obcy, Ślązacy i Szkoci, którzy Wieliczkę zwiedzali i opisywali (Schroterus, Loechius). Zawodzą więc oczekiwania nasze i dziejopisarze i podróżnicy, nie roztaczający żadnych obrazów wielkich, nie malujący tła, zadowoleni kreśleniem faktycznego przebiegu lub suchym wyliczaniem, utykający nieraz w drobnostkach, jak Górnicki w swych »Dziejach«; wiek XVI nietylko sam nie wydał Długosza żadnego, ale i dawnego na świat nie wypuszczał; napróżno żałował Orzechowski »tego zawsze barzo, iż ten polski tak zacny historyk na świat ludziom wydany nie jest, a iż się on po kącich u panów tylko walca«, a za przyczynę podawał »zmazy wielkie Polaków i domów polskich, czemu ludzie folgując Długoszowi na świat dotychmiast niedali«.

Mimo braków dziejopisarstwa wiek XVI nagle się ożywia; wybitne postaci jego nabierają wypukłości i kolorów, drgają życiem i ruchem, gdy na szarym tle wieków dawniejszych wszystko zlane było w jednę masę, martwą i niemą. Zawdzięczamy to ożywienie literaturze w mowie narodowej, nie fałszującej czy zacierającej pokostem łacińskim rysów, cech, kolorów. Nie posiadamy wprawdzie pamiętników z XVI wieku, ale zastąpią je nam rzeczy,

które wydawała chwila: pisma polityczne, mowy publiczne, listy poufne; w nich zwierciedlą się ludzie, stronnictwa, zabiegi; one to wprowadzają w sam wir i zamęt wypadków; w nich odczuwamy samo tętno czaru. A jest ich sporo.

I tak np. zostało nam tylko z lat 1572 i 1574, t. j. z czasów pierwszego bezkrólewia, kilkadziesiąt broszur, wierszem i prozą, łacińskich i polskich, drukowanych lub szerzonych w odpisach, omawiających sprawy wyborowe i zalecających lub potępiających kandydatury, mądrych i niedowarzonych; co za ruchliwość piór, obcesowość zdań, przebiegłość i domyślność. Niesposób ich wyliczać ani oceniać, ale niepodobna pominąć milczeniem występów, np. I. D. Solikowskiego, publicysty pierwszej wody. Oddał się duszą i ciałem kandydaturze francuskiej; jakżeż ją umiał zalecić, ocukrować, aż na ten lep polskie muchy padły; nawet gdy kogucik francuski z Wawelu już zleciał, jeszcze potrafił Solikowski złudne nadzieje i obietnice w słuchaczów wmówić. Wychodziło to w świat bezimiennie, ale z różnych wskazówek (po rękopisach), z wyznań późniejszych i t. d. można nieraz autora oznaczyć. Szczególniej dyalogi polskie, Rozmowa kruszwicka (między Piastem a mazurem Bartoszem Dąbrowskim), Rozmowa Gąski (błazna) z św. Bartłomiejem i Komornika Ferfeckiego z Burmistrzem, wszystkie pióra Solikowskiego, należą do najciekawszych zabytków literackich całego wieku: tyle w nich humoru (jest nawet zaszczytna o Kochanowskim wzmianka, co po olej na Pegazie do nieba zajechał), sarkazmów, zwrotów niepospolitych, ujęcia nadzwyczajnego, zręcznego, subtelnego, że tylko żałować można wyszafowania takich darów na cel tak niewdzięczny. Ale obok rubasznych, drastycznych przymówek, są pisma poważne, mądre, Ciesielskiego (łacińskie), Rotunda (wójta wileńskiego, polskie), Dudycza (eksbiskupa, eksposła cesarskiego, ożenionego z Polką, »wmieszkałego« więc Polaka) i in., dowodzące, jak wysoko stała myśl polityczna, jak się oryentowano trafnie. I przynoszą te pisma zaszczyt wiekowi, tym bardziej, że nieodosobione, że wywoływała je każda nadarzona sposobność — prawda, rzadko kiedy w tej jakości i ilości.

Obok tej powodzi libeluszów, pamfletów, parodyi nawet Pisma św., przemów i dyalogów, stają dalej listy spółczesne, a w nich okazują się przed nami ludzie żywi, co to własnymi słowami radują się lub żalą, oskarżają lub bronią, masę plotek, intryg,

szczegółów potocznego życia wyjawiają, w obozie lub radzie, na rynku lub w kościele, na drodze i w domu, przy uczcie i pracy, w gronie familii, sług i przyjaciół, czcząc się i lżąc, smutni i weseli, otwarci i obłudni.

Właśnie dla drugiej połowy wieku staje się zapas listów polskich obfity. Po polsku piszą świeccy; duchowni pozostają przy łacinie, listy Zebrzydowskiego, Kromera, Hozyusza, Uchańskiego, Karnkowskiego i t. d., humanistów, Janicyusza, Orzechowskiego i innych łacińskie, list polski zaplącze się wyjątkowo; również korespondencya od i do Batorego.

List listowi nie równien. Ludzie XVI wieku, zajęci równocześnie tylu sprawami, obarczeni korespondencyą tak wszechstronną, udzielają sobie nawzajem tyle wiadomości domowych i zagranicznych (gazet jeszcze niema, a progres wojen tureckich lub zajść francuskich bardzo ich zajmuje), zabiegają o tyle tytułów i intrat, sporów i procesów, przypominają się przy każdej sposobności rodzeństwu i przyjaciołom z zalecaniem swych służb i pytaniem o łaskawe zdrowie, że list to często tylko kupka rozwlekłych frazesów służbistych, dobrze jeszcze, jeśli i jaka wiązanka suchych wiadomości. Z masy bezbarwnej korespondencyi wyróżniają się znacząco listy niewielu osób, Radziwiłów, Zamoyskiego, Sapiehy, Chodkiewicza.

Wrażenie, jakie się z tych listów o rządzie i kraju odnosi, jest raczej smutne; ci ludzie nie łudzą ani siebie, ani innych, i na ustach ich wciąż wyrazy zniechęcenia i zwątpienia; powtarzają, giniemy, bez obrony, bez rządu, bez skarbu; pełnią chwilowy obowiązek, bez zapału, bez ufności — a są i tacy, którzyby się zupełnie wszystkiego wyrzekli, by odpowiedzialności za wszystko nie dzielić.

Prócz spraw wewnętrznych i zewnętrznych mowa w tych listach o wszystkim; Zamoyski posyła Krzysztofowi Radziwiłowi obrazy Tarnowskiego i Konstantego Ostroskiego, pośle i swój, gdy będzie gotów; Sapieha dziękuje Sierotce za klawicymbał z fletem i za terminaturę peregrynacyi (t. j. dziennik pielgrzymki do Ziemi świętej), którą przepisawszy odeśle; komisant jego pisze mu, że ks. Śmiglecki żądał, »żebych mu flor. 20 dał na drukowanie książek od niego wydanych, jakim sposobem zastawy iść mają, a lichwy się uwarować, które książki radby WMi przypisał«;

wspominają o niemieckich książkach *de re militari* grafa Solms, oprawnych w złoto i zielony aksamit, drukowanych przez hrabiego doma u siebie i rozsyłanych tylko książętom, ludziom rycerskim.

Cytują w listach »Fraszki« Kochanowskiego i »Zwierciadło« Reja; Zamoyski donosi o gramatyce języka polskiego, którą dla małego Tomasza piszą; układa emblemata z trofeów, postaci alegorycznych i włóczni herbowych, siląc się na kunsztowne *motto*, daje to w Wilnie wymalować, a we Flandryi na oponach wytkać; z Flandryi sprowadza kilku muzyków - chórzystów, lecz drodzy, wymagają każdy, prócz utrzymania całkowitego, dwieście talarów rocznie. Zamoyski zamawia dwa puzdra srebrnych talerzy u Glazera, złotnika poznańskiego, za robotę da 100 zł.; u wileńskiego złotnika Dyle daje Sapieha miednicę srebrną włoską robić, z nalewką, pytają, czy każe w środku miednicy herb (Lisawiec z wiankiem, albo ze lwy, z innymi herbami) odrysować. Obszernie traktują sprawę nauki zagranicznej, nie godzą się na Strasburg, gdzie licha nauka i porządek nie ozdobny, cały ten kąt tam ciemny i sprośny, nie dla młodzi pańskiej, polecają Leodyum z Lipsyuszem lub inne; tylko o szkole krakowskiej już milczą, jakby nie istniała wcale.

Więcej miejsca, niż kunsztom, literaturze, poświęcano opisom, jak urządzono w Wilnie egzekwie dla synowca Batorego, w jakim szyku prezentowali się słudzy kanclerza, cudzoziemcy zaciężni, hufy litewskie; jak się odprawowało wesele w Knyszynie od niedzieli do czwartku, jakie upominki i kto dawał i całkowity rejestr potraw pierwszego dnia (na trzy dania, na misy i półmiski, gdzie to były: zwierzyna słona, potrzęsiona cukrem wielkim i migdały, kapłon z zieloną juchą cukrowany, w czarnej jusze baranki angielskie, kiełbasy warzone z brunatną juchą, mostki cielęce nadziewane i t. d); opis »Derptu«, »mniejszy niż Toruń, kamienice wszystkie ze szczerego muru, na kształt toruńskich, drewnianego domu żadnego niemasz, lecz cóż potym, kiedy całego żadnego niemasz; wojna w niwecz obróciła, sklepy popsowano, izby one kosztowne połamano, kletki drewniane dymne naczyniono; trzeba wielkiej reformacyi. Znać, że tu ludzie przedtym bogaci i rządni byli. Jeśli tu będą mieli nasi Polacy osiąść, wątpię, aby od wojny w gospodarstwie poprawić się mieli, trzebaby tu onych rzadkich niemieckich kup-

ców... ja wątpię, byśmy z tym wiedzieli co rzec«. Przyznanie to, to chyba kartka do dziejów upadku miast polskich.

Jeszcze więcej miejsca zabiorą opisy burd i swarów w mieście i obozie, mimo srogich kar, odsłaniające niezwykłą niepohamowaność i porywczość tych ludzi, której nawet podochocenie i długo tajona nieprzyjaźń niezawsze tłumaczą, lub zły humor dla przegranej w karty, z czym się nikt jeszcze nie kryje.

Między autorami listów są wszelkie stany, płeć i wiek, posiadamy nawet listy karlicy, bądź opisującej, jak się chroni od napaści przerastającego ją już Zygmunta — siada na ziemię, jak żebrak przed psami, bądź proszącej, by księżna (Zofia) o siostrzankach (Zygmuncie i Annie) w testamencie nie zapominała. U wszystkich, czy pisze królowa czy karlica, kanclerz czy arcybiskup, ksiądz czy żołnierz, styl jednaki i ortografia ta sama, nieco chwiejna, dowolna, jak po ówczesnych rękopisach ogółem. Styl mężczyzn naturalnie jędrniejszy, chociaż i kobiecemu dosadności nie brak; liczne słowa, zwroty i przysłowia łacińskie pstrzą niepotrzebnie styl męski; efekt listów od mężczyzn, jak od kobiet, psuje tylko ów nieszczęsny »Raczył«, przyczepiany ciągle, i owo mościwanie, szczególniej na początku listu bardzo rozwlekłe, zabierające zawsze dwie lub trzy linie, przeciw któremu już Fryc występował; wysłowienie łatwe, tok mowy gładki, choć nie dla uszu XX wieku.

Wobec całej prostoty, nieraz rubaszności tonu uderza tymbardziej, jacy ci ludzie — prócz kobiet, gdy do kobiet piszą, np. królewna Anna do sióstr o swojej fluksyi i innych dolegliwościach — w rzeczach fizycznych, w potrzebach i przypadkach ciała wstydliwi, jak je omawiają; Zamoyski np. pisze: przeszłej zimy, *uczciwszy osobę WMci*, zmroziłem sobie nogi — lud i dziś jeszcze podobnie się wyraża; taksamo np. książę Sierotka do drugiego Radziwiła: przyjechał, gdym, *uczciwszy WM.*, do wanny wchodził. Zato np. Chodkiewicz napisze: musiałem starać się, żebym nie, jako świnia, kwicząc poległ, ale społem z moim wrogiem, a możeli być, i na jednej miedzy i t. d.

Najciekawsze z tych listów, barwny pamiętnik ludzi i miejsc, zostawił sekretarz królewski, ks. Jan Piotrowski, z wojen moskiewskich Batorego; z listów tych i Heidenstein korzystał. Pisywał je, o mrozie i głodzie nieraz, do marszałka koronnego, Andrzeja Opalińskiego, co »doma siedząc pieniądze zbierał«, ale ciekaw, co

się działo w Rzeczypospolitej, korespondentów licznych miewał, tak, że żartował kasztelan wileński: »ten Polak wielki doma siedzi, a chce wszystko wiedzieć, co się na wojnie dzieje, czemu na nią nie jedzie?«. Z listów Piotrowskiego, pisanych żywo i barwnie, dochowały się tylko listy z r. 1581.

Od poufałego tonu i niewymuszoności listów, odbijają mowy, szczególniej polityczne i okolicznościowe, przy weselach i pogrzebach. Już wiek XVI wyprodukował ich liczbę nieskończoną. Znaczenie polityczne szlachty, jej życie towarzyskie, wrodzona łatwość wymowy i nieodparta chętka popisywania się nią — pięciuset słów użyje Polak, gdzie innemu cztery starczą, zauważał w Polsce obcy, sprawiły tę powódź oratorską, co w wieku XVII i XVIII jeszcze bardziej z brzegów wylewać miała. Już tu, jak w niektórych listach, np. Kochanowskiego, zagęszczają mowę polską zwroty łacińskie, co później mylnie makaronizowaniem nazywano; prawda, że poseł »makaronizujący«, gdy na zły humor czyjś trafił, mógł jeszcze usłyszeć, co Szafraniec marszałkowi izby polskiej wrzucił, gdy ten zamiast *oskarżony*, *accusatus* powiedział: Panie, mów WM. po polsku, wszakeśmy tu wszyscy Polacy. Mowy grzeszą rozwlekłością — a błąd ten miał się później tym bardziej stopniować, im rychlej malała doniosłość spraw i ścieśniał się widokrąg; dalej powtarzaniem ciągłym; mowy posłów protestanckich, Siennickiego, Leszczyńskiego, mówców cenionych najwyżej, odznacza namaszczenie pastorskie, ton biblijny czy ewangeliczny, bramowanie cytatami z Pisma świętego; inne cechują dobitność i dosadność wyrażenia, zwroty przysłowiowe, przenośnie. W ogóle stoi ta wymowa polityczna wysoko i od roku 1548, od sporów o Barbarę, a później o egzekucyę, o unię i t. d., ciągnie się nieprzerwany szereg ciekawych jej zabytków, od Podlodowskiego przez Reja, do Czarnkowskiego, starego, ślepego kłótnika, do Zamoyskiego. Jak dalece nie wahano się przed wystawianiem prawdy, poucza choćby »prozycya sejmowa« podkanclerzego koronnego, ks. Piotra Myszkowskiego, z roku 1563; wystawia najpierw czasy dawne:

»Przodkowie WM... gospodarstwem się nie bawili, bo je włodarzom a kmieciom swym zlecali; prawa nie umieli, bo się każdy z nich nie statutem, ale swą cnotą sprawował; pisma, języków postronnych uczyli się wprawdzie niektórzy, ale nie dla wykrętów,

nie dla skazy dobrych staropolskich obyczajów, ale żeby tym ojczyznę swoją zdobili, a sami jej tym godniejsi ku służbie byli«; tak uczynili oni Polskę wielką.

»Teraz kiedyśmy z pola zjachali, a miasto drzewa i tarcze pługoweśmy się i czego innego jęli, wprawdzie więcej złota, więcej półmisków, więcej majętności ma każdy z nas na swą stronę, ale Rzeczpospolita mało nie do gruntu zginęła. Granice otworem stoją, ku potrzebie nietylko o Hetmana, nietylko o Rotmistrza albo o Towarzysza, ale i statecznego pacholika trudno. Młódź się zależała, a zbytki tak potargała, że, gdzie ich pospołu kilka albo kilkanaście będzie, ledwie się między nimi jeden prawie zdrowy obierze. Kmiecie, rzemieślnicy, niewolą ściśnieni, mieszczanie znędzeni a prawie zniszczeni i inne wszystkie członki RP., które, acz są podlejsze, niż stan rycerski, ale tak potrzebne, że bez nich RP. żadną miarą stać nie może, prawie zemdleli a upadli; porządku żadnego niemasz, sprawy żadnej, karności żadnej. Nakoniec i wstyd, który jest stróżem wszystkich cnót i bojaźń Boża, początek mądrości i wszystkiego dobrego, którąchmy do tych czasów za łaską Bożą przed innymi narody świecili i za niąchmy prawa pospolitego a swobód szlacheckich dostąpili, i ta już w nas gaśnie, a na to miejsce następuje swawola, zuchwalstwo, najazdy, gwałty, mordy, wzgarda prawa i wszelakiej zwierzchności«. Mowa ta i w literaturze pięknej się zapisała, gdyż »Satyr« Kochanowskiego jest w części jej powtórzeniem osłabionym. Inne mowy nie bywały tak poważne: nie wspominały położenia kmieci i mieszczan, nie wychodziły poza kresy kastowych przywilejów, zazdrośnie strzeżonych, i uprzedzeń; jednak i w nich, jak i w spółczesnej literaturze politycznej, przewijały się zdrowe myśli i rady, chociaż skutku nie odnosiły: ze słuchaczami bywało, jak z owymi, o których Rej mawiał, że rano na kazaniu spłaczą się skruszeni, a wieczór znowu pijani pod ławami leżą. Wkońcu skrzywiono nawet wszelką reformę, egzekucyę, siekucyą przezwaną, a na koronę zwalono ciężar utrzymywania wojska stałego, »kwarcianego«, całkiem niedostatecznego dla strzeżenia szerokich a otwartych granic, choćby przed »moszką« tatarską. Trybunał, judykaturę najwyższą, również zepsuto ustanowieniem coraz nowych wyborów na każdą kadencyę; wprowadzano przez to w trybunał ludzi nieraz młodych, z prawem nie obeznanych należycie, przystępnych mimowoli i poduszczeniom

partyjnym i machinacyom »prokuratorów«. I sprawę unii narażono na szwank, zostawiając Litwie osobne urzędy, narzucając tylko sejm wspólny. Tym wyżej stanął parlamentaryzm i wymowa jego; każda sesya, notowana po »dyaryuszach« sejmowych, o tym przekonają; np. sesye, debatujące nad unią, od roku 1563. Tak wyraził (1563 r.) Mikołaj Radziwił, wojewoda wileński, nadzieję, że po dokończeniu unii Bóg wszystkich pocieszy jeszcze potomstwem królewskim, »tak iż przyjdzie nam na piosnkę onę, której X. Arcybiskup w poselstwie swym zacnym na sejm litewski przed lat kilkiem dołożył słowem onym *Ładо Ładо;* będzie to z łaski miłego Pana Boga *ładо* nam wszem wiernym WKM poddanym ku pociesze i weselu osobliwemu, którego i łagodnej jego harmoniej a zgodnej muzyki pomogą nam i oni, którzy w tenże bunt (złączenie) są od przodków WKM wstawieni, jako JM. Panowie Pruscy«.

Wojewoda mówił zazwyczaj z wielkim namaszczeniem i szumnie, np. »jakoś teraz WKM miejsce zacnej sprawie tej w pośrzodku prawie szerokich państw swoich nad tą Białą Wodą (t. j. Wisłą) złożyć raczył, którą przodkowie WKM pijając srodzy nieprzyjacielom swym bywali: raczże też ich przykładem jako po napiciu wody tej tak czynić« i t. d. Innym razem zwrócił się ku Radom i Posłom z mową, w której wskazywał pożytki »buntu« (złączenia) i poparł je cytatą: »teraz, gdy to zjednoczenie nam dojdzie, chcemy onego hymnu Pruskiej wojny (t. j. starej pieśni grunwaldzkiej) pomagać, który, jeśli dobrze pamiętam, taki jest: Hej Polanie z Bogiem na nie«... Chcąc przeciw Padniewskiemu i Zborowskiemu, co o usługach i dobrej chęci Polaków mówiąc, na kroniki dawne i na świeże fakty się powoływali, dowieść, że i litewska uczynność była nie mniejsza, że »pomocy spólne także bywały«, powtórzył ową cytatę i usłyszał, czego sobie nie życzył, »czego świadkiem jest on hymn polski starodawny o pruskiej porażce, gdzie przodkowie nasi naprzód się potykali, krew przelewali: Hej Polanie z Bogiem na nie, bo nam Litwy nie dostanie« — tu wtrącił kasztelan krakowski, Marcin Zborowski, »Ba, Litwy nie dostawa, bo była uciekła« — na co się wojewoda wileński bardzo zachmurzył, ale, nie dając się zbić z tropu, oburzenie swoje na niewinnym kronikarzu wywarł, na Kromerze, zowiąc go »mataczem, który wiela zacnych domów szkalował nieprawdziwie«. Hymnu tego pewnie już nie cytował.

Dalej zaostrzał się spór: pan kasztelan twierdził, że »acz się wyszpociła unia i do prawej wiary swojej jeszcze nie przyszła, ale to zawsze nasza miłość i chuć zakrywała, wiele się milczało, wiele zacierało... co nam podali panowie litewscy około uniej na swym skrypcie, podobniejsze jest *maszkaram*, aniżeli własnej unii, a niemali być unia, niechajże będzie *nasze spełna*... przeto już nam WKM racz co dobrego powiedzieć, boć *się czasem z kazania polepszy człowiek*«. I wojewoda wileński ostrzej się stawiał, mówił np. bywa to pospolicie, co się komu śni, że mu się to i na jawie stawa; jakażby to była *majestas* tej *reipublicae* (litewskiej), kiedyby się jej co ująć miało, podobnoby *był nasz staw, a inszego ryby;* chociaż zawsze jeszcze nadrabiał skromnością, mówił, że nie potrafi tego tak porządnie »jako JM. Panowie Rada Koronna w radzie siedząc *jako wianek* a głos angielski zgodnie mówić raczyli«, żądał ciągle głębokiego rozmysłu, bo tu »nie o wioskę idzie«, »bośmy nie są od Korony kupieni ani gwałtem wzięci... nie wszyscyśmy kosili siana ani rąbali drew, pozwaliście nas do wolności — jest jarzmo niewoli, ale nie pod ciwunem, nie jako chłop sołtys«, potym znowu łagodniej: »Pan Bóg nas do winnice swojej wezwał i ukazał nam do którego *klasztoru a bractwa* nas przyłączył a w tym *konwencie bracią* WM uczynił«.

Na sejmie roku 1569 sprawa unii szła »skrzypiąc«, jak przedtym, chociaż nowe osobistości układy prowadziły. Wprawdzie zapewniał kasztelan sądecki, Ossoliński, że »niechcemy my *papierem ani woskiem* z WM. unią stanowić, jedno sercem braterskim«, ale nowy wojewoda wileński, Mikołaj Radziwił (Rudy), choć to rad słyszał, zastrzegał się natychmiast: WM powiadasz, że król polski dawno w Litwie rozkazuje, nie wiem, czy aby już Księdzu Wielkiemu Litewskiemu *requiem odśpiewano:* przeczył, że darmo czas tracą: prawieśmy *cwałem kniej przypuścili,* do której *kłósem* przodkowie naszy postępowali... za czasu i potrzebą, która przodków naszych nie dolegała, bo *już to ostatnia Jagła nam dowiera* (t. zn. ostatni Jagiełło wiek swój kończy).

Zwięźlej wyrażał się kasztelan lubelski, podejrzywał, że nie »zwalają« na unią — podobno *cioska* ekzekucya to czyni (myślą ją tym rozerwać, ale się mylą; cioska, spółimienniczka...) podobno nam przyjdzie na panów Litwinów recesem dowodzić *jako na żyda nowym testamentem*, bo oni o recesie nie wiedzą. Biskup płocki

»w długich mowach się nie kocha, wszak to *vulgare proverbium* u cudzoziemców, iż *Poloni comiciali morbo laborant* (chorują na sejmowanie), dosyć by to pijanym ludziom sprawować tak, jako my długo sprawujemy a nie obacznie«. Wydatki wielkie, a skarb pusty, więc skargi na poborców, dziwią się, że pobory małe, poradlne przynosi teraz mniej, niż przed półtorasta lat, chociaż tyle osiadłości przybyło, skąd to? Ta jest tego przyczyna, powiedział Zygmunt August, iż *Es Tus Dryja — ci dają spełna, Quater Cynek — już ten co chce, Zes — ten już daje spełna, bo na tego wszyscy oczy mają (Es Tus Dryja* ziemianie; *Quater Cynek* panowie, bo ich żaden o to niepozowie, choć niedają, i starosta egzekucjej nie czyni bo sobie folgują; *Zes* imiona królewskie, bo tym starostowie żadnej winy nie przepuszczają).

Pan Szafraniec, starosta lelowski, później wojewoda sandomierski, zażywający wielkiego miru u braci, uczeń to Reja, prawy i zacny, ale nieodrodny od przodków, których ścinano, człowiek niepohamowany, nieraz »z wielką furyą« występuje: »*litewski to strych* do nas się przeniósł, bo tam kiedy rzeką *nie*, to już inaczej być nie może«; »my żadnego poboru nie damy — wolimy zginąć z majętnościami i z dziećmi, niżlibyśmy nad rozkazanie braciej uczynić mieli«, mimo to zapewnia, »że nikomu naprzód dać nie chcą okazaniem wierności i poddaństwa swego przeciw IKM i Rzeczypospolitej, choć tak wiele nie wykrzykają jako kto inszy...« »wszakoż na majętności swe kilka nas możem nabyć tego co pobór województwa krakowskiego wyniesie a ja sam naostatek, aczżem się nauczył *całą gębą chleb jeść,* gotowem *sobie obroku ująć* a ztąd odjechać wolę ubogo« i t. d.

Oto kilka próbek tej wymowy. Sądowa nie stała równie wysoko i urzędu rzeczników nie ceniono, — pomawiając ich o przedawanie języka i sumienia, szczególnie ostro wyrażał się o nich Jan Tarnowski, kładąc ich za katami i nierządnicami.

Tak to wzniosła się literatura, do niedawna uboga i pozioma, niby jak węgierska, jeszcze w połowie XVI wieku daleko poza czeską pozostając, na wyżyny, których czeska już nie osiągła, i stanęła na samym czele Słowiańszczyzny a złożyły się na to i talenty, wymienione powyżej, i ogólna ogłada narodowa. Otarty

za granicą Polak, a któż nie wyjeżdżał? imponował nawet obcym układem i bystrością; w domu stawali się dostojnicy duchowni i świeccy mecenasami a dwory ich (Prądnik, Wiewiorka i i.) rozsadnikami ogłady renesansowej. Typem ich może służyć Jan Zamoyski, kalwin niegdyś, garnący się tak gorliwie do światła, że za pobytu w Padwie rektorem scholarów został i konstytucye słynnego »gimnazyum« wydał (r. 1564). Powróciwszy do kraju porósł jeszcze za Zygmunta Augusta a za Batorego pierwsze po królu zajął miejsca. Sam nie był literacko czynny, ale czegoż nie zawdzięczały jemu literatura i nauka! Upadek szkoły krakowskiej gorąco odczuwał, więc gdy dla podejrzliwości duchowieństwa nie udało się, nową szkołę królewską utworzyć (niby jak w Paryżu Collège de France Franciszka I przeciw zaśniedziałej, średniowiecznej Sorbonie), o reformę starej gorliwie dbał. Miano do niej powołać najznakomitsze siły włoskie, biskupowie mieli ją pieniężnie zasilać — ale Włosi woleli jeden scudo u siebie niż dziesięć w Polsce i nie przybyli, mimo zachęty i obietnic. Gdy więc i ten plan się nie powiódł a w Krakowie wszystko przy dawnej nędzy pozostało, pomyślał Zamoyski o założeniu własnej szkoły, scolae civilis, coby nie mnichów, lecz obywateli wypiastowała, w Zamościu; uzyskał potwierdzenie papieskie, później królewskie, odwołał się do całego narodu. Za wzór przyświecało mu poniekąd gimnazyum Sturma strazburskie; uwzględniał jednak bardziej język ojczysty; nakreślił plan i program ośmioletniego kursu bardzo obszerny; otoczył się znakomitymi filologami i pedagogami, Szymonowic, Klonowic, Ursyn-Niedźwiedzki (autor wcale dobrej gramatyki łacińskiej, co się z jezuickim »Alwarem« mierzyła a polszczyznę uwzględniała) i i.; byli tu i lekarze i prawnicy; osobna drukarnia; niestety, nie utrzymał się wkońcu nowy zakład na tym poziomie, jaki dlań kanclerz i hetman obmyślał. I wśród szczęku oręża, w obozie nie zapominał o muzach »żak padewski«, kazał sobie wypracowania szkolne dosyłać, obsyłał listami poetów, odwiedzany i podziwiany przez obcych humanistów, belgijskich np., w kraju Zawicki, Zbylitowski, Schonaeus, Bielski, Szymonowic i inni pisali mu ody i poematy, bronili go przed zawiścią, składali zasłużone hołdy, a dawno przed nimi festyn jego ujazdowski uświetniał Kochanowski »Odprawą posłów greckich« i »Dryadą zamechską«; w radzie koronnej, między

biskupami mianowicie, liczył towarzyszów padewskich, owianych podobnym duchem.

Polor taki nie pokrywał jednak Polski całej; najmniej znało go Mazowsze, ludne, biedne a ciemne, chociaż Warszewka jego coraz częściej i dłużej w murach swoich, królów, radę i posłów witała; Mazurowie mili z pod Warki, zadomowieli, i rynsztunkami wojennymi i umysłowymi popisywać się sami zbyt nie mogli, ale z ich to grona wychodzili pisarze, wszystko twardzi katolicy i patryoci polscy, choćby pod kapeluszem jezuickim i w płaszczu hiszpańskim, Skarga i Grochowski, Warszewiccy, Paprocki i Stryjkowski. Wielkopolska, z piaskami nad śląską a błotami nad marchijską i pomorską granicą, której Poznań coraz bardziej znaczenie i dostatki utracał, błyszczała wyjątkowo synami swoimi na Parnasie polskim; drobne jej mieściny i ubogie szpłachcie opuszczali chętnie Wujek, Klonowic i Miaskowski. Wszystko cisnęło się na Małopolskę i Ruś. Kraków ściągał cudzoziemców, mianowicie Włochów, budowniczych i rzeźbiarzów, którzy go świetnie zdobili, kupców i przemysłowców; taki Prowana, Montelupi, Bianchi, Pezna, Paruta i inni Włosi krakowscy zwabiali nawet prześladowanych za wiarę ziomków i torowali drogę największym herezyom w Polsce; już też skarżyli się mieszczanie na ich zbyt rosnące dostatki, wyprowadzane potym do Włoch. Ziemianie krakowscy, sandomierscy i lubelscy przedstawiali najwyższą ogładę, najwytworniejszą towarzyskość, tam też powstała Rzeczpospolita Babińska, z własnym królem i senatem, dygnitarzami i urzędnikami, gdzie napoły satyrycznie, napoły z humorem z »deliktów swych«, z ich wad i śmieszności trefnowano, a nikt tego panom Pszonce i Kaszowskiemu za złe nie brał; owszem wpisywali się chętnie w regestry babińskie i poeci, Rej i Kochanowski, Trzecieski i Szarzyński, i król i hetmani.

Bogactwo literatury polskiej drugiej połowy XVI wieku trudno nawet objąć; zastój i ciemnota późniejsza, lekkomyślność i nieuwaga, pożary ciągłe — cudzoziemiec twierdził, że po dworach polskich i mebli się nie sprawia, ponieważ prędzej czy później wszystko znowu spłonie — przetrzebiły ją strasznie. Byle jaki inwentarz po księgarzu czy jakiej dawnej biblioteki, a czasem nawet oprawa dawnej książki pouczają coraz o stratach niepowetowanych. Lecz i to, co zostało, dowodzi najwyższego rozbudzenia

umysłowego; język, jeszcze niedawno o nieforemność pomawiany, nagiął się do wypowiadania każdej myśli i każdego uczucia. Literatura zeświecczyła się zupełnie; w duchu czasu było wprawdzie, że pisma ascetyczne i polemiczne z pod pras ciągle wychodziły, lecz skargi dawniejsze, że duchowieństwo tylko dla siebie księgi »bije«, ustały: prawo, dzieje, wiersze, księgi gospodarskie (np. Gostomskiego »Gospodarstwo« lub tłumaczenie »Krescentyna«), pisma polityczne, powieści (chociaż dla obszernych romansów, Amadisów i Lancelotów, w Polsce ziemiańskiej miejsca nie było; ciągłe turnieje i przygody miłosne jeszcze nie bawiły), aż do kalendarzów i sennikόw (tak zw. Danielowych) — wszystko było reprezentowane: od potrzeb najelementarniejszych do wzorów prawdziwej, wysokiej sztuki, jakichbyśmy w spółczesnych Niemcach np. próżno szukali, jakich ani Ronsard z plejadą nie przesięgali, a może im nawet nie dorównywali. Nie była to wprawdzie tylko polska krew, co w żyłach tej literatury krążyła, nie brakło starorzymskiej przymieszki, ale młody a silny organizm, zdawało się, zasymiluje wszystko. I w zwycięskim pochodzie szerzyła się literatura na południe aż do Wołoch, a na północy Królewca jeszcze nie rzucała i wchłaniała w siebie całe życie europejskie, a mimo to narodowości i cech jej nie traciła.

Tak bogata i różnorodna literatura wypielęgnowała i język; skargi na jego ubóstwo ucichały; przy końcu XVI wieku już nie powtarzano słów np. St. Koszuckiego (z r. 1555), jakoby »zaprawdę trudno było polską rzecz ku łacińskiej wieść«, ani Mazura, Wawrzyńca z Przasznysza, co w Nauce o pokucie (r. 1559), »przyszerszym« się rozpisywał, »dla niedostatku słów języka naszego, dla którego jedno słowo łacińskie musi i trzema języka naszego wyłożyć, dla łatwiejszego wyrozumienia ludzi prostych, dla których ja jako prosty nawięcej te księgi pisał, mądre do mądrych odsyłając«. Baczono coraz więcej na czystość, dokładność i gładkość języka; już Budnemu wydawał się w Nowym Testamencie Seklucyanowym język »grubym«, Januszowskiemu język Górskiego; coraz rzadziej dopuszczano wyrazów narzeczowych, chyba umyślnie w polemice ich używano, jeśli np. jezuita ministra wyzywał: *Ochciemenko*, lub: o moje drogie *cędo* (dziecię). Właśnie polemika teologiczna, acz często z przekupkami o lepsze walcząca, krytykowała wyrazy same; protestanci zarzucali dawną terminologię,

wprowadzali nową: zamiast chrześcijan chrystyanami się zwali, a chrzest ponurzeniem zastępowali. Wzdrygali się przed nazwami *kapłan* (czy nie *kapłun,* pytając), i *ksiądz,* zarzucając »mszarzom i popom papieżnikom«, że nazwę tę panom *(ksiądz* znaczył książę, więc Wielki Ksiądz Litewski i t. d.), wraz z ich dostatkami i po wagą odebrali, »przeto ich też *książęty*, jakoby szydząc, nazwali, a siebie całymi księdzami postanowili, acz im tego tytułu żaden naród, okrom Czechów i Polaków, niepostąpił« (Budny w tłumaczeniu »Justyna« roku 1564); również *biskupem* się brzydzili; alby, kanonie i t. d. w hańby, konewnie i t. d. przeistaczali. Oddawali im katolicy wet za wet, z ministrów sinistrów i świnistrów robili, mszcząc się Suitów. Wkońcu ustalił się jeden język, z jednolitym słownictwem, pisownią, formami — chyba Prusacy się z tych norm wyłamywali, strofowani przez Grochowskiego i innych. I pozbywał się ten język naleciałości obcych; ginęły dawne słowa niemieckie (z *rumrychtu*, swaru, natrząsał się Budny), chyba Bartosz Groicki w tłumaczeniu Majdeburgii pozwoli sobie *gierady* a *hergewetu* i »w ogrodzie na *celstacie*« się znajdzie; z *tancmantlików, brutki, żemły* i t. d., których jeszcze w pierwszej połowie wieku nie brak, w języku Orzechowskiego, Kochanowskiego i Szarzyńskiego nie pozostało i śladu. Mimo to język w puryzm przesadny nigdy nie zapadał; trafnego słowa obcego, szczególniej łacińskiego, nigdy się nie wyrzekał; Górnicki, Orzechowski nawet »patryej« używali, ponieważ »ojczyzna« im ojcowiznę tylko znaczyła; naginano, nieraz mimowoli, bezwiednie, ten język i do normy łacińskiej, przesypywano go sentencyami i słowami klasycznymi, szkolnymi, ale jak literatura, tak samo i język wchłaniał, bez szkody dla swej wyrazistości, żywioły obce i przetrawiał je. I już wtedy doprowadzono go do tego, że

język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa,
A czasem był, jak piorun jasny, prędki,
A czasem smutny, jako pieśń stepowa.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

WIEK SIEDMNASTY. TŁO DZIEJOWE I PRĄDY UMYSŁOWE. LITERATURA MIESZCZAŃSKA I PROZAICZNA.

Upadek państwa; anarchia szlachecka. Upadek protestantyzmu; wszechmoc katolicyzmu i Jezuitów; Sarbiewski, pisarze prawosławni. Upadek mieszczaństwa; rola jego w literaturze; Szymonowic i Zimorowic; literatura sowizdrzalska; dramat szkolny. Literatura polityczna; optymaci, Łukasz Opaliński; republikanie: Fredro; pesymista Lubomirski; antysemici. Historycy; polihistor Starowolski. Pamiętnikarze; Pasek. Powieści i romanse.

Po wieku XVI, wieku nowinek i reformy, zaprzestała szlachta szturmów o niebo; niema miesiąca (pisał już roku 1589 neofita z Aryanów, Kacper Wilkowski, lekarz księcia Sierotki, swemu panu, neoficie z kalwinów), żeby nie wracał kto znaczniejszy do wiary ojców. I poddała szlachta karki oporne pod słodkie jarzmo katolickie i praktyk jego religijnych i wszelką herezyę nazawsze wyklęła.

Za to zrzuciła każde inne jarzmo, urzeczywistniła nareszcie ideał słowiański, ową demokracyę, o której, jako dla Słowian charakterystycznej, już pisarze greccy szóstego wieku wspominali. »Ty król nasz — my twoi panowie«, popłacało i w Polsce, jak niegdyś w Czechach i Węgrzech jagiellońskich; »szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie«, tym znowu warowało się stanowisko równouprawnionych wobec możnych, a jeżeli pan jakiś o tytuły zagraniczne się wystarał, skoro domowych nie było — pełno hrabiów, książąt, margrabiów, rzeskich i włoskich, w wieku XVI, toć

o tytuły, ordery i t. p. sejmy zrywano. Jednakie wychowanie, jednaki nawet tryb życia, dopełniły niebawem wszelkich wymagań tej jedynej w swoim rodzaju demokracyi szlacheckiej, niwelującej różnice talentu i temperamentu, urodzenia i znaczenia. I zacierają się, nikną w szarej masie szlacheckiej indywidua, i coraz bardziej występuje ona ławą zwartą czy stadem i kieruje się nie rozumem, lecz instynktem, naturalnie fatalnym.

Nawet historyę XVII wieku cechują te masowe zjawiska; tak przejmuje masy strach paniczny pod Pilawcami i nic mu się nie ostoi; masą rusza szlachta pod Tyszowce i wyrzuca wroga z kraju; i za Lubomirskim, i za królem (Michałem) stawa masą; ostatni wybitny charakter polski, Jan III, jakżeż on, mimo francuskiej przymieszki, podobny do tej szarej masy szlacheckiej! Masą czy stadem występuje szlachta i w literaturze: nigdy nie było tylu piszących, jak w wieku XVII, nigdy mniej różnicy, wybitności, cech indywidualnych. Nie przypadek to, lecz rys znamienny, że jeden i ten sam wiersz najrozmaitszym »poetom« przypisują; że przeważna ilość rękopisów zawiera wiersze kilkunastu poetów, pomieszane bezładnie, bigos poetycki czy *Olla potrida* lub torba dworska, jak słusznie te zbiory same się tytułowały; że tylko wprawne oko odgadnie, gdzie się w rękopisie kończą np. wiersze Wacława Potockiego, a innego poety zaczynają. Śmiało można też całe stulecie traktować razem, nie tworząc sztucznych, dowolnych okresów czy przedziałów; jest różnica między początkiem a końcem wieku, ale to wysychanie powolne rzeki literackiej, osłabienie i zubożenie prądu i ruchu, nie zmiana jego zasadnicza.

Równocześnie wzrastała stale anarchia. Już wiek XVI sformułował tę rozpaczliwą tezę: Polska nierządem stoi; dopiero siedmnastemu przypadł zaszczyt sofistycznego bronienia, uzasadniania tej potworności, wierszem i prozą, po łacinie i polsku, przez mądrych i głupich. Już w XVI wieku bolał król i senat nad przewagą Izby posłów, »grabarzy Rzeczypospolitej« już w roku 1556, a w tej Izbie przeważało wszelkie warcholstwo; jacy oni wszyscy wymowni, ci Zborowscy np., i w wojnie kokoszej i za Batorego; jak im argumentów, zapału, aplauzów coraz przybywało; jak oni opanowali ucho, sumienie i serce szlacheckie; jakie trusie i munie wobec nich ci, co w imię prawa, porządku, władzy się odzywali i nieśmiałe słowa rozmaitymi zastrzeżeniami, nieszczęsnym schle-

bianiem *aurae populari* osłabiali, choćby Karnkowski prymas i Jan Zamoyski; *se opponere* umiano tylko wobec tronu, nigdy wobec mas, podjudzanych przez warchołów. I było coraz gorzej. Instynktem niemal odczuwał naród szlachecki, że z wygaśnięciem rodu Jagiełłowego *hic regnum mutabitur*. Wprawdzie nie zginęło państwo, jak przepowiadano, gdy Zygmunt August w Knyszynie powieki zamykał; owszem, nawet podczas bezkrólewia utrzymano ład wewnątrz, a pozory potęgi na zewnątrz; lecz nie uszło bezkarnie, że w ciągu lat kilkunastu naród szlachecki kilkakrotnie mógł zaświadczyć czynem, iż Polacy, »lubo to nie poszli ze krwie królewskiej, ale przecie przy nich jest berło i korona, i komu ją chcą dać, temu dają« (Birkowski). Jeśli koronę dawali, toć mogli ją i odbierać, i rzeczywiście, rokosz Zebrzydowskiego zdetronizował Zygmunta, wybranego, jak później Michał, chyba na to, żeby zgubność elekcyi dokazać. Zgnieciono wprawdzie rokosz, lecz skutki zwycięstwa partyi »monarchicznej« były najfatalniejsze; pokazało się że rokosz nic nie ryzykuje, że nawet w razie sromotnej porażki nic nie grozi gardłu, czci, mieniu; że wystarczy za wszystko ucałowanie rączki królewskiej; kto zaś uparty, rączki nie ucałuje, posiedzi troszkę w wieży (naturalnie nie *in fundo*) i za to z Katyliny nawet w oczach najzagorzalszych rojalistów — język polski terminu tego nie zna, jak i historya polska — w »Herkulesa słowieńskiego« niechybnie urośnie; zbrodnia uchodziła nietylko bezkarnie, ale święciła tryumfy i nęciła do prób coraz nowych. Myśli politycznej w rokoszu nie było: przecież wiązali się najzacieklejsi protestanci z najżarliwszym katolikiem przeciw królowi i Jezuitom. Gdy nieszczęściem dla Polski król pod Guzowem zwyciężył, wzrosła tylko — jedyny uchwytny wynik tego zmarnowanego zwycięstwa — nieufność i nieprzyjaźń między królem a Koroną. One to paraliżowały odtąd wszelkie przedsięwzięcia i zamiary królewskie; w każdym upatrywano zamach na złotą wolność, zamiar odmiany *statu quo* tak dogodnego dla szlachty, dla synów Korony — innych nie liczono. Przywołując Wazów na tron, osłabiano Polskę, zwabiając najniepotrzebniej nowych nieprzyjaciół, i odtąd pasowały się Szwecya i Polska z sobą, aby drogę do potęgi utorować Moskwie i Prusom.

Z sytuacyi dogodnych korzystać nie dozwalano, a jeżeli, mimo oporu Korony, król wciągnął ją do wielkich przedsięwzięć,

uniemożliwiało żołnierstwo, niepłatne i niesforne, wyzyskanie zwycięstw. Broń tryumfującą pod Kirchholmem i Kłuszynem, pod Beresteczkiem i Cudnowem, zwracano w bratobójczej walce przeciw własnym piersiom pod Guzowem i Mątwami, albo wtykano w pochwy konfederackie, gdy nieprzyjaciela dokonać należało. A nieprzyjaciół przybywało; po Szwedach Turcy; po Turkach Kozacy, a za nimi czyhali coraz inni już na ostateczne rozerwanie Rzeczypospolitej.

Oparła się jeszcze zwycięsko Korona, ale nie oprzytomniała; opromieniła ją jeszcze nowa chwała chocimska i wiedeńska, ostatnie przebłyski gasnącego w chmurach coraz groźniejszych słońca. Tymczasem wydawała anarchia coraz zgubniejsze owoce; co w umysłach szlacheckich już w XVI wieku w zarodku tkwiło, sformułowano teraz uroczyście; kiedy o zgodzie ogólnej już mowy nawet być nie mogło, wysunięto ją właśnie, jako zasadę, i zażądano jednomyślności dla uchwał sejmowych, uniemożliwiając tym samym raz na zawsze podejmowanie jakichkolwiek zmian lub prac organicznych. I utworzyła się najpotworniejsza forma rządowa, niebywała w dziejach: monarcha, wydany na łaskę swych ministrów, których ani z urzędu składać, ani do odpowiedzialności pociągać nie mógł; monarcha z rękami związanymi wobec zawsze zwycięskiej opozycyi; Rzeczpospolita szlachecka, a z królem na czele; państwo bez wojska i finansów, zato otoczone coraz silniejszymi i groźniejszymi wrogami. Tak przetrwała Polska wiek XVII; świeżo imponująca na całym wschodzie, której chorągwie powiewały na Kremlu, o której zastępy rozbiła się najstraszniejsza potęga turecka, jaką Europa widziała, schodziła z schyłkiem wieku na bezładną i bezsilną kupę, która się o własnych siłach nawet pala, tkwiącego w jej wnętrzu, nawet Turków w Kamieńcu, pozbyć nie mogła; epopeja niesłychanych zwycięstw i powodzeń kończyła się smutną farsą elekcyi Sasa renegata, zato pieniężnego.

Ręka w rękę z upadkiem sił państwowych, z rozkładem wewnętrznym, ze wzmaganiem się najpotworniejszego kwietyzmu i optymizmu, zbywającego żartem najgroźniejsze objawy, upatrującego arkana wolności i pomyślności polskiej w braku wojska, grosza i władzy, — szedł upadek kultury polskiej, ubożenie bujnej umysłowości. I na tym polu zapowiadał się wiek XVII świetnie; z każdym dziesiątkiem lat zdobywała przecież kultura polska nowe

obszary; Wołoszczyzna, niegdyś całkiem od cerkiewszczyzny zawisła, nią tylko oddychająca, zwróciła się ku Polsce, hołdowała nie państwu, jak w XV wieku, lecz polskiej ogładzie i towarzyskości; Mohiłowie czuli się Polakami, a najznakomitszy autor wołoski owego wieku opiewał dzieje swego kraju w epopei polskiej. Ruś kijowska, niegdyś tak obca wszystkiemu, co łacińskie i polskie, wzorowała swoje życie duchowe na obraz polski; polskie porządki szkolne, polską literaturę, polskie wiersze, nawet religijne, nie mówiąc o świeckich »kantach«, sobie przyswajała, i najwybitniejsi przedstawiciele jej prawosławia należą obszernymi dziełami swymi, w prozie i wierszach, wydawanymi i po polsku lub tylko po polsku, do literatury polskiej; szkoły kijowskie nazywały się greckimi i słowiańskimi, w istocie zaś były łacińskimi i polskimi. Przez Ruś kijowską oddziaływała kultura polska na Ruś moskiewską; gdy się reakcya narodowa, wywołana wypadkami »Smuty« (zamieszki za Samozwańców) ukołysała, zaczęły się szerzyć polska książka, ubiór, mowa, w Moskwie i w samym Kremlu; stulecie XVII przedstawia w literaturze rosyjskiej nieprzerwany niemal ciąg tłumaczeń z polskiego, począwszy od facecyi, żartów i powieści, aż do literatury budującej i historycznej, czerpiących bez różnicy ze źródeł protestanckich i katolickich, od Bazylika niemniej, jak od Jezuity Drekseliusza, z Kromera i Stryjkowskiego, Starowolskiego i Modrzewskiego. Teraz staje literatura polska niezaprzeczenie na czele wszystkich słowiańskich; właściwie ona jedna je reprezentuje: czeska, po utraceniu kwiatu narodu, wegetuje w podziemiach ascetycznych, barbarzyńska treścią, formą i językiem, osuwająca się coraz głębiej z każdym rokiem; tak samo, jeśli nie gorzej, ma się na południu słowiańskim; nawet cieplarniany jej kwiatek, dubrownicki, usycha zupełnie, gdy źródła jego włoskie zanikają, a dobrobyt gminy, trzęsieniem ziemi poderwany, ku upadkowi się chyli.

Mimo tak świetnych widoków, mimo zdobywania nowych przestworów, mimo rozszerzenia się daleko, już nie poza etnograficzne, jak w wieku XVI, ale nawet i poza państwowe granice, mimo wchłaniania nowych, włoskich i francuskich pierwiastków, traciła kultura polska w samej Polsce grunt pod nogami, bo zwężała się, jałowiała i wysychała; z jej bogato wyposażonej kapeli wymykał się jeden grajek po drugim; jednostajny pisk panegiryzmu i ascetyzmu zagłuszał wkońcu każdą inną nutę. Zubożenie to

z początku powolne, stopniowe, wkońcu rażące, uwidoczniało się najlepiej na polu wyznaniowym.

Drugą połowę XVI wieku cechowało spółzawodnictwo rozmaitych wyznań, w literaturze, życiu i szkole. Z walki tej wyszli zwycięsko katolicy, przewrót był rychły i doszczętny. Jeśli, przesadnie zresztą, twierdzono, że za Zygmunta Augusta cała rada koronna świecka, prócz dwu, była protestancką, to teraz, z całą prawdą, już na początku wieku tylko dwu wojewodów, obu brzeskich, do akatolików liczono; jak prędko nowinkami religijnymi się przejęto, tak prędko niemal od nich odstąpiono. Magnaci, z wyjątkiem Radziwiłów birżańskich, rzucili je wkońcu wszyscy; między szlachtą tylko miejscami, na Podgórzu, nad heretycką Srzeniawą, w Sandomierskim koło Babina, na Litwie przy Radziwiłach utrzymał się kalwinizm i aryanizm; dogorywał i w mieszczaństwie, w Krakowie, Lublinie, Lesznie i Wilnie, chociaż w obu ostatnich miastach jeszcze przez niejakiś czas ministrowie, jak za dawnych dziejów, obszerne polskie, niemieckie, łacińskie dzieła spisywali; zresztą wracano do wiary pierwotnej, albo jeszcze w tej samej generacyi (np. w Krakowie stary Szembek — syn jego Jezuita i pisarz znany; w Lublinie ów lekarz Kacper Wilkowski, literacko czynny nietylko w przekładzie słynnej alegoryi ascetycznej hiszpańskiej, »Desiderosus«, który to Desiderosus polski i na Ruś moskiewską powędrował, lecz w bardzo ciekawej autobiografii, p. t. Przyczyny nawrócenia do wiary powszechnej od sekt nowokrzczeńców samosateńskich roku 1583), lub zaraz w następnej, np. Ronenberk, syn zamożnego i wykształconego bardzo aptekarza krakowskiego, jednego z filarów aryaństwa. Propaganda i szkoły jezuickie, przykład arcykatolickiego Wazy, siła tradycyi, rozszczepienie protestantyzmu, wrażliwość i płytkość umysłowa sprawiły ten przewrót. I ucichła walka wyznaniowa w literaturze, i ustało spółzawodnictwo w szkole; szlachty dysydenckiej, dlatego że szlachta, nie trwożono w jej wolności sumienia, pozostawiano ją przy wszelkich prawach politycznych, ale przeciw mieszczaństwu, przeciw obcym, wychylała się nietolerancya coraz gwałtowniej; mnożyły się jej ofiary, a trupem padło najpierw aryaństwo.

Najwykształceńsza warstwa polska najmniej miru miała w narodzie. Już w XVI wieku z młodym Zapolyą, z Kiszką, z książętami Słuckimi, z Filipowskimi i Lasockimi wymarli jej najwy-

bitniejsi przedstawiciele; przetrwało aryaństwo w Lucławicach, nad Łużną i Śrzeniawą, na Podgórzu, pod Piaskami i Rakowem przy Lublinie, między »równą« szlachtą i po cechach. Wszyscy znaczniejsi Aryani są wymienieni w pisemku Daniela Frankoniusza z roku 1612 i w albumie starego Lubienieckiego, założonym roku 1618: liczba nie mała, tym znaczniejsza, jeśli się porówna z nią liczbę czynnych na polu piśmiennictwa; żadne wyznanie w Polsce tak wysokiego procentu nigdy nie dosiągło. Aryanów tych, chociaż rzucali świat i jego zaszczyty i uciechy, cechowała nauka, nie darmo słynęła z niej ich »akademia« rakowska; aryan umiał bronić swego wyznania, znał języki, był wyćwiczony w dyalektyce, nęciły go studya poważne, młodość zazwyczaj w Leodyum, w szkołach, nie na hulance trawił. Moskorzewscy, przeciw którym Skarga pisał; Volkelius, którego Śmiglecki zwalczał; Szlichtyng, Przypkowski i Wiszowaty, którzy się przed Cichowiuszem bronili, należeli do najwykształceńszych ludzi całego wieku, nietylko w Polsce; szczególniej wyróżnia się między nimi poważna twarz Samuela Przypkowskiego, piszącego wiersze łacińskie i polskie — prócz traktatów teologicznych, biografii Socyna i korespondencyi politycznej — niezwykłe treścią i myślą, wysoko ponad szablony wierszów ówczesnych szlacheckich stojące, czy kiedy z dzielnej obrony twierdzy *La Rochelle* tryumfował, czy kiedy Polskę pocieszał, że wobec bohatera Północy, owego »ślodka szwedzkiego, co w wieloryba urósł«, uległa. W tym samym szeregu stoją Otwinowscy: Samuel, co Giulistan (Ogród różany) Saadego z języka perskiego w pięknej formie mieszanej, wierszem i prozą, wyłożył, zbiór powieści i przypowieści z celem moralnym w ośmiu księgach, z życia królów, derwiszów, starców i t. d., pierwszy wkład wschodu do literatury polskiej; i drugi, Waleryan, co Owidyusza Przemiany i Wirgiliusza Georgiki polskiej literaturze przyswoił; z jego to przekładu, z wykładem alegoryzującym, przeszły »Przemiany« do literatury rosyjskiej. Dalej Lubienieccy, od Stanisława dziada do Stanisława wnuka, autora bardzo cennej historyi reformacyi polskiej, którą niedokończoną odumarł; dziad napisał, prócz wierszów[1]) i rzeczy

[1]) Dla rzadkości wierszów aryańskich, wymieńmyż choć »Anatomię wieprza i człowieka, wieprza karmnego, człeka łakomego« (drukowaną, Stanisława Łubienieckiego dziada — jest to porównanie satyryczno-dydaktyczne: jak z wieprza tylko za-

religijnych, »Poloneutichiję«, szczęście Polski, co szwankować zaczęło, gdy wskutek prześladowania nowowierników Bóg błogosławieństwo swe odjął, — rzecz ciekawa ze względu na obyczajowość i nietolerancyę. I u Wiszowatych, ingenia literackie, jak u Lubienieckich, dziedzictwem spadały, aż na Jędrzeja Wiszowatego, co to r. 1660 ostatnią dysputę publiczną za wiarę odbył, w Chronowie Wielopolskiego, za upoważnieniem biskupa krakowskiego, odcinając się przez cały tydzień Cichowiuszowi i mnichom; jemu zawdzięczamy spis autorów i dzieł Aryanów polskich, bardzo wyczerpujący, przez Sandyusza wydany. Szlichtyngi z Bukowca, Jerzy (znakomity liryk), Jan i inni z tej familii; Morsztynowie — Zbygniew, Tobiasz i Samuel, z nich Zbygniew najznakomitszy, dzielny żołnierz i wierszopis niestrudzony; Olbrycht Karmanowski, poeta dydaktyk; Wacław Potocki, autor pieśni religijnych i poematów biblijnych. I inni, aż do poczciwego Józefa Domaniewskiego, piszącego gładkie, acz niewytworne wiersze, porównanie bytu wiejskiego i miejskiego, wrażenia (w »Ekscytarzu«, roku 1623) szacunku przed pracą, tak w Polsce pomiataną, gdzie to: U świata szlachcic — uczciwy, Chocia będzie dyabeł żywy; A kto robi, to gbur prawy.

Pogrom szwedzki przypłacili Aryani. Prześladowanie ich wyznania, zamykanie szkół rakowskich i wołyńskich zaczęto jeszcze za Władysława, bardzo wolnomyślnego (szczególniej gdy był królewiczem), procesując ich za byle wybryk ich młodzi albo i bez tego. Gdy w walce ze Szwedami obudziły się instynkty religijne,

bitego pożytek, podobnie i z chciwego łakomca, którego zbiory rozrywają po śmierci sługi, żona, dzieci — na wieprzach uczono ogółem anatomii). Wiersz Przypkowskiego *Ad Poloniam de pactis Prutenicis* 1630 r. figurował przez cały wiek XVII (tłumaczył Wiszowaty i i., naśladował po sromotnych paktach buczackich Potocki); z wierszów polskich rozeszła się szerzej parafraza *Te deum laudamus* dla Władysława IV; łacińskie tłumaczył Zbygniew Morsztyn. Wiszowaty wystosował i dowcipną filipikę wierszem polskim przeciw bałamutnym wywodom ks. Dębołęckiego, upatrującego Polaków w Babilonie (babiem łonie) i Atenach (uczeniach) i t. d. Właśnie z poetyckiej spuścizny polskiej Aryanów ocalało jak najmniej, gdy teologiczne ich traktaty i spory łacińskie do dziś półki biblioteczne pokrywają, druki rakowskie, a potym holandzkie, z przeważnym udziałem cudzoziemców, z których nie każdy się tak w Rakowie spolszczył, jak np. Niemiec z Gotha, Smalcyusz, spisujący wyborną polszczyzną i sny swoje (Aryani byli na tym punkcie nie mniej przesądni, niż inni), i odpowiedzi na »paskwilusy« kalwińskie.

gdy protestanci polscy szwedzkich i siedmiogrodzkich najezdników-jednowierców z nietajoną witali radością, obruszyła się na Aryanów, nie bronionych ani przez protestantów, zohydzonych przed całym światem — arcybiskup duński zaprzeczał im nawet ziemi dla pogrzebu, niech na powietrzu giną, zemsta katolicka. Roku 1658 kazano im się albo wyprzedać i wynosić z Polski, albo przejść na katolicyzm; część wyszła z kraju, prześladowana, gdziekolwiek się obracała, mniejszość wyrzekła się wiary ojców, między nimi i Wacław Potocki. Znękani znaleźli przytułek w Prusiech, gdzie ich wielki elektor przeciw rozsrożonym pastorom utrzymał, ale za jego następcy musiał Lubieniecki, malarz, berlińską akademię sztuk pięknych, gdzie był profesorem, dla wiary rzucić; dalej w Siedmiogrodzie i w Holandyi. Tu wydawali w »Kosmopolis« czy »Eleutheropolis« (wolnym mieście), dzieła Lubienieckiego, Wiszowatego-Sandyusza; tu przedtym już zaczęli wydawnictwo wielotomowe »Bibliotheca fratrum Polonorum« z pismami Socyna i innych wybitnych Aryanów polskich. Lecz więcej, niż te subtelne elukubracye łacińskie, zajmie i wzruszy inny, ostatni ślad polskości, cienki zeszyt protokułów z »dyscypliny albo świętego przygotowania«, odprawianego czterykroć do roku, od 1722 do 1772, w siedmiogrodzkim Koloswarze. Zanim przystępowano do stołu Pańskiego, »rugowano się« między sobą, »młódź była napomniona ze strony tańców, aby się ich wystrzegali« (nawet przy weselach własnych); »drogi brat« był notowany, że miarę w trunku przebrał; siostry, że »od dawnego czasu zawsze się kąsają, uszczypłymi słowy jedna nad drugą przewodzi«; rugowany nie przystępował do stołu, »póki sumienie swoje uspokoi«; nowowstępujących wytrzymywano na próbie, że »napotym nie po świecku, ale po chrystańsku mają się sprawować«. I tak dokołatał się ten »zboreczek osierociały« do końca wieku, walcząc z własną młodzieżą, która po polsku już mało umiała i do zboru węgierskiego przechodziła; z brakiem ministrów, bo rzadko posyłał im Bóg którego na ratunek; z nieporozumieniami i odstępstwami we własnym łonie. Do ostatka przewijają się w »regiestrze braci i sióstr« najświetniejsze imiona Arciszewskich, Wiszowatych, Gejżanowskich; do ostatka wieje z tych protokułów ów korny duch chrześcijański, którego byśmy próżno u ich przeciwników szukali.

Tak zaginęli dla kultury polskiej Aryani, a oni słali drogę

innym dysydentom. Narazie ci się trzymali, ujęły się przecież za nimi i traktaty oliwskie i z Radziwiłami nie było co żartować, którzy na zagubę Rakowian obojętnie patrzyli, ale o krzywdę zboru wileńskiego protestowali i krzyżów przydrożnych w swoich majętnościach niecierpieli.

I dysydenci, szlachta i ministrowie, odznaczali się większym wykształceniem, już dla nauk i podróży zagranicznych, np. do Heidelbergu. Nie było też w Polsce ówczesnej takiego drugiego umysłowego centrum, jakim był dwór birżański w dwudziestych i następnych latach; można go tylko z dworem Zamoyskiego porównać; wystarczy wymienić dworzan radziwiłowskich, Jerzego Szlichtynga, Daniela Naborowskiego, Przypkowskiego, Karmanowskiego i innych, co w zawody wierszami i listami księciu hołdowali; chociaż i Lubomirscy i Mniszchowie i Zasławscy na Rusi swoich nadwornych poetów, Danieckiego, Żabczyca, Twardowskiego miewali, nie mogli z Radziwiłem, z atmosferą jego dworu, z doborem jego szkół kiejdańskich »paragonować«. Właściwa polemika wyznaniowa już ucichła; jeszcze w drugim dziesiątku wieku wymieniono kilka ostrych strzałów (Żygrowiusza »Papopompe« np.), ale teraz katolicy byli stroną nacierającą, i jawna wzgarda wiary »saskiej« i »pludrów luterskich« przebijała z ich pamfletów, zwróconych ku »ministraszku ptaszku«, co to »przy niewieścisku, jak pies przy ścierwie, leży« i »klimkiem rzuca« (oszukuje), iż się pisze z Poznania, a on »przed Poznaniem na łysej górze, gdzie się czarownice zlatają, ludzie oszukiwa«, szlachcica udaje, co za herb? chyba pałka Kaina, którą dusze traci, a nazwisko (Dąbrowski)? chyba Dębowski albo Powrozowski, gdy wisieć będzie. O polemice, która się w wieku XVI między Skargą a Wolanem, Wujkiem a Glicnerem, Grodzickim a Chrząstowskim toczyła, nie było nawet mowy; jeszcze bardziej ucichła zażarta owa walka, którą sami protestanci, Wolan czy Glicner, z »Samosatenami« i »Ebionitami« (Aryanami) niegdyś toczyli — choćby dla przekąsów katolickich, szydzących, że płód jaszczurczy własną matkę tępi; tylko przechód protestanta na aryaństwo, np. Chrząstowskiego (innego), wywoływało jeszcze ciętą polemikę, w której szlachcic, choć nie tęgi w łacinie, gorzkie *verba veritatis* ministrom zborowym wysypał. Zresztą nie w Polsce samej, ale i w całej Europie, ucichały już spory, tak żywe w XVI w.: wszystkie argumenty, obelgi i kalumnie dawno

wytoczono, nowych nie przybywało; przemoc brutalna, nie kazuistyka, rozstrzygała w rzeczach wiary i sumienia, a wszędzie indziej działo się gorzej, niż w Polsce, rosła nietolerancya (zniesienie edyktu nantejskiego we Francyi).

Ostatnia jasna karta w dziejach wyznaniowych Polski, to *consilium charitativum*, zwołane za inicyatywą króla do Torunia r. 1644 dla pogodzenia ognia i wody, dla pogrzebania sporów o wiarę na drodze miłości i porozumienia; z »soboru« wykluczono naturalnie Aryanów. Próba ta rozruszała całą spółczesną literaturę teologiczną zagranicą, w Niemczech; praktycznych następstw nie miała żadnych, ale w czasach wojny trzydziestoletniej poświadczyła po raz ostatni wobec Europy odmienne stanowisko polskie, jedynie ludzkie i szlachetne. Potym zasępiło się niebo i nad Polską; powiał wiatr ostry, i, jeśli już dawniej nie brakło srogich prześladowań, ekscesów rzeczywistych lub pozornych, to teraz przebierano wszelką miarę: wypędzenie Aryanów, zniszczenie szkół leszczyńskich i zboru Braci Czeskich, szczególniej jednak spalenie Łyszczyńskiego, niewinnego, posądzonego o ateizm, wołały o pomstę do nieba.

Srożono się już od dawna i przeciw książkom, nietylko aryańskim: Bolestraszyckiego tłumaczenie francuskiej, kalwińskiej książki, kursującej swobodnie w katolickiej Francyi, już r. 1625 kat palił, choć poświęcił ją tłumacz siostrze Zygmunta III, gorliwej protestantce. Więc skupiali się dysydenci w zaciszu domowym, tracąc jednę pozycyę po drugiej, szkoły i zbory, i ci, co jeszcze w pierwszej połowie wieku między wykształconymi rej wodzili, z Leszczyńskimi, Rejami i innymi, ustępowali na plan ostatni. Tylko w Prusiech królewskich, po miastach głównie, w Toruniu i Gdańsku, utrzymały się stosunki XVI wieku, kwitnęło mieszczaństwo protestanckie, szkoły jego znakomite nęciły i z dalszych okolic katolików, a nietolerancya protestancka nieraz do odwetu wzywała.

Kończyła ta literatura protestancka polska olbrzymimi postylami, dla luteran Dambrowskiego, Gdacyusza i Schoenflisyusza, dla kalwinów Kraińskiego. Całe pokolenia na nich się wychowały; one zastępowały żywe słowo, coraz rzadsze po coraz rzadszych zborach, np. na Śląsku przy nietolerancyi Habsburskiej; prawdziwe to skarby domowe, cenione jak źrenica, przedrukowane w wieku

XVIII (np. Dambrowskiego kilkakrotnie, dochowane do dni naszych np. Schoenflisyuszowe olbrzymie dzieło, po kilka lub kilkanaście kazań na każdą niedzielę, z r. 1650, w jedynym egzemplarzu na Śląsku). Najciekawsza z nich postyla Kraińskiego (jeszcze z roku 1611, jeszcze magnatom poświęcana), nie dla nauki wielkiej, teologicznej (autor sadził się na jaknajwięcej cytacyi), ale dla szczegółów (np. o kulcie i literaturze katolickiej, wojuje nawet z »Bogurodzicą«) i dla strasznej nienawiści, jaką zionie przeciw wszystkiemu co katolickie: katolicy zawinili we wszystkim, nawet Aryanów wylęgli! Owe luterskie postyle obu ministrów wileńskich (Dambrowskiego i następcy jego, Toruńczyka Schoenflisyusza) dawały o wiele więcej budującej treści.

Wyznanie łączyło i na Śląsku — mniej nawet katolików (dawno się Wrocław od Gniezna odchylił), niż protestantów i nie tracił, przynajmniej w górnej połaci, Śląsk charakteru polskiego — czuli się Polacy w Brzegu i t. d., jak u siebie w domu, ani łączności z kulturą polską i językiem. Wrocław, Brzeg, drukują nietylko polskie gramatyki i słowniki, łacińskie rzeczy polityczne i historyczne, ale liczą i pisarzów polskich, chociaż wyłącznie wyznaniowych.

Szczególniej odznaczył się wymieniony już »fararz« Kluczborski, Adam Gdacyusz, uczeń luteranów wileńskich, potym pół wieku między »Wasserpolakami« każący i drukujący (1640 — 1685), nie dający się »od swego zawziątku odgromić«, chociaż rozmaici »ożuwcy, szczekuły i gryzisławy« osoby jego »do nasytku językiem się naczosali«. Fararz wyborny ze swoją polszczyzną, którą objaśniał artykuły wiary »tak pogmatwolone, iż do wywięźlenia i wymacania prawdy potrzebaby jakiego oddennego, ktoby ją na wierzch wywindował, pływacza«; z cytacyami z Kochanowskiego, o których się w Czarnym lesie nigdy ani śniło, z anegdotami nieskończonymi; z pouczaniem słuchaczów »kiedy się małżonkować mają«, albo że się nie mają »żołądkować« na jego polszczyznę »Wasserpolowie nadęci, niech pierwej polskie czytają autory z chęci, a też ich szczekania są błahoważne u mnie«; w zapędzie kaznodziejskim on nawet powie słuchaczom i »czytańcom«: »cudujecie się, żem jest tak cielisty, moja żona miąższejsza (grubsza), a przecież w jednym łóżku rumu dosyć mamy«. Mimo niektórych germanizmów władał polszczyzną znakomicie, a z nim i inni »Wasserpolowie«;

ci nauczyciele i fararze, »twardogórscy« (Festenberg) i in., wiersze piszą niezgorsze, a jaki ich respekt przed językiem polskim, »tak wytartym i wypolerowanym, że biegły w nim mowę, jak grekowie, łacinnicy i inni, łagodnymi i wdzięcznymi słowy, niby farbiczkami niejakimi, upiększyć i ozdobić może!«

W Polsce samej gasł powoli protestantyzm i jego walki; inaczej powiodło się unii; chociaż i tu wkońcu stagnacya i marazm, jak po wszelkich innych działach umysłowych, zapanowały. Myśl i mowa, a nawet i wiersz polski, zdobyły tu szerokie przestwory; najgorliwsi obrońcy prawosławia, taki Zizania np., myśleli i mówili po polsku i cyrylicą tylko wypisywali sens polski. Nie inaczej działo się pod bokiem starego księcia Ostroskiego, filaru najpotężniejszego całego prawosławia w Koronie; »Litwin« Andrzej Rymsza (przełożył z łaciny na polskie chorografię Ziemi świętej, którą na cerkiewny język później przełożono), pisał w Ostrogu roku 1581 wiersze na miesiące (najstarsze to drukowane wiersze ruskie), które np. na sierpień tak brzmiały: »w tom miesiecy Aaron umier bożij jerej, togo sobie na prikład ty, popie, zawżdy miej« i t. p. I polemika toczyła się głównie po polsku; sami Jezuici nie łaciną przeciw prawosławnym szermowali. Polemikę tę odziedziczył wiek XVII po XVI; umarł wprawdzie (r. 1603) Konstanty Ostroski, i utraciło z nim prawosławie fautora dysydentów, opiekuna typografii, szkół i monasterów, rozporządzającego zasobami królewskimi; inni, Czartoryscy, Wiszniowieccy i t. d., opuszczający sami rychło dawne prawosławie, jego zastąpić nie mogli. Ale szkoły i zachody Ostroskiego wydały owoce: w pierwszym rzędzie obrońców prawosławia stanął teraz uczony, wymowny, namiętny Melecyusz Smotrycki; jego »Lament cerkwi prawosławnej«, wydany pod pseudonimem, jak i Apokrizis, ale z innego powodu, zrobił nadzwyczajne wrażenie; sam Skarga u schyłku swych dni zerwał się jeszcze do odpowiedzi. Polemika tych wszystkich Ortologów, te Weryfikacye, Obrony niewinności i jak się te pisma nazywały, toczyła się znowu wyłącznie w języku polskim; i ona pełna najciekawszych szczegółów obyczajowych, i jej nie brak chwil dramatycznych, tragicznych: zabójstwo Kuncewicza i innych ofiar; chwiejność Smotryckiego, co wkońcu rzucił prawosławie i Kozaków, broniących je argumentami wcale nie teologicznymi; polemika strasznie drastyczna między Sakowiczem, eksunitą, a Mohiłą-Pimenem (pasterzem, w Kamieniu wiary) należą do najwybitniejszych momentów tej walki na pięści, rzadziej na pióra, do której się miesza co żywo, i wójt warszawski (Skupieński) i protestanci, jak Diplic. I ta walka jednak ustaje w połowie wieku: z cel i ławek szkolnych przenosi się na pola Ukrainy; burza rozszalała niszczy, co półtora wieku zabiegliwej pracy stworzyło; milion ofiar ludzkich, ruina dobrobytu, odpadnięcie Kijowa i Za dnieprza, inwazya turecka, utrata Kamieńca, hańbiące pakty buczackie — oto ostateczny rezultat unii brzeskiej, licho okupiony szerzeniem jej w granicach polskich. Udało się bowiem walki kozackie, z ich podkładem ekonomicznym, społecznym, przykrasić tendencyą wyznaniową; chłop ruski, pędzony przez Chmielnickiego, Mazura z pochodzenia, i Kozaków na szańce polskie, umierał za wiarę, pewny raju, i znęcał się nad bratem-unitą, dla jego lackiej wiary. W drugiej połowie wieku raczej wyjątkowo odzywała się polemika wyznaniowa i na tym polu: rozmowy, dysputy zazwyczaj nie dochodziły; Jezuici ostrzeliwali plac, chyba że Galatowski i Baranowicz za »starą wiarą« przeciw Boymowi się ujmowali. Obok Boyma i Cichowiusza (nieznużonego pogromcy Aryanów), odznaczył się Rusin-Jezuita, Rutka, najliczniejszymi pismami przeciw Kijowianom, chociaż i on, jak Baranowicz, o lidze antytureckiej marzył i sposoby pognębienia Koranu wymyślał. Przy końcu stulecia doznała unia jeszcze rozszerzenia na ziemię lwowską i przemyską; było to ostatnie jej powodzenie.

Unici sami, odpychani od prawosławnych, jako odszczepieńcy, od katolików nie przygarnieni jak należało, liczniejszych pisarzów i obrońców z własnego grona nie wystawiali; najpoważniejsi między nimi dwaj ich metropolici, Hipacy Pociej na początku XVII, i Lew Kiszka na początku XVIII wieku, Pociej, broniący wymownym pismem i słowem, listem i kazaniem, unii przeciw Ostroskiemu i jego adherentom, kalwińskim i prawosławnym; Kiszka, wydający jego kazania, piszący historyę cerkwi unickiej, dbały o podniesienie Bazylianów i kleru unickiego, wymowny tegoż rzecznik wobec Rzymu; obaj mistrzowie słowa polskiego, Pociej szczególniej werwą drastyczną narabiający, Kiszka spokojniejszy, równiejszy. Między Bazylianami wileńskimi znaleźć można i poetów nie najgorszych, hołdujących ówczesnym muzom polskim, religijnej, historycznej i panegirycznej; ani ich odróżnisz od reszty

braci parnaskiej. Za to upadała widocznie znajomość cerkiewszczyzny, tak, że w XVIII wieku drukowano w księgach duchownych obok tekstu cerkiewnego (cyrylicą), tenże tekst łacinką, albo i całkiem po polsku.

W Kijowie, i jeszcze dalej na wschód, w Czernichowie np., stała cerkiewszczyzna twardo, ale najwybitniejsi przedstawiciele życia duchowego, archiepiskopi, igumeni i rektorowie kolegium, czy do hetmanów zaporoskich czy do samych gosudarów się zwracali i polskie dzieła im poświęcali, łaciną żyli, scholastykę średniowieczną uprawiali i w Moskwie zarzuty odszczepieństwa łacińskiego, np. w trudnej nauce o świętych darach i o ich transsubstancyacyi, na siebie ściągali. Szczególniej niestrudzony był między nimi archiepiskop czernichowski, Łazarz Baranowicz, sypiący, jak z rękawa, obszerne dzieła polskie, wierszami, prozą i mieszane, cytujący raz po raz Jezuitów, Rychłowskiego i innych, układający »wieniec Matki Bożej«, jak Kochowski swój wirydarz, w alfabetycznym porządku epitety jej zestawiając, w wierszach ciężkich i bez smaku, lubując się za to w ciągłej grze słów, w nieskończonych kalamburach, zapełniając nimi i »Apollina chrześcijańskiego« (żywoty świętych, poświęcone carewiczom), i jeszcze o wiele obszerniejszą »Lutnię Apollinową każdej sprawie gotową« z tysiącem poezyi nabożnych i świeckich, i »Księgę o śmierci« i »Nocyj pięć« (o Duchu św., o cechach, nocyach jego) i t. d., np. »Aryusz zdał się sobie być ingeniosus ale prawie był ingenio sus«, lub: przyczyn szuka kto się chce z przyjacielem rozstać, Syna Rzymianie uczynili przyczyną Ducha św. (filioque w symbolum zachodnim), tym się rozstali z Rusią. Nie darmoż sam pisał:

Nie Kochanowski lub te rythmy noszę,
Byście się przecie w nich kochali, proszę...
Nie poetyckim pegazem biegano,
Kochanowskiego w tym nie dojachano,
Osłem tu prostym jechano leniwo —
Kto biegł pegazem lotnym, co za dziwo?
Że Pan na ośle jeździł, respektujcie
I osła, jako gościa, w dom przyjmujcie.

I rzeczywiście, robota bardzo nie osobliwa; »nad wszystkie wodki Jezus jest słodki« albo »dziękuj Bogu za orzechy, Rusinie wespół

i z Lachy«, albo »Bogu za śliwy dziękuj kto żywy« antycypują wawrzyny Baki; lepsze proroctwa, choć się nie sprawdziły, przeciw Turkowi: Rusin go mężny i Lech potężny Walecznie pobije, lub nawoływania do zgody: Mężny Rusinie nie wadź się z Polaki, Wzięliście zwyczaj zgoła ladajaki, Jest z kim próbować siły: Turka z Tatarami zbijcie i t. d. Usprawiedliwia się nieraz ze swych wierszów, np.

Łazarz, że w bólu wiersze srogim składał,
Przebaczcie, gdyby co nie grzeczy gadał;

bo cóż innego powiemy np. o takim kalamburze:

Ordo na *order* kiedy przełożono,
Der (dery, zdzieraj) żołnierzowi namieniono pono,

albo gdy się, choć przedwcześnie, ze światem żegna:

Mnie jest dobrze do Boga miesiąca każdego
Lipnąć, a barziej w *lipcu*, z imienia samego.
Łazarzowa do ziemi, że już *lipnie* dusza,
W *lipcu* Łazarz do Boga niech na schyłku rusza;
Pomoc Bożą tak Łazarz znaczy, że nie duży,
W *lipcu* niech k Bogu *lipnie* i onemu służy i t. d.

»Rusin rad, że się u was Jezuitów nauczył łaciny« w licznych dziełach dbał głównie o dwie rzeczy: połączenie obu obrządków po usunięciu Filioque; zjednoczenie potym »Rusaka« z Polakiem przeciw Turkom. Alegoryzował zawzięcie, nawet Trójcę świętą dla Rusi wyłożył: Syn jak kokoszka dla Małej, Ojciec jak orzeł dla Wielkiej, Duch jak gołąb dla Białej Rusi, dwugłowy orzeł Boską i ludzką naturę mu oznaczał i t. d., a wiersze pisywał nieraz, jak Baka, np. Łazarz kaleka, zawsze ucieka, po Bogu do Matki, ta i w złej toni, od przygód broni nas, jako swe dziatki i t. d.

Uczeńszy znacznie i miarkujący się bardziej z wymaganiami stylu, więc nie płodzący podobnych wierszydeł, Joanniki Galatowski, walczył z Alkoranem, z niewiarą żydowską, z herezyami całego świata, ograniczał się jednak wyłącznie dziedziną teologiczną. Innocenty Gizel, Niemiec (Prusak, nie pierwszy między teologami prawosławnymi w Kijowie), wyrósł w tej samej sferze, ale

pisał głównie po cerkiewnemu (między innymi i sławną kronikę, Synopsis, zawołany uczebnik przez stulecie z górą, czerpiący ze Stryjkowskiego i t. d.). Tylko po rusku pisali Radziwiłowski, Symeon Połocki (rywalizujący, daremnie, z psałterzem Kochanowskiego) i św. Dymitr Rostowski, lecz w duchu i środkami tymi samymi, co i tamci. Radziwiłowski układał olbrzymie folianty z kazaniami, naśladując ślepo polskie, ale przejmując się tylko ich wadami, nie wznosząc się na wyżyny choćby Młodzianowskiego, narabiając Dzielowskim, »Wielkiem Zwierciadłem« i t. d.: w poezyi powtórzył się ten sam stosunek. Za to znowu metropolici, Mohiła, Kossów, ważniejsze dzieła po polsku pisali (np. Pateryk, »Żywoty ojców śś. pieczarskich« i t. d.). Tak zbratały się poraz pierwszy polska i ruska muza, i o kreszczatyku kijowskim śpiewał ojciec archiepiskop po polsku:

Pomnię w Kijowie, Chreszczatyk tak słynie,
Pełno tam krzyżów, woda czysta płynie,
Że się Ruś chrzciła, na pamiątkę tego
Krzyże zostają od wieku dawnego.

Tak szerzył się język polski daleko w stepy na południu i wschodzie (por. np. »Modlitwy dzienne i nocne według zdania Św. Ojców«, wydane roku 1689 dla niemal stuletniego Baranowicza w czernichowskim monasterze Iljińskim). Na północy przenikał on do Łotwy i na Żmudź, i znowu Jezuici, Elger, Szyrwid i inni, pielęgnowali język ojczysty, układali w nim kazania i t. d., pisali jego słowniki i gramatyki; na misyach wypleniali resztki upornego pogaństwa. Rywalizowali kalwini; w zeszłym wieku zaczęli byli luteranie królewieccy literaturę narodową litewską, za ich przykładem poszli kalwini wileńscy; w Kiejdanach radziwiłowskich jeszcze w połowie wieku drukowano książki do nabożeństwa litewskie, zabrano się nawet do przekładu całej biblii (tak zwana biblia Chylińskiego, niedokończona). Język sam, szczególniej żmudzki, nasiąkał coraz bardziej polonizmami.

Gdy przeważna część prawosławnych do Moskwy odpadła, gdy Aryanów wypędzono, a protestanci się z życia publicznego wycofali, katolicyzm i unia Polskę wypełniły; jednolitość wiary, bo i Ormianie unię przyjęli, zapanowała na nowo, jakby w czasach piastowskich. I zmieniła się rola duchowieństwa; gdy w XVI wieku

stale wołało: giniemy, zginęliśmy, i w szczytnych słowach Skargi najwymowniej grozę przyszłego niechybnego upadku wystawiało, teraz, po usunięciu różnowierstwa, w błogim uczuciu tryumfu, nie podnosiło już hiobowych głosów i wołania Jeremiaszowego. Byli wymowni kaznodzieje, gorący miłośnicy ojczyzny; zabrakło proroków upadku, właśnie gdy wiązania państwowe coraz głośniej trzeszczały. Kaznodzieje bili na przywary i niecnoty prywatne, oskarżali jaśniewielmożnych sędziów trybunalskich o przekupstwo; przesławne wojsko koronne o nielitościwy rabunek i zdzierstwo chłopów i mieszczan; przeraził ich upadek Kamieńca, w którego mury wpłynął zawój turecki na falach krwi i łez uciśnionych niewinnie ludzi; sarkali na promowanie żydowstwa, na przepych i zbytki panów a wyssanie kmiotków, na pijaństwo ogólne; zresztą schlebiali słuchaczom, ich próżności i dumie; ich kazania pogrzebowe, np. były wstrętnym, odurzającym, ogłupiającym kadzidłem. Gniewali się chyba o to, że panowie świeccy duchowieństwu wczasu i dostatków zazdroszczą, albo że zawsze jeszcze między wiernymi Pańskimi jakiś dysydent się przewija i karę boską wywołuje. Kaznodziejstwo polskie schodziło szybko z wyżyn Skargi.

Już u **Birkowskiego**, który, co do nauki, Skardze nie ustępował, a talentem oratorskim, ogniem i namiętnością stanowczo go przewyższał. Kazania Skargi wydają się mniej wyrazistymi, mniej wypukłymi, chłodniejszymi, poważniejszymi obok tej lawy, jaka nieraz z piersi Dominikana-żołnierza wybucha; tamte jakby wypracowane, mimo całej swej prostoty; te dyszą żarem, czuć je prochem bitwy; przeciw kaznodziei sejmowemu staje kaznodzieja obozowy; ów roztrząsa sumienia, jakby w konfesyonale; ten gromi, przeraża, swoich i wroga, niby krucyacie przewodząc; ów przemawia do rozsądku i rozwagi, ten na kolana upada, krzyż wznosi i zaklina na rany Zbawiciela. Ale ani widoki jego nie były tak rozległe: nie przetarł się po świecie, tylko z celi do obozu się dostał i zwężył się mu świat; ani sztuka jego wielka; nie rozróżniał między koniecznym a zbędnym, trafnym a mylnym, sztukował i łatał pomysły byle czym. I nawracał na drogę zgubną, fatalną, którą kaznodziejstwo polskie pod wpływem reformacyi zarzuciło, na którą się staczało, gdy wpływ ten ustał, bez hamulca i przeszkody. Słuchacza teraz nie chciano wzruszać tylko, lecz zająć go i rozerwać, porównaniem, dykteryjką, niezwykłym kawałkiem z hi-

storyi, z baśni o płodach natury, wyszukaną alegoryą, symbolicznym wykładem; nie podnosić słuchacza ku sobie, lecz zniżać się do niego, obracać się w jego kole zajęć i pojęć, mówić do niego językiem jego i otoczenia, o rzeczach najwyższych, o tajemnicach najświętszych, spoufalić go z nimi, a raczej sprofanować je tonem świeckim, rubasznym w gruncie, choć pieszczotliwym, poufałym na pozór. Te grzechy i skażenia kaznodziejstwa polskiego XVII wieku u Birkowskiego kiełkowały poraz pierwszy; wybujały dopiero u następców, sadzących się w zawody na najdziwaczniejsze pomysły, zajmujące nieraz nadzwyczaj, np. taka niesłusznie osławiona »Kokosz« Mijakowskiego, chorująca na pypeć barbaryzmów i solecyzmów u młodzieży szkolnej, inaczej u innych stanów, wieków i płci. W ciągu wieku znajdą się kaznodzieje, nie popadający w takie jawne uchybienia i błędy; ani Wydżga ani Gołębiowski (kaznodzieja Sobieskiego) nie profanowali w ten sposób kazalnicy; ale nawet Jezuita Młodzianowski nie ustrzegł się tej przywary, cóż dopiero inni.

Kaznodziejstwo protestanckie nie grzęźnie nigdy tak nizko; nawet u Gdacyusza, który swoim »Wasserpolom« bardzo dobitnie i rubasznie prawił, nie znajdą się takie fałszywe ozdóbki, takie łechtanie ciekawości. Że rozmiłowanie się stylu barokowego w takich niestylowych dodatkach, w wykrzywianiach i przesadzie, w emblematach i alegoryach, kaznodziejstwu spółczesnemu tylko drogę torowało, zaprzeczyć się nie da; ale to nie skreśli faktu, że wbrew rozwojowi naturalnemu wróciło kaznodziejstwo polskie na manowce średniowieczne, że skarlało, że zamiast budzić sumienia, usypiało je, baraszkując ze słuchaczem, plotąc troje niewidy, zapewniając szczęśliwego o osobliwszej łasce Pańskiej, czuwającej nad uciesżną Polską. Bez bodźca zewnętrznego osłabł ów, niebawem jedyny głos, który z prawdą mógł się ozywać.

Brak tego bodźca uczuła cała literatura teologiczna. Bronić prawd wiary nie było prawie przeciw komu, protestanci i prawosławni do boju już nie stawali — przynajmniej w drugiej połowie wieku; argumentowano chyba w szkole lub dla popisu na dysputach, które po kościołach urządzano, między zakonami, a które zakrawały coraz bardziej na opisane w Monachomachii. Zamiast dzieł polemicznych i historycznych przeważają pobożne ćwiczenia, akademie pobożności, gościńce do nieba, zegary skruchę wybijające, młoty grzechy drelujące — Drużbicki i Wojciech Tylkowski, ratują sławę polskiej teologii; rzeczy tłumaczone przeważają, a w nich, jeżeli nie sięgną do ojców dawnych, hiszpańska i włoska askeza, życia zakonników i zakonnic, cuda i legendy. I mota się serce i myśl coraz bardziej w tych powijakach, oddala się coraz bardziej od jedynej krynicy wiary: od Pisma świętego; ani Nowego Testamentu, ani Biblii do rąk laikom już nie dają i znowu wraca życie duchowe polskie na ścieżki czy manowce średniowieczne, z których je prądy reformacyjne, zdawało się, na zawsze wywiodły. Zamiast ksiąg świętych, zamiast choćby psałterza Kochanowskiego (który po roku 1640 już nie wychodzi), drukują na nowo »Żywot Chrystusów« Opeca, »Zwierciadło Przykładów«, olbrzyma średniowiecznego w przeróbce jezuickiej, »Historye Rzymskie« i podobne zbiory budujące; o Piśmie świętym znowu tak samo głucho, jak na początku XVI wieku; sparzone na gorącym duchowieństwo dmucha na zimne.

Zwyciężyło na całej linii, a właściwie Jezuici. Ci stoją niewzruszeni na zdobytych pozycyach i wypróbowanymi środkami, starannym wyborem osób — odpychając, coby zawiodło, działaniem przez młodzież na rodziców, przez szkołę na młodzież, wszelkimi miarami i miarkami na tłumy, zdobywają coraz obszerniejsze wpływy, gromadzą coraz większe bogactwa, pokrywają coraz gęstszą siecią domów i kolegiów Polskę, od Krosna do Rygi, od Braunsbergu do Kamieńca Podolskiego. Ale i oni obniżają wartość swej wiedzy i szkoły; spuszczają się na otaczający ich poziom, zaniedbują np. doszczętnie greczyznę — z wielkiego słownika Knapiusza opuścili ją w późniejszych wydaniach, jako całkiem zbędną, i, jeżeli jeszcze roku 1553 proboszcz, który w Bieczu bakałarza osadzał, od niego znajomości greki wymagał, to w XVII wieku i po uniwersytetach jej nie wymagano; latyniści pierwszorzędni, taki Sarbiewski, z ich grona niebawem na zawsze ubywają. Pochłaniała ich niegdyś walka z różnowierstwem; zwyciężywszy, ostygli i tylko dbali o zapewnienie zwycięstwa, wpajając w młodzież bigoteryę i fanatyzm. Monopolu wychowywania tej młodzieży *de nomine* nie uzyskali; oparła się im akademia, ostatek swych sił w bezowocnej walce mitrężąc; znaleźli się rywale w nowym zakonie *Scholarum piarum;* elementarnego wychowania Jezuici wcale nie udzielali; mimo to jedna szkoła i jeden typ jej rozgościł się na

olbrzymich przestrzeniach Rzeczypospolitej: ten sam Alwar zbyt trudny i rozwlekły; ci sami przetrzebieni autorowie klasyczni; te same bractwa szkaplerzowe; te same przedstawienia dramatyczne, tragedye (o świętych, o męczennikach, o cudach, o nawróceniach) z intermedyami śmiesznymi panowały we wszystkich kolegiach czy szkołach, chyba że Alwara nieco łatwiejszy Piotrowski zastępował. Odznaczali się kaznodzieje jezuiccy, Makowski, Piekarski, znienawidzony dla swego »rojalizmu«, Młodzianowski, co wiele świata zwiedził; historycy, jak Wijuk Kojałowicz, dopełniający historyę Litwy, polityczną i kościelną, a dla rodzin litewskich prace heraldyczno-genealogiczne Paprockiego i Okolskiego; poeci. Największy między nimi, nietylko w Polsce i nietylko w wieku XVII, Horacy chrześcijański, **Maciej Sarbiewski,** znużony pracą kaznodziejską na dworze królewskim, towarzyszący Władysławowi IV do Mereczа na łowy i do Karlsbadu na wody, liryk natchniony, opiewający wierszem łacińskim i Bogurodzicę, i ligę turecką, i wrażenia z podróży i Rzymu; tęskniący za przyrodą i jej zaciszem, za wdziękami lasów, dumający nad jasnymi wodami, obrazem duszy własnej.

Zaczął Sarbiewski uprawiać muzę obowiązkowo, bakałarzując po kolegiach, składając w pretensyonalnych panegirykach hołdy duchownym i świeckim. Później otrząsł się nieco z tych naleciałości szkolnych, chociaż, idąc i za własnym popędem, i za rozkazem zwierzchności zakonnej, papieżowi i kardynałowi wieńce panegiryczne splatał; podróże, wrażenia ruin Rzymu pogańskiego, coraz ściślejsze przejęcie się Horacym, coraz milsze zatapianie się w samotności, coraz żarliwsza pobożność oskrzydlały potężnie jego muzę. Forma jej wzorowa, niepokalana, między latynistami świata całego prym trzyma; treścią za to zakonnicza, wstydliwa, skromna uczy unikania świata i walk jego, kwietyzmu, rezygnacyi; najwymowniejsza, gdy się korzy przed świętymi; napuszona, gdy, świeckimi torami krocząc, wolność polską sławi lub, przeciw instynktowi narodowemu stawając, posłuszna za to intencyom papieskim, Habsburgom się łasząc, najniepotrzebniej do krucyaty przeciw Turkom zagrzewa, ambitnym planom królewskim napróżno drogę torując; stronnicza, gdy do jedności w wierze nawoływa.

Sarbiewski to wyłącznie liryk; tylko w liryce refleksyjnej najwyżej się wzniósł; nie kusił się nigdy, inaczej niż Szymonowic, którego zresztą i wykwintnym smakiem i filologicznym wykształ-

ceniem i życiem samotniczym bardzo przypomina, o epiczne czy dramatyczne próby: obaj poeci-uczeni przyrodzie z namiętnością niemal hołdowali. Po polsku nie pisywał, chyba kazania i listy, i niż w kraju, był sławniejszy za granicą, w Rzymie, Belgii i w Anglii. Polska szlachecka ceniła coraz mniej własnych latynistów. Zakon wydał ich więcej; od Sarbiewskiego idą nieprzerwanym szeregiem Inez, Hiszpan rodem, Polak zakonem, kuszący się o większe kompozycye, historyczne (hymny o królach polskich, Lechias) i o liczne fraszki, chcąc jezuickimi moralnymi rugować swywolnego nieraz Owena, Douzę i innych, swywolnego Kochanowskiego: więc pisał **Inez** i polskie, których wyborem Borkowski zbiór łacińskich epigramów uzupełnił. Dalej Kanon, Karwat i inni, jeszcze mniej znani: jedyny Inez cieszył się rzeczywistą popularnością, nawet kosztem własnego mistrza i ideału, Sarbiewskiego. Jezuici dbali zazdrośnie o opinię publiczną; dzieła, w których mniej chętne o sobie znajdowali wzmianki (np. Kronikę Piaseckiego) napastowali; oburzała się szlachta na »prepotencyę« jezuicką, wpisywała do *Silva rerum* wiersze, sławiące wygnanie Jezuitów z Wenecyi, doradzające tego samego w Polsce; obruszała się na kaznodzieję nadwornego, ks. Piekarskiego, za inwektywy na rokoszan; wkońcu nie podejmowała niczego na seryo, i, chociaż popularnym zakon nigdy się nie stał — nie pił przecież ze szlachtą ani rubaszył się z nią, jak Bernardyni, wszechwładzy jego nikt już nie tknął: bez Jezuity aniś żony, aniś starostwa nie uzyskał.

Doniosła w swych skutkach wszechwładza zakonu odbiła się i w literaturze teologicznej i polemicznej, którąby słusznie jezuicką nazwać można — tak szczupłą była rola, jaką inne zakony albo duchowieństwo świeckie w niej odegrały. Zmieniły się czasy, ubyło owych dawnych pisarzów, Hozyuszów, Kromerów, Białobrzeskich, Powodowskich, miejsce ich zajęli Jezuici, Wysocki, niezmordowany tłumacz i inni, dzieła, wydawane pod imionami księży świeckich, Żagielów i i. z pod piór jezuickich wychodziły; Wielkopolanin Łaszcz np. wydawał cięte swe pisma pod firmą ks. Słupskiego, Paulina, Tworzydła, Isiory, Żebrowskiego, Skargi nawet! toż Sawicki, Rościszewski i i.; spółcześni nieraz ani się domyślali prawdziwych autorów. Tylko do wierszów zabierali się Jezuici rzadko, chyba chcąc dysydentów ośmieszyć. Literatura to bardzo ciekawa, nawet i pod habitem jezuickim nie wyzuwano się z animuszu pol-

skiego i dotkliwymi, acz bardzo niewybrednymi żartami, ironią gryzącą, a choćby i obelgą i szyderstwem napastowano głównie ministrów, iksów-Bombizów, a za nimi i wyznanie samo. Z broszur polemicznych schodzili Jezuici i do prostych pamfletów, szczególniej w Wilnie wysadzali się na najsprośniejsze listy luterskie z piekła, opowiadania o ministrze, co, po kury łazą, ze schodów spaść i szyję złomać raczył (napisał Jezuita Chądzyński) i t. p. i wzniecali tylko nienawiść religijną, którą młodzież niesforna w bójkach i napaściach ulicznych na brogi i zbory, albo na osoby wywierała.

Ale »u nas w Polsce, jak kto chce«, więc nie dziw, że właśnie z Polski wyszły i najzjadliwsze pamflety przeciw Jezuitom, co Europę obiegły i nawet do niedawna kursu nie straciły, od protestantów, z zakonu Jezuitów samych i od prawowiernej akademii krakowskiej, zagrożonej w monopolu nauczania. Jeden z takich pamfletów poznaliśmy wyżej; słynniejsze było »Consilium« czyli »Rada odzyskania i ustalenia pokoju w Polsce za wypędzeniem Jezuitów«, od roku 1607 kilkakrotnie wydawana, i w Upsali i we Frankfurcie nad Menem, tłumaczona na niemieckie, drukowana jeszcze w XVIII wieku. Śledzi ona ową *Actio* z roku 1590, powtarza jej argumenty, formę i fikcyę, sarka na Jezuitów głównie dla ich pism przeciw konfederacyi, dla ich wpływów na dworze, chociaż uznaje ich szkoły i sposób nauczania. Wyszła z pod pióra Polaka, rokoszanina (cytuje np. Annales Orzechowskiego, które wtedy Herburt chyba lepiej znał, bo je i wydał), dowodzi wcale bystrego oka (co mówi o nieufności ku monarsze i t. d.) i proponuje to, co komisya edukacyjna w 170 lat później rzeczywiście zrobiła — użycie skąsowanych funduszów jezuickich na szkoły publiczne. Odparł ją Mikołaj Ziemięcki roku 1610, ale raczej wyzwiskami, niż argumentami; gruntowniej uczynił to Jezuita Sawicki pod imieniem ks. Cichockiego. Najsłynniejszy pamflet, tłumaczony na różne języki (i na polski), wyszedł od Jezuity, Tomasza Zahorowskiego, którego »Monita privata Societatis Jesu« jeszcze do dziś nieraz za autentyczne, za rzeczywiste prawidła i maksymy zakonne, uchodzą: jako takie wydał je nawet slawofil Samarin z rękopisu (!) praskiego, a innego nowego wydania rozeszło się w półtora roku kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzów; jeszcze roku 1895 osobny im artykuł Niemiec-Jezuita Duhn w swoich »Jesuitenfabeln« poświęcił.

Najciekawszy płód literacki, na jaki się w XVII wieku pióro akademika krakowskiego zdobyło, to zasłużonego wielce matematyka, ks. **Broscyusza**, ostatniego dzielnego zastępcy tej nauki w Krakowie, wielbiciela Kopernika i korespondenta Galileusza, »Gratis plebański«, szereg broszur, w ciętej, dowcipnej, formie dyalogicznej, nicującej nielitościwie zakon i jego szkoły. Nie śmiał jednak Broscyusz wydać dziełka imiennie; drukarza zasądzono na śmierć (od której go Jezuici odprosili) — a czwartego dyalogu, najostrzejszego, pod tytułem »Varietas« (o odmienności Jezuickiej), nie śmiał Broscyusz ani bezimiennie wydać, jest po rękopisach; w tym »dyskursie« przydał Broscyusz jeszcze i krótki wiersz łaciński pod tytułem »Gratis« (że darmo Jezuici uczyli, nie za pieniądze), należący więc właściwie do pierwszego dyskursu, który tu powtarzamy:

Discere qui *gratis* soliti *gratisque* docere;
Aedificare domos, fucorum alvearia, *gratis;*
Justitiae sanctae *gratis* corrumpere dextram;
Edicta intrepidi contemnere regia *gratis;*
Testamenta senum captare et premia *gratis;*
Qui populi mores turbatis et otia *gratis;*
Insidias struitis renuentes munera *gratis,*
Cum tactae nares lucri maioris odore;
Cantantes *gratis gratisque* plorare iubentes,
Sedibus antiquis mira quos pellitis arte;
Fas quibus est *gratis,* pueris orbare parentes —
Vos ergo adoro lubens, o servatoris Jesu
Felices socii et fatui nova numina saecli,
E nostro ut migrent caedes ac proelia regno,
Omnia qui facitis *gratis,* discedite *gratis!*

Słów bardziej dojmujących żaden protestant nigdy nie wygłosił. Tak ostrych form, przynajmniej publicznie, długoletnia walka akademii z Jezuitami więcej nie przybierała — na walkę tę zużywała akademia resztki zasobów umysłowych i finansowych.

Ze szkół jezuickich, pijarskich i akademickich wychodziła młodzież z głową, wypchaną łaciną, kująca wiersze, wprawiona w retorykę, wylewającą tym więcej z brzegów, im mniej w Rzeczypospolitej pozostawało cośkolwiek do chwalenia. Powódź retoryczna, grożąca już w wieku XVI, zerwała teraz wszelkie tamy, i rozbrzmiewała Rzeczpospolita od jednego końca do drugiego

mowami pochwalnymi, panegirycznymi. Wiek XVI wzorów ich nawet nie podawał; tym bardziej czynił to XVII. Niebyło rękopisu szlacheckiego, któryby nie mieścił wzorów mów pogrzebowych, weselnych, politycznych. »Spiżarnia aktów rozmaitych« doczekała się ze wszystkich książek najwięcej wydań, a z nią zawodniczyły dzieła Jezuity Wojsznarowicza i innych. Ceremoniał polski, mianowicie weselny, wymagał wiele mów i przemówek: pierścienie, dary, marcypany, pannę młodą oddawano zawsze z oracyami, a temat do nich brano od herbów, kamieni, kruszców; nie brakowało i parodyi, ale te tylko po rękopisach się kryły w owych oracyach »serbskich« albo »alamodzkich«, zbudowanych na samych dwuznacznikach. Prawdziwych mówców wydawał wiek tym mniej, im więcej mówił; najznakomitsi należą jeszcze do jego początków, ale i między nimi nawet Marek Sobieski, nawet w najdramatyczniejszych chwilach, nasze oczekiwania zawodzi; nadto to robione, sztuczne, nie porywa. Najlepiej udają się jeszcze wymówki królowi i jego władzy rozdawniczej *(distributiva),* jedynej realnej, którą mu szlachecka anarchia zostawiła; sarkania na Ichmość żołnierzy, grabiących ojczyznę, i Ichmość duchownych, skąpiących zasiłków pieniężnych. Zresztą i przy najwierutniejszych łotrach sławią ich katońskie i scypiońskie cnoty, a jeśli ten wątek się urywał, snuto go dalej od herbów i przodków chwalebnych i koligacyi prześwietnych; śmiała się szlachta z tych kłamstw i chciwie je połykała i uroiła sobie nowy świat starorzymski, wyższy, bo chrześcijański, a siebie w roli Kurcyuszów, Cyncynatów, Decyuszów.

W ciągłym tym szermowaniu starożytnością, nie tylko pojęcia, ale i mowę nawet pstrzono łaciną. Brzydki ten zwyczaj, oparty na gnuśnej opieszałości, leniącej się przed wysiłkiem umysłowym, chwytającej za gotowe; oparty na chęci popisywania się nauką i ogładą; na manii naśladowczej, czepiającej się tego, co obce, panował już w wieku XVI, ale teraz przybrał jeszcze większe rozmiary, a z mowy dostał się i do pisma. Dla obrzydliwego nałogu tego utrwaliła się, niesłusznie zresztą, nazwa makaronizmu, i cały wiek nawet ochrzczono panegiryczno-makaronicznym, chociaż to tylko dwie cechy jego, uwydatniające się, prócz najlichszych, niestety najliczniejszych pisemek, w nieskończonych przemowach. Panegirykami wsławili się mistrze krakowscy, Bielecki,

Bieżanowski, Cyboni, Cynerski i inni; na tym tylko polu pobili Jezuitów, szczególniej Bieżanowski, co od tej pracy aż wzrok utracił, zato 150 panegiryków wydał. Po łacinie, z tytułami niesłychanej długości, w stylu nieraz nakamiennym, winszują wszystkiego, zaślubin, ingresu na dostojeństwo, biretu doktorskiego, śmierci chwalebnej; po polsku, jeśli mieszczan, Królików, Attelmaierów, Kłosowiców i t. d. wysławiają, wierszem nader niewybrednym, np.:

O jako piękna tej pary jest cera,
Oberszter bierze córę obersztera i t. d.

Plon tych panegiryków wypadał bardzo rozmaicie: tak dostał Cynerski za dziewosłęb Olbrychtowi Radziwiłowi, kanclerzowi, 60 dukatów, ale za takiż sam tej samej objętości (dla Czarnkowskiego i Lubomirskiej) próżno się trudził: cóż zrobisz z ludźmi, którzy jakby z urzędu pochwał wymagają, lecz w prawdziwej i uczonej chwale nie gustują, dodaje rozżalony. Tego samego zakroju była wymowa polityczna i sądowa, tylko jeszcze bardziej łaciną nara-biała. Występowano wprawdzie przeciw takim bigosom językowym, lecz sami krytycy, np. Opaliński, grzeszyli nie inaczej; oprzeć się zgubnemu zwyczajowi, grożącemu fatalnym zubożeniem języka narodowego, nikt nie myślał, i wżerał się ten nałóg coraz głębiej, ogołacał język ze swobody i naturalności słowiańskiej, a wciskał go w kluby nienaturalnego, klasycznego wysłowienia i szyku słów, z czego język nasz do dzisiaj się nie otrząsł zupełnie. Jedyna wymowa kaznodziejska nie uległa temu zepsuciu; mając przed sobą kobiety i lud prosty, wahał się ksiądz przynajmniej na kazalnicy przed tą obczyzną. Również do poezyi »makaronizm« przystępu nie miał, i poeta, najświetniejszą polszczyzną w wierszu władający, w prozie i pół zdania polskiego bez łaciny skleić nie potrafił, np. taki W. Potocki.

Ze szkoły wynoszono łamany język i dzikie pojęcia o równości obywatelskiej, o przodków cnocie starorzymskiej, o ich wierze niezachwianej. W szkołach długo nie bawiono; przechodzono rychło na dwór pański lub do palestry, gdzie nabierano poloru życiowego i wprawy do pieniactwa; trzymając się klamki pańskiej, posuwano się dalej, brano udział w życiu politycznym, gardłowano

przeciw królowi i dorabiano się estymy obywatelskiej; tak bywało w czasach głębokiego pokoju za Zygmunta i Władysława, za Michała i Jana; dopiero za Jana Kazimierza przerwały się błogie czasy, i «taniec Rzeczypospolitej« był tańcem krwawym, marsowym; w kampaniach Sobieskiego pospolite ruszenie udziału nie brało. Czas trawiono: na gospodarce prymitywnej, bo darmochami opędzanej; na rozrywkach, również prymitywnych, bo wilkumami, pełną, kolejną, strzemiennymi, podkurkami głównie zaprawianych; na procesowaniu się i politykowaniu; na dyscyplinowaniu i poszczeniu; polor towarzyski XVI wieku zaczął się zacierać, nauka i wykształcenie upadać. Ustawały wyjazdy zagraniczne dla studyów; młodzież, nawiedzająca niegdyś tłumnie Padwę, mistrzowie, opuszczający Kraków gromadnie dla Włoch, zjawiali się teraz coraz rzadziej; zakłady niemieckie, w Ingolsztadzie dla katolików, w Heidelberdze dla protestantów, nie ściągały już liczniejszych gości. Magnaci, dla względów towarzyskich, odbywali pielgrzymki po dworach obcych; młodzież szlachecka z zagranicy nauki właściwej nie wynosiła i w sarmatyzmie domowym ścierała rychło ślady cudzoziemskie. Za to wydobywa się na wierzch powoli kobieta; przy coraz niższym stopniu ukształcenia męskiego przyrodzone jej dary nabierały coraz większej wagi; przykład dworski, francuski, zaczynał coraz bardziej działać, nie przemijająco, jak za Bony; od królowych począwszy, od Ludwiki i Marysieńki, po dworach i dworkach, obok trzech stanów koronnych, zaczęły one nowy, czwarty, formować; one czytają, choćby romanse francuskie; piszą, nie tylko rzeczy ascetyczne i gospodarskie; nadają ton posiedzeniom towarzyskim; już liczy się literatura z tą Rzecząpospolitą domową; najpierw szydersko, skargi ich na mężów, artykuły nowego porządku formułuje, petycye panieńskie do sejmu przedrzeźnia (o młodszych mężów, dłuższe ich wczasy i t. d.), fortele białogłowskie i adwizzy koła panieńskiego odsłania i przynosi, aż w ostatnich dziesiątkach wieku coraz ostrzejsze inwektywy na mężczyzn, babożeniów, liczykrupów, piecuchów wytacza.

Powoli, niepowstrzymanie obniżała się kultura staroszlachecka. Bystrzy spostrzegacze już na początku wieku uderzali na alarm; dla Szymonowica np., »wiek ozdobny« już do przeszłości należał — Jana Zamoyskiego cały wiek XVII wykazać nie mógł, nie dorównał mu orzeł tak wysokiego lotu, jak Żółkiewski, najbliższy mu

duchem; tym mniej który z protestanckich Radziwiłów, o katolickich niema co i mówić. Skarlała i »akademia« Zamoyska i sam potomek hetmański, gdy Jana nie stało; akademia zeszła wkońcu na równie źle uposażoną kolonię, jak jej macierz krakowska, gdzie mistrzowie z zaparciem własnej osoby ubogi żywot kołatali; zamiary fundatora spełzły, i szumny tytuł krył niebawem próżnię materyalną i umysłową; syn i wnuk wyszli na najzwyklejszych śmiertelników. Więc nie dziw, że Szymonowic, dedykuje Wolskiemu sielanki:

> żeś ty prawie (całkiem) sam z grona onego
> Ludzi chędogich został, którzy ozdobnego
> Wieku kwitnęli,

a na innym miejscu skarży się:

> wszystko się pomyka
> Na dół, zginęli dawni dobrze kantorowie.....
> ..... *jakie dzieje, takie pienie.*

Nie mniej ucierpiała kultura polska na zaniku, również niepowstrzymanym, mieszczaństwa. Mieszczaństwo polskie, krakowskie przedewszystkim, dziwne przedstawia koleje; jeśli zazwyczaj twierdzą, że krzyżowanie ras wydaje znakomite rezultaty, to przykład tego mieszczaństwa uczy przeciwnie. Póki było niemieckim, było rządne, czynne, gospodarcze, przedsiębiorcze; gdy spolszczało, straciło te przymioty, a spotęgowało wady; nie przyjęło polskich cnót, dążenia do niezawisłości, wybijania się nad gmin, rozmachu, bystrości, ale zaraziło się lenistwem, opieszałością, optymizmem niewzruszonym, życiem nad stan, obojętnością dla spraw ogółu. I nie obroniło — prócz Gdańska — swego stanowiska, nie opierał się na nim król, nie wywalczyło sobie miejsca w Radzie koronnej; tam dostawały się spanoszone jednostki, Bonery, Morsztynowie, Szembeki; ogół sarkał na obcych przybyszów, na Włochów, Delpaców, Cetysów, Dzianotych, na Żydów, Szotów i Ormian, ale nad próżne skargi nie zerwał się do niczego. Ekonomiczna polityka szlachecka, wyłączna ochrona gospodarstwa wiejskiego, rujnowała mimowoli mieszczan, narażonych i tak od dawna na straty, skoro handel tranzytowy, główna podstawa potęgi finansowej Krakowa

i Lwowa, nowe obierał szlaki; uwalnianie szlachty od opłat, ubożenie przemysłu i handlu domowego na korzyść obcych, Włochów i Szotów, wabienie ich formalnymi premiami do kraju, odbiły się ciężko na mieszczaństwie polskim.

Przeniesienie stolicy do Warszawy — w Krakowie królów już tylko koronowano i chowano, dobiło starą stolicę; Lwów, chociaż jego handel i tak był zmalał, skoro wielki szlak na południe opustoszał, w wojnach kozackich i tureckich zginął do szczętu; wielkopolskie i podgórskie miasta niszczały za Szweda, ale gorzej grasował wewnętrzny nieprzyjaciel, szlachcic, sprowadzający i wyprowadzający towary bez cła, wraz z duchownymi nabywający nieruchomości miejskie, wolne od ciężarów miejskich. I ubożały miasta, upadały cechy, waliły się wieże i mury, kwitnęło pijaństwo, ciemnota, przesądy, wiara w czarownice, w Żydów, hostye przekłuwających i krwi dziatek chrześcijańskich pragnących. Co mogło, zapierało się bytu nędznego, podszywało się pod szlachectwo, przybierało nazwy na — ski zamiast odojcowskich na — ic, z *genere sus* darło się na *generosus,* na co lekkomyślność szlachecka przez szpary patrzała; wyjątkowo trafił się w ziemi krakowskiej, gdzie najgorzej się działo, stary Trepka - Nekanda, który bez litości z aktów sądowych, z informacyi prywatnych, z badań osobistych wielką »księgę chamów« *(Liber Plebeianorum)* w porządku alfabetycznym ułożył, gdzie każdego, od najwyższych, od Betmanów, Bonerów, Morsztynów, Szembeków, od Górnickiego (Łukasza), Cetnera, Szlichtyngów i t. d. aż do najniższych, do żaków krakowskich, rodowody ich od jatek, szlichty (tkackiej, nie szlachty) i bułek, od cepów i łopaty wywodził, »szlichciców« tych wytykał, gromadząc niewyczerpany zasób rysów obyczajowych i portretów dla przyszłego czy badacza czy powieściopisarza.

Tak uciekały z mieszczaństwa jednostki, energiczniejsze, ruchliwsze; stan sam coraz niżej upadał. Przed swoim ostatecznym upadkiem jednak przysłużył się walnie literaturze narodowej, i jak po mieszczanach niemieckich zostały pomniki materyalne, po farach i sukiennicach, tak i polscy, choć w literaturze, zaznaczyli swe myśli i czucia.

Szymonowic wprawdzie za takiego ich reprezentanta ledwie uchodzić może; nadto to natura wyjątkowa, zorganizowana delikatnie, uczony i poeta, i, choć w lwowskiej atmosferze, w dostatkach ojcowskiego domu wyrósł, z miastem, z jego zgiełkiem, z coraz widoczniejszym brakiem umysłów wyższych, kulturalnych, nigdy się nie zżył i chętnie Lwów na Zamość wymieniał. Wytrwały piewca osoby hetmańskiej, wcielonego na ziemi ideału jego, po śmierci mecenasa narażony na kolizye i rozczarowania, i z opiekunami, i z wychowankiem, przecież do Lwowa nie wrócił. Uczony śpiewak muzom łacińskim nie sprzeniewierzył się nigdy; Pindar chrześcijański próbował i w XVII wieku, jak dawniej, swych sił w panegirycznych nieraz odach i hymnach i w nowej, jeszcze mniej dramatycznej tragedyi, »Pentesilei«, ciekawej wyborem mniej zwykłego tematu i myślami o emancypacyi kobiecej; jak Sarbiewski, zbierał za to poklaski od zagranicy, która jego »poematy złote« drukowała, chociaż w kraju tak mało o nich wiedziano, że nawet Jezuita, Inez, niezapominający Klonowica, o Szymonowicu milczy — jeszcze w XVIII wieku zachwycał się nim i przedrukowywał go Durini, legat papieski. Tym bardziej ceniono polskie jego wiersze, mianowicie »Sielanki«, wydane roku 1614 poraz pierwszy i w ciągu wieku ośm razy przedrukowane, albo jego »Nagrobki zbieranej drużyny«, które inni chętnie naśladowali — rodzaj bajek, w czteru wierszach nagrobku układanych. Sielanki Szymonowica zapisały się w dziejach literackich wieku tak, jak Treny albo przekład Tassa Kochanowskich; od nich wyszedł cały rój sielanek i sielankopisarzów, na nich wzorowali się Zimorowice i Gawiński i ktokolwiek sielanki pisywał, »idąc Symonidowym niedostępnym śladem«.

Jego sielanki wzorowały się na starożytnych, na Wirgiliuszu i Teokrycie. Czasami były to tylko tłumaczenia czy naśladowania wierne i właśnie takimi cały zbiór umyślnie rozpoczął, jakby chciał czytelnika oswajać z nową formą, po polsku dotąd niepraktykowaną. Czasami przebierał pomysły własne w formy pożyczone, jeśli np. jego Thyrsis w sielance »Rocznica« *Daphnisa*, t. j. Zamoyskiego wysławiał; po takich właśnie sielankach najwięcej aluzyi do spółczesnych wypadków, których bieg przekonanego Zamoyszczyka, co w Lutni rokoszańskiej o łaskę i pojednanie do króla wzywał, bynajmniej nie zadowalał; tu wypowiadał poeta własne ideały, bronił siebie i swe ciche, jasne Muzy:

kto was (Muz) nie ogląda,
Nigdy ozdobnym, zawsze wzgardzonym być musi...
Najszczęśliwszy, kto z wami do śmierci wiek trawi;

bronił swego sposobu tworzenia, w którym go, w całym XVII wieku, jedyny Łukasz Opaliński świadomie naśladował:

Zazdrość mówi: nie mistrz to, co po trosze śpiewa
I co się, jako morze, z pieśnią nie wylewa...
Wielka egipcka rzeka wiele błota wlecze
(a pszczółki Himetu) Z małych się a przezornych strugów napijają[1]).

Jeden z jego najszczęśliwszych, najprawdziwszych zwrotów nadaje się niestety, jako motto, tym czasom i następnym, gorszym jeszcze, gdy mowa o gnuśnych i nikczemnych:

którzy radziby *zgasili*
Słońce na niebie, a tym *błędy swe pokryli.*

Najudatniejsze są sielanki, zrzucające mitologię i starożytnych, opiewające zwyczaje Rusi szlacheckiej i niedolę ludu wiejskiego. W »Kołaczach« już sam początek, po wszystkich Najadach i Adonisach, dziwnie za serce chwytał swojskością, niewymuszonością, prawdą:

Sroczka krzekce na płocie, będą goście nowi.
Sroczka czasem omyli, czasem prawdę powi.
Gdzie gościom w domu rado, sroczce zawsze wierzą,
I nie każą się kwapić kucharzom z wieczerzą;

sroczka nie omyliła, jadą goście weselni; następuje opis ślubu aż do śpiewów i rozdawania kołaczy. Inne tło »Żeńców«: żar lipcowy; Olucha i Pietrucha omdlewają przy sierpach, skarżąc się na srogiego starostę i nahajkę jego, na gospodynię jego, co go na ludzi szczuje, a w skargi wstawione pieśni z owym napiewem:

---

[1]) Podobnie zresztą i Zimorowic o sobie, nie całkiem bez racyi, twierdził, że kto inszy

sto wierszów w godzinę na papier wyleje,
A ja z gospodarnemi pszczołami na łące
Auzońskiej ledwie z kwiatków co soku wysączę.

Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego,
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego

lub:

Naucz swych obyczajów starostę naszego,

poczem typowe zakończenie słowami starosty:

Pietrucho, prawieś mi się sianem wykręciła;
Ta nahajka mocno się na twój grzbiet groziła.
Kładźcie sierpy, kupami do jedła siadajcie;
W kupach jedzcie, po chróstach się nie rozchadzajcie.

Odmienny, popularniejszy, niższy typ przedstawia **Bartłomiej Zimorowic,** nie poeta ani uczony, mieszczanin, oddany z zapałem chwale i dziejom grodu lwiego, poświęcający w krytycznych chwilach mienie i życie na jego ratunek, dzierżący ostatni a chlubnie sztandar miejski w szeregach literackich. Najzwyklejszy był jego rozwój duchowy; zaczął, jak mieszczanie, od erotycznych i satyrycznych wierszów (na lisowczyków, na lutrów); próbował się w hymnach religijnych i wierszach panegirycznych, po polsku i po łacinie, aby, jako poeta polski, sielankami zakończyć, poczem jeszcze długo i wytrwale historyk łaciński troistego miasta (ruskiego niegdyś, niemieckiego potem, nakoniec polskiego) dzieje, instytucye, mężów sławnych, klęski badał i opisywał, w nadto wyszukanej, umyślnie zawiłej mowie, Tacyta na gruncie lwowskim parodyując. Jego sielankom brak spokoju i wytworności Szymonowicowej; i czasy, i okoliczności nie były już po temu; widnokrąg obniżył się i ścieśnił; cięży na nim dewocya, choć szczera i głęboka; język pstrzy się od rusyzmów, chociaż nabiera przez to samo cech lokalnych, gminnych, obcych wykwintnemu Szymonowicowi:

Tak ja swe kąty chciałem odrysować pieniem...
Idąc Symonidowym niedostępnym śladem,
Bywszy jego i ziomkiem i blizkim sąsiadem.

Miłość ku Lwowu i jego »lanczawtom z uciesznym wejrzeniem« przebija wszędzie; więc obok ciężkich klęsk jego nie przejdzie obojętnie, wyśpiewa je w »Kozaczyźnie« i w »Burdzie ruskiej«, gdzie się nawet mieszczanin nieśmiało odezwie o przyczynach dopustu Boga, który chciał

Zbytkom Roksolańczyków (szlachty) dumnych przytrzeć rogu,
Aby łacniej ukrócił umysły ich harde
I odwetował *prostych* odrzutków *pogardę*...
Do takiej nas niewoli *zbyteczne swobody*
I *łakomstwo* przywiodło do tak znacznej szkody.

Zimorowic kładzie nacisk na religijną stronę tych walk; pierwszym hasłem Chmielnickiego pod Lwowem było: strach Boży bije Lachy, a o sobie Chmiel mawiał: trudno ja rękę Boską mam hamować, — i smętnie dodaje poeta:

o wiarę wojują! cóż będzie po wierze,
Kiedy się pokolenia ruskiego przebieże?

Oprócz historycznej przebija u Zimorowica o wiele silniej i indywidualna treść, własne przejścia, smutki i radości, za przedwcześnie zmarłym bratem ukochanym i natchnionym śpiewakiem, za pierwszą żoną, której wpływ moralny wysoko cenił. Przeważa, wobec Szymonowica, uosabiającego ideał (wcale nie polski) Palingenjuszów (ze Zodiacus vitae), nuta erotyczna: wdzięki miłości i oblubienicy wyspiewały były już Roksolanki, t. j. ruskie panny, brata **Szymona,** zmarłego w dwudziestym roku życia, nader obiecującego; perypetye miłości, żale, zazdrość, rozstanie, niewdzięczność, wierność sławił wiersz jego nadzwyczajnej gładkości, narabiający nieco zanadto motywami antologicznymi i mitologią. I sławetny rajca lwowski od erotyków nie stronił, ale lata i doświadczenia wyziębiły zapały i stale zjeżdżał p. Bartłomiej z opiewania wdzięków miłości na morały i przestrogi, bo miłość:

Odwagi, ciężkie prace i nieznośne grzechy
Lekkim gwichtem odważa króciuchnej uciechy,
Sprosności swe, przypadki, utrapienia, mary,
Piękną twarzą pokrywa anielskiej maszkary.

Kunszt autora, jak z tego wyjątku już wynika, nie wielki, całe ustępy jego sielanek (np. w »Roczyźnie« skarga Dorylasa, szczególniej od wierszów »Ona to trąba, która kiedy krzyknie«) do kantyczek chyba i do Baki, nie do poezyi należą, odbiegszy od Szymonowica daleko. Jak Szymonowic, żeby się w konwencyonalnym tonie pasterskim utrzymał, przebiera za pasterzy siebie

i swoich (Zamoyskiego), tak i Zimorowic występuje jako Miłosz, Dorylas i t. d., i zdarza się, że nawet najdokładniejszego znawcę swych poezyi w błąd wwiedzie, np. Sielanka »Płaczennica« nie odnosi się do żony, lecz jest raczej odpowiednikiem do »Lamentu Hospodarowej Wołoskiej«, co po r. 1653 Zbygniew Morsztyn wyśpiewał. Najciekawsze jednak, to koloryt i zapatrywania na świat episyera lwowskiego. Mieszczańskie są jego gusty i mieszczańską ambicya (Szymonowic od obu wolny): cieszy się ze swej wilegiatury dla jej zdrowia i t. d., a nadewszystko miasto »leżące pod bokiem«, co za wygoda najmniejszej osadzie, »która w sąsiedztwie miastu głównemu osiada«. Godni kumowie radzą mu, by wystawił świątynię, on się kosztu boi, rzecz to pańskiej szkatuły; ale Samujło prawi: tać nie książęta ani panowie wielmożni, raczej z pospólstwa nasi przodkowie pobożni (św. Jura wystawili). Św. Jur nasuwa osobliwszą uwagę, dziwne forsowanie ruskiej nuty u Mazura - katolika Zimorowica! Czytając »Sielanki«, gdzie tyle razy mowa o Spasie, wieczerni i obiedni, o trużenikach, o knyszach, o Pałachnach i Paraszkach, o dniu Piątnic i t. d., pomyślałby kto, że to Polak prawosławny albo Rusin pisze (unii wtedy jeszcze we Lwowie nie było), i dziwnieby się z tym spierały np. takie »Przenosiny« (relikwii katolickich) i to co wiemy o Zimorowicu samym i o ówczesnym Lwowie; ależ to tylko poeta w ten sposób *couleur locale* nakładał sielankom, jakie koniecznie sioła i »sieluszki« (wieśniaczki) ruskie opiewać musiały: w innych dziełach ten sam Zimorowic takiej *couleur locale* nie znał. U Szymonowica chyba jakaś nazwa tylko, np. *Nais Purska,* Roksolanię przypomni. Mimo tych usterek i dziwactw i skażonego znacznie smaku — barok wszędzie się wciska — sama rozmaitość tematów, większa niż u Szymonowica, i wdzięczne nieraz, często jędrne wysłowienie i cechy spółczesne a miejscowe — jedna tylko sielanka jest całkiem obca, z mytu klasycznego wzięta, w innych tylko niektóre motywy z antologii wyszły — Sielankom tym, w porównaniu ze szlacheckimi, większe nadają i znaczenie i powab.

Szymonowicem i Zimorowicami, sielankami, nie wyczerpała się poezya mieszczańska bynajmniej; w mieście ostrzył się jej wzrok na wady i nierząd i wyrobiła się żyłka satyryczna, znamienna już u Klonowica, którego Zimorowic podziwiał, chociaż nie naśladował. Przyroda jej nie zajmuje, za to ludzie, burkownicy,

wyrwy, ktosie (złodzieje), szalbierze, na których sprawiedliwości niema; korektura ustaw polskich niezbędna, wołają poważni szlachcice; wtóruje im bakałarz **Jurkowski**, najnamiętniej w »Poselstwie z dzikich pól«, gdzie korzystając z fikcyi w »Potrójnym«, wysyła na Podole Połoków (nie Polaków, t. j. pijaków), jaratyków, Żydów, judaszów, aby się »zła ojczyzna z dobrą rozstrzygnęła«; »zbolał każdy cnotliwy człowiek, patrząc na niekarność okrutników« przemawia stary szlachcic do braci, a Jurkowski woła:

Już mówią sami, że nas wywiesić z połowę
Trzeba, chceli mieć Polska całą zewsząd głowę!

Opisuje ciągnienie i szyk tych hufów, od »miłych karciąt« (Rusa, Turma i t. d.), taktyki i strategii ich ucząc. Satyrze polskiej, kręcącej się w naśladowaniu Kochanowskiego, tu się nowe otworzyły widoki, satyry groteskowej, jak u Rabelais'go i Fischarta, przesadzającej karykaturami, wyliczaniami, stopniowaniem. »Chorągiew Wandalinowa« (t. j. »wiślnego bohatera«) również gwałtownie na swawolę się rzucała:

Tak swawola, gdy z burdą korektę praw zwłóczy,
Już ojczyznę w śmiertelną koszulę obłóczy...
Karność, siostrę wolności, z Polski wyrzuconą,
Kto przywróci?

równie namiętnie i szlachecka satyra ledwo się odzywała, a nie skąpił i innych przytyków, np.: »gdy Moskwę bić, toście w się sami uderzyli«, albo jak Turcy z chrześcijan szydzą: zawsze jedzą gorąco, oziębło wojują i t. d.

Jeszcze wymowniejsze są skargi jego w wierszach p. t. »Lech wzbudzony i lament jego żałośny, widząc tak utrapione państwo« (dlatego wznowiono je r. 1649!); strofuje tu Lech mężny wyrodków, zarzuca im, że niemasz między nimi mężów, że wszyscy, jak dzieci, chyba »wiatr sieją, dym kupują, mak drobią, świat wiją, sitem wodę czerpają, w murze cegły myją«; już on zwątpił, by przestrogi skutkowały, i pełen wiecznego niepokoju odchodzi zbolały (r. 1607!). Osobliwszy to głos i zapowiadał się widocznie talent, ale po kilkuletniej pracy wytrwałej (1604 — 1607) umilkł na zawsze. Dłużej pracował Samborczyk (i pod szlachtę później się

podszywający), **Kacper Twardowski**, co »trochy dowcipu na rytmy drugich gorszące rozpuścił« i mimo zakazu biskupiego drukować chciał, gdy go ciężka choroba powaliła, z której powstał pobożnym autorem »Łodzi młodzi z nawalności do brzegu płynącej« (roku 1618), »żywot swawolny w łodzi pobutwiałej uwodząc od matni przeklętej na maszt zbawienny« (Zbawiciela). Posypały się z jego pióra liczne, wcale udatne alegorye i wiersze pobożne; zarówno w »Łodzi« jak i w »Pochodni miłości Bożej z pięcią strzał ognistych« przedstawił w losach pielgrzyma i strzelca, walczących z pokusami Kupidyna i innych, strzeżonych przez rycerza *Amor Dei*, pouczanych przez świątobliwego pustelnika, w snach i na obrazach, losy własnego odrodzenia moralnego. Wszystko należy do najlepszych okazów poezyi religijnej XVII wieku. W »Biczu Bożym albo krwawych łzach utrapionej matki Ojczyzny Polskiej«, sięgnął Twardowski wyżej, oskarżał zniewieściałe i kupczące szlachectwo, ociągające się do służby wojskowej, nie nagradzanej jak należy, i wciągające do kraju bezbronnego łupiezców tatarskich, którzy »już kuczmańskich i czarnych kątów (szlaków) zaniechali, a — bodaj i zalśnęli — nowe wyszperali«; wymownie nawoływał do skruchy, żądał od szlachty, by »szlachecko żyła«, nie »wrzeciona się jęła« — więc po pogromie pilawieckim przedrukował Pruszcz ten Bicz, »dziewiącią tylko wierszów akomodując« go nowym czasom (1649). W kolędach i t. p. uderzał Twardowski w tony swojskie a rzewne.

Inni poeci-mieszczanie nie sięgali tak wysoko jak ci obaj; wiersze miłosne rozwadniały styl i motywy szlacheckie; fraszki za to, żarty i komedye ich czerpały z otaczającego życia, i tu są ci mieszczanie najciekawsi; nie z literatury szlacheckiej dowiemy się przecież, jak się żyło w warsztacie, kramie i cechu; jak się biedowało na kantoryi i bakałarstwie; jak służby po panach odprawiano. Brak finezyi i artyzmu, nagradza rodzimość tych słów, obrazów i myśli. Autorowie mieszczańscy zagranicy nie znają, Włochów nie naśladują, łaciną nie wiele usta pomazali, reminiscencyi klasycznych ani cenią ani wyszukują; obcy im Pertrarka i Tasso, Aryost i Marino, Ronsard i Bartas; za to nuta ich rodzima, jędrna, staropolska; humor dosadny, ale własny; forma niewyszukana, ale swojska; podziwiają (i okradają) Kochanowskiego, ale stokroć im bliższy Rej, chociaż sami nigdyby się do »lutra«

nie przyznali; nie obce im żywioły ludowe, chociaż nie opuszczają stanowiska »łyka«, drwiącego z opiłego »gbura«, z jego tańców i śpiewów, nie wnikającego głębiej w stosunki realne, tym mniej w duszę chłopa. Wszyscy dobrzy katolicy, o lutrach tylko z przekąsem wspominają, czasy »za heretyków« należą u nich już do dawnej przeszłości; co gorsza, pogodzili się zupełnie z odepchnięciem stanu swego od życia i wpływu politycznego, nie aspirują do żadnej roli wyższej, nikną w szarym tłumie, sarkają na przewagę Żydów i obcych, na nadużycia szlacheckie, zagrażające ich dobrobytowi, na przywary chłopskie, na ogólną opieszałość i niedbałość. Za to obchodzą się bez panegiryzmu i »makaronizmów«; złota staropolszczyzna przelewa się i mieni w ich niekunsztownych zwrotach, nie boją się przesady, parodyi, nawet rzeczy świętych nie uszanują, rubaszni, wszystko po imieniu nazywają i gorszą tym ucho cenzorów duchownych. Wawrzynów nie zbierają żadnych, nieznani nikomu z imienia i czasu; *Januarius Sowizdralius*, Prawdzic Niedrwił (t. j. Jurkowski), Jan z Kijan, Jan z Wychylówki; Jan Oleski, Jan Dzwonowski — toć niby autorowie, a czas oznaczony np. tak:

Tego roku kobyły piechotą chodziły,
Niewiasty cknęły bez jajec, że się nie zrodziły,
Ziemia się na ten czas trzęsła całe dwie niedzieli,
Kiedy ją chłop wziął na takach, toście niewiedzieli,

albo tak:

Spisany roku niedawno przeszłego,
Dnia pierwszej niedzieli niektórego miesiąca jasnomokrego.

A miejsce druku: w Oleśnicy na pacanowskiej ulicy i t. p. Nikomu, albo raczej wszystkim przypisują swe karty, żartując z obowiązkowych (wówczas) dedykacyi:

żebym ja miał chodzić od pana do pana,
Wychodził-bym nogi do same kolana...
Przyjmijcie od Sowizdrzała, najmilsze sowy,

zwracając się do »kwiczelnika (czytelnika) paskudnika« i t. d.

Okradają się też nawzajem niemiłosiernie: wiersze z Kiermaszu na Zawiślu (O pijanych ludziach) powtarza Nowy Sowizdrzał;

wiersze o skąpym panu i Dedykacyę Operis powtarza Sejm Oleśnicki z Sowizdrzałów i t. d.; niewyczerpani za to w konceptach. Ośmieszą wszystko, od »Piętego Świotra« w niebie i jego macierzy, aż do Nauk Potrzebnych do Rzemiosła, parodyujących nauki warsztatowe malarza krakowskiego, Franca Śmiadeckiego, który i poezye biblijne wydawał w ślicznych obramowaniach. Patronem ich, Sowizdrzał niemiecki, ale plugawego kumpana średniowiecznego okrzesali i przebrali, złośliwość jego jowialnością zastąpili. Miasteczka podgórskie znają wszystkie i dziwy o nich opowiadają:

W Bobowej, w Ciężkowicach, są takie zegary,
Więc raz bije pięćdziesiąt, drugi raz dwie kopie,
Południe wtenczas, kiedy bydło z pola ryczy;

chleba próbowali ze wszystkich pieców, wracają najczęściej do szkolnej mizeryi, boć np. jakież było ich podczaszostwo:

Kazano mi nalewać krowom we żłób wody,
Tom się i sam napijał, zawsze były gody i t. d.,

więc pielęgnują naukę na swój sposób, wykładają eklogi Wirgiliuszowe (Tityre, tu patule i t. d., Tyruśku szczeniątko a tyż to bź... na Kubę — w *Colloqium* Jannasa Knutla z roku 1633, trzykrotnie wydawanym, autora Jana Łopeskiego, pisującego i wiersze pobożne) albo wiersze Katonowe, na których łaciny uczono, np. morał o skromnym darze ubogiego przyjaciela, który z wdzięcznością przyjąć należy, wyłożył Jan z Kijan tak:

Jeślić kto da wiercimakiem, Przyjmi, choć cię boli szyja,
Nie swarz się z nim, nieborakiem, Bo nie miał dłuższego kija

i t. d. Wydawali humorystyczne, acz bardzo nieprzyzwoite kalendarze; zbierali »Facecye polskie«, z różnych autorów, choćby z Bokacyusza, powtarzając je pod coraz innym tytułem: »Burleszki«, »Furfanterye dworskie« i t. d. jeszcze i w XVIII wieku; a popłacało to nawet na Rusi moskiewskiej, co Sowizdrzałów jednak nie przyjęła. Domowe facecye, księdza Woronieckiego za króla Stefana, Stawskiego i in., zbierały »Siekanka« i »Prażonka albo Nawara dla zabawki uczciwej drużynie« (r. 1615, autor sarka na Szeligę, przedrukującego go bez ceremonii: ty drukarzu z Dobromila, potka cię nie-

szczęsna chwila i t. d.). Niewyczerpane to źródła staropolskiego humoru; okradali tych anonimów później i szlachta, i Kochowski i Potocki; czasem i szlachcic tu się zawieruszył, np. w »Biesiadach rozkosznych Baltysera z powiatu kaliskiego«, ale »szycom« (mieszczanom) nie dorównał. Tu objawił się humor staropolski, humor Pasków i Zagłobów; dla historyi obyczajowości polskiej również to źródła pierwszorzędnej wagi: czy to w formie dramatycznej, jak »Synod klechów podgórskich« (na szkolną nędzę), czy dyalogowej (»Potkanie Jannasa z Gregoriasem klechą« i t. p.), czy wreszcie w luźnych fraszkach i pieśniach i tańcach.

Taka np. »Peregrynacya Dziadowska«, zwłaszcza owych Jarmarczników, Trzęsigłowów i t. d. (1612, 1614), odpowiada »Tragedyi żebraczej« roku 1552, tylko jeszcze obfitsza w rysy obyczajowe: autor podsłuchał »miłych staraków« pod Pilznem w Jodłowej i wykrywa wszystkie ich niecne praktyki, jak czarzą, guślą, zwodzą, oszukują, jak się wygodnie »gnarują«, ze szczegółami nadzwyczajnej drastyczności. Autor, świadom żebraków, świadom i chłopów i wyszydza mazowieckich, przedrzeźniając ich gwarę, w »Komedyi o Wawrzku do szkoły i ze szkoły«; ojciec bardzo uczony, bo u Zegzułtów (Jezuitów), kęs nie cały tydzień studyował, oddaje synka i chce, by w szkole »klorem« został, ale pierdolenie jego z kałamarzem bierze smutny koniec; ojciec zabiera nazad synka, żeby go nabdziszkołą nie zwali. Pisze i bajkę śmieszną, Peregrynacyę Maćkową z Chodawki Kurpetowego syna, jak wędrował przez g.... morze aże na us.... świat, z mendacią od p. Blujmistra i drzystem od Rzycipospolitej, aż wrócił do rodziców; matka »jaz sie ozpłakała uzrawszy mię i nanko (ojciec) takze, toć mię kuśkali (całowali), dajze ich Walantemu«. Inni później Mazura do Wilna wysyłali i co on się strachu po drodze najadł, a jak go w mieście okradli, znowu w narzeczu opisali.

Nie zapominali jednak ci żartownisie o smutnej rzeczywistości. »Jan Dzwonowski« w Gęsiej Wojnie szydził z niepospolitego ruszenia, które niby pod Chocim ciągnęło, a tylko chłopów i gęsi ruszało i potykało się, ale w błocie!

Osobną grupę stanowiły »Sejmy białogłowskie«, »Sejmy albo konstytucye domowe w Oleśnicy« i t. d; w tamtych przewodziły kobiety nad mężczyznami, dyktując im artykuły posłuszeństwa i hołdów, wydając proces konwokacyi z osobliwszą pieczątką,

naśladując polskie sejmowe porządki; niewinniejszy był »Sejm Oleśnicki«, żartujący raczej z głodnej Rzeczypospolitej (domowej), z rzemiósł i cechów. Naturalnie panował w tych pismach ton bardzo rubaszny, i ściągnęła się na nie groźna burza: nowy biskup krakowski, Marcin Szyszkowski, wszystkie na indeks ksiąg zakazanych włożył, i wyginęła ta literatura, skupiająca się najgęściej między 1612 a 1617 rokiem (późniejsze przedruki bywały coraz rzadsze), niemal do szczętu.

Tę burzę przetrwało niewiele, np. ramota p. t.: »Nędza z Biedą z Polski idą«: mór i głód trapił wioski i miasteczka, niejeden cnotę nawet zastawić musiał i jej dotąd nie wykupił, ależ zawitała nadzieja (po roku 1620), »pałuby niecnotliwe« odeszły precz — urodziły się, gdy, gorzej jak w Turcyi, zaczęto »heretyków i wiary po kadłubach macać«, tak że teraz »Lutra w Polsce nie pytaj«, stanowisko odmienne od braci sowizdrzalskiej. Spotykają się Nędza i Bieda z chłopem; ten je odgania; z Dyabłem, dowiadujemy się o rozmaitych:

piękny dyabeł niemiecki i foremny, sztuczny,
jedno nazbyt poważny, a do tego buczny,
ruski zaś gamratliwy, ba i wnet ukradnie i t. d.,

boć Rusin od ruszania nazwany, polski zwinny, zuchwały i zabawny i t. d., on też wraca do swoich miłych Polaków, sprawiwszy sobie nowy rejestr na nich; jak to nam pójdzie, szczególniej w dzień ostatni:

Straszliwy to czas będzie i gniewu srogiego
Dzień gorczycy i czosnku, dzień chrzanu gorzkiego.
Drugi, płacząc, zakrzywi gębę na półmili i t. d.

— tak nawet *Dies irae* nie uszedł przedrzeźnianiu. Wychodzi »goła« (śmierć) i rozbiera z żakiem temat ów Polikarpa polskiego z XV wieku; żak prosi, by bogaczów zabierała, zarabiająż przy ich śmierci żacy, zresztą raz umrzeć musi, żal mu tylko Anuśki i dziewcząt, tak skorych

nakarmić, napoić szkolnego młodzieńca,
Koszulę dać i chustkę, nie wspominam wieńca.

W dramacie właśnie literatura mieszczańska zaważyła. Stroniła od niego literatura szlachecka: swobodne życie po dworach i dworkach, rozrzucone, nie sprzyjało z góry sztuce, wymagającej największej koncentracyi nietylko myśli i formy, ale nawet — publiczności i aktorów, których chyba przypadek, festyn jaki zgromadzał. Mieszczanie - bakałarze, przeciwnie, już dla samej szkoły w dramatach ciągle się ćwiczyli; niestety, warunki dramatu szkolnego nie znosiły rozwoju, krępowanego rolami (chłopcy grywali wyjątkowe role kobiece), i wyborem tematu dla budujących i moralizujących celów szkolnych; stąd wynikała absolutna jednostajność, kręcenie się w kółku legendy, ewangelii, alegoryi, robota zupełnie rzemieślnicza. Dramatów samych nie drukowano; rozdawano widzom sproszonym, drukowane po łacinie i polsku, streszczenia króciutkie sztuki samej, »synopsis«, czy jak je tam nazywano. Na najprzeciwniejszych końcach Rzeczypospolitej, w Gdańsku i Kamieńcu Podolskim, w Krożach i Krosnie, w szlacheckim kolegium jezuickim i w miejskiej szkole protestanckiej, to samo na ten sam ład grywano. Nas — a prawdopodobnie i widzów XVII wieku — zajmuje dramat bakałarski mniej »trajedyą« i jej chórami, niż intermedyami, dramatyzowanymi anegdotami, facecyami, monologami, z życia chłopów, Żydów, cyganów, Kozaków, Niemców-kolonistów, Mazurów, zbiegłych uczniów, głodnych dworzan, komesów na Wątorach, a choćby dyabłów, czarownic, ostromędarzów (astrologów), medyków, żebraków. Temat może być obcy, wzięty ze starej, jak świat, powiastki czy alegoryi, ale odziany w formę rubaszną, domową, staropolską, tak, że się nią dosyć nacieszyć i ubawić nie można; sowizdrzalskie nawyki muzy mieszczańskiej rozpasały się w tych »intermedyach« nie gorzej, niż w owych »Nowych Sowizdrzałach«, »Prażonkach« i t. d., i dlatego należy ta literatura do mieszczan polskich, choć się między nią i jaki szlachcic zaplącze (np. Jezuici Rudnicki i inni, wstępujący tylko w ślady mieszczan-Jezuitów, Knapiusza, Skargi i innych), albo sztuka sama przeznaczona dla festu szlacheckiego.

Wystarczy streszczenie kilku takich »dramatów« z przeciwnych końców Rzeczypospolitej. »Tragedyę o bogaczu i Łazarzu« dedykował roku 1643 senatowi gdańskiemu nie wiem kto, prawdopodobnie ks. Jan Guliński, kaznodzieja i profesor języka polskiego w gimnazyum gdańskim. Po wstępnej kantacie i prologu (z obo-

wiązkową prośbą do widza, aby nie tęsknił, — »nic nie zabawimy«), występuje bogaty młodzian, Candidus, osierociały świeżo, którego Liberius i Mundanus do zażycia świata wzywają,

bo wierę nieprzystoi takiemu panięciu
obrazków polizować, jakoby żaczęciu;
lepiej ci się obrazom żywym przypatrować...
zaprośmy fraucymeru, niech muzyka graje;

w alegorycznej scenie łowi Kupido serca na wędkę. Następuje intermedyum o ojcu pijaku i synu szewcu, ojciec przepił pieniądze za buty i z obawy przed synem umarłego udaje, gdańskie karczmarki odmawiają za duszę jego psałterz nadobny:

O mein lieber, komuż relinquisti szwarcbier...
Jam kaczmarki sind traurichen,
Iże pozbyły sein liebichen,
Propterea za twoję duszycę
Klingili faciunt w śklenicę...

syn zmusza ojca, by odprzysiągł się pijaństwa, co ten na Jowisza czyni w stylu, parodyującym znakomicie mitologię (przed trawestyami Scarrona czy Blumauera):

Proszę cię przez boginie wszystkie, które w niebie
Bródkę twą rozczesują, siedząc podle ciebie,
Mój mościwy Jowiszu w papuciach złocistych i t. d.

Na Kandyda zastawiają sieci świat i dyabeł; on im pewnie nie ujdzie. W drugim intermedyum kuchmistrz targuje kota w worze u Kaszuby, wita go:

A nasz ci to Sobieraj, jakoż się miewacie?
Kaszuba: Dziękują Waszoc, pyszno, lecz kakoż mę znacie,

prawiąc wszystko w narzeczu swoim; oszukawszy go, ucieka a kuchmistrz:

Patrzcież złodzieja chłopa, a dze chłopaturo,
Nagrodzęć to za czasem, psia ty kompaturo!

Kandyd brnie coraz dalej w rozpuście i złości; przed Sprawiedli-

wością Bożą skarżą się w nowej scenie alegorycznej utrapione cnoty, najpierw czystość:

Rewerendy, kapice, purpury, szarłaty,
Magierki i z wieńcami, także szare płaty,
Wszyscy się już sprzysięgli, wszyscy się zmówili
Jakoby mnie, ubogą Czystość, zadławili i t. d.;

przestrach zesłany na Kandyda w śnie nie upamiętał go, tym mniej upominania Łazarza, na którego się ofuknął: a kieby pysk stulić Bym ci go j... swą mater niekazał kijmi zbić... smrodzie wyjechany...

Jeszcze mię ślepym czynisz, zgniły psie śmierdziuchu,
A nie będziesz uczciwy, ty gnojku, piecuchu!

Lecz kara przyśpiała, Bogacz śpiewa: biada — i biadać nie przestanie; chór kończy na temat marności świeckiej a epilog dziękuje za łaskawe słuchanie i prosi o wybaczenie: »że mi niedostatek person zabroniło nie jednego«.

W tym samym Gdańsku wydrukował roku 1693 inny nauczyciel polszczyzny, M. P., »Historyę o starym i młodym Tobiaszu« w celach moralnych i w przedmowie zaznaczył, że już przed kilku laty ta »Historya« przez wyćwiczone osoby do każdego aktu, mianowicie żaczki, kochankom języka polskiego miała być reprezentowana i t. d.; zamiast intermedyów daje sceny z dyabłami, popisującymi się połowem ludzkim.

Takie odgrywano sztuki nad Bałtykiem, nie inne na Podgórzu lub Rusi, chyba że Kaszubę Mazur, Białorusin albo Litwin zastępował. Oto »Tragiedya albo wizerunek śmierci Jana Chrzciciela, na pięć aktów rozdzielone, przydane są i intermedya dwoje« Jakóba Gawatowica Lwowianina, bakałarza krakowskiego, uczącego w Kamionce Strumiłowej, i tamże na jarmark na 24 czerwca (r. 1619) odprawowany. Tryb zwykły, prolog do »szlachetnych gości«, chóry; anioł wzywa Jana z puszczy na świat; dyabli, Kuflik, Garstka i Krzaczek, zamiast intermedyum, kuszą go napróżno i, gdy się im nie udaje, babę naślą na Heroda, że Jana uśmierci. Przemowy Jana do świata; Heroda o sobie i frasunkach swoich; dworzan, namawiających go ku dobrej myśli; Herodyady, wymyślającej

martwej głowie jeszcze; dyabłów, wyliczających swe przewagi obszerne, zdradzają u 20-letniego autora wyższe zakusy, którym później ksiądz proboszcz i kanonik lwowski, teraz już Gawatem przezywający się, nie folgował, tłumacząc chyba ascetyka maryjne i inne. Najciekawsze są oba intermedya, z chłopami z pod Kamionki, rozprawiającymi znakomitą ruszczyzną, dziwną w gotyckim druku, z Klimkiem bogatym i ze Steckiem, przedającym mu kota w worze, od słów Klimka:

Szczo tut ty, pobratyme, sobie porablajesz,
Każy myni, jak żywesz ta i jak sia majesz?
Stecko: Ja tut nie roblu nyczoho, Oś idu do domu swoho i t. d.

podobnie w drugim — z wołowcami głodnymi i jednym pirogiem i kto z nich go zjadł. Są to najlepsze i najdawniejsze próby ruszczyzny ludowej.

Ale ten sam dramat opracowywali niezliczeni inni bakałarze, np. w rękopisie Załuskiego z dyalogami mamy taki sam, tylko że krótszy znacznie, że dyabli się tu Wąglik i Cudzik nazywają, że cztery akty, nie pięć, a w epilogu, gdy Gawatowic, mając myto od Reginy Żółkiewskiej, z gośćmi mile się żegnał, nasz bakałarz o datek upraszał:

Małom też nie przepomniał w ostatniej potrzebie
Prosić, byście sprawili, łaskawi panowie,
Pogrzeb (św. Janowi...) itd.

W »Dyalogu na Narodzenie Pańskie« pisarz poborowy Cyrynus, marznie srogo, czekając wypłaty poborowej, ze szlachcicem, z chłopem najgłupszym, z Józefem, szukającym gospody, baba go »obiesiu« nazywa i kijami traktuje, z pastuchami Maścibrzuchem, Nierobotem i Drzemałą, z dyabłami Kopcidymem i Klekotem; jedna to z lepszych rzeczy repertuaru żakowskiego; kończy prośbą do słuchaczów, aby »nas dobrą na ten czas kolędą uczcili«.

Najliczniejsze są tylko scenaryusze np.: Summa komikotragedyej na historyą żywota św. Stanisława patrona i t. d. przez ks. Mateusza Jagodowicza, kanonika poznańskiego Imćp. Stanisławowi Baryczce, wójtowi warszawskiemu przypisanej... na dzień święta jego w Warszawie na Nowym Mieście wystawionej r. 1633;

trzy akty z chórami i z intermedyami po każdym akcie, chociaż po ostatnim akcie intermedyów zwykle już nie dawano; treścią ich: rozmowa wieśniaka z żołdakiem o rozbicie syna; Pluto ze dwunastą swego towarzystwa wychodzi (dla słuchania liczby z obłowów na świecie — a więc naśladowanie »Sejmu piekielnego«); człowiek potępiony narzeka i t. d. Sumaryusz komedyi o założeniu akademii krakowskiej brózdził długo w literaturze, ponieważ na nim mylnie rok 1537, zamiast 1637 wystawiono. Szkolarska ta poezya, dramatyczna, jak i panegiryczna, wcześnie przekroczyła granice polskie: kolegium Mohilańskie w Kijowie przejęło je bez zastrzeżeń; Kijów drukuje panegiryki Mohiłom i Mazepom i po polsku, nietylko po cerkiewnemu; »dyalogi« wystawia ruskie wedle recepty jezuickiej, a z Kijowa powędrowały one dalej, i w dalekim Rostowie odprawiał podobne bogobojny metropolita rostowski, Dymitr, i kwitnęły na Rusi, gdy już odkwitały w Polsce, gdy rubaszność i prostotę ich »regularnymi«, klasycznymi tragedyami Konarskiego i Jezuitów zastępowano; do ostatnich ruskich należą np. »Interludia« z roku 1736 i 1737 Dowgaleskiego, gdzie się Kozak nad Lachem i Żydem (żysiu!) mści, a z Litwina śmieje, co go zagadnął:

ha! ha! kabuźnik, o pczołkach czy znajesz,
w mszaniku (ulu) jost skołko, czy whadajesz i t. d.,

żart, który jak z Hercena wiemy, w historyi statystyki rosyjskiej naprawdę się powtórzył.

Między dyalogami tymi wiele lichych, taki np. bakałarza Pawła Świętkowica, co później różnych ascetyków próbował, »Drogi Herkulesowe albo dyalog o jednym młodzieńcu, obierającym stan Żywota swego« (roku 1608), witający gości »Okazała Korono, przezacne osoby« i t. d., upraszający na końcu znowu o pieniążki na pogrzeb, bo młodzieniec ów, Myślobiecki, umarł, nim się zdecydował, za kim się udać, czy za przywrzałą swywolą, czy też za rozkoszą niebiańską. Wyróżnia się w tej literaturze »Scilurus«, bakałarza **Jana Jurkowskiego** r. 1604, nie tyle dla kreślenia trzech »stanów« (żołnierza, gacha i filozofa), ile dla znakomitych intermedyów, np. »Ktosiów« z ich szwargotem złodziejskim albo o »głupim swędrze« Orczykowskim, jego żonie »hardozbytnej

i pysznostrojnej niewieście« i o studencie-pedagogu; Orczykowski szuka za drogie pieniądze kawalkatora do koni; żona-strojnisia radzi, by koszt ten łożył na pedagoga, dla Wosia, Stasia, Zysia, Grzesia, Krzysia, Piesia, Pasia, z tych jeden będzie biskupem — z takich rojeń żartował już Rej niegdyś; więc Orczykowski, co dla koni dwieście dukatów chciał poświęcić, za kopę pedagoga najmuje, wzdrygającego się przed dworem pańskim, gdzie w większej cenie, niż uczony, »kuglarze, pasorzyty, głaszczouchy łońskie«; żąda dla siebie 20 dukatów, tracąc swą wolność, którą mu Orczykowski wszelką pozwala: wolny bór ptaków słuchać, wolno ci głodować i t. d.; za takie pieniądze będę miał konia turskiego — dwuch, mówi student, jednego kupnego, a drugiego domowego!

Najlepsza »Komedya rybałtowska nowa« (1615 r.): klecha, kantor i dzwonnik, głodem utrapieni, żebrzą u chłopa, oskubanego właśnie przez konfederatów; nadchodzi nowy konfederat i równie butnie sobie poczyna, ale dostałby »znaczną cięgę«, gdyby go ów Albertus (z Podola) nie wyratował. Obok niej staje godnie »Z Chłopa Król, komedya dworska« **Piotra Baryki,** wystawiona na dworze pańskim po koronacyi Władysława IV przed wielu gośćmi w zapusty, a r. 1637 do druku podana. Zamiast prologu występują myśliwiec z Piwowskim, dworzanie; izbę obito kobiercami, więc pyta ów, co tu będzie, a Piwowski opowiada treść, żałując, że akcya nie po plecach dworskich, dla jej wystawienia należytego trzebaby studentów krakowskich albo włoskich komedyantów — a naszy jako długo i gdzie się uczyli? niech się tylko komedya spodoba widzom,

Bo już drugi zapomniał, jak dawno był żakiem,
A drugi się urodził tak pono kozakiem;

tak to komedya i żakostwo nierozłączne były kiedyś, i w spółczesnej literaturze częste są wzmianki tego rodzaju. Baryka przerobił na komedyę pierwszą anegdotę. »Facecyi polskich«; pijanego sołtysa żołnierze, jak króla, ubierają i czczą, a gdy ponownie pijany zasnął, zdejmują zeń drogie szaty i kto na niego przedtem wotował, będzie nań teraz wo..... Znakomite tu sceny wojskowej drużyny sieradzkiej, zmęczonej po utarczkach z Gustawem Adolfem, co na wiosnę znowu »witezować« będzie, pp. Żyburowski, Kwasipiwski

i t. d., Kozak Hryczko, co piwo i wódkę w kołczan, a ten w »horło« wlewa, prezenty, jakimi »wsie wujsko kozackie« króla wita, któremu się najlepiej »kostur dubowy« podoba: dajże go peszteleńcy, pono cętnar waży. Rola sołtysa przeprowadzona znakomicie, w każdym słowie i ruchu; język pyszny. Intermedya dobrane: służalec żywot żołnierski i obyczaje maluje; w drugim Kozak Skoczylas Żydowi kij sprzedaje. Chełmińskie intermedya jezuickie »Skoczylasa« dosłownie niemal powtórzyły; dają też monolog Kuflewskiego z zacnymi *przodkami*, bo je na weselu polewką oblał, w takich dwuznacznikach wielkość rodu i majątku wysławiającego; inny dramat szkolny jezuicki całego »Z Chłopa Króla« na intermedya porozrywał. Tematy, osoby, gwary najciekawsze; gdy np. Litwina na scenę wprowadzają, każą mu rz zamiast r; k zamiast ch wymawiać, np.

ak! jak srzogim sen jakić przerzaził mię strzakiem i t. d.

Mazur przekręca słowa, przynosi »biskupa dla księdza cietrzewia« i »recki białe« (owoce kokosze); Żyd mówi stosunkowo dobrze po polsku, jeśli nie z ruska zacina; Niemiec strasznie szwargoce i t. d. I tutaj druga połowa wieku coraz mniej nowych i trafnych rzeczy przynosi, powtarza i osłabia dawniejsze, w rutynę najpodlejszą wpadając.

I wierszami miłośnymi zapełniali mieszczanie kramy księgarskie; oni to ulali ów »Dzwonek serdeczny, do którego się co żywo na głos zbiega, tak młodzieńcy, jako i panny« (1620), gdzie »Pieśń o babie i o żaku« i »Żal chłopski na złe lata«, wymowna skarga na upadek własny, a inne w ton gminny trafiają, np. Ojże, Ojże! kowalowa dziewko; ich wyrobem była »Wesoła ochota przy dobrej myśli, pieśni, tańce, padwany, balety, pieszczonej młodości gwoli« od »Celestyna Bozdarzewskiego *equitem pedestrem comitem de Kijow*«, w r. 1647 *prima aprilis*, z licznymi »taneczkami«, sztucznymi o Kloryńdzie i ludowymi, np. Tyś pan Jan, Tyś pan Jan, a ja panna Hanna, Tyś bogaty młodzieniec, ja uboga panna i t. d., lub: A gdzieżeś się: miły Maćku: zabawił i t. d., albo, Niebogoż Bietko, nie u matkić to Wygnać owieczki, a z parobeczki zawsze pożartować; niektóre z ruska: Pod lipoju stojała, Z mileńkim rozmawiała, Rusaja kosa, czernyje oczy, komu się dostać macie i t. d.;

ostatnia (Biada teraz na żaki i t. d.) z przyśpiewem »Pauperibus«, po każdej strofie wskazuje autora. Podobnych zbiorków »tańców« t. j. pieśni do nich, wydano kilkanaście, pod najrozmaitszymi tytułami.[1])

Jeden z płodniejszych pisarzów-mieszczan był Jan Dachnowski, choć się pod herb Ślepowron podszywał, pisarz olkuski, nieznużony autor »lubomiłych rymów« i pamiątek żałośnych, wdzierający się i w dzieła obce, a przy końcu życia z powodu klęski pilawieckiej »Trąbę na rozproszonych do obozu przeciw Kozakom« wydający. Lecz cech wyrabiał coraz słabsze wiersze, (np. pisarza wileńskiego St. Dyczkowskiego »Rythmo filozofia albo zwierciadło żywota ludzkiego«, r. 1639, wiersze o śmierci, sądzie, piekle i niebie i pod.) Duchowni jeszcze, wychodzący z tego stanu, najczynniejsi; są między nimi i ciekawsze osobistości, np. Lwowianie Bojmowie, obaj Jezuici, z których jeden, pierwszy i jedyny Polak, chińszczyznę znakomicie znał (misyonarz tamże) i z literatury chińskiej dzieła medyczne tłumaczył; relacye jego chińskie wychodziły w połowie wieku w różnych językach, prócz polskiego; drugi, dzielny szermierz o »starą wiarę«, walczący z Gizelem, Galatowskim i Baranowiczem. Albo Reformat Klemens Bolesławczyk, którego »Przeraźliwe echo trąby ostatecznej«, r. 1670 poraz pierwszy wydane, aż do naszych dni przedrukowują: w sześć echach, poświęconych Chrystusowi, przerabiał autor wierszem polskim i najdawniejsze średniowieczne utwory, np. Philiberta spór duszy z ciałem albo »wizyę rycerza Tundala«, Irlandczyka, »wizerunek oczywisty mąk piekielnych«, dopełniając niby luki dawnej literatury; tenże i średniowieczną Chrystyadę Hondemiusza wierszem wyłożył i skrócił. I takich pisarzów i piśmideł nie przebierało się wcale.

Ostatni, nawracający na dawne, ciekawsze tory, to Jakób Boczyłowic, w Toruniu piszący, prócz zbiorów listów i mów (Wymowny Polityk), damom i miłości hołdujący, np. w »Łowach Apollina z dziewiącią dam parnaskich na sarmackim polu« i t. d. roku 1694, gdzie »przy wytchnieniu po polowaniu« Apollo różne

[1]) W tych staropolskich »tańcach« było wiele ruskich, np. opowiada wojewoda Zawisza w swoim pamiętniku pod rokiem 1710, że miał »łebską muzykę mińską« (żydowską naturalnie), co mu *staroświeckie taneczki* rzępolita: *Albo mene barszczu dajte; Czerniec czernicu zawiow w piwnicu; Annusiu serdenko palisz moju duszu* i t. d.

tematy »damom« podaje, rozprawiającym za i przeciw, poczem sam »konkluduje«, tematy erotyczne, jak sobie damy łaski kawalerskie zaskarbiają, jak tajemnice wydają, jakich wolą kawalerów i t. d.; niektóre wcale dowcipne (np. jak z niczego coś powstaje), ale i drastycznie ułożone, z niewykwintnymi rymami, np. gdy dama hożego Polaka ujrzy, »drży serce, pała jak w płomieniach kierce«. Nakoniec pyta Apollo »dam«, jak im się Polska podobała; nie mogą się kraju pięknego i ludzi wesołych dosyć nachwalić, żałują tylko zbytku polskiego:

Już to polska moda niesie,
Prędzej wyda, niż przyniesie...
To jest polska maniera,
Wesoła i w smutku cera,
Choć szwankuje, nie frasuje...
Polskę sam Bóg w rękach trzyma;

tym hymnem na »Polską sławę, Zawsze w swej odwadze żwawą« kończy najgodniej jeszcze udział miejski w literaturze. Zresztą przeważa w nim albo ascetyka, albo panegiryzm; ten posługuje się zaś językiem łacińskim, szczególniej, jeżeli ku szlachcie się zwraca. Zszarzała się i spospolitowała ta literatura; zamilkła jej nuta osobista, wtórując temuż kierunkowi, który się w literaturze coraz bardziej panoszył, wszystko zdrowsze, uczciwsze, mędrsze zagłuszał.

To obniżenie poziomu etycznego w działaniu a intelektualnego w myśli, odbiło się najwyraźniej na literaturze politycznej. Dzieł, jakimi się wiek XVI szczycił, wielkich konstrukcyi, jak Fryca, projektów reformy, a choćby należytego skodyfikowania prawa obowiązującego, jak Taszyckiego, Przyłuskiego i innych, wiek XVII już nie przedstawiał; ale brak nawet rzeczy pomniejszych, takich jak np. Górnickiego. Kwestye rozmaite poruszały pióra, na początku wieku choć »korekta praw«, ale potym popłacała więcej »przestroga o tytułach i dygnitarstwach cudzoziemskich« (Dargodzkiego = Grodzieckiego), boć obruszała się szlachta na książęce i margrabiowskie tytuły, uwłaczające jej równości i za jednym zachodem żądała, żeby i dawne książęce tytuły litewskie zniesiono, czemu się naturalnie inni oparli (Obrona tytułów książęcych Bielejowskiego [1]). Z tej samej zazdrosnej obawy o równość wystąpiono przeciw »kawaleryi« (orderowi Niepokalanego Poczęcia, jaki Władysław IV założyć pragnął) i unicestwienie zamiaru sławiono, jakby walne zwycięstwo nad wrogiem, nagrobkami szumnymi. Sprawy bieżące więc wywoływały walkę na pióra, z czego w druku mało się co pojawiło, ale w odpisach kursowało wszystko, projekty dworskie do wojny tureckiej zachęcające, ostre ich zwalczania i t. d. — a co sprawa Lubomirskiego albo elekcyi *rege vivente* lub po Janie Kazimierzu, broszur, pamfletów, paszkwilów (prozą i wierszem) spłodziła, i wyliczyć trudno. W elekcyach brała i zagranica udział, zalecając swoich kandydatów; najciekawszą, pozornie najlogiczniej zbudowaną i niepowszednią znajomość rzeczy polskich wykazującą, sympatyczną i poważną była broszura Leibnica, pod przybranym nazwiskiem i indygenatem (Ulikowiusza), polecającego swego starego i ociężałego falcgrafa, który Polakom i *liberum veto* i nietykalność państwa jedyny zapewni. Nie Leibnic — Lubieniecki (bo tak się, mylnie zresztą, wywodził), w rumel trafił, lecz Olszowski w »Cenzurze Kandydatów« (łacińskiej, tłumaczonej zaraz na francuskie i holandzkie, wywołującej inne *Censurae*), wszystkich obcych kandydatów usunął i Piasta — piastuna przyszłego słabej Rzeczypospolitej, wskazał i wywróżył; piastun byłby Rzeczpospolitą do grobu wtrącił, gdyby szczęściem sam go pierwej nie zaległ.

Wobec gradu broszur, omawiających złość dnia, rzeczy ogólniejsze pojawiały się rzadko i śladu nie zostawiały wcale. Na początku wieku spłacił niegdyś filozof akademii, potym jej medyk, czcigodny **Sebastyan Petrycy,** dawny dług wdzięczności, tego Arystotelesa, z którego traktatów całą wiedzę polityczną wyłącznie czerpano, przyswajając nareszcie literaturze polskiej, tłumacząc po kolei jego Ekonomię, Politykę i Etykę, każdy rozdział dla »ułacwienia« resumując, argumenty pro i contra przywodząc i konkludując; opatrując nareszcie księgi pojedyńcze osobnymi przydatkami.

[1]) Niekonsekwencya ludzi XVII w. jest rażąca; obcych tytułów nie znosili, a własne im tak mało wystarczały, że, niesłychanym gdzieindziej trybem, dla synów i córek tytuły od urzędów, nigdy nie dziedziczących przecież, bez skrupułu urabiali; zastąpili więc prasłowiańskich Piotrowiców, Pawłowiców i t. d. sędzicami, stolnikowicami i starościcami! Spotykamy się z tą manią już na początku XVI wieku (chorążyc i in.).

Dzieło Petrycego pachnie średniowiecczyzną, argumentuje w sposób najnaiwniejszy (np. wielcy mężowie muzyki znać nie powinni, gdyż ani przy bogach, ani przy nich poeci muzyki i śpiewów nie wspominają nigdy, przynajmniej póki trzeźwi), narabia przeważnie starożytnością, ale w dodatkach zawiera cenne nieraz, a zawsze charakterystyczne uwagi; zbija astrologię, chociaż autor święcie wierzy, że sera z nakreślonym *prax max emax* złodziej nie przełknie nigdy; jako mieszczanin nienawidzi Żydów i żąda ich wygnania, powtarzając bajki o krwi i hostyach; ale ujmuje się rzetelnie za akademią, biada nad poniżeniem stanu uczonego w Polsce — we Francyi doktorat nadaje szlachectwo, u nas taż baba na tychże kolech; Polak we Włoszech nie doktoryzuje się, bo to dla szlachcica zbyteczne; najbardziej jednak ujmuje się za plebejuszami i za pospólstwem i tu staje się najwymowniejszym, kończy westchnieniem: »owo wszędzie biada, wszędzie niewola, wszędzie ucisk i udręczenie serca na pospólstwo nędzne«, którego przecież »więcej daleko likiem, niż szlachty«. Na swe wywody polityczne byłby chyba usłyszał, co każdy, który »rząd składny chciał podać«:

wara ty duda, mauczysz po szkolsku,
Łacinąś tylko mądry, a błazen po polsku,

gdyby go losy nie zagnały do więzienia moskiewskiego, gdzie Horacego składał i ody wenuzyńskie do smutnych czasów i okoliczności polskich naginał. Dzieła jego, począwszy od dedykacyi biskupom i wojewodom z ciekawymi szczegółami biograficznymi, pełne są trafnych uwag mimo scholastycznej obłóczki; już on żądał, aby na sejmach większością, nie jednomyślnością konkludowano, której osiągnąć niepodobna; na nią zwalał słusznie niedochodzenie sejmów, krępowanych nadto instrukcyami partykularnymi. Petrycy przedstawia wybitnie naukę i tendencyę mieszczaństwa; godnie stawali obok niego juryści, filologowie i medycy Dresner i Burski (zamojscy), Syreniusz (autor herbarza obszernego), Joanicy i Sykst (dzieło o Cieplicach w Szkle, tłumaczone i na rosyjskie!) — ale już następna generacya mieszczańska mężami podobnej nauki szczycić się nie mogła.

Trafne wywody Petrycego rozwinął i uzasadnił, jedna z największych powag szlacheckich całego wieku, uczony i wymowny,

polityk i poeta, znawca hebrajszczyzny i greki, rojalista z przekonania, **Łukasz Opaliński,** marszałek nadworny w (anonimowej naturalnie) »Rozmowie plebana z ziemianinem albo dyskursie o postanowieniu teraźniejszym Rzeczypospolitej i o sposobie zawierania sejmów« (1641), najmądrzejszym piśmie politycznym całego wieku, rozdzielonym na owe dwie części, w tytule wyrażone, żądające z naciskiem powiększenia władzy monarchicznej, »której teraz cień i godność władzy próżna«, gdyż niemożliwe, żeby państwo w tym stanie, do jakiego teraz zdąża, długo istnieć mogło, jeśli »nie cofnie się pod więtszą panów swoich władzę«, z czego wykroczyło. Krytykuje pleban wszystko, mniemaną wolność, zwłoszałą Polskę i t. d., jak niegdyś pleban Orzechowskiego i Kochanowskiego (we Wróżkach, które Opaliński znał i naśladował), ale szlachcic, i to jest smutne, o »utopiach« tych nawet słyszeć nie chce, nasza wolność nie zniesie porządku, »*ataxia*« jest jej cechą przyrodzoną; prawmi nie o tym, co być powinno, lecz co być może. Ogranicza więc pleban dyskusyę na drugi dzień do sejmu i jego obrad, których bieg świeży marszałek sejmowy najlepiej znał i oceniał; podaje bardzo trafne uwagi nawet przeciw retoryce sejmowej, trawiącej czas bezpłodnie. Władysław IV i senatorowie chwalili wielce to pismo; szlachta odpowiedziała na nie »posłem z Upity«, Sicińskim.

Sympatye szlacheckie były po innej stronie; im schlebiała np. »Perspektywa« starego Korycińskiego, próbka chyba spustoszenia i obłędu, jakie »złota wolność« w myśli polskiej stworzyła. Mimo to albo raczej właśnie dla tego odznaczał się cały wiek nadzwyczajną drażliwością na niedyskrecyę obcych, co z niewiadomości lub »zawiści« porządki polskie ganili, wierszyki np. o tym niebie szlacheckim, raju żydowskim, czyśccu panujących, piekle pospólstwa układali, gdzie to żyją bezprawnie, stroją się po anielsku, biesiadują po królewsku, mieszkają po świńsku, śpią po piesku, a giną — kiedy i jak chcą. Już Starowolski występował przeciw »obmowcom« Polski; więcej Barklaj, słynny humanista, krótką o tym wzmianką poruszył umysły, i ten sam Łukasz Opaliński na kilka jego wierszów odpowiedział całą księgą obszerną, »Obroną Polski przeciw Barklajuszowi« (po łacinie, 1648 r.), napisaną w przeddzień katastrofy, więc jeszcze dumną i niestrwożoną, odbijającą wyniośle wszelkie zaczepki obcych. Ten sam krytyk polskiego nierządu sejmowego, teraz, obrażony w godności narodowej, nicuje

nawet styl Barklaja, co już do rzeczy wcale nie należało; księga świadczyła zresztą najkorzystniej o nauce, trzeźwości i patryotyzmie autora; historyę, ekonomię, autorów starożytnych, aż do romansopisarzów francuskich *(d' Urfé)*, wszystko zna, cytuje (ze szczególną lubością Kochanowskiego i Sarbiewskiego) i krytykuje, przyczym się Francuzom, ich literaturze, ich wychowaniu szlacheckiemu, nawet bezpieczeństwu nocnemu po ulicach paryskich porządne cięgi dostają.

Mniejszą wrzawę wywołał znany statysta i profesor, stronnik szwedzki, Conring, który się na prelekcyach helmsztadzkich o celu Polski szlacheckiej *(vita luxuriosa)* uszczypliwie wyraził i ze strony ucznia - słuchacza spóźnioną ale obszerną odprawę wywołał; i ta wyszła po łacinie naturalnie, pod pseudonimem (Marinius) i traktowała szeroko o rzeczach polskich wogóle, a wywołała nową, zgryźliwą refutacyę, gdyż nadto od założenia odbiegła. I inni obcy (?) zabierali nieraz głos w sprawach polskich (Frangepani i t. d.), np. w dyskursie o nieszczęściach Polski, rozmowie między Wielowiedzkim a Prawdomowskim, tyczącej głównie rzeczy wyznaniowych (po wywołaniu Aryanów, gdy kalwini o własną skórę drżeli), i elekcyi *vivente rege*, zaprzątającej żywo umysły: obawa przed i niechęć przeciw Habsburgom jawnie w tych pismach przebija.

Mimo smutnych doświadczeń lat 1656 — 1670, chociaż głosy obcych coraz częściej i coraz nieżyczliwiej się odzywały, brnęło się dalej w nierządzie; apoteozę jego wystawiała szkolna rzecz Jezuity, z kolegium jarosławskiego, Walentyna Pęskiego z r. 1671, Palatium reginae libertatis etc., drukowana 1728 r. po łacinie i polsku, słynna »Domina Palatii« (w znacznym skróceniu), skarbnica anegdot, cytacyj, ozdób (np. od herbów), przykładów historycznych; najciekawsze tu dyskursy przyjacielskie o wolności, czy wszystkim ludom przysłużą, czy i kiedy zniszczeć musi, jakie są jej podstawy (liberum veto, ziemiaństwo i t. d.), w czym obcy ją ganią; korzysta i z Opalińskiego, którego właśnie jako autora owego Dyskursu z r. 1641 cytuje. Przyznaje, że Polska »nierządem stoi«, t. j. nie zwyczajnym u inszych narodów trybem, niby też nie po ludzku, *ale po niebiesku*; powtarza smutny argument, że Bóg czuwa osobliwie nad Polakami, żeby go »rekreowali i cieszyli«, jako błazen, od którego pan chłopców odpędza, gdy mu zbyt

dokuczają — tak i Polskę ratuje Bóg zawsze z niechybnej na pozór toni; świadomie twierdził, że wolimy wolność, choćby w błocie, niż niewolę w złocie. Traktat cały nadzwyczaj ciekawy, już choćby dla niezwykłego oczytania w rzeczach polskich (i rękopiśmiennych, np. Orzechowskiego), dla wielu bardzo charakterystycznych orzeczeń, anegdot, rysów (co np. wojewoda Kobierzycki o podwójnym gospodarstwie polsko - litewskim, o podwójnych hetmanach i t. d. zauważył).

Za obłędem »Domina Palatii« stała szlachta cała, z najpoważniejszym, najpatryotyczniejszym przedstawicielem **Andrzejem Maksymilianem Fredrą**, marszałkiem właśnie tego sejmu, który największe obawy Opalińskiego jeszcze prześcignął. Opłakiwał czyn posła z Upity marszałek sejmowy gorącymi łzami, ale od doktryn republikańskich na włos nie odstąpił, owszem, w *liberum veto*, w elekcyi *viritim* i wszystkich kwiatkach nierządu upatrywał uparcie arkana powodzenia Polski szlacheckiej — nie bez racyi, jeśli tylko o szlachecką i chwilową chodziło.

Wyrozumowana anarchia, bijąca z jego aforyzmów, jak i z dyskursów Pęskiego, ciekawa, pouczająca, nadzwyczaj smutna, chociaż zdobywa się na zdania mądre, jak np. »Kto mówi: Polska nierządem stoi, sam ma nierząd w głowie«; obok niego zaś twierdzenie: »nie poratuje Polski, tylko stary geniuszem Polak«. Fredro broni Polski przeciw uszczypkom obcym tak samo jak Pęski, a jeżeli większej sławy zażywał, to dlatego, że Pęski dyskursów nie drukował, podczas gdy przestrogi, aforyzmy, przysłowia Fredrowe kilkunastu wydań w kilku językach się doczekały. Fredro obejmował zarazem szersze widnokręgi, był mówcą politycznym — wydał też niby teoryę wymowy, głównie panegirycznej, ucząc, jak rozpychać mowy aluzyami od herbów, nazwisk, dni urodzin i t. d.; był historykiem, opisał, dosyć błaho zresztą, dzieje za Wa lezego, gdzie ekspedycya wołoska za Iwoni najwięcej miejsca zabrała; był pisarzem wojskowym, obok obersztera Przyjemskiego opisując wszystko, od hyberny i stacyi dla wojska, obioru hetmana aż do sypania szańców i musztry piechotnej, którą i pod nazwą porucznika Lipowskiego osobno wydał [1]).

[1]) I tu tylko nowy dowód niekonsekwencyi Fredrowej; skarży się na zaniedbanie polskie ćwiczenia piechotnego, a przecież twierdzi na innym miejscu: skoro kopija (husarza) zginie, zginie i polska cnota. Jeśliby nawet Fredro nie był autorem

Opaliński i Fredro nie zatapiają się wyłącznie w swojskich rzeczach, zachowują ogólno ludzkie widoki. I tak pisze Opaliński, równocześnie z »Obroną Polski«, rzecz o obowiązkach, drukuje ją jednak (roku 1649) tylko w dwudziestu egzemplarzach, i Fredro wydaje ją po jego śmierci (r. 1662) ponownie. W tych trzech księgach, o obowiązkach przeciw sobie, bliźnim i Bogu, uchylił się od starożytności pogańskiej i od scholastyki średniowiecznej, od stylu wyszukanego i od cytat, ażeby jak najprościej i najjaśniej, z Pisma św. głównie czerpiąc, o obowiązkach uczył i prawdy katolickiej przeciw wszelkim herezyom, których był wrogiem nieubłaganym, dowiódł. Gdy tak Opaliński na teologa się wykierował i rozsądkowi kościoła księgi swe polecał, przyjaciel jego młodszy do etyki i maksym się rzucił i w swoich »Przysłowiach« i in. mądrze, poważnie, uczciwie o życiu, ludziach, skłonnościach pouczał, ubierając wszystko w aforyzmy, językiem polskim bez skazy, bez makaronizmów — występując przeciw nim: »weź jeno trochę namysłu przed się, nie znający dobra twego Polaku, a poradź się z uwagą: nie tylkoć dostarczy, ale zbywać nadto będzie słów polskich i wyboru«. Niestety, nikt tego wtedy nie słuchał.

Jeszcze bardziej przypominał kosmopolitę **Stanisław Herakliusz Lubomirski,** Salomon polski, pesymizmem na wzór ów starohebrajski przesiąkły, zgorzkniały. To, co obok siebie widział, np. losy ojca - rokoszanina, o skuteczności rad ludzkich i stałości fortuny przekonywać go nie mogło; widok przejść nagłych, odstępstw, upadków wyrobił w naturze kontemplacyjnej, melancholijnej — Śrzeniawici do łez skłonni zawsze, ową filozofię niby stoicką, niby chrześcijańską, o marności świata, rad ludzkich, o marności nad marnościami; przeciw zupełnemu zwątpieniu, o nieśmiertelności duszy np., które go kiedyś trapiło, ustrzegły go głębokie religijne uczucia, od jezuickiej Brunsbergi wpojone. Wielki marszałek koronny, młodzieńcem jeszcze, z drukowaniem maksym (»Przysłowiów moralnych«, bo od przysłowiów je zaczyna), się śpieszył, dojrzalsze rzeczy za to taił, aż przyjaciele na nim wydanie »Rozmów Arta-

»Piechotnego Ćwiczenia«, toć Lipowski wszystko na jego dworze zaczerpnął. Pan kasztelan używał następnej terminologii: pułkownik, pułkowniczy, strażnik (major) i t. d.; w piechocie i szarże i komenda były niemieckie, na co mocno sarkano, ale, jak ze wszystkim, tak i z tym się godzono.

ksesa i Ewandra« wymusili, polskich, pod wschodnimi nazwami, wedle mody ówczesnej, dworzan czy senatorów w przedpokojach lub ogrodzie zamkowym warszawskim dyskutujących, jeśli dyskusyami monologi ich nazywać wolno, — o wszystkim, o literaturze i stylu, z bardzo ciekawymi uwagami, nawet o »romaniach« (romansach) francuskich; o przymierzach i wojnie; o duszy i mikrokosmie, w języku wzorowej czystości, fredrowskim, ale płynniejszym, gibszym. Uwag złotych tam wiele, choćby taka: »nie dosyć to i miłować autorów, lepiej być samemu autorem, a starsi kogo naśladowali?... Tacit z nikogo tekstów nie cytował, a przecię my go cytujemy« i t. p.; imponuje nadzwyczajne oczytanie, literaturę włoską i francuską, łacińską i polską, Montaigne'a i Bakona zna i cytuje, a przytym nietylko w alchemię, której literatury znakomicie świadom, ale i w gorsze gusła ślepo wierzy. Uwagi polityczne trafne; co o »suspicyi«, o »kreaturach albo nieuważnych promocyach« powie, zdradza magnata, w znakomitość »rodu« jedynie wierzącego. Najbardziej rozeszło się w licznych wydaniach i tłumaczeniach pisemko o próżności rad, gdzie każdej domniemane korzyści i szkodliwe następstwa widoczne nawzajem się znoszą, tak, że wynika chyba rozpaczliwa nauka apatyi politycznej, u Polaka z czasów Sobieskiego aż nadto zrozumiała.

Obok Opalińskiego i Fredry, Lubomirskiego i Kazimierza Zawadzkiego [1]) popłacały rzeczy popularne, choćby taka »Recepta na to, abyśmy się długo w ojczystej ziemi osiedzieli« (r. 1682, tłumaczona na niemieckie), przeciw niebezpieczeństwu tureckiemu na gwałt dzwoniąca i wprowadzająca ojczyznę z siarczystą przemową do synów-wyrodków, wyliczającą ich występki, brak miłości ojczyzny; nieznoszenie prawdy; zbytki; ucisk chłopski i t. d. Albo uprawiano abstrakcye, np. mieszczanie, taki Siemek, Lemka lub Petrycy (syn), jakby mszcząc usunięcia plebejuszów od rzeczy państwowych, wykładali tajemnice rządzenia (w dyalogu między Augustem a Lakonem) albo obowiązki »dobrego obywatela«, albo

[1]) Tegoż dzieło (łacińskie) p. t. Zwierciadło anomalii państwa Sarmackiego, zawiera trafne uwagi np. o wszechwładzy hetmańskiej i zrywaniu sejmów; zwrócone przeciw magnatom i miastom pruskim, przeciw dysydentom, przeciw królom, że granic i lenników nie pilnowali, drżące o złotą wolność — dlatego i dla srogiej nietolerancyi jeszcze w wieku XVIII Jezuici je przedrukowali.

edukacyę synów książęcych; zresztą tłumaczono, przedewszystkim Justa Lipsyusza, zażywającego w wieku XVII sławy, jaka w poprzednim Roterdamczykowi przypadła; niewszystkie z tych przekładów były drukowane; najobszerniejszy i najgładszy pozostał w rękopisie. Oprócz niego tłumaczono dalej Włochów i Hiszpanów; szlachcic znał ogółem tylko i zastosowywał dwa pisemka, »Rady Kalimachowe« i »Rokosz Gliniański«; wyjątkowo doczekała się Lipsyuszowa »Politica pańskie t. j. nauka, jako pan i każdy przełożony rządnie żyć i sprawować się ma«, powtórnego wydania; inne, już nie pragmatyczne, raczej ascetyczne pismo, Willegasa »Polityka Boża, rządy Chrystusowe«, zwierciadło ewangeliczne dla króla, ciekawe choć tym, że je z hiszpańskiego Hiszpan (Janusz Iberski z Andaluzyej) na polskie wyłożył.

Oprócz ogólnych, traktowano kwestye szczegółowe, indygenatu pruskiego, ekonomiczne, cłowe (Cikowski), mennicze, nietylko prozą, ale i wierszami, np. »Suplikacya do Zygmunta III od pospolitego człowieka dla ortów uciśnionego«, gdzie przyczyną tego ucisku wytknięci »hawrusowie«, nasze »kruki chowane, które panu oczy wydłubią«, t. j. Żydzi, przeciw którym w pierwszej połowie wieku obfita literatura antysemicka prozą i wierszem, rzadziej od szlachty, głównie od mieszczan, na ruinę wystawionych, wychodziła. Impuls dał jej ks. Mojecki (r. 1602), przywłaszczywszy sobie i przetłumaczywszy pisma wojskiego sandomierskiego, Hieronima Balińskiego, szlachcica zadomowiałego, gorliwego katolika, niegdyś protestanta, zwalczającego »samoszatańską« (aryańską) wiarę, i Hubickiego.

Najobszerniej wystąpił ks. Sebastyan Miczyński w »Zwierciadle korony polskiej urazy ciężkie i utrapienia wielkie, które ponosi od Żydów, wyrażającym« (1618); najdrastyczniej i najczęściej pisywał wierszokleta Jan Achacy Kmita, w Talmudzie, Procesie bocheńskim, Sendschreiben i t. d., plotki i prawdę, baśni i anegdoty mieszając; poezyi tam nie było, za to dla historyi Żydów polskich są rysy niezmiernie ciekawe, dla szybkiego ich rozrostu i wpływu; jakto już r. 1618, nie dopiero 1818, normą było: u Żyda najlepiej kupisz, najlepiej sprzedasz, bez niego się nie obejdziesz. Organizacya ich dopełniła się tymczasem w Polsce rządem czterech miast, i pierwsza połowa wieku widziała ich u szczytu zamożności. I tu nastąpił jednak rychły upadek: ruch chłopsko-kozacki zwracał

się przeciw Żydom, zniszczył ich na Rusi i wypychał gromady zubożałe na Polskę i Litwę, obniżając tylko kulturę i sposób życia współwyznawców, tak że już Pęski szydził z tego niby raju polskiego dla Żydów: uciekałbym z takiego raju, gdzie zawsze Żyd »aż po szyję błotem się zaszarga a parchem śmierdzi na ćwierć mile, lada klechom kozubały daje a od samych łokietnych dzieci prześladowania znosi«, ale i on przyznaje głębokie wkorzenienie się ich w Polskę, z którejby ich chyba archanioł z mieczem ognistym wygnać potrafił. Z całej spuścizny »poetyckiej« Kmity tylko antysemicka przetrwała wiek XVII-ty.

Nawet takich dzieł, jak literatura polityczna, nie przedstawia historyczna, ponieważ się niemal wyłącznie łaciną posługuje; w obcej szacie, w imponujących powagą składkach togi klasycznej, ginie, co charakterystyczne dla Polski XVII wieku. Jeszcze początek wieku zdawał się wprawdzie na lepsze tory nawracać, gdy pojawiały się, acz bardzo spóźnione, przekłady polskie foliantów Kromera (Błażowskiego) i Gwagnina (Paszkowskiego); lecz niebawem łacina rozpanoszyła się wyłącznie, w obszernych i krótkich, świeżych i dawnych dziejach; jeżeli się co na polskie tłumaczyło, to pozostawało w rękopisach. Z dzieł ogólniejszych tylko Jezuity Botera, Włocha, »Relacye powszechne abo Nowiny pospolite« w przekładzie Bernardyna Lenczycyusa światło ujrzały: tłumacz polenił się jednak, choćby ustęp Botera o Polsce odmienić czy uzupełnić; zresztą bez niewoli moskiewskiej i do tego dzieła nie byłby się zabrał.

Był jednak jeszcze interes dla historyi i obcokrajowej; podejmowano przekłady, dowodzące stanowiska europejskiego umysłowości polskiej, z którym np. czeska na półtora wieku stanowczy rozbrat wzięła. I tak było znakomite dzieło Jezuity Strady o wojnie belgijskiej (tłumaczone na włoskie, francuskie, hiszpańskie i t. d.), wcale jeszcze świeże, gdy i Polak je wytłumaczył, w rękopisie (z r. 1652) widzieliśmy jednak tylko pierwszą jego dekadę: wobec sympatyi hiszpańskich Jezuity tłumaczył to chyba katolik. Były dzieła o historyi szwedzkiej — pociągającej choćby dla dynastyi, a niebawem i wojen. W innych przeważał ferwor antymohamedański, i tak doczekały się tłumaczeń historya zakonu maltańskiego (Włocha Bosyusza, w r. 1623) i historya wojen krzyżowych, średniowieczna jeszcze, ale również znakomita, 23 ksiąg Wilhelma,

arcybiskupa tyrskiego wraz z ich kontynuacyą (Helmoda). Tłumaczem ostatniego dzieła był Zygmunt Stefan Koniecpolski, sędzia sieradzki, r. 1652, który rok przedtym obszerny rodowód swej familii również po polsku wnukom wypisał, nie dla chwały rodziny, lecz »aby wiedzieli o związkach pokrewnych, a w nich raz będąc, onych nie powtarzali«, gdyż niema nad nimi błogosławieństwa boskiego, »skąd i rozumny gospodarz konia stada swego ze stadem swoim nie łączy, mając w tym *experientiam*, że się to nie nadawa«.

I mieszczanie nie zalegli pola całkowicie, ale tylko Lwów doczekał się w Zimorowicu sumiennego i gorliwego badacza swych dziejów; Warszawa, zbyt młoda, żyła teraźniejszością i nęciła do opisywania swoich dworów i pałaców, królewskich i pańskich (wierszami Jarzemskiego); Kraków kościoły i relikwie opisywał (Przewodnik czyli Kościołów krakowskich opisanie z roku 1603, rozszerzone w »Klejnotach stołecznego miasta Krakowa«, właściwie Cezarego, niby to pedla akademickiego, Pruszcza) albo na kronikę zboru protestanckiego (Węgierskiego, wydaną z rękopisu dopiero przez Bandtkiego) się zdobył. Ale mieszczanin i profesor, ów Petrycy, ufundował roku 1621 osobną posadę historyografa akademickiego, który roczne dzieje, własne i obce, miał spisywać i akademii przekładać. Fundacya weszła w życie i przez cały wiek XVII, acz ze znacznymi przerwami, przetrwała; najpierw syn fundatora, również medyk krakowski, Innocenty Petrycy, dzieje roku 1620 i 1621 drukiem ogłosił; reszta prac w rękopisach zaległa, owego panegirysty słynnego, Bieżanowskiego, z lat 1666—1688, a przed nim roczniki Stanisława Temberskiego, z lat 1647—1656. Temberski, chociaż szlachcic pochodzeniem, tak się zżył z Krakowem i akademią, że za rzecznika mieszczaństwa krakowskiego i jego zapatrywań i biadań na szlachtę i nierząd uchodzić może; w roczniki swoje wciąga surowy materyał, listy, akty, a choćby paszkwile polskie (na poborcę i zdziercę, Chrząstowskiego) i łacińskie, na akademię i t. d., lecz o wyższy stopień kunsztu dziejopisarskiego wcale się nie pokusił.

Wiek XVII wydał ogółem licznych historyków, lecz znakomitszego między nimi niema. Zaczął pracę historyczną wprawdzie od ważnego zadania: jedyną trwałą, znakomitą zasługą warchoła szlacheckiego, Herburta, było spłacenie długu narodowego wobec

dawnych dziejopisarzów, wydawaniem ich dzieł, w Dobromilu, Orzechowskiego, Kadłubka, Długosza; lecz Długosza musiał przerwać na pierwszym tomie; nietolerancya i wrażliwość szlachecka zaprotestowała przeciw dalszemu ciągowi, odsłaniającemu niby tajemnice polskie zagranicy (głupszej wymówki nie można było wynaleźć), i znowu skazany został gorący miłośnik ojczyzny na wiekowe milczenie, które dopiero konsyliar zrosyjski (Huyssen) przerwał; z dzieł Długoszowych pojawiły się w druku tylko żywoty biskupie (poznańskie i płockie) i legendy, w oryginale i tłumaczeniach (św. Kinga Mojeckiego, św. Stanisław Wilkowieckiego, jeszcze w wieku XVI). Ta nietolerancya odbijała się tym bardziej na historykach spółczesnych, nawet na Piaseckim i Łubieńskim, acz biskupach, traktujących dzieje Zygmuntowe: że Piasecki śmiał Boboli i Jezuitów dotknąć, że Łubieński bąknął prawdę o rokoszu i Guzowie, wywoływało to protesty, paszkwile (jezuickie na Piaseckiego, któremu zaraz od matki i rodu łajano, ale w obronie jego powstawali inni — po rękopisach ówczesnych), utyskiwania; tylko puste i panegiryczne dzieła, jak Kobierzyckiego Władysław IV i t. p. uchodziły burzy. Brakom nie zaradziło naturalnie i owo ustanowienie historyografa uniwersyteckiego, którego praca pozostawała w rękopisie, jak i Radymińskiego zbiory pożyteczne dla dziejów uniwersyteckich przez całe dwa wieki, jak dzieje domów jezuickich, prowadzonych rocznie, z których dziś ocalały dyaryusz ks. Wielewickiego, bardzo obfity, domu św. Barbary, krakowskiego, i mniej obfity poznański.

Dzieła te mieszczą nieraz bardzo cenne szczegóły, szczególniej Wielewickiego (np. o Samozwańcu i jego roli w Krakowie), lecz przeważają w nich sprawy dla nas drobne, zatargi akademii z biskupem, Jezuitów z akademią i t. p., wyłożone nadto obszernie; rzeczy obce traktowane pobieżnie; język obcy zaciera cechy polskie; sąd bywa stronniczy, *pro domo;* samodzielny znajdziemy w gorzkich uwagach i przytykach Temberskiego.

Wobec milczenia źródeł domowych nabierały i obce znaczenia, np. takiego Francuza Bizardière z historyami sejmów elekcyjnych (tłumaczonymi na angielskie, niemieckie, holandzkie), przed nim Pastorius, Wassenberg, Rudawski (Polak, przenoszący się do służby cesarskiej, wydany zresztą dopiero roku 1755) i inni. Z domowych, prócz Sobieskiego, Kobierzyckiego, Kuszewicza

i innych drobniejszych jeszcze, najobszerniej i najsumienniej wywiązał się z zadania, historyograf Sobieskiego, poeta dawniej, Wespazyan Kochowski, który w czterech »klimakterykach« (peryodach siedmioletnich) dzieje Polski od śmierci Władysława IV wyłożył; z nich jednak tylko trzy za życia autora wyszły (1683—1698); korzystał z aktów urzędowych i listów prywatnych, z relacyi pisanych i ustnych, przedmiotowo, spokojnie, obszernie, pragmatycznie; wadą jego styl i język, oba łacińskie, przyćmiewające zupełnie kontrasty, cechy, blaski zawieruchy polskiej, za Kozaków, Szwedów i Michała, a inna wada, zbytnie uwielbianie, szowinistyczne niemal, wszystkiego, co polskie. W każdym razie było to ostatnie większe dzieło historyografii polskiej, aż do Naruszewicza; Zawadzkiego bowiem »Historia arcana« (czasów Michała) tytułem swym łudzi, odsłonięcie tajemnic zapowiadając, czego w dziele samym niema. Również nie wnikają głęboko pierwsze polskie »Rozmowy Umarłych«, forma wtedy w Europie nadzwyczaj lubiona i nadużywana, w której z pól Elizejskich niby miano odsłaniać właściwy sens i cel zdarzeń i kroków dziejowych; pierwsze polskie, między Wiszniowieckim (Jeremim) a Sobieskim, między Wydżgą a Radziejowskim, zawierają kilka ciekawych a choćby skandalicznych szczegółów, głębiej jednak nie sięgają, chociaż autor (Jabłonowski) mógł niejedno wiedzieć.

Najwybitniejszym polihistorem wieku był **Szymon Starowolski,** przypominający uprawą wierszów i prozy, teologii i historyi Warszewickiego XVI wieku, niższy od niego co do formy, stylu, talentu, przewyższający go wiedzą i pracą, powagą i charakterem. Bakałarzował w uniwersytecie i po dworach magnackich; bywał sekretarzem, jeździł po świecie i dopiero w późnych latach wstąpił do stanu duchownego; w domu i obozie, w kraju i za granicą pracował najwytrwalej na najrozmaitszych polach, zawsze służąc miłej ojczyźnie: w dziełach, po łacinie spisywanych, jej dzieje i chwały światu wystawiając; po polsku strofując braki, budując umysły; czynny i ruchliwy wszędzie. Nie powiodło mu się tylko za pierwszym występem, gdyż dzieło o Zygmuncie Starym natrafiło na przeszkody nieprzewidziane, na ową podejrzliwość i zazdrość, o którą i Długosz się spółcześnie rozbił; odtąd rzucił Starowolski historyę, chociaż o jej pożytku i metodzie osobną książeczkę, pierwszą jej metodologię, wydał, i pracował tylko na polu biografii, statystyki (opracowując dla Elzewirów »Polonię«) i innych nauk pomocniczych. On to przedstawił światu sławnych mówców i hetmanów polskich w szeregu krótkich wizerunków, nie bez ogólnikowych pochwał i porównań ze starożytnymi; on wyliczył kilkuset literatów polskich, głównie niemal prozaików tylko, i to przeważnie z dzielnicy małopolskiej i ruskiej; i tutaj narabiał nieraz ogólnikami i pochwałami zbytnimi, mimo to stworzył pierwszą rzecz na nieco większą skalę o literaturze i literatach i, chociaż np. o Reju nie wspomniał i żadnego porządku nie zachował, ocalił niejedno i niejednego od zupełnego zapomnienia. Również przysłużył się zbieraniem nagrobków i t. d. — to wszystko, jak i rzeczy kanoniczne i inne, po łacinie, dla Europy. Za jego przykładem P. Potocki, długoletni więzień moskiewski, setkę sławnych Polaków w drugiej połowie wieku po łacinie opisał (Centuriae etc.).

Dla ziomków opisywał i Dwór cesarza tureckiego, co potym na rosyjskie tłumaczono, wedle źródeł obcych, wcale zajmująco i pouczająco. Jego nie tylko zajmuje kwestya wschodnia, piekąca, groźna, tatarska i turecka; bardziej materyalne zatargi szlachty z duchowieństwem; najwięcej stan, a raczej upadek moralny kraju; pióro jego zdobyło się na kilkadziesiąt broszur, wpajających to samo na coraz inny ład, bezimiennych lub literami S. S. znaczonych, wierszem i prozą, suchych i wymownych, satyrycznych i poważnych. Już w roku 1618 wystąpił z »Pobudką albo Radą na zniesienie Tatarów perekopskich«, a w r. 1633 z »Dyskursem o wojnie tureckiej«: projekt systemu obronnego, linii fortyfikacyjnej przeciw Tatarom, za którą linia kolonizacyjna zdążać miała, był bardzo wykonalny (tak Moskwa działała), projekt ligi europejskiej (i po łacinie dla Europy formułowany) należał za to do mżonek; do pytań tych wracał i w innych pismach polskich. Pomijamy ascetyczne, dosyć abstrakcyjne, najobszerniejsze ze wszystkiego, co pisywał, zbiory homiletyczne, kazań, mianowicie i Maryjnych, nie wyróżniające się zbyt od powodzi ówczesnych, mniej jednak płaskie, mniej drastyczne, a zatym i mniej zajmujące, niż np. ks. Liberyusza i innych. Co kaznodzieja pomijał, tego dotykał tym ostrzej i częściej satyryk-moralista, od — niestety — wierszowanego »*Votum* o naprawie Rzeczypospolitej« (r. 1625) aż do Robaka sumienia złego człowieka i t. d.

W *Votum* najkrócej rzecz przedstawił, wyliczając materye

status i projekty reformy; w »Reformacyi obyczajów«, »Robaku« i t. d. obszernie nad zepsuciem obyczajowym, nad uciskiem chłopów i mieszczan, nad zbytkiem i swawolą biadał, w prozie prawiąc, co Krzysztof Opaliński w wierszu wyrażał i, jeżeli Opalińskiego o przesadę, o zbyt posępny koloryt, o nadmierne uogólniane trafów i przypadków oskarżano, tożby i Starowolskiemu zarzucać należało, kreślącemu obrazy nie jaśniejsze, dającemu szczegóły przerażające, jakich i u Opalińskiego niema. W obu późniejszych pismach, w Reformacyi i Robaku (wydanym roku 1853 pod tytułem Wady staropolskie), przeważa jednak już duchowny — kaznodzieja i, chociaż materye polityczne porusza, powołując się nawet na *Votum*, narabia alegorycznym wykładem emblematów, cytacyami ze starożytności, jej anegdotami i maksymami. Obok tych większych obrazów zepsucia, niewdzięczności synowskiej, zdzierstwa »szarpackiego« (umyślnie zamiast »sarmackiego«), swejwoli żołnierskiej zwalczał szczegóły; w »Prawym Rycerzu« pouczał o obowiązkach żołnierskich (wedle słów św. Jana); głównie wojował o »stacye«, o zaprowiantowywanie się żołnierzy w dobrach duchownych i królewskich — szlacheckie były od »stacyi« wolne — wybierających bez miłosierdzia co się im podobało, grasujących gorzej, niż nieprzyjaciele. »Zguba ojczyzny stacya«, podobne broszury powtarzał ciągle, głosem wołającego na puszczy, a zaczął je dyalogiem dramatycznym między księdzem a żołnierzem, który owego bez ceremonii nachodzi i łupi (O stacyej, żołnierz z teologiem, roku 1624): żołnierz, służywszy na sześć koni, wraca »na chromej parepie«, więc powetuje sobie na księży:

Jam potrzebny, a księża nad potrzebę mają,
A przytem do herezyjej duże się skłaniają,
Bo heretyckich książąt na srebrze wybite
Obrazy zachowują w szkatułach pokryte;

ksiądz nie chce mu dać, chyba *pauperibus*, chyba gdy klechą posłuży i przypomina sobie żołnierz, kiedy zamiast akwawity dzwony doił,

Kiedyś to, kiedyś w głowie było: *smigma* mydło,
Abaguder głąb dębów, *gilgil* motowidło i t. d.,

wyrzeka się tego, wyprawia raczej koncert o kozaczeńku:

Hojże bre bre tałała, drysz brysz bryzelia i t. d.,

a gdy ksiądz mu piekłem grozi:

Co księże? już ośm lat jak piekło zgorzało,
Dyabli boją się Boga, iż piekło spalili,
Wszyscy się na wędzónce jednej obiesili...
Także kozackie dusze z piekła spalonego
Zniosły przednią gorzałkę do kraju ruskiego i t. d.,

dysputacya kończy się nijako, ale autor przestrzega przed przekleństwem, jakie na dom cnych przodków żołnierze zaciągają. Równocześnie uderzył Starowolski w drugą słabą stronę, na prywatę, w wierszu »Prywat Polską kieruje, po nim stateczny sługa Rzeczypospolitej następuje« roku 1624; powtórzył to samo, rozszerzając o Pilawce i nowe skargi, r. 1649, jak wtedy »Bicz Boży« Twardowskiego i »Lecha« Jurkowskiego na nowo wydawano. Bardzo tu ostro określono prywata, co sam mięso jada, o ojczyznę »rad częstuje gnatem«, co sejm rozerwie, że i Salomon go nie skleci, a podłą robotę »zasłoniam potrząsając gębato prawy i wolnością«; moi zaufani śmieją się do zdechu, że prosta brać we mnie prawdziwego obrońcę wolności widzi« — takie to rzeczy już r. 1624 pisano! Wziąwszy więc »prywata« z Reja, zamiast »statecznego sługi« wprowadził piękny wiersz Kochanowskiego, którego nad wszystko umiłował, jak i Łukasz Opaliński i co wtedy mądrego było.

Polihistorów liczył wiek XVII w Europie mnóstwo, lecz od zachodnich odznaczał się polski głębokim poczuciem obywatelskim, co mu nigdy w antykwarstwie samym zagrząść, zapomnieć o braci i jej potrzebach nie dozwoliło.

Starowolski nie jest jedynym satyrykiem-moralistą; nawet w obie jego satyry prozą, w »Reformę« i »Robaka«, wpłynęły pisma innych, powstałe na początku stulecia, może Januszowskiego (rękopis z roku 1603, wydany przez Bielowskiego pod tytułem: »Paradoksa koronne publice i privatim potrzebne«), potym rozszerzone i bezimiennie nieraz od roku 1625 wydawane (»Poprawa niektórych obyczajów polskich potocznych« i t. d.); nastaje głównie na wady szlacheckie i żołnierskie, na niezbożne konfederacye, na zbytki przy stołach, nadmierne pijaństwo i t. d.

Satyra w prozie mniej jednak popłacała; od Kochanowskiego

nauczono się dla niej wierszów; z prozaicznych wypadłoby wymienić, prócz np. alegoryi »Koło ptastwa powietrznego« (drukowanej jeszcze i w XVIII wieku, gdzie polską elekcyę, z marszałkami, z niepozwalam i t. d. przeniesiono w państwo ptasze), jeszcze Falibogowskiego »Dyskurs marnotractwa i zbytku Korony Polskiej«, zamiast wierszów pobożnych, które »zabywając strachu i nędze« pisał w więzieniu moskiewskim, za Dymitra, »kiedy weseleć było jako tako, ale przenosiny w długą były poszły«. Rozmowa to między Włochem lekarzem a autorem, pełna najciekawszych szczegółów obyczajowych, dykteryjek uciesznych, rysów trafnych: od wtargnięcia Maksymilianowego, kiedy to nikt nie słuchał, wszyscy dufali, »aż nie długo naszy ku Pradze wyłażą, oskubując się, by wróble z ciernia«, do historyjek również z ziemi krakowskiej, jak to ojciec z synkiem »jęli się za boże poszycia (włosy), zdużał młodszy starszego i gdy go przez próg przeciągać miał, usłyszał: stój zdrajca, pótym ja swego ojca wodził« i do historyi o Mazurze i naszej »Werszewce«; z bardzo wymownymi skargami na to »lej, rozlej aż wioski lecą«; na tych utracyuszów, u których buczno było, aż się prędko »wypierzył, aryańską (dla ich szarej prostoty) przyjął«.

I jeszcze wymowniejsze skargi na Tatarów, na brak gotowości wojennej, na ich bezkarne plądrowanie, jak to jeden carzyk tatarski miewa dwieściekilkadziesiąt szlachty u siebie w niewoli, nie licząc kobiet i dzieci; na nędzne wychowanie, na upadek akademii, gdzie dzieci oddają »bławatno, pierno, kowano, szabeltaszno jako na zaloty«, mistrzów chudzineczek nikt nie poważa — i napróżno przestrzega kaznodzieja tumowy, ojciec Dominikan Bartłomiej: ba nietylkoć my wołamy ale i nasz Zygmunt brzmi, wszędy błędy, wszędy błędy.

Poważną literaturę polityczną i historyczną, a choćby satyryczną, przygłuszała panegiryczna, głównie herbowa. Im więcej się od trybu i zasług przodków oddalano, im mniej dbano o własne obowiązki i spełnianie długu, im rzadziej odnawiano dawne wawrzyny własnym trudem, tym wyżej ceniono klejnot szlachecki, herb i koligacye. Cenił je już wiek XVI, wierszami na herb zaczynał każdą dedykacyę, ale ustąpił daleko siedemnastemu. Rej, nawet Paprocki, malowali herby, ale prawili wyłącznie lub głównie o ludziach; wiek XVII rozkoszował się w samych herbach. Więc

pojawiały się ich zbiorki (Jagodyńskiego, Giermana, Górczyna, Grodzieńskiego i innych); więc szerzyły się po szumnych a próżnych, zawsze dziwacznych a niesmacznych tytułach, czego wiek XVI jeszcze nie znał wcale, w czym XVII i czasy Saskie tak się lubowały. Barok polski przemawia do nas wymownie z owych nieskończonych tytułów — czem podlejsza praca, tym szerszym buńdziuczy się napisem: Srebrne złotej Nałęczy zadziergnienie... dobrze i szczęśliwie rozdziergnione i zerwane (1657), Złote runo przyjaznych chęci i t. d. przez fortunną po herbownej Śreniawie Jazona polskiego nawigacyą w rodowitej bramie pod czułą Grzymały strażą znalezione i t. d. (1737), Pałac nieśmiertelnej sławy, a raczej świątnica honorów trzema trąbami prześwietnego herbu Jordanów głośna i ozdobna i t. d. (1745) i niezliczone inne polskie, a takie same łacińskie: *Pegasus Wielopolscianus ad gentilitia Komoroviorum flumina decurrens* (1655), *Sidus aureum in triumphali Cynthiae sinu fulgentissimis Sieniavianae gloriae radiis coruscans* (1683) i t. d. Poświęcali więc obszerne dzieła heraldyce, łacińskie, Okolski Koronie, Kojałowicz Litwie; około herbów toczyły się wiersze łacińskie Jezuity Ineza (Stemmata) i polskie Potockiego w foliancie »Pocztu herbów« i w »Odjemku«, gdzie samymi nieskromnymi aluzyami do herbów poeta narabiał; znajdzie się ich wywody w księgach, niczym zresztą tego niewskazujących, np. w »Demokrycie Śmiesznym« ks. Kuligowskiego (1699) na stu stronicach herby, od Abdanku do Zenowicza, wyliczono i opisano ich dzieje czy początki; tu przeważał jednak zamiar pedagogiczny, aby młodzieży wzory cnót i zasług przypomnieć, i moralizująco-satyryczny, aby szlachcie-żołnierzom ich zdzierstwa i opresye wytykać, obcokrajowcom nałajać, tym szewcom i krawcom niemieckim i francuskim, u nas plądrującym — bodaj ich z naszej krainy wygnano; do wojny »zgodniejszy« Sarmata - szlachcic, nie chłop, bo »który z Chama,

> Ten nie folguje i krwi szlacheckiej, bo żywy
> Póki świat, chłop nie będzie szlachetnym życzliwy«.

Przeważały jednak w tej literaturze same chwalby; przyczyniał się jej panegiryzm tylko do uśpienia sumień i ogłupienia głów, profanując owe mistyczne niemal znaczenie klejnotu i szlachectwa, jakie jeszcze Rej żywo odczuwał.

I na innych polach prozy ustępował wiek siedemnasty szesnastemu, nawet i w listowaniu, już choćby dla rugowania i z listów polszczyzny przez łacinę; ślady ówczesnego jej rozpanoszenia i do dziś przecież nie zatarły się w języku, obfitującym nad wszystkie słowiańskie, a nawet i nad niemiecki w latynizmy. Korespondencyi zresztą tak ciekawej, jaką była Radziwiłowska, Sapieżyńska, Zamoyska dawniej, wiek XVII już nie pozostawił, chyba listy w. koniuszego koronnego, Zbaraskiego, odznaczały się stylem i dowcipem; inne sławne listy, niezmiernie po rękopisach częste, trącą raczej pamfletami, niż korespondencyą, np. listy Jazłowieckiego i Dyabła Stadnickiego: ów zaczyna »Niecnotliwy człowiecze, łańcucki krzywoprzysiężco, zdrajco pana swego«, ten odpowiada na »niecnotliwe, zdradzieckie, lżywe, ku....., chłopskie« i t. d.; niemal również ostre listy mieniali kasztelan krakowski Warszycki i prymas Prażmowski, tenże Prażmowski i Kochanowski, z najwszeteczniejszymi obelgami wzajemnymi; humorystyczne listy kasztelana rawskiego, Mazura Wołuckiego, pytającego np. »cemus by tes (slachta) przy Królu IM. pieconecki z cebulą, wędzonecki z cosnyckiem pozywać nie mieli«, przepędzając »onego sk.....a Sfedzika« (Gustawa Adolfa), podobały się również powszechnie.

Góruje za to wiek XVII nad poprzedzającym pamiętnikami, wprowadzającymi lepiej, niż wszelkie listy i mowy, w ducha i szczegóły epoki. Wiek XVII jest wiekiem pamiętników. I nie dziw, że się w uczestnikach szalonych tryumfów i strasznych upadków myśl rodziła zapisywania tego, co widzieli lub w czym udział brali. Wiek XVI upływał w pokoju, i największe namiętności religijne nie wybuchały żadnym płomieniem na zewnątrz, ciszę przerywały na krótko czy elekcye czy wojny Batorowe; teraz, u samego progu stulecia, sam udział w cudownej i tajemniczej sprawie Samozwańców rozruszał umysły i pióra. A był to tylko godny wstęp, przygrywka tego, co całe stulecie przynosić miało. Wojny domowe i moskiewskie, tureckie i tatarskie, kozackie i szwedzkie; Kłuszyno i oblężenie w Kremlu, Cecora i Chocim, Pilawce i Beresteczko, Częstochowa i Warszawa, Kamieniec i znowu Chocim, Wiedeń i Parkany, a choćby Guzów i Mątwy: same katastrofy i tryumfy, w jakich Polska od Grunwaldu i Warneńskiej nie bywała.

Pamiętnikarstwo polskie urodziło się 26 maja roku 1606, w krwawe gody moskiewskie, paryskim równe. Jak wtedy witano

te gody, zapewniające pokój, uchylające nazawsze bratobójcze walki, ani przeczuwając, co za straszna rzeź gody te zakończy i hasło do nowych, nieskończonych walk poda, tak samo miały gody moskiewskie stanąć zakładem wiecznego pokoju między dwoma wielkimi narodami słowiańskimi, brzasku nowej ery słowiańskiej, groźnej dla całego mahometaństwa, rozstrzygającej w Europie, i doczekano się tylko rozognienia i rozjątrzenia zawiści plemiennej do rozmiarów niebywałych. Niedarmoż winowajczyni Maryną się zwała — nazwisko fatalne, protestanci pierwsi córkom nadawać poczęli, chcąc dowieść, że Marya »taki człowiek, jak i ja«, choć już w drugiej połowie XVI wieku śpiewano, że, co Maryę pojmie, »rzadki, co go nie zabiją«. Przepowiednia sprawdziła się i tym razem, tylko nie skończyło się na Dymitrze.

Tajemnicze zjawienie się »hospodarczyka« w Krakowie, dokładnie przez Jezuitów i nuncyusza, pierwsze ofiary mistyfikacyi, opisane; pierwsze jego kroki, protegowane przez panów polskich, Mniszków i Wiśniowieckich, powodzenia, śluby krakowskie, witane wesołym okrzykiem Grochowskiego na zjednoczenie narodów, krwawy ich epilog, kilkuletnie więzienie i wczas wymuszony uczestników obchodu weselnego, odbiły się w literaturze pamiętnikowej, posługującej się przeważnie językiem polskim, spisywanej jednak dla niewielu, dla rodziny, i dopiero po wiekach całych ogłaszanej drukiem.

Na czele jej stoi »Pamiętnik« **Stanisława Niemojewskiego,** co w tragedyę wlazł, jak Piłat w Credo; wyjechał do Dymitra z klejnotami królewny Anny na sprzedaż, a wrócił po paroletnim więzieniu. Miał czas przypatrzyć się rzeczom moskiewskim i opisał je otwarcie i bezwzględnie, poraz pierwszy uzupełniając luki literatury polskiej, nie troszczącej się nigdy o to, co ją najbardziej obchodzić winno, o sąsiadów; gdy Anglicy mieli już najbogatsze i najdokładniejsze informacye, Fletchera i innych, u nas o Moskwie bajano byle co; przeceniano jej środki i bogactwa niegdyś, teraz popadano w błąd jeszcze niebezpieczniejszy; przekonawszy się bowiem naocznie o jej strasznym ubóstwie, moralnym i materyalnym, wmawiano w siebie, że łatwo ją pożyć będzie, zapominając co znaczą siły, wytężone w jednym kierunku, kierowane jedną wolą, wobec rozprzężenia innych.

Pamiętnik Niemojewskiego ciekawy dla sądów i uwag bardzo

nieraz słusznych i trafnych, nawet o ubiorze i pożywieniu, począwszy od niemowlątek, mlekiem bydlęcym hodowanych, więc bydlęciejących nawzajem, nuży nieco powtarzaniem wszystkich, całkiem bezpłodnych, choć ciągle ponawianych pism i listów, apelujących daremnie do prawa narodów. Inne pamiętniki nie mają tych szerokich widoków, ograniczają się nieraz dosyć suchym streszczaniem ciekawych faktów, pochodów, noclegów, utarczek, np. pamiętnik Borszy, porucznika Dymitrowego; Dyamentowskiego, ochmistrza Maryny; Jana Piotra Sapiehy, kondotyera drugiego Dymitra i Maryny; Marchockiego rotmistrza. Ciekawszy Maskiewicz z dyaryuszem, opowiadającym tryumf niesłychany Kłuszyński i również niesłychany głód Kremlowski i uwijanie się konfederatów po Polsce, z pijatykami, awanturami nocnymi, dyabelskimi widzeniami; Maskiewicz, Litwin z humorem polskim, zapowiadającym Paska, nie zadowolił się faktami, jak spółcześni jego towarzysze broni, lecz kreślił i samo życie moskiewskie, pogardę tańców i muzyki, ciemnotę ogólną, aż do szczegółów choćby o izwoszczykach, za grosz na turę najmowanych, taksametrów XVII wieku przed »fiakrami« paryskimi. Dalej Tytłowskiego Macieja o roku 1620 i 1621, Dominikana kapelana Okolskiego o wojnach kozackich roku 1638 (co wszystko i Rusini tłumaczyli na cerkiewne).

Nad to ptactwo drobniejsze wzbija się orzeł wysokiego lotu, **Stanisław Żółkiewski,** hetman i kanclerz, charakterem i talentem (wojennym) górujący nad Zamoyskim, ustępujący mu w szerokich widnokręgach umysłowych. Jego pamiętnik kampanii moskiewskiej może się równać z komentarzami Cezarowymi, bo te hetmanowi widocznie przyświecały; przedmiotowe to i bezstronne sprawozdanie, spokojne i równe, ledwie odczuwać daje grozę położenia, próżne wysiłki hetmańskie, gdy najzdrowsze rady ślepy upór królewski odrzucał, a mimo to heroiczne pełnienie obowiązku, od czego się zawsze u nas z najbłahszych powodów, dla zadraśniętej ambicyi czy próżności, usuwano. I nie wysuwał się hetman na pierwszy plan, i uchylał komplementy niezasłużone; on jedyny nie stroił się nigdy w żadne barwy i blaski; niebawem już nie za Cezarem, lecz za Leonidasem przypadło mu zaledz własnym ciałem szlak do Korony otwarty; prostota wielkości prawdziwej bije też z każdej karty »Progresu« czyli »Początku i progresu wojny moskiewskiej«.

Jakżeż odmienny pamiętnik kanclerza litewskiego, **Olbrychta**

Radziwiła, niestety po łacinie pisany, chociaż już w XVIII wieku przez innego Radziwiła na polskie wytłumaczony. I to niby rojalista, patryota i katolik, ale przedewszystkim Radziwił, więc za kalwinem gardłować będzie, skoro tylko swój, więc w opozycyę uderzy, skoro mu intrat uszczuplą, więc o wzmocnieniu władzy królewskiej nie pomyśli, bo mogłaby widokom familijnym zaszkodzić, warchoł w zarodku, chociaż w Janusza Radziwiła lub Krzysztofa Opalińskiego możeby jeszcze nie wybujał. Człowiek pokojowy i pokojowiec, familiant głównie, wiedzący o wszystkim, opisujący *con amore* i ludzi i czasy, aż do »wircauzów«, do zabaw improwizowanych i maskarad na dworze królewskim, bardzo nabożny, tłumaczący nawet sam ascetyczne pisma innych i komponujący własne; te się do literatury ruskiej dostały.

W drugiej połowie wieku mnoży się coraz bardziej różnolitych pamiętników. Jedne trudno i nazwać takimi, np. Golińskiego, Jerlicza, Jemiołowskiego i innych, skoro opowiadają rok za rokiem dzieje ogólne polskie; inne spadają do rzędu krótkich zapisek choćby codziennych, ale jakby notatek gospodarskich, z skrupulatnym zapisywaniem każdodziennej pogody, np. Chrapowickiego, ciekawsze nieraz dla metereologa, niż dla historyka; inne znowu nadto krótkie, konotatki raczej, niż pamiętniki, np. Wierzbowskiego lub Zawiszy i Poczobuta-Odolanickiego, obu Litwinów, miejscami tylko więcej obszerne i barwne; inne wreszcie ograniczają się do osoby, np. Wydżgi, broniącego Ludwiki Maryi; albo łączą razem akty i sprawozdania, nie opowiadając ciągu, np. Medekszy księga pamiętnicza. »Wiedeńska« wywołała najrozmaitsze zapiski, lecz nikt nie wzniósł się do wysokości epicznej, ani kusił się o odtworzenie imponującej całości. Z powodzi tej literatury, do literatury, przynajmniej pięknej, praw nie roszczącej, wyróżniało się owiane jednolitym duchem pokory i ufności chrześcijańskiej, opowiadanie przeora Kordeckiego o owej, jak dziś wiemy, przypadkowej raczej, z góry wcale nie przewidzianej, a w wynikach bardzo przesadzonej gigantomachii, o daremnym kuszeniu się szwedzkich olbrzymów przeciw częstochowskiemu olimpowi katolickiemu i jego kultowi Maryjnemu, po łacinie, dziwne prostotą, przedmiotem, szczegółami, na poły mistycznymi; dokładne, aż do wciągania *in extenso* wymienianych pism i not, aż do rozdzielania roli między oblężonych, od wytrąbywania melodyi Maryjnych ze szczytów wieży i rozganiania

chmur począwszy; jeden z bardzo niewielu pamiętników spółcześnie drukowanych, dla ducha ascetycznego wdzięczny pokarm.

Całkiem do literatury należą pamiętniki **Paska**, w jedynym, niezupełnym niestety rękopisie zachowane, jeszcze gorzej zeszpecone ciągłymi makaronizmami, obowiązującymi coraz bardziej każdego piszącego, i najpodlejszymi wierszami; w formie najprostszej, bo chronologicznie wedle lat ułożone, nie równomiernie zresztą, bo całe lata kilkunastu wierszami zbywające, gdy w innych materyi aż nadto, t. j. w dawniejszych, gdy p. Pasek w Danii i Litwie harcował, podczas gdy na piaskach małopolskich Mazurowi fantazya i szczęście mniej dopisywały. Śmieją się z przygód myśliwych, że wymyślone, ale i żołnierskie nie zawsze lepsze, czego dowodem romanse p. Paska. O prawdę dziejową historykowi babińskiemu nie chodziło; o sobie wymyślał różne awantury z bogatą szlachcianką duńską, od Amora tak zranioną, że, mimo różnicy wiary i ojczyzny, Paskowi się na szyję rzucała, o nadzwyczajnych posądzeniach, niebezpieczeństwach i badaniach, z królem, z za kobierca się przysłuchującym, rzeczy godne Dumasa, trącące Zagłobą; o zwycięstwach na lądzie i morzu, w istocie bardzo wątpliwych. Ale darujemy chętnie, że przywłaszczał sobie Pasek zasługi, których mu nigdy nie przyznamy, podobnie jak bynajmniej nie wszystko w jego rękopisie z jego pióra wyszło (np. paszkwil na Prażmowskiego i innych); zapomnimy nawet o człowieku-nicponiu; nieoceniony on humorem, werwą, życiem, zamaszystością, z jaką opowiada, co było i nie było. Pierwszy to romans historyczny Polski, godny stanąć obok »Trzech Muszkieterów« i bohaterów Sienkiewiczowych. Te same nieraz przejścia opowiada stokroć sumienniej, wszechstronniej, gruntowniej, Kochowski: co język i styl za czarodzieje, widzimy na Pasku; tylko on, nie Kochowski, daje barwne obrazy, o mieniącym się ruchu i połysku; wprowadza nas w samo życie, między te dziwne natury, czy przed ołtarz, z bębnów sklecony, czy w namiot carskiego wojewody ze strasznym wódczyskiem i huznem łabędzim, czy w taniec odbijany między ziemian małopolskich, szydzących z »Mazurów miłych, gdzieście się popili?« Każde zdanie, nawet z tą łaciną fatalną, wyjawia Polaka, szeroką i wesołą naturę, animusz rycerski, czy się z piwnicy Litwinom ogania, czy mieszczuchów obuszkuje, czy w twardej przeprawie szabli nie żałuje, a równocześnie za obłowem zerka.

Nim się Pasek do pisania zabrał, opowiadał nie raz w kole szlacheckim te dzieje, ze szczegółami coraz nowymi, coraz wyrazistszymi za każdym nowym opowiadaniem, że wkońcu chyba i sam święcie w to, co napisał, uwierzył. Jowialność, szczerość i otwartość bije z tych kart ziemiańskich, okurzonych prochem, poplamionych krwią, uznojonych potem; niema tu delikatności, jeszcze mniej było jej w życiu; nic wykwintnego, wszystko aż nadto rubaszne, ale poczucie żywe honoru, klejnotu szlacheckiego, daru, co odsługiwać należy życiem i poświęceniem; nie spadł ten szlachcic na domatora, czepiającego się klamki pańskiej i już tylko za powodzenie Jaśnie Wielmożnego łeb i sumienie nadstawiającego; a choć zaściankiem trąci, choć widok umysłowy nie daleki, choć nadto krewki i rubaszny, bije od niego poczucie, choćby i zawadyackie, godności osobistej, czegobyśmy u innych Słowian wtedy napróżno szukali.

Z pamiętnikami dzieliły opisy podróży, że nie do druku je przeznaczano, że notowano dla własnej wiadomości chyba, ale w języku polskim. Coraz bardziej wyróżniała się Polska od sąsiadów i mimowoli odmienne otoczenie oddziaływało; Wschód nęcił osobliwościami, Zachód uchodził za szkołę poloru i smaku. Wierszomania stulecia bróździła i tu; co pisarz litewski, Pielgrzymowski, w drodze do Moskwy z Sapiehą, albo co Samuel Twardowski po drodze konstantynopolskiej ze Zbaraskim zanotowali, to samo przelewali za wczasu domowego w wiersze; inni jednakże pozostawiali zapiski w pierwotnej ich formie. Byli to albo uczniowie, i ich zapiski najmniej ciekawe, np. takiego Mikołaja Grudzińskiego, z podróży na Zachód, do Gdańska i miast pruskich roku 1649, a potym z Wiednia do matki pisane, wszystko bardzo lakoniczne; albo co ochmistrzowie, np. Sobieskich, notowali za pupilów swoich; ciekawsze bywały relacye np. Paca, pisarza litewskiego, towarzysza podróży królewicza Władysława, sprawozdawcy wcale szczegółowego, bystrego, acz nie zawsze całkiem szczerego; dalej Zygmunta Lubienieckiego, dyaryusz legacyi tureckiej, odbytej z Miaskowskim roku 1640, gdzie od wyjazdu do powrotu wszystko, co widział, obszerniej wypisywał, życie na Wołoszczyźnie, przeprawę przez Dunaj i Bałkan, pobyt w Konstantynopolu z ciekawymi spotkaniami jeńców i więźniów, nieraz już od kraju odwykłych całkiem, a czasem jeszcze biedną matkę w domu pozdrawiających, z zaku-

pnami bazarowymi, z etykietą obcych posłów i t. d., opis ciekawy, chociaż krótki, pisany z wielką werwą, nie oszczędzający skąpstwa pana posła ani prędkości towarzyszów, którzy za byle co, za tytuł braciszka nawet (jam cały brat!) *ad malos verbos*, a potym do korda się brali.

Zapiski Oświęcima, ciągnące się przez dłuższy szereg lat, zamieszczają i dyaryusze obcych (np. tureckie Krusińskiego i Bieganowskiego), ale zbyt ścisłe i skąpe w szczegóły. Ze sprawozdań Bobowskiego (z długoletniego pobytu w Konstantynopolu), korzystał obcy, Ricaut, w opisie monarchii tureckiej, co i na polskie (r. 1686) przełożono. Koniuszy koronny, Jerzy Dzieduszycki, opisał obszerniej podróż z roku 1691, zaczął po łacinie, lecz prowadził dalej po polsku, zwiedził Holandyę i Francyę i najbardziej interesował się fortyfikacyami, Vaubana i innych, które dokładnie opisywał — chyba na śmiech, skoro w Polsce stare fortece burzono, a nowych nie budowano; wiele cudzoziemszczyzny, z fatalną nieraz ortografią, w jego notach, chociaż później koniuszy i po francusku traktaty całe pisywał, jeden z pierwszych Polaków.

Ruchliwy to człowiek i pisarz, bywalec po świecie, stronnik Sasa, pisywał wierszem polskim i prozą polską i francuską, traktaty polityczne (o elekcyi króla polskiego; *L'éloquence des conseilles de Pologne,* niby pendant do dziełka Fredry, wyłącznie o wymowie politycznej traktujące) i alegoryczne, np. »Opisanie ogrodu« wierszem, dosyć ciężkie i suche, niby protoplasta Drużbackiej i jej opisów, chociaż nacisk na moralną stronę porównań położony, pilności, pracy i t. d.; jest nawet traktat jego, jako koniuszego koronnego widocznie, o podniesieniu chowu koni w Polsce — chociaż i ten bez wierszów się nie obył. Pan koniuszy jak własne podróże i przemowy (i do cesarza Leopolda od Sasa wysłany), a nawet wiersze łacińskie spisywał, tak zbierał i opisy obcych, np. poselstw tureckich; prace jego sięgają już i w czasy saskie; do druku się nie dostawały.

Każde poselstwo pozostawiało w aktach relacyę urzędową obok prywatnej, od sławnego wjazdu np. Osolińskiego do Rzymu, począwszy, przez relacyę Opalińskiego o drodze królowej Ludwiki z Francyi, aż do dyaryusza poselstwa wielkiego wojewody, Rafała Leszczyńskiego, do porty otomańskiej roku 1700; więc jest np.

i obok prywatnego dyaryusza Lubienieckiego urzędowa relacya samego Miaskowskiego o poselstwie. Po rękopisach zalega takich relacyi i podróży jeszcze sporo, np. »Dyaryusz drogi z Wilna do Warszawy«, Antoniego Burnickiego, albo »Itineraryusz peregrinationis Romanae« (po polsku) z roku 1693 i 1700; opis podróży zachodniej (do Belgii i t. d.) Andrzeja Reja roku 1637 (w towarzystwie posła polskiego); najciekawszy ustęp w pamiętniczku mieszczanina zamojskiego, Golliusza, dotyczy roku »pennalstwa« ego na uniwersytecie lipskim (r. 1650).

Bogactwa XVII wieku (wobec rażącego ubóstwa XVI wieku) nawet nie łatwo wyczerpać: wymienić możnaby jeszcze innego mieszczanina, rajcy kazimierskiego, Marcina Golińskiego, »żałośny dyaryusz pod Zbarażem« (wraz z wierszowanym »Lamentem Korony Polskiej«) i tegoż *Polonica memorabilia* (1621 — 1661); Świrskiego *annales* (1637 — 1666), Grabieckiego (1663 — 1686) i t. d., pamiętnik wojewody Obuchowicza (znanego ze Smoleńska) i innego Obuchowicza (więźnia moskiewskiego z ciekawymi szczegółami o Moskwie r. 1660); Jana Cedrowskiego, dysydenta, »Żywot« (1617 — 1682); najciekawszy między nimi dla osobistości niezwykłej, przewrotnej, bujnej, *cursus vitae* Boguchwała Radziwiła (wydany i drukiem w polskim tłumaczeniu), albo Tokarskiego »Memoryał żywota ks. Radziwiła« (kanclerza Olbrychta, z rysami ciekawymi arcypobożnego pana, co swe grzechy sługom śledzić, a potym dyscyplinować się kazał, jego hojności i dobrotliwości — dobrodziej nasz i chłopów, nie pan — ale również musieli dostępujący przez niego urzędów i godności zawsze mu »dziękować« tylu a tylu tysiącami złotych i t. d.).

Najmniej rozwinęła się w porównaniu z wiekiem XVI beletrystyka w prozie; jej zakres raczej się cofnął i zwężył; »Historyę siedmiu mędrców« (Poncyan) i »Historye rzymskie«, Aleksandra i Fortunata, Meluzynę i Magielonę, Ezopa i Sowizdrzała i t. d., wybijano coraz i sprzedawano po jarmarkach, np. na Jarosławskim, dokąd księgarz lwowski znaczne ich partye wysyłał. Duchowieństwo występowało przeciw nim, chciało prawdziwymi czy pobożnymi historyami zmyślone rugować; tak napisał ks. Kazimierz Auspurger »historyę o jedenastu tysiącach dziewic« (roku 1674) i zaczął od przemowy:

Fortunat z Meluzyną, fabuły zmyślone,
Mając dla próżnujących koncepta pieszczone i t. d.

Dawne zasoby już się nie pomnażały; przybyła właściwie tylko »Historya bardzo ucieszna o Charykliej królewnie i Teagenesie, z niemieckiego przetłumaczona« (1663), lecz nie podobała się, chociaż to najsławniejszy romans starożytny, »Etyopiki« Heliodora, ciekawe treścią awanturniczą (porwanie przez zbójców morskich, szukanie się kochających, dziwne ich przygody i t. d.) i formą. Lepiej podobały się zato niewybrednym »Facecye polskie«, z wierszykami moralizującymi, pod różnymi tytułami co raz przebijane tłumaczone na Rusi, przeważnie towarem obcym (z Bokaccia i t. d.) zapchane; mniej dowcipne, lecz przyzwoitsze i co najważniejsze, swojskie fraszki zebrał »Maurycyus Trztyprzytycki Radopatrzek Gładkotwarski« w »Co nowego abo Dwór mający w sobie osoby i mózgi rozmaite i t. d.« (r. 1650), czerpiący z żywej tradycyi, o Piotrze Smoliku, o Danieckim, Żabczycu i innych; dworstwa jego miały tę zasługę, że nie »śmierdziały, jako Sowizdrzałowe«, ani szczypały lub bolały, chociaż szczególniej o »dworstwach dworzanina wielkiego Smolika« nie zawsze to powiedziećby można; były i żarty np. »Fedka grubego Rusina« z podróży włoskiej, gdzie mu się podobało, że chleb panem nazywają, ale panów Swiniorami, a trawę jedzą, jak barani (odwieczny to żart polski na sałaty włoskie), i płaszcze noszą, jak cygani.

Największą popularnością cieszyły się dla swych sentencyi Bieniasza Budnego, sługi Radziwiłowego, »Krótkich a węzłowatych powieści, które po grecku zową Apoftegmata, księgi cztery«, wydawane z dziesięć razy w pierwszej połowie wieku, tłumaczone na ruskie po rękopisach i w drukach XVIII wieku. Pierwsza najobszerniejsza księga obejmuje filozofów, druga królów, książąt i senatorów, trzecia Lakończyków, czwarta kobiety, z Wandą i Jadwigą na czele; przystosowane do rzeczy polskich, cytacyami z poetów i mówców ozdobione, chociaż wiersze nieraz bardzo szwankują, np. Owidyuszowe *ingenio formae damna rependo meae,* brzmi tu »więc dowcipem nagradzam, gdzie w gładkości dziura«.

Wiek ten nie sięga już, jak poprzedni, do źródeł niemieckich, lecz do włoskich, a już i za francuskimi oglądać się zaczyna.

I tak miała trzy wydania »Historya bardzo ucieszna z francuskiego języka przełożona młodzianom i pannom przystojnej miłości hołdującym gwoli, a raczej jednej damie w Koronie Polskiej za sam hołd i powinny honor oddana« (1642 roku), pierwszy romans francuski, a raczej nowela z dodatkami tłumacza i gładkim przerabianiem listów miłosnych na wiersze: tłumaczem był, zdaje się, Łukasz Opaliński.

Czytano gorliwiej romanse francuskie w oryginale, Stanisław Lubomirski np. znał je wszystkie, te »zmyślone historye co się Romaniami nazywają... Cyrus, Eromena, Stratonika, Kaloander, Dianea, Taliklea, Klelija, Kleopatra, Faramond i inne, dla polerowania stylu i wymowy przez dworzan i damy pisane«; Sobieski, korespondując z Marysienką, gdy jeszcze Zamoyską była, używał stale kryptonimów z tych romansów, Celadona i Astrei (z Astrei Honorego d'Urfé), polecał jej gorąco »Kleopatrę« (pana de Calprenède), a od niej odbierał pierwszą część »Cyrusa« (panny Scudéry). Stanisław Działyński, starosta kiszewski (zm. 1719) tłumaczył kawalera de Préchac »Historyę o kawalerze polskim«, wojewodzicu chełmińskim, Walewskim, rozkochanym w pannie z fraucymeru Leonory, żony króla Michała, Beraldzie, jakto po najrozmaitszych przygodach, przebraniach, wbrew rywalce i niechęci ojcowskiej, wierna para się połączyła. U Francuzów nie był to pierwszy romans, wzięty z Polski; i w granicach historyi jako tako utrzymany; poprzedziły go *Les amours de Bonne Sforza, reyne de Pologne* roku 1682 (na angielskie wyłożone r. 1684), które anonim i na polskie przetłumaczył, »Romans o królowej Bonie«, częsty po rękopisach, niemożliwy wówczas w druku: dwór Bony przedstawiony, jako szkoła miłości, gdzie w oczach starego króla o względy królowej ubiegają się biskup krakowski, co w brewiarzu swoim ma Bonę wymalowaną jako różne »święcice«, a siebie u nóg jej klęczącego, Tarnowski i Ostroski; o najniemoralniejszych rzeczach opowiada się z największą swobodą, stosunki wersalskie na Wawel wprowadzone, najostrzejszymi wycieczkami przeciw duchowieństwu ubarwione, np. »ludzie profesyej tej tak są do pacierzy przyzwyczajeni, że, gdzie za grzech żałować potrzeba, tam się o pomoc do grzechu modlą« i t. p. Romans o Don Pedrze, obok »Bony« się pojawiający, najrozwiozłejszy, dyskredytuje niewiarę żeńską, przed którą nikt się nie ustrzeże: bohater jego wycofywa się wcze-

śnie ze wszelkich awantur, ale zdradza go wkońcu i najgłupsza, właśnie dla swojej głupoty: i Bokaccia tu prześcignięto. Kryło się to wszystko po rękopisach; w drukach granic średniowiecznej powieści bynajmniej nie rozszerzano; a z druków czerpały znowu rękopisy, zbierające takie powieści zewsząd, wystawiające za główny cel naukę moralną.

Najciekawsza między tłumaczami osobistość to niegdyś wojski, potym podkomorzy brzesko-litewski, **Krzysztof Piekarski.** Służył długie lata wojskowo, w każdej potrzebie za Władysława IV, od Chocima począwszy, szablą nieprzyjaciela ojczyzny zwalczając, a na stare lata próżnowanie — piórem; najdoskonalszy to typ »baroku« polskiego. Wybierał tylko takich Włochów; zaczął »Adamem« Loredana (i Stanisław Lubomirski bardzo go cenił; Włosi dawno o nim zapomnieli), rozbierającego w napuszonym stylu wszelkie ciekawostki i kwestye o raju i pierwszym człowieku; lecz najwięcej użył na »Strasznym Bohatyrze« i »Suplemencie Bohatyra Strasznego«, przetłumaczonych z *Capitano Spaventa*, drukowanych nieraz. Są to rozmowy Bohatera i sługi, Totumfackiego, niby Don Kiszota i Sancho Pansy, najstraszliwsze rodomontady, skoroć Bohater i gwiazdy do szabeltasu chowa, z bogami najpoufalej się rubaszy (trawestye to najdawniejsze), od kolebki już na pierwszego Bohatera się kieruje, niewiernych, zbójców rozbija, a przytem na uczoność się sadzi, »encyklopedyę erudycyi« dając, bo rozprawia o Apellesie i o Likurgu, o koniu Sejańskim i o srebrze Tolozańskim (przynoszącym nieszczęście), o ucztach Neronowych, zbiór »dumą wyniosłą rozdętych żartów« »niepróżnującego próżnowania« siedemdziesięcioletniego starca. Jest to »Panie Kochanku« i »Münchhausen« XVII wieku, ale w stylu zupełnie groteskowym, bizarre; bohater odwiedza i słońce, gra w karty z Fatum i Fortuną, pije na krasę i lelum po lelum z bogami i półbogami, pluje Wenerze w kaszę, a śmierci-kochanki niewczesnej odkaraskać się nie może, spożywa głowiznę kołtunowatą Meduzy, rozdaje po piekle ordynanse swej hałastrze urwipołciowatej — jednym słowem, Włoch przebrał się w szaty domorosłego, niewybrednego, ale nieraz arcydrastycznego humoru. Nieprzepłacony styl jego, nie inwencya (bardzo wątpliwego smaku); styl strasznie rubaszny wprawdzie, dziki i ordynarny nawet, ale zamaszysty, barwny, aż jaskrawy, przesadza Paska, Kochowskiego i Potockiego, pełen animuszu,

wojskowym uszom tylko ponętny, ale sztukmistrz języka, od którego i Krasiński uczyć by się mógł: od łbowatej mózgownicy począwszy, łyczakiem do podkasałej szubienicy przytaśmowanej, od tego jak się naumordusił kaszlem, nim się wtorbanił na łóżko, dla zamieszanego rumrychtem smrodliwym powietrza, aż do Endymiona owczarza, bryndzą utuczonego, farynnika Jowisza, mydlarza Apolina i do owej maksymy o żonach: dobra jak bażant, pióra podłe, ale mięso smaczne, zła jak liszka, skóra dobra, ale mięso jej chyba dla świń, gdy zdychają nagle — niestety, najciekawszych zwrotów przytaczać nie można, np. z narodzin »Strasznego Bohatyra« wychodzącego na świat z takim krzykiem, że Dobrodziejka, bólów zapomniawszy, nie oparła się aż w trzecim boso folwarku, mamka, padłszy wznak, straciła pokarm, a kumoszki i t. d.; tacy i jego kapitanowie, Dusigardziel, Stobijgłowa, Burzywalka, Paliłyskawica, Gromiburza i t. d.

Nie wytrwał jednak stary Piekarski przy samych żartach, wystawił »Cnoty cel, nie ów do którego zmierza Macchiawel i inni w akademiej onegoż promowowani politycy«, napisał też »Periphrasis nawrócenia do wiary Szawła surowego, politycznymi przeplatana aforyzmami«, korzystając z wielkiego oczytania w politykach (Bodinus) i historykach (Guicciardini i innych). A za jego przykładem poszła cała literatura prozaiczna, w drugiej połowie wieku coraz wyłączniej ascetyczna. I wydawano ascetyki, coraz potworniejszych rozmiarów i myśli, a więc Bernardyna Krupskiego »Objaśnienia Brygitty«, albo Dzielowskiego »Kalwaryę Zebrzydowską« lub »Gościniec prosty do nieba« (na dnie tygodniowe rozdzielony, 802 stron, kilka wydań, chociaż Wacław Potocki szydził, wiedząc tylko o stromej ścieżce do nieba, nie o wygodnym gościńcu); Karmelity Jana a Jesu Maria i jego tłumacza Cyryla a s. Francisco »Praktykę dobrej śmierci« i t. d.; Jezuity Drużbickiego, Sieradzanina, ratującego wraz z Jezuitą Tylkowskim jako tako honor polskiej teologii XVII wieku, dzieła tłumaczone na najrozmaitsze języki (wydawane po angielsku i hiszpańsku w XIX wieku, po francusku i niemiecku w XVIII); Tylkowskiego tłumaczono i na rosyjskie; z nimi zawodniczył trzeci Jezuita, Niemiec, Drekseliusz, w wydaniach i tłumaczeniach i z polskiego przedostał się również do Moskwy w XVII wieku, jego »Oko wieczności«, »Obraz wieczności«, »Wieczność piekielna« i t. d.; jego »Słonecznik albo po-

równanie woli ludzkiej z Bożą« przetłumaczył kanclerz Olbrycht Radziwił roku 1630, któremu Drekseliusz inne łacińskie opus dedykował.

Powódź druków ascetycznych rosła z roku na rok; pojawiały się coraz więcej wyszukane tytuły np. u książek do nabożeństwa: »Młotek duchowny, w sercach ludzkich, tor Chrystusów drelujący« (r. 1656) i t. p.; prócz nich coraz liczniejsze zbiory kazań, ciekawych chyba dla anegdot, żartów i zwrotów drastycznych. Umiejętności zamilkały, ostatnie dzieła poważne wychodziły z pod piór ludzi starej daty, Starowolskiego i Broscyusza, sarkającego wobec Galileusza na to, że prawdzie rzeczowej »opinia« przeszkadza. Poważali go bardzo koledzy, ale nie dlatego, że »cyferkami się bawił« i do kursów czysto scholastycznych gustu nie miał, nie cenili go, chociaż na teologię przeszedł, lecz, że Jezuitom strasznie przyciął, wykazując, co ich »gratysowe« uczenie kraj kosztuje *(Gratis)*, że akademia ma »Przywilej« uczenia i że »Konsensu« z Jezuitami nie było, na co Jezuita Szembek - Pięknorzecki w strasznie obszernym »Gratysie wyćwiczonym« osobno odpowiadał, nie dorównywając ciętości napastnika.

Nie dziw więc, że niebawem na polskiej ziemi już tylko przychodnie sławili się nauką, filozof-pedagog Komeński i polihistor Jonston w Lesznie, poprzednik B. Chmielowskiego i Akademii jego; Heweliusz, astronom w Gdańsku, jurysta Olizarowiusz w Wilnie; że coraz rzadziej nawet z tłumaczeniami dzieł poważnych, naukowych (o artyleryi, miernictwie, architekturze i t. d.) się spotykamy; że nawet na polu gospodarstwa domowego, nauki pszczelarskiej, łowieckiej i t. d. połów nie obfity, chociaż »Hippiki« Dorohostajskiego na początku wieku, a Haura »Skarbiec ekonomii« na końcu tegoż (często przedrukowany i skracany) wcale poważnie ten dział reprezentują, by o pracach innych, Zawadzkiego i t. d. nie wspominać.

Jako oznakę czasu, wymienić można dzieła biskupa łuckiego (potym poznańskiego), **Stanisława Witwickiego,** treści moralnej, wcale nie poślednie tak, że drukowano je bez zmian i za Stanisława Augusta, górujące nad spółczesnymi, a mimo to głęboko w nich grzęznące, pełne niekonsekwencyi, znamiennej dla ludzi XVII wieku, rażącej nas w Opalińskich i Fredrach. Biskup protestował przeciw pławieniu i paleniu czarownic, lecz sam najgorliwiej

na nieszczęsnego Łyszczyńskiego instygował; śmiał się z uroszczeń szlacheckich, z przesadnego mniemania o zacności »krwi« — toć-by pchły szlachecką krwią najwięcej szczycić się mogły, a sam wymyślał dla siebie rodowód od Gotów hiszpańskich i Witigesa i najprzedziwniejsze tytuły np. księcia na Słupcy i Krobi; objaśniał jak najdokładniej ustrój makrokosmu i mikrokosmu, a protestował przeciw rozpychaniu głów młodzieńczych słomianymi gęsiami, t. j. baśniami starożytnymi, całkiem jak niegdyś protestant Rej, albo prawosławny mnich, Wiszeński, przeciw »łacinie« Ruś przestrzegający; kazał uczyć, że właściwy rzeczownik to Bóg, a czasownik to słowo przedwieczne i t. p., wciskając wszędzie teologię. Pomijamy jego »animastykę« i chemię, traktaty fizyologiczne i kosmogoniczne, porównywanie ustroju człowieka, odbijającego w szczegółach ustrój przyrody (tępanie pulsu przypomina mu przypływ i odpływ morski i t. d.), ale to pomieszanie prawdy i fałszu, przesądu i przenikliwości, wiedzy i zabobonu cechuje czas i ludzi; przeczy, jakoby się Żydzi ślepo rodzili i krwi chrześcijańskiej i hostyi dla przejrzenia potrzebowali; wywodzi, wedle utartej etymologii ówczesnej, nazwę szlachty z niemieckiego *Schlachten*, ze srogiego przelewania krwi nieprzyjacielskiej; odradza od nauk, od hyperprodukcyi inteligencyi, niebezpiecznej w państwie wolnym (co już książę Gonzaga w XVI wieku wywodził): skoro przy księgach zniewieścieje człowiek, odwyknie od szabli i najemne wojsko zdusi potym jego wolności — ale słusznie wymagał, by się szlachta do broni, do powołania swego, wkładała i jeszcze słuszniej krytykował np. roszczenia sejmików relacyjnych, protestujących przeciw uchwałom sejmowym; każdy stan, wiek, płeć obdzielał »Nauką powołania chrześcijańskiego« (1684), najobszerniej — stan duchowny naturalnie, nawet i dla księży unickich; nie skąpił anegdot, szczególniej aby marność rycerzów świeckich wykazał — pisząc wyborną polszczyzną, w zdaniach krótkich, urwanych, niby maksymy mędrca zawołanego.

Nie w prozie jednak święcił polski wiek siedmnasty właściwe tryumfy. Jakby wetując zacofaność i ubóstwo średniowieczne, co poezyi polskiej nie stworzyło, rzucił się on teraz dopiero na poezyę, i, gdy w literaturach sąsiedzkich, francuskiej i niemieckiej nawet, proza powoli praw coraz większych się dobijała, narazie w romansie, noweli, historyi, gdy poezyę ograniczano do dramatu

i liryki, zalewały w Polsce flukty poetyckie całą literaturę, stawały się niby normą dla książki polskiej. I nie tylko tryumfuje forma, ale nawet tematy, ulubione w poezyi gnomicznej średniowiecznej, teraz dopiero, spóźnione o całe wieki, się zjawiały, np. spory wody z winem, rozmaitych stanów, rozmaitych nacyi, spór duszy z ciałem i t. p., albo apokryfy średniowieczne, wizya Tundala i inne w wieku XVII zamiast XIV lub XV, literaturę nachodziły. Niewyczerpane są też bogactwa tej »poezyi«, chociaż z właściwej sztuki najczęściej tylko formę zewnętrzną posiadła; dla wydania należytego obrazu literatury narodowej, poezyi tej, długi czas zapomnianej, wzgardzonej, nieznanej, obszerniejszą wzmiankę, choćby dla częściowej jej rehabilitacyi, poświęcić należy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

POEZYA SZLACHECKA.

Uwagi ogólne o pisarzach; o pismach anonimowych; stan piszących, treść i forma pism. Pisarze wybitniejsi; epika historyczna i romantyczna; Twardowski. Epika religijna, mesyady polskie. Satyra Opalińskich. Wiersze dydaktyczne i fraszki: Wacław Potocki. Lirycy, religijni i polityczni, Miaskowski i Kochowski; erotycy, Morsztynowie; liryka gnomiczna Naborowskiego i innych. Próby dramatyczne, Lubomirski. Kobiety autorki, Stanisławska.

O bogatej, różnorodnej, a przedewszystkim narodowej poezyi siedemnastego wieku, ani wykwintnej wprawdzie, ani artystycznej, uprawianej całkiem po dyletancku, zbywanej nieraz byle czym, lecz rzeczywistą potrzebę wieku stanowiącej, popularnej niezmiernie, wyrażającej wszystkie jego ideały i pragnienia, narodowe i osobiste, zapomniano rychło a gruntownie, tak że dopiero w XIX i XX wieku zasobów, jeśli nie skarbów tej poezyi, nanowo doszukiwać się musiano. Kto w tym zawinił, skąd ta niepamięć?

Przedewszystkim pisarze sami, dbający jak najmniej o trwałą po sobie pamięć, trwoniący bogate zasoby, nie oglądający się na przyszłość. Gdyby literaturę ich sądzić tylko z tego, co na jaw wydali sami, niewątpliwie wypadłby sąd wcale niepochlebnie, bo i cóżby się na nią złożyło? U początków jej Szymonowica sielanki, naśladowane ze starożytnych, i przekład »Jerozolimy Wyzwolonej«; w środku napuszone epopeje Twardowskiego i niesmaczne satyry Opalińskiego; na końcu znowu przekłady Morsztynów i ciężkie liryki Kochowskiego, a zresztą same piśmidła ascetyczne, o formie haniebnej i myśli poziomej, albo panegiryczne, wstrętne

treścią i formą, jedne trywialne i dzikie, drugie przesadą i wyrazem śmieszne. Jak na całe stulecie, byłby to plon nadzwyczaj ubogi. W istocie zaś tych kilku cenniejszych autorów i kilka dzieł i owe seciny niezdarnych błahostek ani wyczerpują, ani przedstawiają nawet umysłowego życia epoki. Właściwe jej skłonności i upodobania artystyczne, najgłębsze i najszlachetniejsze jej myśli, nadzwyczajna ruchliwość jej piór, wszystko, co dla epoki tej jest znamiennym, co chlubę i zasługę stanowi, nie zjawiło się w druku, publicznie, dla oka profanów i tłumów, lecz krążyło w odpisach, w szczupłym gronie znawców i miłośników, a później ginęło, nieraz bez śladu i na zawsze.

Czy jakakolwiek inna literatura wykaże coś podobnego? Za grubego średniowiecza, kiedy to kosztownego pergaminu byle czym zapełniać się nie godziło, a sztuka pisania tylko wybranym jednostkom służyła, nie dziwiłaby zatrata dzieł, autorów, a choćby i całej literatury, ale w XVII wieku, gdy już od dwustu lat prasy drukarskie pracowały i wszyscy pisali, liczyć się z rękopisami, z zaginionymi dziełami i autorami, z unikatami, z kopiami błędnymi — to chyba niezwykłe zjawisko; a przecież tak było i wydobywać tę literaturę z zapomnienia i zmieniać zupełnie sąd o niej zaczęto dopiero w XIX stuleciu, na podstawie rękopisów. W czwartym dziesiątku XIX wieku odszukano Paska, a z nim barwne obrazki obozowego życia i zabaw domowych; w piątym, odnalazszy liryki Andrzeja Morsztyna, odczuto po raz pierwszy i w dawnej poezyi żar namiętności; w szóstym zaćmił rycerski poemat Potockiego o boju Chocimskim epopeę Krasickiego. Lecz wszystko to, razem wziąwszy, o zasobach właściwych tej literatury trafnego pojęcia jeszcze nie daje.

W wieku XVII pisywali wiersze i zajmowali się literaturą wszyscy: od Władysławów i Sobieskich począwszy, służyła wena poetycka każdemu na zawołanie; szczególniej młody wrażliwszy umysł rwał się do wierszów, lecz nikt z nich rzemiosła nie robił: więc wierszów ani zbierano, ani gładzono, ani kuszono się o coraz większą doskonałość, wreszcie zapominano o nich całkiem. Taki Andrzej Morsztyn, prawdziwe *ingenium* poetyckie, to typowa postać dla całego wieku. Za młodu pisuje i dobrze i wiele; bynajmniej nie przesadza, gdy do swej lutni się odzywa:

Tyś i mych myśli uciecha jedyna,
Z tobą się szczera dobra myśl mi wszczyna,
Z tobą zabawa, z tobą próżnowanie
Za zysk mi stanie.

Lecz w druku, publicznie nie występuje nigdy i nigdzie; »takem sobie w domu gędził, abych zły humor odpędził«. Więc nie dba o rymy; obcy przywłaszczają je sobie i składają innym w ofierze; on sam, zajęty coraz wyłączniej sprawami wielkiej polityki, już tylko czasem jakieś zdarzenie, np. skandal towarzyski, glosuje rymami; Sobieskiemu, choć partyzantowi własnego obozu, nie przepuści przedwczesnych zalotów i urychlonych ślubów z Marysieńką (po Zamoyskim) i napisze mu wiersz wcale uszczypliwy[1]), albo na rozwód panny Stanisławskiej (z kasztelanicem krakowskim, Warszyckim, roku 1669) wygotuje tren-paszkwil. Po latach dopiero wymuszają na nim nalegania przyjacielskie, że odgrzebie z prochu i pleśni coś z tego, co sam za młodu pisywał, i wydać z pracami innych pozwoli — gdyby nie ta przypadkowa publikacya po latach trzydziestu, bardzo wątpimy, czyby »Psyche« i »Cyd« naszych czasów dotrwały. I tak bywa ciągle: dawno już legł wielki rokoszanin w grobie, a jego przekład »Wiernego Pasterza« ukrywał się jeszcze zawsze w cieniu domowym. Syn jego również prac swych nigdy nie ogłaszał, i niejedna z nich, może najciekawsza, zaginęła; inne, np. »Ewandra«, wydarli mu dopiero obcy, przykrząc się prośbami. Za to wychodziły panegiryki i ascetyki, które pisało ubóstwo, a drukowała próżność; nawet znakomici pisarze, na domiar złego, ogłaszali ze skarbów swoich rzeczy najsłabsze, np. taki Potocki »Argenidą« i »Pocztem Herbów« czytelnika tylko odstraszyć albo znużyć potrafi.

---

[1]) Serenada północna na ślub niezwykły wielkiego stadła, intonowana w Warszawie przy skończonej sprawie (między kawalerem i damą). Kawaler mówi:

Pytam, kiedy to będzie, że na jawi
Dawna nam Venus przenosiny sprawi?
Porzućmy przeszłe pokątne zaloty i t. d.

przy końcu dyalogu czytamy: »przed ślubem wesele... przykład mamy nowy, tak się lęgą sowy«. W drukowanym tekście wierszu na Warszyckich brak większej jego części.

Muzom nie sprzyjały czasy i z każdym rokiem pogorszały się stosunki. Coraz mniej odczuwał ogół potrzebę wrażeń estetycznych; z codziennego trybu książka i literatura wymykały się coraz bardziej. Przerzedzały się z przerażającą szybkością szeregi znawców i miłośników Muz, a dla tych niewielu, co pozostali, jeden lub kilka odpisów dzieł starczyło i rozdzieliła się literatura na drukowaną, szkolarską, trywialną; i rękopiśmienną, w której kryło się wszystko wolniejsze, śmielsze, piękniejsze, cenniejsze; dla druku schlebiał i łgał żak, kaznodzieja i »astrolog« albo »minucyarz«; w rękopisie cieszył, skarżył, malował poeta, satyryk, nowelista; tu prawda, humor i piękno — tam przesada, pochlebstwo, maniera; tu poufałe grono znawców, co pracę ocenić umiało i nią się delektowało, tam ogół, który jednak prócz kalendarza, książki do nabożeństwa i awizów z Krakowa już nic innego nie czytywał.

Literatura nadobna traciła powoli a stale racyę bytu. Mógł w XVI wieku pracować Kochanowski w przekonaniu, że i wiersze pisząc służy ojczyźnie i zaskarbia sobie uznanie obywatelskie; teraz staje się literatura rzeczą zbytku, próżną rozrywką bogatych i możnych; cofa się więc, od ogółu do kół najwyższych, i to jest drugie, nadzwyczaj charakterystyczne, w innych literaturach w równej mierze nigdy niepowtarzające się, zjawisko.

Za granicą magnat lub wysoki dygnitarz państwowy sam za pióro nie chwyci, chyba, że napisze pamiętnik życia swego, skreśli memoryał polityczny lub streści w maksymach dorywczych własne i obce doświadczenia; literaci, wielcy i mali, rekrutują się tam z dworzan, mieszczan, aktorów; nazwy rodów najwyższych błyszczą w wojsku lub przy królach, nie na Parnasie. Przeciwnie w Polsce wieku XVII; tu hasło demokratyczne: szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie — popłacało szczególniej w życiu literackim; i roi się pomiędzy literatami od wojewodów i kasztelanów, ba, i od ministrów! Funkcye ich zostawiają im nieraz wiele wolnego czasu, a wino i łowy nie zabijają go zupełnie, jak później; jeśli zaś nie sami pisują, zawsze między dworzanami ich znajdą się tacy, coby Muzom dla nich hołdowali, szczególniej liczni w otoczeniu Radziwiłłów (birżańskich).

Ta przewaga żywiołu wielkopańskiego, a nawet ziemiańskiego, zadomowionego, staroszlacheckiego, oddziałała znowu niekorzystnie na tryb i tradycye literackie. Magnat albo i zwykły ziemianin

o aplauzy tłumu nie dbali; pisząc, nie myśleli o szerszej publiczności, o uznaniu albo nagrodach; pisali dla siebie i dla swoich, obsyłali się dziełami nawzajem i wykluczali je z powszechnego obiegu literackiego, gdzie powódź płaskich niedorzeczności z roku na rok wzbierała, nie zrównoważona niczym odmiennym, wybitnym, poważnym, panosząca się coraz jawniej, zuchwalej. Więc i z tej przyczyny, nietylko dla nietolerancyi i zaniku popędów estetycznych, kryła się lepsza literatura po rękopisach i ustępowała z widowni przed bezmyślną gawiedzią, przed motłochem literackim. Między pisarzami tymi znajdziemy przedstawicieli licznych rodów znakomitych wszelkich stanów i wyznania, każdego wieku i płci obojej, spotkamy żołnierzów i prawników, świeckich i duchownych, katolików i protestantów, magnatów i mieszczan; z jednej familii można się nieraz pięciu, sześciu »poetów« doliczyć.

I cóż oni wszyscy pisali?

Najpierw wiersze okolicznościowe. Nie było zdarzenia w całej Polsce, coby ich piór nie poruszało; jeśli trybunał kogoś na śmierć zasądził, znalazł się zawsze, co wyrok trenem lub żartem objaśniał, choćby np. takim Nagrobkiem Bokszy, ściętemu w Piotrkowie roku 1634:

Boksza! Bóg sam zakazał zabijać bliźniego,
Tyś w łeb trafił z rusznice towarzysza swego,
I sprośneś swoją głową często zbrodnie roił.
Przeto cię też kat bez niej na on świat wystroił!

albo por. wiersze Gawińskiego i Kochowskiego na ścięcie awanturnicy, Machowny.

Każdy rozwód, każde powtórne zamężcie odbywały się przy wtorowaniu liry, nieraz bardzo drastycznym i uszczypliwym, a choćby tylko żartobliwym. Polak, coby dla żartu i przyjaciela odstradał, nie mógł przecież, gdy np. Firlejówna po Sapieże, Rysińskim i *Osolińskim* wychodziła za *Opalińskiego* (Łukasza, marszałka), powstrzymać się od żalów nad cną damą, którą np. trzeci małżonek *osolił,* coby miał cukrować, a czwarty *opalił* tak, że już chyba żadnego smaku w niej niema. Albo, gdy się Sierakowski *Lampart* żenił, posypał się na niego rój epigramów, z powodu Lamparta, a on (albo może H. Morsztyn za niego?), każdemu się trafnie innym epigramem złożył. Cóż mówić o wypadkach publi-

cznych, elekcyach, walkach, zgonach królów czy zasłużonych mężów, projektach dworskich, intrygach sejmowych, konkurencyach i t. d.! Lata bogate w ważne wypadki, taki rok 1648 lub 1649, wzbierają też całym wylewem poezyi okolicznościowej, ale i po najdrobniejszych spadają wiersze całym deszczem. Kazał np. hetman Radziwił krzyże w Świadości roku 1641 zrzucić, pojawiło się natychmiast czternaście »poezyi« o tej »Kalwińskiej wojnie z Chrystusem«; najkrótsza:

Nie miał Chrystus, prócz krzyża, gdzieby głowę skłonił,
I tegoć mu pan hetman litewski zabronił:
W Zabłudowie krzyż spalił, wykopał w Świadości.
Pozbył Chrystus, cokolwiek miał tam, osiadłości.
Bezpiecznie panie Dyable! gdy Boga wygnano,
Tym samym — pod twe prawo majętność podano.

Trafił się np. posłowi Komuniace (znanemu autorowi listu do Obuchowicza) w Izbie sejmowej *casus* nieestetyczny, rozbrzmiał on po całej Polsce szlacheckiej echami poetyckimi i nawet w satyrze Opalińskiego się uwiecznił. I tak ciągle. Wiersze to bardzo nierównej wartości i rozmiarów, są i zgrabne, np. czterowiersz po śmierci Zygmunta (wojewody bełskiego Leszczyńskiego Rafała):

Zaszło słonie Polacy! umarł Zygmunt Trzeci!
Cóż uczynim? Starszemu tedy z jego dzieci
Złotą koroue włóżmy na królewskie skronie:
I tak będzie dzień jasny, chociaż *zaszło słonie.*

Dział ten, największej obfitości, obejmuje wszystkie możliwe opisy i relacye historyczne (wierszami), satyry, epigramy i paszkwile, elegie, skargi i żale, epitalamia, treny i nagrobki. Nagrobki, oprócz w wierszach, piszą i prozą nakamienną, jakby na grobowcu, nieraz kilka stronic pełnych inwektyw albo pochwał, wedle stanowiska partyjnego. Liczne i udatne pisywał np. kasztelan Grodziecki: obelżywe na Gustawa Adolfa i Waldsztajna, pochwalne na panów polskich; a choćby na brytana króla Zygmunta, Sułtana: autor pyta, czy to nie wróżka losu, że i sami sułtanowie mają kiedyś tym być na dworze Zygmunta, czym ów Sułtan mu był. Najsłynniejsze z tych nagrobków, najczęstsze po rękopisach, na nieudałą »Kawaleryę« (Władysława i Osolińskiego; jeden kończy po najdłuższych wyliczaniach, kto i jak ją »zadusił«, szyderskim westchnieniem: »Niemasz cię, Orszulo moja!«).

W wierszach tych przemawiają np. i za obiorem cara Aleksego na tron polski; takim jest np. wiersz »Kompozycyej Imp. marszałka nadwornego w ks. lit.« (Lackiego, autora »Pragnień Pobożnych«, wychwalanego z daru poetyckiego) pod napisem »Alarmo Polskie« albo pobudka:

Do pałaszów, do koni, odważni Polacy!
Nieście na szańc swe piersi, nie żałujcie pracy.
O wolności gra idzie, o wiarę, o prawa,
Przy tym trojgu niech każdy syn ojczyzny stawa.

Przestrzega przed rozdwojeniem elekcyi, przed obiorem Galla (kura, który wzleci i nam wolność opluje), przed wojną obu kandydatów, którąbyśmy utratą Litwy okupić musieli; obierzmy cara, on będzie żył wedle trybu dawnych królów naszych, wrócą się złote czasy, jego wojska nam się bardzo przydadzą; znowu obaczymy rysie, perły, drogie towary, ale cóżby był nam za pożytek z francuskiej ligi, chyba:

Wstążki, perki, fląderki i zamorskie figi!

Poezya religijna wykaże równie licznych, równie gorliwych uprawiaczów, bardzo nierównych zresztą talentami i poglądami. Nawoływania do skruchy i poprawy nawiązują do okoliczności zewnętrznych, do faktów historycznych, np. »Kozaczek duchowny pod czas głodem i wojną ściganej Wielkiej Polski roku 1630 o śmierci dumający«, wiersz obszerny i energiczny, formy osobliwszej, »Kozaczeńkiem duchownym« (np. w Gratysie wyćwiczonym, r. 1627, str. 148), wtedy nazywanej[1]):

Hej przesławny Polaninie,
Czym teraz cześć twoja słynie?

[1]) Wzięta rzeczywiście z małoruskiej poezyi ludowej; ma ją pieśń o Kulinie, przedrukowana w sowizdrzalskim »Sejmie walnym« r. 1625. Formę naśladowano jeszcze w XVIII w., np. wiersz szkaplerzowy w dziełku z r. 1764 (Drzewo i t. d.), nazwany »Kozakiem«: Witaj Pani, my poddani Do nóg padamy, Lecz nie insze Mamy czynsze Które składamy Tylko serca zebrane I to jeszcze skalane i t. d., (7 strof takich).

Czy rycerskim, mężnym bojem,
Czy kupnym, krwawym pokojem?
Oto w boju i pokoju,
Śmiercią giniesz, śmiercią słyniesz,
W tej słusznej ojczystej krainie.
Nie dosyć śmierć na tym miała,
Że Polaków nazbierała
Po niżowych dzikich Polach,
W pokrwawionych pruskich rolach,
Pobudziła, zajuszyła,
Swe rumaki na Polaki,
Durnego, hardego kozaka.
Na karki nam nastąpili,
Pod nogami którzy byli.
Rycerstwa we krwi polskiego
Chłopstwa brodzi złość wszelkiego.
Na swe pany lud poddany
Następuje, nie folguje,
Okrutny, przewrotny heretyk i t. d.

Podobnych, prostych, szczerych wierszów bywa sporo, w każde ciężkie lata; a ileż to nie przesunęło się ich nad Rzeczpospolitą w ciągu owego wieku! Z rozmyślań nabożnych wynikały poematy o śmierci, waryacye na temat »Próżność nad próżnościami, a wszystko próżność«; końcowy czterowiersz jednej z nich powtarzano nieraz osobno, jako *Nagrobek:*

Bryła ziemie — mój zamek, a pokój — tarcica;
Na łokieć ziemie — mój sklep i moja piwnica;
Poduszka — twardy kamień; ubiór — gnoju szmata;
Robak — sługa; tać wszystka korzyść tego świata.

Błagania o odpuszczenie grzechów i łaskę Bożą, bywały i u najswawolniejszych poetów, np. u obu Morsztynów. »Zegar bojaźni Bożej« (wybijający dwadzieścia cztery godziny), powtarzano w zmienionej formie jeszcze w drukach XVIII wieku.

Marsowym animuszem brzmiał »Zaciąg Pana Chrystusów żołnierza chrześcijańskiego«: dyalog między hetmanem (Chrystusem) a żołnierzem (chrześcijaninem),

Do mnie, co żywo! wielkiego hetmana,
Onego króla i wszech panów Pana;

Sam, sam bywajcie, ktokolwiek ściśniony
I od książęcia świata ukrzywdzony!
Żołnierz: Niech wiem, kto z taką ochotą podnosi
Chorągiew swoję i na wojnę prosi i t. d.

Z pieśni Maryjnych przytoczmy np. »Pieśń nową, zacnego jednego i z nauki, i z świątobliwości autora, godną u wszystkich wielkiej dziś uwagi«:

Pomni, o Matko wszechmocnego Boga,
Jaka Królestwo Polskie ściska trwoga!
Pomni a dodaj osłabiałym mocy,
Strapionym łaski, straconym pomocy i t. d.
Sam tam patrzymy, przy starym frasunku,
Sam tam padamy, a mało ratunku,
Kajmy się, kajmy! a ty, miłościwa
Królowo Niebios, spraw, by ręka mściwa
Przez twoję prośbę była hamowana,
Tobie — u syna, nam sprawa — u pana i t. d.

Katolicy i protestanci piszą hymny na dnie świąteczne, np. Grodzieckiego »medytacya« i Rafała Leszczyńskiego hymn na Boże Narodzenie.

Obok wierszów religijnych jest wiele etycznych i dydaktycznych, w najdziwniejszych nieraz formach. »Obiecadło Złote« każdą strofę zaczyna od kolejnej litery, np.:

Abyś tylko samemu ufał Bogu swemu!
Pamiętaj nie dufać dziełu człowieczemu.
W tym nadzieję swą połóż, w tym ugruntuj wiarę;
Krom tej wiary na świecie wszystko miej za marę.
Bierz się mocno do sławy poczciwej a pilnej i t. d.
Cyt a słuchaj, bo prędzej tak z swojej cichości i t. d.

i tak przez cały alfabet. Daniel Naborowski układał spółcześnie »Czwartaka«, w każdej strofie po cztery przymioty lub braki:

Cztery rzeczy na świecie nieoszacowane:
Wolność, nauka, cnota, zdrowie niestargane;
Wolność serca, nauka rozumu dodawa;
Cnota klejnot jest duszy; zdrowie żywot dawa.

Cztery rzeczy ma człowiek i nie ma w całości:
Męstwo, przyjaźń i rozum przy doskonałości!

Jest mężny na mężnego, jest w przyjaźni zdrada,
Błąd się w mądrym najduje, w doskonałym wada.

Czterech rzeczy najbardziej pragnie biała głowa:
Gładkości i z dostatkiem, szat, dobrego słowa,
To jej świat, gdy się stroi, gdy za gładką mają,
Gdy ma tyle, ile chce, gdy jej dowierzają i t. d.

(wydał go roku 1629, przywłaszczywszy sobie, Jan Żabczyc; przetłumaczono go i na rosyjskie; naśladował go w »Nowym Czwartaku« i St. Lubomirski; inni ułożyli na ten wzór »Trzeciaka«). Na wyróżnienie zasługuje »Paidonomia albo sposób życia w towarzystwie« Olbr. Karmanowskiego, obfity zbiór morałów; rozmaite »Zwierciadła żywota ludzkiego, świeckiego i duchownego«.

Osobny ich dział mogą stanowić zagadki wierszowane, którymi się wiek XVII chętnie zabawiał, gdy XVI prawie ich nie znał; u Kochanowskiego np. jest tylko jedna, i to bardzo nieestetyczna. Najwięcej wsławił się nimi Andrzej Morsztyn i ładny ich zbiorek przesłał siostrze; tenże sam zbiorek, z dodatkiem zagadek biblijnych, ofiarował sędziwy Lubieniecki Andrzej pani Denhofowej, a Zbygniew Morsztyn napisał mu dedykacyę, w której umieścił i następną piękną zagadkę, jakby z jakiego ludowego motywu zaczerpniętą:

A jako oni, gdy się rozjeżdżali,
Dobrzy druhowie, wzajem sobie dali
Na nezabudesz, *że gdziekolwiek będą*,
Choć z tysiąca mil od siebie usiędą,
Żeby się jedną wodą umywali (rosą),
Jednym ręcznikiem oba ocierali (słońcem);
Tak i ja teraz (a i toć też gadka),
Nie mogąc należć inszego zadatka,
Inszego znaku życzliwości mojej,
Któryby ręki był godniejszy twojej,
Tenci posyłam i t. d.

Biblijne zagadki bywają zwykle prozą, np. który ląd raz tylko ujrzał słońce? — Dno morza Czerwonego (lub Jordanu), gdy się ich wody Żydom rozstąpiły i t. p.; są i wierszowane, już u Smolika; wydawano je jeszcze w XVIII wieku.

Obok poezyi okolicznościowej i religijnej (z dydaktyczną) nie

brak i lirycznej, a przedewszystkim erotycznej. Ma nieraz praktyczne cele na oku; jest korespondencyą; pieśni powierzają, czego usta wymówić swobodnie nie mogą. Np. Zygmunt Lubieniecki napisze *elogium* »Wdzięcznej Annie« (Wiszowatej) i dopisze później z tryumfem: »porzucono, zrozumiano, przeczytano, dziękowano« — imię jej zdradził akrostychem, często jedynym środkiem, aby dociec, kto lub o kim śpiewa. Wiersz miłosny nie tylko dla adresatki był przeznaczony; czy podbój sercowy ułatwił, czy nie, wędrował w całym orszaku żalów, westchnień, wyrzutów, próśb, między bracią na Parnasie, wywoływał tu pociechy, uwagi, szyderstwa: jednym słowem, całą »batalię afektów«, w której celuje Szlichtyng Jerzy, Morsztyn Jarosz i Jędrzej; Szlichtyng pisze nawet »Lekcye Kupidynowe«, które się wtedy bardzo podobały (liczne odpisy, odmienne w szczegółach), zalecając je towarzyszom takim wierszykiem:

Ja, z Kupidinowej szkoły
Idąc do domu wesoły,
Radbym, żeby mej łaciny,
Nauczył się i kto iny.
Jeśli dobrze repetuję,
Niechaj twoję łaskę czuję.
A ten, komu nie smakuje,
Niechaj po swemu miłuje.

Skrócony ten kurs miłości, niby »Ars amandi«, oddany rzeczywiście nieraz z tym wdziękiem, jakim w wierszach Szlichtyng celuje, wszedł też wcześnie do zbiorów podobnych, ale bez imienia autora, a jeszcze rychlej dostał się na indeks ksiąg zakazanych nieubłaganego biskupa Szyszkowskiego. Wypada zdradzić i inną tajemnicę: oto jeden i ten sam wiersz służy nieraz po kolei kilku osobom; Andrzej Morsztyn np. w wierszach, które (przyszłej) żonie ofiarowywał, zastępował jej imieniem (Katarzyną, Kasią) imiona rozmaitych dawniejszych bogdanek — szczerość afektu nie lada! Jednostajność tematu zmuszała poetów do przesadzania się w konceptach, do śmiałych przenośni, antytez, porównań albo do rozmaitych innych sztuczek poetyckich, do akrostychów, do raków, t. j. wierszów, czytanych odwrotnie z sensem przeciwnym. Pisywał je już Kochanowski; rozkochał się w nich i wiek XVII, używał ich

nie tylko przy paszkwilach politycznych (np. na Ludwikę Maryę), religijnych (na mnichów, na Lutrów i t. d.), ale i w liryce, np. pisząc takie »oferty« miłosne:

Sobie jam wolny nie mają mię w *mocy*.
Tobie ja służę nie szukam *pomocy*.
Piękności Twojej nie bogactw *pilnuję*,
Z gładkości pewnie, a nie z szat *miłuję*.
Ciebie, nie inszą, chcę pozyskać *sobie*.
Siebie, nie inszych, oddać w służbę *tobie*.
Za swego mię miej nie gardź mą *szczerością*,
Prawego sobie nie kładź z *obłudnością*.
Bezpiecznie mi wierz nie rad ja *figluję*,
Statecznie ufaj nie rad *pochlebuję*.

Inną ulubioną zabawkę stanowiły anagramy: litery nazwiska układano w nowe słowa i omawiano je wierszami. Wacław Potocki w drugiej połowie wieku szczególniej w nich celował, układając coraz nowe z nazwisk rodzinnych i królewskich (Jan Sobieski — osiane skiby, Michael — jam Lech i t. d.); w pierwszej połowie wieku kasztelan nakielski, później międzyrzecki, Adam Grodziecki, wszystkich wielkopolskich znajomych, Opalińskich, Leszczyńskich i innych, podobnymi anagramami częstował. Ze swego nazwiska ułożył »Gromadkę dzieci« [1]) i opisał je trzy razy, dając folgę uczuciu ojcowskiemu i zdaniu się na wolę Bożą, w wyrazach prostych a szczerych:

I. Jest to tak, że mi dawa Bóg gromadkę dzieci;
Z których każde, jako ptak, stąd różnie poleci.
Aby jednak ten lot był każdemu szczęśliwy,
Lub prędki, lub nierychły, jak ociec życzliwy,
Boga proszę za nimi: na wolą się dawam,
Przed którą się nie schronię, ani ich zachowam.

II. Była z łaski i jeszcze jest i będzie Bożej,
Gromadka moich dzieci, a drużyny hożej.

[1]) Inny anagram jego nazwiska, Maciej Dargodzki — pod tym imieniem wydał ciętą broszurę p. t. »Przestroga o tytułach i dygnitarstwach cudzoziemskich w Polskim Królestwie i t. d.« roku 1634, 50 argumentów przeciw tym tytułom; pisywał i inne broszury polityczne, np. przeciw przechodzeniu dóbr szlacheckich w ręce duchowne; statysta to wcale wytrawny; polemizował i z Jezuitami (o bł. Kostkę).

Dał jako Pan i brał też, ile mu się zdało.
Z jego łaski — i mnie się, i niebu dostało.

III. Dzielił się któryś cesarz z Jowiszem w przemiany
O pogodę. Ja z Bogiem o dzieci przemiany
Nie potrzebuję żadnej ni dzielę dzieciny.
Z Boga byt nalepszy. Kiedy sam, nie iny
Bierze, i sam się dam brać, dam i dzieci moje,
Byle im dał i mnie też miłosierdzie swoje.

Ciekawsze i częstsze bywają liryki sielskie, wychwalania żywota wiejskiego, od »wsi wesołej« Kochanowskiego nieprzerwanym ciągiem przez cały wiek się snujące, nie owe udane idyliczne zachwyty, jakie osiemnaste stulecie z pudrowanymi i różowanymi berżerami małpowało, lecz opisy natury i jej wdzięków, w których zdrowa cera autora i rzeźka myśl jego, szmer ruczaju, ryk bydełka, widzieć i słyszeć się dają, np. u p. podkanclerzego koronnego, Stanisława Mińskiego, znanego z drogi Rzymskiej roku 1590, z humorystycznej korespondencyi między głuchym a ślepym (on a Samborzecki), częstej po dawnych *Silva Rerum*. Funkcye poselskie, przy czym zdrowie postradał, i służba dworska wykoleiły ziemianina; tęsknocie za wsią daje więc wyraz w wierszu p. t. »Żywot ziemiański«, — parafraza znanego *Horatianum*: *Beatus ille, qui procul negotiis:*

Nader szczęśliwy, kto na tem przestaje,
Co mu ojczysta ziemia jego daje,
Nie znając lichwy, pługiem ziemię orze i t. d.

Owdzie krynice mają swe poniki,
W potoku szemrzą prądowe kamyki i t. d.
Trzykroć szczęśliwy, który to mieć może,
Mnieś tylko nie chciał dać tego, mój Boże!...
Siła ma taki, siła, przed inszemi,
Brzydkich kłopotów niejako chciwemi...
Cóż potem? szczęście drogę zagrodziło,
Czynię, co muszę, nie to, co mi miło!

Równocześnie opracował toż Daniel Naborowski (Szczęśliwy człowiek, który, krom zazdrości, Żyje spokojnie na ojczystej włości i t. d.); świeżej i barwniej wychwalał Jerzy Szlichtyng »Szlachecką Kondycyę«:

Pan to wielki, co na stronie
Dość ma na swoim zagonie.
Czegoż potrzeba,
Gdy z gębę chleba?...
Najdzie w piwnicy Węgrzyna,
Chmiel wystały. Do komina,
Niech przykładają,
A w dudy grają...
Młyn i tracz na bystrej wodzie,
Jarzyny bujne w ogrodzie,
Chmielnik tuż w tyle,
Aż wyjrzeć mile.
Miasto blizko, targ niegłodny,
Kościół doma, sąsiad zgodny,
Chłopków gromada —
Cóż wsi za wada?
Wsi cnotliwa, bodaj tobie
Kwitła sława ku ozdobie!
Jam twój, tyś moja,
Mój skarb chęć twoja.
Niechże nam Pan Bóg nędznikom
Sam błogosławi rolnikom,
A wy, panowie,
Siedźcie w Krakowie.

Przy takim nastroju sielankowym nawet motywy pieśni ludowych do szlacheckiej przechodziły, np. w wesołej »pieśni panieńskiej, którą młodzieńców zwykły konfundować«:

Pocóżeście przyjechali,
Darmo buty wydeptali?
Nie pójdę za Wasznic,
Bo Wasznic nie masz nic i t. d.

ale ci nie zostają dłużni, śpiewają *respons:*

Chciałem Waśnić mieć za swoję,
Lecz się teraz Waśnić boję.
Darmo się sadzicie,
Już mnie nie zwabicie,

i mszczą się haniebnym nicowaniem kształtów i strojów panieńskich. Nawet bezmyślne wiersze przechodzą do śpiewników szlacheckich, np. Stała się nowina tego mięsopusta, Koza z wilkiem tańcowała,

wielka to rozpusta, albo: Siekiera się rozbujała, Wisłę przepłynęła, Kobiałka się przeciwiący z pierzem potonęła i t. p. — nazywają je »dziwy albo absurda«.

W liryce erotycznej ustalają się pewne wzory i formy, jak u trubadurów i minnesengerów, np. wiersze na dobry dzień lub dobrą noc, widzenie we śnie i t. p. Wiersze na dobry dzień przybierają formę »hejnału«; wprowadził go po Reju Hieronim Morsztyn, naśladowali Zbygniew i inni. U Hieronima:

Hejnał świta, już i z morza
Rumiana powstaje zorza.
Jutrzenka z swojej jasności
Rozgania nocne ciemności.
Wstaje w lesiech ptak zakryty,
Wstaje w lesiech zwierz niebity,
Rucha ryba i wół czuje,
Że mu praca następuje.
Wstań, oraczu, hejnał świta,
Ciebie z początku sowita
Praca czeka; wstawaj i ty,
Rzemieślniku pracowity.

Po rozmaitych wyliczeniach:

Wstawaj, panno, hejnał świta,
Twój się sługa o cię pyta
I z serca się stąd raduje,
Że cię dobrze zdrową czuje.

Hejnał Zbygniewa szczegółowo wylicza, jakto się Kraków budzi do codziennego życia: jeszcze przed zajęciem zarze odzywają się kotlarze... nawet już do szkoły mali żaczkowie powstawali i, choć najpierwsze zaranie, już wołają o śniadanie i t. d. Całą skalę uczuć miłośnych, od pierwszego, przypadkowego spotkania, aż do zawodów, zdrady i zazdrości, wyśpiewują te pieśni, lecz brak im nieraz indywidualnych rysów, prawdziwego czucia, szablon zbyt często przeziera.

Liryki erotyczne popłacały jednak tylko do czasu. Kilka lat minęło, a ów młodzian, hołdujący jeszcze niedawno rozmaitym Anusiom i Zosiom, staje się wzorowym małżonkiem; liryka wywietrzała, np. panna odmawia taką litanię:

Miły święty Michaele,
Abym sobie wybierała,
A miły święty Antoni,
Do mnie przyjechał swojemi,

Napędź-że ich do mnie wiele,
A co grzeczniejszego miała.
Pomóż, aby z sześcią koni
Byle nie pożyczanemi...

Miły święty Hieronimie,
Kucharze obiad gotują,
Kiedy ono na kominku
Miasto kapłona zagrzeją,
Zachowaj mię od takiego
Od pijanicy sprośnego,

Niechaj w kuchni i kominie
Bowiem mi się oczy psują,
Piwa tylko kęs do kminku
A słudzy się z tego śmieją...
Męża melancholicznego,
Także i nazbyt tłustego i t. d.

Młodzieniec znowu prosi, aby przyszła jego bogdanka była »wzrostu wielkiego... i też wziątku niemałego... i (proszę) Ciebie święty Archaniele, aby dziatek niewiele!« W pacierzu prosi znowu panna, »abym z dobrym dobytkiem siedmiu pochowała« i »niech (mąż) nie chodzi rwać ziela na cudze ogrody« i t. d.

Dla spotęgowania komicznego efektu mieszają języki i piszą makarony. W prozie mieszanina polszczyzny i łaciny była nieodzowną, aby nadać mowie lub traktatowi powagę — tak, że mowę posła polskiego w Moskwie, wolną umyślnie od frazesów, słów i derywacyi łacińskich, jako *curiosum* w Polsce odpisywano. W wierszu natomiast panowała wyłącznie najczystsza polszczyzna, i niema żadnych wierszów makaronicznych: istnieją tylko od początku XVI wieku osobliwsze makarony, kiedy to poeta »wesołum chwytał piórum, aby śmiesznas zapełniare kartas«, gdzie obok czystej łaciny wplatał polskie słowa na ład łaciński. Makarony takie pisuje dla zabawy każdy; wszystkich zaś przewyższa Stanisław Orzelski, czy to narodziny Kalwina w otoczeniu wiedźm i furyi piekielnych przedstawia, czy wesele chłopskie wielkopolskie maluje, zakończone bójką homerycznych rozmiarów, czy przypadki dorodnego kwestarza na dworze układnej pani lubieżnym rysuje piórem; naśladując Dantego, opisuje nawet wędrówkę po piekle, a znachodzi i wylicza w nim nie fałszerzów i opryszków, lecz adwokatów, lekarzów i kupców krakowskich.

Makaron, to tylko jedna odrośl wybujałego na niwie polskiej komizmu — i bez niego wszędzie śmiechu pełno. Niema poety-szlachcica, któryby fraszek, figlów, dworzanek, drew, czy jak je tam nazywano, nie składał: najpoważniejsi Aryani i Kalwini ubiegają się w zawody z najpłochszymi: dobry żart — tynfa wart, to

jedyne ich hasło. Jeśli zaś zbiór pustot wypadnie nadto obszerny i tłusty, dodadzą kilka rzeczy nabożnych, albo wymówią się tym, że »częściej pod dobrą myślą (przy winie), te się nam błazeństwa kreślą«, lub powtórzą Kochanowskiego (a ten starożytnych) o statecznym poecie, a swawolnym wierszu, bo u nich »i wiersz niedobry, kiedy nie swawolny«.

Lecz na ich dorobek poetycki składają się nie tylko owe luźne wiersze, jakie chwila czy zdarzenie, afekt czy »dobra myśl« wywoływały; nie zawahają się i przed największymi zadaniami poetyckimi. Tutaj jednak trudniej już iść ich śladami, bo jeśli krótsze wiersze choćby w wyborze się przechowały, większe dzieła łatwiej ginęły. Próżno szukamy np. dzieła Łukasza Opalińskiego, o którym Andrzej Morsztyn wzmiankuje (»przypominasz tym wiekom, co śpiewano w Troi«), »Moskiewskiej kameny« Skarszewskiego, licznych, chociaż nie zupełnie wykończonych, dzieł przyjaciela księcia Zbaraskiego, dzieł kilku Kochanowskich i innych; i to jednak, co po rękopisach pozostało, pozwala sądzić o ich estetycznych przekonaniach i o mierze ich talentu.

Uderza przedewszystkim pewien brak oryginalności. Zadowalają się albo przekładami z obcych, mianowicie z Włochów: Petrarki, Tassa, Guarina, Aryosta i Marina, rzadziej z Francuzów, albo »przysmaczają« wierszem polskim nowele i romanse, dawniej prozą napisane; legendy i ewangelie w tenże sposób »przysmaczać« nauczą się od nich duchowni. Wiele tych przekładów dotąd mało lub raczej wcale nieznanych: w druku pojawił się tylko roku 1618 »Goffred« i wywarł niezatarte ślady w całej epice polskiej, a roku 1694 »Wierny Pasterz« Guarina; tego już na pół wieku przed Jerzym Lubomirskim, za Zygmunta III, tłumaczył ktoś (Smolik?) ładnie, choć wiersze rozmaitej budowy oryginału zastąpił jednostajnym trzynastozgłoskowym: nie napróżno znalazł dramat tłumaczów, gdyż, mimo swej rozwlekłości, najpiękniejszy i najciekawszy ze wszystkich dramatów pasterskich, o sztucznej intrydze, i dziś jeszcze podobać się może. Kochanowski wytłumaczył Goffreda, ale w rękopisie pozostał Orland Szalony, dzieło o tyle obszerniejsze i trudniejsze do wykonania: w myśli ówczesnego *credo* estetycznego, co przyswajało wszystko, co piękne w literaturach dawnych lub obcych, własnej, nie siląc się na twórczość samoistną.

Cóż zaś »Adone« Marina! Dzieło opiewające w czterdziestu

tysiącach wierszów miłostki Adona i Wenery, napisane w języku największej »elegancyi«, obfitujące w najsubtelniejsze definicye, opisy, przenośnie, napiętrzone trudnościami, że i dzisiejszy tłumacz nie łatwo ich przełamie — a przecież znalazł się poeta, co te dwadzieścia pieśni przełożył! boć musiał być poetą, musiała oczarować i olśnić melodya i przepych niezrównanego języka, musiało shołdować niewyczerpane bogactwo inwencyi, epizodów, alluzyi, tego, co tę pracę w rękopisie zostawił, tak, że nawet nazwiska jego nie znamy. Z tłumaczem tym (czy nie Grotkowskim, sekretarzem królewskim, bawiącym w Neapolu?), rywalizował uczeń tegoż, Andrzej Morsztyn, chociaż tylko jeden epizod, t. zw. noweletę czwartej księgi Adona, »Psychę«, wolniej wyłożył. W druku polskim z Marina tylko ten ułamek się pojawił; w rękopisach, prócz »Adona«, jest i »*La strage degl'innocenti,* z tą jednak różnicą, że Adona świecki, »Rzeź Niemowlątek« zakonnik przełożył i pięknościom poetyckim oryginału bynajmniej nie dorównał.

Inwencye Goffreda naśladował wiernie autor (znowu nieznany) »Oblężenia Jasnej Góry Częstochowskiej«, poematu w dwudziestu pieśniach, zupełnie do druku przygotowanego (nawet z »rączkami« dla wskazywania różnicy między historyą a wymysłami romantycznymi), mimo to jednak nie ogłoszonego. Bardzo to ciekawa próba przeniesienia żywcem w polską rzeczywistość siedemnastego wieku całej Tassowskiej tkanki miłości i zazdrości, zdrad i czarów, walk i ucieczek — romans całkiem jakby »Potop«, tylko bez Zagłoby. Inne powieści i romanse czerpią H. Morsztyn, St. Lubomirski, W. Potocki, Korczyński, Szemiot i inni z Biblii (Judyta); z »Metamorfoz« (Orfeusz i Eurydyka); z »Liwiusza« (Wirginia, Horacyusze i Kuryacyusze); z dziejów spółczesnych obcych i polskich (Tressa i Gazela; nowele Drobiszewskiego); z »Dekamerona«, z »Siedmiu Mędrców«; z romansu francuskiego; Szemiot wierszuje nowele, pisane prozą, jakie znalazł w »Antypastach« Morsztyna.

Z tą epiką romansową należy połączyć epikę historyczną, owe liczne i obszerne dyaryusze i t. d., począwszy od Pielgrzymowskiego legacyi moskiewskiej, a skończywszy na relacyach o wyprawie wiedeńskiej; dalej powieści z tradycyi familijnych (Daniłowiczów, o Mścicielu; Kalinowskich, o ślubach kazirodczych i inne), ks. Drobiszewskiego i t. d. Wreszcie staje obok epiki romansowej i historycznej religijna, dzieło małego zazwyczaj natchnienia, lecz wielkiej pobożności, nieraz rozmiarami olbrzymie, np. takie »Nowe Niebo duchowne, słońcem, miesiącem i wielu różnymi świętymi gwiazdami jaśnie oświecone, a nabożnym wierszopiskim piórem... wyraźnie pokazane« roku 1692 — zbiór dziejów Zbawiciela, Matki Boskiej, apostołów i wielu świętych, między nimi patronów polskich, dzieło jakiegoś Bazyliana, obejmujące niemal do pięćdziesięciu tysięcy wierszów, a to tylko część poetyckiej spuścizny zacnego zakonnika, którego i z imienia się nie zna. O sobie samym mówi autor na wstępie:

Już *trzykroć sto tysięcy* rytmów przeminęło,
Które się w różnych moich kartach przewinęło.
Więc przynajmniej niechaj te daremnie nie giną,
Ale się w Świętych Bożych pochwały zawiną...
Mnie zaś w nagrodzie pracy dosyć tego będzie,
Gdy chwały Świętych Bożych z rytmów mych przybędzie,
Którym dlatego według możności swej robił,
Abym Bogu i Świętym chwały przysposobił...
Będą mnie różni czytać i młodzi, i starzy,
Lecz któż wie, jak się komu moja muza zdarzy?
Jedni będą ją chwalić, a drudzy zaś zganią,
Bo jeden lubi Pana, a drugi zaś Panią.
Owemu się koncepta nie upodobają,
Temu rytmy do smaku nie poprzypadają,
Innym się zdadzą słowa niepolitycznymi,
I będą ich dożymać kłami krytycznymi...
Komu co się podoba, niechaj zdrów zażyje,
A kto ochotą gardzi, nie ciągnę za szyję...

»Kwiat wieku« autora usycha, głowa pracami zwątlona, trudna robota była, więc i ochota w rytmach nudna, bo i wiersze nie słodkie, pisane w serca gorzkości, i

jako kondycya moja nie światowa,
Tak i kompozycya rytmów nie takowa...
Pomni (Zoilu) na te błahe moje prace,
A rzecz za mną do Boga: *requiescat in pace* Amen.

Pod piórem »światowych« pisarzów nawet epos religijne przybiera nie ascetyczne rysy; taki »Tobiasz« np. Lubomirskiego, tonem całym Aryosta i Marina, nie Biblię, przypomina, nawet zaczyna każdą pieśń oktawami moralizującymi, ogólnikami, jak ci

Włosi, a pisany tak żywo i barwnie, z zacięciem humorystycznym, z wycieczkami satyrycznymi przeciw nowomodnemu Waszmościanin np. i innym przywarom, że i dziś z wielką przyjemnością odczytać się daje, odskakuje też rażąco od całej ascetycznej literatury i ujawnia pióro, zaprawione na erotykach i na epice włoskiego Seicento. Za Lubomirskim poszedł Wadowski, a jeszcze ściślej Chrościński, tak dalece, że np. »Amana« wydrukowano w XVIII wieku raz jako dzieło Chrościńskiego, drugi raz jako Lubomirskiego: rzecz ta o dziewięciu pieśniach nieco słabszą od »Tobiasza« się wydaje, mniej w niej ruchu i czucia, może więc nie wyszła z pod pióra wielkiego marszałka.

Nie rzadkie są nawet spory literackie. Nowy talent budzi oczekiwania, przekładają go nad dawniejszych, a obowiązkową miarą estetyczną bywa Kochanowski. Więc, gdy np. Sierakowski Jarosza Morsztyna nachwalić się nie mógł, odpisał mu (wojewoda poznański, Ostroróg?) »Paralelą Kochanowskiego i Morsztyna«:

Lampart chwali Morsztyna, siła mówi o nim.
Ja go nazad odsyłam, bo mi już nic po nim.
Przekłada go we wszystkim nad Kochanowskiego,
Ja mam za kpa Morsztyna i Sierakowskiego.

Podobnie obruszył się Andrzej Morsztyn na jednego z Kochanowskich:

Młódź naszę coś przywiodło do wierszów swawolnych...
Rzuć się, chyża młodzi, na poetę tego,
Niech swym wferszem nie sięga Polaka sławnego,
Którego wnukiem będąc, lecz raczej wyrodkiem i t. d.

Liczą się z literaturą, z kolegami na Parnasie, więc np. w »Lekcyach Kupidynowych« odwodzi Szlichtynga Jerzego Wenera od eposu,

Niech to *Grochowski z Kochanowskim* śpiewa,
A stąd się *Bielski* niech lauru spodziewa...

zwraca go do zdroju liryki erotycznej, w którym też uczony

Zamaczał głośne *Kochanowski* strony;
I dziś się z niego szczęśliwy wesoło

Napija *Morsztyn*, a jam mu na czoło
Kosztowny wieniec zdawna zgotowała,
Jakiegom jeszcze żadnemu nie dała i t. d.

Dlatego nieraz wyliczają rówieśników, hołdujących Muzom, Starowolski, Orzelski, Morsztyn Andrzej, Kochowski; Orzelski wylicza i Włochów, których widocznie nie tylko z nazwiska znał. Na Parnasie niema różnic co do wieku, wyznania albo stanowiska; rozstrzyga talent, i nie zawaha się pan kasztelan bełski (Żórawiński) skromnie ustąpić miejsca mizernemu dworzaninowi Radziwiłowskiemu (Naborowskiemu):

Nie moje przedsięwzięcie spotykać się z tobą,
Jam laik, a tyś polskich poetów ozdobą i t. d.

Albo Aryan Karmanowski wysławia poetycką zasługę kawalera maltańskiego w przekładzie »Goffreda«. Koledzy z Parnasu obsyłają się nowymi utworami, a miłośnicy Muz starają się o odpisy: poucza o tym Trembecki np. w przedmowie do swego »Wirydarza«, zapewniając między innymi, że:

Nie jednęż noc nad tym się nie spało.
Nieraz do końca przywiedzione dzieło
W cudze się ręce przez kradzież dostało.
To jak *na nowe znowu się modliło*
Komu, że to być koniecznie musiało
U mnie. Więc to zaś często się trafiło
Komu darować: to bratu, to swatu,
A ty, jak ślepień, od lata ku latu...

Ludzie się bardzo na księgę łakomią, a rodzą się w *lipcu* (że przylepia się do nich wszystko), więc, jeśli i nie ty mnie ją zgubisz, kto wie, że ją tobie

Może kto zemknąć, aż *moje roboty*
Lat kilkunastu oschną u niecnoty...
Jeszcze gdyby to zemknął który taki,
Coby się na tym znał albo rozumiał...
Lecz gdy to szuja porwie ladajaki,
Co ledwie kozie ogon związać umiał,
Raz przeczytawszy rzuci... że o tem nikt nie powie żywy,
Lub tam za podłej bzdęgi gdzie szklenicę

Mędrszemu nad się bibie da do ręki...
To tu ja... dyabłabym wskórał, a drugiego wygrał i t, d.

W podobny sposób powstawały i inne zbiory: jak mowy weselne i pogrzebowe, recepty i przepowiednie, rady Kalimachowe i rokosz Gliniański, tak wpisywała szlachta i wiersze w swoje *Silva rerum*. Czasem wyłącznie dla wierszów zbiór przeznaczano, częściej jednak mieszano wszystko w *olla potrida;* na Jokoserya np., założone roku 1630 dla Wojnów, składały się pierwotnie tylko wiersze; »Torbę Dworską« zaś, układaną spółcześnie dla p. Aleksandra Bełżeckiego, wypełniały wiersze i proza na przemiany. Zachowało się tego do dziś wiele pod najrozmaitszymi nazwami, zwykle łacińskimi: »Spiżarnia fraszek«, *Silva variarum curiositatum*, *Omnia et nihil, Penu synopticum* (Różyckiego), *Vade mecum* (Pawła Ujejskiego) i t. d., wszystkie nie wolne od wielkich wad: błędy odpisu, z nieczytelności oryginału lub z nieuwagi i pośpiechu kopisty powstałe, są częste a dotkliwe; nie wymieniają autora; co gorsza, mieszają najczęściej, jakby groch z kapustą; w Jokoseryach np. pogmatwano wiersze Morsztyna (Jarosza), Naborowskiego, Szlichtynga, Smolika; inne rękopisy wypisują nieraz nazwę autora, ale mylną, np. »Szlachecką Kondycyą«, udają za wiersz »Księdza Jarosza Morsztyna«, tymczasem ów Morsztyn księdzem nigdy nie był, parafię miał »świńską«, a »Kondycyę« Szlichtyng napisał, nie Zbylitowski ani Szymonowic.

Ładny wierszyk na jednę z podkanclerzanek (Osolińską) ma być pióra Andrzeja Morsztyna, bawiącego wtedy może za granicą, lecz napisał go Andrzej Leszczyński, krewny Osolińskiego, zwracający się do niego często z wierszami: gdy na zamku niedawno powiedziano, że w Polsce niemasz nad podkanclerzankę, on tego nie wie, lecz to wie,

Że, gdyby skrzydła wzięła od anioła,
Potrzebaby im odmienić imiona:
Niąby był anioł, a aniołem ona.

A kiedyż już mowa o Andrzeju Leszczyńskim, przytoczmyż jeszcze na dowód, co za głębokie myśli i trafne uwagi w formie lekkiego żartu ci ludzie podawać umieli, ustęp końcowy z jego opisu ogrodu Klimuntowskiego (Osolińskich). Pan wojewoda derpski

wychwalał niedawno inny ogród, jako jedyny w Polsce, lecz zobaczywszy Klimuntowski, stawia go o wiele wyżej, jak się nad bogacza jeszcze większy bogacz znaleźć może:

A ktobykolwiek przeczył temu z ludzi,
Tego Antoni niech kijem wycudzi (wytrzepie),
Krom wielkich panów, przepuścić tym przyjdzie,
Bo się im wszystko, to i szaleć zejdzie.
Owychby raczej wysmarować smolno,
Co sobie winni, że im nic nie wolno.
Ale się szczerze wolę wywieść z rzeczy:
Zgoła to w Polszcze oboje nie k rzeczy:
I wolno wszystko i nic nie być komu.
Zaczem Antoni — nie przepuść nikomu!!

Czasami wspiera nas jeden i drugi rękopis dobrą informacyą. Najważniejszy między nimi nieoceniony »Wirydarz Poetycki« o 1258 str., »z różnych poetów wiadomych i niewiadomych, łacińskich i polskich wielką i kilkunastu lat pilną pracą wystawiony roku p. 1675«, który rzeczy poszczególnych autorów osobno kładzie, prawdziwa nić Aryadny dla wybrnięcia z tego labiryntu poetyckiego. Dalej »Summarius wierszów Morsztyna niegdy poety polskiego« (Hieronima) i inne. Często jednak zawodzi wszystko, i autora odszukać już nie można.

Zrozumiemy teraz i ocenimy słowa np. Zbygniewa Morsztyna, którymi około roku 1680 spory zbiór wierszów swoich, zatytułowawszy go »Muzą domową«, poprzedził. On się wprawdzie nie uważa za poetę, nawet imienia swego przy wierszach nie kładzie, »bo nie mam tej ambicyi, ani mię nęci, albo raczej biesi ów nałóg obrzydły, co innych, że, byle tylko wiersze pisali po składzie (rymie) ści-ści, go-go, to z nimi do druku, choćby się wiersza, jako mówią, racy nie jęli, i choć mizerna Muza, skrzypiąc, się wlecze, jak ruska kolaska. *A zwłaszcza, że to teraz taki wiek, w którym jest najobfitszy wschód najszczęśliwszych geniuszów, osobliwie w poezyi,* nie tak, jak było za czasów nieboszczyka starego Reja, kiedy »Panie stary, porzuć czary« uszło za największy dowcip. *Teraz zaś kto i miernie dobry wiersz pisze, nagany nie ujdzie,* i, kiedy ja czytam cudze, mianowicie Imp. podskarbiego wielkiego koronnego (Andrzeja Morsztyna), zda mi się, że moje, jak karazya przy szarłacie, i że są takie, jak owego naskiego poety:

A ja tam stał, cały dzień czekając,
Żebym był mógł którego ptaka jąć...

Nie zebrałbym też był tego do kupy, jakoż i siłam tych fraszek popalił, *gdyby nie na prośbę niektórych*, którzy takimi będąc, jako i ja, pisorymami, podobnymi radzi się zabawiają, i takim też tylko czytać tę książkę pozwalam«[1]) — pozwolenie zastrzegał sobie i Trembecki w «Wirydarzu«:

A to też zawsze w swej pamięci miewaj,
Że, nim do tego wnijdziesz wirydarza,
O *pozwolenie* wprzód *proś gospodarza.*

Oto spółczesne, najwiarogodniejsze, świadectwo o nadżyzności łanów poetyckich. Równie wymowne składa ów Prusak, Jakób z Trąbek Trembecki (z familii aryańskiej) na czele »Wirydarza«, w wierszu »Paraenesis do poetów, którzy nie w druku, tylko *in manuscriptis* zostają«:

Wy, coście na Parnasie długi czas strawili
I obficie ze zdroju Hippokreny pili,
Czemu u was potomne tak wzgardzone lata,
Że bujnym laurom waszym zajrzeliście świata?
Któreby kiedyś w niebo późne niosły czasy,
Gdybyście do drukarskiej podali je prasy.
Znać stąd wspaniałe serca i animusz prawy,
Że dobrze zasłużonej unikacie sławy,
Która przecie kamieniem, wierzcie, nie utonie,
Bo już Febus na wasze wieńce wije skronie,
Tę wróżkę im przydając: wasza sława skonu
Nie uzna, póki i Muz, póki Helikonu.

Na takim to tle rozbujałych nadmiernie fluktów poetyckich, występują wybitniejsze postaci, wzory, mistrze; ujawniają się wpływy, związki, rozwój jakiś ciągły, szczególniej w pewnych

[1]) Przedmowa ta makaronizuje; zresztą »Muza Domowa«, chociaż mieści z górą 10.000 wierszów, spuścizny poetyckiej Zbygniewa bynajmniej nie wyczerpała (o czem i sam napomyka); są np. w »Wirydarzu« wiersze, których w »Muzie« niema, godne czytania.

działach. I tak staje się najważniejszą cechą poezyi szlacheckiej XVII wieku jej epika; o czym XVI wiek próżno marzył, wawrzyny Wirgiliusza i Lukana XVII posiadł. Nie sprzyjało epice spokojne życie, ruch wyłącznie umysłowy, wyznaniowy, za Reja i Kochanowskiego; spokój ten gnuśny, wczasy wygodne, zniewieściałość, zależenie domu do liryki i sielanki się nadawały, do kształcenia smaku i wiedzy, do kontemplacyi i refleksyi. Inaczej zapowiadał się wiek XVII; u samego wstępu jego szalały burze, i dalekie — inflanckie, i blizkie — guzowskie, a niesłychane koleje zdarzeń moskiewskich wstrząsały i najbardziej uśpionymi; wkońcu ta przygrywka wiekowa rozbrzmiała najdonioślej pod Cecorą i Chocimem. Przed burzą jednak, zrywającą się w połowie wieku, tamte niewinnym były preludyum: teraz nie ocalał żaden zakątek Polski: i nad ostępami borów kurpiowskich i nad piaskami wielkopolskimi czy mazowieckimi przelatywała wichura, Ruś spłynęła doszczętnie krwią i pożogą, w ruinach leżały wielkopańskie fortuny, a do gołót nieusiadłych przybyła szlachta-exulanci; czego nieprzyjaciel nie zniszczył, dokonali swoi. Wszędzie dopatrywano dopustu Bożego, czynnego wmieszania się Opatrzności, nie tylko pod Częstochową, i w bratobójczej walce pod Mątwami, gdzie w jednej godzinie cel wypróbowanego wojska ławą zaległ pod ciosami kilkuset ludzi i urosła natychmiast legenda, że straszne pobojowisko:

Nikogo nie przypuszcza ku wejściu do siebie,
Wrzask, trzask, bębny i trąby ziemia daje z siebie...
Krew zgromadzona w kupę wre, jak w kotle woda...
Niesprawiedliwej wojny znak jest oczywisty!

Już wiek XVI, za przykładem średniowiecznym, wierszował krótsze relacye o sejmach, hołdach, »jezdach do Moskwy« i »drogach do Szwecyi«; działał przykład nie Iliady ani Eneidy, lecz »Farsalii« Lukanowych, gdzie wbrew sztuce i estetyce, wojny domowe świeże wierszem bombastycznym i z sensami moralizującymi wyśpiewano; działała romantyka włoska, »historyi obozowej« »Goffreda« (Jerozolimy Wyzwolonej), najgłębsze wywierającej wrażenie; epika szlachecka XVII wieku kroczyła po wszystkich trzech szlakach — pomijamy jednak zupełnie łacińską, jako mało znaczną i na liczbę i na wartość (ciekawszy chyba »Satyrus radis« z opisem

oblężenia Krakowa 1657 r., makaronizujący z początku, potym w czystej łacinie pisany, i i.).

Zaczyna ta epika relacyą pisarza W Ks. Lit. **Eliasza Pielgrzymowskiego,** o poselstwie moskiewskim roku 1600, odbytym z Lwem Sapiehą, jemu poświęconą. Pan pisarz to jeszcze typowy przedstawiciel XVI wieku, jak i inni, co dopiero teraz piszą, na stare lata, np. mazur Okuń chwały Zygmunta Augusta (1609 r., w nadzwyczaj gładkim wierszu), albo których dawniejsze dzieła teraz dopiero na świat wychodzą, np. Wizerunki (Icones) królów polskich ks. Głuchowskiego; protestant — między promotorami swej konfesyi wymienia Pielgrzymowskiego np. Erazm Glicner w dedykacyi »Apelacyi« z roku 1598 — gorliwemu neoficie katolickiemu dzieło poświęca; pisuje panegiryki łacińskie Skuminom i Radziwiłłom, przesiąkłe klasycyzmem, a wierszuje po polsku dyaryusz poselstwa, nędzny, jako dzieło sztuki, arcyważny, jako świadectwo historyczne, porównujące oba narody, ich cechy fizyczne i umysłowe, ciekawy mnóstwem rysów i szczegółów obyczajowych, aż do najskrupulatniejszego wyliczania potraw i napojów na bankietach carskich i uczcie nadgranicznej — pendant poetyckie do prozaicznego pamiętnika Niemojewskiego. I od tej pierwszej relacyi wierszowanej ciągnie się ich rój nieprzerwany aż do r. 1699, do wjazdu i koronacyi Augusta II.

»Rokosz« opiewany jest tu nieraz i przez monarchistów i przez republikanów: Marcina Błażewskiego »Tłumacz Rokoszowy« bije na niemiłość ojczyzny, na rokoszan, na przyszłą zgubę: gdy sąsiedzi nas męcząc, nam prawić będą: jadłeś matkę (ojczyznę), otóż ci stoi w gardle kością. Rękopiśmienny »Postępek rokoszu« biadał wprawdzie nad »czasów tych mieszaniem«, ale sympatye jego były po stronie rokoszowej i, »chrapowliwym wierszem« sobie śpiewając, odganiając precz Apollina z muzami, »prostowierszem« koleje rokoszowe wyrażał. Jeszcze liczniejszych rymotwórców, Jezuitów, bakałarzów, szlachciców znalazły Kirchholm, Smoleńsk, Chocim; najobszerniej lichy, lecz pilny i płodny wierszopis, Krajewski, oblężenie Smoleńska wystawił. Powódź podobnych relacyi wywołały zdarzenia roku 1648 i następnych; Kuczwarewicza relacya zbaraska ciekawa chyba szczegółami o czarownicach »Chmiela«, jego Sołocha np.

Na mękach nie wołała, ale spała sobie;
Gdy ją palono, tylko rzekła: otóż tobie!

Bardziej zajmują liczne wiersze Jana Białobockiego, co, z kurzu wojennego otrzepawszy się, zasiadał do poetyckiego warsztatu i wydawał nietylko »Pochodnię wojennej sławy«, »Klar męstwa« i t. p., lecz i w bajce alegorycznej sił próbował: »Brat Tatar abo liga wilcza ze psem na gospodarza« (t. j. Chmiela na króla); opisywał, co sam widział, i usprawiedliwiał się przed czytelnikiem z formy utworów, gdyż zarzucano, »że wierszem pisać nie rzecz historyej», powoływał się na przykład Kochanowskiego, na przyjemność i krótkość »pieśni«, a jeżeli co z poetów miesza, »to tylko phrasis dla okrasy wiersza«. Relacye to uczęstnika; oblężenie zbaraskie wygląda w nich inaczej, niż u Sienkiewicza; traktatom nie wierzy, woła przekonany: gdy my traktatami

Ugruntujemy pokój z kozakami,
Zła żmija — piórkiem będzie ugłaskana
A w przyrodzeniu zstanie się odmiana!

Nie brak mu dowcipnych i satyrycznych docinków. Wojny szwedzkie znalazły rymopisa w Żmudzinie jakimś, co »Relacyę żmudzkiego wejścia i wyjścia ze szwedzkiej opieki« roku 1658 w saficznych strofach opisał, sarkając na odstępstwo zwiedzionych obietnicami szwedzkimi. Dzieje od roku 1656 do 1670 wyłożył Gabryel Krasiński, kasztelan płocki, w również rękopiśmiennym »Tańcu Rzeczypospolitej Polskiej albo raczej rozmowie dwojga ludzi, terrigeny z peregrinem o wojnie szwedzkiej« i t. d., najmarniejszym pod względem poetyckim, ale bardzo znamiennym dla ciasnoty pojęć szlacheckich, dla braku odwagi wypowiadania prawdy nawet w dziele prywatnego użytku, dla sądów i sympatyi spółczesnych, rozrywanych między powagą królewską a uwielbieniem rokoszanina.

O wiele obszerniejsze dzieło inne rękopiśmienne (bez początku i końca), anonima, opowiadającego zdarzenia 1648 — 1672 roku, z zastanawiającą iście ilością ciekawych nieraz szczegółów, równie zresztą niepoetyckie, jak i poprzednie.

Lepszy od obu poeta był obożny koronny Samuel Leszczyński;

potrzebę cudnowską, gdzie sam brał udział, opisał wprawdzie sucho, usprawiedliwiał się nawet z tego u czytelnika (»Nie na wiersz, nie na słowa, na życzliwość moję Ku żołnierzom Koronnym patrzy... nie za oratora Mam się ani poetę, tylko relatora Prawdziwego tej wojny imię zyskać życzę«), za to wszystko ciekawe, od przebrania się jego za Kozaka aż do porządków w wojsku moskiewskim, żyjącym z żołdu, nie z łupu, nie ciążą na nim łzy i klątwy ludzkie. Pod Chocimem sam nie mógł być, chorobą zdjęty, więc przynajmniej wierszem »Classicum sławy« hetmanowi i rycerzom zatrąbił (1674 r.), w stylu zupełnie odmiennym, napuszonym, w ślady Twardowskiego wstępującym, z obszerną budową pałacu sławy, wizerunkiem bohaterów polskich i z liczną niestety mitologią — dzieło silące się na ozdoby poetyckie, co prawda, mimo to ciekawe, stylem, językiem i szczegółami.

Z powodzi innych wierszów i pieśni na Chocimską r. 1673 wyróżnia się dokładnością świadka oczywistego »Haracz, krwią turecką wypłacony« Ślizienia, tłumaczący po bokach kart terminy obce, tureckie; uwagi godne i relacye Stanisława Makowieckiego, o Kamieńcu wziętym (r. 1672) i o szczęśliwej ekspedycyi pod Kamieńcem następnego roku; pierwsza broni załogi zamkowej, posądzanej o zdradę i tchórzostwo; druga opowiada szczęśliwą »imprezę« ze wszelkimi szczegółami, żywo a barwnie. »Wiedeńskiej« mniej się poszczęściło; księdza Drobiszewskiego (niedrukowany) opis ani poezyą, ani prawdą życiową się nie wyróżnia — później do tryumfów już powodu nie było. Tym ciekawsza rzecz obca, Mirona Kostyna, logofeta (kanclerza) ziem mołdawskich, najznakomitszego z dawnych poetów i literatów rumuńskich, »Historya polskimi rytmami o wołoskiej ziemi i moltańskiej« (r. 1684); na pomniku, jaki rodacy poecie roku 1889 wystawili, przedstawia jedna płaskorzeźba oddawanie tej poezyi Sobieskiemu; autor »wstyda się wprawdzie muzy swojej sarmackiej... z mego w niej niedostatku«, wychwalając bogactwo mowy słowiańskiej, prześcigającej łacińską, pożyczającą to u Greków, co Słowianin swojem Lubomudryje, Bogosłowije, Zwezdoteczije i t. d. bez pożyczek wyprawia. Ta »o małej ziemi mała nieudolnym stylem wyrażona historya« ciekawa jest nietylko treścią niezwykłą, ale jako świadectwo obyczajowego znaczenia mowy polskiej w XVII wieku:

Muzo przebacz Sarmacka, że twym wychowanym
Pięknie synom nie zdołam...
Ale pozwól przynajmniej prostym głosem zjawić,
Zkąd naród jest wołoski, światu to objawić...
Przy synach twych postronny niech się też pożywi;

odsyła do historyków polskich, »którym powinni siła Mołdawowie, że przy większych swych dziełach są i oni wspomnieni«, pełen szczegółów najciekawszych, od Dniestru począwszy, którego się nachwalić nie może (»Przeszkoda snu ludzkiemu, komar, tam nie żyje«), aż do wzmianek o najstarszej, »rajskiej« chorobie ludzkiej (dysenteryi).

Powoli wysychają, z dziejami samymi, i relacye o nich poetyckie; ostatnie, niedrukowane, to Akt wjazdu po koronę Augusta II:

Przybędcie (!), Muzy, na ten akt wsławiony
Wjazdu; trąbami głoście króla pana,
Abowiem wiarą świętą oświecony (wychrzta luterski),
Z Bożego daru ta mu łaska dana i t. d.

Wysoko po nad tę gawiedź rymotwórczą wzbił się w epopei historycznej Wielkopolanin **Samuel Twardowski,** przez innych naśladowany (np. przez Leszczyńskiego, Makowieckiego), gorąco uwielbiany przez spółczesnych; na jego nagrobku Gawiński pisał:

Rzuć i krusz grot twój, Marsie! twa to trąba była,
Iliadę polskich dzieł co światu głosiła...
(I po śmierci) żyje on i pod niebo mądrym wzlata piórem,

a nie mniej wysławiali słowiańskiego Wirgiliusza, którego muza heroiczna »przeszła Enniusze i chlubne Homery«, Kochowski i Potocki. Zaczął, jako poeta dworski na Rusi; wziąwszy udział w poselstwie tureckim ks. Zbaraskiego roku 1622, które po łacinie Kuszewicz opisał, po latach wierszami szczegóły dyaryusza wydał i na nalegania przyjaciół wydrukował je roku 1633 (drugie wydanie roku 1639), jako »zwyczajne ojczyste Heroikum bez farb i licencyi poetyckich«; rzecz, wobec ubóstwa polskiej literatury podróżniczej, nadzwyczaj ciekawa, bo opisuje zwyczaje i ziemie tureckie, notując starannie terminy obce; ciekawa oprócz tego

dramatycznymi zawikłaniami misyi, gdzie posłom śmierć lub więzienie groziło. Po tym pierwszym początku szedł Twardowski coraz dalej, jako historyograf niby swych czasów, przeplatając domowe gospodarstwo i dzieła wielkie panegirykami okolicznościowymi. Bawiły go wszelkie splendory, wjazdy, uroczystości i t. p.; użył na nich szczególniej w »Władysławie IV«, opisującym, jak Kobierzycki po łacinie, dzieje królewicza i pierwsze kroki króla, chociaż dzieło mu się smutnie opłaciło: przed jego ogłoszeniem złożono w grobie i Króla, i sławę Polską, a dzieło Twardowskiego kat na rynku warszawskim palił, chociaż posłowie moskiewscy kary śmierci na autorze samym, za uchybianie carowi, się domagali. Na stare lata zabrał się Twardowski i do opisu »Wojny domowej«, z której się szwedzka i inne rozwinęły; ona to wyrugowała go z Rusi Zbaraskich, Sieniutów i Wiszniowieckich, szczodrych panów jego; przed nią uchodził »zbiory wiotche papierowe w małym pudle uniosszy«, ale i w rodzinnej Wielkopolsce nie osiedział się, i w Kobylinie dosięgły go »straszliwe te wojny,

Ostrzelany którymi, huku już nie słyszę
I między Marsowymi tumultami piszę
Karty te nieskończone...

i zwątpił poeta, czy kresu ich dożyje, aż pokój oliwski chwilową ulgę przyniósł i dzieła dokończyć dozwolił. Zmieniały się tymczasem zapatrywania Twardowskiego; przestały go nęcić festyny i pstrocizny; rozpaczając nad ojczyzną, witał i Szweda, jako zbawcę, że porządek, ład, uszanowanie prawa przywróci; sarkał na nadmiar wolności polskiej; kłóły go w oczy zbytki, jakby rozszalałe w ubóstwie ojczyzny; szlachta ukrainna mogła i pod płotami z nędzy zdychać, u nas za to coraz nowe stroje, u mężczyzn jako i u pań; wtedy nastały:

Pudry, piżma i dziwne w strojach manijery,
Z cudzoziemskich alamod coraz fozy (kroju) innej,
Krymki, Szwedki, Nocenty, Ankry, Ingerniny...

Ale Twardowski jeszcze nie rozpaczał całkiem, jeszcze się łudził nadzieją, że po tych klęskach wstaniemy przecież i upamiętamy się, że, »tak grube wyzuwszy narowy, w insze się odmienim

i rady i głowy«, że karami tymi Opatrzność sama »tę nam buduje reformę«.

Twardowski był nader wpływowym pisarzem; coraz nowe przedruki dzieł jego świadczyły o tym najlepiej. Miał pretensye do stylu epickiego, potrząsał swe wiersze kwiatkami retorycznymi i porównaniami, wzorowanymi na łacinnikach; nawet ich szyk słów nienaturalny, niepolski, naśladował; wysłowienie jego dobitne a so czyste i barwne; przytym przedmiot sam ważny; treściwość a prawdziwość opowiadania jednały i najobszerniejszemu jego dziełu, »Wojnie Domowej« o 16.000 wierszach, nietylko czytelników, ale nawet tłumaczów (na ruskie). Wycieczkami na nierząd, na Sicińskiego (którego jednak po nazwisku nie wymienił!), na zbytki i skąpstwo, na straszną nieufność wzajemną (»żeśmy się tak sami strzegli siebie, jak wężów, od króla począwszy aż do dwu spółstojących«) przetykał nie tylko w »Wojnie« swe wiersze; poświęcił im osobny poemat, »Satyr na twarz Rzeczypospolitej« (1640, trzy razy w krótkim czasie odbity i natychmiast przez innych naśladowany, np. przez Rysińskiego w »Satyrze na twarz dworską«), gdzie fikcyę Kochanowskiego, poety ulubionego, naśladował, dodając leśną rozmowę z senatorem (!), wymowne skargi na sobkostwo ogólne, na przedajność trybunałów; materye jednak polityczne pomieszał z obyczajowymi, wedle błędnego trybu wieku, i wkońcu zamiast poprawy nierządu mierność horacyańskim trybem zalecał, chociaż w wierszu na rozerwany sejm roku 1639 — z którego i Łukasz Opaliński do »Rozmowy plebańskiej« się nawrócił — wyżej się wznosił, oskarżając prywatę, »przez co dziś rozrywają sejmy, przez co wkrótce rozerwiem się i my... nie strużmy już dla Boga więcej tej wolności, bo zginiemy pręcej«, co i w Omen królowi szwedzkiemu powtarzał: »na sejmach swar próżny i głosy żarliwe tylko o wolność... przez nie giniem«.

Twardowski powtarzał i Kochanowskiego i samego siebie, nieraz dosłownie, chociaż w poezyi historycznej i satyrze wcale się nie zagrzebał; nęciły go i dziedziny fantazyi i wymykał się do nich, czy to w »Dafnidzie drzewem bobkowym przemienionej«, sielance mitologicznej w kilkunastu scenach i w oktawach, ślicznym, czarującym językiem napisanych, co temat baletu włoskiego opery królewskiej przerabiały; czy to w mniej powabnej formą, ale tre-

ścią ciekawszej »Nadobnej Paskwalinie z hiszpańskiego świeżo w polski przemienionej ubiór«:

Wojnę powiem miłości i zwycięstwo nowe

pięknej Paskwaliny nad Wenerą, która przed zwycięską czystością jej uchodzić musi z Lizbony: alegorya, z epizodu romansu hiszpańskiego, Dianei Montemajora, zaczerpnięta, jak płeć piękna zakusom Wenery czoło stawić winna po drodze cierniowej, ale zbawiennej. Te same tu życzenia i nadzieje, jakie w poematach politycznych: poeta tuszy sobie, jak Paskwalinie,

Azali też światowi *reforma* jest blizka
I kiedyż ukarane takową lat złością
Pompy nasze, Saturnów z jego niewinnością
Wiek nam wrócą, wyzuwszy z twarzy się tej lisiej,
Gdy Wenus rugowana i Kupido wisi.

I w takiej alegoryi hiszpańskiej nie zapomniał Polak - obywatel o swoich, między rozmaitymi proroctwami słyszy Paskwalina i tę o strasznym pożarze na Wschodzie, wzniecionym »przez hultaja jednego z lada gdzieś tam domu i wzgardzonej faryny«, gdy dziedzictwo Lecha z ostatniej toni król wyratuje i zatknie znaki zwycięskie »po cymmerskie bosfory i czarne podwoje pontu zastąpionego« — niestety, proroctwa i nadzieje p. Samuela zawiodły.

Nie zawiodła sława jego, żywa jeszcze w XVIII wieku, wpływ jego i wzór, przemycający włoskie motywy i słowa do poezyi polskiej, najbardziej właśnie w tych romansach, drukowanych jeszcze np. roku 1701; grę namiętności miłośnych umiał wcale ładnie oddać. Spółczesnym jednak imponowały najbardziej jego »historye«, chociaż dla zbytniego natłoku ludzi, czynów i miejsc, dla kilkunastoletniego, nigdy jednolitego ciągu zdarzeń, większych obrazów epicznych nie roztaczały.

Co on zaniedbał, dokonał **Wacław Potocki,** tworząc w Wojnie Chocimskiej najdoskonalszą »historyą« polską. W pół wieku doczekał się najsłynniejszy czyn broni polskiej apoteozy poetyckiej, gdy nowa groza turecka odpór zwycięski roku 1621 przed oczy stawiła, gdy się trwożliwie pytano, gdzież ci Chodkiewicze, Lubomirscy i — Kozacy owego wiekopomnego roku, gdy z nikąd

nadzieja odsieczy czy posiłków nie świta. Znienawidzony Potockiemu, dlatego że obcy, »Snop« Wazów wytrzęsiono nareszcie; Michael — Jam Lech wróżył nazwiskiem samym i zgodnym wyborem rozentuzyazmowanemu poecie - szlachcicowi zwycięstwo i na wzór i pamiątkę skreślił owo dawniejsze. Trzymał się wiarogodnego i dokładnego źródła, »komentarza« wyprawy chocimskiej, jej komisarza, Jakóba Sobieskiego, ale na tej kanwie snuł własne domysły, epizody, wycieczki — choćby satyryczne przeciw zgnuśniałej teraźniejszości, niegodnej wielkich ojców, dygresyi i mowy; zaglądał do obozu i dywanu tureckiego, był przy modłach kornych Lubomirskiego, szydził ze słabości królewicza i opieszałości króla, a wystawiał czyny cnego rycerstwa, o nie-rycerzach, Kozakach i ich dzielności, już zapominając; zapominając też o tej strasznej trwodze, jaka uczęstników przejmowała, jaką tak dokładnie w natchnionym kazaniu Birkowskiego odczuć można, i o sromotnym epilogu, gdy obrońcom ojczyzny z głodu i chorób zdychać kazano. Dzieło nie zbudowane artystycznie, trzyma się ziemi, odrzucając wszelkie włoskie wymysły, w których trzeźwy Aryan nie gustował, naśladujący Lukana, nie Wergila ani Tassa; ale nie zimne to, obojętne rymowanie na urząd; gorąca miłość ojczyzny, coraz zmienne uczucia wstydu i dumy, zwątpienia i tryumfu, kornej nadziei w Bogu i otuchy w niezłamaną dzielność ramienia polskiego, przemawiają wymownie, dobitnie, z każdej karty. A do tego język, swobodniejszy, niż Twardowskiego, nie naginany zbyt i widocznie do łacińskiego wzoru, rubaszny miejscami, szczególniej gdy z wroga szydzi, ale jędrny, malowniczy, pełen przenośni i obrazów stawia to dzieło na czele poezyi siedmnastego wieku. I drugie zwycięstwo chocimskie, z tym co je poprzedzało, opisał Potocki, ale już szczegółowego obrazu nie wykończył, przewierszował po prostu relacyę, to co od innych usłyszał.

Obok tego eposu, wzorowanego na klasycznym, romantyczne i w »historyach« wywalczało sobie miejsce. Tak opisywał Kochowski, sztukując brak obfitszej weny epickiej wymysłami fantastycznymi, furyami, jędzami, alegoryami, i rokosz Lubomirskiego, wydając za nim »Kamień świadectwa«, i »Wiedeń oswobodzony«: oktawy »Kamienia« wylały się z wezbranej piersi, na »Wiedeń« wysilał się poeta, gdy rzemiosło poetyckie zarzucił i w historyografa królewskiego się oblókł, więc zapał jego robiony tak prędko ostygł, że

nawet do końca imprezy autor nie dobił i Sobieskiego nad Dunajem porzucił. Na kim Kochowski się zaprawiał, dowodzi choćby tytuł jednego z dzieł jego: »Nie próżnujące próżnowanie«, wzięty z przedmowy do »Goffreda«, gdzie autor - tłumacz czytelnikom polecał płód swój *otii non otiosi*.

Korwin ów — z herbem i koligacyą odziedziczył **Piotr Kochanowski,** bratanek Jana, i wenę jego poetycką — zrodzony na północy, zżył się od wczesnych lat z Włochami i z ich literaturą; wabiło go, w czym najwięcej Włosi celowali, czego w literaturze polskiej wcale jeszcze nie było, wielka epopea Aryosta i Tassa, fantastyczna i heroiczna, pełna przygód, niespodzianek, blasków, świat wschodni, rzeczywisty i wymarzony, cudowny, nadludzki męstwem i siłą, wdziękami i przepychem; wiarą i skruchą rozrzewniający, a humorem, fantazyą porywający. Materyałów na odtworzenie takiego świata w obrębie Polski jeszcze nie było — blask Warny przyćmiły kłamstwa węgierskie o wiarołomstwie Władysława — więc nie pozostawało nic innego, jak żywcem świat ten przedziwny, nęcący oko polskie samą oryginalnością niezwykłą, przeszczepić na niwę polską, »aby się pokazało, że język nasz nie jest nad insze uboższy i aby się szczęśliwszym dowcipom do ubogacenia go dalsza podała droga«.

Tak powstał przekład »Orlanda Szalonego« i »Jerozolimy Wyzwolonej« — lecz nie powiodło się obu dziełom w równej mierze. Nie znalazł się dla Orlanda żaden Tęczyński, który tak długo naglił i nawet w gładzeniu poematu sam pomagał, aż wymógł na sekretarzu królewskim — i urząd Piotr po Janie odziedziczył — wydanie »Goffreda abo Jeruzalem wyzwolonej« r. 1618. Jak spółcześni ten przekład przyjęli, dowodzą wiersze Aryana, Olbrychta Karmanowskiego, co mimo przepaści dzielącej wyznania, mimo przytyku do rycerzów maltańskich, apostrofował poetę, którego »córki Mnemozyny... zaraz w pieluchach wzięły matce (Polsce), i jego

wychowały w swoim Helikonie,
Lejąc w serce i w pamięć nauczone zdroje,
Z których codzień wdzięczniejsze płyną rymy twoje,
Rymy (acz są gdzieś insze), lecz ja mówię o tych,
Którymiś nie przepomniał kawalerów złotych,
Co Pański grób z rąk pogan srogich wyzwolili i t. d.

Kochanowski zatrzymał *metrum* oryginału, ów »przeplatany ośmioraki rym, jakim narody polerowańsze swoje heroika piszą« i zdobył dlań odrazu, na zawsze, prawo obywatelstwa w poezyi polskiej; za nim poszli wszyscy, chociaż nie każdy mu dorównał. Zresztą poczynał sobie swobodniej: wprowadzał Wisłę i Krępak lub Tatry, gdzie Włoch o Padzie lub Apeninach wspominał; rysy, o których głucho u Włocha (np. jechać na wrogu i t. p.); ścierał zbytnią pieściwość twardszym, krótszym wyrazem, iście obozowym; lecz i z jego kart bije wielka powaga i natchnienie szczere i udzielają się czytelnikowi, któremu wobec Cecory i Chocima karty te chyba aktualnymi się wydawały. »Orland« do druku się nie dostał; rzecz czystej fantazyi nie nęciła jeszcze sarmackich umysłów, którymi przecież wstrząsała walka z niewiernymi o grób Zbawiciela; ale że i nie wykończony zresztą całkowicie Orland znachodził gorących wielbicieli, dowodzą tego liczne i staranne odpisy olbrzymiego poematu (46 pieśni!), chociaż z wziętością »Goffreda«, króla poezyi polskiej, równać się nie mógł. Trudności tłumacza były w »Orlandzie« może jeszcze większe; nie lada to sztuka, bogatą treść włoskiej oktawy w jednej polskiej zmieścić; dowodziło nadzwyczajnej wprawy i władzy nad językiem, kuszenie się o podobne trudności i nie mogły się literatury »polerowańszych narodów« lepszymi albo choćby takimi przekładami szczycić. »Orlanda« Niemcy przyswoili sobie dopiero w jakie dwadzieścia lat później, ale wydali go drukiem zaraz, 1632 r., podczas gdy nasz przekład do r. 1799 a w całości do r. 1905 się odleżał. Niestety, świetny początek nie znalazł godnego ciągu dalszego, przynajmniej nie długo; tłumaczenie Adona, najtrudniejszego, bo najbardziej kwiecistego i wyszukanego w języku, tłumaczeniom Goffreda i Orlanda możeby i dorównało, ale pod rękami zakonnika Bazyliana tłumaczenie religijnej epopei Marina już na parodyę zakrawa. Epopea albo choćby nowela romantyczna należały odtąd do stałych zasobów poezyi polskiej.

Pierwszych ich prób dostarczał już wiek XVI, od suchych i bezbarwnych odbijał żywo i malowniczo dopiero styl **Hieronima (Jarosza) Morsztyna** i jego naśladowców. Hieronim wcześnie wziął się do wiersza; nim skarbił łaski urażonego wuja - opiekuna; nim werbował patronów gdzie mógł, na Litwie i w Wielkiej Polsce, chociaż na końcu w Małej osiadł i swobodne życie pędził, gędząc

sobie i przyjacielom, niczego (prócz grzechów młodości, Światowej Rozkoszy roku 1606 i jeszcze dawniejszego Zwierciadła statecznego i szalonego młodzieńca), nie drukując. Tym bardziej rozchodziły się jego wiersze w odpisach, liryki rzadko zebrane, najczęściej pomieszane z lirykami innych, dla rozwiozłości do druku wcale się nie nadające, zapomniane rychło, i nowele, cieszące się szerszym rozgłosem i po r. 1650 często drukowane, w dwóch zbiorach, »Antypasty małżeńskie« i »Philomachia abo afektów gorącej miłości wyrażenie«; niesmaczne tytuły zbiorowe wymyśliła dopiero mądrość wydawców; oba zbiory są odmienne duchem, w Antypastach kończy się wszystko szczęśliwie, w Philomachii tragicznie: ta więc przestrzega przed niezbedną miłością, owa jej hołduje.

Między Antypastami wyróżnia się »Historya ucieszna o zacnej królewnie Banialuce z wschodniej krainy«; o nazwie tej dowiedział się Morsztyn chyba od olejkarza węgierskiego, ale historyę wymyślił sam, wiążąc motywy z bajek ludowych i z romansów włoskich, o rycerzu-ogrodniku, zwyciężającym na turniejach i t. d. Zmysłowa uciecha ze świata i jego piękności, których się ani nasycić można, wyrażona otwarcie w owej młodzieńczej »Rozkoszy«, mimo jej zakończenia na temat *Vanitas vanitatum*, bije i z tych kart; w »Rozkoszy« już na wyliczania się silił, w stylu barokowym, w »Banialuce« dokazał sztuki, której żaden poeta polski nie doścignął: gdy u trzeciego pustelnika królewicz o zaginioną kochankę pyta, zwołuje pustelnik wszystkie czworonożne i ptaki, i poeta każde ze swoim głosem wystawia, a więc »żóraw strukał, plegotały kaweczki, sroki szczekotały, głuszec puchał, ich cieciórki kokały, zięba wietała, słąka krzęczała« i t. d. i t. d., myśliwy ucieszyłby się z tego wierszowanego katalogu. Polaka znamionuje, że o swoich myśli, więc rzecz o Gryzeldzie do źródeł Wisły (w Cieszyńskie) przeniósł a Banialukę zakończył, myśląc o ślubach Jadwigi i Jagełły (są wyraźne aluzye!). Język nadzwyczaj gładki.

Publiczność smakowała w takich rzeczach. Gdy młody Borzymowski podróż morzem z Gdańska do Lubeki odprawiał roku 1651, opisał ją roku 1662 całkiem w guście romantycznym, z fantastycznymi przygodami na lądzie i morzu, z awanturami miłośnymi, zdradą i jej ukaraniem, ale i on z polskim obywatelstwem się wydał, gdyż umieścił obszerny opis potrzeby Beresteckiej, opowiadając o niej ciekawemu gospodarzowi Niemcowi, przyjmującemu gości, jak patryarcha jaki starozakonny. I roi się od takich nowel; nawet dla owej historyi francuskiej z roku 1643 (Łukasza Opalińskiego) znalazł się »poeta« na Rusi, co ją obszernym wierszem wyłożył, ciesząc się ze swej ojczyzny, przeklinając Kallimacha i Makiawela — owe strachy szlacheckie w biały dzień. Inny, Adam Korczyński, zwierszował jednę z nowel »Siedmiu Mędrców«, »Wieżę«, wcale ładnie i dowcipnie; bohaterem jej zrobił znowu Polaka, co śpiewając dumy kozackie, podbił serce cudnej Włoszki i staremu mężowi (arcysztucznym podstępem) ją uwiódł.

Wobec tego rozwielmożnienia się epiki historycznej i romantycznej musiała się wzmódz i religijna; w kontr różnym łacińskim, dawnym Chrystyadom i Jezuidom pomyślano o polskich Mesyadach, i wiek XVII ujrzał ich cały szereg. Rozpoczął go Abraham Rożniatowski, wypełniając śluby więzienia moskiewskiego w Kalwaryi Zebrzydowskiej »Pamiątką krwawej ofiary Zbawiciela« (roku 1610); dzieło się podobało, przedrukowano je jeszcze i roku 1692, ale autorowi wydało się zbyt obszerne, więc skrócił je o połowę, poprawił, wygładził i wydał roku 1618 jako »Zwierciadło smutne« i t. d. (przedrukowane np. r. 1634). Opowiedziano tu pasyę wedle czterech ewangelistów z rozmaitymi dodatkami, jędrnie, po żołniersku, nie szanując uszu — Judaszowi np. »telbuch jak bęben puknie« (»aż twarda skóra pukła« w Zwierciadle); przykład Rożniatowskiego podziałał; następca jego wręcz go okradał.

Był nim ksiądz Walenty Odymalski; napisawszy żywot Matki Boskiej (r. 1660), dziesięć ksiąg historyi »Świata naprawionego od J. Chrystusa« roku 1670 w całości wydał; nie ograniczył się Męką Pańską, lecz dał całą historyę upadku w raju i t. d., w języku nadzwyczajnej czystości i w wierszu gładkim: obok tego dbał o prawowierność i skrupulatnie po bokach teksty pisma i autorów aprobowanych powoływał; baśni apokryficznych za to nie pomijał; tylko dziewiąta i dziesiąta księga o »Męce i Zmartwychwstaniu« prawiły; dla epopei wybrał przeciw »aleksandrynom« Rożniatowskiego oktawy; obaj wstrzymywali się od mitologii, ledwie że się im wymknie Olimp albo oszczep w Lemnie kowany czy »trzoszczoki« stróż Cerber.

Gładki, całkiem prozaiczny tok Odymalskiego nie zadowolił wszystkich; po nowe wawrzyny sięgnął i ksiądz Szymon Gawłowicki

w »Jezusie Nazareńskim .... albo Jeruzalem niebieskiej przezeń wyzwolonej« (r. 1686), gdzie sam tytuł wzór wydaje:

Zbawienne boje niezwyciężonego
Śpiewam Jezusa, wodza wszech narodów,
Który dla ludu dziedzictwa swojego
O jako wiele przebył krwawych brodów!
Okracając śmierć i czarta hardego,
By z niewolniczych wyswobodził grodów.
Śpiewam — co mówię! płakać raczej muszę,
Kiedy pamięcią ran świętych poruszę.

Takich to strof jest kilka tysięcy, na dwadzieścia ksiąg rozłożonych. Wszystkiemu nadaje ton jakiejś familijnej poufałości, czasem wcale wdzięcznej i rzewnej; nie waha się trybu polskiego przenosić w sfery nadziemskie z całą naiwnością średniowiecznego poety czy malarza; np. przy »Wniebowzięciu« »już przez portyery nieba uchylone na Cię wygląda twój Ojciec«; Syn, jak szlachcic polski, co z podróży zagranicznej wrócił, całuje Ojca w rękę, składa relacyę, Ojciec całuje go w głowę; aniołowie stoją na warcie, szpieg niebiański melduje się i prowadzą go lepszym nawet porządkiem, niż w obozie polskim. Inna osobliwość Gawłowickiego to ciągłe, przedługie rozmyślania, mowy i monologi; sam mało opowiada stosunkowo, ciągle malując mowami stan duszy. »Poetę« ratuje język, tak mile uszy łechcący, że i dzisiejszy czytelnik nie prędko sobie w nim stęskni; ratują go obszerne, choć nie zawsze szczęśliwie dobrane porównania.

Większego zadania podjął się **Wacław Potocki.** Chciał stworzyć olbrzymią parafrazę całej ewangelii, wystrzegając się najmniejszego dodatku do jej szczegółów, stosując tylko jej nauki do dzisiejszych czasów, do duchowieństwa, do praktyk zewnętrznych, do niemiłości ludzi, wypowiadając ewangelią wojnę grzechom i zdrożnościom tego świata, zabłądzeniom sekciarskim. Tej całości może i nie wykonał, pozostały tylko resztki obszernego brulionu, z ciągłymi wstawkami i poprawkami: poeta nigdy nie był z siebie zadowolony. Wykończył tylko taką parafrazę »Passyi Pańskiej« (r. 1679 i 1680), od której całe dzieło zaczął był nawet; wydano ją już po jego śmierci (r. 1698) i z pobożnymi dodatkami powtórzono za Sasów (dla wnuczki poety).

»Nowy Zaciąg« Potockiego przypomina »Pamiątkę« Rożniatowskiego, lecz eksaryan zachował wstręt przeciw wszelkim dodatkom i wstawkom do słów ewangelii — próżnobyśmy szukali u niego jakich szczegółów apokryficznych, o Weronice i t. p.; nie domyślając się ponad brzmienie tekstu niczego, rozszerzał tylko słowa i obrazy ewangeliczne. Styl jego nie ów gładki i jasny, ale suchy i mdły Odymalskiego i Gawłowickiego; kwiatków poetyckich nie szuka; nie układa harmonijnej całości, śpieszy się widocznie ku końcowi, mimo to wywołuje inne, głębsze i trwalsze wrażenie; nie darmo Lipski książkę przedrukować radził, nie darmo dopisał Lubieniecki na rękopisie: tu się sam przewyższył. Ton całości odpowiada tytułowi wojowniczemu (»Nowy Zaciąg«): huk bębnów i kotłów rozlega się nietylko w przedmowie, oddychającej Marsem, lecz i całe dzieło do niego nastrojone; autor jakby przebiegał miasta i wsi i wzywał do pokuty i skruchy, jakby werbował, zaciągał wszystkich pod tryumfującą Jego chorągiew, jakby obiecywał hojny żołd i liczne zasługi tu i na tamtym świecie. Wszędzie zaczyna od siebie: przy każdej nowej męce, ranie, zelżywości, zwraca oburzenie od kapłanów, tłumu i katów przeciw sobie samemu, ile to boleśniej, gorzej, złośliwiej on, odkupiony ową krwią najdroższą, myślą, radą, uczynkiem lży, rani i męczy Zbawiciela; namiętne skargi i żale jego uniewinniają niemal Żydów i Rzymian, a zwracają się przeciw niewdzięcznym, niegodnym chrześcijanom, ich nieprawościom, ich zbytkom w strojach i napojach, ich grzechom. Na całość składają się więc tok opowiadania i akta skruchy; tok nie jednolity, rozpada się na ustępy, powiązane zewnętrznie; nieraz się arcynaiwnie wyraża, np. przy pojmaniu w Ogrójcu:

Padszy na świecką zgraję hultajskich młokosów,
Niejeden garść Twych świętych pokazował włosów,
Niejeden cię koszturem w bok, niejeden między
Łopatki pchnął, a insi, szukając pieniędzy,
Rozpasują, macają, trzęsą zgoła wszędy...
Hajduk, drab, szuja lepszy gdzieś kobyły łupi [1]),
Przy obecności pańskiej a jeszcze biskupiej

[1]) Spółczesny czytelnik, w rękopisie Lubienieckiego, zaprotestował przeciw tej rubaszności, jako niestosownej.

Okrutnie związanemu Chrystusowi w stryczki,
Gdyżby nie śmiał inaczej, zadaje policzki...
Samym biskup od kata różny kapeluszem,
Broda, jak u proroka, cnota, jak u draba...
Bo i biskup i hajduk jednacy hołysze:
Z żydowskiego procesu dyabeł dekret pisze...
Stałeś, jako jeden słup, zsiniały na zimnie,
Stałeś *bez czapki*, bosy, uplwany, kwoli mnie...

Ale wszelkie te płaskości i śmieszności okupuje u bacznego czytelnika niekłamany afekt autora, wyrażony w stylu arcydobitnym, silny język silnego uczucia. Zamiłowania swego dla świata rzymskiego nie zaparł się autor i tutaj, porównania czerpie, wprawdzie nie z mitologii, usuniętej zupełnie na bok, lecz z dziejów; przeważają przykłady, wzięte ze Starego Testamentu lub z otaczającego życia, czasem dziwaczne i niesmaczne, np.:

Nie na papierze, który lada molem ginie,
Ale drukiem na ciała Twego pargaminie
Odbieram skrypt w żałosnej wytłoczony prasie...
O drogie, niezrównane nigdy pismo z niczem,
Katowskim na subtelnem ciele rznięte biczem,
Szczerozłote litery, ale nowej fozy,
Sieczystemi rózgami wybijane z brzozy.
O Jezu mój! któryś się ludzką niedołęgą
Stał tak żałośnym drukiem wytłoczoną księgą,
Przez niewinnej krwie Twojej proszę charaktery,
Pisz na sercu mym swego zakonu litery i t. d.

Epika religijna sięgała i po za ewangelie, do legend i do Starego Zakonu; W. Potocki wierszował niegdyś Judytę, życząc za Chmielnickiego czasów, żeby i w Polsce, gdy mężów brak, podobna niewiasta powstała; Stanisław Lubomirski sielankę biblijną o Tobiaszu w pieszczotliwe i żartobliwe wiersze przelał, przyczem, jak wspominaliśmy, nie brakował satyrycznymi wycieczkami, przeciw obmowom (»teraz gdy z sobą przyjaciele siedzą, bardziej z bliźniego, aniż z bliźnim, jedzą« — dawniej dwór miewał »pokojów mało a siła pokoju«). Żonie jego poświęcił ks. kanonik Wadowski »Daniela proroka« (1699), gdzie tekst biblijny rozszerzał nieskończonymi moralizacyami, jak i w poprzedniej swej pracy, w »Cieniu życia ludzkiego« (1691), »ciesząc się Polską i językiem«,

szturmując na pijaństwo i obżarstwo, z którego »złe wszystko idzie jako z jeża ości«, pijany bela:

Tacza się, jak na wiosnę zagłodzona szkapa;
Tęć z głodu zimowego drżącą wiatr powiewa,
Ten zaś z trunku dobrego krzyczy, bije, ziewa i t. d.,

na inne niedostatki Polski, której się już nic nie wiedzie — nie brak naturalnie wyzwisk na akatolików; czym mniej ich było, tym zapalczywiej na nich sarkano.

Ks. dziekan Kuligowski zapełniał inne luki epiki ascetycznej, odwieczną, buddyjsko-chrześcijańską legendę »Królewica indyjskiego w polski strój przebierając« (1688), przyczym tę legendę o »Jozafacie i pustelniku Barlaamie« bardzo rozszerzał; sapieżyński ten poeta wydawał i »Demokryta śmiesznego«, niby chrześcijański, t. j. nie wszeteczny zbiór anegdot i dworstw, z wierszami na herby, i »Heraklita smutnego«; ks. Auszpurgera i i. pomijamy.

Jak w wierszach świeckich i religijnych, tak w tłumaczeniach nawet z klasyków przeważał element epiczny. Kiedy XVI wiek tylko polską Eneidą się szczycił, teraz Owidyusz, Lukan i inni epicy nieraz po kilku tłumaczów znachodzili. Polskie tłumaczenia pozostawały daleko w tyle za oryginałami; dobierając niezbędnych rymów, rozszerzały tekst wstawkami; już Wacław Potocki na nie się skarżył i słusznie. Wyjątek stanowi jedyny Jakób Żebrowski, tłumacz »Przeobrażeń« (r. 1636); każdy heksametr oryginału polskim aleksandrynem oddawał, a więc liczby wierszów łacińskich nie przekraczał: ale język jego, archaizmami i prowincyalizmami gęsto przesadzony, twardy, a wiersz chropowaty; Otwinowskiego tłumaczenie obszerniejsze, gładsze, wodnistsze. Chróściński, sekretarz i poeta Sobieskich, przetłumaczył Heroidy Owidyuszowe: »Rozmowy listowne albo raczej wzajemna heroin greckich z kawalerami korespondencya« (r. 1695), gdzie najciekawsze pożegnanie córki — przyszłej elektorowej bawarskiej, przez króla napisane:

Już że, gdzie niesie fortuna cię twoja,
Z domu rodziców, jedynaczko moja,
I z domu braciej za ojczyste progi,
Bierz się do drogi i t. d.;

polecając córkę opiece Boskiej i świętych, błogosławi ją i kończy:

Życzęć pociechy z mych wnuków, z twych dzieci
Ociec, Jan Trzeci.

Ten sam Chróściński równocześnie z Bardzińskim »Farsalię« Lukanową (z dodatkami) tłumaczyli — w nich to godziły wyrzuty Potockiego, zasłużone, chociaż Bardziński, za krótkością goniąc, Cezara Cesarzem i Carem nazywał, gdy wiersz go do tego zmuszał; najsłynniejsza fraza Lukanowa brzmi u Chróścińskiego:

Wygrana bogom samym się podoba,
A zaś przegraną bardziej chwali Kato;

u Bardzińskiego: Dank u bogów wziął tryumf, pogrom u Katona; Bardziński silił się również, jak Żebrowski, wierszów nie mnożyć, chcąc dowieść, że i polszczyzną tak trudnego autora dobrze oddać można, choć obcym się zdaje, jakoby nasz język był ubogi, a to nasza tylko wina, że się obcym językiem posługujemy radzi. Ale Bardzińskiemu nie dopisywał język, wiersze np. »piknęło przez Cesarza, czupryna mu wstanie« nie rzadkie; Chróścińskiego tok składniejszy, chociaż sam wybór oktawy (czasem jedna oktawa jeden heksametr oddaje!) do rozszerzenia zbytnego kusił.

Obok nich tłumaczył Ustrzycki, ciężkim językiem, łacinę Klaudyana i Stacyusza, równiejszym, śpiewniejszym Marina i Francuzów, z których już dawniej, np. Bartasa »Judytę« przełożył Rafał Leszczyński (1620 r.), przekład swój, wcale gładki, ale znacznie skrócony, na żądanie bratowej, Ostrorogowej, w druku wydając. Z tegoż Bartasa (Kalwina francuskiego), przekładał i Jagodyński rzeczy alegoryczne pięknym językiem. Wierszowano i prozę łacińską; sam Potocki z Liwiusza epizody wybierał (walkę Horacyuszów i Wirginię); całą »Argenidę«, romans polityczno-alegoryczny Barklaja, zachwalający monarchizm absolutny, poradnik, jak twierdzono Richelieu'go, właśnie dla jego mądrych sentencyi wyłożył i chociaż dopiero po śmierci autora »Argenidę« wydano, cieszyła się ona, jak wydania jej, wyciągi, kontynuacye, naśladowania i liczne odpisy dowodzą, nadzwyczajną w republikańskiej Polsce popularnością: wobec romansowych jej awantur zapominano widocznie o tendencyach, które zresztą Potocki osłaniał, niebu polskiemu je akkomodując; »konkurenci« o rękę Argenidy (a z nią i jej państwa — Francyi), ich niesłychane przygody, walki, przebrania,

ucieczki, intrygi i t. d. bawiły dorosłe dzieci sarmackie. Podobną będzie »Historya o Agnulfie i Floreście« Zawiszy (r. 1689), z włoskiego wyłożona. Poetów klasycznych i włoskich, nie-epików, wyjątkowo tłumaczono; Horacy jedyny, dla sentencyi, miłośników znajdował (prócz Petrycego kamen moskiewskich, Libickiego), ale tylko jego liryki, potym i Persyusza satyry i Epikteta gnomicznego tłumaczono lub naśladowano (Bachowski); Petrarki tylko ustępy, znowu Jagodyński, przekładał.

Epika polska, jako obywatelska, przeplatała się stale satyrą, i w najcelniejszych swych dziełach, w »Wojnie Domowej« i w »Chocimskiej«. Element ten również charakterystyczny dla poezyi wieku, celującej w tym nad prozą, co niemal zawsze w ton kaznodziejski wpadała, w kazaniu Bembusa niemniej, jak w »Reformacyi« Starowolskiego. Na początku wieku występuje w niej Zbylitowski Piotr, ale satyra jego bezzęba, moralizująca, polityki, anarchii — rokosz stał za drzwiami — nie tykała wcale, zwracała się w »Rozmowie szlachcica polskiego z cudzoziemcem«, w »Przyganie wymyślnym strojom białogłowskim«, nakoniec w »Schadzce Ziemiańskiej« (roku 1605) głównie przeciw zniewieściałości swywolnej młodzieży, odwykającej od bojów, przeciw wymyślnym modom, które z dawnych Polek jakieś cudzoziemki urobiły, przeciw opilstwu, czyniącemu »posiedzenia« i »gościny« nieznośnymi dla trzeźwego człowieka. Ponieważ satyry te szły do druku, więc autor zastrzegał, że sam błądzi, jak inni, że do poprawy nie nawołuje, chyba za zezwoleniem ogólnym, że nie wyrywa się przed innymi — czynił to przynajmniej tak wyraźnie, że ironii dojrzeć musiano. Lecz podczas rokoszu, w tumulcie ogólnym jego rzeczy nie słuchane zaginęły.

Jeszcze mniejszy talentem a może i wpływem, choć ruchliwszy i nadzieje świetniejsze rokujący był Mazur, co miał niby świat zadziwić — tak mu koledzy po piórze przyznawali, — pisarz celny łomżyński, Stanisław Witkowski, folgujący żyłce satyrycznej w »Apophtegmatach albo subtelnych powieściach« (1615), gdzie z prozą Budnego wierszami rywalizował, albo w »Złotej Wolności Koronnej sejmom i zjazdom służącej« (1609), gdzie wprowadzał rozprawiającą o pochodzeniu swym, o zepsuciu obyczajów, braku sprawiedliwości, zbytkach i t. d.; Witkowski ciekawy też jako najgorętszy wielbiciel Klonowica dla satyry jego: »Żydowin, Gre-

czyn, Latium go znało i po Maronie pierwsze miejsce dało!«; trafnie odczuwał własną niższość:

Siła nas takich, co rytmik piszemy,
Lecz wiersza mądrze nigdy nie stawiemy,
My, rymołowcy, tamto[1]) poetowie
Znać ich po mowie i t. d.

Literatura satyryczna styka się z obyczajową, gnomiczną, dydaktyczną, szczególniej w epigramatach i anegdotach, gdy żart w poprawę obyczajów godzi. Witkowski anegdoty z Plutarcha i »filozofów« coraz przeciw spółczesnym zastosowywał, przeciw konfederatom, wojsku, dworzanom, kobietom, zaręczając, że jego żarty przeznaczone dla niepokalanych uszu wstydliwych panienek »które się kochają w czytaniu, a o fraszkach w kramie się pytają«, ale wiele tam grubych nieprzyzwoitości. Znacznie dowcipniejszy, niż ten Mazur, był Litwin, Jagodyński (pod którego imię później znany sekretarz Katarzyny II, Jagużyńskij, się podszywał); jego »Dworzanki«, szczególniej zaś »Grosz«, jeszcze w XVIII wieku przedrukowywany, zalecają się i pomysłami, i formą — ulubił sobie kalambury i gry słów, o pokoju, o człowieku — cło wieku; pop przysięga do śmierci nie pić, za to pije do chłopa i do dna; jeślić Polska nierządem stoi, to my synowie nierządnicy i t. d. Za »Dworzankami« Jagodyńskiego (niedrukowanymi »Drwami« Karmanowskiego i t. d.), poszły »Dworzanki« Gawińskiego, najlepsze z całej spuścizny poetyckiej sielankopisarza małopolskiego, okradającego poniekąd Szymonowica, i psalmisty, jeźli się w panegiryki i inne wiersze okolicznościowe, choćby przeciw Turkom, nie bawił. Dalej »Niepróżnującego próżnowania albo epigramatów polskich« księgi Kochowskiego, między wieśniakami zrosłe, rubaszne, wszeteczne, pomimo cenzury duchownej: gadki (zagadki) rozmaite, wiele rzeczy z Martialisa (od Smolika począwszy, ulubionego i coraz naśladowanego wzoru dla polskich epigramatystów), kalambury, maksymy etyczne, aksyomy polityczne, np.:

[1]) Ci poeci są wedle niego: Rej; Kochanowski, mąż nieścigłej cnoty przyniósł rym złoty; Zbylitowski (Andrzej! nie Piotr), wydwornej wymowy, bogaty w rozum, brakujący słowy; Klonowic; Grochowski wiersz smaczny kuje; Symonidowa poesis uczona.

Bóg *słowem:* Stań się, stworzył świat ten, aleć i my
Też *słowem:* Niepozwalam, Polskę rozwalimy.

Najsłabszy w ich gronie, prócz Ineza i Kuligowskiego, skromnej weny, to inny Litwin, podczaszy Daniel Bratkowski, co w »Świecie po części przejrzanym« (1697) żarty, przycinki na urzędników, sejmy, pobory, wici, na prostuszkę (wódkę, którą Ruś zaraz na stół wystawia, gdy Polacy wprzód długimi dyskursami się zabawiają), na Mazurów i piwo mazowieckie, dobrodusznie rymował; język jego, bogaty w prowincyalizmy, ciekawszy, niż jego dowcipy.

Ulubione takie facecye — nie darmoż przedrukowali u siebie Polacy i facecye Pogiusza, które chyba łacina przed ręką kata ustrzegła — sowizdrzalskie (mieszczańskie) i szlacheckie, które później w lud wsiąkały i dziś po naszych publikacyach etnograficznych, jako ludowe, pokutują, nie zastępowałyby jednak satyry wierszem, politycznej i obyczajowej, godnej stanąć obok »Reformacyi obyczajów« Starowolskiego. Zepsucie i jawne błędy wieku musiały ją niechybnie wywołać, a mistrzami jej są dwaj bracia rodzeni, napozór bardzo do siebie niepodobni w gustach, zasadach, postępowaniu, a jednak, przy głębszym wniknięciu, nieodrodne płody magnackiej — nietylko wyniosłości i egoizmu, lecz i ogłady i tradycyi, co w szlacheckiej anarchii, umysłowej i politycznej, zagrzęznąć im nie pozwoliła, chociażby samym z tym mogłoby być wygodniej.

Łukasz i **Krzysztof Opaliński** różnią się i swoim *credo* literackim: Krzysztof rozwlekły, wielomowny, niby ten Nil, co wiele błota z sobą wlecze; Łukasz, jak Szymonowic, dyskretny w słowach, nie gustujący w długich chryjach, rzucający raczej szkic (on pierwszy użył umyślnie słowa tego włoskiego dla pracy swej), niż rozwałkujący swój pomysł. Nie jedyna to zresztą między nimi różnica; dzielili obaj najgruntowniejsze, a zarazem wielkopańskie wykształcenie[2]) widzieli i znali świat, ale, gdy Łukasz, acz wcale nie monarchista z przekonania, wiernie przy królu wytrwał w przejściach najcięższych, Krzysztof wieczny malkontent skryty i zdrajca jawny; jeden bronił Polski przed kilku uszczypliwymi uwagami cudzoziemca, drugi sam sformułował przeciw niej najcięższy akt oskarżenia; jeden — poeta nie bez talentu i autor nie bez zasług, zapomniany wcześnie; drugi, choć sam o sobie inaczej

rozumiał, z Muzami nigdy się nie zetknął, lecz z pamięci polskiej nigdy nie wyszedł. W tym jednak znowu się spotykają, że karyery świetnej nie zrobili: Łukasz, choć się do wielkiej laski piął, »i z małą nie wiedział co rzec«, Krzysztof z województwa poznańskiego wyżej się nie wzniósł, jak niegdyś Ostroróg ze swej kasztelanii, którego w niejednym przypomina.

Zerwanie sejmu roku 1639 natchnęło Łukasza do napisania owego dyskursu (r. 1640) o konieczności odmiany regulaminu sejmowego; zerwanie sejmu roku 1652 podyktowało mu wymowne ustępy w »Poecie« i w »Coś nowego«. »Poeta«, pierwsza poetyka polska, wyprzedzająca Boileau, stwierdzająca mniemanie autora o sobie: »możem mieć miejsce miedzy pisorymy«, kreśli przymioty prawdziwego poety, występując przeciw rymorobom i liczyzgłoskom; wystawia przykłady erotyki, epiki, satyry; bije przytym na marne *vota* w senacie i sejmy, niszczące czas, na »cne niepozwalam«, przez które dziś »obrona Rzeczypospolitej na dyskrecyi jest posła z Upity«; niegdyś było stróżem wolności, teraz przewrotności instrumentem się stało:

I na zgubę jej (Rzeczypospolitej) dosyć jeden głupi,
Lubo przewrotny, gdy go kto przekupi;

szydzi z wojaków, potrząsających Marsem [1]), co to ojczyźnie służyli, ale jak:

Służył, a wprawdzie pięknie, lecz w tańcu
Przy winie, skrzypkach i łojowym słońcu;

szydzi z zaciągów niby cudzoziemskich, z dragonów co »drą a gonią, z takich co

Ledwo Gib fajer a Werdo zrozumie,
Już, że niemiecki tryb, powiada, umie;

[1]) Satyra ówczesna nastaje często na te rodomontady i blagę; już we »Władysławie IV« wystawiał Twardowski przechwałki wojska ukrainnego przeciw Szwedom Gustawa Adolfa: »Cóż, morskich tych szewluhów śmierdzących śledziami Nie mieliby za morze zasiec nahejkami?«; w »Wojnie« skarżył się dobitniej: »Że doma Aleksandry za stołem bijemy, A na wojnę bez prochów i lontów idziemy«. O wiele ostrzej sarkał Potocki na g..... zasługi wojska polskiego.

bojąc się jednak zadrasnąć dworzan i duchownych, mija ich i prawdziwy cel życia wystawia, nie utrzymawszy się w karbach poetyki i satyry. »Coś nowego«, z tego samego roku 1652, jest najdowcipniejszą satyrą polską przed Krasickim, w formie rozmowy (mówił ktoś z kimsi coś), notowanej »co mógł ołówkiem pogonić«, mieszanej prozą i wierszami, wedle wzoru tkzw. satira Monippea. Wszystko milczy, nawet drukarze krakowscy, »tylko minucyje (kalendarze), a sam ks. Starowolski żywi ich na świecie, akademicy patrzą *in Posteriora Aristotelis* i jego mądre portki na swym ramieniu noszą, a po sześć groszy do św. Floryana na msze i nieszpory muszą iść pieszo«; Jezuitom trudno z Alwara czegoś mądrego zaczerpnąć; inni mnisi argumentują z wrzaskiem *pro* i *contra* lub używają życia albo, jak Dominikan Okolski (w »Herbach«), »siła drew ten głupi mnich popisał, a przecież on mądry«. Nicują dalej rozmówcy sejm i senat i ich *vota* nikczemne, jak na sejmie każdemu wolno zgubić ojczyznę i prywaty dopinać; dalej wojsko niekarne, wodzów, dobrych chyba »p..... przy kominie lub michałki (kieliszki) rachować«, i cały tryb wojenny bez strzelby wojennej, jednym nabiciem odprawiamy kampanię. Rozmowa skacze, »jak pchła po koszuli«; dotyka nierządu we dworze; cudzołóstw, przeciw czemu duchowni nie powstają, bo sami grzeszą: ksiądz Gach przy mszy pyta *Dominus Vobiscum, chłopcze, co to za pani? — Et cum spiritu tuo, Pani Giemzicka to,* a ksiądz: *Oremus, nadobna!* Przechodzą do Pilawiec: »wojnę głoszą rytmy moje, w której szable ani zbroje ledwie co potrzeba było« i t. d.; pytają, kto przyczyną ucieczki — »ręka nas dotknęła Pańska i rozum odjęła jak to więc *zawsze mówimy, kiedy co sami pokpimy«;* przycinają Mazurom, że pierwsi uciekli, na to instyguj »Petrzykowski, cny Mazurze, przy twej sławnej cynozurze albo raczej gwiaździe ciemnej zrodzony« i t. d. Z ciągłymi wtrętami z bajek (o młynarzu, synu i ośle), z Lucyana (Timon) i t. d., wynicowawszy wszystko i wszystkich, sami się rozmówcy między błazny liczą i rozchodzą.

Co Łukasz w jednej satyrze piąte przez dziesiąte zamieścił, to Krzysztof punkt po punkcie rozbierał, od pierwszego wychowania panicza i jego przykładów domowych aż do nierządu ogólnego, w głowach i obozach, miastach i dworach, sądach i celach, a obok tego maksymy etyczne osobno wykładał; »rymowi dałem

pokój, choćbym ci mu pono był niezgorzej podołał«. Wziął się do satyr, namyślawszy się wprzód długo, coby też pisać:

Historyą czy rymy czy co do zabawy,
Czy sielanki, czy fraszki czyli Sowizrzałów,
Albertusów czy bajki czy też oracyje...
Czy plęsy albo pienia godne niewiem czegoś i t. d.,

jak bardzo »Satyry« jego były na czasie, dowodzi chyba fakt, że wydania ich rychło następowały: r. 1650, 1652, 1654 i t. d.; przy późniejszych tytuł pierwotny (»Satyry albo przestrogi, do naprawy rządu i obyczajów w Polsce należące, na pięć ksiąg rozdzielone«) rozmaicie odmieniano, a z tekstu wycieczki przeciw duchownym opuszczano.

Dumny magnat z opinią nie ceremoniował się, nie lękliwyż to mieszczuch ani szlachetka; on prawdę rznął i Jezuitom, zasmradzającym swoimi wychodkami świat cały, i hetmanom, co za swe głupstwa głową lub mieniem odpowiadaćby winni, i królowi, co niegodnych nagradza, i kaznodziejom, co tylko głupstwa plotą, i trybunałom, które, jeśli nie wziątkiem, to gładką białogłową zawsze skorumpować można — jednym słowem, całemu nierządowi polskiemu, sam nierządnik jakich mało, przyciął, jak nikt przed ani po nim.

Szpetne zwierciadło nie obruszyło spółczesnych, dobrze świadomych, że wojewoda, chociaż, jako satyryk, same czarne kolory nakładał, zbyt nie przesadzał; protestowali chyba ogólnikowo, że »cudzoziemskich się napił humorów, obcą skórę przywdział i nic mu się w tej Polsce niepodoba«, a krytykowali i sądzili nie autora, lecz polityka i patryotę-zdrajcę; późniejsi, Kochowski i inni, Rudawski, Paweł Potocki, sławili jego mądrość. O stylu nie możnaby tego powtórzyć, chociaż znawca, Twardowski, schlebiając (w dedykacyi Paskwaliny) twierdził, że p. wojewoda w Hipokrenie pióro maczał i Kamen aż nadto świadomy; razi nas prostota i prozaiczność wysłowienia: »jechał cię pies« i podobne kwiatki częste u niego; makaronizowanie w wierszu, chociaż sam przeciw mieszaniu łaciny do prozy nawet sarkał; jednostajność formy, nie ożywionej dyalogiem, obrazami, porównaniami. Braki artyzmu zastępuje jednak treść, mądra, obfita, prawdziwa i dosadna: można się spierać z wojewodą, czy traktaty o polepszeniu stanu miej-

skiego, albo o obmyślaniu hybern wojskowych białym wierszem właśnie wykładać należało; na same wywody jego, niemal na wszystkie, zgoda zupełna.

Czy się skarży na lichy stan umiejętności w Polsce, w porównaniu z zagranicznym; czy na ogólne pijaństwo; czy na straszny ucisk kmiotków; czy na zniewieściałość młodzieży; czy na zbytek; czy na obnażenie granic polskich, długich na setki mil, a tyluż żołnierzami opatrzonych; czy na oziębłość nabożeństwa, że się pospolitować szkoda z Panem Bogiem; czy na *interregnum* i na to, że Polacy w niczym nie są porządni, tylko w samym nieporządku i t. d., rozwój dalszy dowiódł, że wojewoda i słówkiem nie przesadził.

Dzwonił na gwałt, że nasza wolność — to niewola; że niema wolności publicznej, jest tylko prywatna; że należy wziąć kredkę do rąk, jeśli nie mają nam zabrać rzeczy naszych Żydzi, jak Egipcyanom w przeprawie przez morze Czerwone; nie karze nas Bóg za nic tak, jak »za ciężary i opresyą chłopską« — czytano to, naśladowano (np. w »Domina Palatii«), ale puszczano mimo uszu w coraz dziwniejszym, coraz straszniejszym zaślepieniu i odrętwieniu. Gorliwy katolik (jak i brat Łukasz), występował przeciw nadmiarom duchowieństwa zakonnego; przeciw owym *Vielzuschaffen* (tegoż wyrazu i Łukasz użył), owym »wszędybyłom i przymuszczkom« (Jezuitom), podobnym do rzepiu, bez których dziś już ani się żenić, ani dziedziczyć, ani urzędu dostąpić nie można; przeciw unii, radząc prawosławnych w wierze nie tykać; przeciw symonii i skąpstwu duchownych, nie czytających nic, ani Drekseliusza nawet, chyba *libri beneficiorum* i dyplom erekcyjny. Napadał, jak Łukasz, na podejrzane szlachectwo różnych Skickich; na palenie czarownic, które się dopiero w XVII wieku w Polsce zagęściło — godne ognia raczej państwo, pozwalające na to; na owych żołnierzów chełpliwych, chociaż krwią ociekli chyba w syntaksie pod magistrem Smaga albo z nosa — sięgał jednak i wyżej, tykał króla i nieporządnej »dystrybutywy«, przyczym najdziwniej lawirował między wrodzoną nieufnością a czuciem potrzeby większej władzy królewskiej; tykał urzędów wysokich, nie szczędząc tych właśnie, na które żadnych widoków nie miał, hetmaństwa i podskarbiostwa; tykał obrony i finansów, przyczym jednak ofiar własnych nie byłby ponosił; sobkostwa możnowładczego i on się, nawet na piśmie, bez zastrzeżeń ciągłych nie wyzbywał; dwulico-

wość ludzi XVII wieku, ganiących u innych to, czym sami grzeszą, znamienna i dla niego.

Satyry Opalińskich stoją na czele literatury niezmiernie obfitej, szczególniej po roku 1648, gdzie jeden za drugim, Satyr schorzałej głowy, Nowy Satyr polski, który się wraca z Bukowiny wołoskiej (Starowolskiego?), Satyr podgórski roku 1654 i t. d., nielicząc owych »Lamentów Korony Polskiej«, »Pieśni żałośnych«, Listów najrozmaitszych, gonią, nieraz wymowni, trafni, nieraz zbyt poziomi, moralizujący trywialnie.

W drugiej połowie wieku, gdy przyczyn do narzekań coraz przybywało, ubywało tej literatury, kryjącej się odtąd raczej po pamfletach (np. »Niewolnik«, »Furman« i inne), niż występującej do boju z otwartą przyłbicą, zawsze więc anonimowej, rzucającej się na osobistości, np. przy obsadzaniu tronu, buław itp., obelżywej strasznie (na żyda Becala i t. d.); najobszerniejsze użyły formy dramatycznej, »Dyalog«, niby na »teatrum Weneckim« r. 1697 wystawiony, nicujący nieudałe zabiegi królewicza Jakuba o tron, albo »Akt zapustny komediantów w Warszawie na zamku r. 1699«, szkalujący (najsłuszniej) senatorów.

Ubytek satyry poważnej wynagrodził sowicie podczaszy krakowski. Już urząd go niby poetą robił, bo bez wina weny poetyckiej się nie ruszało — kobietom, że nie piły, wena też nie służyła. I zapisała literatura imię nie jednego podczaszego (np. Cieklińskiego) na swych kartach — podczaszemu Tęczyńskiemu zawdzięcza Goffreda; najbardziej wsławił się inny podczaszy krakowski, **Wacław Potocki,** najpłodniejszy, najbardziej typowy, najciekawszy ze wszystkich poetów XVII wieku: jedyny to właściwie poeta; inni, dyletanci raczej, bawili się w poezyę przygodnie.

Jak Kochanowski w XVI, tak Potocki w XVII wieku, w poezyi, chociaż przy zmienionych okolicznościach z nią na jaw nie występował, powołanie swoje jedyne uznał, przez pół wieku pióra z rąk nie wypuszczał; osierociały zupełnie, w nabrzmiałych od starości palcach, do ostatniej chwili rapturarze swe wierszami zakreślał; ciosami losu, bijącymi raz wraz w sędziwego poetę, ogłuszany, uciekał do Muz ukochanych, zgorzkniały, zwątpiały, zapomniany przez wszystkich, Edyp z Antygoną-synową. Powołanie poetyckie objawia się jeszcze wyraźniej i w tym: inni piszą równie dobrze, a raczej równie źle, od początku do końca krótkotrwałej służby

poetyckiej; Potocki przeciwnie wyrabia się znakomicie: od trywialnej prozy pierwszych jego wierszów odbija język późniejszy, soczysty, barwny, jędrny, szczeropolski, odbija polot nie wymuszony ani sztuczny, odbija obrazowość bogata; tamci rzucają niedonoszone płody molom na pastwę albo wybiegają się do pras z kwapioną robotą, on nie wypuszcza jej z ręki, nie wierzy sobie, poprawia, piłuje, gładzi i w brulionach jego śledzimy wytężoną pracę. W zborze zaczął pisywać wiersze, religijne, jak inni Aryani, próbował sił i w wierszowaniu ustępów biblijnych, o stworzeniu świata, o Judycie, gdy w siłę męską za wojny kozackiej zwątpił. Zmuszony przyjął katolicyzm, chociaż własna żona i krewni przy aryaństwie wytrwali; w życiu publicznym czynnego udziału nie szukał, a sądy poznał dopiero, gdy mu syn własny mordercą został; z Łużny wyjeżdżał, żeby dzieci ukochane grzebał, albo w Proszowicach na roczkach szlachcie fantazyę psował, narażając się na miano starego błazna, bo elekcyę i *veto* ganił. Osowiał starzec, pocieszał się, jedną nogą w grobie stojąc, że sam choć końca miłej ojczyzny nie zobaczy, i z boleśnymi wyrzutami na ustach świat żegnał.

Gospodarstwo nie było zbyt kłopotliwe; czas miał wolny zawsze od pieniactwa i pijaństwa, od służby dworskiej i braci szlachty; umysł ruchliwy i życie myślące, sama zmiana wiary, w piątym krzyżyku dokonana, pobudzały do refleksyi, porównań i wahań; wykształcenie, nie błyskotliwe, ale gruntowne, klasyczne i teologiczne — biblię znał Potocki lepiej, niż księża, przynajmniej podgórscy; zamiłowanie do ksiąg, wyniesione już z otoczenia aryańskiego, które nauką stało; umysł krytyczny, badawczy — musiały go na torach literackich utrzymywać. I od jednej pracy przechodził do drugiej; okrzoski myśli, drobne rzuty, żarty, anegdoty, dziesiątkami lat obok wielkich dzieł zbierał, i nie było niemal pola poetyckiego, bo tylko tam go ciągnęło, gdzieby sił nie próbował. A jednak dawny Aryan nie dowierzał społeczeństwu katolickiemu; nic z tego, co pisał, z tych setek tysięcy wierszów, nie puszczał w świat, chyba drobiazg jakiś okolicznościowy, i to nie wymieniając nazwiska, i to szukając innego Śrzeniawity, sobie do pomocy. I był poeta, znakomity jak na te czasy, i nic po nim w druku nie było i nikt go o to nie gabał — cóż, że raz Ko-

chowski o to milczenie go zaczepił! I to więc jeden »anonimowy« poeta więcej, których Polska tylu wydała, od Reja do Krasińskiego.

Jak kalwin Rej, tak i ten Aryan do morza łacińskiego, które i Kochowski i Lubomirski gorliwie zasilali, nic nie dolewał, chociaż łaciną władał inaczej, niż nieuk nagłowski; Polakom tylko po polsku pisał, mimo zabobonnego respektu przed autorami rzymskimi, przed Tacytem i Liwiuszem, przed Wirgilim i Lukanem, a może właśnie dla tego. Ulubionym jego zajęciem było przewierszowywać historye łacińskie, czy je z historyi Tuana (i wojen holenderskich, o Tresie i o Gazeli), czy je z komentarza Sobieskiego (Wojna Chocimska), czy je z romansu Barklaja (Argenida), czy je z Liwiusza wybierał. »Argenida« tak się mu spodobała, że podobny romans fantastyczno-awanturniczy i sam wykoncypował, »Syloreta«, którym się w ciężkich przejściach pocieszał, bo romans uczył nie rozpaczać, ufać w Boga, a losom się nie poddawać — chociaż autorowi losy nie uśmiechały się nigdy, chociaż pogrzebał rodzinę, przyjaciół, znajomych, a sam, jako były Aryan, nie troszczył się, czy choć jego trupa pogrzebią, czy nie wyrzucą go pod płot.

Na »Syloreta« złożyły się, prócz impulsu od »Argenidy«, i »Etyopiki« Heliodorowe z wątkiem podobnym, rozbiciami na morzu, porwaniami od zbójów, ratunkami nadspodziewanymi, spotkaniami cudownymi; romans obejmuje trzy generacye, a mógłby się ciągnąć w nieskończoność; jedyna jego zaleta — język pyszny, obrazy i refleksye trafne.

Tysiące długich wierszów historycznych i romansowych to tylko cząstka jego czynności poetyckiej; religijne przeważały liczbą, parafrazy Męki Pańskiej, ewangelii, pieśni nabożne najrozmaitszego składu, dziękczynne, psalmy pokutne, w ucisku i żalu, w których głębokie uczucie religijne, szarpane walkami i wahaniami wewnętrznymi, coraz się wylewało. Zdobył się nawet na dyalog o Zmartwychwstaniu, misteryum, z Aryanem mało licujące, poważniejsze, mędrzejsze, niż rzeczy szkolne, choć w gruncie od nich nie lepsze, luźny szereg scen czyli aktów; czyżby myślał nim rubaszne i trywialne widowiska krośnieńskie zastąpić?

Syn wieku, od poezyi okolicznościowej, panegirycznej wstrzymać się zupełnie nie mógł, ale jego panegiryki nie szły przynajmniej pod prasę, sławiły zięcia chyba, wyjątkowo i króla, opłakiwały

dzieci własne. Naśladował formy utarte, ale i w nie wlewał więcej życia i werwy, niż Gawiński, a nawet Twardowski; jego »Sielanka przy szczęśliwym wjeździe Lipskiego (zięcia) na starostwo sądeckie«, a przedewszystkiem »Libusza«, obie z r. 1676, z taką swobodą i humorem napisane, że wdzięk ich i dziś odczuwamy; «Peryody«, »Smutne zabawy« i t. d. (nad zwłokami synów, Stefana i Jerzego i córki milutkiej, Zofii) prawdziwym, choć nieraz nieforemnym wyrazem żalu nieutulonego, po »Trenach« Kochanowskiego, po raz pierwszy znowu z powodzi sztucznego rozełzawienia i dymu czczych kadzideł się wybijają.

Z latami jednak rzucił poeta i epikę i lirykę i wiersze przygodne, a zasklepił się, patrząc, co się w około dzieje, w moralizujących, satyrycznych, anegdotycznych; tak powstają jego »Ogród nie plewiony«, jego »Poczet herbów« z »Odjemkiem«, jego »Moralia«, dzieło ostatnie, największe, nie wykończone, przerwane śmiercią sędziwego starca. Najciekawszy z tych dziesiątków tysięcy wierszów pierwszy zbiór, płód trzydziestoletniej pracy przygodnej; wszystko możliwe: anegdoty i facecye, zmyślone i prawdziwe, obce i własne, od Bokaccia i Poggia aż do Sowizrzałów i Jagodyńskich; obrazki szlacheckiego życia w domu i polu, w gościnie i mieście, w kościele i obozie, na polowaniu i jarmarku, u cyrulika i kupca; przygody szkolne, ze służbą, w podróży; listy, aluzye do herbów i nazwisk, żarty, z łysych przedewszystkim, z nałogów i przywar, z natręctwa ubogiego, mnicha, wdowy, z nieprzyzwoitego jedzenia, z niedyskretnego picia; nauki, przestrogi, maksymy; kreślenie okolicy, wyliczanie przesądów, sarkanie na nierząd polski, na nieuctwo duchowieństwa, na klęski i plagi publiczne, na posłów własnych i obcych: *silva rerum* poetycka, szlachecka, tylko własnej inwencyi, nie wypisywana z aktów, broszur, rapturarzy. »Ogród« ten, częściami, w rozmaitym układzie, krążył w licznych odpisach po kraju; jakiś literat dziwnego autoramentu powydobywał z niego bezeceństwa — bo muza domowa p. podczaszego ich się bynajmniej nie wystrzegała, bez cienia lubieżności, grasującej u Morsztynów i innych, we wszystkim drastycznym a naturalnym się lubowała — i wydał je w Lipsku (?) pod tytułem »Jovialitates«, chociaż jowialnego tam nic niema, czym pamięć podczaszego tylko zhańbił, dorabiając nawet z własnej inwencyi rzeczy nie rubaszniejsze, lecz gorsze.

Co w »Ogrodzie« dorywczo, do jednego lub drugiego herbu Potocki zastosował, wykonał na obszerną skalę w »Poczcie Herbów«, jedynym wielkim dziele, które w ostatni rok życia wydał; jedyne i najsłabsze, nużące jednostajnością. Nadzwyczajna, mistyczna niemal cena klejnotu szlacheckiego, przez przodków niegdyś krwią i zasługami uzyskanego, dziś i za pieniądze nabywanego; lubowanie się szlachty i wieku w emblematach, wykładach alegorycznych, aluzyach; żyłka moralizująca stworzyły tę heraldykę moralno-poetycką; wziąwszy herbarz Okolskiego za normę, poświęcał autor każdemu klejnotowi obszerny wiersz wstępu, opowiadający dzieje jego (najczęściej zmyślone, z dziwnymi opowiadaniami, czerpanymi nieraz za pośrednictwem niemieckim, ze zbiorowisk europejskich), a dodawał aluzye z okazyi herbu na domatora, na łysego, na skąpego, na duchownego, rznąc im prawdą-matkę, poczym szereg, nieraz długi, takich wierszów kończył alegorycznym wykładem, a raczej anagogicznym, bo całe dzieło przypomina ów wiekami oświęcony wykład Pisma świętego w sensie historycznym, alegoryczno-moralnym i anagogicznym (do górnego Jeruzalem prowadzącym). I to kopalnia rysów obyczajowych, anegdot, nawet ruskich, skrząca się językiem dziwnej siły i piękności, jeszcze i dzisiaj nim pociągająca.

Nakoniec w »Moraliach« wziął przed się »Adagia« Roterdamczyka — już to bez podpórki łacińskiej obywał się, jak i protoplasta Rej, wyjątkowo tylko, chociaż istniał wtedy już dawno zbiór przysłów polskich Salomona Rysińskiego, kalwina i Radziwiłowczyka, od r. 1618 częściej wydawany. Każde przysłowie czy sentencyę łacińską omawiał szeroko wierszami, nieraz po kilka razy, z tej i owej strony; rzadziej ilustrował je anegdotą, żartem, powtórzonym z »Ogrodu« albo nowym; wdawał się i w polemikę, najczęściej religijną. Dawny Aryan bowiem i jako katolik praw zdrowego rozsądku, krytyki, badania, bynajmniej się nie wyrzekł i ganił w katolicyzmie, co nagannym uważał, bez względu, że się na niego o to panowie duchowni gniewali: więc sarkał na niezliczonych darmojadów po kościołach i klasztorach, na straszny wzrost dóbr duchowieństwa, na skąpstwo duchownych, wymuszających dziesięciny, opłaty, którym i trup się nie wybiega, na klątwy o grosz; na obrazy świętych i cuda niepewne, na muzykę kościelną, brakowanie pokarmów, obyczaje duchownych i t. d., przyczym, dla

większego bezpieczeństwa tak się urządzał, że w formie dyalogu, między katolikiem a protestantem rzecz rozbierał i protestantowi silniejszych argumentów nie skąpił. W politycznych rzeczach powstawał na elekcyę, żądał dziedzicznego pana-Polaka, zniesienia nieporządnego sejmowania, kontroli nad poborcami, rozkradającymi dochody; nienawidził cudzoziemców, Wazów na tronie, Habsburgów o ścianę, tak dalece, że o najświetniejszej, Wiedeńskiej, wyprawie milczał głęboko, jakby jej nigdy nie było, chociaż Chocim sławił wymownie. W ekonomicznych biadał nad uciskiem chłopskim, nad ubóstwem miast, nad upadkiem zamożności polskiej. Ujmował się za wolnością sumienia, np. w »Kadukach (konfiskatach) Aryańskich«:

Temu nieborakowi wsi wzięły kaduki.
Czemuż to? Bo źle wierzył. Takowej nauki
W żadnym piśmiem nie czytał...
Wżdyć wiara jest dar Boży, a nuż tego daru
Temu nieborakowi nie chciał Bóg dać? to mu
Wioskę wziąć? to go wygnać na tułactwo z domu?...
A o naszej co mówią Aryanie wierze?
To, co my o ich: że w niej nie ważne pacierze.
Czemuż my ich, nie oni z ojczyzny nas ruszą?
Bo nas więcej, niźli ich...
Nie żeby oni jaką zasłużyli winę,
Tylko że słabsi, przeto z nimi za drabinę!...
I Kalwinić nie wierzą kościelnej nauki,
Czemuż na nich takiejże nie zażyjem sztuki?
I ci w Polsce nie wieczni! Skoro się przerzedzą,
Upewniam, że Anglią z Holendry nawiedzą.

Innym podobnie mądrym, dobitnym a głębokim wierszem wiek XVII nie łatwo poszczycić się może. Z większym żalem rzucał się Potocki w »Braterskiej Admonicyi do braci starszych« na panów, oskarżając ich o niemiłość ojczyzny, zaniedbanie obowiązków, obojętność wobec nawały tureckiej — skarby ich przecież przodem wysłane do Gdańska, sami do Rzymu się biorą:

Nie pisać, ale każdemu — plwać w oczy
Z takich wyrodków nieszczęśliwych trzeba,
Kto tak ospały, kto tak nie ochoczy,
Kto sławę w sobie przodków swych zagrzeba...
Wstydcież się baby, trzebienie i karli,
Chwalebnych przodków, jeśli nie kościołów,

Jeśli nie sąsiad, co oczy rozdarli,
Jeśli nie smutnej ojczyzny popiołów...
Czemuż na palcach nosicie sygnety?
Czemuż po ścianach malujecie herby?
Gdy — kufle wasza cecha i kalety,
Kiedyście z synów stali się pasierby?
Śmielsze gdzie indziej rodzą się kobiety...
Co rok pięćdziesiąt tysięcy intraty
Z starostwa i z królewskiego ma grodu,
A wżdy tak skąpy, zły i żydowaty,
Że na hajduków zamkowych dochodu
Żebrze, na swoje garnąc go prywaty,
Choć cnotliwego, bezbożny syn rodu...
W wojsku ani sam, ani ma żołnierza:
O świat, o ludzie! ni z mięsa, ni z pierza!...
Każ, królu, na te brzydkie niewieściuchy,
Jako Bolesław jednemu wyrządził,
Robić z lękliwych zajęców kożuchy...
Lecz gdybyś wszystkie chciał przyodziać tchórze,
Słać po zajęców trzebaby za morze...
Odpuśćcież, że tak piszę do was śmiele,
Ani sarkazmem mego czcijcie wiersza,
Poecie w księdze, a księdzu w kościele
Prawdą kłóć oczy słuchaczom nie pierwsza...

Nie mniej wymowne skargi na opresyę chłopską:

Ten wzgardzeńszy od żyda abo od cygana;
Wszyscy go z skóry łupią, począwszy od pana...
Niejeden się też wiesi, woli na powrozie,
Niż mrzeć od bicia, abo w gąsiorze na mrozie...
(Panowie okrutni) śmieją iść, zatrapiwszy człeka, do kościoła,
Pełne oczy krwie, pełne krzyku mając uszy!
Hycel psa do jednego razu bije w mieście;
Jemu trzeba tysiąca, mało kijów dwieście,
Na człeka, na bliźniego, co mu winien tyle,
Nie mając miłosierdzia, co wody z kamienia...
Wół w niedzielę ma pokój od jarzma, od pługu —
Kmieć z kuny lub gąsiora, nie odda-li długu,
Choć nigdy nie pożyczał od pana szeląga,
Ze skóry szyję w robocie oblazłą wyciąga...
Skoro się kmieć wyrobi, żebrze chleba póty,
Póki chodzi, aż zdechnie pod cudzymi płoty...
(Chłopi naszymi) bliźnimi, bo są ludzie wedle apostoła,
Bracią, jednego z nami członkami kościoła:

Czemuż się katolicy dziś na to odważą,
Swoją handlować bracią, pogańską przedażą,
Z bydłem wraz inwentując katolików kmieci,
Gdzie mu wszystko, począwszy od żony, od dzieci,
Duszę nawet wolno wziąć z gardła temu, co go
Zapłacił, a dopieroż jeśli kupił drogo!

Że wiersze, z tak gorzkimi, tak prawdziwymi, niestety, zarzutami na jaw pokazywać się nie mogły, wobec rosnącej drażliwości wszelakich »korolaniąt«, jak ich Potocki za Chmielnickim nazywał, duchownych i świeckich, wobec nietolerancyi coraz groźniejszej, anarchii coraz głębszej, dziwić nie może.

Niezmąconego wrażenia estetycznego Potocki nie wywoływa nigdzie: nietrafny dobór treści; kompozycya chroma zupełnie; powtarza się; zbyt rozwlekle, gadatliwie rozwodzi stary zrzęda to samo, wraca się i przerywa sam sobie; nie utrzymuje się nigdy na wyżynach, wpada nie tylko ciągle w rubaszność, ale w pospolitość płaską, w prozę rymowaną; nie przebiera nigdy w motywach, obrazach, słowach; pisze, co ślina przyniesie albo rym wymoże; szykuje — błędem całego wieku, i Piotra Kochanowskiego, zwiedziony — wyrazy dziwacznie, nadużywając swobody wzoru łacińskiego; nie ustraszy się słów ruskich, wyrazów obcych, nowotworów albo form nie właściwych. Wady to wieku, nieznającego krytyki, artyzmu, sztuki; wady to ludzi, piszących w głuszy dla głuszy samej, nie wychylających się na świat boży z pracami swymi, przeznaczających je z góry dla ścian domowych.

Braki te wielkie, liczne, rażące, wynagradza Potocki pierwszorzędnymi zaletami. Żaden z dawnych pisarzów, od Reja do Krasickiego, nie wyraził tak znakomicie i wszechstronnie typu polskiego, jak on; mimo uwielbienia świata i literatury rzymskiej, nie kazi żadne zbytnie uniesienie humanistyczne jego zasad, poglądów, sposobu myślenia chrześcijańskiego i szczeropolskiego zarazem; mimo aryaństwa dawniejszego obce mu stronienie od świata i uciech jego, zasklepianie się sekciarskie, fanatyzm; cudzoziemczyzny, Niemców, Włochów, Francuzów strzeże się może aż nadto, umiłowawszy aż przesadnie swój kraj, obyczaj, język, jeżeli w tym przesadzić można. Za to wyraził wszystko, co piękne i szlachetne w staropolskiej, prawdziwie słowiańskiej naturze; z pism jego odtworzysz społeczeństwo staroszlacheckie aż do najdrobniejszych

szczegółów, z doskonałością jego i ułomnościami, z przymiotami rzetelnymi i niezaprzeczonymi przywarami, z wyłącznością stanową i narodową, ze zbytnim trzymaniem się poziomów, realności aż trywialnej. Z pism przebija najwyraźniej Polak starej daty, niby Rej, niby Pan Podstoli; i na zawsze pozostanie on, nie Pasek ani Zagłoba, najszlachetniejszym, najlepszym, najzupełniejszym przedstawicielem w literaturze polskiego sarmatyzmu, swojskości, rodzimości, bez anarchii umysłowej i politycznej, bez zacofania i skostnienia, bez zwyrodnienia saskiego. Wszelkie dodatnie strony społeczeństwa staroszlacheckiego skrystalizowały się w tym pisarzu najczyściej, bez najmniejszej przymieszki obcej, wyidelizowały się najzupełniej.

Cóż mówić o jego języku! Mistrz on na tym szlachetnym instrumencie i wydobywa z niego tony, jakich zapragnie, prócz miękkich i pieszczotliwych, obcych sarmacie. I śmieje się i płacze i zgrzyta na przemiany; skarby tego języka nie tylko przyswoił sobie wszystkie, lecz sowicie ich przymnażał, i to nie tworzeniem jakich potwornych złożeń, w czym celowali nieucy, nie zachwaszczaniem go włoszczyzną i łaciną, czym i Kochowski grzeszył, ale w duchu języka, korzystając z jego gibkości, szczęśliwemu natchnieniu folgując. Bogactwem językowym, fantazyą językową tylko Rej się z nim zmierzy — daleko do nich i Kochanowskiemu, i Krasickiemu!

A przedewszystkim — głos to sumienia polskiego, jeszcze nie do końca kadzidłami panegirycznymi zaczadzonego. Cóż wymowniejszego nad takie wynurzenie:

Com pisał, na Bożym się sprawię trybunale:
Ten widzi, bo do Niego co godzina idę,
Że to ani na hańbę ani na ohydę,
Ale piszę, bojąc się własnego sumienia,
Kiedy zawarto wszelki sposób do mówienia.
Jakoż i pismo wyniść ma na ludzkie oczy?
Abo go spalą abo mól w kącie roztoczy.
Choćby i wyszło — tyle ogłosu uczyni,
Co drumka abo mucha w hirkańskiej pustyni.

albo pisze satyrę pod tytułem »Stary pies — gospodarzu czuj o sobie — szczeka«:

Porwij się, biały orle, radź o sobie Lachu i t. d.;

naszczekawszy się na duchownych, na panów braci i t. d. kończy:

Darmo szczeka stary pies; to będzie miał zyskiem,
Że mu się wręcz abo też dostanie pociskiem.
Śpią wszyscy na obiedwie uszy, jako w lesie.
Nikt nie wyńdzie, nie wyjrzy, pies szczeka, wiatr niesie,

a na tę samę nutę, jeszcze boleśniej:

Śpi świat pijany... Dyabeł na warcie, by nikt nie budził, stoi,
Grozi palcem z daleka, psów nawet popoi,
Żeby spali, nie szczeka żaden na katedrze,
Abo niezrozumiałym głosem; chceli pyska
Uchylić który, chleba po kawałku ciska.
Niechżeby który krzyknął, jako ogar w borze,
Heretyk! zamurować na śmierć go w klasztorze!
Abo ściąć! abo spalić! tak smaczny sen światu
Przerywać — niech paszczeki swej się sprawi katu!
Gdzie drudzy syrenami przyśpiewują, z lekka
Przygrywają, żeby spał tym smaczniej — on szczeka!

Poezyę gnomiczną uprawiano dawno już przed Potockim. Jeszcze na początku wieku odznaczył się poeta Mniszków, Jan Żabczyc, którego wiersze historyczne (»Mars moskiewski krwawy« — najdłuższy anagram na jaki się w literaturze polskiej zdobyto), i panegiryczne zapomniano, za to gnomiczne często wydawano; nawet do piśmiennictwa rosyjskiego w przekładzie XVII wieku dotarło »wydanie o dobronrawii«. Są to zbiorki p. t. »Etyka dworskie«; »Politica dworskie«; »Praktyka dworskie«, prozą i wierszem, które i w nasze zbiory przysłów — niepotrzebnie zresztą — wsiąknęły, np.

Przy paniej nie obłapić, nie urznąć palcata
W lesie, mieć chleb a nie jeść: poszło na jałata (hebesa),

— najbardziej podobał się jednak jego »Leksykon dworski« albo »Kalepin dworski«: niema Sylwy rerum, któraby nie powtarzała satyrycznego słowniczka, np. *temperans* — nie naski, *fidelis ami-*

cus — worek z pieniądzmi, *veritas et pietas* — głupstwo, *adulatio* — przysługa, *xenion — kozubales, Clio* — nimfa na wilku (puharze) i t. d. z coraz nowymi dodatkami.

Innej miary są dwaj poeci radziwiłowscy, Aryan **Olbrycht Karmanowski** i kalwin **Daniel Naborowski,** obaj nie drukujący niczego, mimo to znani i sławni; utwory ich, szczególniej Danielowe, częste po rękopisach. Spuścizna Olbrychtowa uboższa liczbą: są w niej pieśni pokutne o gładkim wysłowieniu, »Drwa« (fraszki, między nimi najznakomitsza »Wesele towarzyskie«, nadzwyczaj dowcipna, pełna uszczypliwych żartów), »Paidonomia« — niby naśladowanie Theognisa, poważna bardzo. Daniel Naborowski cieszył się u spółczesnych sławą znakomitego poety, i listy jego poetyckie do Radziwiła Janusza, »wiązania« rozmaite (dary na imieniny, kolędę) nie przeczą opinii przychylnej; lubował się w zestawianiach i porównaniach, wyliczaniach przymiotów i t. p. w dłuższych wierszach »Kur«, »Róża«, »Malina«, »Cień« i t. d.; na sto lat przed Ulrykiem Radziwiłem wysławiał przymioty »Niczego«, ofiarując »Coś i Nic takiego« księciu panu na kolędę roku 1636 z ubogiej swej gazdy. »Nic« jednak góruje nad »Coś«, jak z domowych przykładów widzimy:

Ono sławne Coś, które rokoszem rządziło,
Jako sam dobrze pomnisz, w Nic się obróciło.
To Nic jednak sprawiło potym amnestyją,
A ta zaś rozróżnionych głów i serc uniją.
Z unijej zgoda miła, z tej zaś pokój trwały,
A z pokoju obfitość i dostatek cały:
Nic nabawiło, teraz jako widzim, tego:
Nic z zaciągów, Nic z wojny i Nic ze wszystkiego!
O Nic niewysłowione, które wszystkie trwogi
I burdy ludzkie krócisz i straszne pożogi!
I ty odpuść o Książę, choć łaskawe nieba
Wszystkim Cię obdarzyły...
Zgoła żeć nie dostaje (rzekę tak) Niczego:
Przeto żebyś i to miał, czegoć nie dostawa,
Przyjmi Nic z łaską, które chudy sługa dawa,
A mnie, dla samej sfory, o wielki hetmanie!
Co daj, a tak Co i Nic pospołu zostanie!

Do jakiego mistrzostwa Naborowski dochodził, wskaże jego epigram na niewiernego szafarza »*Palinurus* abo styrnik«, wiersz

w całości niby pochlebny, rozpadający się jednak istotnie na dwa szkalujące wiersze:

1. Przyzna każdy tobie — Pókiś tu rej wodził,
   Nie panu, lecz sobie — Siłaś barzo szkodził.
   Intratyś przybawił — Nad inwentarz dawny,
   Takimeś się sławił, — Palinurze sławny.

2. Słusznie, sprawiedliwie, — W tym żaden nie zbłądzi,
   Żeś służył cnotliwie — Każdy tak osądzi,
   Kto cię tak udawa, — Żeś pokradł koniecznie,
   Sam się łgarzem stawa, — Mówię to bezpiecznie.

3. Za takie staranie — Godzien łaski zgoła
   Bodaj wisiał, panie, — Ten co na cię woła,
   W pańskiej majętności — Dostatek wszystkiego,
   Płocho i żywności — U ciebie samego.

Wiersze takie naśladowano i w XVIII wieku, np. na antagonizm Wołczyna (Czartoryskich) i Nieświeża (Radziwiłów), lecz mniej udatne:

Wzmacniajcie niebiosy — Czartoryskich siłę,
Radziwiłów głosy — Zamieńcie w mogiłę...
Nieświeskie intenta — Piorun niechaj bije,
Szczęśliwe momenta, — Kędy Wołczyn żyje...
Mieć będzie koronę, — Wołczyn niechaj słynie
Nieśwież swoją stroną — W piekle niechaj ginie.

Ciekawy też madrygał osobliwszej budowy, którym Naborowski rywalizuje z koncettystami i kultystami, a Andrzeja Morsztyna (temu mylnie ten wiersz przypisują) o kilkadziesiąt lat wyprzedził, choć tylko Francuza tłumaczył:

Na oczy królewny angielskiej (żony falcgrafowej).

Twe oczy, skąd Kupido na wsze ziemskie kraje,
Córo możnego króla! harde prawa daje,
Nie oczy, *lecz pochodnie* dwie nielitościwe,
Które palą na popiół serca nieszczęśliwe;
Nie pochodnie, *lecz gwiazdy*, których jasne zorze
Błagają nagłym wiatrem rozgniewane morze;
Nie gwiazdy, *aleć słońca* pałające różno,

Których blask śmiertelnemu oku pojąć próżno;
Nie słońca, ale nieba, bo swój obrót mają
I swoją śliczną barwą niebu wprzód nie dają;
Nie nieba, ale dziwnej mocy są *bogowie*,
Przed którymi padają ziemscy monarchowie;
Nie bogowie też zgoła, bo azaż bogowie
Pastwią się tak nad sercy ludzkimi surowie?
Nie nieba: niebo torem jednostajnym chodzi;
Nie słońca: słońce jedno wschodzi i zachodzi;
Nie gwiazdy: bo te tylko w ciemności panują;
Nie pochodnie: bo lada wiatrom te hołdują.
Lecz się wszystko zamyka w jednym obec słowie:
Pochodnie, gwiazdy, słońca, nieba i bogowie!

A na podobne igraszki, w czym później A. Morsztyn celował, sadziła się nieraz wena jego, zresztą dosyć skąpa, wyczerpująca się wierszami okolicznościowymi, np. sławną »Zwada Marsa (Daniłowicza) z Kupidynem« (Radziejowskim) z roku 1632, i fraszkami, gdzie żartował z Jezuitów i z drogi do Prus, z Litwinów i z bab a wplatał jednę i drugą bajkę. Bajkopisarstwo nie rozwinęło się bynajmniej samoistnie; utykało na prozaicznym Ezopie, chociaż przy początku i przy końcu wieku pojawiły się przekłady i innych obcych wzorów, włoskiego (Verdizotiego, wyłożył Lubomirski? a przerobił i wydał Błażowski, Setnik przypowieści), i francuskiego, Lafontena, z którego Niemirycz roku 1699 wybór przetłumaczył, wprowadzając po raz pierwszy do poezyi polskiej wiersz wolny (t. j. rozmaitej długości) i choć lekkości i zgrabności francuskiej, w ciężkich sarmackich butach stąpając, nie dosiągł, zasłużył już przez to na uznanie, że do nowych, doskonalszych wzorów się zwrócił; że od ascetyzmu, w księgach panującego, odwabiał; że prawdę, acz poziomą głosił (kiedy tego trzeba zgoła, mądry z każdym wiwat woła!); że bajce francuskiej cechy polskie nadawał, choćby zwrotami, jak np. młodzieniec jeden starego pieczywa widząc, że mu już bielała grzywa i t. p., chociaż i francuską galanteryą narabiał; że przed samym mrokiem saskim o smak dobry, pewną wybredność się starał; że nie szczędził satyrycznych docinków. Zresztą zbiór to mały na liczbę, a celu swego, syna Augusta II po polsku wyuczyć, nie osiągnął, ani poety wsławił, drukowany za granicą i tam zapomniany. Znakomitą polszczyzną wyróżniał się ów Setnik: tłumacz jego czy poprawiacz w »Tłumaczu rokoszowym« (r. 1607) wykazał i samodzielny talent, prawdy nie szczędząc, rokoszanom ostro przytykając. Forma bajki politycznej używana przez cały wiek nadzwyczaj rzadko; jeszcze nie wymagała ostrożność języka i alegoryi niewolniczych, wschodnich.

Obok rozbujałych fluktów epickich i dydaktycznych (satyrycznych) płynęła liryka znacznie cieńszą strugą. Chyba religijną popisywał się każdy; nawet Jagodyński nie »Dworzankami«, lecz pieśniami nabożnymi na trwalszą pamięć zasłużył; wyjątkowy poeta, w którego spuściźnie liryki religijnej by nie było, może jedyny Naborowski; o Jezuitach i t. d. nie potrzebujemy osobno wspominać.

I u świeckich przeważała nieraz liryka ta bardzo, np. u **Kacpra Miaskowskiego,** człowieka starej daty, wychowanego na Kochanowskim, nie umiejącego jego miary zachować. Miaskowski dopiero w podeszłym wieku do pisania i drukowania się zabrał, znalazł gorących wielbicieli, jak Herburta, który i sam w prostocie się nie lubował i przesadzie stylowej, barokowej, hołdował; jego zbiór rytmów rychło nawet powtóre wydano, lecz potym zapomniano całkiem, chyba satyryczny opis zapustu polskiego albo, oznaka nietolerancyi, list »Lutra z piekła« po »Silwach szlacheckich« się tułał.

Oprócz poezyi okolicznościowych, najlepszych, jak np. »Waleta Włoszczonowska«, którą Wielkopolanin Mazurom pruskim zostawił; politycznych — Wielkopolanin ujmował się za królem, lecz komitywę literacką z rokoszaninem Herburtem podtrzymywał; panegirycznych, nieraz dosyć niesmacznych, wysadzał się na wiersze religijne, na »Jasełeczka« i »Szopę zbawienną«, na «Rotuły« i »Antyfony adwentowe« i t. p., gdzie mu i dosadnego języka i starannego obrazowania odmówić nie można; nieszczęsna jednak mitologia klasyczna zbyt natrętnie się wsuwa, Apolina i Muzy z Parnasu do Jerozolimy najniepotrzebniej fatyguje: może te właśnie koncepty, liczne jak kwiatki w lecie, oklask Herburtów wywoływały. Wiara jednak, głęboka i rzewna, bez wrażenia nas nie zostawia, objawia się i w wierszach nagrobnych, np. na małego Rybskiego, z siłą przejmującą; katolikowi gorliwemu, poważny miłośnik ojczyzny kroku dotrzymywa, biadający nad niezgodą i rozerwaniem, z czego wróg zewnętrzny dobrze sobie tuszy; tylko niekonsekwencya ludzi XVII wieku jaskrawo się odbiła, gdy ten, co króla przeciw

paszkwilantom bronił, co z niewczesnych zakusów republikańskich szydził, Herburta, jako Herkulesa Słowieńskiego, sławił, gdy i więzienie nawet partyzanta złotej wolności nie ugłaskało.

W mieszaninie liryki religijnej i świeckiej odznaczył się najbardziej **Wespazyan Kochowski,** najcelniejszy między poetami ziemi sandomierskiej, żołnierz, gospodarz, historyograf, a w chwilach wolnych, szczególniej w młodszych latach, poeta, Horacy sandomierski, chociaż i Marcyalis w Goleniowej chętnie widzianym był gościem. Wydał liryki w czterech księgach i epodon, a więc niby całkiem po »wenuzyńsku«, lecz daleko odskoczył obywatel-Polak od Rzymianina-dworaka, już choćby dlatego, że Mecenasa i Augusta nie było nie tylko w sandomierskiej, ale i na całej polskiej ziemi — były za to Pilawce i Beresteczko, Cudnów i Mątwy, traktaty Andruszowskie i Buczackie, abdykacya i elekcye. Więc uprawiał, obok liryki religijnej, do Matki Boskiej, do której »katolik« Potocki wyjątkowo się zwracał, lirykę polityczną, refleksye na temata, jakie wypadki od roku 1648 — 1673 nastręczały, pisane naturalnie nie przez cały ów długi przeciąg czasu, lecz dopiero przy końcu jego, zwracające się więc ku przeszłości (jak i w późniejszej »Psalmodyi«). Ciekawe to wiersze, wylewy uczuć patryotycznych, uniesień i upadków ducha, skarg i żalów (najpiękniejszy za Czarneckim), tryumfów i wyrzutów (za Pilawce, Sicińskiemu), z tytułami wyszukanymi (*Bando* na Aryany, Do monarchów chrześcijańskich sąsiedzkie *quamquam* t. j. perora i t. p.), ze stylem nieraz szorstkim, z językiem zawsze jędrnym. Wobec tej poezyi politycznej i anegdotycznej, plądrującej Marcyala, którego wtedy nikt nie tłumaczył, wszyscy okradali, erotyczna niknie, chyba dwuznacznymi aluzyami wojująca, gdy np., koledze po piórze, Samborowi Młoszowskiemu, spóźnionych ślubów gratuluje; częściej sielankowa się zawinie, gdyż jego »Sielska fujara«, między wieśniakami wzrosła, i nie tail poeta, że »pługa gdy dozorny, wiersze pisze«, więc »prawdziwą szczęśliwość«, jak wszyscy poprzednicy, od Kochanowskiego począwszy, w ustronnym, zacisznym, wiejskim życiu upatrzył i sławił.

Nad poezyami świeckimi górowała liczbą religijna, w kilku zbiorach (prócz Liryk) ogłaszana, począwszy od »Różańca Najświętszej Panny Maryi« (roku 1668) przez »Ogród Panieński« i »Chrystusa Cierpiącego« aż do »Psalmodyi« (r. 1695). Poezya

nadzwyczaj słaba; »Chrystus Cierpiący« np., wedle stacyi pasyjnych w krótkim pięciozgłoskowym wierszu ułożony, fatalnie Bakę przypomina czyli raczej przepowiada, np.

Hieronim święty, Gdy ten rozczęty Akt ruminuje,
Pisania chuci Wszystkie porzuci I tu pauzuje;
Koncept w pół biegu Stanął; noclegu Nie dotarł tego...
Ty jak Dydyma, Tak pisoryma Me otwórz oczy,
Że w świętym boku Jak w żywym stoku Pióro omoczy i t. d.

Najfatalniejszy »Ogród«, bo wybierał Kochowski z jakiegoś Maryologionu wszystkie epiteta, Matce Boskiej od pisarzów kościelnych przydawane, i rozłożył je na kwatery, t. j. grządki swego ogródka, każdy epitet dwuwierszem wykładając, np. tytuł *Mater Consolationis* (wedle Efréma Syryjczyka):

Do kogoż opuszczona sierota pośpieszy?
Do Matki: ta ratuje, opatrzy, pocieszy.

Cała ta poezya przypomina dziwoląg ascetyczne saskie, chociaż język jej i koncepty jeszcze nie zmanierowane do szczętu, mimo pomysłów np. Usta zmazane i skancerowany język otwieram i t. d. Tu już występuje, obok Jezusa Sarmackiego, i Matka Koronna, np. w wierszu rzewnej prośby o pokój, tak potrzebny w tych latach rokoszowych: Ratuj, dźwignij twoję onę Trwałą w służbie twej koronę Polski tobie oddanej, Ugaś wnętrzny ogień, który Co raz bierze moc do góry od swychże poddymany; Królestwo to twe dziedziczne Trapią wojny ustawiczne, biada, skwirk, ucisk wszędzie i t. d.

Ponad te wiersze wyrasta nieskończenie proza »Psalmodyi«; duchem i wyrazami psalmisty przejmując się, składa korny u stóp Pańskich dzięki za dobrodziejstwa niezasłużone, oskarża się z grzechów żywota, nie traci ufności w miłosierdziu niewyczerpanym, i o kraju własnym rozprawia, wystawiając zbrodnie i nieprawości powszechne, dobierając najdobitniejszych zwrotów np. (u nas) droga cnoty przykra, nagroda zasług niepewna, wdzięczność za odwagi omylna, a gdy występków nie karzą, *grzeszyłby ktoby dobrze czynił* (ale ten okrzyk zwątpienia wydawały już przed nim piersi polskie...). Widzisz to, Boże czuły wolności naszej stróżu,

i grozisz pomstą zdrajcy, któryś tego balsamu wolności przez »niepozwalam« w truciznę obracać nie kazał. Pisał to zaś Kochowski wtedy, gdy się siódmy wielki »klimakter« dziejów polskich, od Chrobrego licząc, do końca zbliżał i rewolucye przepowiadał.

Zbiór to trzydziestuściu, obszernych psalmów, na tle stosunków ogólnych (od zgodnej elekcyi aż do wojen wołoskich Sobieskiego) i prywatnych (testament i t. p.; rozpatrywanie wielkości Bożej i t. d.), z roku 1693; jest to streszczenie długich rozpamiętywań prozą, jak z młodszego wieku »Liryka« wierszem były: oba utwory wzajem się dopełniają, »Psalmodya« jest dalszym ciągiem »Liryków«; dziełem, jak forma dowodzi, zupełnie jednolitym, chociaż ton poszczególnych ustępów bywa bardzo odmienny, tryumfujący i przygnębiony, ufny i pesymistyczny; całe zwroty Dawidowe wplatają nieraz w swoje; przejmują głębokością, powagą, prostotą, istny śpiew łabędzi sędziwego wieszcza, co tym szczerym głosem skruchy i żalu twarde, kamienne serca przekupnych sędziów, niecnych synów ojczyzny, wietrzników skruszyć sobie tuszył; z całej spuścizny poetyckiej, nietylko Kochowskiego, w swojej prostocie największe. Wiek XVI tylko chwilowo, u Reja i Kochanowskiego, głębin tych sięgał.

Kult Maryi, jak go Kochowski łacińskim i polskim wierszem przedstawiał, był dla tego wieku i literatury charakterystycznym; siedemnasty i szesnasty rozchodziły się na tym punkcie najbardziej; ten go niezna, ów w nim utonie, wiek sodalisów maryańskich. Wyliczać tych prac prozą i wierszem, łacińskich i polskich, niepodobna; wymieńmy jednę, kilkatysięcy wierszów polskich ks. Andrzeja Brzezińskiego, co z łaciny profesora Bieżanowskiego wyłożył — panegirysta świecki przenosił swe pióro chętnie na empirea i tym samym stylem, co Lubomirskich lub Sieniawskich, Matkę Świętą i świętych pańskich wysławiał — w dziele p. t. »Zabawa Duchowna na solenną oktawę Niepokalanego Poczęcia« i t. d. (r. 1693): pod każdy wiersz czy słowo »Pieśni nad pieśniami« podłożono tu wiersze Maryjne. W przedmowie dzieła wzmianka o cudownym obrazie Dzikowskim Maryi i o pobożności p. wojewodziny smoleńskiej: bo i historye obrazów cudownych i wysławianie żywotu pobożnego prywatnych ludzi było charakterystycznym dla wieku XVII; wiek XVI ani jednego ani drugiego nie uprawiał, miał wprawdzie »Historyę Częstochowską« (o obrazie Panny Najświętszej)

i »Łysogórską« (o założeniu klasztoru i t. d.), ale teraz dopiero roiło się od polskich i łacińskich opisów cudownych miejsc i obrazów w Sierpsku, Gidlach, Dzikowie, Leżajsku, Żurowicach i t. d., od opisów wierszem i prozą pobożnych żywotów, np. ks. Mikołaja Simowicza (r. 1682, który naturalnie i wiersze Maryjne pisywał) i innych. Charakter ascetyczny występował coraz jawniej, wyłączniej.

Nie dziwi on u księży i zakonników, u Pęskiego i tylu innych; dziwiłby raczej u **St. Lubomirskiego,** co po r. 1676, gdy (razem z Potockim W., spółklejnotnikiem), koronacyę króla Jana świetnymi stancami witał, poezyę świecką na zawsze rzucił i religijną uprawiał, katechizm wierszował (»Theomusa«, polska i łacińska), w »Melodyi duchownej« Boże Narodzenie (z wielkim wdziękiem, miejscami aż nadto pieszczotliwie), a w »Apolinie duchownym« mękę Pańską opiewał, słowa ewangelii poetyckim wykładem opatrując, siląc się na koncepty, dziwne albo raczej dziwaczne (kogut pieje na deszcz t. j. tym razem na łzy Piotrowe itp.); mimo to góruje ponad rozmodloną zgrają innych pismaków, nie wyłączając Kochowskiego. Liczne wydania, tłumaczenia (na łacinę), dowodzą wymownie, jak się te wiersze podobały; najwyżej wzniósł się w »Kohelecie«, w parafrazie poetyckiej pesymisty starohebrajskiego, odpowiadającego najżywiej własnemu nastrojowi.

W liryce, stroniącej zarówno od tajemnic wiary i aktów skruchy, jak od polityki, nie Miaskowski i Kochowski, lecz dwaj Szlichtyngowie i czterej Morsztynowie zapełniają wiek cały. W początkach jego stawał **Jerzy Szlichtyng**, protestant, sługa Radziwiłłowski, autor listu o tabace, trunku piekielnym:

> Jupiter, który siedzi na zmyślonym niebie,
> Zaprosił wszystkich bogów na bankiet do siebie.
> Tam Ceres nawarzyła piwa zielonego
> Ze szczeropszenicznych słodów nakształt Szmigielskiego,
> Lubo też jako Leszno smak wdzięcznych piw rodzi,
> Albo nakształt Brzezińskich, czym się każdy chłodzi,
> (Bogowie) podhełmiwszy (t. j. podpiwszy) skakali i t. d.

— chwałę znakomitych niegdyś piw polskich, nietylko win węgierskich muza szlachecka wyśpiewywała na wszelkie łady, od Szlichtynga aż do Potockiego, brzydząc się »smrodliwej starki

i tabaki«; tylko na Rusi prostuchę, mędrochnę czy jak ją tam nazywają, wysoko cenią. Szlichtyng w poezyi miłośnej dobierał i wdzięcznych i lubieżnych tonów, ale przeważała sielanka; jego pióra jest np., ulubiona powszechnie, »Szlachecka Kondycya«; niektóre jego erotyki miały niemal ludowy, bardzo swojski charakter, np. pieśń, już i w »Kiermaszu Sowizdrzalskim« drukowana:

O cóżeś się, pani matko, na mię zgniewała?
Żem się swego najmilszego rozmiłowała?
A jakoż to niemiłować, gdy to umie odsługować
Krasny pachołek? i t. d.

Odzywał się i wcale realistycznie, np.

A gdy da Pan Bóg dziateczki, te będą leżały
W kolebce jedno, a drugie za piersią wołały,
Papu, tatu, daj mamo, swemu dziecięciu,
Szwaczkę, praczkę potrzeba chować dziewczęciu i t. d.

Częste jego »Wilaneski« po rękopisach, tylko z tytułu włoskie, przyzwoitsze i wszeteczniejsze.

Koncepty włoskiej liryki, »Lutni boskiego Marina«, panują wszechwładnie u **Andrzeja Morsztyna,** który szkolarską poezyę łacińsko-polską, jaką go jeszcze dziad, Otwinowski, karmił, we Włoszech, za przykładem mistrza, Jana Grotkowskiego, całkiem rzucił, i odtąd w Lirykach (»Kanikuła«, zbiór z roku 1647; »Lutnia«, z roku 1661, Łukaszowi Opalińskiemu dedykowana) Marina, a we fraszkach Marcyalisa naśladował: do druku nie nadawało się z tego nic, bo prócz wysmażonych porównań, antytez, obrazów, prócz form najmisterniejszych, madrygału, sonetu, sestyny, prócz raków, echów, akrostychów, cechowała te wiersze taka zmysłowość, nie rubaszna Potockich i Kochowskich, ale lubieżna Francuzów i Włochów, że cenzura duchowna — a innej w Polsce nie było — nigdyby ich nie przepuściła. Mistrzostwo formy, swobodne panowanie nad językiem, miękkim, kwiecistym, pachnącym niemal, obfitość niewyczerpana pomysłów swoich i obcych, nadają bawidełkom tym uczucia przelotnego wartość nie powszednią; daleko poecie do szału, do namiętności nawet, on nie wstrząśnie nami, ale zadziwi i ubawi zawsze, a w śladach Kupidynka porusza się nieraz z takim wdziękiem, humorem i werwą, że rozbroi zmarszczonego Katona

nawet tam, gdzie świętokradzkim piórem profanuje najświętsze przedmioty. Czego muzy Kochanowskiemu i Szarzyńskiemu nie dały, figlarnej pustoty, gracyi, od niewinnego uśmiechu do arlekinowej pstrocizny w mowie i obrazach, plastyczności i kolorowości w wyrażeniu wszelkich faz szkoły kupidynowej i batalii afektów, to wszystko wyraził Jędrzej Morsztyn, po Piotrze Kochanowskim i Janie Grotkowskim, najlepiej włoskie seicento i marinizm przedstawiając. Próbował sił i w większych kompozycyach, za Marinem (i Apulejuszem) »Psychę« pisząc i hołdy paniom dworskim Ludwiki Maryi i królowej samej wplatając (np. popędza serca *bez sen* i na jawi — Mlle Bessaine, jak do kościoła i jako do *arki* — Mlle d'Arquien, to są jej pęta i trwałe *kordony* — Mlle Gordon), ale gdzie Marino (z wiernie za nim kroczącym Grotkowskim) czule i z emfazą przemawia, tam »Morsztynek« żartuje i bawi; tłumaczył i Tassa i Corneilla, choć głównie w drobnych lirykach, żartach, zagadkach gustował.

Niewyczerpany był w wyliczaniach i opisach groteskowych, przytym zawsze lekki, zręczny, swywolny, już sfrancuziały, zanim się jeszcze do Francyi na zawsze wyniósł. Kobieta zajmuje w jego wierszach inną rolę, niż u Kochowskiego i u podgórskich poetów; przedmiot to kultu wyrafinowanego, z westchnieniami i pieśniami zamiast kadzideł, z sercem ofiarownika, jako ołtarzem, ze słodką niewolą i gorzką swobodą, z tyranką obojętnością i szczęśliwą zazdrością, gdy u tamtych kobieta to ani szatan ani anioł, tylko osobnik płci innej. Typ kobieciarza coraz częściej się odtąd powtarza; są nawet samobójstwa nieszczęśliwych kochanków, chociaż najdawniejsze, młodego Żółkiewskiego, wcale nie seryo pomyślane, seryo się skończyło, a Kochowski i Potocki w nie jeszcze wierzyć nie chcieli; godzi się z tym, w wierszu przynajmniej, największe wyuzdanie, i poecie chyba Krzycki w XVI, a Trembecki i Węgierski (nieco delikatniejsi zresztą), w XVIII wieku dorównają; pornografia to, obyczajowo ciekawa, a zdarzają się i wiersze, wykonane *con amore*, z niesłychaną brawurą, przewyższające wszystko drukowane; wiedział o tym autor dobrze i liczył się z tym w przedmowie do »Fraszek«:

niech one śmiele, choćbym miał być w winie,
rżą, jak dryganci, niech kwiczą, jak świnie;

jeden z najznakomitszych (kilka set wierszów liczący) p. t. »Nie obiecany Kąsek«. Mimo to są i u niego wiersze, »które na nieszporze może ksiądz śpiewać lub mniszka w klasztorze«, ale ich niewiele, i to z czasów późniejszych.

Inni Morsztynowie talentem wyjątkowym Andrzeja szczycić się nie mogli, chociaż uboższym gospodarowali lepiej i dłużej, bo wielki statysta dla intryg i robienia grosza poezyę rychło zarzucił.

Najwytrwalej służył literaturze, przez pół wieku niemal, najstarszy między nimi **Hieronim Morsztyn,** rówieśnik i towarzysz na Parnasie jeszcze Szlichtynga, po próbach dworskiej służby zadomowiony wieśniak. Kilka wierszów maluje jego usposobienie dostatecznie:

Jam na złoto nie chciwy, kocham się w pokoju,
Na pracę nie duż, ani sposobny do boju...
Jabym dosyć miał i na tym,
Kiedybym był tak bogatym,
Bym się ni ocz nie frasował,
A coraz inszą miłował!

I on mógł powtórzyć za Jędrzejem: »Że mu się w wierszu trochę powodziło, Przyznawa Morsztyn, że to Panien dzieło«; i on mniemał z nim: »I wiersz nie dobry, kiedy nie swywolny«. Więc przeważają erotyki i fraszki, ale erotyki zostają daleko w tyle za Jędrzejowymi; brak im ognia i wdzięku, mdłe, banalne, powtarzają odwieczne motywy z łukiem i bełtem, z Wenerą i Kupidynem, z różą i pszczółką, z ogniem i lodem; brak im nuty osobistej, którąby je w kwileniu miłośnym spółczesnych wyróżniała. Włochów znał, ale pociągała go silniej starożytność; powtarzał jej mity (o żonie Admeta, Alceście, poświęcającej żywot za męża i in.), z satyrycznymi zwrotami do spółczesnych (dziś by raczej żona męża na tamten świat wyprawiła); pisywał heroidy i t. d. Oprócz wielu wierszów okolicznościowych do przyjaciół zamożnych, do Kostków, z których jeden sam wcale udatny liryk, chociaż spuścizna po nim drobna na ilość, i Gostomskich, dopominając się o łaski i dary, celował w wierszach, opisujących męża, kpa, szlachcica, szczęście i t. p., gdzie wyliczywszy, kogoby mężem i t. d. jeszcze nie nazwał, kończy np. przy szlachcicu twierdzeniem:

Ale to prawy szlachcic, co najmniejszą zmazę
Krwią zmyć gotów: tego ja szlachcicem zwać każę,

i Naborowski podobne pisywał.

Stanisław Morsztyn, oberszter Króla IM., wojewodą sandomierskim umarł, dzielny żołnierz w każdej potrzebie, od zbaraskiej aż do wiedeńskiej, w talencie »bratu« Jędrzejowi znacznie ustępywał, choć ten przeciwnie twierdził. I on pisywał wiersze okolicznościowe damom, balety, fraszki, lecz spoważniał potym, zabrał się do tłumaczeń, z Seneki (tragika) i z Racine'a, a gdy mu śmierć dwoje dzieci zabrała, napisał, za Kochanowskim zdążając, w istocie jednak »Peryodom« Potockiego znacznie bliższe, »Smutne żale po utraconych dziecięciach« i t. d. roku 1698 (r. 1704 powtórzone), gdzie mu »gorących łez zbiórka z inkaustem się miesza i ciśnie do piórka«; gdzie trafnie zauważył, że wobec straty jego Teresydziewicy, podziw ogólny wzbudzającej, strata Urszulki drobną była:

Odpuściż mi, odpuści, zacny Kochanowski,
Cząsteczka mojej straty o jak wielkie troski
Wzbudziła: *w tym cię jednak rym zdradził uczony,*
Że znać, choć ciężki, przecię żal był utulony...
Średni ból jest wymowny, utrapienie zbytnie
Zmiesza słowa albo je w samych ustach przytnie, —

o czym biografowie Jana nieraz zapominali.

Ciekawszy, niż Stanisław, a nawet Jarosz, **Zbygniew Morsztyn,** jedyny żołnierz-liryk XVII wieku, zapełniający lukę tej poezyi, która żołnierzy-poetów nie liczyła; nawet ci, co latami całymi z wojen nie wychodzili, np. Kochowski i pan oberszter, na Parnasie, jako ziemianie, nie jako żołnierze występowali. Aryan Zbygniew, miecznik mozyrski, należał w »zborze« do tego odłamu, co z Przypkowskim walk i sądów i urzędów nie unikał; żołnierz Radziwiłłowski, kozackie, moskiewskie i szwedzkie kampanie odbywał; bywał w tak ciężkich przeprawach, że inni z duszą się rozstawali:

Moja jakaś rogata, że została jeszcze,
Choć niejedno do wyjścia zrobiono jej miesce,

a gdy z wojskiem się żegnał, składał bogom ofiary:

A ty za to, że ma tak zdziurawiona skóra,
Zły Marsie, i starego nie godzieneś kura!

Spowiada się szczerze z trybu wojskowego, ze strasznej nędzy obozowej, przetrzebiającej szeregi głodem i morem gorzej, niż działa nieprzyjacielskie; z owych wypraw na czatach, kiedy to własny towarzysz znużonego śmiertelnie towarzysza zabija, aby nie wpadł żywy w ręce wroga, aby na torturach czego nie wyznał; o zdzierstwie ludzkim i opresyi chłopskiej przez żołnierzy; o miłości towarzyszy i chorągwi — cnej matki, której nie opuszczą, choćby ich i rozsiekać miano — a jakież za to dzięki po tych strasznych, nieszczęsnych walkach?

A wszystkoć przeszło, jako sen, jak mara,
Ojczyźnie tylko oddana ofiara,
I płonnej sławie, lecz i ta ubieży,
Kto zabit leży.
A choć kto uszedł, kiedy nago z błota
Wylazł, ustała do służby ochota.
Bo o czym służyć będziesz? czy nie o tych
Czterdziestu złotych?
Byśmy przynajmniej od tych wdzięczność znali,
Za którycheśmy krwią się oblewali —
Ale kiedy na żołnierza, co żywo,
Pogląda krzywo;
Więc kiedyśmy my tak źli wojennicy,
Niechże się sami biją kapuśnicy,
Miasto ferezyej niech wdzieją pancerze.
A my pacierze,
Z desperacyjej zostawszy mnichami,
Będziemy za nich mówić z ich żonkami;
Będziem w domach ich gospodarowali,
Orali, siali,
A w miękkich leżąc, jak oni, pierzynach,
Będziem się także pytać o nowinach:
Czy już tam nasi Moskwę w pień wycięli,
Czy cara wzięli?

Aryanowi jednak, choć za Polskę w więzieniu szwedzkim usychał (Duma niewolnicza: Ja śpiewam, chociaż biedy Zgoła mizernego Ogarnęły mię wszędy, Więźnia ubogiego, Choć nieszczęśliwy i ledwom żywy... Ja śpiewam, a potoki Z krwi polskiej

wzbierają, A dymy pod obłoki Z miast i ze wsi wstają: On kraj wesoły Idzie w popioły i t. d.), losy zgotowały niewdzięczniejszą jeszcze odpłatę; gdy nareszcie żegnał:

Wojska, obozy, szyki, krwawe boje,
Żegnam cię, pole, witam spracowany
Domowe ściany.

Wolę tak w cieniu, dawne przewinienia
Opłakiwając, żyć już bez zgorszenia (credo aryańskie),
Być sobie wolnym, nie służyć nikomu,
Osiadszy w domu, —

uderzył w niego nowy, straszny grom, edykt aryański; inaczej, niż Potocki, rzucił on swoich i ojczyznę, wylawszy rzewną skargę do Boga w »Pieśni w ucisku« roku 1661:

Obrońco uciśnionych, Boże litościwy!
Usłysz krzyk sierot twoich, usłysz płacz rzewliwy!
Ciężka krzywda, o Boże! Ty na twojej ziemi
Wszystkich cierpisz; twe słońce promieńmi jasnymi
Złych i dobrych oświeca, twój deszcz kropi ziemię
Złych i dobrych pospołu, a tu ludzkie plemię
Samo na się zajadłe, ciężko następuje
Na swych bliźnich i z twojej ziemie ich ruguje,
Którąś przestronną stworzył, a my nie możemy
W niej żyć, choć, że i dla nas stworzona jest, wiemy.
Ty, zdawszy rządy królom, wolnowładny panie,
Nad sercem i sumieniem ludzkim panowanie
Sameś sobie zostawił, aleć się wdzierają
W twe prawa i gwałtem je ludzie odbierają i t. d.

I na wygnaniu nie zerwał jednak Zbygniew z niewdzięczną ojczyzną, ożenił się z córką Czaplica, Aryana również, słynnego, nawet w przysłowiu, na cały Wołyń ze swej prawości, i posyłał wiersze okolicznościowe, moralizujące (»Emblemata«, siostrze króla Jana, Radziwiłowej, omawiające wierszami obrazki alegoryczne z dopisanymi cytatami psalmowymi), i historyczne (»Sławna Viktoria nad Turkami pod Chocimem 1673« wydana w druku, z wierszami Żydowskiego, polecającymi »wieszcza zwycięzców i zwycięzcę wieszczów«); Prusy stały mu się przybraną ojczyzną (»lub w pogranicznym gruncie wkorzeniony, lecz w ten sąsiedzki będąc prze-

sadzony i z tej tu ziemie w wszelkie cnoty żyznej, jako ze swej własnej ciesząc się ojczyzny«) i w Rudówce jego (obok *Andreaswalde)* przetrwały niedobitki aryańskie do XIX wieku; ostatni dwaj starcy - Aryani byli Morsztyn i Szlichtyng.

Od tego ruchu poetyckiego odbijała dziwnie nieproduktywność dramatyczna, potwierdzająca znany brak usposobienia do dramatu u wszystkich Słowian. Jeżeli pominąć dramat szkolny, obracający się w jednym kółku, bez wyjścia i rozwoju, to tylko obcy podtrzymywali w Polsce dramat albo jego surrogat. Zniemczały na poły Zygmunt kochał się w widowiskach niemieckich trup wędrownych, angielskich komedyantów, którzy z Gdańska lub Wrocławia do Warszawy trafiali; syna zachwycały włoskie opery i balet. Poznał je podczas swej podróży zagranicznej; libretto Saracinellego do opery *La liberazione di Ruggiero*, wystawionej dla niego we Florencyi, przetłumaczył pięknym wierszem polskim widz przedstawienia, Stanisław Jagodyński (roku 1628), a w karnawale roku 1628 zaprosił królewicz dwór cały na przedstawienie Galatei, która bardzo zadziwiła Polaków *per esser a loro cosa peregrina.* Znakomita kapela nadworna ojca ułatwiła te próby, co za wstąpieniem na tron Władysława doprowadziły do pierwszego stałego teatru, na zamku, ze stałą trupą włoską, śpiewaczek i śpiewaków — w chórach było i wielu Polaków, wprawnych w gorgi i tryle. Budowniczy Bolzoni i maszynista Locci urządzali wszelkie kunszty; librecistą, kompozytorem i śpiewakiem był Virgilio Puccitelli, autor *Dafny, Enea, Amor e Psiche, Il ratto d'Elena, Narciso trasformato, Armida abbandonnata, Santa Cecilia,* wystawionej na wesele królewskie (z Cecylią Renatą) i wprawiającej w podziw cudzoziemców — nic lepszego lub podobnego nie widziano w Europie, jak zapewniali Wassenberg i Tyrolczyk Schüpli *(gesehen habe ich comedie zu Florenz und auch zu Mantua, nach solichen hab' ich kein' bessere gesehen* — niż warszawską) To samo potwierdzali i Francuzi, Le Laboureur i Ludwika Marya przed Radziwiłem, kanclerzem, o »*Amor e Psiche*«, operze wystawionej w Gdańsku roku 1646.

I słynął teatr włoski Władysława w Europie, ale, jak był, tak pozostał inwencyą włoską, nie budził ruchu dramatycznego w kraju. Również nie przyjęły się słynne Wirtshauzy królewskie; taką grę towarzyską, a raczej maskaradę (losem rozdzielano między

grających role młynarza, sołtysa, karczmarza i t. d.; jeszcze Göthe podobne zabawy wajmarskie wierszem uświetniał; u nas one Rafała Leszczyńskiego do nadobnych wierszów natchnęły), poznał Władysław również podczas swej podróży zagranicznej i bardzo ją polubił, chociaż Pac z góry w niej nie gustował. Po teatrze włoskim Władysława, zabawce bardzo kosztownej, zostały chyba wspomnienia (w pamiętniku Radziwiła, u obcych podróżnych), i anegdot kilka; z nawyczkami narodu szlacheckiego nie zżył się zresztą wcale.

Opowiadał poseł, kniaź Lwow - Jarosławskij (r. 1655), że był u króla »na potiechie«, a »potiecha« była, jak Holofern przeciw Jerozolimie ciągnął, a Judyt Jerozolimę(!) wybawiła; w dwa lata później wspominali również posłowie moskiewscy o »komedyi, po rusku potiecha« na dworze królewskim. Dafnę, niegdyś polską, grano i na teatrze moskiewskim Piotra Wielkiego. Na festyny pierwszego szczęśliwego roku 1661 przetłumaczył Andrzej Morsztyn Cyda, otwierając wrota francuskiej tragedyi albo komedyi, gdyż terminów nie rozróżniano; lecz za nim nie wszedł tam nikt, prócz kuzyna, Stanisława Morsztyna, co Andromachę Rasyna w gładszej, niż Andrzej, polszczyźnie wydał; Andrzej sam przetłumaczył jeszcze przedtem »Amintę, komedyę pasterską Tassa«, ale przekład, dosyć wierny, prócz chórów chyba, rozszerzonych wobec oryginału, mniej miał gładkości i precyzyi, niż Cyd, i nie wiemy, czy się na scenę dostał.

Gdy inni poeci, jeżeli o dramacie pomyśleli, tylko misterya pisywali, np. Miaskowski, dyalog emausowy, albo Potocki, dyalog »Zmartwychwstania Pańskiego«, jedyny **Stanisław Lubomirski** za włoskim wzorem i oryginalne sztuki pisywał. Z pióra pana starosty spiskiego wyszły około roku 1664 cztery sztuki, czy oryginalne, nie łatwo, przy nieprzebranym bogactwie sztuk włoskich, a trudnym do nich dostępie, sprawdzić; hiszpańskie i włoskie osoby i miejsca nie koniecznie »tłumaczenia« dowodzą, skoro z polskiej rzeczywistości czerpać nic nie naprowadzało, chociaż p. starosta polskich dowcipów i aluzyi nie skąpił. »Ermida albo Królewna pasterek, t. j. ten szczęśliwy, który się swym stanem kontentuje«, to dramat pasterski, wierszem; Ermida uchodząc z pałacu królewskiego łudzi się, że między pasterzami i pasterkami najszczersza miłość panuje, lecz i między nimi są zdrady, zazdrość i zmienność,

więc wraca po nieudałej wycieczce do pałacu i do wiernego Filandra, co za nią w głusz pośpieszył; komedya pasterska figur komicznych wcale nie wymaga, mimo to wprowadził p. starosta, wielki widocznie śmieszek, służącego Filandra, żarłoka, leniwca, służby swe słowami gorąco wysławiającego Adrasta. Komedyę o Guzmanie oparł na wątku odwiecznym, o mężu, przez famę (i tchórzliwego sługę) na polu walki uśmierconym, popadłym do niewoli i wracającym w samą porę, aby powtórnemu zamążpójściu mniemanej wdowy przeszkodził; komiczny element przedstawiają słudzy i sługi, Biribis i Faramuszka, makaronizujące, paplące, odbierające plagi, narabiające dwuznacznikami, niemożliwymi do powtórzenia; są i aluzye do faktów spółczesnych, np. tchórz Biribis powoływa się na p. Wojkowskiego: wolę, żeby wydrukowano, tu p. Wojkowski uciekł, niż żeby pisano, tu Biribisa zabito. Trzecia, o Lopesie, znana dobrze w XVII wieku (cytowana nieraz), dramatyzuje nowelę Bokaccia i zasługuje na epitet »srodze śmieszna«, jakim ją Załuski uraczył, lecz arcy nieprzyzwoita; ojciec wydaje córkę nie za »storzypiętkę, młokoska, zamsika«, lecz za poważnego, starego Lopesa, co żonę zaniedbuje tak, że się od wyznawcy innego »kalendarza« chętnie uprowadzić dała; tempo tej komedyi żywsze, chociaż i ona rozwlekła; komizm przedstawiają znowu sługi Biribisa, makaronizmy i najokropniejsze dwuznaczniki.

Ostatnia, »Comedia faceta«, właśnie że nie faceta, zbliża się treścią do »Lopesa« i odznacza się chyba fatalnym makaronizowaniem wszystkich osób, nawet kobiet, i wysłowieniem iście drewnianym, za to przyzwoitszym.

Talentu dramatycznego pan starosta nie miał; »komedye« zbudował jak najluźniej; charakterystyka poza ogólniki nie wychodzi; komizm słowa wyłączny, ale, wobec absolutnej posuchy dramatycznej, i to na uwagę zasługiwa. Czy właśnie te komedye marszałek w Ujazdowie, gdzie osobny teatr urządził, wystawiał? Znosiłyż w XVII w. nawet uszy pań, co by dziś i w wyłącznie męskim gronie nie uchodziło. Jak szlachta nie przywykła do widowisk scenicznych, najlepszym dowodem owe zajścia z aktorami francuskimi, którym jawna śmierć groziła (jeżeli Pasek srodze nie przesadził).

Zacietrzewieni w rymach mężczyźni monopol ich sobie warowali; o kobietach piszących mało słychać, chociaż były; Potocki

nieraz z nimi wojował, choć na seryo ich nie brał. Przecież nie dawne to czasy, kiedy właśnie i w kołach aryańskich (na początku XVII wieku) kwestyę, czy kobieta jest człowiekiem, gorliwie roztrząsano, a odpowiedzi nie na korzyść płci pięknej wypadały. Były to jednak ostatnie już tryumfy zarozumiałości męskiej. I w Polsce zaczęła niebawem przewodzić kobieta, mianowicie, gdy u dworu miejsce potulnych, cichych, w cieniu żywot pędzących truś niemieckich energiczne, przewrotne, ambitne, chciwe zysku Francuzki z całym ogonem Francuzic zajęły i coraz wybitniej w sprawy towarzyskie i polityczne wstępowały; satyry i pamflety godzą też stale i w Ludwikę Maryę, w Mohiłównę (żonę Rewery), w Pacową, inaczej niż w XVI wieku. Modnisie przyjmowały hołdy literackie, czytały romanse francuskie, lecz same się w literaturę nie bawiły. Niewiasty, ślęczące nad książką pobożną — dla nich to wychodziły owe »Raje duchowne« albo »duszne« ks. Wysockiego i nieskończone inne ascetyka, wyjątkowo same modlitwy i pieśni składały, między Aryanami nawet (p. Zapawska np.); jeden taki zbiór dostał się i do druku: Gospodarskie nabożeństwo nabożnymi rytmami przy gospodarskiej sielskiej zabawie od Imcp. Katarzyny Siemiontkowskiej... napisane roku 1670; autorka, dedykując je pani Annie Stanisławskiej, wojewodzinie kijowskiej, usprawiedliwia się z tak niezwykłego kroku, że kobieta, zajęta gospodarstwem, gdybyż jeszcze zakonnica, pisze i drukuje, tym, że zabawiała się rytmami już u ks. Radziwiłowej i jej rodziców (Potockich) i z tej to zabawy »niektóre drobiazgi« uzbierała i za poradą uczeńszych wydała. Są to wykłady wierszami modlitw i t. d., piosnki pobożne i t. d., w prostym i jasnym języku; poezyi tam niema.

Ciekawiej wypadł inny, pierwszy właściwy debiut literacki kobiety polskiej, pasierbicy owej wojewodziny kijowskiej, również **Anny Stanisławskiej,** zamężnej za kasztelanicem krakowskim, Warszyckim, »Ezopem« i rozwiedzionej z nim, powtóre wychodzącej za Oleśnickiego (ostatniego ze sławnego rodu), umierającego niebawem z gorączki obozowej, potrzecie za Zbąskiego (również ostatniego z rodu starożytnego), ale i ten rychło umarł, z rany pod Wiedniem odniesionej. Ciężkie przejścia życiowe — walka o rozwód z obrzydliwym idyotą, rany sercowe, »trapace« majątkowe (wdowine dobra zajeżdżali Czartoryscy) i t. d. — nie złamały żelaznej natury tej Polki, pełnej hartu, jakiegoby i mężczyzna

mógł jej zazdrościć, ale dały jej tak mocno uczuć znikomość wszystkiego, co ziemskie, że wylała te uczucia w »Tranzakcyi albo opisaniu całego życia jednej sieroty przez żałośne treny od tejże samej pisanym roku 1685«. W Zakończeniu do czytelnika usprawiedliwia się »Annusia«, dlaczego o »całym życiu« w tytule zapowiada, skoroż jej »boska dobroć wieku przedłużyła«:

Bo moim zdaniem mało com zbłądziła,
Gdyż tylko dotąd życiem być sądziła:
Teraz nie żyję, lecz jakbym umarła,
Bom, jak pociechy, tak smutki zawarła;
W zimnym grobowcu onym już złożyła,
Ani się cieszyć, ni będę smuciła.

Wiersze marne, ale ten »koncept białogłowski« — to jedna z najciekawszych rzeczy XVII wieku, przecież to najdawniejszy romans obyczajowy polski, cóż z tego, że w wierszach, jak Argenida, Syloret lub Banialuka? Gdy te w bajecznych i niemożliwych bujają czasach i stosunkach, Annusia opowiada wiernie, co sama przeżyła; jest to więc pamiętnik, od pamiętnika tym znowu różny, że nie śledzi życia z roku na rok, lecz wybiera tylko główniejsze momenty i najszczegółowiej je oświeca — przed »Dziennikiem Rzeczyckiej« (Hoffmanowej) literatura polska niczym podobnym poszczycić się nie może. Autobiografia w wierszach, pani polskiej ze sfer najwyższych, losem dziwnie miotanej, pełna szczegółów obyczajowych pierwszorzędnej wagi; dokument strasznej tyranii rodzicielskiej, nie uznającej ani możliwości nawet własnej woli u dzieci; drażliwej sytuacyi rozwódki, w klasztorze decyzyi oczekującej; interesowności wszystkich, którą znacznymi ofiarami majątkowymi okupywać należy, aby rzecz najsłuszniejszą przeprowadzić; kopalnia rysów, anegdot, nawyczek towarzystwa damskiego i męskiego, od serenad i biesiad aż do strasznych niewygód dróg polskich, przepraw przez Wisłę i t. d. Autorka puszcza się w niezwykłą drogę, wzywając imienia Bożego — bo staropolskiego ona zakału, nie sfrancuziała w niczym, i język sam, z dosadnymi, przysłowiowymi zwrotami, stawia ją obok Potockiego i Kochanowskiego; więc ona pobożna, posłuszna, oszczędna, zabiegliwa; chociaż estetyczna strona jej utworu bardzo ułomna — a czyż wiersze mężczyzn od zarzutu wolne? treścią wynagradza sowicie

oczekiwania czytelnika; co opowiada o Kazusiu (Ezopie), o skąpstwie starego kasztelana, o zabiegach jego przeciw rozwodowi i t. d., w żadnym spółczesnym pamiętniku, Paska niewykluczając, nic podobnego nie znaleźć.

Zresztą wyrywały się kobiety tylko wyjątkowo na Parnas, i zaznaczano to w odpisach wyraźnie, np. »Lament J. O. Ks. Teofile ze Szczekarzowic Ostrogskiej, kasztelanowej krakowskiej, z jej własnej głowy« i in. Częściej podszywali się mężczyźni pod firmę kobiecą, np. znakomita, dowcipna, trafna, acz swywolna bardzo »Gorzka wolność młodzieńska ...przez jednę damę dworską imieniem drugich wyrażona«, chociaż drukarz w przedmowie do czytelnika wyraźnie zastrzegał, że to rzecz damy, co imienia odkryć nie dozwoliła, jest pióra kolegi na Parnasie Potockiego, Żydowskiego, zdradzającego sędziostwo swe już podziałem traktatu *ex reatu* i *ex actoratu*. Była to bardzo ciekawa polemika, w którą imieniem dam p. sędzia krakowski, wielki dowcipniś, się rzucił: w »Złotym jarzmie małżeńskim« anonim (czy nie sam p. sędzia?) wychwalał stan bezżenny, wywodził argumentami, znanymi z Rejowego »Warwasa« i z »Syloreta« Potockiego, co przeciw bogatej, pięknej, brzydkiej, starej i t. d. przytoczyć się dawało, skarżył się na brak wstydu — nie wiele go było, i wszystkie go między siebie rozszarpały, tak że się każdej nic nie dostało.

Argumenty te rozbił w puch p. sędzia — powoływasz się na Józefa, ale wy płaszcza odbiegacie u cudzej żony, uciekając przed mężem i nie wyłatalibyście jednego Józefa, choćbyście wszystkie wasze czystości w kupę włożyli. P. sędzia napisał może i »Babę abo stary inwentarz«, występując i przeciw babożeniom (temat, jaki już Szymonowic poruszał), aby kwestyę wszechstronnie wyświecić; znał literaturę włoską, polską (rękopiśmienną, Lopesa, Syloreta) i t. d., łacińską wybornie; niewyczerpany w anegdotach, przysłowiach, przycinkach, rubaszny, w głośny, pusty śmiech wybuchał; ileż tam zdrowego rozsądku i prawdy, acz niewymyślnej, wobec wszystkich fizyologii miłości i małżeństwa Balzaków i Bourgetów! Pozatym już tylko tłumaczeń prozą, licznych dzieł ascetycznych (i francuskich), dokonywały zakonnice lub je ozdobnie przepisywały; i kroniki klasztorne spisywały, z ciekawymi nieraz przejściami, co dziś dopiero na jaw się dostaje, np. Karmelitanek wileńskich, albo o świątobliwym żywocie przełożonej, np. Mar-

chockiej (z Karmelitanek bosych — i dziś jej żywot drukują dla zbudowania, nawet po francusku).

Ponuro zachodził wiek siedemnasty; łuny zwycięstw multańskich, szwedzkich (Kirchholm), moskiewskich czerwieniły się nad jego wschodem, ale sprawdziły się słowa ewangelii: dziś będzie deszcz, błyszczy się niebo; ostatni raz, pod Wiedniem, ozłociło słońce hufce polskie przed zdziwionym, rozradowanym światem chrześcijańskim. Potym zasunęły się na zawsze mgły i mroki.

Z anarchią polityczną ustalała się umysłowa; z dawnych ogniw kultury wymykało się jedno po drugim; rozpasany fanatyzm i obskurantyzm wdzierał się coraz potężniej w coraz słabiej bronione mury. Zamilkli protestanci; Aryanów wygnano z kraju a wygluzowano z pamięci, i niebawem już lud tylko prawił o okopiskach, bóżnicach i szkołach aryańskich, patrząc na nie w strachu przesądnym; w rodzinie Lubienieckich album aryańskie pradziada, pełne najciekawszych zapisek we wszystkich językach świata, od perskiego i arabskiego przez litewskie i węgierskie aż do francuskiego, ocalało tylko w ten sposób, że zamalowała ostrożna ręka każdy ślad aryański, nawet sam tytuł »minister« (*verbi Dei*). Kalwini i luterani odezwali się energiczniej poraz ostatni może w liście (poetyckim) »Szlachcica do szlachcica o wojnie kozackiej w roku 1648 i 1649«:

Przystąpiła na Lutry tyrannis *przeklęta*,
Która się pod płaszczykiem zeli zda być święta...
Dosyć was długo księża za nosy wodzili...

chociaż autor i za chłopem uciskanym, niewolnikiem i podłym psem naszym, się ujmywał; gdy Radziwiłowie (birżańscy) wymarli, runął ostatni filar możnowładczy, podtrzymywający wymagania dysydentów. Cenzura duchowna czuwała podejrzliwie, żeby się żaden wolniejszy głos nie odezwał, nie przerwał milczenia, zalegającego coraz bardziej Polskę. Zapanowała jedność wyznaniowa; stanową osiągnięto jeszcze rychlej, mieszczanie nie zabierali już głosu, prócz panegiryków i ascetyków, ogłupiających głowę a wysuszających serce. Jednostajność szara i jednolitość zaległa całą literaturę, przynajmniej jawną. Pod powłoką i pokostem ascezy, panegiryzmu i »makaronu«, kryły się jednak różnice i rozszczepiła się literatura na drukowaną, jałową, czczą i kłamliwą, i rękopiśmienną, z poważniejszym nastrojem, wymowniejszym językiem, z gorzkimi prawdami, a choćby z większą sztuką i lżejszym lub wytworniejszym żartem i stylem. Zapomniał o niej wiek ośmnasty i dopiero w dziewiętnastym wydobywano na jaw literaturę kopalną, produkty bujnego życia i dzielnej myśli, ciepłem słonecznym niegdyś na świat wywiedzione, a rumem ascetycznym i panegirycznym zasypane: Herkulanum i Pompei staropolskiej fantazyi i jowialności, myśli i ogłady, szlacheckiej i mieszczańskiej.

Tymczasem brnął »naród«, t. j. Polska szlachecka, coraz głębiej w ciemności egipskie, które za »Sasów« dopiero nieprzebitym tumanem głowy i serca zaledz i nauki i zdobyczy dawnych wieków pochłonąć miały. Z każdym dziesiątkiem lat zasępiał się bardziej i polityczny horyzont sarmacki; różnica między pierwszą a drugą połową wieku, podobnie jak w wieku XVI i XVIII uwydatniała się coraz bardziej, tym razem na niekorzyść drugiej połowy; rok 1648 był przełomowy. Raną życiową uchodziła najlepsza krew polska; i Łukasz Opaliński, co świeżo Polski przed Barklajem bronił i jej się dosyć wysławić nie mógł, wyznał jawnie:

ztąd początek złego, ztąd upadły siły
Wszystkie, oraz... śmiele rzekę, że skrzydła rozpięte
Orła polskiego, jednym nieszczęściem obcięte!

Nawet w oczach dziczy tatarskiej zgasł urok Rzeczypospolitej i hordy zapędzały się aż pod Kraków, jak w wieku XIII; w walkach wewnętrznych, kozackiej i rokoszowej, ani zwycięzców, ani zwyciężonych nie było — ubezwładniały się członki i duch unieruchomiał.

Tylko w literaturze nie odegrał rok 1648 tej roli fatalnej, tu nie było nagłego przeskoku; wszystko zdawało się toczyć dawnym torem; skutki wyjawiały się dopiero później i powolniej. Nie zmniejszała się, owszem wzrastała liczba publikacyi, ależ jak obniżał się poziom, wartość, doniosłość i forma! Barok polski wyradzał się z przerażającą szybkością; o stylu w drukach późniejszych

już nawet mowy nie było: przecież to tylko przedrzeźnianie lub brak wszelkiego stylu i po rękopisach wyłącznie kryły się jakie takie płody smaku i wyobraźni i krytyki. Językowi groziło coraz większe niebezpieczeństwo usychania, zakuwania w pęta łacińskie, w prozie i w poezyi. Jak język, tak i forma, wiersza czy mowy, ulegała skażeniu, barbarzyństwu, śmieszności [1]). I myśl spospolitowała się, zniżyła, odżuwając najelementarniejszą strawę, żachając się wszystkiego nowego i niezwykłego, odgradzając się trwożliwie i podejrzliwie od świata. Nadchodziło bankructwo polityczne i umysłowe.

[1]) Już w podręcznikach XVII wieku wspominają nauczyciele »poezyi« o »kadencyach« (rymach) *częstochowskich* albo *bakałarskich*, przestrzegając przed nimi; właśnie te rymy całym Parnasem zawładnęły.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

ZASTÓJ SASKI.

Wzrost nietolerancyi, gorszące jej objawy. Anarchia szlachecka, zagwarantowana przez obce mocarstwa. Rozszczepienie literatury: drukowana się odświeczcza; rękopiśmienna. Magnaci w literaturze: Radziwiłowie, Jabłonowscy, Załuscy i t. d. Drużbacka. Romanse wierszowane; wiersze historyczne i satyryczne. Budzenie się z zastoju; Leszczyński, Konarski, Rzewuski.

Dzieje za Sasów w niczym nie przypominają dziejów za Wazów i Sobieskich: zamiast pełni życia, poświęcenia, walk heroicznych — popielisko wygasłe intryg rodów wielkich i mocarstw ościennych, a odrętwienia narodu szlacheckiego. Również literatura za Sasów, bez talentów i ruchu, albo ascetycznie spłaszczona, albo na śmieszne pochwały wydęta, nie przypomina dawniejszej, nieraz głębokiej myślami, ponętnej formą, tryskającej humorem, wybuchającej satyrą czy żalem i skargą, barwnej, kuszącej się o wielkie zadania i roztaczającej obszerne obrazy.

Anarchia dokonała dzieła, od dawna już nurtując w społeczeństwie szlacheckim, nieochełznana żadnym hamulcem. Już w XVI wieku wyżarła ta anarchia władzę królewską; już wtedy Polska nierządem stała, a król był malowanym: czuł to dobrze Batory i próżno się z tym szamotał; już za Zygmunta Starego tryumfowała anarchia, nie tylko w wojnie kokoszej, ale i wtedy, kiedy Wielkopolanie uchwalali pobory na wojsko, a Małopolanie pospolite ruszenie, w tym celu, aby nic z obojga nie było.

W wieku XVII wyżarła anarchia znaczenie szlachty samej; czyn Sicińskiego nie był czymś niezwyczajnym, nienaturalnym: to

tylko rak, toczący wnętrze, wystąpił na jaw, i ustała władza stanu, skoro jednostka na woli swej przeciw wszystkim oprzeć się i przeforsować ją mogła. Stoczywszy tak w wiekach ubiegłych władzę królewską i szlachecką, stoczyła anarchia za Sasów zasoby umysłowe szlachty, dawną kulturę polską.

Teraz goniło bezmyślne życie ostatkami świetnej niegdyś przeszłości, niezdolne do czynu, ugrzęzłe w materyalizmie, nie przypuszczające nawet możliwości odmiany, gromiące hasłem: niech będzie, jak bywało — wszelkie nowości; literatura, kołowacizną umysłową dotknięta, przerabiała mechanicznie dawne szablony, niezdolna do porywu, wegetująca. I wygłębiała się przepaść między Polską a Zachodem.

Życie jej umysłowe rozwijało się zawsze powolniej od zachodniego; ziemi dalekiej, uboższej, od morza odległej dotykały wszelkie jego prądy słabiej i później: i chrześcijaństwo zawitało oficyalnie o całe stulecie wcześniej do Czech, niż do Polski; i scholastycyzm zakwitł w Krakowie, gdy już odkwitł na Zachodzie; renesans i reformacya spóźniały się o dziesiątki lat i traciły na doniosłości i sile. Na początku XVII wieku dorównywała Polska sąsiadom; zamiast jednak i nadal im kroku dotrzymywać, zaczęła się cofać, gdy ci coraz raźniej naprzód pośpieszali. Kraj, co zasadę wolności sumienia w XVI wieku ogłosił, wrogie wyznania do zgody przyprowadzał, wypowiadał teraz gościnę własnej braci różnowierczej; kraj, skąd system Kopernika wyszedł, trzymał się we własnych szkołach Ptolemeusza i Arystotelesa, nawracał do najgrubszej średniowiecczyzny; z literatury żywioły świeckie się ulatniały i świeckie jej cechy, od dwu wieków panujące, powoli znowu zacierać się zaczynały.

Jakie przerażające postępy nietolerancya pod wpływem duchowieństwa czyniła, dowodzi fakt, że na »Poczet Herbów« Potockiego, ocenzurowany przecież sumiennie przez duchownego, rzucił się w 22 lat później inny duchowny, Śrzeniawita Albrecht Stawski, na »heretycki kalwina polskiego wierszopisa instrument« i najgrubszym szkalowaniem na kalwinów (śmierdy trupie, wasze modły niebu przyjemne tak, »jak głosi brytanie« i t. p.), wycieczki katolika Potockiego przeciw niegodnym duchownym wetował. Przedtym rozegrała się jeszcze drastyczniejsza sprawa. Z książki francuskiej wpisał protestant, Zygmunt Unrug, do notatnika cytat: *la vérité*

salutaire, n'est-elle donc descendue du ciel que pour être aux habitants de notre globe une occasion perpetuelle d'erreur, de guerre, de haine et de division? O to wezwano go przed trybunał piotrkowski i skazano na śmierć i konfiskatę dóbr (część ich przypadała denuncyantowi), roku 1715; i wyrok ostał się prawomocnym, chociaż go stolica apostolska skasowała, Sorbona uroczyście, jako zgwałcenie wszelkich ludzkich i boskich praw, potępiła, a duchowieństwo, jako mieszania się trybunału świeckiego w rzeczy duchowne, nie aprobowało. Jeszcze głośniejszym oburzeniem wybuchła Europa na krwawą tragedyę toruńską r. 1724, i straciła odtąd Polska na długo sympatyę uczciwych ludzi.

Nie darmoż powtarzali duchowni od lat kilkudziesięciu piosnkę, że Bóg karze Polskę tylko za to, że cierpi w swym łonie protestantów, że o zgodzie mowy być nie może, skoro rozdwojenie w wierze panuje; wypowiadali to otwarcie jeszcze w XVII wieku np. ks. Wadowski w »Danielu proroku« i t. d. Tak skutecznie wlewali jad nietolerancyi, że odstrychnęła się nakoniec szlachta polska od własnej braci dysydenckiej, wypowiedziała im prawa, nie dozwoliła zasiadania w izbie i urzędach; włoskie i hiszpańskie stosunki przeniesiono na północ, w państwo bezbronne, między różnowiercami rozsiadłe; jak z tego w drugiej połowie wieku skorzystano, wspominać nie trzeba; nietolerancya, całkiem niepolski wymysł, sztucznie Polsce zaszczepiona, służyła za pretekst celom, z wiarą nic wspólnego nie mającym.

Protestanci wycofali się z życia i literatury; skarżyli się w pismach zagranicznych lub domowych wierszach utajonych, np. wedle »Lamentu albo narzekania wiernych pańskich z okazyej funduszu zboru kiejdańskiego 1726 roku« pozbywają się chętnie urzędów i poselstw, jako rzeczy marnych, ale utyskują nad zabieraniem szkół i kościołów, nad prześladowaniem samej wiary, nad ciągłymi od niej odstępstwami nawet własnych duchownych, nad czyhaniem na fundusze zborowe. Rzeczy ich pióra pojawiały się chyba przypadkowo po latach; tak przetłumaczył Stanisław Cedrowski w Manheimie roku 1728 sławną alegoryę żywota chrześcijańskiego Anglika Bunyana, »Drogę pielgrzymującego chrześcijanina do wieczności«, ale »dopioro« roku 1764 wydał to kaznodzieja królewiecki, Behr i t. p. Za to prasy polskie, zakonne (częstochowskie, berdyczowskie, jezuickie i pijarskie) i bardzo nieliczne

świeckie (krakowskie) były niestrudzone w coraz nowym odbijaniu coraz potworniejszych ascetyków, których fala, wzrastająca od końca XVII wieku, teraz całkiem niwy piśmienne zatopiła. Tylko takie dzieła doczekiwały się licznych wydań, np. Franciszka z Asyżu; Franciszka Salezego (»Droga do życia pobożnego«, siedm wydań); Mikołaja Fontaine, »Historya starego i nowego testamentu z wykładem z ojców świętych« i t. d., przez kanclerza koronnego, Andrzeja Chr. Załuskiego »na wygnaniu w Królewcu« (z innymi asce tykami) przetłumaczona (r. 1708, dziesięć wydań tego foliantu), ale małe to w porównaniu do olbrzyma, Sasa Ludolfa (z XIV wieku!!) o życiu Chrystusowym, odbitego (po łacinie) w Poznaniu r. 1751 w szacie stosunkowo bardzo wytwornej; druki takie starczyły wydawcy za pielgrzymkę do Ziemi świętej lub grobów apostolskich; treści ich z pod ciemnej gwiazdy odpowiadał najczęściej szary bibulasty papier, czcionki najpodlej zużyte i straszne błędy drukarskie: typografie polskie, w XVI wieku tak świetne, że rozkosz i dziś patrzeć na druki Łazarzowe czy Wirzbięcine, upadły tak nizko, jak i literatura sama.

Szkoły nie postępowały również; protestanckie ustały, katolickie trzymały się zacieśnionego programu szkół jezuickich, wykluczającego greczyznę, wpajającego pobożność zewnętrzną i kult Maryjny; celem była nie nauka, lecz zostać *sodalis Marianus*, pomazać usta łaciną, wyrobić swadę oratorską, której nabycia ułatwiały rozmaite podręczniki i zbiory jak owa *Domina Palatii* itp. Współzawodnictwo między szkołami dawno ustało; jeśli akademia z Jezuitami, Jezuici z Pijarami walczyli, chodziło tylko o warowanie przywileju; zresztą akademia krakowska, zazdroszcząc Jezuitom św. Stanisława Kostki (o którego już w XVII wieku szlachta z Jezuitami spór wiodła: kasztelan Grodziecki dowodził w piśmie bardzo czytanym, że Kostka był szlachcicem, nie Jezuitą), wszystkie szczupłe środki wysilała na beatyfikacyę Jana Kantego, którego pisma, jako teologa, do Rzymu przysyłać musiała: w Rzymie odkryto z przerażeniem, że Kanty bronił, w duchu szkoły krakowskiej i Jakóba z Paradyżu, wyższości soboru nad papieżem; akademia pomogła sobie, składając heretyckie pisma na karb innego Jana!

Wychodziła ze szkół młodzież szlachecka, aby aplikować się przy trybunałach u jurysty albo do dworu wstąpić i, wysługując

się panom, po zajazdach i sejmikach, dojść intratnej posesyi, ożenku, lokacyi kapitałów i na własną rękę dalej gospodarować, polować, bankietować. Służby publicznej w wojsku jakby nie było, chyba od parady, po znakach pancernych i husarskich; braci służyło się w trybunale i na sejmie. Ze szkół wynoszono wiarę niezachwianą; wierzono w dyabła, sprawiedliwszego, niż sędziowie trybunalscy; palono czarownice, gdy jeszcze na początku XVII wieku skarżono się na polską pod tym względem oziębłość; teraz duchowieństwo samo napróżno zapędy bezmyślne judykatury miejskiej i pańskiej hamowało; uznawano na każdym kroku palec Opatrzności, karzącej w tej chwili za niewstąpienie do kościoła na mszę, za pominięcie żebraka, za złamanie postu; modlono się gorliwie, dyscyplinowano, suszono; ceniono książkę nabożną, towarzystwo duchowne, szczególniej kwestarza rubasznego, Bernacha, wywijającego ogórkami u pasa, nieprzebranego w facecye, niewymyślne, stare, jak na gruboskórych przystawało.

Wierzono z równą ścisłością w powagę rodzicielską, wszechmoc pańską nad chamem, zacność klejnotu, źrenicę wolności (*liberum veto* i elekcya *viritim*, chociaż pierwsze tylko dla pożytku i wygody obcych dworów istniało, a drugie było fikcyą, skoro przeciw jednomyślnej woli całego narodu szlacheckiego drugiego Sasa obrać kazano), w niezwyciężoność Polaka w polu, w równość szlachecką i w podobne upiory. W istocie szlachty za stan już nie uważano; jako trzy stany Rzeczypospolitej wyliczała ks. Radziwiłowa: król, senat i hetman; hetman był teraz owym ołtarzem, erygowanym przeciw królowi — podczas gdy prymas Karnkowski (za Orzechowskim) jeszcze roku 1585 takim się uważał, prawiąc wobec Batorego: dano arcybiskupowi laskę... aby to było niejakie *contra sto* przeciw panu, gdyby chciał *excedere metas*. Teraz duma magnacka granic nie znała, przybierała, np. u Jabłonowskich i Lubomirskich, chorobliwe rozmiary, u wojewodów »z Bożej łaski«, udzielających audyencyi na krześle tronowym, a strzelających baby, kukające po drzewach. Czasy były złote, urodzajne; gdy zawieruchy szwedzkie minęły, gdy zakusy saskie o zmianę rządu szablami konfederacyi tarnogrodzkiej spłókano, oniemiały sumienia, a rozpasała się Polska; z wojska uczyniono straż przyboczną hetmańską w mundurach fantastycznych, z większą liczbą szarżów, niż gemajnych, a tryumfy tego wojska były np. takie: gdy Radziwił (Udal-

ryk) w kilkuset ludzi trzynastu hajdamaków do ucieczki zmusił, uwiecznił ten czyn wystawieniem stołu Radziwiłowego, jako nowy Witold, i drukowaną wydał relacyę wiekopomnego dzieła. Z sejmu uczyniono szopkę, skoro żaden nie dochodził; z trybunału — sejm, skoro go zerwano.

Upadek miast był szalony; zasuwał się coraz głębiej bruk jeszcze średniowieczny, waliły mury i baszty, ubożały cechy; tym więcej wznosiło się klasztorów i kościołów, o jednym typie a rozmaitych wymiarach; tym ciężej gniotły te budowle niezliczone ziemię polską; tym świetniej odprawiano koronacye obrazów cudownych. Na wsi było nie lepiej: ludność zmniejszała się i nędzniała, obszar ziemi uprawnej się zwężał, chłop się rozpijał coraz podlejszą żyburą. Przemysł i handel upadł; obcy chyba zbogacali się; nawet Żydzi odczuwali nędzę ogólną, ubożeli, schodzili z dawnej kultury na barbarzyństwo średniowieczne.

Czas trawiono bezczynnie; potrzeba książki, wszczepiona w przeszłych wiekach, znowu wyginęła; czytano chyba na kalendarzu, a w niedzielę na książce do modlenia, czasem i na wspak obróconej; przerzedzały się strasznie dawne zasoby biblioteczne i księgarskie; jeźli już W. Potocki skarżył się na rzadkość książki staropolskiej, teraz ona całkiem z obiegu wyszła. Przedruki dawnych dzieł ustały; Kochanowskiego przez stokilkanaście lat nie wznowiono ani razu, tak samo Szymonowica i t. d., zato Opeców »Żywot Chrystusów«, po roku 1548 wznowiony dopiero w roku 1688, kilkanaście razy przedrukowano. Nietylko książki wychodziły z obiegu, bo co nie wsiąkało w biblioteki klasztorne albo pańskie, ginęło, a jak biblioteka klasztorna wyglądała, opowiedział Krasicki w »Monachomachii«; z samych książek wycofywał się żywioł świecki, idee i autorowie; pisali duchowni, a jeśli się świecki autor przyplątał, to pisywał ich ładem.

Duchowni fabrykowali dla próżności świeckiej panegiryki, z tym szumniejszymi tytułami, im marniejsze indywiduum chwalono. Obok powodzi panegirycznej wylewali prozę i wiersze ascetyczne, tłumaczone i oryginalne; tłumaczone, nieraz z francuskiego, zastępującego teraz dawne włoskie i łacińskie, były lepsze, mądrzejsze i poważniejsze; oryginalne kończyły się wreszcie Baką, t. j. grzechem przeciw stylowi i smakowi tak przerażającym, że mu później zaprzeczono, że przypisano wileńskim »farmazonom« wymyślenie

Baki. Ale jak kanclerz Małachowski »Historyi o zmartwychwstaniu Pańskim« (Wilkowieckiego) nie wymyślił, tylko kursującą od półtorasta lat na nowo roku 1757 w obieg wypuścił, Paulinom częstochowskim na despekt, tak samo i farmazoni wileńscy nie skoncypowali, lecz przedrukowali edycyę (istniejącą w jednym egzemplarzu do dzisiejszego dnia), owych »Uwag śmierci niechybnej wszystkim pospolitej wierszem wyrażonych« 1766 r. ze Śmiercią matulą, co jak cebula łzy wyciska, gdy przyciska i t. d. Wiersze Baki bynajmniej nie są odosobnione; przed nim popisywał się tak samo Paulin, ks. Mikołaj Juniewic, »krótkim polskiego rytmu nowo inwentowanym stylem« w »Refleksyach duchownych« z roku 1753 i jego przełożeni również to dzieło niszczyli, chociaż rubaszna jego jowialność nas dziś o wiele więcej zająć potrafi, niż przyzwoitsze, lecz arcynudne wylewy spółczesnej muzy ascetycznej, tym bardziej, że ten rywal Baki biadał i nad ojczyzną, że »Smok Orła dusił, Kwilić przymusił, Jak kota w miechu, Ogon i grzywę Wyrwał z Pogoni, Że chude źrebię Nie bryka, tylko, Leżąc na roli, Swe ziarna grzebie«, i trwożył się, aby »Leska korona głogiem ostrzejszej kary skłótą nie była«. Znakomite są jego wycieczki przeciw wojsku polskiemu; przeciw pnącym się do szlachectw: Otóż, hultaju, Pijaku baju, Dobrze się stało; Nie byłoż lepiej, W karczmie brać wódkę, Od Szmojły brata, Gdzie choć pohuczy Kto i poiuczy, (po bójce wszyscy się znowu pogodzą). A wycieczki przeciw damom, oszukującym mężów (Ona mu puszcza Jak mimo głuszcza Tuman z cieniami), jak się wódeczką raczą (Dubelanyżu, Nuż cynamonki I Kardymonki, Smyk imbierówki, potym na to: Już też z ambony Huk, fury, bury), a stroją! nawet »Pani Jadwiga Szóstaka nie ma«, a przecież »Choć obręcz z beczki Miasto rogówki« przywdzieje. A Juniewic i Baka mieli antenatów w rzemiośle, już w początkach XVII wieku, np. długa pieśń p. t.: »Jest zdrada w świecie Jak w polnym kwiecie« (przekład jej ruski z początku XVIII wieku pochodzi), jest podobna, np. »a w tym szarłaty i kmiecie łaty jako mol psuje... obraca w błoto perły i złoto, robaki daje zacnym hetmanom, chłopom i panom, serce się kraje gdy szmatem płachty odziewa szlachty i t. d.; drukowano ją około r. 1620 (nie dopiero 1825!).

Takie drastyczne rzeczy bywały jednak rzadsze; przeważały kwilenia pobożne, wierszowanie legend (o Jolencie, o św. Jadwidze

i t. d.); ks. Franciszek Rzeżawski, rywalizując z Kochowskim, »Wieżę Dawidową, w tysiąc tarcz uzbrojoną« wystawił, t. j. tysiąc tytułów Matki Boskiej czworowierszami wyraził i dodał »Niewymuszoną jeszcze albo niestęsknioną dla Maryi zabawę centuryą polską z tych trzech słów *Sancta Virgo Maria* sto razy przekładaną i wierszem poetyckim opisaną« (r. 1701). Major kawaleryi, Dobiński, porzuciwszy »rajtaryą«, napisał »Świt wierszów na święta Maryi« (1725), sławiąc każde z osobna, np. Dziś Anielskiej Maryi jest w niebie to święto — Tu na ziemi szlacheckie — na które się szlachta zjeżdża jak na elekcyę, u Franciszkanów poparcie tej elekcyi znachodząc — ależ Marya nie elekcyjna, tylko jedyna dziedziczna królowa Polski. Jeszcze lepsze wiersze Łoskiego, co porządki polskie na niebie obserwował (aniołowie, to szlachta rodzona, ludzie chłopi, którzy na szlachectwo zarabiają) i do Dawida przystosował; temu się powodziło dobrze, póki »bardziej go wabiły *muszkiety*, niż *muszki* (damskie), Obserwując pilniej ich (t. j. muszkietów) niż Betsaby *łoże*«, ale Łoski był choć dowcipny, inni stokroć nudniejsi. Taki ks. Wcisłowski »króciusieńko wierszem polskim zebrał Teologię szkolną, tym trybem, jak ją w szkołach dają« (1742): w dedykacyi do Potockiej o jej Pilawie twierdził, że z trzeciego jej krzyża »Chrystus *se* kawałek ułomał«, a o herbie Ośla głowa jej męża (Kurdwanowskiego):

Pamiętajże, coć mówię, starosto Maurycy,
Że ta głowa twój honor wysoki zaryczy.
Jużeś se, widzę, serca ludzkie zawojował i t. d.;

podobnie Pijar Jasieński geografię polskim wierszem wyłożył (1766 roku).

Czasem jednak i w odstraszających tych wierszem, ortografią i wyrazami »poezyach« zaplątał się materyał ciekawy, obyczajowy albo historyczny; było to już w XVII wieku, tak trwało i dalej. Któżby np. oczekiwał, że w »Pieśniach nabożnych« części III (»Świat górny« ks. Suszyckiego, roku 1700) znajdzie najciekawszą apoteozę i biografię Sobieskiego, na jaką się poezya polska kiedykolwiek zdobyła, pełną rysów szczegółowych, od Głuchowa i Cudnowa począwszy; wizerunek bohatera np. tak opisał:

oko siwawe, jagody jasne,
Brew gęsta, nosa słup miernie sponisty,
Wąs smukły, rusy, nic nie zawiesisty,
Wargi czerwone i dobrze spojone,
Z brodą i głową skronie podgolone.
Ale cały okrąg lica zupełnego
Miarę przestąpił pozoru ludzkiego,
Bo jak on niemiał w żywej płci przykładu,
Tak niema w starych kopersztychach śladu,
Z Pompejem trochę podobni do siebie...
Są i linije niegdzie Scypijona i t. d.,

a opowiadał o tym przy »pierwszym niebie« — przy dalszych snuł wszystkie znane baśni średniowieczne, np. że na słońcu plam nie ma, chyba w oku spostrzegacza, gdyż Bóg nie stworzyłby coś tak niedoskonałego; że nie mogą być inne zamieszkałe światy, gdyż i dla nich musiałaby się powtórzyć ofiara Krzyżowa (argument scholastyczny, w Krakowie w XV wieku przeciw »antypodom« skierowany), ale przynajmniej opisał mikroskop i co pod nim się widzi. Jeszcze ciekawsza taka »Pamiątka czułości pasterskiej« i t. d. ks. Piotra Nawrotowskiego z roku 1746 (drukowana r. 1751), gdzie po panegiryku na biskupa (Klejnot wielki, Honor wszelki, Z Ogończyka, Tak wynika i t. d. *à la Baka*), dał sielankę kościelną, opisując budowę kościoła hyzneńskiego, zagony tatarskie, czasy Karola XII, skargi na Szwedów, Sasów i t. d. ale »nad wszystkich gorsi byli nasi«, bo obcy kazali się od dymu opłacać, nasi zaś, co chcieli, to brali; wreszcie przebudowę zrujnowanego kościoła — ciekawy przyczynek nawet do historyi budownictwa i rzemiosł.

Obok szczegółów historycznych i obyczajowych (nawet w »Historyi rewolucyi niebieskich« ks. Dobrowiejskiego, roku 1753, znajdziesz ostre wycieczki przeciw spółczesnym, np. co on, *ex re* sądu piłatowego, o polskich sądach i sprawiedliwości prawił), wzrusza w innych proste a szczere wynurzanie prawdziwej skruchy głębokiej, np. w ówczesnych (1707 r. poraz pierwszy w Snopku Mirry drukowanych) »Gorzkich Żalach« (Gorzkie żale przybywajcie, Serca nasze przenikajcie) czyli Rozmyślaniu Męki Pana naszego Jezusa Chrystusa, coraz przedrukowywanych, zastępujących dawne przedstawienia pasyjne i hymny ich łacińskie, rzewnych i poważnych. Naiwnością odznaczają się ówczesne »kantyczki«, zbiory

głównie pastorałek i kolęd, sięgające czasów o wiele dawniejszych, drukowanych na Jasnej Górze Częstochowskiej albo we Lwowie u Szlichtyna, pieśni nieraz wielkiego wdzięku i głębokiego uczucia, refleksy dalekiego średniowiecza. Warto i to zaznaczyć, że najdłużej polski wiersz religijny, choćby kantyczkowy — prócz pieśni miłośnej — na Ukrainie, w Kijowie i Moskwie popłacał, gdy już innych rzeczy polskich prawie nie tłumaczono, gdy wyższe sfery rosyjskie wprost do niemieckiej i francuskiej kultury sięgały, a tylko u niższych tradycya, brak wybredności i smaku popłacały. Polskie kantyczki i ruskie spiewanniki czy piesienniki, polskie szopki i ruskie wertepy, to ostatnia wymiana literatury ruskopolskiej.

W nabożnej »poezyi« nieraz wręcz niedorzeczności się pojawiały. »Kawalerye i infanterye niebieskie« Łoskiego wzbudzały emulacyę, i Karmelita Hilaryon (Falęcki) wydał »Wojsko serdecznych noworekrutowanych affektów ciągnieniem idące trzema kolumnami (wiary i t. d.)«, 1740, gdzie np. »przednia straż wojska Generał major, niepojęta Miłość Boska, prowadzi ogniste regimenty na zbawienną zaziębionych affektów dumnopróżnych inflamacyą« i t. d. (dzieło o 500 stronicach, dwa czy więcej razy wydane). Duchownym zazdrościli świeccy, nawet i panie, np. »Drogę prawdy do wieczności« i t. d. r. 1754 pokazała Duninowa, wyliczając odstępców od tej drogi, np. panów, niepłacących długów, i »poddanych z wielkim uciążających zdzierstwem« (przeto już sobie łom w piekle palicie); damy strojnisie, ale i autorka nie lepsza, »ani też do was z cenzury przemawia« i t. d. Inny autor, Adam Kępski, sekretarz wielkiej laski koronnej, napisał »Myśli o Bogu i człowieku«, obszerną alegoryę i część pierwszą wydał (r. 1756, co Konarski sam wychwalał i polecał, jakby Dantego i Miltona nie było, przeciw deistom i ateuszom), w wielkich smutkach (po stracie dzieci) i chorobach: Hiob nowożytny, bez przewinienia z wszelkiego szczęścia obrany, zwątpiwszy o Sprawiedliwości i Opatrzności, dostępuje wizyi ducha niebiańskiego, co w następnych częściach zagadki te miał wyjaśnić — Kępski wznosi się wysoko nad duchownych wierszokletów, powagą myśli i języka, nawet doborem rymów, starał się bowiem, »aby nie były blizko, podobne mające zakończenie, kadencye«; mówiąc o złotym wieku kreślił zżycie się człowieka z przyrodą, np. tak:

Ptastwo, gdy późno siadło spać, domowe;
Zbyt świergocące przy domu polowe;
Wiatry świszczące; dym, gdy się rozwłóczył;
Miesiąc, gdy zadął, gdy kołem otoczył;
Słońca krąg blado i nad czas wybiegał:
W gospodarstwie ich o słocie przestrzegał.

Żeby ocenić zasługę Kępskiego, należy porównać np. »Apollina do żałośnych trenów przyuczonego« Jezuity Manieckiego, który za Stanisławem Lubomirskim Mękę Pańską opiewał, np. biczowanie:

Bój się, lewku, gdy biją pieska, niesie mowa.
Lecz tu, kędy nad Panem zajadłość surowa
Dokazuje, lwa z Judy pokolenia macie
Zbitego — jaki taki bójże się psubracie!

Prawda, i świeccy bywali nie lepsi, taki Cerenowicz np., burgrabia warszawski, w »Grocie grzesznika pokutującego« (r. 1755) przerobił książkę średniowieczną z roku 1479, na wiersz polski, »duszę symplaczkę«, zwodzoną przez Beliala, przez Mojżesza i Tomasza z Akwinu pouczając o pokucie,

Gdyż bez pokuty w świata janczarychę,
Iść nie bezpieczno, złamie dusza sprychę!

rozwodząc to na czterystu stronicach, a nie jedyna to ani najkrótsza poezya ascetyczna, którą śniegiem na głowie okryty wysyłał »ze swej gazdy tarasu« na dwory wielkopańskie (np. Czartoryskich), choć nie wedle mody skrojoną.

Szczyt tej »poezyi«, godna garnuszka pokrywka, to »Historya starego i nowego testamentu z tłumaczeniem do zbudowania wydana« (Nancy, r. 1761), której egzemplarz autor, król Stanisław Leszczyński, i *Bibliothecae Zaluscianae Varsaviensi Societatis Jesu (!)* dedykował, foliant około 750 stronic, przerabiający wierszem to samo, co kanclerz Załuski dawno lepiej prozą wytłumaczył. Najlepsze jeszcze wiersze dedykacyi do córki:

Wiedząc, że Boskie przenajświętsze sprawy
Są twoich myśli najmilsze zabawy,
Z Pisma świętego podane nam prawa
Zachowywa je twoja wiara żwawa;

Że ci zaś miło, co się Polski tyka,
Ojczystego tu zażywam języka
Na wyraźne słów najświętszych zebranie,
W czym twoje znajdziesz ukontentowanie...
Przebacz, jeżeli tu się nie mianuję,
Dość żem ten, co cię kocha i szanuje.

Te 25.000 wierszów nie były zresztą jedynym darem poetyckim, jaki królowa francuska od ojca odbierała, ale były największym — biedny król sfrancuział jednak bardzo, utracił poczucie chyba językowe, gdy bez rozmysłu szafował imiesłowami np. tak:

Piłat, wiedziawszy, że Chrystus będący
Galilejczykiem, zbyć się go pragnący,
Do Heroda go przeto odesławszy,
Tam, gdzie panował, królem w nim zostawszy i t. d.

A więc i u Leszczyńskiego, jak np. u Lubomirskiego, ten sam podkład religijny, ascetyczny — w umyśle. Leszczyńskiemu pozazdrościł wawrzynów ks. rektor nieświeski, Kurzeniecki i wygotował niemal czterykroć większe dzieło w tej samej materyi; jego »Wykład pisma św. Starego i Nowego Testamentu« (r. 1769 po śmierci autorskiej wydany), obejmuje z górą 80.000 długich wierszy (w oktawach)! daje całą treść Zakonu i wykład jego średniowieczny (osobnymi czcionkami), dzieło o wiele niż Leszczyńskiego lepsze i ciekawsze, boleje nad Polską (i jej »wyniszczeniem bez wojska, bez skarbu — broń Boże ostatniego win nie dobrać karbu«), nad tym »niechaj lud nie *poganieje* wiejski«, ale rzuca się okropnie na Żydów, »to niezbożne pomiętło« i równo kładzie w swej nienawiści »rabinów, mołnów, predykantów«.

W prozie nie było lepiej. Zamiast legend i medytacyi stawały kazania, ciekawe nieraz anegdotami, językiem, jeżeli drukowane; jeżeli rękopiśmienne, wycieczkami nawet przeciw szlachcie, na którą niższe duchowieństwo, szczególniej podgórskie, z chłopów wychodzące, napadało; skutkowało to równie, jak kazania trybunalskie, gdy Jezuici, np. ów Fr. Maniecki, panom sędziom sumienia roztrząsali; jego »Wschód słońca sprawiedliwości bez zachodu i t. d.« zbierał porównania nawet od Fryny, od rzeki; powierzchnią jej wstrząśnie wrzucony kamień, trzcina, listek, tak i wy wstrząsacie się, gdy wam wpadnie kamień (drogi), trzcina (ze złotą gałką),

listek (polecający), cóż dopiero jeśli wierzchowiec lub poszóstna kareta! Dwa najbardziej typowe dzieła tej epoki nie należały jednak wcale do teologii.

Jedno, to »Korona« Jezuity **Kacpra Niesieckiego,** dzieło największej zasługi, i dziś jeszcze dla badaczów przeszłości niewyczerpana kopalnia szczegółów heraldycznych, genealogicznych, historycznych i literackich, obraz Polski szlacheckiej, jej rodów i koligacyi najzupełniejszy, uzbierany z poprzedników, począwszy od Paprockiego i Okolskiego, z panegiryków, z akt, z tradycyi, szczególniej zakonnej. W porządku alfabetycznym ułożone herby i familie i wymienieni znani autorowi członkowie ich z urzędami i t. p. w czterech sporych tomach. Niestety i na tym pomniku znać łapę epoki saskiej; najobszerniej zastanawia się Jezuita nad świątobliwością i cnotami osób, zwłaszcza jeśli do jego zakonu należały lub zakon promowowały. Nabrała przez to złota księga szlachty polskiej niesłusznie ascetycznego charakteru, i zacny a światły autor nie powstydził się powtarzać najgłupszych bajek, np. owej korespondencyi zaświatowej, z czyśca, przy Niemiryczu i t. p. To plamy tego słońca saskiego, przyświecającego na herbownym niebie polskim do dziś, nie zastąpionego żadnym innym dziełem; spółcześni rozkoszowali się nim; srożyli się chyba ci, których Niesiecki pominął, i protesty do grodów wnosili. A pomijał on wielu i umyślnie, np. ze szlachty pruskiej, nie chcąc o dysydentach, toż o litewskich i polskich, wiele rozprawiać.

Jeszcze bardziej typowe dzieło równie obszerne, »Nowe Ateny albo Akademia wszelkiej sciencyi pełna«, ks. kanonika **Benedykta Chmielowskiego,** pierwsza niby encyklopedya polska w czterech wielkich częściach (r. 1745, 1755 powtórzona częściowo), o religii i sektach, o lądach i krajach, o ziemiopłodach i kunsztach, o cudach i potworach, o językach i zakonach, o relikwiach, miejscach cudownych i o opętanych, o tajemnicach najrozmaitszych i t. d., zbiór wszelkich bajek i przesądów, anegdot i *curiositates*, niewyczerpana kopalnia wszelkich aluzyi, emblematów, sciencyi, niestety przy końcu epoki erygowana i niebawem ośmieszona. I w niej naturalnie przeważał element ascetyczny, stosownie do potrzeb czasu.

Najpopularniejszą prozę tych czasów należy szukać gdzieindziej. Kilkanaście wydań dziełka Jezuity Bystrzonowskiego (»Polak

sensat w liście« i t. d.) dowodzą, że nie wystarczała już dawna »Spiżarnia aktów rozmaitych«, skromniejsza rozmiarami i stylem; jeszcze potworniejsza była »Fama polska i t. d.« Wieruszewskiego, »informująca młódź szlachetną« wzorami najpodlejszego stylu listów makaronizujących. Z takiej szkoły wychodzili mowcy szumni, nadęci, próżni i śmieszni; coraz częściej drukowano te mowy, coraz głupsze; wznawiano i rozszerzano dawne zbiorowe wydania (»Swada Danejkowicza« — Ostrowskiego) i zestawiano nowe; do mów przyplątywano i traktaty alegoryczne (»Sen na jawie« Solikowskiego i »Reginę Palacii« Pęskiego). Obok tych rozsadników złego smaku i przesądów politycznych kwitnęły kalendarze, głównie Duńczewskiego w Zamościu (zasłużonego i jako heraldyk, zbieraniem wiadomości o rodach, ukrzywdzonych czy pominiętych przez Okolskiego i Niesieckiego).

Kalendarze polskie i ruskie Duńczewskiego trzymały się dawnych wzorów, prognostykowały zawzięcie nietylko o pogodzie i zbiorach, ale i o fatach prowincyi polskich i krajów ościennych i wywoływały nieraz reklamacye polityczne; palono je w Kijowie, feldmarszałek Münnich w Głuchowie. Część ich poetycka mniej była uprawiana — nie myślał już Duńczewski o zbieraniu swoich rytmów, jak to jeszcze poprzednik jego, Niewieski, był czynił; za to w przydatkach mieścił najrozmaitsze rzeczy, skracaną (Łubieńskiego) historyę i geografię Polski, wiadomości (»ciekawości«) o jej hierarchii, duchownej i świeckiej, o jej bogactwach przyrody, rybach, ziołach, źródłach i minerałach, o jej monecie i t. d. Wymagała tego konkurencya, bo Jezuici, Paszkowski, Paprocki i Wyrwicz, szczególniej zaś Pijar Wiśniewski, »Kalendarzami i Kalendarzykami politycznymi«, »Kolendą Warszawską« i t. d. od roku 1737 astrologię rugowali stanowczo i zastępowali treściwymi i pożytecznymi informacyami historycznymi i t. d.; reforma nie przyjęła się ani odrazu, ani stanowczo; szerzyły się jednak wiadomości i rozbudzała myśl. Oprócz tego uprawiano i facecye, wydawano je w Prusiech, w Toruniu w obszernych zbiorach, kompilujących dawne »Facecye czy Furfanterye« i »Co nowego«; w kraju wychodziły krótsze »Sakwy, czworaką materyą wesołego śmiechu, z różnych krain wyżebraną, napchane« i t. p. z dykteryami o kozach w Burgundyej na cztery nogi kowanych i t. p., z melancholią pobożną nad pijaństwem, rymowaną *à la Baka:*

Pędzą fata, Na łeb lata, Na głowę godziny,
Naglą parki Swe zegarki, Naglą libytyny,
A ty stary Swe zegary Nakręcasz do gęby i t. d.,

z Gadkami (zagadkami) i t. d. Główny zasób anegdot kursował w tradycyi; wyjątkowo spisywano je i później już, np. Franciszkan Karol Żera na Podlasiu, którego zbiór z celi drohickiej w kilku odpisach po Polsce się rozszedł; najsłynniejsi facecyoniści, Pijar Tadeusz w pierwszej, Karol Radziwił w drugiej połowie wieku, ambicyi autorskich nie mieli.

Właściwi przedstawiciele pracy umysłowej wieku, nie zrywającej z lepszymi tradycyami, zaczepiającej o zagranicę, sięgali, jak Chróścińśki, Załuski jeszcze czasów dawniejszych, a wybijały się nowe jednostki. Najwięcej między magnatami: wykwintniejsze wychowanie, nauka języków (francuskiego), podróże i ocieranie się o koła wytworniejsze nie dawały im grzęznąć w bezmyślnym sarmatyzmie, kazały im cenić książkę, zbierać biblioteki, choćby francuskie, brać udział w literaturze, choćby pod pseudonimem lub anonimem, pobudzać innych do pracy. Wiszniowieccy, Radziwiłowie, Jabłonowscy, Załuscy, Wielopolscy, Sapiehowie zajmują miejsce Opalińskich i Lubomirskich, a liczbą pań piszących pobija epoka saska nie tylko poprzednie, ale nawet późniejsze okresy; kobieta polska, której mężczyzna saski wiedzą już nie przewyższał, dobijała się równouprawnienia, choćby na Parnasie, i Drużbacka, Niemiryczowa, Zawiszówny, Radziwiłowa, Załuska nawet prześcigają Chróścińskiego i Jabłonowskich.

Na czele poetów stawiano Chróścińskiego, co za Potockim i Lubomirskim chyba tylko podkowy zbierał; Załuski wykrzykiwał:

Nie dbam, że z swym Parnasem w Turczech, Apollinie
Osiadłeś; u nas laury rodzą się w Chróścinie!

Dworak Sobieskich przebolał upadek domu, próżno w »Lamencie Ojczyzny« do wyboru Jakóba Sobieskiego ziomków zagrzewawszy; przejścia bolesne wyspiewał w parafrazie »Hioba cierpiącego, z dóbr i fortun wyzutego, na dzieciach i zdrowiu dotknionego i t. d.« (napisanego »dla umacniania się w cierpliwości« roku 1700, 1705 wydanego), gdzie najciekawsze »Do uciśnionej

ojczyzny apostrofe«, porównująca ją do Joba i dlatego, gdy podobne czasy nadchodziły, roku 1794 w Warszawie przedrukowana. Po trenach na śmierć żony nastąpił roku 1711 »Krótki zbiór duchownych zabaw ojczystym wierszem«, poświęcony Wiszniowieckim i zawierający w przydatku Pięć psalmów pokutnych hetmana Michała Wiszniowieckiego, pisanych w niewoli Głuchowskiej, ciekawych dla autora i języka, zachowującego jeszcze nieco dawnej rubasznej jędrności, np.:

Jeźli bogactwa z czasem skazitelne
Przedrzeć się bronią przez ucho igielne
Dla dużych garbów łakomstwa i zbytku,
Dopuść ubóstwo, a dość mam pożytku i t. d.,

kończy:

Rządź, kieruj, prowadź, ciągni według siebie,
Byleś się tylko dał pomieścić w niebie.

Nie jedyne to próbki literackie Wiszniowieckich; pisywali i prozą, np. ucieczkę w przebraniu i t. d. Klementyny Sobieskiej, żony Stuarta, wytłumaczył kasztelan krakowski, Janusz Wiszniowiecki; niestety i tu opisał najobszerniej tylko świetny pogrzeb swej bohaterki; zresztą pisywał wiersze, np. bez r, którego sam dobrze nie wymawiał — takie zabawki średniowieczne puszczał w kurs mistrz krakowski, Jarmundowicz, w akrostychach i t. d.; za nim, za Sikorskim i Wadowskim pan kasztelan się popisywał, wysuwając, jako autora, stale kanonika kijowskiego, Olszewskiego lub Bogdańskiego; hetman tłumaczył ascetyka francuskie (Berruyer i t. d.), rywalizując z mnichami w najlepsze!

Żyłka epiczna tryskała jeszcze silnie, ale nie zwracano się ku dziejom ojczystym, a że w romansach poważne pióro nie gustowało, rzucano się do ponownego wierszowania historyi biblijnych. Tu właśnie celował Chróściński. Przewierszowawszy kilka legend, Eustachego (którego potym Jabłonowski odnowił) i Aleksego, zabrał się do starego testamentu, do Józefa i Amana. Wybór szczególniej pierwszego był bardzo nieszczęśliwy; miejscami robi ten »Józef, do Egiptu przedany i t. d.« wrażenie, niby »Eneida« Blumauera albo Chotomskiego, chociaż pobożny autor tylko naiwnością grzeszył. Najobszerniej wyłożył, jak niegdyś Rej, epizod z Putyfarową, miejscami wcale dobrze, ale miejscami rym jego »rozgniewa Boga i dyabła rozśmieszy«, np. jeżeli zwodzicielka ufa »Józwie«: galantomem będziesz i t. d.; jeźli Józwa rzecz odkłada: masz ze mnie wkrótce, co chcesz, lecz nie teraz; gdy zemdlała, posyłają do apteki, »a gdy rozwiodą łyżką ścięte zęby, gwałtem jej leją alkiermes do gęby«; teraz on w jej oczach »bezecny służyna, hultaj, szubieńca, gnojek, szuja lichy« i cieszy się, że ani liścików do niego nie pisała, ani nikogo nie posyłała, więc się śmiało wszystkiego wyprze; zaraz go też odwodzą do kordygardy, gdzie podczaszy uskarża się na swój urząd, całkiem jak na dworze pańskim: wyjdzie bęs, karzeł lub piecuch domowy i każe wina dać jakiej fryjerce, zaraz mu nalej w kusz choćby garncowy i t. d. »Aman« takich drastycznych dodatków niema; inni całkiem się od nich wstrzymywali, np. Węgłowski w »Starozakonnej Rut« — lecz na cóż wtedy te wiersze?

Z mniejszym powodzeniem stawali obok Chróścińskiego wojewoda ruski, Jan Stanisław; bracławski, Jan Kajetan; stolnik litewski, Józef Aleksander, i wojewoda rawski, Stanisław — Jabłonowscy. Pierwszy, najpłodniejszy, w więzieniu kenigszteinskim poezyę uprawiał, to Ezopa przewierszował w »Sto i oku bajek«, lecz chociaż z Lafontena równie korzystał, za Niemiryczem i tegoż wolnym wierszem daleko w tyle pozostał; potym Telemaka na wiersz polski wyłożył, co znowu lepiej Marya Załuska wykonała, lecz Jabłonowskiego Telemak dostał się do druku, Załuskiej się zawieruszył: dalej różne ascetyka rymował. Tak zaznaczył się Kenigsztejn w literaturze polskiej, jak niegdyś Moskwa (nieraz, jeszcze za Gosiewskiego i Pawła Potockiego roku 1660), Głuchów i Królewiec, jak później Kaługa. Zresztą pisywał wojewoda ruski wiele rzeczy pobożnych, wierszem i prozą, począwszy od »Zabawy chrześcijańskiej« (żywotu Chrystusowego) roku 1700. Bracławski wierszował historye biblijne i legendy i żonie dedykował i krewnym, ale między wszystkimi Jabłonowskimi był najmarniejszy wierszokleta: porównanie obu Józefów (ze starego i nowego zakonu) zaczął słusznie:

Chcącemu pisać twe, Józefie, cuda,
Pierwszy cud będzie, kiedy mi się uda;

nie udało się też, ani wtedy, gdy »starą prawdę całą gębą stawiał«, wierszując Esterę, Judyt, Zuzannę, a później i Święte chrześcijańskie; chociaż znał i cenił Lubomirskiego, Chróścińskiego i innych poetów, sam z poezyą ciągle się mijał, myśląc prawdopodobnie, że wojewodzie wszystko zejdzie, więc kończył np. tak:

Więcej nie mam z tej księgi już na wiersz przewrócić;
Trzeba tedy do Panny Najświętszej ją zwrócić,

a gdy o Judycie pisał i wojnę wspominał króla asyrskiego:

Zgoła nie wiem jego tam pretekstu,
Ile kiedy niemasz o tym z pisma tekstu...
Chyba by je wymyślać, lecz święta biblija
Nigdy się w wymyślone bajki nie uwija.

Zdolniejszym był Józef Aleksander, którego »Ostafi« wstępem, wyliczającym wszystkich dotychczasowych poetów polskich, od 250 lat, i uwagami krytycznymi cenny; sama legenda (o Chróścińskiego oparta) napisana żywo, nie gardzi przytykami do spółczesnych, np.

Ksiądz ów był złoty, a kielich drewniany —
A dziś: ksiądz z drewna, kielich pozłacany.
Nie do decymy, lecz do duszy pleban,
(W kazaniu) Lukanów ani Nazonów wymykał
I pochwał z psalmów nie robił obłudnie,
Bankietów ze chrzcin, i z tym się umykał.

Ostatni z nich nietylko żywot św. Jana Nepomucena przetłumaczył i i. pod., ale też przewierszował dyaryusz starej przewagi dziadowskiej, opisując Pamiętne Uprowadzenie wojska z cieśni bukowińskiej roku 1685 (wydane r. 1745), z dumnymi o ziomkach swych słowami:

Trzymają się samymi wsparci upadkami,
Szczególnym od państw inszych zwyczajem i darem.
Czy szczęsny czy nieszczęsny los igrzyska stroi,
Nie wzruszeni jesteśmy. Pod takim ciężarem
Walić się świat powinien, Polska przecie stoi.

Rzecz sama nie najlepiej ułożona, ale żywo opowiedziana; uderza porównanie misterne: po przemowie hetmana wyroiło się wojsko,

Nie inaczej więc wyrojone pszczoły
Brzmią koło ula, nim się ruszy matka;
Na rój pasiecznik pogląda wesoły,
Póki nie wyjdzie z barci do ostatka;
Aż skoro matka kąt zostawi goły,
Dopiero starki dłużnią w ulu zatka,
A na robotę i na towar słodki,
Bez omieszkania porozsadza młodki.

O romansach, prócz dydaktyczno-pedagogicznego Telemaka, Jabłonowscy nawet słyszeć nie chcieli; wyręczali ich w zawody inni; w druku ukazują się najczęściej prozaiczne, »Koloander wierny Leonildzie przyjaźni dotrzymujący« i t. d. Mariniego; krótka i niezdarna »Historya czyli dziwna awantura Olinda z Amaryllą« (r. 1754); o wiele lepsza »Historya o Chryseidzie i Arymancie« (z francuskiego przetłumaczona, ponieważ ciężko rannego bohatera pierwsze słowa były: *hela!* poświęcona Barbarze z Duninów Sanguszkowej, co sama autorką była, jedna z »miłej trójcy« za Stanisława Augusta; drukowana około roku 1747), mądrzejsza, niż inne, opowiedziana w pierwszej osobie, lecz stanu duszy nie malująca dokładniej: i tu przeważała prosta ciekawość zdarzeń niezwykłych. Wcześniej wydał Zawisza »Aryamena« (r. 1720), którego córka jego Marya na polskie z romansów Cyrusowych wyłożyła, podczas gdy siostra jej Barbara (Radziwiłowa, matka Udalryka, literata) »Dyoneę« również prozą wytłumaczyła, lecz do druku nie oddała. Podobała się i obszerniejsza »Historya Ormunda, królewicza Numidskiego, z Libeiną, cesarzówną Jerozolimską«, o której twierdził przerabiacz: »ta historya była wierszami z greckiego (!!) na polski przetłumaczona język, która, że dla przystępującego wiersza niejaki czytelnikowi przynosiła niesmak, dla przysługi gust mającym w czytaniu... na solutyczny styl (t. j. na prozę) onę przypisać umyśliłem, a lubo w niej zdaje się cokolwiek rzeczy niepodobnych, być to jednak wszystko mogło i t. d.« Przerabiacz się mylił; gdy w całej Europie romanse od wieków już tylko prozą pisano, popłacał jeszcze w Polsce wiersz dla nich, jakby dla epo-

pei średniowiecznych; w formie wierszowanej (oktawie?) romansu tego nie znamy.

I tak owę »Dyoneę« (Loredana) przełożył na wiersz polski pod tytułem »Zwierciadło przeciwnego ludzkim rzeczom sukcesu i przykrej od pięciu królewien doznanej alternaty« Kazimierz Ogiński, wojewoda trocki, potym wileński, i dedykował, jak wielu innych autorów czy tłumaczów czyniło, Antoninie z Zahorowskich ordynatowej Zamoyskiej (założycielce Kanoniczek warszawskich); toż samo poema nazwano w innych rękopisach »tłustomoralnym«, chociaż tłustego tam nic niema; postępuje ono wiernie za tekstem prozy francuskiej:

Jeszcze państwa wschodowe nie schylały głowy
Przed miesiącem, ani zły z wolności w okowy
Wyrok azyatyckie zapędzał narody,
Gdy owe, którym Helle imię dała wody,
I z ludźmi i z armatą, z gotowością wszelką
Do boju, nie bez złota, galerę dość wielką
Przybiły do Karpacyi. Tam nad własne chcenie
Wygodne sobie widząc miejsca położenie,
Które jakby wymysłem ludzkim mocne skały
Od morskiej nawałności zewsząd warowały,
Spuścili z masztów żagle, a z okrętu schody,
Którymi jakaś dama, dama tej urody,
Że jej nie tu na ziemi, ale cale z nieba
Równe lineamenta ściągać by potrzeba,
Z tą powagą na blizką ziemię zstępowała,
Która w niej, lubo smutnej, konterfektowała
Pański jakiś majestat, czy ją morskie fale
Sturbowały, czyli też wnętrzne jakie żale
Tak strapiły, iż ledwie na rękach jednego
Kawalera strzymana do gaju blizkiego
Zwlec się dała, ażeby wolna od hałasu
Żeglarzów, spokojnego mogła zażyć wczasu i t. d.

W spółczesnym prozaicznym tłumaczeniu sufragana płockiego, ks. Pawła Załuskiego, brzmi ten ustęp: Jeszcze były wschodowe kraje nie pokłoniły się miesiącowi, ani państwo Azyjskie prawa tyrańskiego jednego przyjęło, kiedy do pewnej insuły morza Karpackiego wojenna przypłynęła galera. Ozdobiona była tym wszystkim, cokolwiek ją uczynić mogło lub wspaniałą lub potężną, aby się schroniła niebieskich gniewów, które budują góry z wody,

grożą przepaściami żeglującym. Tu się do tej przypchnęła insuły, gdzie między dwiema wielkimi skałami, które jakoby łono jakie formowały, wszelkiego pewna była bezpieczeństwa. Żeglarze, zrzuciwszy kotwy, spuścili i wschody. Alić wtym znagła wyszła barzo piękna białogłowa, która, będąc zmorzona niewiem czyli barziej niewczasem morskim, czyli serdecznym żalem, ledwo strzymana była na rękach jakiegoś, który z nią szedł kawalera i t. d.

Tak walczyła poezya z prozą, bo i odpisy przeróbki wierszowanej Ogińskiego i przekładu prozaicznego Załuskiego (a może i innych?) często trafiają się po bibliotekach. Najwięcej piór poruszał jednak zawsze jeszcze Préchac'a »Kawaler polski albo awantura Walewskiego z Beraldą«; nie zadowolono się przekładem prozaicznym Działyńskiego: pani Antonina z Jełowickich Niemiryczowa, oboźna litewska, wydała go wierszem roku 1750 p. t. »Feniks rzadki na świecie« i t. d. — pisywała ona i wiersze o marnościach świata, ale wiersze jej marne i formą (*któren* przybrał *se* za zięcia) i wyborem słów (promowował, addukował, affidował i deklarował), lecz pani Oboźna twierdziła, »że większa jest każdego chętka czytać wierszem niżeli solute« (prozą). Więc i pan regent grodzki pyzdrski, Franciszek Morawski, gładszym go wierszem urobił roku 1747, ale i ten wiersz już raził uszy znawców; na wiersze jego, np. takie:

I tak zarazem było wesół (wesel) dwoje,
Mieli za smutki pociechy oboje...
Cieszyć się wszyscy wzajemnie poczęli,
Że się do kupy tak wszyscy zgruchnęli.
I owa, co już gacha postradała,
W prędce inszego za niego dostała;

sąd (Minasowicza? roku 1754) wypadł wcale niepochlebnie co do złych kadencyi na »ści«, co do makaronizmów, co do mdłego stylu — więc i Minasowicz jeszcze tej samej pracy się podjął.

»Kawalera« tłumaczyło tylu, ponieważ żałowano, że »o Polsce barzo mało« w romansach czytać można; z polskich więc dziejów bajecznych wziął asumpt do epopei romantycznej Skórski. Ale Skórski napisał swego »Lecha« w heksametrach łacińskich, kiedy w całej Europie podobne rzeczy już tylko prozą i w języku narodowym pisywano. I, jak dalszy ciąg Argenidy łacińskiej znalazł

polskiego wierszokletę (»Argenida po zawartych z Poliarchem ślubnych kontraktach z przedziwnych przypadków wybawiona« i t. d., Pijara Walerego Wyszyńskiego roku 1743, około 25.000 wierszów, którym jednak do »osobliwszej piękności« wierszów Potockiego daleko), również i »Lecha« przełożył w ciągu piętnastoletniej pracy Bernardyn Kotficki na wiersz polski roku 1751. Jest to apoteoza nierządu i złotej wolności, w bajecznych podróżach i awanturach Lecha i jego potomków, córki Libryi ze złotym runem, które Ross porwał, syna Wizymira i t. d., »gdy se dać nie mogli rady«, w dwunastu księgach, nieraz na alegoryę polityczną Argenidy, najczęściej na awantury fantastyczne zakrawających. Romansów w prozie bywało zresztą więcej, więc znowu »Argenidę« w prozie wytłumaczono (rękopis, niedokończony); dalej »Historyę Alkamena, króla Scytów i Menalipy, królewny duńskiej«, Balbina Wołowiczówna, referendarzówna W. Ks. Lit., wytłumaczyła i tej samej ordynatowej Zamoyskiej poświęciła. Albo »Tachmas, królewicz Perski« (tłumaczenia Sobieskiego?), albo »Historya o królu Bedredynie Lolo i o jego wezyrze Atalmuku, nazwanym Wezyr Smutny« i t. d., ale te w rękopisach pozostały.

Szemat tych romansów niemal zawsze ten sam; rozłąka rodziców czy kochanków, śmierć mniemana, odzyskanie straty, turnieje i pojedynki, zazdrość macochy, rywalki czy rywala i t. d.; obrazów przyrody jeszcze niema; nawet stanu duszy nie malują, zato przeplatają je uwagami moralizującymi; element humorystyczny ukazuje się wyjątkowo w jakiejś figurze epizodycznej; czuła miłość, niezrażona żadnymi przeciwieństwami, tryumfuje wkońcu nad nimi. W porównaniu z nieskończoną fabrykacyą podobnych, nieraz olbrzymich romansów zagranicą uderza ubóstwo ich polskie, wydające zgnuśniałość umysłową za Sasów; gatunek romansów, szczególniej u Niemców bogaty, pełny szczegółów archeologicznych, historycznych, uczoności antykwarskiej i innej, w Polsce wcale nie był znany.

Osobno wypada wymienić pierwszy oryginalny romans polski listowny młodego Zatorskiego; autorowi szło jednak raczej o ułożenie wzoru listów »amorycznych«, niż o sam romans, między Rożynem a jego Chlorydą w 94 listach się toczący: ostatni list zaprasza na wesele młodej pary. Jak korespondencya zalotna z czasów saskich wyglądać powinna, pouczy pierwsze zdanie pierwszego listu, wystosowanego od »konkurenta« do świeżo poznanej damy: »Tak doskonały ślicznych przymiotów i zacnych własności WM. Panna Dobrodziejka w sobie wyrażasz rytrat, że gdyby bajeczne dawnych wieków czasy miały honor godne WM. Panny Dobrodziejki znać i adorować narodzenie (na boku dodano: urodzenie tu nie służy, bo znaczy familią), wszystkich by WM. Pannę D. zebraniem i skarbem Gracyi nie bez słusznego osobliwszej jakiej bogini tytułu, potomnej na podziw i uprzejmą zazdrość podały pamięci«. Pojedynek, rany odniesione i t. d. przeszkadzają szczęśliwemu związkowi.

Podgórzanin nasz wyznaje, że i sam jeszcze nie kochał, że nie ma doświadczenia, nie wyjeżdżał i t. d., że więc w wyrażaniu afektów pomylić się mógł, ale młody pisze o uczuciach — na starość podpiły będę rozprawiał, jak Aleksander Wielki z Przemysłem pod Krakowem walczyli, jak świat się za moich czasów odmienił i t. d. Autor jednak tego dzieła (»Przydatek i t. d.«, r. 1746) ciekawy i sympatyczny tym, że biada nad zaniedbaniem języka polskiego, że podaje tematy, które dotąd u nas nie opracowane lub »już móle po stęchłych wygryzły bibliotekach«, nie tylko heroiczno-miłosne, lecz i polityczne i ekonomiczne i pedagogiczne: co za skutek wywołałyby podobne dobrze i przystępnie napisane dzieła!

Jeden z pierwszych trzeźwiejszych romansów wytłumaczono, dla ćwiczenia językowego raczej, z niemieckiego, słynnego Gellerta (bajkopisarza i t. d., tłumaczonego później częściej na polskie), »Przypadki szwedzkiej hrabiny G**« (r. 1755), które ta od siebie opowiada, o swoich mężach; przyczym dolę zesłańców na Sybir kreśli, poraz pierwszy w literaturze polskiej. Obok tych nowych, często przydługich, a zawsze bezmyślnych i sentymentalnych romansów, popłacały jednak po dawnemu krótkie »ludowe« powieści, o Magielonie, Ottonie (z tego romansu wzięto imię Marcybelli, nie rzadkie w owych czasach), Meluzynie i t. d.; opadały one jednak w sfery coraz niższe, niemal ludowe, ignorowane przez wykształceńszych, choć przez krakowskich i lwowskich nakładców rok rocznie niemal wybijane. I tu więc trzymały się czasy saskie dawnej spuścizny; nie odstępowały od niej i na innych polach.

I tak nie opuszczono nawyczki dawniejszej wierszowania relacyi historycznych; niektóre z nich ciekawe czy treścią i dokładnością opisu, czy też jako oznaka czasu. Potrzeba Olkienicka,

złamanie buty Sapieżyńskiej, wynoszącej się ponad równość szlachecką, poruszała nieraz pióra; na początku wieku »Oyczysty Apollo« ją opiewał, wcale dokładnie, nawet położenie Olkienik rysując; wyżej wzniósł się Korytyński w połowie wieku, również Litwin, a stanowisko swe uwydatnił, kończąc z tryumfem:

Uczcie się, komu szczęście i fortuna sprzyja,
Niech się wyżej nad równość polską nie wybija.

Najciekawszą i najobszerniejszą relacyę ułożył wierszami Jezuita Franciszek Gościecki; jak niegdyś Twardowski roku 1622, tak on roku 1712 brał udział w wielkim poselstwie wojewody Chomętowskiego od Augusta II do sułtana i podróż, pobyt na Multanach, w Adryanopolu i w Konstantynopolu, szczegółowo a płynnie opisał. Jest tam wszystko, nawet opis szalbierza - spirytysty i »seansów« jego i zdemaskowania, opis życia i trybu tureckiego i wołoskiego, prawdomówności, przekupstwa i t. d. aż do chowania gołębi i turkawek po placach, liczenia drogi nie na mile, lecz na godziny i t. d. Zresztą wypływa imię Chomętowskiego jeszcze roku 1720, ale w literaturze pamiętnikarskiej: z jego misyi dyplomatycznej do Petersburga pozostał opis nowej stolicy (prozą, bardzo ciekawy i pouczający), gdzie język polski, instytucye i duch polski wcale obce nie były a terminy: korona, szlachetny i t. p., nietylko w korespondencyi Piotra Wielkiego, w pomysłach oligarchicznych bojarów, lecz nawet na gmachach publicznych się pojawiały.

Gdy z każdym rokiem sprawy, czy polityczne czy literackie, tylko się psuły, więc i późniejsze relacye coraz niżej stają, np. takie »Opisanie Kampamentu« (Augusta II pod Radewitz 1730 roku) w szumnych oktawach (!! jakby o jakim dziele heroicznym), Walawskiego, albo »Wyjście Najj. Króla Stanisława I z oblężenia miasta Gdańska roku 1734« Józefa Sulistrowskiego, chociaż wcale dokładne; wielbi Stanisława, prezentującego się wcale nie męsko, ciągle do płaczu i narzekań skłonnego. Najniżej upadł autor »Rewolucyi Szwedzkiej i Duńskiej«. Przetłumaczył ją z Vertota wojewoda Potulicki jeszcze roku 1701 prozą, a przewierszował to r. 1756 anonim równie podle, jak podłym jest samo wydanie jego wierszów. Chodziło o przestrzeżenie Polaków, aby nie stracili

wolności, równie jak Szwedzi i Duńczycy, cieszący się niegdyś tym samym »szałtem« (kształtem) rządów; reformacya pozbawiła duchowieństwo władzy, zaczym i szlachta ją utraciła. Jedynie uwagi o spółczesnej Polsce ratują ten stek najbezdarniejszych wierszów, skargi na to, że

W kapelach hucznie brzmią wiole, basy,
Choć blizką zgubę poznajem z daleka;

giniemy bez rady, sił, pieniędzy, zniszczały już miasta, ratuje nas tylko wolna mowa, bez niej zginęła wolność i ojczyzna; dziwnaż to jednak była wolność mowy, skoro autor:

Różność (niezgodę) braterską wspomniawszy zdaleka,
Bo się obawia, by nie stracił głowy
Teraz ten, który rzec prawdę gotowy.

Wiemy też z Matuszewicza, że ta wolność mniejsza była, niż w Rzymie za cesarstwa, gdzie się tylko jednego nie godziło tykać, u nas zaś tylu mściwych tyranów, ilu bogatych i silnych ludzi — tak że p. Matuszewicz swój przekład wszystkich satyr Horacego (ze wstawkami o rzeczach polskich) dopiero po śmierci ogłosić pozwolił.

Satyra polityczna i obyczajowa, choć same kamienie do nieba o pomstę wołały, głęboko uśpiona milczała, gdyż ani Opalińskich ani Starowolskich ziemia jużby nie zniosła. Najciekawszą satyrą jest »Małpa - człowiek«; autor jej, prozą i wierszem dobrze piszący, przechodzi po kolei przywary strojniś; żołnierzów - zawadyaków, szermujących gębą; mieszczan, ich sprawiedliwości, ławnicy tylko »z grzywien pić śmierdziuchę umieją«; nieszczęście i spodlenie chłopów - charłaczyków, z których nędza boży »rytrakt« (wizerunek) starła: przenajświętsza Trójca u niego widły, dusza para, kościół browar. Dalej sarka na straszne nieuctwo i rozwiozłość duchownych; u kaznodziei Seneka to matrona, Horacy pustelnik, Elizeusz apostoł, Epikur papież, Enocha Haman na tron hiszpański wysadził, Jozuego bracia do Rzymu sprzedali — z tego szydzili już Opaliński i Potocki, u którego ksiądz czerwoną rubrykę w kalendarzu jako uroczyste święto ogłaszał.

Satyra nie ukończona; autor, gdy znowu o duchownych pra-

wić miał, urywał ją nagle i o wybaczenie prosił. »Szalę« napisał Michał Działyński i po jego śmierci rzecz wydano r. 1714 w »Argentynie«: przyczynę klęsk polskich upatrywał w maksymach »wierzże, jako chcesz« i »bracie, czyń co chcesz, wżdyś wolno zrodzony«: nikt cię przecież nie śmie obwinić, choćbyś ukrzywdził — byle nie większego; lepsza u Turków sprawiedliwość; opisane przytym widzenie »pogróżki niebieskiej« w Poznaniu z roku 1692 jeszcze, które i później przedrukowywano.

Po dłuższym przeciągu czasu nastąpił »Skrupuł bez skrupułu« wojewody ruskiego, Jabłonowskiego, cenny anegdotami i rysami z życia, jeszcze cenniejszy tym, co wszystko za taki »skrupuł bez skrupułu« uchodziło, czego wszystkiego się dopuszczano z najspokojniejszym sumieniem, przeciw państwu i ziomkom; cechujący i trwożliwość autora, poruszającego same drobnostki, i wyniosłość jego, obruszoną tym, że szlachta odważa się cenzurować panów. Odtąd popłacały tylko utopie polityczne, jak owa »Regina Palatii« z zeszłego wieku, teraz dopiero drukowana nieraz; na śmierć się narażał, ktoby między szlachtą przeciw *Liberum veto* był przemówił — ale takiego śmiałka nie było. Niepokoiła tylko jedna rzecz, że w ustroju republikańskim król urzędy rozdaje; najznakomitsi statyści, Humiecki wojewoda, Poniatowski i inni proponowali więc, aby król tylko wybranego przez szlachtę kandydata potwierdzał; lecz ten ideał magnacki poparcia nie zyskał, bo rozstrój uniemożliwiał i najlżejsze zmiany.

Na innych polach myśli nie krążyły żywiej; historya i pamiętnikarstwo niemal ustały; po roku 1720 nie było o czym i pisać, rywalizacye Familii i Potockich, tranzakcya kolbuszowska (rozgrabienie ordynacyi ostrogskiej) i t. p. mogły tylko pamflecistę, nie historyka natchnąć. Więc chyba podkanclerzy litewski, Szczuka, »eklipsę« (zaćmienie) Polski światu wystawił, zmyśliwszy nazwisko (jak i datę, 30 lutego!), a wstawiwszy bardzo mądry ustęp o reformach koniecznych, głównie skarbu i wojska; albo Erazm Otwinowski spisywał w pierwszej ćwierci wieku wojny szwedzko-saskie i polski w nich udział, nienawidząc rzetelnie pludraków i ubóstwiając Ledóchowskiego i konfederacyę tarnogrodzką, t. j. zamach samobójczy dogorywającej Polski szlacheckiej; to znowu mnich-Bazylian spisał w Wilnie utrapienia zakonu, miasta i kraju od żołnierstwa obcego i swego (Abrys domowej nieszczęśliwości i wnętrznej niesnaski i t. d. Jana Oleszewskiego z roku 1721) i takich pamiętników bywa więcej, nieciekawych ani treścią, ani formą.

Wymienić z nich można Dyaryusz Orlika, ostatniego »Mazepińca« i hetmana kozackiego *in partibus*, partyzanta króla Leszczyńskiego, niegdyś ucznia akademii mohilańskiej, świadczącego najlepiej, jaki duch, wzory, język panował niegdyś w Kijowie — Orlik pisywał panegiryki, którymiby i akademika krakowskiego, Bieżanowskiego, zakasował, wierszem i prozą, a w »Dyaryuszu« (r. 1720 — 1733) ów potomek śląskiej niegdyś rodziny (spolszczonej jak Pretwicy i inni), narabiał i łaciną niezgorzej, makaronizując zawzięcie.

Najbardziej jednak charakterystyczne, dla ludzi i czasów, są zapiski **Marcina Matuszewicza** (1750 — 1765), nie dla stylu, gdyż opadają nieraz do najsuchszego wyliczania wszelakich pieniactw, lecz jako zwierciadło wieku, jako obraz walki o byt »równego« szlachcica, lawirującego ze swoim bacikiem między Scyllą a Charybdą Dworu, Familii i Radziwiłłów, broniącego »fortunki« przed ciosami, spadającymi lada chwilę na niego, uważającego, ze wszystkimi innymi, każdy środek, przekupstwo, pochlebstwo i t. d., za godziwy — a Matuszewicz jeszcze do wyborowych ludzi saskich należy, sercem, rozumem i wykształceniem! Pobożny, wszędzie widzi palec Opatrzności, pości i krzyżem leży w kościele, ale równocześnie albo pochwalne ody pisze, albo w jaki inny sposób »zasłużyć« się stara możnowładzcom: despekt od nich przyjmuje się kornie, oni przecież człowieka wynoszą albo zabijają — kazaliż Czartoryscy zarzucić nieszlachectwo Matuszewiczom, t. j. zasądzili ich na śmierć cywilną, i cóż to kosztowało późniejszego kasztelana, nim ten straszny cios uchylił! Przerażający zanik rozumu: Dylewski rozśmieszył wprawdzie sejm roku 1748 żądaniem, aby Żydów kastrowano, ależ błazna tego i dalej posłem wybierano i roku 1761 hamował on *activitatem* sejmową tak długo, póki go Pijarzy w kalendarzu politycznym na należnym miejscu nie wydrukowali! P. kasztelanowi w gruncie się nie źle powodziło, a mimo to pamiętnik jego tylko najczarniejsze myśli nasuwa.

Za to pamflety kwitły, od wojny domowej Sapiehów z Ogińskimi aż do (nie krwawej) wojny Familii i Potockich; Lis sapieżyński i Kocieł ogiński zmierzyli się jeszcze przed Olkienikami na paszkwile, nie kończące się po Sylwach szlacheckich; cóż dopiero

Sas i Leszczyński (co za ten figiel stracił i Szmigiel); Sas i metresy jego, piętnowane wierszydłami dawno jeszcze, zanim Pöllnitz *La Saxe galante* napisał, a ktoś inny na »Zalotność saską« wytłumaczył (częste po rękopisach); pojedynek Tarły i Poniatowskiego; tranzakcya kolbuszowska, opiewana na wszelkie łady; nieudała próba akademii jezuickiej we Lwowie — na wszystko znalazły się paszkwile, bezimienne i rękopiśmienne, więc wyuzdane i wszeteczne, a te wywoływały odpowiedzi, przesadzające w cynizmie i prostactwie. Naśladowano wszelkie dawne formy, np. Zegarek, wybijający godziny z admonicyami o marności rzeczy ludzkich, przystosowano do Augusta II, a w trzydzieści lat później znowu do Leszczyńskiego i t. d.; rozmowy poufałe konfidentów, Polaka i Niemca i t. d.; listy Mazura; spowiedź wielkoczwartkową jakiegoś dygnitarza czy prymasa; nagrobki pludrakom, poległym pod Kliszowem; parodyę świąt (Trzech Króli) i świętych — roją się od tego Sylwy spółczesne.

I ten zwyczaj, wciągania aktów publicznych i prywatnych, rad Kalimachowych i rokoszu gliniańskiego, mów i listów, dni egipskich (feralnych) i środków przeciw wściekliznie, gratulacyi i paszkwilów, wierszów i prozy do obszernych ksiąg domowych trwał dalej; ba, kasztelan smoleński, Kazimierz Niesiołowski, wydrukował nawet taką zbieraninę wyciągów i wypisów z rzeczy obcych wraz z własnymi najgłupszymi konceptami p. t. *Otia publica vix domestica* próżnoty różne publiczne domowe... do zabawy w próżnościach niepróżnującym i t. d. roku 1741 i w drugim zbiorze p. t. *Otia domestica*, drukowanym później, lecz nie mądrzejszym, gdzie jeszcze najlepsze »paszport z Parnasu« dla jego »muzy wiejskiej, wierszyków z prostego trypodu«, idących »do Zbaraskiej nimfy... w kastelu Nieświeskim najpierwszej bogini — ta nad muzami wszystkich bogiń monarchini« (ks. Radziwiłowa).

Takie to Silwy rerum przedstawiały i publicystykę. Jeżeli gdzie, to chyba w kraju wolnym należało oczekiwać wczesnych jej urodzin, tymczasem najgorsze despocye miały już gazety, tylko w Polsce one się nie przyjmowały. Wychodził wprawdzie już w XVII wieku »Merkuryusz polski, dzieje wszystkiego świata w sobie zamykający dla informacyi pospolitej« (r. 1661, co tydzień, wydawał Jan Aleksander Gorczyn, pisarz rzeczy heraldycznych, muzycznych i ascetycznych), ale pół roku nie przetrwał; potym

Włosi w Krakowie drukowali łacińskie awizy; panowie kontentowali się pisanymi gazetami, które korespondenci płatni przesyłali np. z Warszawy, brak wiadomości skandalami i plotkami niestworzonymi łatając. Pocztmistrz toruński, Rubinkowski, na największą skalę takie korespondencye dla stałych, licznych abonentów utrzymywał: folianty jego, obejmujące kilkadziesiąt lat dziejów polskich, dostały się Załuskiemu.

Na wzór gazet zagranicznych spróbował wydawać polskie drukarz królewiecki, Dawid Zankier, pod tytułem »Poczta« (i »Poszta«) królewiecka, od sierpnia roku 1718 do 1720, lecz wydawnictwo zaniechał, żegnając się z publicznością: Mnie wielce mości panowie! barzo licha była tego roku obrywka z gazetów polskich, bo barzo mało było ichmościów, którzy się w nich kochali. Więc przyjdzie mi tego roku ich poniechać, aż obaczę, da Pan Bóg, za rok, jeżeli się IM. więcej znajdzie, którzy by chcieli polskie trzymać gazety, tedy znowu mają być drukowane«. Do tego jednak więcej nie przyszło; wina była poniekąd i po stronie p. Zankiera, który zapychał »Pocztę« wiadomościami o rewiach w Poczdamie i Berlinie, a rzeczy polskich przynosił nieraz najmniej i całkiem nieważne, chyba o morze, albo że nie będziemy mogli »żniwować« i to zawsze na końcu numeru, np. cała korespondencya z Poznania z 29 listopada roku 1719 opiewa tak: »w ziemi naszej nie słychać, chwała Bogu, nic o powietrzu« (nic więcej); innym razem, że (w Poznańskim) »wszelkie podróża« ustały dla rabusiów. »Poczta« wychodziła co sobotę i miała bezpłatne dodatki osobliwszych *particularia*, np. listu króla pruskiego (do polskiego), że z carem o zgubie Polski nie przemyśla.

Pijarzy i Jezuici wydawali potym, od roku 1729 i 1759, »Kuryera Polskiego i Litewskiego« — ale treść obu była marna, przynosiła wiadomości o połogach wielkich pań, albo że »ordynat młody łowami prawie codzień zabawia się«, o pogrzebach różnych magnifik, o »grassantach«, co kamienice okradają, o wprowadzeniu cudownego krucyfiksu i t. d. Nie dziw, że nie wyrugowały »Kuryery« owych prywatnych korespondentów, których jeszcze r. 1773 Pijar Piotrowski w osobnej satyrze (Na gazeciarzów, fałszywe baśnie piszących) wyszydzał, zowiąc ich »romansistami«, co chyba od starych bab ćwierćroczne wiadomości, drogo opłacane, czerpią.

Polskie ascetyka i łacińskie panegiryki zalewały literaturę drukowaną; wyjątkowo pojawiało się i w łacinie coś odmiennego, np. *Viennis*, epopea o 1683 r., wedle wszelkich norm klasycznych przez Pijara Kalińskiego (Damascena) zbudowana, w dwunastu księgach i 10.000 heksametrach, poważna a nudna; albo Opera heroica Adama Ponińskiego, wojewody poznańskiego, »korony nowszych poetów polskich«, jak go Janocki nazywał (obraz jego zdobił bibliotekę Załuskiego), najobrzydliwszego pochlebcy, dopraszającego się całowania chorej nogi Augusta II i sławiącego jej uzdrowienie hymnem dziękczynnym »na pociechę narodów«, silącego się i na epopeę narodową (o Warneńskiej), ale zdolnego tylko do opiewania »Kampaniamentu« (manewrów) i uroczystości drezdeńskich weselnych (z loteryą, zapasami kogucimi, piramidą żywą akrobatów i t. d.), chociaż i o satyry się kusił, mdłe i bezzębe zazwyczaj, o ileż niższe od satyr innego wojewody poznańskiego!

Innych niw poetyckich nie uprawiano. Liryka leżała odłogiem, chyba po seksternach rejentowice i podsędkowie wiersze miłośne fabrykowali, a raczej przepisywali, przyczym najciekawsze, ruskie pieśni ludowe, i w języku, naśladują, np.: Oj chtoż mene bude w moim żalu teszyty, Chtoż so mnoju horki ślozy pyty, Koli niet diwońki kotoruju lublu, Bo dla nieje żytie moje i zdorowie zhublu i t. d. — takich bywa secinami po rękopisach. Kwitła liryka religijna i tu się cisnęło co żywo, autorowie starzy i młodzi, świeccy i zakonni, polscy i łacińscy. Taki np. łowczy mielnicki, Wojciech Kurdwanowski, w siedemdziesiątym roku życia »bierze się w parnaskich kompanią gości«, choć sam mówi sobie, »ostrożnie Wojciechu, ażebyś ludzi nienabawił śmiechu«, »żeby rozrywać wdzięczną sobie muzą Melankolię przy paciorkach dużą, narażając się na różnych niećciwiarskich zoilów, którzy nas fryców i neoteryków otną, jak byków*), skoro nawet prymasowi muzy polskiej, Kochanowskiemu, nie sfolgowali i lekkomyślnie go dysydentem

*) Rzecze ktoś, takie wiersze pisze Półkozic,
Żeby mógł mydło za drugimi wozić.
I prawda, bowiem autor nie jest tanti,
Gdzieś in Zawichost podobno uczony i t. d.

— żartowano z »akademików« zawichojskich; *discuit se in Zawichost* mawiano już w XVII wieku.

udali, choć to fałsz wierutny«. Zostawił wiersze pobożne, treny i t. p., chociaż obiecywał »czasem pomyślić o ojczyzny biedzie, czasem rozerwać myśli przy biesiedzie«; naśladował Sucqueta i innych Jezuitów. O wiele więcej pisywał Saroński, żupnik wielicki, którego rzeczy i do druku się dostawały (Lutnia Dawida), lecz po największej części w rękopisach ugrzęzły, między nimi i humorystyczne »pieśni albo deklamacye« na narody i stany, kozaków i żołnierzów, żupy wielickie i t. d.; przeważają jednak o wiele rzeczy religijne. Ciekawsze nieco są staranniej wygładzone wiersze starosty bolimowskiego, Marcina Zamoyskiego, z roku 1715, p. t. »Passya«, epigramy na mękę Pańską, smakujące w »argucyach« i konceptach, tak np. w Przedmowie do Krzyża świętego:

Pokaż mi, Krzyżu święty, zkąd ci moc jest dana,
Że Pan *świat* w palcach dźwiga, ty na świecie Pana?
Na czym stoisz? kiedy *ten* wisi z Pańskiej ręki?
Jak Pan trzyma, kiedy jest przybity do męki?...
Pan nad wszystkich, ale ty nad Pana mocniejszy i t. d.

Lecz takich »poetów«, była moc, różnych Flaszyńskich; mieszczan Ormian, jak Minasowicz (ojciec »poety«), Muratowicz (Alojzy, Próżnowanie niepróżnujące, z wierszami na Dalfusów, Moków i t. d.); Jakób Matyasewicz (patrycyusz lwowski, z wycieczkami przeciw Żydom, przeciw panom, na których niemasz nigdzie prawa:

Pan prawo sobie jakie chce stanowi
I wierzyć każe, co sam tylko powi i t. d.);

Jezuitów, jak Dominik Rudnicki (Głos wolny w wiązanej mowie i t. d., »złotą pracą« nazywany) i t. d.; oni nie dochodzą nawet naiwnej rzewności i prostoty owego starego Półkozica; mieszczanin Świątkowski, autor olbrzymiego zbioru wierszów łacińskich, Jakliński, tłumacz S. Lubomirskiego na łacinę i i.

Sielanek, dramatów nie uprawiano, prócz dramatu szkolnego[1]);

[1]) »Teatrum życia ludzkiego w historycznych exhibicyach na widok publiczny wystawione« Jezuity Piotra Kwiatkowskiego (r. 1740) ze sceną niema nic wspólnego; wierszowano tu nowele (Gryzelda, Robinzon Kruzoe — pod innym nazwiskiem), i ascetyczne opowiadania o synu, wstępującym do klasztoru, odwodzonym od tego przez rodziców na swe nieszczęście i t. d.

dorywczo i po dworach pańskich wystawiano sztuki; niektóre z nich w całości lub w scenaryuszu i do druku się dostały, np. sztuki grywane u Jordanów, z których »Rodian« (t. j. Jordan) był tylko plagiatem z »Ermidy« Lubomirskiego. Najpilniej pracowała dla sceny dworskiej wielka dama i znana literatka, **Franciszka** Ulryka z Wiszniowieckich **Radziwiłowa,** hetmanowa i wojewodzina, oczytana jak rzadko; bibliotekę swą z 2000 autorów (dziś w Petersburgu) złożoną znała na wylot. Już młodziutka mężatka pisywała do nieobecnego męża tęskne elegie i listy poetyckie. Na teatr nieświeski (w imieniny familii hetmańskiej, na przyjazd gościa, np. kanclerza Sapiehy i t. d.), od roku 1746 — 1752, wystawiła szereg oryginalnych i tłumaczonych z francuskiego komedyi, tragedyi i oper, co pierwszy amant tego teatru, kapitan Fryczyński, roku 1754 wydał. Najciekawsze miedzioryty, ze scenami i okalającym audytoryum, gdzie z »rożenkiem« francuskim i perukami łby wygolone z serpentynami u boku dziwnie kontrastują; same sztuki nieciekawe, nierówne (jeden akt ma dwie, drugi ma 17 scen), klecone byle jak, drastyczne w wysłowieniu tak, że wierzyć się nie chce, by to przed młodymi księżniczkami wystawiano (np. drze mi ucho małżeństwo, jak pomyślić, że z jednym i t. d., a są i dosadniejsze rzeczy!), wierszem i prozą, językiem nieraz wcale twardym; tłumaczone odróżniają się natychmiast fakturą i tętnem dramatycznym. Treść brała Radziwiłowa z »Siedmiu mędrców« (np. Niecnota w sidłach z »Rycerza«), z nowel Morsztynowych (Gryzelda; Cymon), z mitologii, z bajek — w jednej wyprowadza Solona, aby chwalił polskie »trzy stany: tron, senat, buławę«. I francuskie przekładała na polskie stosunki, wywodziła więc córki »szlachcica powiatowego, Gorgibusa«, którym czytanie romansów główki poprzewracało, brzydzących się nazwisk swych, Kasia, Magdusia, »tym dźwiękiem najpiękniejszy romans wraz się spryska«, niechcących słyszeć o zwykłych oświadczynach i natychmiastowych ślubach:

Przepadłby romans prędko Mandany nadobny,
Cyrus by się ożenił bez żadnej przygody,
Arons by wziął Klelię z fortun i urody,
Tak by się awantura Baneluki zniosła,
Bez przygód amorycznych w port płynąc bez wiosła.

Większy talent poetycki wykazała pierwsza znakomitsza autorka polska, **Elżbieta Drużbacka,** chociaż brak jej ogłady i oczytania księżny pani. I ona pisała dla siebie i wybranej publiczności, jak wszyscy inni literaci, ceniący pióro i pracę, i nie jej to zasługa, że choć znaczną część jej rymów za jej życia jeszcze wydano. Znała głównie literaturę polską, z góry więc skazana była na niedoskonałość formy i kompozycyi, na przewagę dydaktyki i alegoryi, na nierówność języka i chropawość wiersza. W przeważnej części produkcyi literackiej naśladuje Chróścińskiego i Potockiego, do którego i życiem podobna, owdowiawszy rychło, potraciwszy dzieci i wnuki, tak, że wkońcu w zacisze klasztorne się cofnęła. Rymuje więc biblię i legendy: »Opisanie życia świętego (?) Dawida« — niby »Józef« Chróścińskiego; »Historya św. Maryi Egipcianki«, »Św. Marya Magdalena« — jak »historye« Jabłonowskich, Jezierskiego i tylu innych. Rymuje dalej alegorye i romanse, niby Argenidę i Syloreta, w »Fabule o księciu Adolfie dziedzicu Roksolanii« (alegorya fortuny i śmierci, której i Fortunat nie ujdzie); w »Fortecy od Boga wystawionej, pięcią bram zamkniętej«, t. j. duszy ludzkiej z pięcią zmysłami; w opisie Arkadyi (i szczęśliwego pożycia małżeńskiego); w bajce mitologicznej Cefal i Prokris; w romansach, »Historyi chrześcijańskiej księżny Elefantyny i Eufraty« (i jej córki Astelli między poganami); nakoniec w romansie o przygodach Teolindy (córki wodza Ortobana) i jej przyjaciółki. Oprócz tych romansów duchownych i świeckich pisywała panegiryki dla Branickich i innych rodów, u których gościła, wiersze okolicznościowe i satyryczne i t. d.

Nowym pierwiastkiem, który do poezyi wniosła, była opisowość, obca dawnej poezyi polskiej, którą tylko ludzie i czyny zajmowały, która chyba w krótkich wierszach np. miesiące, pory życia ludzkiego i t. d. określała, albo rozkosz żywotu ziemiańskiego, już od roku 1550, wysławiała. I tak jeden z najudatniejszych jej wierszów, to »Opisanie czterech części roku«, gdzie się wprawdzie bez mitologii i personifikacyi nie obeszło — od takich zaczyna każdą część, ale zajęcia gospodarcze i życie przyrody z wdziękiem pewnym oddała; pendant do tego — »Opisanie czterech elementów szkodliwych i pożytecznych«, słabiej, bardziej wymuszono i sucho wypadło; »Pochwała lasów« na sielankę pasterską zakrawa. Jak tu autorka z wędrówek zaświatowych, ascetycznych

czy romansowych, na ziemi rodzimej się oparła i prostsze, prawdziwsze tony wydała, podobnie trzymała się rzeczywistości w listach poetyckich i satyrycznych, czy o rzeczach potocznych czy o znaczących dziełach i ludziach. Więc np. dziękowała założycielowi biblioteki narodowej, że budzi »ociężałe snem Polaków głowy«; biskupowi krakowskiemu, że egzorcyzmom dyabelskim koniec kładzie, prosząc go jeszcze: wyżeń upiry z Polski, o których mnisi bają i t. p.

Nie nauka, nie wzory, ale takt kobiecy i kobieca żywość ustrzegły ją, jak inne kobiety, od przesady i maniery autorów męskich. Cech wieku i ona nie ściera, ani z myśli, ani z treści, ani z formy; i ona nazwie robactwo »ciała possesorkami«; i ona grzeszy płaskością wymysłu i trywialnością wyrażenia; mimo to odczuwa dzikość ówczesnego stylu, który już z mów i listów do szkoły się cofał; zbytnią uniżoność (adoracyę) w mowie i piśmie; rażą ją nietrefne słowa, wymykające się i damom (na co już w XVII wieku uważano, na ten temat przytoczył Potocki jednę z lepszych fraszek)

Stanowisko jej jest całkiem kobiece, więc i o miłości rozmyśla, którą dawniej mężczyźni pałali, gdy teraz chyba kobiety jej hołdują, i o pożyciu małżeńskim, przyczym płci swojej wytyka wady, strojnisiostwo lub gonienie za rozrywkami. Pomijano chyba jej moralizujące elegie, zawiłe nieco i mdłe, zato podobały się inne rzeczy, skoro ona pierwsza po długim przeciągu odniosła sukces literacki — przynajmniej twierdził wydawca jej pism, że w kilka lat edycya foliantu rozeszła się zupełnie. Talentu dowodziło i to, że widocznie postępowała, pisywała tym składniej i łatwiej, im później; wielbicieli znalazła, do nich należał i Krasicki, wydawca niektórych jej rzeczy. Więc chociaż całkiem do przeszłości zwrócona, wyłącznie z niej czerpała myśli i słowa, owiewał ją przecież duch nowszy; większa prostota, szczerość i żywość nadawały niby lekki rumieniec bladym i martwym utworom.

Gdy tak Drużbacka instynktowo raczej, niż świadomie, zwrot ku lepszemu, wydobycie się z martwoty, zastoju i rutyny zaśniedziałej zwiastowała, pracował w tym samym kierunku, ale świadomie, z rozmaitymi wynikami na rozmaitych polach, z rozmaitą miarą sił i talentu, coraz liczniejszy szereg mężów, którzy, zaczerpnąwszy świeżego powietrza w Europie, domową stęchliznę i ciemności egipskie odświeżyć i rozświecić pragnęli. Takich nie brakło nigdy; nadto ściśle splótł się organizm polski z zachodnim, aby nie odczuwał jego tętna, nie wtórował jemu wkońcu, acz w spóźnionym i mierniejszym ruchu — poza poziom hiszpański, włoski czy austryacki i Polska nigdy nie upadła, chociaż razem z tymi ofiarami reakcyi katolickiej, dawną świetność i siły postradała.

Życie umysłowe francuskie wybiło swą cechę na tych przodownikach na polu literatury, kultury i polityki — przy dominującej w Europie francuszczyznie, poprzez Niemców, o których bardzo niewiele wiedziano, chociaż o miedze graniczyli; Wersal i Paryż, Molière i Racine, Boileau i Rousseau (liryk), francuscy kaznodzieje i autorowie ksiąg pobożnych, wcześnie drogę do Polski znaleźli.

Wpływy francuskie ułatwiał »filozof dobroczynny«, **Stanisław Leszczyński,** król Polski tytularny, król Polski jednak na polu umysłowym nierównie rzeczywistszy, niż Sasi malowani. Jak się czasy zmieniały, dowodził choćby fakt, że ten, co w poezyi do najniezdarniejszych należał, w zapadłych kątach ascetycznych się grzebał, prozą pisał tak mądrze i poprawnie, jak nikt może ze spółczesnych, i niechce się wierzyć, że »Głos Wolny« i »Historya Starego i Nowego Testamentu« z pod jednego pióra wyszły. »Głos Wolny wolność ubezpieczający« napisany rychlej, wydany późno (roku 1749), to najmędrsza rzecz polityczna z czasów saskich; nie burzy wszystkiego, trzyma się w granicach możliwości, liczy się z nałogami stanowymi — utopie polityczne uprawiał autor osobno, ogranicza tylko wybujałości *Liberum veto*, nie znosząc wprost ani jego, ani elekcyi; w dobrze zrozumianym interesie panów samych stara się o zwolnienie jarzma chłopskiego, o zastąpienie pańszczyzny oczynszowaniem.

Straszne zubożenie Polski, nędza wiejska i miejska, wywołały »Anatomię« wojewody kaliskiego, Garczyńskiego, poświęconą głównie kwestyom ekonomicznym. Polityczne materye traktowali jeszcze Karwicki (po łacinie i polsku) i Poklatecki (Radzewski), ostrożnie, dogadzając miłemu wrzodowi, nierządowi, odbierając, jak Karwicki, prawo nominacyi królowi (dlatego go Branicki w memoryale swym chętnie cytował), a Poklatecki za szczyt mądrości przodków uważał, że przeciw ołtarzowi królewskiemu hetmański wystawili. Tych wszystkich statystów prześcigał »Głos Wolny«:

formą (w pierwotnej redakcyi jeszcze dowcipniejszą, niż w późniejszej), wolną choćby od cytacyi, zagęszczonych w Garczyńskim, i więcej makaronizmów się chroniącą; przedewszystkiem zaś myślą, obejmującą i polityczne i ekonomiczne kwestye, bijącą przeciw nieodpowiedzialności ministrów, dążącą do podniesienia siły zbrojnej — nie na 12.000 żołnierza tylko, jak u Karwickiego. »Głos« jednak odgłosu nie znalazł żadnego.

Inne broszury polityczne, pisane nieraz dowcipnie, nieraz bardzo mądre, dotykały zwykle jednej głównej kwestyi, np. »Rozmowa ziemianina z sąsiadem« roku 1733 około rozdawnictwa buław się toczyła; pomijamy moc broszur i pamfletów w sprawach elekcyi 1733 r. (między nimi i prace Konarskiego); najmędrsza rzecz, to Stanisława Poniatowskiego (ojca) »List ziemianina« roku 1744; aukcyę wojska miał głównie na oku, chociaż poruszał nieodłączne kwestye ekonomiczne, protestując przeciw uciekaniu młodzieży do klasztorów, żądając wolności dla obcych wyznań.

Żadne z tych pism nie wskazywało jednak właściwej grozy sytuacyi, że najlepsze nawet zamiary reform musiały odtąd spełznąć na niczym, gdyż Polska już o sobie nie stanowiła; już jej punkt ciężkości przeniósł się zagranicę; już obce dwory i gwarantowały i strzegły nierządu, wygodnego ich widokom na przyszłość; więc niedojście sejmu, na który Poniatowski ów »List« wygotował, powitali agenci pruscy, jako walną wygranę: a niedochodzenia sejmów pilnował byle kto, zrywali je choćby Żydzi, uchodząc większych podatków (przez podstawione subjekta). Niebyło Polaka, coby nie utyskiwał gorzko nad zrywaniem sejmów; również nie było, coby na seryo tę hydrę zwalczał. Powtarzało się, co od dwu niemal wieków z wołaniem powszechnym »zginiemy« — już roku 1585 zauważył słusznie sędziwy prymas (Karnkowski w wotum senatorskim): »zginiemy« jest to głos złego sumienia, któreby podobnie rade widziało to co mówi. Więc i na zrywanie sejmów wszyscy sarkali, ale nikt, ani dwór, ani Czartoryscy, ani Potoccy, cóż mówić o znarowionej szlachcie, arcywygodnego środka nigdyby się nie wyrzekł; każdy sobie milcząco zastrzegał to »prawo« w widokach partyjnych czy osobistych, a na innych sarkał.

Dopiero **Stanisław Konarski** w czterotomowym »Skutecznym Rad Sposobie« bezprawie to z gruntu podważył; że aż tak olbrzymiej machiny na to potrzeba było, czego, jeżeli nie patryotyzm

i rozsądek, toć sama praktyka życiowa najpospolitsza gwałtownie się domagała, dowodziło najlepiej, jak głęboko wkorzenił się w naród szlachecki wrzód, roztaczający jego ostatnie zasoby. Dzieło światłego Pijara, mimo powszechnego oburzenia, wybuchającego przy pojawieniu się pierwszego tomu, na »mnicha«, mieszającego się w rzeczy świeckie, przekonujące, torując drogę w lesie umysłowej anarchii, wieńczyło tylko poprzednie usiłowania autora, zdążającego ku wytępieniu barbarzyństwa i ciemnoty wszelkiego rodzaju. I Konarski przejął się był zagranicą, we Włoszech, Paryżu i pod bokiem Leszczyńskiego, pogardą »sarmatyzmu« w wymowie, szkole i polityce i po powrocie do kraju rozpoczął pracę owocującą. Pisywał po łacinie, choć rzeczy dotykał polskich, i tak np. stylu »jezuickiego«, jak go już spółcześni chrzcili, albo »dzikiego«, żądając w dziełku *De emendandis eloquentiae vitiis* powrotu do wymowy trzeźwej, rozumnej, chędogiej, wyzbycia się napuszoności i szumu, czystości językowej, skażonej niezliczonymi wlazami obcymi. Oburzył tym Jezuitów, rywalizujących z nowym (stosunkowo) zakonem, zarzucających autorowi, co najwięcej w Polsce popłacało, targnięcie się »na miłych ojców« i wiarę nawet.

Z walką przeciw skażonej wymowie, w oczach ludzi mędrszych rozstrzygniętą dawno (już w czterdziestych latach, wyśmiewano styl »jezuicki« w listach i mowach, i bez Konarskiego — jego łaciński napad burzył tylko ostatnie jej asylum, szkołę), począł walkę i o nową szkołę, o nowy, lepszy tryb nauczania. I tu nie był żadnym oryginalnym czy radykalnym burzycielem rutyny jezuickiej i jej rozpasania; przenosił po prostu, co zagranicą, w rzymskiej szkole samych Pijarów, w szkolach francuskich, widywał, do ojczyzny, akomodując się sferze sarmackiej. Więc zatrzymała łacina rolę górującą, ale obok niej i nowsze języki obce, głównie naturalnie francuski, i język krajowy większego uwzględnienia się doczekały, wraz z przedmiotami innymi, historyą, geografią i t. p., dotąd traktowanymi nie samoistnie, eksplikowanymi przy autorach przygodnie. Za przykładem francuskim, na który niegdyś w Polsce sarkano (np. Łukasz Opaliński w »Barklaju«), wprowadził do konwiktu szlacheckiego, *Collegium nobilium*, które w Warszawie z największym nakładem sił materyalnych i moralnych, walcząc z oporem i jezuickim i konserwatywnym, zakładał, nauki i ćwiczenia towarzyskie, tańce, szermierkę i t. d.; nawet teatr szkolny

miał mu służyć za narzędzie reformy obyczajowej, obok samych wypracowań piśmiennych czy dysput, w których scholastyczno-gramatyczne przedmioty, walkę »czasownika« z »rzeczownikiem« i »propozycye« o *videor*, zastąpił teraz tematami etycznymi i patryotycznymi.

Nie przypadkiem właśnie od Pijarów, nie od Jezuitów wyszedł przeobraziciel planu szkolnego w nowszym duchu; tradycya i rutyna przygniatały u Jezuitów bardziej. I w teatrze ich szkolnym panowała taż sama rutyna, którą przełamał Konarski, wprowadzając role kobiece (choć grane przez chłopców) i czerpiąc wprost z klasyków repertuaru francuskiego. Corneille miał od dawna wielbicieli, znachodził tłumaczów, Aleksandrowicza, Czosnowskiego i innych, poczynających sobie nieraz wcale dowolnie z tekstem; Ottona wystawił, również tekst odmieniając, Konarski na scenie swego *Collegium Nobilium* r. 1744, potym Polyeukta i in., potym sam w podobnym stylu »Epaminondę« napisał. W argumencie Ottona tłumaczył się z wprowadzenia ról kobiecych, gdyż dramaty »nigdy jeszcze bez interwencyi osób białogłowskich od rozumnych i na swym się znających rzemiośle pisane nie były«. Spotkał opór: Jezuita Jan Bielski, autor najlepszego podręcznika szkolnego dziejów i ustroju ojczystego (»Widok Królestwa Polskiego«, dwa tomy, 1763 r.), napisawszy kilka tragedyi, w przedmowie do »Zeyfadena króla Ormuza« dawnego trybu bronił, lecz za przykładem, danym przez Konarskiego, sami Jezuici niebawem poszli i, choć na mniejszą skalę, mógł po zasługi pedagogiczno-literackie Konarskiego Jezuita Bohomolec sięgać; na polu dramatycznym powiększył je znacznie. Gdy dramaty Konarskiego, wierszem białym pisane, ciężkie i suche, acz patryotycznym duchem przejęte (Epaminondas cierpi heroicznie wszelkie prześladowania, oponując się zgubnemu prawu), monotonne mimo to, do szerszych kół nie trafiały, komedye **Bohomolca,** z Molièra i in. przerabiane, pierwsze licznych czytelników znalazły, gust publiczności budziły, grunt pod przyszły teatr narodowy przysposabiały. I te wprawdzie pierwotnie dla obrębu szkolnego autor przeznaczał, ale już od r. 1755 zaczęły wychodzić zbiorowe ich wydania (»Komedye«, cztery tomiki, roku 1755 — 1758). Sprawiały »autorowi« niemało kłopotu; z uczonych »kobiet« porobił »mężczyzn« i z góry efekt komiczny zniweczył; zamiast kobiety wprowadzać, kazał o nich tylko opowiadać; kochanka, śpieszącego do lubej, a przez »natrętników« coraz wstrzymywanego, przemienił w siostrzeńca, dobijającego się od wujaszka rozmowy o subsydyach; w *Bourgeois-gentilhomme* woźnica, loteryą zbogacony, dobijał się nie romansu z markizą, lecz tytułu hrabiowskiego i rangi admiralskiej. Jak mógł, omijał poczciwy »Rusak« szkopuły »amoryczne«, ale usunął intermedya dawne i czytelników w lżejszą lekturę pierwszy zaopatrzył. W »Zabawkach poetyckich« i »Zabawkach oratorskich«, które imieniem młodzi kolegium jezuickiego wydawał (r. 1755 i później), umieszczał obronę języka polskiego przeciw makaronizmom, nawiązując do Kochanowskiego i do tradycyi szesnastego wieku; kazał »retorom« swoim rozprawiać: przeciw cudzoziemcom, aby im się w Polsce mnożyć nie pozwalano i za nimi; iż szlacheckiemu honorowi handel szkodzi i za handlem i t. d.

Ruch pedagogiczno-literacki, któremu Konarski początek dał, szerzył się statecznie; ale to tylko jedna, choć w skutki najbogatsza strona obywatelskiej działalności znakomitego Pijara. Przyłożył był już przed laty rękę do zbiorowego, zupełnego wydania praw polskich *(Volumina legum);* sprawy polityczne, choć sukienka zakonna go od »publiki« wykluczała, i przełożeni, bojąc się o interesy zakonne, jemu mieszania się do polityki wprost zakazali i tym go do wyłącznej pedagogii zmusili, zajmowały go bardzo; skoro w machinacyach sejmowych sam udziału nie brał, widz oddalony nad zaślepieniem ziomków tym gorzej bolał. Już od lat kilkudziesięciu żaden sejm nie dochodził, t. j. każda, i najprostsza i najzbawienniejsza reforma, uchwalona przez sejm z jednomyślnym aplauzem, z sejmem samym upadała; niemożliwość, niebezpieczeństwo takiego trybu raziły wszystkich tak, że pojawiały się przesadne wyobrażenia, jakoby jeden sejm doszły mógł już Polskę zbawić. I tak autor »Myśli w teraźniejszych okolicznościach Rzeczypospolitej« (r. 1756), t. j. hetman Rzewuski, gratulując ziomkom, że król ich od burz wojennych uchronił, pytał, czy to nie spokój przed burzą; jakby jej też zapobiedz; powiększenia wojska, dochodów, handlu od jednego sejmu wyczekiwał; gdy ten i dalej dochodzić nie będzie, musi konstytucya a z nią wolność uledz zmianie. Ten sam hetman w komedyi swej »Dziwakowi« Polskę sławić każe, lecz dodaje:

jak tych już mało,
Którymby doszłe sejmy widzieć się dostało!
Wszak to już po dwudziestym rok piąty nastaje,
Jak się każdy sejm zrywa, żaden nie udaje.

Przeciw potworowi i zmorze *Liberum veto* wystąpił Konarski i, wysondowawszy grunt w tomie pierwszym, poparty moralną powagą różnych znakomitości, których listy i aprobaty przedrukowywał, w trzech następnych tomach rzecz w teoryi przynajmniej nazawsze załatwił. Przeszedł mianowicie historyę sejmowania polskiego i przy każdym sejmie wykazał, czyje to fakcye czy korupcye sejm zerwały, jakie to pobudki »cnym niepozwalam« kierowały; potym rozbierał wszelkie od innych statystów podawane racye, które wkorzenione zło, nie radykalnie, lecz półśrodeczkami i przemycaniem, goić, a raczej na nowo wprowadzać zamierzały i wykazywał ich nieskuteczność; przechodził obce konstytucye, angielskie i inne, na dowód, że nic podobnego gdzieindziej nie istnieje; wreszcie usuwał błąd historyczny, jakoby *Liberum veto* do praw złotej wolności miłych przodków kiedykolwiek należało, wykazując, że się tylko praktyką, cichaczem, uzurpacyą, nie zaś legalnie w sejmowanie polskie wkradło.

Konarski wychodził albo udawał, że wychodzi z zasady, że Polska jeszcze panią we własnym domu, chociaż w obrębie Rzeczypospolitej gospodarowali od dawna Münich i Repnin (ojciec posła), albo Fryderyk II, jak się im podobało, i nikogo o to głowa nie bolała. Rzeczpospolita »stała nierządem« (jeżeli to się zowie »stać«, cóż znaczy »upadać« — pytał słusznie jeszcze Konarski), t. j. umarła i zapomniała się tylko obalić, mawiali najspokojniej inni; słyszano trzask złowrogi, lecz ani domyślano się, że Rzeczpospolita nie stoi już o własnej sile, że burza zewnętrzna ją natychmiast przewróci; że więc wołania naprawy i reformy były już daremne; że po sejmie niemym, nie dopiero w roku 1744 lub którymkolwiek późniejszym *Venit summa dies et inevitabile fatum.* Dźwigałyć się narody i z o wiele gorszych upadków — przecież *de nomine* była Rzeczpospolita niezawisłym państwem, ale pod warunkiem zgodnego, jednolitego, konsekwentnego działania, niemożliwego w Polsce, gdzie, jak słusznie nawet Turek zauważył, prędzejby 30.000 głów jedną czapką nakrył, niżby je do zgody przyprowadził. Nawet Francya, choć się ze spraw

polskich zupełnie wycofała, tym bardziej potencye północne, naprawy Rzeczypospolitej nie dopuszczały!

Konarskiemu, *sapere auso,* dzieło jego wielki zaszczyt przyniosło, chociaż znarowionemu narodowi szlacheckiemu, poświęcającemu sprawę ogółu prywacie, ledwie oczy otworzyło; jeżeli można było »Niepozwalam« usunąć, skutków fatalnych, zatrucia organizmu tym jadem, już nie usunięto. Słodzono je sobie przecież od wieków, wynajdywano dlań najponętniejsze sofizmy, np. ponieważ jedno ciało stanowimy, musimy jednomyślnie postępować — tak wprowadzał Matuszewicz żądanie *unanimitatis*, nawet tam, gdzie dotąd *pluralitas votorum* rozstrzygała! I odpowiadało duchowi »narodowemu«, że dla mylnego wydrukowania tytułów błazna jakiegoś można było zahamować funkcyonowanie jedynej organizacyi państwowej; ba, szlachta sama w instrukcyach sejmikowych kładła nieraz głupie partykularia *sub discrimine activitatis*, groziła więc z góry, w Proszowicach czy Latyczowie, zerwaniem walnego sejmu warszawskiego czy grodzieńskiego! zresztą, gdyby nawet sejm doszedł był, uchwały jego nie obowiązywały nikogo; jeżeli już roku 1514, za Zygmunta Starego, szlachta drwiła z jednomyślnej uchwały sejmu walnego, a od króla za to tylko upomnioną została, któż byłby roku 1744 o sejm się troszczył?

Wiekowa anarchia wyżarła więc każdą myśl polityczną; literatura polityczna, głos wołającego na puszczy już w wieku XVI, za Sasów przebrzmiewała, tym mniej słuchana, w zrezygnowanej apatyi, w kwietyzmie, letargu, ogarniających coraz widoczniej naród szlachecki, a niebezpieczniejszych o wiele, niż jawne przekupstwo i zdrada.

Rosły jednak zasoby kulturalne. Francya, jak i jej słabo podtrzymywany pupil, król Stanisław, przegrała sprawę polityczną, wygrała umysłową; ani »Kundys«, jak go mili Mazurowie nazywali, ani Leszczyński nie zajęli tronu polskiego, który w dziełach sztuki, w polorze, obyczajach, literaturze, mowie miał jednak przypaść niepodzielnie Francuzom; szerzenie się francuszczyzny stało się wybitną cechą już za Sasów. Konarski wprawdzie, który młodością i wychowaniem własnym jeszcze w najgrubszym makaronizmie i panegiryzmie tkwił, sam się z niego powoli, choć nie we własnych listach, grzeszących dawnym nałogiem, otrząsał, od Francuzów się uczył i ich naśladował, chociaż głównie jeszcze ku łacinie zwró-

cony, pisał i ody i dzieła łacińskie, tylko dla najszerszych kół przeznaczone rzeczy w narodową szatę przebierał. Ale byli obok niego inni pracownicy, światli, czynni, poświęceni, biorący rozbrat z tą łaciną lub wyjątkowo się nią posługujący.

Najznakomitszy między nimi, nieporównany z nikim, wyjątkowy w umysłowości polskiej objaw, dziwny, pełen sprzeczności, nie bez słabostek, a mimo to człowiek wiekopomnej zasługi, nie strudzony i niezrażony, charakter wielki — **Józef Jędrzej Załuski.** Familia wzniosła się świeżo, po Jabłonowskich; liczyła wielu dygnitarzów kościelnych; kanclerz, Andrzej Chryzostom Załuski, wydał obszerny zbiór listów (i niby listów), rozświetlający dzieje z końca XVII wieku i tłumaczył w wygnaniu królewieckim nieskończone ascetyka, francuskie i jezuickie; i inni Załuscy mieli literackie zakusy, byli światli bardzo, jak biskup krakowski, co o filozofie Wolfie dla Krakowa marzył; wszystkich prześcignął referendarz koronny, późniejszy biskup kijowski i eksulant w Kałudze. Nie wiedzieć, co raczej u niego podziwiać: nie był na świecie, ktoby sam jeden więcej książek kiedykolwiek zgromadził, ani ktoby więcej przeczytał, ani ktoby taką pamięcią się odznaczał; i rzadko kto na więcej polach był czynnym; jako wydawca wszystkich możliwych autorów, dawnych i spółczesnych; jako bibliograf, który objął całą dawną literaturę; jako budziciel ruchu umysłowego towarzystwami i »akademiami«; jako pisarz wierszem i prozą, krytyk i poeta, historyk i satyryk, jako założyciel największej biblioteki na Wschodzie europejskim, któremu zawdzięczamy ocalenie tylu rękopisów polskich, niechybnie skazanych na zagładę, gdyby Załuski nie był ich wyprosił, skupił lub dostał. I starczył on jeden swemu narodowi i za akademię i za bibliotekę; co dziesiątki gdzieindziej robiły, temu podołał on sam; nawet najlepszy słownik polski, Troca, jego głównie pracą urósł. Zebrał on kilkakroć stotysięcy druków i rękopisów, a każdy przejrzał, podał jego treść i wartość, choć u bibliomana wzgląd na rzadkość często przeważał, którą krzyżykami i gwiazdkami oznaczał, gryzmoląc na tytułach najcenniejsze uwagi, z których w tej książce nieraz korzystano.

Pięćdziesięcioletni zawód jego literacki przechodził rozmaite fazy; za młodu pisywał wiersze, fraszki, facecye, z których wybrańsze później drukował; próbował sił w historyi i obalił autentyczność rokoszu gliniańskiego; tłumaczył i pisał oryginalne dra-

maty, których treść nieraz dawny dramat szkolny nadto widocznie przypominała (np. dramat »Witenes« o cudzie z hostyą św., przez Litwina podeptaną, mszczącą zniewagi); on to wytłumaczył ów dramat Diderota, »Nędzę uszczęśliwioną«, który pierwszej operze polskiej za libretto posłużył (»Obraz nędzy ludzkiej«, tragikomedya etc., wedle Diderota, wydana »nakładem Towarzystwa litteratów w Polsce ustanowionego« roku 1768 »pod niebytność — !! — autora«, który nb. w Kałudze psalmy wygnańcze w najcięższym udręczeniu układał). Jedno z ciekawszych jego pism, to »Próba pióra nowego w trzech starych satyrach«, przeróbka »Wodopija« (Boileau), zastosowana do polskich stosunków, z dodatkiem własnych wierszów, gdzie humor staropolski, choć strasznie niewybredny, w okazach się prezentuje, godnych Potockiego, Kochowskiego i Paska. Niektóre wiersze malują stosunki literackie; gdym wiersze pisać zaprzestał, strofowali mnie przyjaciele, gdym na ich nalegania do pobożnych i poważnych się zabrał, ganili je: to zabawy mnisze, aż nadto psalmików mamy w naszym języku; gdym tłumaczył satyry, Owena, i to się nie podobało, więc dałem pokój:

> Wierszów niezheblowanych mam jeszcze szufladę,
> Świat ich nie ujrzy, chyba gdy z niego odjadę!

wyliczał dawnych poetów (ukochanego Kochanowskiego) i nowszych:

> Wszak i wiek teraźniejszy zaszczyca Dębowski
> Wiceprimas, i Wielki Koniuszy Myszkowski,
> Z rodzonym swoim bratem, zacnym Wielopolskim,
> I Drużbacka w Parnasie nowa muza polskim.

Dowodził swoim przykładem, że najtrudniejsze rzeczy można wyrazić rytmem polskim, »byle kto nie żałował strawionego czasu, poskrobanej głowy i pogryzionych paznogciów«; już to smaku pan referendarz nie miał żadnego, chociaż Francuzów (ody Rousseau i t. d.) w zawody tłumaczył, zwrócony całkiem w stronę »tłustego« wiersza, Potockiego, i »zatoczystego, gładkiego«, Morsztyna.

Jego cztery tomy »Zebrania rytmów przez wierszopisów żyjących lub naszego wieku zeszłych pisanych« obejmowały wiersze Drużbackiej, własne, Minasowicza i innych (od r. 1752); poprzedziła je Biblioteka polska, w której wydał »Argenidę« Potockiego,

i »Bajki« Jabłonowskiego. W »Bibliotece« łacińskiej wydał konspekt poetów polskich i ich dzieł, a więzienie smutne Kałuskie znosił, układając z głowy w wierszach białych »Bibliografię poetów, historyków polskich i t. d.«, jakich w Warszawie zostawił.

Mimo olbrzymiej wiedzy i rozległych stosunków z zagranicą, jak w rzeczach smaku staropolszczyzny nie zrzucił, tak i w rzeczach wiary, naśladując stryja, biskupa warmijskiego, pozostał fanatykiem i więzieniem ciężkim to przypłacił, w tym więzieniu dopiero nieugiętość charakteru okazując. Sama możliwość takiego typu w Polsce dowodziła wysokiej, dawnej, dobrej uprawy tej ziemi.

Do najbliższego grona Załuskiego należeli Minasowicz, kanonik kijowski, Ormianin, wierszopis nieznużony, zdolniejszy, niż Załuski, który jego wierszów wychwalić się nie mógł i autora wszystkimi siłami promowował; i Sas Janocki (Jähnisch), którego Załuski z Drezna sprowadził i bibliotekarzem zrobił, pierwszy polski bibliograf, zdający sprawę to z rzadkości drukowanych i rękopiśmiennych biblioteki, to o autorach i dziełach spółczesnych, przyczym trybem wieku najwyższych pochwał nikomu nie skąpił; obaj pożyteczni pracownicy, Janocki, kładąc podwaliny bibliografii polskiej, Minasowicz, budząc tłumaczeniami życie literackie, sięgając jeszcze głęboko w czasy Stanisława Augusta, uprawiając wszelkie pola, próbując się nawet wraz ze swoim mecenasem w makaronach, zresztą już nowszy smak, większą ogładę wykazując.

Obok tych sekretarzów niemal przybocznych, literackich, znosił się Załuski ze wszystkimi poważniejszymi statystami wieku. Głównie cenił biskupa płockiego, Antoniego Dembowskiego, który za młodu poważne i żartobliwe wiersze pisywał (jeden z nich drukowany p. t. »Punkt honoru«, satyra o fałszywym jego pojmowaniu), a potym do politycznych opisów Polski się zabrał, *Mémoires sur le gouvernement de Pologne,* tłumaczone na niemieckie i rosyjskie, dopełniające niby dawniejsze opisy autorów-Prusaków, Brauna i Lengnicha. Utrzymywał Załuski stosunki z uczonym Wielkim Koniuszym Litewskim, Udalrykiem Radziwiłłem, który po matce chyba, Zawiszance, talent i gust do literatury nadobnej odziedziczył, chociaż w druku rzadko występował (są rzeczy jego w Zebraniu rytmów i indziej, np. »Oda animująca monarchów wojujących do pokoju«, przed zawarciem tegoż pokoju w Hubertsdorf

napisana; »Słowo nic w swojej przyzwoitości opisane«, rzecz niesłusznie ośmieszona, zabawka filozoficzna na temat »Nica«, z którego autor i istnienia Boga dowodzi). Najwięcej pozostało po rękopisach, między nimi tłumaczenia tragedyi francuskich (np. Medei »Korneliusza«) i komedyi »Ezopowej« (Boursaulta), ze znakomitym ustępem białoruskim, gdzie »Piero« skarży się na Żakieta, gdy

Pościeroh sia, że Żakiet zadrwiw, że nielohko
Sam śmietanu wziaw, mini zostawiw małoko...
Oś ja durnyj w takoje licho zapłutawsia,
I pa prawdzie skazauszy Ciabie prosić muszu,
Niech jon wezmie da siebie krauku i ciałuszu...

Pisał on i satyry, o francuskie się opierając, stosując je, jak Załuski, i do rzeczy polskich, nie tylko przeciw starym zalotnikom (w formie dyalogu), przeciwko krytyce i modom, ale i przeciw dworowi i dworskim, przeciw obmowcom, bijąc na Sasów u dworu, na Brühlów i spółkę i ich uroszczone tytuły; oprócz tego dyskurs o szczęśliwości życia i o mizeryi ludzkiej i t. d.; trudy pisania dzieliła z nim żona, przekładając np. wierszem polskim z francuskiego »Wyroki życia ludzkiego« (dla nauki własnych dzieci) i inne.

Najwyżej stanął między tymi poprzednikami panowania francuszczyzny hetman wielki koronny i kasztelan krakowski, **Wacław Rzewuski,** przedostatni z szeregu najwyższych dygnitarzów, trudniących się literaturą. Wydał, oprócz mów i listów, Zabawki wierszem polskim pod imieniem syna Józefa r. 1760. Prócz opisowych wierszów (gaj, łąka i t. d.) i dydaktycznego »O nauce wierszopiskiej«, mieścił ten zbiorek dwie komedye i tragedye, w stylu francuskim; z zachowaniem jedności akcyi, czasu i miejsca (o co Radziwiłowa nigdy nie dbała), próbując ich poraz pierwszy w rzeczach oryginalnych, narodowych.

»Dziwak« odgrywał się »w Domkowcach na Polesiu«; dziwaka-mizantropa, niezadowolonego ze wszystkich i wszystkim, leczyła miłość; »Natręt« w Warszawie, gdzie natrętnego zalotnika, zadłużonego, udającego bogacza, Umizgalskiego, Statecki ze względów Modesty i Staruszkiewicza wysadzał; komiczne role służących monotonność sztuki nieco łagodziły; język poprawny i gładki, choć »dam se radę« i »wybij se to z głowy« i innych drastyczności nie

brak. Wyżej wznoszą się obie tragedye, pierwsze z dziejów polskich, Żółkiewski i Władysław pod Warną; »dla ułagodzenia przerażającej żalem tragedyi« wplótł autor, za przykładem francuskim, romans Złotopolskiego z Praksedą, córką wojewody Gracyana, zaręczonego, podczas gdy zazdrość siostry, Salomei, i zdrada Tomszy »obraz serc złymi żądzami zepsowanych wystawią oczom *czytelnika*...« W Władysławie »serc zepsowanych« niema; Władysław i Zawisza kochają Emilianę, sprzyjającą królowi — król umiera pamiętny jej serca, słodką tajemnicę Korwinowi do ucha szepnąwszy, który ją wraz z wieścią o klęsce, spowodowanej złamaniem przysięgi, Emilianie odnosi; obie tragedye obfitują w sentencye i sentymenty, w bohaterów czułych i bohaterki wstydliwe; postęp w porównaniu z Radziwiłową, był nadzwyczajny, chociaż Rzewuski w komedyach Bohomolca bynajmniej nie przewyższał.

Na tych wyżynach towarzyskich otaczali Rzewuskiego kształcący się na wzorach francuskich, Wielopolski, tłumaczący Woltera, nie występujący z tym jednak publicznie, i inni, aż do Kąckiego, jeneralnego starosty podolskiego, tłumaczącego bardzo zgrabnie najnieskromniejsze wiersze Russa; albo czerpiący i ze źródeł łacińskich, jak poważny kanclerz litewski, Sapieha, tłumaczący historyę rewolucyi rzymskich, słynne wówczas dzieło akademika Vertota, pompatyczne bardzo; dalej piszący troje niewidy o orderze Białego Orła, o cudach Kodeńskich, ale bogata biblioteka (dziś w Petersburgu) świadczy lepiej o zajęciach kanclerza.

Umysłowość francuska robiła raźne postępy i między wyższym duchowieństwem, które wzrastającą obojętność ku wierze jeszcze ukrywało. Na nizinach zato panował straszny mrok, nieświadomość zupełna przewrotu, dokonywającego się na Bożym świecie. Tu wysławiano wszystko i wszystkich, aż wydarł się krzyk rozpaczy z piersi satyryka (Naruszewicza):

Wszystkich chwalim, iż dobrzy i świeccy i księża,
Jednak giniem bez skarbu, rządu i oręża!

tu popłacała ascetyka: do morza jej dolewano coraz nowych »psalmików«, rzeczy oddawna dobrze przetłumaczone, tłumaczono ponownie, znacznie gorzej, np. wojewoda Żaba Jezuity Hugona »Pobożne pragnienia«, chociaż marszałek Lacki w XVII wieku je

w o wiele ozdobniejszym wierszu literaturze przyswoił i na licznych przedrukach nie brakło — nawet Załuski się do nich na nowo zabierał; Tomasza a Kempis Trzebieński (na życzenie Róży Krasińskiej) wierszował, chociaż Grochowski przed stu kilkunastu laty lepiej to zrobił i t. d.

Zatracały się w tej panegirycznej i ascetycznej literaturze wszelkie tradycye i zdobyczy XVII wieku: obok najdziecinniejszych wymysłów wracano do najpodlejszych rymów; zapominano nawet poprawnej pisowni: np. Jerzego Eysymonta »Źrzódło życia z łez Maryi Panny« i t. d. (r. 1756, tłumaczone z łaciny Konarskiego) pisze stale: nad to szopko, stanoł, samo istoto, przekloł (przeklął), podzielo, wziowszy, zginęła, skączonych i t. d. — w druku, nie w rękopisie! i barbarzyństwa tego nie okupił on drastycznymi scenami z życia Maryi, jak ją słudzy kościelni ofuknęli, albo o Judaszu, jak go żaden żywioł przyjąć nie chciał. A Eysymont to nie wyjątek, lecz reguła niemal.

I brnął naród szlachecki w ciasnocie i w ciemnocie umysłowej, usypiając własne zdolności i wyższe porywy, wdrażając się w ową inercyę i apatyę, co niebawem z rezygnacyą, chyba mahometańską, bez oporu, bez zrozumienia nawet, o co chodzi, ciosy najsroższe przyjmować miała, z odrętwiałością czy obojętnością, najbardziej groźną dla przyszłości narodowej. Obok tej znarowionej, zniedołężniałej, gnuśnej większości wyrabiali się jednak od dawna coraz czynniejsi, coraz liczniejsi budziciele ducha: do nich na razie odosobnionych, nie zwartych w szeregu, nieraz nawzajem o sobie niewiedzących, należała przyszłość; oni mieli wyrwać naród oporny i niechętny z zastoju i mroku.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

ODRODZENIE.

Król i społeczeństwo. Satyryczna i dydaktyczna cecha literatury: Krasicki i Naruszewicz; Piotrowski i Juszyński; Trembecki i Węgierski. Liryka, Karpiński i Kniaźnin. Komedya, Zabłocki, Niemcewicz, Bogusławski. Literatura polityczna, Staszic, Kołłątaj, Jezierski. Wpływy francuskie: tłumaczenia. Komisya edukacyjna. Żywioły wsteczne; żywotność literatury ascetycznej, autorytetu łaciny, sarmatyzmu. Pamiętniki. Wywody ogólne o literaturze dawnej.

Jak ze śmiercią Zygmunta Starego, tak i ze śmiercią Augusta III rozległy się hasła nowego całkiem porządku. Z Zygmuntem zstępowała do grobu Polska katolicka, monarchiczna, humanistyczna, aby powstała protestancką, republikańską, narodową; z Augustem chowano Polskę sarmacką, anarchiczną, dewocyjną, a budzono rządną, oświeconą, wolnomyślną. Nie wszystkie hasła spełniły się jednak w równej mierze, ani po 1548 ani po 1763 roku; przemógł wtedy konserwatyzm i potoczył się rydwan Polski w dawniej wytkniętych kolejach, w katolickiej i anarchicznej, aż zagroziło zupełne jego rozbicie; dopiero roku 1764, o wiele zapóźno, miano go zahamować, poprowadzić nowymi torami. I znowu przemógł konserwatyzm; tym razem jednak tryumf jego nie był ani zupełny ani trwały; nie zatarł ani na chwilę postępowej cechy, jaką się nowe rządy wyróżniały od samego początku; nie przeszkodził wkońcu zupełnemu odrodzeniu narodowemu, dokonanemu niestety już tylko na polu umysłowym.

Na odrodzenie polityczne, na stworzenie nowego ładu i zapewnienie bytu państwowego, nie starczyło bowiem już czasu.

Z początku, nawet grożące coraz widoczniej niebezpieczeństwo, pierwsze zamachy na całość państwową, wieszczące coraz nowe, nie otrzeźwiły ani porwały narodu szlacheckiego, w wiekowej anarchii, w zrzucaniu interesów ogółu i dobra pospolitego na plan ostatni, w popieraniu spraw czy widoków osobistych, choćby za pomocą obcych, odwykłego od polityki celowej i zadań większych, od niezbędnej karności, ofiarności i zgody; energią i konsekwencyą w przeprowadzaniu pomysłów i tak nigdy nie grzeszył. Jeszcze i po pierwszym rozbiorze, wieszczącym katastrofę, pocieszał się lekkomyślny optymizm nadzieją, że zazdrosna podejrzliwość potencyi północnych, jednej przeciw drugiej, pozostanie i nadal tą tarczą, za którą Polska spokojnie ulegnie; również łatwowiernie łudzono się coraz nowymi kombinacyami politycznymi i przymierzami niewypróbowanymi; wpadano z jednej ostateczności w drugą; nie umiano się skupić i przeczekać lat kilku; instynkt nawet nie ostrzegał o tym, skąd groziło największe niebezpieczeństwo. Na domiar złego zasiadł Piast na tronie polskim, t. j. człowiek bez powagi i związków, bez punktu oparcia wewnątrz i na zewnątrz; Piast, wygodny dla potencyi sąsiednich, niemożliwy dla Polski — nawet gdyby był człowiekiem innej miary, niż p. stolnik litewski.

Stanisław August posiadał wszelkie przymioty ogłady towarzyskiej; wykształcony i wymowny, umiał przybierać i udawać powagę; instynkty miał szlachetne, serce dobrotliwe, chęci najlepsze, rozum nie powszedni; reprezentował wybornie monarchę. Lecz monarchą nie był, przynajmniej nie takim, jakiego konająca ojczyzna wymagała; brakło mu energii i konsekwencyi; dawał się powodować każdej silniejszej woli, nawet przeciw własnemu przekonaniu czy doświadczeniu; nad żadną sytuacyą nie zapanował nigdy, przystosował się za to do każdej. Trzydzieści lat służył za firmę tym, którzy państwem kierowali, t. j. agonię jego przyśpieszali i nie zdobył się nigdy na krok samoistny, krępowany wszystkim, nie najmniej długami, i skończył, jak zaczął, bez godności, zsadzony tą samą ręką z tronu, co na tron lalkę wsadziła. Można też było i o królu i o narodzie szlacheckim powiedzieć z poetą:

nasz naród jak lawa,
Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa,
Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi!

Skorupa tej lawy nie utworzyła się dopiero za Stanisława Augusta, zsiadała się od dawna, a stwardniała za Sasów. Że zaś wewnętrznego ognia nic nie wyziębiło, do tego przyłożył się gorliwie, ile sił stało, i pan stolnik litewski, król melancholiczny.

O wawrzynach wojennych, choćby ojca swego, nigdy nie zamarzył, tym bardziej natomiast o wawrzynach Kazimierza Wielkiego, chociaż królem chłopków nigdy siebie nie pojmował; jak ów Polskę murowaną zostawił, objąwszy drewnianą, tak on z mroków saskich na światło dzienne ją wyprowadzał. Staranne wykształcenie francuskie — po francusku pisał król i swe pamiętniki, niekłamane zajęcie rzeczami umysłu, poloru i smaku, szczególniej lekszymi, błyskotliwszymi, teatrem francuskim, dziełami artystów obcych, Grassi czy Bacciarelli, świadomość wielkiego zacofania krajowego i chęć wydobycia się, nadały panowaniu jego cechę właściwą, odbijającą od absolutnej nieproduktywności owych saskich figurantów na tronie polskim, bezsumiennych intrygantów, albo ociężałych mantelzaków, *terrae inutile pondus*. Wytrwałym pracownikiem król nie był; żadnej roboty nie dopilnował, spychał na innych co trudniejsze a niepozorniejsze, sprawy edukacyi narodowej, nawet teatru polskiego; koszty łożył nieopatrznie, oszczędności nie znał i kłopoty finansowe trapiły go realniej, niż kłopoty rządzenia; za to mecenasował sztuce i literaturze, utrzymywał i dyplomacyę i szkołę orientalną, patronował każdemu przedsięwzięciu, dążącemu do podniesienia ładu czy dobrobytu, chociaż ani Tyzenhauza ani Zamoyskiego nie podtrzymał: runęły przedwczesne, forsowne nakłady, upadł kodeks praw dla sprawy włościańskiej; za to na obiadach czwartkowych »uczonych«, król wszystkie zastępował ekspensa »dowcipu, wiadomości i wina i mięsa«.

Poprzednicy jego opiekowali się literaturą dorywczo; nie skąpili tytułów sekretarzów królewskich, a nawet jurgieltów historyografom czy poetom, choćby obcym, jak Władysław IV Ślązakowi Opicowi — Stanisław August pierwszy systematycznie literaturą piękną, umiejętnościami i sztukami się zajmował i do tego pobudzał; nie było innego króla, którego inicyatywie osobistej tyleby literatura zawdzięczała; ponieważ zaś własnych czynów nie było wiele co sławić, zwracał król pióra, pędzel i dłuto ku sławieniu przeszłości.

Za przykładem królewskim zapanował nowy polor francuski

najpierw w Warszawie, a za nią i w Polsce. Warszawa teraz dopiero zaczęła rzeczywiście promieniować na cały kraj, skupiwszy poraz pierwszy najlepsze jego siły, przyciągane dworem, stałą rezydencyą, bo za Sasów była Warszawa rezydencyą, chyba gdy sukcesy wojenne Wielkiego Fryderyka z Drezna kurfirszta wygnały, zresztą kończyła się rezydencya królewska nieraz samą Wschową. I wyłoniła się Warszawa z reszty miast polskich; gdy tamte, nie wyłączając Krakowa i Lwowa, podnosić się nie zdążały, zabudowywała, porządkowała i bogaciła się, a chociaż jej przemysł, od zegarmistrzów do drukarzów, jej handel, od winiarń do banków, i jej sztuka, teatr, koncerty, malarstwo, przeważnie obcymi stały, chociaż zwiększyła się liczba Niemców, Włochów i Francuzów, nabierało miasto coraz centralniejszego znaczenia dla kultury polskiej; teraz dopiero wabił i nęcił gród syreni i nie wypuszczał, kogo raz przygarnął; Karpiński był wyjątkiem.

Kultura nowa była, jak w całej Europie, francuska, od mody w ubiorze, tańcach, obsłudze i budowlach począwszy, aż do cech rdzennych ducha, literatury i języka. Poraz pierwszy otworzyła się Polska na oścież tym wpływom. Kiedy z boskiej Francyi najpierw i najdonioślej prawdziwe światło wiedzy na Europę biło, w XII i XIII wieku, Polska, w cywilizacyi nadto młoda, a przestrzenią zbyt oddalona, do tego światła garnąć się nie mogła; później wydarły już inne narody, jak Włochy, Francyi ster umysłowy i włoskim bogom kłaniała się Polska, z Francyą tylko polityczne nawiązująca stosunki. Nie ścieśniły się te nigdy zbytnio, mimo francuskich królowych i decydującego wpływu posłów francuskich; ale z Ludwiką Maryą i Maryą Kazimierą szerzyły się u dworu i u wzorujących się na nim magnatów język, literatura, obyczaj francuski, rugowały włoski i, mimo wzrastającego ociągania się dworu wersalskiego od energiczniejszej francuskopolskiej polityki, stopniowały się rychło za Sasów, za walnym przyczynieniem Leszczyńskiego. Za Paryżanina Poniatowskiego sfrancuział dwór zupełnie; za dworem poszli Braniccy, Czartoryscy, Potoccy i inni — tylko Panie Kochanku przy sarmatyzmie wytrwał. I rozszczepiała się ponownie Polska; obok szerzącej się francuszczyzny, czym dalej od Warszawy i wielkich dworów polskich, tym oporniej trzymał się sarmatyzm dawny.

Składały się nań nie tylko barwne kontusze i lite pasy, wąsy

zawiesiste i łby wygolone, wschodnie karabele i kity, lecz wszystko, co przesądem, rubasznością, złym nałogiem tchnęło, pieniactwo i pijaństwo, brak ogłady, wyłączność stanowa i narodowa, tyrania domowa, religijność przesadna, nieuctwo, barbarzyństwo stylu w wymowie i liście. U sfrancuziałego Polaka miejsce tych wad nie zajmowały same przymioty; z polorem w obejściu i mowie, z obcą szatą i gwarą łączyły się nadto często próżność i wietrzność, modnisiostwo, lekceważenie moralności i obowiązków, powierzchowność w wiedzy i sądach, a szulerka, kobiety i podróży rujnowały zasoby domowe rychlej i gruntowniej, niż dawne *hungaricum*, pozwy i sfory ogarów.

W nadzwyczajnym zbytku, w życiu wielkopańskim, w kosztownych budowach nowych, iście książęcych rezydencyi, rugujących dwory i dworki modrzewiowe z ich skrzyniami gdańskimi i makatami tureckimi, nadwerężały się fortuny olbrzymie, a topniały mniejsze; ludzie szaleli, trwoniąc pieniądze na zbytki, skąpiąc ich ojczyźnie.

Najbardziej raziła przemiana u duchownych: dawną gorliwość wiary zastąpiła obojętność, nie siląca się nawet na utrzymanie pozorów; tylko wiekowa, głęboko wkorzeniona tradycya zapobiegła zupełnemu osunięciu się stanu duchownego; rozluźniła się karność, zaostrzyły się przeciwieństwa i, chociaż konserwatyzm narodu szlacheckiego popędy antyklerykalne hamował, staczał się ten naród widocznie po pochyłości indyferentyzmu religijnego, wysiliwszy się świeżo w konfederacyi barskiej, przeważnie z niższych warstw szlacheckich, na obronę katolicyzmu, niepodzielnie w kraju panującego, odpychającego równouprawnienie innych wyznań.

Najlepiej wyszły na tej przemianie kobiety: zewnętrznym wymaganiom nowych form czyniły one jeszcze lepiej zadość, niż mężczyźni, już dla samych darów przyrodzonych, więc przejęły się nimi rychło, wydobyły się na świat wielki, brały czynny udział w życiu publicznym (choćby »kwochy« królewskie), rzucały zacisze niemal klasztorne, w jakim się dotąd chowały, i przygotowywały się do nowej roli, nowego znaczenia w przyszłości, chociaż okupywały nieraz przymiotami rzeczywistymi zdobyczy pozorne. Dawny typ matron polskich bynajmniej jednak nie wygasł, liczył zawsze godne przedstawicielki (Sanguszkowa i in.); przeciw modnym »Elżbietom« stawały »anioły«.

O wiele głębiej wystąpiło to samo rozszczepienie na polu literatury i nauki. Zmieniły one i ducha i formę; trzeźwość i jasność wyrugowały napuszoność i zawiłość; czystość języka i poprawność formy zastąpiły pstrociznę niewybredną i dzikie pomysły; jeszcze bardziej oddaliła się nowa treść od dawnych wzorów. Literatura, choć głównie przez duchownych, jako cieszących się gruntowniejszym wykształceniem, uprawiana, zeświecczyła się zupełnie, w tonie, stylu, formie; sami duchowni nie wahali się ośmieszać dawnego trybu.

Wybitny udział duchownych nadał osobliwszą cechę, kaznodziejską i nauczającą, tej literaturze; sprawił, że przeważał w niej żywioł dydaktyczny i satyryczny; zarazem jednak ustrzegł tę literaturę od zupełnego sfrancuzienia i od zbyt nagłych przeskoków. Literatura za Stanisława Augusta, mimo oddziaływania wzorów francuskich, francuską bynajmniej nie była, jak np. literatura Księstwa Warszawskiego. Najwybitniejsi jej przedstawiciele, Krasicki czy Naruszewicz, byli twardymi latynistami, Krasicki ubolewał nawet później nad upadkiem łaciny po szkołach nowych; przejęci duchem augustejskich pisarzów nie myśleli wcale o ślepym naśladownictwie wersalskich; chociaż poddawali się wpływom francuskim, warowali sobie swobodę, cofając się ku prawzorom wspólnym. Boileau, Lafontaine, Voltaire nie byli wyłącznymi arbitrami w dziedzinie gustu, satyra Juwenala i listy Horacego czy zwięzłość Fedra albo proza Liwiusza i Plutarcha stały co najmniej na równi.

Obok łacińskiego jej charakteru odznaczał tę literaturę wybitny duch obywatelski i tym samym znowu nie dopuszczał zupełnego jej sfrancuszczenia: pisano nie dla wymagań estetycznych i nie dla schlebiania gustom czy ludziom, lecz dla pożytku pospolitego; nie igraszki to dowcipu, lecz służba publiczna; oddawano się jej tym gorliwiej i niepodzielniej, im trudniejsze stawało się służenie jej na każdym innym polu.

Mogła więc literatura Stanisławowska wprost nawiązać do literatury Zygmuntowskiej, do Kochanowskiego przedewszystkim: wiersz, pisany w r. 1770, nie był dalszym ciągiem wierszów z czasów saskich, z r. 1750, lecz formą, językiem i duchem łączył się z wierszami, o dwa wieki starszymi, z »Satyrem«, z »Psałterzem«, z »Trenami«; Kochanowski nabierał nowej żywotności; ignorując poprzedników bezpośrednich, pomijając średniowiecczyznę saską,

wznawiało się lepsze tradycye dawnej, świetnej przeszłości. Obowiązują teraz na nowo przepisy, normy jakieś, tym razem francuskie; upada anarchia stylowa; epopeję skleca się wedle Henryady, jeśli narodowa i poważna, — jeśli humorystyczna, wedle Boileau; poema opisowe wedle Delila; komedyę pisze się za Molierem czy Regnardem — do oryginalnej tragedyi mniej się zabierano; w sielankach i odach, listach i elegiach, acz słabszy, smak ten sam. Panują więc inwencye i maszyny alegoryczne w epopei; trzy jedności, czasu, miejsca i akcyi, w komedyi; górność w odzie, ckliwość w sielance, dowcip w liście. Obok Francuzów szanuje się Włochów, wpływa Gessner, przeważają Rzymianie — literatura piękna, bynajmniej nie wydana jednostronnej manierze, waruje sobie swobodę swoim eklektyzmem; nie zaciera wszelkich śladów swojskości i samodzielności.

Co do ducha, odpycha ona wszelki fanatyzm i nasiąka humanitarnością; karci ostro wybryki samowoli, ucisk poddanych i służby, ujmuje się za ludem, traci wiarę w prerogatywy Jaśniewielmożnych, przysługujące im już w kolebce, wymaga zasług osobistych. W epoce przełomowej, gdy stare zakorzenione obłędy walczą z nowymi, zaostrza się jej zmysł satyryczny i spostrzegawczy; w epoce, ubóstwiającej rozum i rozwagę, od nich jedynie wszelkiego zbawienia oczekującej, *aimez donc la raison* Boala staje się jej kotwicą; *le bon sens* jedyną zasadą, posuniętą do oschłości, nieuznającej obok siebie ni fantazyi ni uczucia, dopuszczającej co najwyżej tkliwą, a raczej ckliwą sentymentalność. W takich warunkach, z takimi przymiotami, występuje ta literatura do walki z dawną zaśniedziałością ducha i stylu, języka i formy.

Na czele walczących stanął nadzwyczaj utalentowany, chociaż wcale nie do walk stworzony, **Ignacy Krasicki,** godny czasów Stanisławowskich poeta, poddany, stworzony na podobieństwo króla swego pierwszego, nie na wzór Fryderyka W. Duchowny bez powołania, umiejący zachowywać jako tako pozory, rzucił niebawem i »dworszczyznę«, »szarlatańskwo dworskie«, chociaż ten zawód obrał dla »uszczęśliwienia domu« swego, hrabiowskiego wprawdzie, lecz wskutek działów licznych podupadłego, mimo koligacyi najświetniejszych; korzystając z szybkiej promocyi i szczęśliwego zbiegu okoliczności, unikał książę biskup warmiński walk politycznych z przekonania, a pierwszy rozbiór kraju niby ten

indyferentyzm uprawniał. Omylił się król, jeśli promowując go wcześnie, liczył na polityczne poparcie; nie omylił się, licząc na doniosłość jego pracy; tą odwdzięczył sowicie Krasicki dostojeństwa, jakie nań z całkiem innego tytułu spadły. Biskupi warmińscy w dziejach literatury polskiej zapisywali imiona swe złotymi czcionkami już dawniej, od Dantyszka, Hozyusza i Kromera do Andrzeja Załuskiego; najwyżej wzniósł się Krasicki; dziełami wywarł wpływ potężny; głosu jego słuchało społeczeństwo całe, nie tylko bracia cechu pisarskiego; na raz obranej drodze, nie znużony, nie rozpaczający, choć wszystko zawiodło, wytrwał do końca.

Zaszedł już w lata Krasicki, znany publiczności chyba z nie podpisanych artykułów w Monitorze, nim wystąpił z większymi rzeczami; największa płodność przypadła dopiero na rok 1775 — 1779, od wydania Myszeidy do wydania Satyr; dopiero odtąd datuje też niepodzielna powaga jego w literaturze.

Myszeidę stworzył Ariosto, jeden z ulubieńców poety. Wybór był tylko na pozór dziwny czy dziwaczny; zejść na prostego tłumacza, jak Piotr Kochanowski, zaprządz się do przydługiej chryi nie było rzeczą modnego śpiewaka, pomnego, że moda tylko krótkie kazania i wiersze znosi; należało więc utworzyć coś niezbyt wielkiego a swojskiego w guście Ariosta, nęcącego łatwym rzucaniem materyi, wplataniem dygresyi, moralizowaniem, dowcipem i fantazyą. Do wyboru nie zostawało więc wiele tematów, a przypomnienia różnych batrachomyomachii i innych żartobliwo-heroicznych poematów nasunęły temat Popielowy. Jeśli miał autor pierwotnie i alegoryę polityczną na myśli, o czymby wątpić można, znając Krasickiego, stroniącego od polityki i wszystkiego, co jej, to zwichnął ją sam w wykonaniu, do zupełnego niepoznania; jeśli jednak nie w całości, tym więcej zato było w szczegółach, wedle mody ówczesnej, aluzyi do rzeczy spółczesnych, od parodyi sejmowania i radzenia aż do uznania przewagi kobiet; przeplatały się rzeczy śmieszne patetycznymi, np. strofą o miłości ojczyzny. Ani pomysł świetnym nie był, ani starczyło na treść fantazyi i inwencyi; świetne było wykonanie: wierszów tak łatwych i gładkich, sentencyi tak trafnych, ironii tak niedotkliwej między ciężko stąpającymi parnasistami polskimi dotąd nie napotykano, gracya powabnego wysłowienia ukrywała niedomagania treści; wrodzony

dowcip, lekkość, nabyta studyami i wzorami, święciły pierwsze tryumfy.

Gdy się w Myszeidzie z jej aryostycznym uśmiechem nad walkami i bohaterami wszystkim potrosze dostało, skierował w »Monachomachii« biskup całą bateryę dowcipów wyłącznie przeciw zakonom, ich dewocyi i nieuctwu. Bez fantastyczności niedopisującej, jasnym światłem dziennym oblał biskup zakątki próżniactwa bezmyślnego, kryjącego się pod ascezą, regułami i ślubami i, gdyby konsekwentnie autor i inne strony życia polskiego tak oświecił, byłby wielkiego dzieła dokonał. Zadowolił się jednak polem, na którym w »oświeconym« wieku najtańszym kosztem największe tryumfy odnoszono; znęcał się nad przeciwnikiem, napoły już powalonym, ciężko osłabłym, spóźniwszy się o wiek cały: dysputy klasztorne wyśmiewał krócej, a ostrzej już eksaryan, Wacław Potocki; biskup katolicki rozszerzał temat, godząc w samo życie zakonne i tryb jego polski. Całość nieco rozwlekła, miejscami karykaturalna, zwyciężała znowu szczegółami, widokiem mieściny polskiej, opisem biblioteki klasztornej, próbką swady gwardyańskiej, charakterystykami różnych wielkości zakonnych. Po niewczasie zmiarkował biskup, że się nadto wysunął, i »Antimonachomachią« rozdrażnioną opinię łagodził, ograniczając i zwężając doniosłość poprzedniej zaczepki, co się jednak nie całkiem powiodło; »Monachomachia« pozostała w całej swej sile, wywoływała naśladowców, i dopiero w XIX wieku powstał śmiałek, który autorstwu biskupiemu zaprzeczył; żaden inny dostojnik kościelny nie wystąpił — nie tylko w Polsce — z podobną inwektywą; należałoby sięgać do czasów humanistycznych, żeby coś podobnego odnaleźć; teraz każdą nową inwektywę na duchowieństwo można już było ks. biskupowi przypisywać; popularność jego stała się niezachwianą.

Wydawszy wzory epiki żartobliwej i satyrycznej, odpowiadającej temperamentowi autora i nastrojowi epoki, wysilił się poeta i na wzór epiki heroicznej, obierając świetny epizod wiekowej walki polskiej z półksiężycem, właśnie gdy świat o ostatecznym wypędzeniu Turków zamarzył. Ale ani czas ani poetę nie stać było na heroizm; wedle recepty Wolterowskiej, z reminiscencyami od Tassa, udało się sklecić epopeę o rozmachu filigranowym, w stylu rokoko, godną wylizanego pomnika Jana III, zdobiącego

Łazienki; robota z gipsu, wymuskana, z bohaterami, z pustelnikami, alegoryami w najlepszym guście wieku, tylko bez treści, sielanka bohaterska, tak naturalna i prawdziwa, jak wszystkie inne ówczesne maszkarady sielankowe. Ale i tym, wobec niezdarnych relacyi wierszowanych dawniejszych, odpowiedział poeta wymaganiom stylu i formy i wobec śmiesznych epopei Jabłonowskich stworzył, acz bez natchnienia, uczucia, a choćby cienia historyczności, rzecz przyzwoitą a modną, pseudoheroiczną, sentymentalną i dydaktyczną.

Właściwe zalety stylu i ducha wykazały inne nowalie warmińskie, Satyry i Bajki. I w Satyrach wprawdzie nie zdobył się miękki autor na potężny i namiętny głos Juwenala; nie piorunował na łotrów i zdrajców; nie zdzierał mask z twarzy bezczelnych; przemilczał o jawnym sromie polityki tchórzliwej czy przekupnej; wady zato i słabości ogólno ludzkie, zakorzenione na gruncie polskim, karcił i gromił, nie bezwzględnie, ostro nacierając, raczej z uśmiechem pobłażliwym, przemawiając do rozsądku, czy też nie upamiętają się dzieci, szaleńcy, nicponie, w dobrze zrozumianym interesie własnym. Więc strofował i strojnisię i karciarza i utratnego i mędrka, wymownie, dowcipnie i mądrze; sarkał na nowe mody w głowach i sercach; bolał nad rzuceniem torów ojcowskich, dawnej świętej prostoty, nad wyrzeczeniem się cnót przodków, przyczym zaniedbał dokładnie czas tych nieco mitycznych przodków oznaczyć: chybaż nie za Sasów złotego wieku szukał. Łagodne serce nie znosiło pastwienia się nad sługą, więc o tym tylko z oburzeniem przemówił, zresztą Horacy polski zalecał ową drogę wypróbowaną — *medium tenuere beati*, którą rodacy najmniej postępować umieli. Ani upartego czepiania się zastarzałych przesądów, ani owczego naśladownictwa wszystkiego, co nad Sekwaną modne, nie cierpiał; ideały swe wystawiał w zamglonej przeszłości, wolnej od błędów i przywar, krocząc za satyrykami rzymskimi, których każda przyszłość zatrważać musiała; konsekwentnym autor nie był, poszedł śladem utartym, zamiast nowych ścieżek próbować.

Doświadczenie, trafny nawet instynkt polityczny, którego naród szlachecki nigdy nie miał, odznaczały jedyną jego satyrę polityczną, »Organy«, w przededniu wielkiego sejmu napisaną: autor sceptyk, nie entuzyasta, nie podzielał powszechnego zapału, oglądał się trwożliwie, pytał i nadsłuchiwał i nie ukrywał się z niepocie-

sznymi aspektami na przyszłość; użył formy mieszanej, którą się i »Listy« jego odznaczały, i nie skąpił słusznych przytyków i do cinków; żartował z łatwości, z jaką stotysięczne wojsko uchwalono, jak się już troszczono o jego porządki i moderunki, chociaż ani wojska ani funduszów nie było; aluzyi ściśle politycznych, na alians pruski, nie brakło; najbardziej dojmowała widoczna rezygnacya autora, który już tylko pytał, od jakiego to orła najlepiej dać się czubić. Z satyrami rywalizowały listy, wierszowane i w formie mieszanej; przeważały w nich morały i etyka; ów najsłynniejszy, pierwsza malownicza podróż po kraju, mimo nadmiernej zwięzłości, i dziś zajmie i wzruszy; dotykał on w nich wszystkiego, literatury, wymawiając się np. z poddawanej pióru jego Upireidy lub wyszydzając styl panegiryczny; to znowu opisuje manewry, folgując przytym bardzo nie na czasie antiwojowniczym swym gustom, albo w znakomitym liście »Brata do Siostry«, dyaryusz heilsberski kreśli, albo przemokły, polowanie pruskie z humorem — opowiadacz musiał być niezrównany, wystawia. Niektóre listy wręcz do satyr się nadają, czy szydzą z podróżomanii, chociaż i to szyderstwo na czasie nie było, czy z czasów naszych, kiedy to »pełno dzieł heroicznych, a jednak lud płacze«.

Największą zaletą »Satyr« (i »Listów«) była ich forma skończona, prawdziwie artystyczna, nigdy przedtym ani później nie prześcigniona; bogactwo inwencyi i obserwacyi, dyalog dowcipny, charakterystyka znakomita; humor raczej, nie ironia ich cechą, bo dowcipnym był ksiądz biskup jak rzadko; uznawał to nowy jego monarcha, i »dziadunia rubasznego«, »staruszka miłego«, umiał rozśmieszyć, rozkomosić, ks. biskup, że aż 50.000 talarów na spłatę długów od niego otrzymał; z listów do brata tryskają dowcipy i żarty, jakby na świecie trosk i zawodów nigdy nie zaznawał. Naturalnie, swojskość zachowana, chociaż raczej zewnętrzna, chociaż z małymi zmianami mógłby na te satyry każdy kraj i czas się pisać.

Z tego ich kosmopolitycznego stanowiska objaśnia się też dziwne napozór zjawisko: Krasicki, jako *laudator temporis acti!* Gdy inni spółcześni satyrycy, Naruszewicz, Piotrowski, korespondenci Monitora, walczą na dwa fronty, przeciw sarmatyzmowi zarówno, jak przeciw modnisiostwu, Krasicki na spółczesnych napada, jakby ciężkich win przodków nie było: pod nimi upadała ojczyzna,

ale moment polityczny nie istniał dla Krasickiego; jego niepokoją błędy, braki otaczające; ani głębiej ani dalej wstecz nie sięga; wytworność stylu, żywość akcyi, humor wesoły okupywały tę płytkość; z liczbą satyr liczba typów przedstawionych nie rośnie; o niejednej z nich możnaby twierdzić, że się przez pomyłkę z »Listów« między »Satyry« zaplątała. »Żonamodna«, »Pijaństwo« i in. są arcydzieła obrazów rodzajowych; tylko w »Świecie Zepsutym« wylało się, już nie pobłażanie, lecz oburzenie; najsilniejszy to ustęp pióra księcia-biskupa i dziwna zarazem ilustracya owej świętej poczciwych przodków prostoty, skoro ich »nierząd nas pokonał i zgubił, ten nas cudzym w łup oddał« — pełno też w tej satyrze sprzeczności, ale zapomina się o nich wobec silnego wstępu (Godzi się kraść ojczyznę, łatwą i powolną, A mnie sarkać na takie bezprawia nie wolno?) i wymownego zakończenia.

Równie wysoko wzniósł się Krasicki w bajkach, arcydziełach malutkich, pieścidełkach stylu, głębokich i mądrych. Przeznaczał je w wierszu wstępnym dla dzieci, ale sam ów wiersz, jeden z najgłębszych, przeczył temu. I rzeczywiście, morały, jakie te bajki prawią, nie dla dzieci stosowne: jeśliż Napoleona obruszała ezopowa bajka o wilku i jagnięciu, cóżby powiedział na bajki Krasickiego, w których złość, głupota, dlatego że silniejsze, zwyciężają, a cnota, pokora i mądrość pobite uchodzą. Wszyscy wprawdzie poeci Stanisławowscy, od Naruszewicza i Ogińskiego aż do Niemcewicza, uprawiali bajkę *con amore*, ale wywodzili w niej nieraz złość dnia, skandal polityczny, folgowali nieraz uczuciu wzburzonemu; nie wstrzymywali się od aluzyi aktualnych, Trembecki nie mniej jak Niemcewicz; wszyscy też za przykładem Lafontena kreślili szerokie, szczegółowe obrazy. Krasicki od aluzyi się wstrzymywał, wyjątkowo bajka odnosiła się specyalniej do stosunków polskich i nic bardziej trudnego, bardziej zwodniczego, niż dorabiać komentarz polityczny do tych bajek, gdzie chyba przypadek lub własna wskazówka autorska zagadkę rozwiąże. Wybrał pierwotnie formę Fredrową, najkrótszą, niemal epigramatyczną; w czterech wierszach, z których i jednego wyrazu ująć nie podobna, przedstawiał konflikt nie wesoły i smutne rozwiązanie. Nie silił się na wynajdywanie nowych, osobliwszych tematów: zasługą jest bajkopisarza, temat choćby odwieczny, stemplem własnego ducha, trafnego ujęcia, misternego wysłowienia udać za własny, a w tej

sztuce celował Krasicki. Później i on obszerniejsze bajki pisywał, i mimowoli nasuwa się porównanie z bajkami Lafontena czy Kryłowa: nie pozostaje autor polski w tyle za ulubieńcem dziatwy rosyjskiej, tak swojskie utrafił on rysy — w krótkich nikt mu nie dorównał.

Te same cechy talentu i stylu przeniósł Krasicki na prozę. O wielkie koncepcye się nie kusił; romanse jego, jeżeli literaturę dyktatyczną i satyryczną tym mianem ochrzcimy, rozpadają się na luźne obrazki a raczej traktaty z wyraźną pouczającą tendencyą; politycznych rzeczy również niema, prócz jednej, nadto przezroczystej, więc płaskiej alegoryi, dzieje Polski w dziejach »narożnej kamienicy« przedstawiającej. Otóż ten brak politycznego elementu w czasach tak rozpolitykowanych, jest nadzwyczaj dla niego znamienny: między zrezygnowanymi on najbardziej zrezygnowany; każdy inny sarknie choć raz, zaprotestuje, da się uwieść choćby ułudom; on jeden nie zdobędzie się na nic więcej prócz słówka cichej skargi. Pogodzi się z fatum, szczerze, z przekonania, nie dlatego, że był obcy poddany, ale dla własnej natury, między miękkimi najmiększej, i kreślił już w r. 1778 (i 1784) »Pana Podstolego«, jakby Polska wcale nie istniała, jakby go pisał w roku 1798 jakiś światły obywatel »Prus południowych«. Pisał historyę czasów zamierzchłych, żeby protestować przeciw wysławianiu zaborców i wojowników; z monarchów podziwiał Kazimierza Wielkiego (Naruszewicz tylko za Chrobrymi i Śmiałymi wzdychał), jakby w Polsce animusz wojenny gasić wypadało, jakby owcom skargi na wilcze zęby i apetyt pomagać miały; ubóstwiał Nipuanów, nie znających żelaza, zamiast ich za to na zagładę skazać.

I traciła jego literatura na aktualności, zyskiwała w ogólnoludzkim znaczeniu: dla tłumacza Krasicki ze wszystkich autorów polskich najwdzięczniejszy.

Element polityczny wykluczył więc Krasicki ze swej literatury: i w satyrach nie było aluzyi politycznej, chyba w wierszu o tym, co kraj zdradza:

> Przecie filut, wisielec, na co patrzeć zgroza,
> Wstęgi nosi na szyi, co warta powroza,

zresztą *cnota*, virtus starorzymska, rozstrzyga, jego zdaniem, o powodzeniu: »Rzym *cnotliwy* zwyciężał, Rzym występny ginął«, albo »gdzie *cnota* w pogardzie, tam naród upadnie«, albo »po największych klęskach nie trzeba rozpaczać... ale kiedy się w narodzie grunt *cnoty* popsuje, szkoda jest nienagrodzona« i t. d. Więc zawsze zajmuje stanowisko moralisty, kaznodziei, — mówi do narodu:

> Sameś sprawcą twych losów: *zdrożne obyczaje*,
> Krnąbrność, nierząd, *rozpusta*, *zbytki* gubią kraje.

W komedyi »Statysta« Roztropski jego tak prawi: »najpierwsza i największa usługa (ojczyźnie) — dobre wychowanie dziatek, to skarb najszacowniejszy... masz poddanych, obchodź się z nimi łaskawie; masz rolę, gospodaruj dobrze, to kraj bogaci; drogi... utrzymuj, tym się handel ułatwia... nie mrucz na podatki«. Nawet »Organy« wzywają do poprawy samych siebie, »a wtenczas z odradzającą się w Polakach *cnotą* odrodziłyby się i dawne polskie zaszczyty«; komunał to starożytnego satyryka, dobry chyba dla kwietyzmu czy indyferentyzmu politycznego, lecz nie wskazówka czy cecha akcyi politycznej, której pragniono. Za ulubieńcem swoim, Kochanowskim, powtarzał Krasicki hasło niby życiowe: niech drudzy za łby chodzą, a ja się dziwuję. Ale czasy nie były już potemu.

Jeszcze najmniej raził brak momentu politycznego w »Mikołaja Doświadczyńskiego Przypadkach«, panicza polskiego, o wychowaniu jego albo raczej o braku tegoż, i o innych perypetyach życia polskiego, między palestrą lubelską a brukiem paryskim, w rysach, chwyconych z życia — palestrę i Lublin znał przecież wybornie zasłużony prezydent sądu z roku 1768; dalej nowy Robinson Crusoe ląduje w Utopii, gdzie ludzie żyją w stanie natury, bez fatalnego żelaza, roztkliwiających książek i fanatyzujących księży (utopia Leszczyńskiego opierała się na całkiem innych podstawach — obie naśladował autor rosyjski, ks. Szczerbatow); rozbija się potym po morzach i lądach, aż wyrzekszy się, jak Krasicki sam, wszelkiej polityki, osiada i ugrzęza na wsi. Ciąg dalszy »Doświadczyńskiego« to »Pan Podstoli«, uczący, jak to w najwęższym kółku, rodzinnym, gospodarczym, a choćby i sąsiedzkim, nie rwąc się do żadnego czynu, działać z największym przecież

pożytkiem dla siebie i swoich, jakich zasad się trzymać, co sądzić o najrozmaitszych zjawiskach życia ziemiańskiego, jakby innego wcale nie było, począwszy od wychowania dzieci, a skończywszy na ogrodach, Żydach i książkach. Bo tak, luźnie i przypadkowo, samym kojarzeniem się myśli, bez ułożonego z góry planu, powtarzając się i znowu odskakując, kreślił autor mądre i cenne uwagi, wynikające z ducha polskiego i do utrwalenia jego dążące.

Broniło się tu domowego trybu wymowniej i goręcej, niżby się po autorze »Monachomachii« i »Satyr« oczekiwało; słowa o kościele i klasztorze nie godziły się z wielbicielem Nipuanów; w czasach pośpiesznego łamania wszystkiego, co sarmackie, ślepego naśladownictwa cudzoziemczyzny, były to uwagi bardzo wytrawne, spokojne i niejednego zreflektować, opamiętać musiały, stąd i popularność dzieła, mimo braku wszelkiej akcyi: na tragiczne, albo przynajmniej dramatyczne zawikłania tchu zabrakło. Najsłabiej wypadła »Historya« człowieka, odmładzającego się i biorącego udział w akcyach historycznych od wypraw Macedończyka do Chrobrego, rezonerska, przeciw kultowi wielkich ludzi i czynów wojennych powstająca, właśnie dla nadmiernej trzeźwości ani trzeźwa, ani krytyczna, nużąca rozwlekłością i jednostajnością, dowód jednak niepospolitości, samodzielności umysłowej; nie dziw też, że znaleźli się zaraz i w Berlinie tłumacze i wydawcy (profesor Bernoulli, znany uczony i podróżnik); »Doświadczyńskiego« w Warszawie również po niemiecku wydano.

W prozie jednak był Krasicki nie tylko beletrystą, lecz i popularyzatorem, w kompendyach i encyklopedyach ziomkom »zbiór potrzebniejszych wiadomości« w najrozmaitszych materyach uprzystępniał; albo w tłumaczeniach z Plutarcha, a w naśladowaniach z niego i Lucyana, żywoty sławnych mężów i naukę wystawiał. Mniejsze rzeczy, powiastki moralizujące, nieraz wcale piękne, są przeważnie czy wyłącznie obcego pochodzenia; całą twórczość dramatyczną, wyczerpującą się na potrzeby domowego teatru w Heilsbergu, mimo mądrych myśli i dowcipnego słowa wcale nie dramatyczną, można pominąć.

Obok tej wszechstronnej działalności literackiej nie zaniedbywał biskup obowiązków stanu swego, o czym choćby kościół św. Jadwigi w Berlinie, na pamiątkę imienia ostatniej katolickiej kurfirsztowej, córki Zygmunta Starego, postawiony, poświadczyć może.

Gdy ostateczny upadek kraju silniejsze organizmy złamał lub odrętwił, książę biskup, teraz arcybiskup i prymas, niby odżył, jakby cios ten spóźnioną reakcyę wywołał; i rąk nie opuścił ani załamał, »podła rzecz rozpaczać«, »rozpacz — podział nikczemnych«, i, gdy wszyscy ucichli, »pięciu nas myśli, dwuch gada, jeden (on sam) pisze«; zabrał się do budzenia, do podtrzymywania i niecenia ogniku, wydając pisemko »Co tydzień«, niby dawny Monitor, z powiastkami i t. d., lecz dni jego były już policzone.

Zajmuje on samo czoło literatury Stanisławowskiej. Jak król, i ona nie odpowiadała najistotniejszym wymaganiom chwili, nie krzepiła ani porywała ducha; jak król, starała się wyprowadzić naród z zastoju i mroku, z zamętu pojęć przedpotopowych. Odwoływała się do rozumu, nie do uczucia; odznaczała się jasnością myśli, precyzyą wysłowienia, prawidłowością formy. Język psalmików i panegiryków zardzewiał, zapleśniał i zubożał, zalany cudzoziemczyzną, spospolitował się strasznie; o formie zapomniano; myśli plątały się, jakieś oberwane, nie do ładu, przypadkowe. Otóż mistrz języka i formy, przenikliwy i rozległy umysł, Krasicki, najdosadniej wykazał, że jest i będzie literatura w języku narodowym; on książkę polską i »gust do czytania polskiego« stworzył; przekonał niedowiarków, że smak i polor, dowcip i jasność, to nie monopol Paryża, że, byle chcieć i umieć, zrównać można wyrób domowy przywoźnemu. Pisał dla wszystkich o wszystkim, nawet bajeczki i powiastki dla dzieci, tylko, wierny męskiemu charakterowi literatury polskiej, do kobiet osobno się nie zwracał, chyba przygodnie i krótko o obowiązkach pouczał i wzory do naśladowania podawał; nie wierzył w naukę abstrakcyjną, gabinetową (a i eksperymentalną wtedy pod tę rubrykę podciągano); ogółem, zbyt głęboko nigdzie nie wnikał.

Walczył z przesądami; nawoływał do pracy (»trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty«); wysoko stawiał przymioty rodzime, swojskość; nie zwodziły go blichtry; nie ustawał w wysiłku. Najwięcej zawdzięczał mu język: żeby ocenić postęp u Krasickiego, należy go porównać z Naruszewiczem lub Piotrowskim: język ich niewybredny, ciężki i szykiem słów i doborem wyrazów, przestarzałych, rubasznych, pospolitych; Krasickiego mniej dosadny, mniej zamaszysty, zato połyska świeżością, gładkością, zgrabnością; wyzuwa się z niejednego bogactwa, ale nabiera giętkości i lekkości, do której

tamtym daleko; ich rzeczy trącą mimowoli szkołą, cytacyami jakichś anegdot i historyi z pod ciemnej gwiazdy — Krasickiego światowe, wymuskane, przezroczyste. Dobroduszny uśmiech igra na wykwintnej twarzy autora; wyższości swej nigdy odczuwać nie daje; ani widzisz, jak się do ciebie zniża; on przestrzega, nie łaje; namawia, nie zrzędzi; nauczyciel, nie pedant.

Pierwszy to w Polsce od dawnych lat literat z powołania, nie z musu, nędzy czy nudów; jak Rej, Kochanowski i Potocki, służył ojczyźnie piórem, przeświadczony o ważności swej misyi; on jedyny między spółczesnymi poświęcał się swemu zawodowi bez wszelakiego względu czy celu ubocznego, nie dla chwały i ambicyi, nie dla zysku czy pochlebstwa, chociaż schlebiać umiał; wytworniejszych komplementów nie usłyszał chyba żaden inny monarcha, nad te, jakie Stanisławowi w słynnym poświęceniu Satyr roztoczył. W czasach powszechnego zepsucia on jeden pióra swego cynizmem nie kalał; naturę wytworną, wydelikaconą raziło wszystko brudne, gminne, obcesowe.

Obok wykwintnego, jowialnego, towarzyskiego Polaka, staje ciężki, pedantyczny, mrukliwy Litwin, **Adam Naruszewicz,** równy powołaniem, rodem (niegdyś świetnym, a byli i Naruszewicze fautorami kalwinizmu), miłością ojczyzny, zresztą odmienny wszystkim, począwszy od samej brzydoty fizycznej. Z więzów łaciny nie wyzwolił się eksjezuita nigdy zupełnie; tłumaczeniami Tacyta dał się poznać i w prozie i wierszu wzory swe wydawał; tylko w sielankach i bajkach uległ prądowi francuskiemu. Budził ducha, jak Krasicki, ale w stylu sarmackim: schlebiał, acz nie niegodnym; nuta osobista przebrzmiewała u niego silniej; karcił, ale obcesowo, namiętnie niemal (np. o regułach złotej wolności w Polsce prawił: Chłopa na pal, panu nic, szlachcica na wieże i t. p.); obywatel, od polityki nie stronił, wzniósł się w »Głosie umarłych« do wymownej skargi na niesfornych i wyrodnych synów ojczyzny, a ruina ostateczna i jego złamała.

Poetą właściwie nie był; *facit indignatio versum*, mógł o sobie, jak Juwenal, twierdzić; zakrawał więcej na uczonego i, jak Kochowski, z poety na historyografa przeszedł. Trafnie ocenił go król, gdy go do swego boku powołał i, wierny zasadzie budzenia z letargu wiekowego, zwierciadło dziejów polskich jemu wystawić polecił.

Dziwnie zaniedbane, odłogiem, leżały te dzieje. Bajkami o Kalimachu i rokoszu gliniańskim (chociaż Załuski pod przybranym nazwiskiem rokosz ten z historyi uprzątnął), o niesłychanych i niewidzianych zasługach przodków, karmiono szlachtę. Do źródeł nie sięgano; Długosza obcy w Lipsku wydali, i dopiero po r. 1750 przystąpiono do ogłaszania źródeł łacińskich (w zbiorze Sasa, Mitzlera de Kolof, zasłużonego i na polu publicystycznym) i polskich (w zbiorze Bohomolca); inne ważne publikacye źródłowe, to *Volumina legum* Pijarów i Dogiela kodeks dyplomatyczny, wyświecający stosunki zewnętrzne Polski.

Brakło opracowań; zagranica dostarczała żywotów Jabłonowskiego, Leszczyńskiego, Radziejowskiego (prymasa) i in.; pisarze pruscy, świeccy (Lengnich, Braun) i duchowni (Oloff, Ringeltaube), objaśniali konstytucyę polską i literaturę, pojedyńcze jej dzieła i działy. Potrzeba zaś wiadomości historycznych coraz rosła; uroszczenia mocarstw rozbiorowych rozświecał wprawdzie Łojko; lecz w swojskiej literaturze nie było, prócz nieszczególnych podręczników Bielskiego i Wagi, dzieła, któreby wymownie, wedle wymagań wieku, krytycznie, w duchu monarchicznym, ciągłość dziejów wystawiało, któreby dowiodło, że, czego obcy miecz nie dokonał, republikańskie zasady i instytucye, nie pierwotne, późne, Polskę zniszczyły, że zgubne tory wreszcie rzucić należy. W tym duchu opracował (Jezuita) Wyrwicz konfederacyę Gołąbską; krytyka niemiecka (Schlözera), ku największemu niezadowoleniu Jabłonowskiego, co sam tę burzę wywołał, uprzątała Lecha — »bodajbyście wisieli na haku złodzieje, Żeście w wieczne swój naród podając pośmiechy, Powyrzucali z kronik i Wendy i Lechy« wołał szlachcic w satyrze Naruszewicza; całokształt dziejów domagał się wprawnej ręki, bystrej głowy, ducha patryotycznego, pracy wytrwałej.

Że król ważnością zadania się przejął, że nie skąpił zachodów i kosztów, że wyśledził odpowiedniego pracownika, że go zachęcił i podtrzymał, zostanie jego wielką zasługą. Nigdy dotąd nie ułatwiano w podobny sposób pracy uczonemu polskiemu. Zabrał się Naruszewicz raźno do dzieła; dla niego kopiowano materyały nawet po zagranicznych bibliotekach i archiwach, włoskich i szwedzkich (Albertrandi; tak powstały olbrzymie zbiory, Teki Naruszewicza, dziś u Czartoryskich); nakoniec pojawiło się w latach 1780—1786

sześć jej tomów, doprowadzających dzieje do r. 1386; na tym praca utknęła.

Stanisław August może wcale na tak obszerne dzieło nie liczył; krótsze byłoby zamiarom jego widocznie dogodniejsze; zasługi Naruszewicza to nie narusza. Jak w trzydzieści lat później Karamzin, tak stworzył teraz Naruszewicz wiekopomne dzieło narodowe, chociaż jeden tylko dzieje Rurykowiców, drugi Piastów opowiedział; u obu przeważały w tekście dzieje rządzących, Naruszewicz nawet jeszcze lata, jak rocznikarz jaki, wystawiał; w obszernych przypiskach uwzględniali zato obaj dzieje wewnętrzne, urządzeń, oświaty i t. d. i uprawiali właściwą krytykę; nawet styl obu podobny, na rzymskich historykach wzorowany, nieco pompatyczny, lubujący się w maksymach i aforyzmach Tacytowskich. Dopiero Lelewel i Roeppel, w pół wieku później, postąpili znacznym krokiem naprzód, uwzględniając jeszcze liczniejsze źródła z jeszcze gruntowniejszym wysiłkiem krytyki i głębszym wnikaniem w ducha czasu; mimo niehistoryczności wieku XVIII najcelniejsza jego praca prozą, to dzieje narodowe, a miały one i tę zasługę, że pobudziły innych do podejmowania dalszych badań.

Nie jedyna to historyczna praca Naruszewicza; »Żywot Chodkiewicza« już nie pojęcia republikańsko-anarchiczne prostować, lecz animusz bohaterski miał budzić i w licznej ówczesnej literaturze biograficznej, między pracami i przeróbkami niezmordowanego Bohomolca (o Janie Zamoyskim, o Heidensteinie, o Jerzym Ossolińskim, o Tarnowskim z Orzechowskiego) i Kognowickiego (Żywoty Sapiehów) najcelniejsze zajmuje miejsce. Był więc Naruszewicz w prozie szczęśliwszym, samodzielniejszym, niż w poezyi, gdzie wiele naśladował (choćby w satyrach Boala, a w sielankach Gessnera), a formą nie celował i słusznie rzemiosło poetyckie z latami zarzucił, chociaż samym wydawaniem »Zabaw przyjemnych i pożytecznych«, gdzie wiersze swe przeważnie umieszczał, i około literatury pięknej się przysłużył: zawieruszały się tu i zabytki przeszłości, wieku XVII.

W literaturze pięknej zachowa Naruszewicz miejsce nie z próbą na poły jezuickiego dramatu o księciu niezłomnym, nie z napuszonymi lirykami i ckliwymi sielankami, lecz z satyrami. Napisał ich tylko ośm, a i tu połowę niemal pożyczył; lecz treścią wypełnił je swojską, narodową, i formę nadał im własną. Nie zerwał, jak Krasicki, z sarmatyzmem słowa; roi się u niego od ozorów, kałdunów, momotów; od łuszczybochenków, gryzipacierzów, smażywiechciów; w guście dawnych intermedyów jezuickich prawi o kluczu Hołyszach i wioseczce Pożyczance z karczmą Nieoddajem; jak cała dawna literatura, z Potockim na czele, nie liczy się z wysłowieniem delikatnym, z rymami subtelnymi: stąpa hałaśliwie i ciężko; siłą i plastyką wyrażenia, a ironią i oburzeniem finezyę i humor Krasickiego zastępuje.

Najznakomitsza z tych satyr, »Chudy literat«, aż nadto wyrazista dla nieuctwa, ciemnoty, zalegającej głowy, nie wyszumiałe z obłędu saskiego, dla ciężkiego, niewdzięcznego szamotania się literatury z obojętnością i ospałością ogółu; najzjadliwsza, »Reduty«, przez rózgi puszcza szulerów, junaków, fircyków, mężczyzny i kobiety. Momentu politycznego w nich nie brak; główną walkę stacza się jednak z sarmatyzmem dawnym i ze świeżym rozpasaniem obyczajów.

Obok Eksjezuity Naruszewicza stawał Pijar **Gracyan Piotrowski**, w »Satyrze«, pisanym dawniej, już molom na ofiarę przeznaczonym, a potym na nalegania przyjaciół wydanym (r. 1773), w tonie nadto kaznodziejskim i prozaicznym, naśladując obcych, od Horacego począwszy, głównie Pijara Guillemin, ale chłoszcząc wady domowe. Rozmowa w bibliotece Załuskich, gdzie człowiek starej daty Heroda i Herodota miesza i dawny tryb szkolny sobie chwali; skargi na upadek łaciny; na wzrastające nieposzanowanie księży i religii; na naśladowanie obczyzny; na gazeciarzów-romansistów, plotących byle co, czytano i wtedy już obojętniej, ale co za drastyczny obraz wystawił Piotrowski np. sądownictwa miejskiego! Owe przykłady z Wielunia i Wąsosza, gorsze niż z Osieka! A jak wymowną jest skarga jego na niemiłość ojczyzny, na ucisk chłopski, za co Bóg Polskę karze; Francuz przepowiada nawet, że w razie najścia nieprzyjacielskiego »obrona niesforna, podejrzliwa, przekupna, spodlona, rozerwana na części, gorzej wam zaszkodzi«, niż wróg.

Obok księdza Krasickiego stawał znowu ksiądz **Hieronim Juszyński**. Jego »Rymy i proza, skotopaski i miłostki« (1787—1789), oryginalne i naśladowane, autora chyba kompromitowały, dla treści nieraz swywolnej; natchniony jednak Monachomachią napisał »Asketomoryę« (albo »Zgromadzenie fartuszkowe czyli sejm mniszek«).

Oryginalna to alegorya, boć nie tylko o zdyskredytowanie panien zakonnych i ich świątobliwego życia księdzu chodziło; była to i satyra polityczna, gdyż Gaudenty to Szczęsny, a hołota, otaczająca go, to Targowiczanie; ostatnia strofa prawiła bez wszelkich obsłonek:

Zniknął Gaudenty, a hydra bez głowy
Już nie swą duszą, ale obcą żyła.
Wtym przemoc, słysząc próżne głupców mowy,
Batogiem resztę łotrów rozpędziła;
Z nieznanych mnichów sejm zwoławszy nowy,
Cudowne na nim rzeczy ułożyła,
Które przyrzeka wkrótce muza stawić,
Aby się świat mógł uczyć lub zabawić.

Jeden to z rzadkich głosów o Targowicy i dlatego na wyróżnienie zasługuje. Dawniej napisał Juszyński »Żydoswaros«, gdzie za Myszeidą bajki śmiesznej o wojowaniu Żydów (jak pole kwitnącej hreczki w bród, niby morze czerwone, przechodzili, a w prawdziwej rzece tonęli), użył jako pretekstu, aby upadek znaczenia Polski, starania kilku patryotów około podniesienia narodu, rozbijające się o niezgodę, niegotowość, niezaradność, wystawił. Wodzowie tego wojska przypominają chyba Stwołowicze i hetmana, zdolnego muzyka, poetę, zasłużonego kilkunastowiorstowym kanałem około prowincyi, lecz na wojskowości znającego się tyleż, co i Berko. Wyłaniała się już Targowica, i na epigraf użył poeta motta o niezgodzie; »Żydozgodos« projektowanego już nie napisał. Zato później »Zajazdem« jeszcze Austryakom do woli nawymyślał.

Tendencye satyryczne nie wykluczały jednak bynajmniej zakusów panegirycznych, duchowi wieku, jak za czasów odrodzenia humanistycznego, nadzwyczaj ponętnych; chwalono się nawzajem, eskomptowano zasługi przyszłe, nie ufano widocznie sądom potomności — i słusznie. I u Krasickiego i u Naruszewicza znajdziemy nieraz przesadne chwalby cnót obywatelskich rozmaitych poczciwców, dla których Pegaza siodłać było zupełnie zbyteczne — w cnej sztuce chwalenia nie oni jednak prym osiągnęli. Odznaczył się w niej, aż do przesady najobrzydliwszej, nadworny poeta królewski, **Stanisław Trembecki,** jako człowiek i jako poeta pełen sprzeczności, niedomówień i niespodzianek. Talent miał znaczny, lecz

rozrzucił go na same drobnostki, na kilka tłumaczeń (i dramatycznych, z przystosowaniem do ładu polskiego, słabostką wtedy ogólną); na kilkadziesiąt wierszów okolicznościowych, przymówek, satyr, pamfletów, epigramów i bajek; na wiersze opisowe.

Celował w cyzelowaniu robótek — najsłynniejsza z nich, najpóźniejsza, »Zofiówka«, opis pyszny pysznego parku tulczyńskiego pana. Cała jego zasługa w stylu, jędrnym, nawet rzeczom nieważnym pozory ważnych nadającym, i w uderzającym, samowładnym, panowaniu nad językiem, łamaniu go do woli, kuciu przenośni wyszukanych i wyrazów niezwykłych; Trembeckiego styl olśniewał jeszcze młodego Mickiewicza, wzorującego własne przenośnie i zwroty na wierszach klasyka, naśladującego Horacego i Francuzów, szczególniej w wierszu swywolnym. Pisywał nie tylko, jak wszyscy, w różnych działach, i bajki i listy i satyry i ody, ale i w różnym duchu, skoro przekonań nie miał, chyba że Niemców nienawidził i mżonkami o słowiańskiej wzajemności rozmarzonego udawał; pisał, jak chwila, interes, czy kaprys wymagały; to Jezuitów żałował, to na fanatyzm napadał, pobożny i ateusz zarazem; zawsze jednak królowi służył i najdłużej przy nim wytrwał: z upadkiem króla i sam stracił równowagę i zdziwaczał czy zdziecinniał. Komedyant to skończony; przywdziewał każdą maskę, bohaterską nawet (»pójdziem chętnie na trudy, na najsroższe boje« on i Stanisław August!), z takim przejęciem się, zapałem i werwą, że niewtajemniczony aktora nie widział; dowcip stopniował aż do ironii i sarkazmów, chłoszczących dotkliwie, szydersko ofiary gniewu, niestety aż nadto zasłużonego; było mistrzostwo formy, łatwość i trafność wysłowienia; siłą przewyższał Naruszewicza, a gładkością Krasickiego; wyszafował to na Bielawskiego, Braneckiego, Węgierskiego, na kadzidła królowi i panom; co chwili służyło, z nią też gasło i nie bez przyczyny zaniedbywał zdolny autor swych płodów, nie cenił bynajmniej swego powołania, do wierszów swych nieraz ani się przyznawał.

Na Parnasie polskim mniej zwykła to osobistość, nie ponętna wcale; nawet w wieku admiracyi wzajemnej grubo przesadzał, gdy, pieska królewskiego przymioty sławiąc, pytał, mój że to obraz, czy pieska? tym bardziej, iż piesek o nic nie prosił, Trembecki zaś o wszystko, nawet i o biskupstwo! za to też różnych dla króla się podejmował hazardów (nb. nie literackiej natury). Sam paszkwilant,

w piecu legając, drugich ożogiem macał, występując przeciw paszkwilom i »zwłoszałym Mazurom«, chociaż całkiem inne rzeczy wołały pilniej o poprawę; sam wielbił sejm czteroletni i sam go potępiał. Był światowiec, nie ksiądz, jak Krasicki i wszyscy inni; dlatego odzywa się w poezyach jego ton odmienny; hołdy kobietom, płci pięknej i słabej wyrażone silnie; oburzał się najwięcej na paszkwilantów, co damom nie przepuszczają.

Po długiej przerwie pojawił się więc ponownie, po Morsztynach, feminizm w poezyi polskiej, pod znakomitym piórem układnego, gładkiego dworaka. Zresztą chociaż mówił o ludziach słabych i małych, najsilniejszych używał zwrotów i mimowoli zapadały one w pamięć, taki np. »Jedno miał takie serce Bóg, drugie dał Tobie (królowi)« lub »Pół świata czcić cię będzie, drugie pół zazdrościć« (koniec Zofiówki), albo w »Liście do posłów, powracających z Grodna«, od samego znamiennego początku: Z jakim duszy rozdarciem, z jak głębokim żalem Witał swe niedobitki Rzym skonania blizki i t. d. Nie dziw więc, że ceniono i za klasyków warszawskich wiersz ten wytworny a silny, i wyrażał zdanie ogólne Feliński, gdy sławił poetę, toczącego »bez pracy wiersz ważny i gładki... zda się, że nie ty rymu, lecz rym ciebie szuka«.

Niżej, nie talentem, lecz losem, sławą i zasługami, stanął **Kajetan Węgierski,** dla krótkotrwałej karyery literackiej, acz rokującej świetne nadzieje — skończył on bowiem, jak Trembecki zaczął, zagranicą. Nie w »Organach«, gdzie chyba na żart temat dla ramoty rozwałkował aż na kilka pieśni i głównie w starej literaturze saskiej, pokutującej na prowincyi i po dworkach, spustoszenia poczynił, objawił talent, lecz w satyrach, o innym zakroju, niż u Krasickiego, a nawet Naruszewicza.

Nie zgadzał się Węgierski z zasadą, że satyra ma bić czołem osobom, a łajać obyczajom; on i osobom łajał, widząc jak się rozpanoszyły zbrodnie, bezwstyd, prywata; z jego satyr przebijała więc nuta osobistej nienawiści i silne odnajdowała echo w publiczności. Młody, porywczy, własnym doświadczeniem czy niepowodzeniem zrażony, opuścił jednak rychło stolicę i kraj i zginął dla literatury, w której chyba po śmierci stanowisko zajął — tak mało drukowano jego rzeczy za życia, tyle ich obiegało wyłącznie w odpisach, a jest między nimi i wiele cynicznych, w guście wieku. Na paszkwile i pamflety nastręczało się ciągle, od r. 1763

do 1793, aż nadto materyi; głos zabierali republikanie, nie zawsze z biegiem i znaczeniem wypadków obznajmieni; katolicy, na dysydentów (na braci Grabowskich głównie) rozżaleni, trzymający się zasady, *tam diu Polonia libera quam diu orthodoxa;* »rojaliści«, oburzeni zamachem »kondratów«; niedobitki partyi saskiej (Rozmowa kawalera saskiego z senatorem polskim); nieprzyjaciele króla (O nędzna Polsko, wstyd ci niesłychany, Że tron twój rządzi wół, świnia, barany i t. d., od herbów), jego zalotności (Podkomorzynio! jakeś zdradziecka, w nocy Koronna, a w dzień Krzemieniecka i t. d.).

Zaczynają te wiersze polityczne od samej elekcyi; rozpierają się w nich jeszcze Augustowcy i Janowcy (Czartoryski i Branicki, Litwa i Korona); ani przypuszczając, co się święci, tryumfowała »Kabała Litewska«:

> Osieroconej bez króla Koronie
> Posadzą na tron następcę Pogonie.
> Darmo proroctwa dalej pytać chcecie,
> Już August Czwarty stanął w szczęścia mecie!!

Inaczej trzymali Korończycy: Gryf na tron polski ubiegnie Pogonią. I następne wypadki oświecają paszkwile, sarkania na króla i senat (Oda wolności polskiej i t. d.); najobszerniejszy między nimi »Cnota uciemiężona, wolność obarczona. Komikotragedya, scena w Warszawie w pałacu maskowym« (zamiast zamkowym) w siedmiu aktach prozą, z przejrzystymi aluzyami i nazwami, Despot to król, Perekińczyk prymas, Umizgalski (Krasicki lub Giedrojć), Obłudnicki (biskup kujawski), Wielkomyślski (ekskanclerz Zamoyski), Sobiebierski (podskarbi Wessel) i t. d.; intrygantom, królowi, prymasowi i t. d., kierowanym najpodlejszymi pobudkami, szalbierzom politycznym, przeciwstawieni są wywiezieni senatorowie i Zamoyski; kończy monologiem zwycięskiego prymasa, dumnego ze swej roboty i spieszącego do kochanki za dyspensą Repnina.

I przygody ościenne poddawały materyi, od wierszów szyderskich na Fryderyka II, o ucisku śląskim i t. d. aż do wierszów, z powodu Oczakowa, na Katarzynę W. i i. Powódź tych wierszów wzbiera gwałtownie za sejmu wielkiego; biorą w nich udział i Trembecki i Zabłocki; sypią się pociski na jednych, panegiryki na innych, opisania burzliwych posiedzeń sejmowych z nawoływa-

niem ojczyzny do synów i t. d.[1]) Obierano wszelkie możliwe formy, bajki politycznej, parodyi rzeczy świętych (np. Ojcze nasz któryś jest w Wiedniu, Petersburgu i Berlinie; Wierzę w jednego boga Stanisława i t. d.)

Najwięcej i najlepszych wierszów skupiło się około sesyi sejmowej z r. 1789 na 1790; najgwałtowniejsze wycieczki posypały się na Braneckiego i jego popleczników (podłego Jezierskiego i in.), na Ponińskiego i t. d.; to już nie dawna bezzęba satyra, co »zamiast poprawić, jeszcze zabawi łajdaka«, ale cała znakomicie obmyślana i przeprowadzona kampania literacka; o jej tonie i stylu pouczy wiersz, niby wstępny:

Jestem teraz w robocie pisania żywotów
Wszystkich naszych łajdaków, szelmów i huncwotów;

lecz mylił się Zabłocki, tusząc sobie, że »się z wstydu choć jeden obwiesi ladaco«; gruboskórni domagali się przeciwnie inkwizycyi i palu na paskwilarza, na co ten bardzo słusznie Jezierskiemu odpisał:

To tobie wolno, błaźnie, błazna z błaznów plemię,
Bluźnić Bogu, lżyć króla, zdradzać swoję ziemię,
A ręce cnotliwego za uczciwe pióro
Masz zuchwale odgrażać palem i torturą?
Hola błaźnie! ta ręka, Bóg moja nadzieja,
Skoro nie twoja, zatym nie ręka złodzieja i t. d.

Wiersze na hetmana równie silne i trafne; nie tylko zawiść z nich mówi, autor tych paszkwilów, stronnik pruskiego przymierza wraz z »patryotami« (więc nie Trembecki), myślał bardzo trzeźwo, nie dawał się unosić chwilowym zapałom, więc gdy stanęła uchwała stutysięcznego wojska, wypisał cięty wiersz na samochwałów naszych:

Stanęło sto tysięcy wojska. Są żołnierze.
Bogu chwała! Gdzież oni? Gdzieżby? na papierze.
Dajmy na wojsko — wszystko!... połowę mniej więcej!

[1]) Wiersze te krążyły niemal wyłącznie w odpisach; do autorstwa nikt się nie przyznawał; dzisiaj nieraz i trudno roztrzygnąć, który z tych wierszów np. pióra Zabłockiego i t. d. Powtarzają się niby, na krótką metę, stosunki z wieku XVII.

Bogu chwała! Już i żołd jest na sto tysięcy.
Jedni płaczą, drudzy się śmieją rozrzewnieni,
Są miliony. Gdzież są? W każdego — kieszeni...
Jest obrona. W kim? Pewnie w Boskiej opatrzności, i t. d.

Pyszny i wiersz (Trembeckiego) p. t. Joannes Sarcasmus, nicujący strasznie literaturę polityczną i t. d. Godny to ostatni głos wolny upadającej ojczyzny i nie darmo zbierano po rękopisach osobno te wiersze. Kończą tę literaturę — pamflety Niemcewicza »Ustawy Targowickie« i »Biblia Targowicka t. j. Księgi Szczęsnowe« (parodya początku Ksiąg Mojżeszowych, tłumaczono i na niemieckie); wzór do nich dały Niemcewiczowi wiersze i proza biblijna na Branickiego, np. »Hetman w ogrojcu«, »Hetman na krzyżu między Sapiehą i Suchodolskim«, »Ewangelia o Branickim«, »Psalm (tegoż) na Wielki Piątek« itp., wszystkie znakomite w swoim rodzaju, niestety prawdziwe aż nadto.

Tak zajęły satyra i pamflet najcelniejsze miejsce w literaturze Stanisławowskiej: właściwe uczucia wieku nie wylewały w liryce, nie zawodziły skarg i żalów, piętnowały raczej zdrajców i odstępców, podłych, głupich i próżnych. Dlatego to oniemiała ta literatura nagle po r. 1794, gdy dla satyry i pamfletu miejsca już nie było.

Uczucia obywatelskie, tak znamienne dla całej dawnej literatury; hołdy osobistościom, licujące nieraz zbyt mało z nimi samymi; rzeczy więc rozumu i interesu, nie wyczerpywały piśmiennictwa. Byli i przedstawiciele uczuciowości, chociaż mdli albo ckliwi, Juszyński, Minasowicz, sielankopisarze, ów hetman wielki litewski, »obywatel słonimskiego powiatu« (Ogiński), co i »Nocy« Junga naśladował i dramaty alegoryczne dla swego teatru (słonimskiego) pisywał, liryczne, sentymentalne, wiersze zbierał i »bajki i niebajki« tworzył, hetman-dyletant w guście Rzewuskiego, talentem na każdym polu mu ustępujący, ostatni z owych wielkich dygnitarzów Rzeczypospolitej, bawiących się w literaturę. Obok nich byli i prawdziwi poeci, powołani, którym już sam temperament kazał wyrażać uczucia tkliwe; co do niedawna tylko po rękopisach czułych podsędków i rejentowiczów krążyło, pojawiało się teraz w formie udoskonalonej i w druku, chociaż wychodziło przeważnie z tej samej sfery i z głębokiej prowincyi, w kubraku sielskim stawało, jakby dopełniając ową poezyę zawiści partyjnej czy ducha patryotycznego.

Najbardziej podobał się **Franciszek Karpiński.** Od szablonowych i konwencyonalnych sielankopisarzów-Jezuitów, Ejsymonta i Naruszewicza, od nieskromnych sielanek Węgierskiego i Zabłockiego, wyróżniały się jego sielanki i pieśni jeśli nie głębokością, to tkliwością uczucia; nie sadził się na sztuczność, śpiewał, co jego samego bolało lub koiło i odczuwali kochający własne tęsknoty i pragnienia. Rozeszły się też jego pieśni po całej Polsce szlacheckiej; jego »Justyna« i »Laura«, sentymentalne, rozłzawione, trafiały w smak epoki, lubującej się w czułych albo czułostkowych bohaterkach; popularność ich przetrwała lat dziesiątki. Karpiński próbował sił swoich we wszystkich działach lirycznych; najlepiej powodziło mu się w religijnym, nie w przekładzie całego psałterza, gdzie mocy Kochanowskiego nie dorównał, za to w pieniach, prostotą i szczerością swą trafiających do uczuć i malutkich, dzieci i ludu (Kiedy ranne wstają zorze; Wszystkie nasze dzienne sprawy). W liryce patryotycznej zdobył się tylko na wyrażenie żalu i rezygnacyi (Żale Sarmaty nad grobem Zygmunta Augusta), chociaż do ziemi ojczystej szczerze był przywiązany; szczególniej pierwsza zwrotka odbija silnym tętnem od łzawego zakończenia, a chociaż Dantego nie czytał, z nim się w myśli spotkał:

Ty śpisz, Zygmuncie, a twoi sąsiedzi
Do twego domu w goście przyjechali.
Ty śpisz, a czeladź przyjęciem się biedzi
Tych, co cię czcili, co ci hołdowali.
Gorzkie wspomnienie: gdy szczęście przeminie,
Czemuż i pamięć o niem nie zaginie?

Uprawiał i poezyę gnomiczną; a zniżył się pierwszy i do naśladowania tonów ludowych w »Pieśni dziada Sokalskiego«, przejętej szczerym, zapóźnym żalem; w Mazurkach i t. d.; w »Ludgardzie« pierwszą balladę polską utworzył, chociaż ona tonem swym nie Szkotów, lecz Heroidy Owidyuszowe przypomina.

Z panowaniem chłodnego i suchego rozsądku godziła się, wywołana naturalną reakcyą, sentymentalność, jedna z cech drugiej połowy wieku; od ubóstwiania samego rozumu, nie dającego szczęścia, przechylano się mimowolnie do wynoszenia przyrody, jej niezmąconej prostoty i wdzięku, do uczuć tkliwej a szczerej przyjaźni i miłości, łudząc się jej pozorami, nie wnikając głębiej; ze stolicy

i dworu, od gwaru intryg i zabaw, uciekano między pastuszków i pasterki, do świątyni dumania, i tworzono kodeks i reguły czułości i stosowano do nich westchnienia i słowa. Sentymentalny nastrój ten zapewnił też romantycznym pieniom Osyana tryumf jeszcze przed romantyzmem: duchy, przez których cień gwiazdy przezierały, noce księżycowe, omszałe granity, szum wodospadu, smętne zawody miłości i sławy, tęsknota za utraconymi, znoje ciężkiej walki i bohaterstwa niehamowanego, potężny wpływ pieśni, arf i bardów — wszystko widziane czy odczute, niby przez mgłę łez i przez wilgotne opary o zmroku, odbijające od słonecznej jasności homerowej, podbiło i przykuło uwagę całej Europy; fantastyczny świat staroceltycki narzucił się odrazu nietylko poezyi: zaroiło się od Oskarów i Malwin (np. bohaterka romansu księżny Wirtemberskiej), od harf i bardów (u wszystkich poetów naszych aż do Kazimierza Brodzińskiego), od naśladowań, przeróbek, tłumaczeń: nawet śmieszek Krasicki od »Henryad« i »Pulpitów« do przewierszowania, bardzo gładkiego ale równie mdłego, Ossyana-Makphersona pośpieszył, zwabiony świeżym czarem; sentymentalny Kniaźnin lepiej się jednak i zupełniej z tego samego zadania wywiązał. Za nimi tłumaczyli Tymieniecki, hrabia Ostrowski, Kazimierz Brodziński, Seweryn Goszczyński; naśladowali Kropiński i inni, lecz dopiero w »Lilii Wenedzie« Słowackiego duch Osyanów najpełniej odżył, aż do najdrobniejszych nawet szczegółów, do nazwiska Kraka, do roli harfiarzów, do wzgórza z omszałymi siedzeniami króla i bardów, śledzących stąd wyniku walki.

Jeszcze przed wszechpotężnym wpływem »Osyana«, z domorosłych wzorów i czynników, z temperamentu nawet własnego, urosła sentymentalność Karpińskiego i przez niego Parnasem polskim zawładnęła; była ona u niego nałogową, tkwiła nie tylko w czasie i otoczeniu, ale w samej naturze poety, który całkiem na seryo, wracając z podróży zagranicznej, polską ziemię całując, słodkie łzy wylewał. Z tkliwością tą szła w parze głęboka religijność, z domu rodzicielskiego i ze szkoły zakonnej wyniesiona, i niekłamany pociąg do życia sielskiego. Ambicya, nadzieje powodzenia, ciągnęły wprawdzie autora »Zabawek wierszem i prozą« do Warszawy, do Czartoryskiego i króla, ale nie zżył się z dworem i miastem, i uczucia, wyrażone w elegii »Powrót z Warszawy na wieś« są znowu nie robione, lecz szczere, a chociaż i potym

jeszcze do Warszawy wracał, oddał się rychło całkowicie życiu i pracy na wsi i poezyę zarzucił.

Kochał przyrodę, umiał na nią i patrzyć, czego najlepszy dowód złożył w realistycznym opisie »Podróży z Dubiecka na Skałę«, w towarzystwie panienek i ich madame i jak się im tam powodziło. Zaprzęgał się i do dramatu, ale ani »Judytą«, Krzywoustego macochą, tragicznych, ani »Czynszem« komicznych czy melodramatycznych wrażeń większych nie wywołał. Sam wybór tematów jednak, nie tylko w tej komedyi (ze stosunków wiejskich), ale i w wierszach niektórych, odbiegał całkowicie od dawnej mody; rozrzewniał widokiem nędzy, cierpienia i miłości, był przejęty ciepłą sympatyą dla maluczkich i biednych; wiał z nich duch nowy, tkliwy, chrześcijański, przeciwny panującej dotąd bezwzględności pogańskiej.

Pisywał i prozą, na schyłku życia pamiętniki, ciekawe i dla charakterystyki czasów, życia domowego i szkoły; dyalogi Platonowe i t. p.; wcześniej, za Stanisława Augusta, i pisma polityczne przedstawiał i estetyczne. Dla spółczesnych był tylko autorem Justyny i Laury, a może jeszcze tłumaczem Delilla (Ogrodów); o samym poecie-człowieku zapomniano zupełnie.

Parze Krasicki-Naruszewicz odpowiada niemal para Karpiński-Kniaźnin, nietylko różnicą w temperamencie i stylu, ale nawet i w życiu. Jak Naruszewicz, i **Dionizy Kniaźnin** jest czulszy na wymagania ojczyzny; nuta patryotyczna przebrzmiewała u niego czyściej i donioślej, czy to w pochwale wąsów (odę Do Wąsów każdy zbiór wierszów z czasów czteroletniego sejmu powtarzał, bardzo popularną), czy w Matce Spartance, wyprawiającej syna do bojów za ojczyznę, czy w Matce Obywatelce nakoniec. Melodyjność wiersza odczuwał głębiej, niż Karpiński, zato w wysłowieniu był słabszy. Ciekawy on i jako typ poety nadwornego, obok Trembeckiego jeden z ostatnich; sekretarz starego księcia, nauczyciel młodego księstwa i poeta puławski uświetniał wypadki domowe, czy w pierwszej montgolfierze kota puszczano (rozwlekły strasznie »Balon«), czy zamęście Maryi Czartoryskiej sławić wypadało, czy też dla sceny domowej albo Metastazya przerabiać albo utworami własnymi (»Cyganie«, z wplataniem motywów rodzimych, z życia wiejskiego, i inne) repertuar się zasilało. Co o »poecie ubogim« powiedział: »kto serce Muzom poświęca, niechaj zapomni

o świecie«, wykonał sam; szczęścia dla siebie nie pragnął, żył Muzom, pogodny i czysty, a z upadkiem ojczyzny zesmętniał na śmierć; nadzwyczajna wrażliwość wykolejała już wcześniej umysł z równowagi. Wiersze jego to ciekawy pomnik poetycki Puław, ducha i ludzi ich, aż do ulubionej suczki pałacowej.

Najbardziej charakterystyczne to owe próby dramatyczne, nacechowane duchem puławskim, obywatelskim, patryotycznym i narodowym. Księżna generałowa podolska nie pisała dramatów ani komedyi, jak księżna Radziwiłowa lub Katarzyna II, lecz cały teatr Kniaźnina wyszedł z jej natchnienia: ona utworzyła treść Cyganów; ona wybrała piosnki Szymanowskiego i Kniaźnina, które jego »Troiste Wesele« oplotło. Wysławieni tu i Mazur i Kozak, i na długo przed »szkołą ukraińską«, liryka ukraińska z językiem własnym na teatr puławski się dostała. W Matce Spartance, w Teonie i synie Nikanorze, uznawano powszechnie księżnę i syna Adama, i szerzyła się sława Puław po kraju i życzono takich Puław więcej.

Zamiarom księżny odpowiadał zupełnie Kniaźnin, rzewny i czuły, jak to choćby w Żalach Orfeusza wykazał, bez żółci i namiętności, jakim się nawet w swych bajkach wydaje, mimo prób dramatycznych i opisowych liryk głównie; między autorkami ówczesnymi zbliżona do niego najbardziej Benisławska Konstancya, pogodnym nastrojem głównie religijnej swej Muzy, wierszująca hymny, psalmy i modlitwy, nowa niby Drużbacka, chociaż talentem mniejsza, jednostronna (Pieśni sobie śpiewane, Wilno, 1776). Od tej liryki prostej, tkliwej, religijnej odbijała sprośna XVIII wieku, cyniczna w rodzie Vadé'go, Bouffleursa i innych Francuzów, bez ich gracyi i swobody, rubaszna, rzadko dowcipna — próbowali w niej sił swoich i duchowni, Minasowicz i inni, górowali Węgierski, Trembecki.

Od tej liryki, dworskiej czy sielskiej, zawsze pudrowanej i różowanej, odbijała żywo liryka patryotyczna i religijna, niepisana, nieksiążkowa, co odżyła już dawniej, szczególniej w czasie największego napięcia obu strun, za Barszczan i w ich obozie, ani kunsztowna ani indywidualna; autorów jej nawet nie znamy; wyśpiewały ją niby same tłumy szlacheckie. Narodowy kult Maryi święcił tu ostatnie tryumfy; pod Jej hasłem »stawano na placu z Boga ordynansu«; liryka to obozowa patosu religijnego pod

formami i zwrotami żołnierskimi, wzruszająca naiwną, głęboką wiarą, w czasach afektacyi tchnąca niekłamanym uczuciem; szorstka w słowie, a kulawa w rymie, pełna animuszu i nabożeństwa, poprzedniczka liryki legionowej. Tu należała i wizya-proroctwo Karmelity, księdza Marka, dośpiew niby owych »rekrutów« i »parolów« boskich, naiwny a ufny.

Wyżej wzniosła się, choć się tak szeroko nie rozniosła, liryka zesłańców, Załuskiego i Rzewuskich. W ciężkiej próbie zmężniał Załuski, otrząsł się z pedanteryi, ducha nie stracił i polecał się ufnie a gorąco łasce Pańskiej. Starosta doliński podziwiał hart sędziwego towarzysza, niezłamanego niewygodami podróży i dolą coraz twardszą, wilgocią i smrodem kurnej izby, gdzie wszystko spleśniało prócz lutni jego; porównywał los ich coraz bardziej przykry z coraz słabszym biegiem rodzinnego Zbrucza i piękny wiersz popsuł tylko zakończeniem w stylu saskim: »Ja się zaś najmniej w tym długu (chwalenia Ciebie wedle zasług) uiszczę, Który chcąc śpiewać, nie śpiewam, lecz piszczę«. Tę poezyę patryotyczną kończy godnie jenerał Jasiński, co śmiercią bohaterską 1794 r. swe wiersze polityczne przypieczętował, ale te wiersze (jak i inne jego, liryczne i t. d.), krążyły niemal wyłącznie po rękopisach.

Poezyę Stanisławowską odznaczało dalej wielkie, stanowcze, pierwsze ożywienie dramatu; i teatr polski musiał stanąć w Warszawie, skoro wszystkie cywilizowane narody dawno go miały; już r. 1765 otworzył król pierwszą scenę polską »Natrętami« Bielawskiego. Smutny wlókł żywot ten pierwszy teatr, nieraz zaniemiał na całe lata, to znowu go wskrzeszano; króla bawiła scena francuska i balet włoski, a troskę o teatr polski zwalał na innych. Repertuar opędzano tłumaczeniami i nadzwyczaj wówczas popłatnymi przeróbkami na ład domowy.

Wielkie zasługi położył ów Jezuita-Białorusin, w Warszawie znakomicie się zaklimatyzowawszy, **Franciszek Bohomolec,** wkońcu »konsyliarz króla IMci«: nie krępował się teraz regułami dramatu szkolnego, wykluczającego kobiety i miłość i swobodniej Francuzów plądrował. Humor jego niewybredny, charakterystyka ogólnikowa, ale »temu polskiemu Molierowi winne teatrum polskie poprawę swoję, on albowiem pierwszy w narodzie swym pisał podług reguł komedye«, twierdził o nim ks. A. Czartoryski w »Historyi

Nauk Wyzwolonych« (r. 1766). »Zawsze wesół, zawsze rumiany« syn Anakreonta, jak się sam nazywał, lubił ochocze towarzystwo, spijał winko z warszawskimi mieszczanami i kardaszył (bratał) się z nimi nie źle, ale przytem pracował na tylu polach literackich, że wyrył głęboki ślad w dziejach rozbudzającej się umysłowości: jako historyk czy wydawca Bielskiego, Stryjkowskiego i t. d.; jako publicysta; jako komedyopisarz, uzupełniał satyryczne występy Naruszewicza, Piotrowskiego i własnego Monitora; wystawił nawet jednoaktówkę, w której się ofiary satyry Monitorowej: Modnicka, Umizgalska, Wymyślnicka, Pieniacki, Łakomski, Hajdamakiewicz i t. d. zmawiali, aby redaktora obić. O najsłynniejszą z tych komedyi, »Małżeństwo z kalendarza«, na seryo się na autora gniewano, jakoby ubliżył narodowi (szlacheckiemu), wystawiając jego przesądy. Staruszkiewicz nie chce wydać córki za Ernesta cudzoziemca, szlachcica, bo »jakie ich szlachectwo, chłopi wszystko« (nie mając sejmików), chociaż mądra ciotka, Bywalska, pożytek z obcych dla podniesienia kraju wykazuje; Staruszkiewicz swata pokojówkę za masztalerza: czy nie wiesz że on szlachcic? — A mnie kat po jego szlachectwie! — Ale dziwna jesteś, albo niewiesz, że każdy szlachcic może być panem, senatorem i... I masztalerzem! — Więc u ciebie lepszy ten chłop (sługa Ernesta), niż szlachcic? — Przepraszam, nie chłop — Jakże, to on szlachcic? — Ani chłop ani szlachcic, może być co średniego. — Cóż to takiego średniego? — Mieszczanie, lud uczciwy, którzy też nie są wprawdzie szlachta, ale też nie są chłopi. — Ha, ha! nie są chłopi i t. d. Tak to nowe pojęcia o *tiers état* z »teatrum« szerzono; spółczesna estetyka — francuska naturalnie, innej w Polsce nie znano — za radą i przykładem Diderota i Merciera, narzucała właśnie komedyi cele dydaktyczne, poprawę obyczajów, smaganie przywar i występków — niby szkołę moralności z niej czyniła; tragedyi rezerwowała zato wychwalanie cnót narodowych, heroicznych — ale tragedyi w Polsce nie uprawiano wcale, a znaczenie komedyi obniżało się nieco — już dla braku wybitniejszych talentów.

Bohomolca komedye zbiorowe kilkakrotnie przedrukowano; za nim wysypał się rój komedyopisarzów, oryginalnych i tłumaczących, wierszem i prozą, z francuskiego i z niemieckiego (komedye Gellerta, »Żona chorująca« i in.) czerpiących. Znajdzie się między nimi i kasztelan łęczycki, Tadeusz Lipski, dyplomata, co to

w roku 1791 koniecznie Jezuitów chciał restaurować, autor dwu komedyi prozą, »Poczciwa Żona« i »Mąż Poczciwy« (cnota jednej, delikatność drugiego, sprowadzają na drogę obowiązku błądzących — akcyi głównej towarzyszy poboczna; niebezpieczeństwa warszawskich flirtów, nawyczki cudzoziemczyzny już tu, około roku 1766, wystawione); dalej są niezdary, jak Bielawski, Zawistowski, Wisłouch; naśladowce czy tłumacze Destusza, Renjara, Moliera i Woltera, jak Mycielski Stanisław (Junak), Trembecki (Syn Marnotawny, Sierota chiński) i inni, zasilający 58 tomików Teatru polskiego (podobne »biblioteki« pojawiały się wtedy we wszystkich językach, np. i w rosyjskim); teatromani, jak Adam Czartoryski (tłumacz »Gracza« Regnarda, i »Dumnego« Destouche'a, »z niektórymi do krajowych obyczajów odmianami«, wydawca kalendarza teatrowego i t. d.); dygnitarze, na teatrum domowym (częstym już za Sasów) hołdujący Muzom dramatycznym, a raczej Talii, jak hetman Ogiński w Słonimie lub książę biskup w Heilsbergu lub Mniszchowie w Dukli. Swój repertuar tworzył sobie Krasicki sam, lecz nie cenił go i do zbiorowego wydania swych dzieł nie włączył, autorstwo spychając na kamerdynera swego, Mowińskiego; i książę Czartoryski kamerdynera Belgrama, jako autora, wysuwał. Jego »Panna na wydaniu«, »Pysznoskąpski«, »Kawa«, »Koszyk« bardzo się podobały; że rękę bogatej Pięknickiej nie Fircyk, lecz żołnierz otrzyma, rozumiało się u dyrektora korpusu kadetów samo przez się. Książę generał ziem podolskich był inaczej, niż druh jego, Krasicki, czynny na najrozmaitszych polach, od służby krajowej nie wymawiał się, choć krępowały go względy rozmaite; pod imieniem Doświadczyńskiego wydawał nawet listy o edukacyi synów i córek; oceniał trafnie literaturę, ale nad wszystko dramat lubił i zajmował się jego teoryą i historyą w starożytności, Szekspirem i t. d. i coraz do niej wracał, w przedmowach i innych pismach. Największe tryumfy sceniczne odniósł jednak inny autor.

Sielankami zaczął, a satyrami zakończył **Franciszek Zabłocki** czynność literacką; lat jej kilka (1779 — 1784) poświęcił jednak dramatowi, wzbogacając teatr polski o kilkadziesiąt sztuk, głównie tłumaczonych i naśladowanych; on pierwszy oparł repertuar polski na trwałej podstawie. Pośpieszna praca nie dozwalała wykończenia starannego; sypiąc coraz nowe sztuki, jak z rękawa, wyjątkowo

tylko pogłębiał autor pomysł i wykonanie; farsy, jak np. »Balik gospodarski« czy »Żółta szlafmyca« (mająca dar odkrywania prawdy pod kłamstwami komplementów i życzeń) śmieszyły publiczność; samo oszukiwanie ojców, opiekunów czy mężów zazdrośnych a starych, przedrwiwanie lekarzów, adwokatów czy prowincyałów, bezczelność pokojówek i kamerdynerów, kierujących stale intrygą, opały amantów i amantek niewypowiedzianie bawiły; wedle podówczas ogólnie popłacającej zasady, zamiast prostego tłumaczenia, przystosowywano obce sztuki do normy życia polskiego całkiem zewnętrznie, prostą zamianą nazw obcych na polskie, np. w »Wesołych Kumoszkach« Szekspira (t. j. w przeróbce ich francuskiej *Collot d'Herbois*), zamienił Zabłocki Falstaffa na Chwaliburcę a Windsor na pogranicze śląskie z panią Oberżer, Zawieruchą i t. d.

W ten gust dużych dzieci trafiał Zabłocki, tłumaczący całkiem przypadkowo, na chybi trafi (a za nim i inni tłumacze z równą niewybrednością postępowali), i starych i nowych, Moliera i Beaumarchais, i wielkich i małych (zapomnianych dziś Capistranów, Palapratów, Romagnesich, Favartów); dowcipu, pomysłowości, zaprzeczyć mu nie podobna. Z olbrzymiego repertuaru jego wyróżnia się niewiele sztuk, między nimi górują »Sarmatyzm« i »Fircyk w zalotach«. »Sarmatyzm« samą nazwą zdradzał, o co chodziło, — o wyśmianie głuchej prowincyi z jej narowami saskimi, z jej pieniactwem i pijaństwem; z pieczeniarzami, ciągnącymi pożytek z jednego i drugiego; z ambicyą rodową, święcącą tryumfy, jeśli się uda rywala »podsiąść« (siąść wyżej od niego); z głupotą bezdenną: dwie rodziny sąsiedzkie, Góronosów i Żegot, ujadają się w kłótniach i zatargach nieustannych, póki tych zagonowych Montekich i Kapuletów czuła para nie pogodzi; junak Burzywój, używający w trunkowej aurze, w wyziewach alkoholicznych, jakimi dworek Góronosa, a głównie Ryksa, małżonka jego, przesiąkła; lokaj Walenty, nie mogący oprzytomnieć, że był raz w Warszawie, tworzyli element komiczny, słabo zrównoważeni przez typy dodatnie młodszej generacyi. W »Fircyku« wystawił Zabłocki za Romagnesim Warszawianina na prowincyi, pewnego zwycięstw, tryumfującego przedwcześnie, natykającego się niespodziewanie na przeszkody, lecz szczęście, co w Warszawie szulera opuściło, sprzyja na prowincyi Lowelasowi i z toni go ratuje; i autora samego zwyciężył Fircyk, zamiast pogardy, jaką go inni piętnowali — z fircy-

kami walczył najzawzięciej Naruszewicz — dank w tym turnieju o rękę i serce ciepłej wdówki odnoszący: gdy u innych komedyopisarzów fircyk zawsze pobity uchodził, Zabłocki dla filuterności i bonhomii rozgrzeszył go i wawrzynem uwieńczył. W innych sztukach, »Zabobonniku« (esprit fort, nawet i bez choroby, w upiory wierzy, co wyzyskują inni), »Doktorze Lubelskim« (od Moliera wyśmiewanie Eskulapów i ich łaciny do dobrego tonu na scenie należało) i t. d. zacierały się rysy polskie, i sztuka prócz języka czy jakiegoś epizodu polską nie była.

Od Bohomolca, a nawet Czartoryskiego i Krasickiego odsadził się Zabłocki znacznie: dowcip ich słowny i zacne tendencye braku sceniczności zastąpić nie mogły; przymiotem sceniczności odznaczały się właśnie sztuki Zabłockiego, chociaż autora krępowały »jedności« fatalne, chociaż z prawdopodobieństwem i dostatecznym umotywowaniem każdego kroku się nie liczył, chociaż, wierny wzorowi francuskiemu, retoryką narabiał i w przydługich tyradach rezonerskich albo czułostkowych się lubował, spłacając hołd i postępowi i sentymentalności modnej. Świetny był język, od chropowatości poprzedników wolny, płynny, wdzięczny, a mimo to siły nie pozbawiony; obfita żyłka komiczna, chociaż w środkach wywoływania efektów wcale nie przebierała. Lecz zbyt głębokiego wrażenia sztuki te, odmieniające się ciągle, nie wywierały; publiczność witała je bez zapału i byle jaki melodramat, choćby taka »Nędza Uszczęśliwiona«, przejmował ją głębiej.

Pierwszy wstrząsnął publicznością polską ze sceny **Julian Ursyn Niemcewicz,** którego nazwisko odtąd przez lat czterdzieści coraz się powtarzać będzie. Komedya dotychczasowa nie grzeszyła aktualnością, choć wprowadzała typy spółczesne; i »Sarmatyzm« nawet i »Fircyka«, można było napisać kiedykolwiek, i odżyli oni rzeczywiście, acz wyszlachetnieni, w pół wieku później, w »Zemście« i »Ślubach Panieńskich«. Ale »Powrót Posła«, komedya w trzech aktach, napisana przez posła, słynnego z wymowy i dowcipu, »Gazetą narodową i obcą« (pierwszą polityczną) wpływającego na publiczność, w chwili ogłoszenia konstytucyi trzeciego maja wystawiona, wyszydzająca tę Targowicę umysłową, która niebawem w rzeczywistości wystąpić i wszystko zniweczyć miała, broniąca z niekłamanym żarem postępu i reform, apelująca do rozumu, su-

mienia i godności narodowej, zelektryzowała i rozentuzyazmowała pierwsza publiczność polską.

Z sukcesem tej komedyi nie mógł się żaden późniejszy mierzyć, chociaż sukces należał się raczej programowi i tendencyi, niż sztuce. I tu wystawiono i »Sarmatyzm«, i »Fircyka«; sarmatą, choć wódką nie przesiąkł, był starosta Gadulski, szkodliwszy i niebezpieczniejszy, niż Góronos, płaczący rzewnie nad naruszeniem porządków saskich, gdy »tknąć się śmieli okrutnicy *Liberum Veto*, tej to wolności źrenicy«, elekcyi, przy której się świetnie zarabiało, żyło i biło, aż obce wojsko wkroczyło i wszystko pogodziło, sejmu sześciuniedzielnego, który nie dochodził, więc i podatków podwyższać nie mógł. Fircykiem był Szarmancki, co zwiedził obce kraje, a z nich nie manierę rządu i obyczajów, lecz sprzączki i guziki poprzywoził i domowy Don Żuan niezliczonymi zwycięstwami nad słabą płcią wszelkich wieków i stanów się popisywał, głupszy i podlejszy od pierwowzoru.

Nie oni jednak rej wodzili, nie im należał się sukces, widoki na przyszłość lepszą; podkomorzy krytykował dosadnie, w tonie satyry Krasickiego, a raczej Naruszewicza, wychowanie młodzieży francuskim zwyczajem, płeć piękną, anarchię dawną; ujmował się za sejmem, niesłusznie czernionym, chociaż sam przyznawał, że »nie zrobił tyle, co mógł, ale zważając, jakie znajdował trudności, za to, co zrobił, wiele winniśmy wdzięczności« i w optymizmie zrozumiałym wołał:

Dziś się sława narodu i powaga wraca,
Obywatel z radością podatek opłaca;
Mamy dziś sprzymierzeńca, mieliśmy wprzód pana;
Skarby złotem, zbrojownie śpiżem napełnione!
Będą jeszcze dla Polski dni świetne wrócone,
(Byleby naród) uwodzić się namowom przewrotnym nie dawał
I w zaczętej już pracy nigdy nie ustawał!

Mniej nowym było wyszydzenie sfrancuziałej Polki z jej plętami i atandrysowaniem się, starościny, żądającej, aby naprzeciw kabanki w boskiecie karczmę z młynem i Żydem brzydkim wyrzucono, jej przeczulonej sentymentalności; nowszymi zato wkładanie nawet w usta jej Agatki słów obrzydzenia przeciw dręczeniu ludzi; ona stanowczo nie chce mieć męża, co z urzędu daje ludziom

plagi, ani chce widzieć nad łóżkiem kańczuga zawieszonego. Humanitarne stanowisko wobec kwestyi włościańskiej zaznaczył Niemcewicz jeszcze dobitniej w dramacie, wystawionym w następnym roku (1792), sławiącym króla chłopków, w rocznicę konstytucyi, w pracy, skleconej w kilka dni, aluzyami budzącej nieskończone oklaski, nawet króla do szarży heroicznej podniecającej (»Kazimierz W.«).

Obok Zabłockiego, kilka lat najpłodniejszej pracy teatrowi poświęcającego, i Niemcewicza, aktualności tematów, nie sztuce powodzenie zawdzięczającego, stanął prawdziwy teatroman, **Wojciech Bogusławski,** jako aktor, reżyser i dramaturg, poświęcający się sztuce polskiej całkowicie, nie jak tamci chwilowo czy przygodnie. Pisał, tłumaczył i przerabiał wszystko możliwe; repertuar podtrzymywał nie tylko francuszczyzną, ale bez skrupułów i Lessinga i Szekspira (poprawionego naturalnie, ogładzonego z prostactwa i dzikości) i Sheridana wystawiał; z własnych sztuk najwdzięczniejszą i porywającą zawsze publiczność był »Cud czyli Krakowiacy i Górale«, dla tematu swojskiego, śpiewek i tańców ludowych, dla zachowania cech właściwych (nawet w języku z jego prowincyalizmami); żadna inna sztuka ówczesna takiej iluzyi ludowości nie sprawiała. Niewybredny komizm »Spazmów modnych« miał powodzenie, póki typ starościn Gadulskich zupełnie nie zwietrzał; innym sztukom chyba okoliczności, np. aluzye do czasów teraźniejszych, nawet w sztukach »indyańskich«, nadawały chwilowego znaczenia.

Jak komedye, tak stworzyła dopiero literatura Stanisławowska i romans polski. Byłyż dotąd tylko nikłe jego zadatki, po drukach powieści ludowe, po rękopisach nieliczne romansidła, wierszem i prozą. Teraz wyszło z górą dwieście romansów, wszystkie naturalnie prozą, niemal wszystkie niestety (jak i komedye), tłumaczone. Spółczesna literatura rosyjska trzy razy tyle romansów liczy, mimo to nie wydała ani »Doświadczyńskiego« ani »Podstolego«. Tłumaczono wyłącznie z francuskiego, nawet Hiszpanów (Cerwantesa romans pasterski, Galateę i Don Kiszota), i Anglików (głównie Fichdinga), więc prawdziwego Robinsona nie poznano, tylko lichą bajkę francuską, podobnie i Guliwera Swifta. Tłumacze zaciągali się do tego cechu ze wszystkich sfer, wieku, płci; szczególnie wiele kobiet między nimi, od »zacnej weteranki« (jednej z »miłej

trójcy świętych pań« warszawskich, Barbary Sanguszkowej), od kasztelanowej bełskiej, Kuropatnickiej, począwszy a skończywszy na pani Narbutowej, pannie Czermińskiej i na cudzoziemce, pani Zuzanny de Serponti, co »Zwierzenie i poufanie ładnej kobietki« 1779 r. z *Les confidences d'une jolie femme* panny d'Albert (Paryż 1775) wytłumaczyła. Między mężczyznami wymienić wypada młodego Niemcewicza, kruszącego kopie za romansami rycerskimi, przelewającego własne przesadne ku nim uczucia w czytelników: inni tłumacze główny nacisk kładli na stronę pożyteczną, dydaktyczną, moralną tych fabuł, które zresztą tak mało cenili, tak mało do właściwej literatury zaliczali, że, szczególniej poważniejsi, nawet imion swych na tych tłumaczeniach nie kładli, jako na robocie zbyt błahej, niegodnej ich stanowiska. Pierwsze więc występy literackie Niemcewicza, to przekład Bandota »Historya sekretna Jana de Burbon« (1779), i pani Caûmont »Historya królowej Nawarry« (1781); w przedmowie prawił Niemcewicz nawet o towarzystwie, zamierzającym tłumaczyć francuskie romanse »najlepsze, najzabawniejsze, słowem te, w których najdokładniej słodycz z użytkiem spojone«. Tłumaczenie mromansów natomiast zakończył Zabłocki czynność literacką: wydał r. 1794 »Tom Jonesa«, z przedmową ks. A. Czartoryskiego, polecającą autora i dzieło; potym przyoblókł w Rzymie sukienkę duchowną i proboszczem końskowolskiem (u Czartoryskich) zawód zakończył. Między tłumaczami należałoby dalej wymienić profesora krakowskiego Przybylskiego; lekarza Weichardta (wydawcę »Organów«); Węgierskiego; Czackiego; Wolickiego; Makulskiego; porucznika wojsk rosyjskich Bykowskiego; kasztelana Podoskiego (tłumacza Don Kiszota), Szymanowskiego i i.; niejedno dzieło znachodziło kilku tłumaczów, np. »Galatea« Cervantesa - Floriana księżnę Wirtemberską i drugiego tłumacza i t. d. Wybór przekładów nie zawsze bywał szczęśliwy; sięgano do rzeczy przestarzałych, w samej Francyi dawno zapomnianych (Minasowicz choć rękopiśmienny romans o Bonie wznawiał), albo do słabych naśladowców, pomijając mistrzów: miejsca Pawła i Wirginii, Nowej Heloizy, Cierpień Werterowych, Sterna zajęły utwory z pod ciemnej gwiazdy; pomijano dalej romanse historyczne, przeładowane uczonością antykwaryczną, z dziejów egipskich, greckich i innych (co właśnie Rosyanie tłumaczyli; u nas nie było nawet słynnej »Banizy azyatyckiej« itp.); wybierano

za to romanse czułe i moralne albo i niemoralne (»Dyabła kulawego« itp.). Niezasłużonej popularności dostąpił Marmontel, szczególniej jego »Belizaryusz«, nie tak dla historyi, jak dla tyrad wolnomyślnych raczej, co na niego gromy Sorbony a łaski Katarzyny W. (jednej z tłumaczek) i St. Augusta sprowadziły. I język przekładów bywa bardzo nie równomierny; gładko tłumaczą Węgierski (Marmontela), Niemcewicz, Zabłocki, inni nie umieją albo nie zadają sobie trudu.

Z tej powodzi obcych romansów wyróżnia się nie wiele polskich, Ignacego Mickiewicza »Awantura Fortunata nieszczęśliwego«, gdzie tylko nazwiska polskie a wykonanie tak niedołężne, że dziwi nas czterokrotne wydanie; »Polak w Paryżu« (r. 1787), o przygodach panicza, opadniętego przez trutnie paryskie, szulerów i aktorki, ciekawy i dla sądów o sztuce, mianowicie dramatycznej, z wielkimi pochwałami dla Szekspira. Inni naśladowali Krasickiego: ks. Krajewski najwytrwalej to czynił, pisząc za »Doświadczyńskim«, »Wojciecha Zdarzyńskiego« (r. 1785), obszerniej tryb szkolny wystawiając i utopię również z Sielanami (niby Wieśniakami!) kreśląc; za »Podstolim« napisał »Panią Podczaszynę« (1786), wzór wszelkich cnót domowych i umysłowych matrony polskiej, co nawet męża pijaństwa oduczyła. Bardziej niewolniczo poczynał sobie w »Podolance wychowanej w stanie natury« (1784), ograbiając bezimiennego Francuza z wymysłu i myśli i zbyt surowo czy lekceważąco literaturę polską oceniając: oba szczegóły wytknięto mu w spółczesnej polemice; sięgnął nawet i po wyższe, Telemakowe, wawrzyny i napisał również poema prozą o »Leszku Białym« i jego mądrym Mentorze-Goworku, rozprawiającym w dyskursach wysoko politycznych, jak u Fenelona, tylko o innych materyach, z czasu przed Sejmem wielkim. Tej pseudohistorycznej formy, tylko z większym powodzeniem, użył publicysta Kołłątajowski, ks. Jezierski w tym samym »Goworku« (powieści wyśnionej, 1789 roku), bijącym głównie, namiętnie na Branickiego (jak i »paszkwilant« spółczesny w wierszach) jako przedstawiciela klasy wielmożów, co wszelkie nieszczęście na ojczyznę sprowadzili; w »Rzepisze, matce królów« (1790 r.) sielankę staropolską wystawił, łagodnych, niewinnych dzieci przyrody. Liczbę tych arcyniezabawnych utworów dopełnia ks. Kossakowski (osławiony biskup; pisarz na wdzięczniejsze wspomnienie zasłużył). Jeszcze przed Krasickim skreślił,

acz później wydał, »Ks. Plebana« (1786), ideał księdza wystawiając, potym »Obywatela«, gdzie ojciec i syn, co z zagranicy z gotową reformą powrócił, opłakany stan kraju (sejmikowania i t. d.) w rozmowach oceniają i poprawy wprowadzają: wątku powieściowego niema w obu dziełach.

Cały ten romans polski — a raczej niepolski, zajmuje właściwie tylko miejsce początkowego czytania, że się na nim ludzie, szczególniej prowincya, znowu powoli do książki przyzwyczajali, od której za czasów saskich zupełnie odwykli (por. wizerunek przeciętnego »czytelnika« dawnej daty w znakomitym obrazku Naruszewiczowym). Jak »się gust do czytania po wsiach rozmnożył i komu za to ledwie nie najbardziej dziękować należy«, stwierdzał Król w liście do Krasickiego (za »Podstolego«) i już »stawał się pokup tych książek dosyć zyskowy, tak żebym mógł życie zachować, chociaż nędzne, pisaniem«, zauważył Kossakowski w pamiętniku własnym.

Nad prozą powieściową, bynajmniej nie zabawną, raczej pouczającą, moralizującą i sentymentalną przedewszystkim, góruje proza polityczna, pełniąca, jak i poezya Stanisławowska, służbę obywatelską, wypleniająca przesądy z umysłów, dzikość z serc, barbarzyństwo z mowy. Wprawdzie już Leszczyński i Konarski odwojowali językowi polskiemu prawo w materyach *status* i odtąd zanikła łacina na zawsze; projekty, pisma, polemika Zamoyskiego, Staszyca i Kołłątaja pisały i toczyły się wyłącznie w narodowym języku.

To zamilknięcie łaciny — niestety, tak spóźnione, było również cechą charakterystyczną literatury Stanisławowskiej, po raz pierwszy polskiej. Dotąd pisało się poważnie w języku seryo, t. j. łacińskim, jakby polski tylko baraszkowaniu służył; byłyż wyjątki, ale łacina jeszcze za Sasów stanowczo przeważała; temu rozszczepieniu literatury, w narodowym i obcym języku, położyli kres dopiero pisarze Stanisławowscy. Odtąd posługuje się literatura polska wyłącznie językiem własnym; język obcy rugują nawet z sądów i szkoły; proces, na Zachodzie dokonany wcześniej, dopełnia się nareszcie i w Polsce, co wraz z Węgrami, niezdobytą twierdzą łaciny najdłużej przetrwała.

Nie tylko szata zewnętrzna, zmienił się i duch nowej prozy. Wprawdzie ten, co *Liberum Veto* i w teoryi podważył, Konarski,

po wydaniu »Sposobu«, zamilkł, jako pisarz polityczny, wrócił do założenia zakonu swego, raz do szkół, wydając i łacińskie swoje liryki, szlachetne tendencyą i myślą, nie formą czy polotem, i łaciński podręcznik, o sztuce dobrego myślenia, potrzebnej dla sztuki dobrego mówienia; powtóre do obrony prawowierności przeciw deistom w piśmie polemicznym »O religii poczciwych ludzi«. »Sposób« chwalono w wierszach i prozą; znachodzili się wprawdzie i tacy, którzy się jeszcze silili na dogadzanie zastarzałemu wrzodowi (Sienicki); większość narodu z obcymi gwarantami obroniła nawet *Liberum Veto;* nic więc Konarskiego do czynności politycznej pociągać nie mogło.

I przez lat niemal dwadzieścia milczała ta literatura, niby cisza przed burzą, nim się pierwsze ptaki zerwą; milczenie przerwało chyba wymowne *Suum cuique* młodego Czartoryskiego, gdzie na każdego i wszystkich odpowiedzialność za fatalne błędy zwalał, a z tej niby spowiedzi i skruchy powszechnej myśl pogodzenia się i ujęcia silnego odsłaniał. Broszurę przypisywano i Konarskiemu: większej pochwały nie można jej było oddać; w istocie przyczyniał się do niej Naruszewicz.

Gdy literatura polityczna w kraju milczała, odzywały się jej głosy za granicą. Wezwał Wielhorski, zastępca Barszczan w Paryżu, Francuzów, mędrców uprzywilejowanych, filozofa (Rousseau) i polityka (ks. Mably), aby uwagi swoje o Polsce, jej formie rządów i naprawie, spisali. Z zadania wywiązali się Francuzi niezgorzej, chociaż filozof - idealista za politykiem - relistą, obeznanym do tego o wiele lepiej (przez podróż polską), ze stanem istotnym rzeczy, daleko w tyle pozostał. W jednym zgadzali się obaj; nie wierzyli już w niezawisłość polityczną państwa; republikanowi zresztą imponowały i elekcya i liberum veto i konfederacye; w istocie doradzał i on toż, co i monarchista: oświecajcie się, to was podzielą, ale nie strawią.

I pisma Wielhorskiego i Wybickiego, jak i ekonomiczne traktaty Popławskiego i Stroynowskiego powszechnej uwagi nie wzbudziły, chociaż z najrozmaitszych stron kwestye polityczne i ekonomiczne ujmowały; Wielhorski, republikanin, nie . uznawał, prócz szlacheckiego, innych stanów; Wybicki przygotowywał, na próżno, opinię publiczną dla zasad Zamoyskiego i jego księgi praw; jego »Listy patryotyczne« traktowały rzecz bardzo spokojnie i rozważnie;

obaj profesorowie, krakowski i wileński, wykładali ekonomię polityczną całkiem niemal abstrakcyjnie, nie badając specyalnie stosunków polskich; wszyscy podnosili potrzebę ulżenia »oppressyi« włościan, czy w imię sprawiedliwości, czy, jak Wybicki, w imię potrzeb państwowych, którego dobrobyt i zaludnienie — spojone z sobą nierozerwalnie — bez zniesienia poddaństwa nigdy się nie wzmogą; poza ogólniki jednak nie przechodzili. Dopiero w drugiej połowie lat osiemdziesiątych ożywiła się ta literatura, a wylała z brzegów podczas sejmu wielkiego.

Sygnał do jej ożywienia dało »nieco żywsze« wystąpienie ks. **Stanisława Staszica,** niby okrzyk zgrozy, budzący nad przepaścią zawieszony naród. Gdy na Listy Wybickiego dopiero po czteru latach zdobyto się na odpowiedź, i to raczej tylko z powodu projektu praw Zamoyskiego, jednomyślnie odrzuconego, pismo Staszica dwadzieścia dwa inne wywołało; wszystkie wychodziły, teraz i później, bezimiennie i nie łatwo autorów odszukać. Staszic miał choć słuszne przyczyny, by występował bezimiennie: mieszczanin, zmuszony dlatego wstąpić do stanu duchownego, choć żadnego powołania nie czuł, wykształcony gruntownie, i za granicą, w Paryżu, szczególniej w naukach przyrodniczych, przejęty uwielbieniem dla Buffona, a przesiąknięty Russem, należał do grona, skupiającego się około Andrzeja Zamoyskiego, jako wychowawca jego dzieci, i od »Pochwały« Jana Zamoyskiego przeszedł do swych »Uwag« (1785), mając na oku różnicę między stanem Polski dawnym, kwitnącym, a dzisiejszym, upadłym.

Dziełko jego odskakiwało od normy dotychczasowej, chociaż układem zewnętrznym nieco »Głos Wolny« przypominało; było wymowną, gorącą, namiętną odezwą do czci i sumienia narodowego, nie zbierało trwożliwie i oględnie argumentów, aby do rozsądku trafiało; targało za serca, wystawiając hańbę upadku; stawiało radykalne żądania, których konstytucya trzeciego maja nie spełniła, zadowalająca się samym minimum, »cząstkowa, połatana«, a mimo to reformy od zamachu Targowiczan nie ustrzegająca. Ustanowienie silnego rządu i tronu dziedzicznego, rozstrzyganie większością, uwolnienie włościan — kim innym zapełnią się kadry większego, niezbędnego wojska? — oto czego żądał, a żądania popierał groźbą nieuniknionego, rychłego upadku.

Pismo było bardzo niejednolite, kończyło się historycznym

obrazem działalności Jana Zamoyskiego, a zaczynało dyskusyą wszelkich materyi, edukacyi i innych stosunków wewnętrznych; przechodziło do zewnętrznych — omawiając jedne obszernie i gruntownie, drugie zbywając króciutko; między obie części wstawiony obraz Polski. Bo uczucie namiętne upokorzenia i obawy o przyszłość rozsadzało pierś autora: on podpisuje przedmowę z Heilsberga, bo nowalie warmińskie popłacały; udaje obywatela zakordonowego, tęskniącego, upominającego, a patrzącego zdala, nie wmieszanego w nic, bo mieszczanin rzeczywiście do niczego nie należał. W rozumowania wplatał obrazy, przyrody polskiej, ludu włościańskiego, opuszczającego zagrody swe dla opresyi pańskiej; elekcyi, niby wolnych; rozczarowania, gdy król podpisem ulegalizował rozbiór. A barw nie żałował. Z pismem nie zwracał się, ani do króla ani do panów, których i posądzał i nienawidził, lecz do narodu szlacheckiego: »wielki narodzie, do pokądże w tej nieczułości trwać będziesz? Czyliż tak ginąć myślisz, aby się nic po tobie nie zostało, jak tylko niesława? Niemasz przykładu, żeby osiadłych na najobfitszej ziemi, udarowanych przez naturę szczególnymi przymioty, kilkanaście milionów ludzi bez sposobu ratunku, owszem bez myślenia o sobie, z oziębłością, niewoli czekało«. Ginęłyż i inne, przykładem Kartagina, lecz bez walki, sromotnie, jednaż Polska uledz by miała?

Jak styl — ze zdaniami urywanymi, z wysłowieniem nieraz chropawym, zapadającym jednak głęboko w myśl, — jak treść, tak i tendencya jednolitą nie była. Republikanin pragnął demokracyi, t. j. równych praw i obowiązków dla wszystkich, ale patryota przenosił już dlatego »samodzierżstwo«, ponieważ »w pośrodku państw samodzierżczych jedna Rzeczpospolita żadną miarą trwać nie może... ludu, nad tą myślą zastanów się mocno«. Doktrynerem bowiem nie był, dla formułek Russa, choć jego wielbiciel, nie narażałby istnienia ojczyzny. O niej tylko myślał — wymagał więc nawet w szkołach musztry: »sztuka wojenna powinna być jedynym zamiarem ćwiczeń ciała w edukacyi republikanta«; szkoła miała mu wychowywać »obywatela Rzeczypospolitej«; więc w »edukacyi« jego kładł główną wagę na artykuł o posłuszeństwie; na największą cnotę: powiększyć dobro współobywateli, a w przeciwieństwie do dawnych zasad (por. wyżej wiersze Domaniewskiego, str. 240) uczył: pierwszym obowiązkiem człowieka jest *pracować*. Pismo

wychodziło z założenia, jakoby Polska reformę swego ustroju jeszcze w swej mocy miała, błędnego, dzielonego powszechnie.

Znamienną była jego nieufność ku Prusom, »straszydłu o wielkiej głowie, do której rozmiarów ciało rozrastać się usiłuje, gniecione zewsząd, tylko od strony Polski wolny przestwór czujące«. Dalej sarkania na przewagę duchowieństwa (np. w kwestyi dysydenckiej), na niepotrzebnych gąb żywienie po klasztorach i kapitułach; potrzebni tylko kapłani i biskupi, ci niech pobierają pensye.

Tak rozniecił mieszczanin z Piły, bardziej wpływowy, niż Skarga, Leszczyński i Konarski, ogień, w którym zgorzeć miały i veto i elekcya, choć je nawet Russo polubił.

Suchymi datami, tabelami, popierał Staszic swoje wywody, nie skąpił też cierpkich i drastycznych obrazków (np. straszne drwiny ze stanu archiwów krajowych), i nieraz w sentymentalną przesadę wpadał (o domach prawa publicznego i in.). Gdy się wreszcie sejm zgromadził, a po pierwszych uchwałach (stutysięcznego wojska, wedle cyfry Staszicowej!), zapał zdawał się wygasać, napisał Staszic (1790) »piórem, w płynie elektrycznym maczanym«, »Przestrogi dla Polski«, krótsze, zwięźlejsze, piorunujące, lecz ufności czy pewności pozbawione, dlatego radykalne. W poczuciu grozy położenia szedł bowiem dalej, niż w »Uwagach«; zażądał uwolnienia i uwłaszczenia włościan, aby ich z podłego chłopstwa wywieść; przyznania miastom praw politycznych, aby się nie wiązały z obcymi potencyami; konfiskowania dóbr naszych duchownych, szczególniej tych, »co gdzieś w Turczech biskupami, a chleb w Polsce zjadają«; wylewał na panów słowa oburzenia: »zatraciliście własny Polaków charakter, nadając szlachcie podłość, wszystkiego bojaźń i na bezprawie i niesprawiedliwość zupełną nieczułość«; do dobrych Polaków wołał: »upamiętajcie się, nie liczcie na cierpliwość nieba, widzę straszną nieszczęśliwość nad głowami waszymi. A gdy kocham Polskę, gdy zapomnieć nie mogę, że rodziłem się Polakiem, jakby ten kraj odratować, myślę koniecznie«. Tym razem jednak głos jego nie odnalazł gromkiego echa: u niepoprawnych optymistów naszych, w owym »legionie Likurgów i Solonów, mających po 23 lata« znikł bez echa. Wypadki same usprawiedliwiły aż nadto gorączkowy niepokój Staszica. Gdy wszystko runęło, zatapiał się polityk-filozof w rozmyślania nad

dziejami ludzkimi i wyniki ich złożył w najpotworniejszym co do formy, a najgłębszym co do treści utworze polskim XVIII wieku, w XVIII księgach i trzech tomach »Rodu ludzkiego«, poematu dydaktycznego, pisanego wierszem białym, pełnego neologizmów, rozwlekłego, nad którym mu się robota przez długie lata wlokła — dokończył jej (w duchu odmiennym) i wydał dopiero w XIX wieku; wydanie zniszczono.

Za Buffonem, Lockem i Russem, wyszydzając niezrozumiałego Kanta, kreślił rozwój, od pierwszej materyi i ruchu, od stanu dzikości pierwotnego człowieka, aż do rozwoju i przymierza zabobońców i władców, z najsilniejszymi wycieczkami przeciw wierze objawionej; ideału ludzkości dopatrywał w zrzeszeniu się ludów pod władzą monarchiczną, konstytucyjną, i w federacyi rosyjskiej zapowiedź zrealizowania uznawał; bił przeciw monopolom angielskim i żydowskim. W dopiskach uzasadniał na podstawie obszernej erudycyi, obejmującej zarówno przyrodników, historyków i filozofów, wywody poematu, niemożliwego formą, głębokiego treścią, wzniosłego tendencyą; duch Bayle'a i Volney'a, antireligijny, antihistoryczny nawet, objawił się najpełniej; czasy i otoczenie swe wyprzedzał zresztą Staszic zupełnie.

Obok Staszica stawaliby Mądrzecki, zbieracz praw miejskich; Barszcz, Warszawianin, broniący tych praw wymownie w polemice z kasztelanem łukowskim, Jezierskim, godzącym się w wielu rzeczach ze Staszicem, lecz wymienił »Barss« rychło pióro na służbę »dyplomatyczną«, na misyę polityczną we Francyi. Za mieszczanami, za ich autonomią, uwolnieniem od rządów starościńskich i wojewodzińskich, przypuszczaniem do posiadania dóbr ziemskich, reprezentacyą w sejmie, ujął się skuteczniej, wytrwalej i wywalczył co zamierzał, człowiek mniejszego, niż Staszic, charakteru, a większych, niż on, zdolności, Kołłątaj, a pomagał mu Jezierski, żądający w »Jarosza Kutasińskiego uwagach nad stanem nieszlacheckim w Polsce« politycznego równouprawnienia.

Jako właściwy kierownik całego stronnictwa reformy, chociaż jawnie nie występował, stanął ks. (wkońcu podkanclerzy) **Hugon Kołłątaj**, przygotowując teren dla konstytucyi trzeciego maja już od roku 1789, wydając, podobnie jak Wybicki przed dwunastu laty, »Listy Anonima« do przyszłego marszałka sejmowego, Małachowskiego, werbując go dla programu wołyńskiego; omawiał

najpierw w listach istotnych, a później pod ich formą dogodną te same kwestye, co i Staszic, mniej namiętnie jednak i radykalnie, jako człowiek czynu, liczący się z warunkami — np. w kwestyi wojska, żądał 60.000, nie 100.000, — z niechęcią szlachty, z zacofaniem; rozstrząsając najpierw kwestye najważniejsze, budżetu i wojska, potym konstytucyi samej; walcząc i w interesie miast, pobudzając i skupiając czynność Dekiertów i Mądrzeckich i innych. Konstytucya trzeciego maja, acz z wnioskami »Listów« nie zupełnie identyczna, więcej władzy królewskiej folgująca, była głównie jego dziełem.

Kołłątaj nie walczył sam; za nim stał szereg pracowników, owa słynna »Kuźnia Kołłątajowska«, z której wychodziły namiętne publikacye, pamflety raczej np. ks. **Franciszka Jezierskiego,** nicujące bezwzględnie, w formie pytań i odpowiedzi, nierząd polski (Katechizm o tajemnicach rządu Polskiego; Niektóre wyrazy porządkiem abecadła zebrane i stosownymi do rzeczy uwagami objaśnione, po śmierci autora przez Kołłątaja wydane, pełne najdrastyczniejszych zwrotów); w duchu niehistorycznym całego wieku wybierał nazwy i postaci dziejowe, choćby bajeczne, ażeby kwestye aktualne rozbierać, np. »Wypis z kroniki Wytykinda«, ażeby o sądzie nad Ponińskim rozprawiał. I Kołłątaj, prócz »Listów«, nieraz głos zabierał w »Ostatniej Przestrodze« i t. d.

Staszic, Kołłątaj i Jezierski, to tylko czoło nieprzebranej literatury politycznej, dziełek i broszur, po ogłoszeniu wolności druku (1789), prasy warszawskie zalewających. Jeżeli już »Uwagi« Staszica tyle odpowiedzi wywołały, to np. pismo hetmana, Seweryna Rzewuskiego, który, jak i ojciec-hetman, o prawdzie fatalnych maksym dziada-hetmana (wiara, elekcya, buława, liberum veto) święcie był przekonany, »O sukcesyi tronu w Polsce«, gdzie dowodził, że od Lecha do roku 1763 Polacy zawsze królów obierali i zawsze im z tym dobrze było, »potargało tyle piór, żeby można z nich zrobić wygodny materac dla spracowanej tylą pismami prawdy«, jak Jezierski twierdził.

Wielu zabierało głos kilkakrotnie; jeden »list« wywoływał drugi; używano i formy powieściowej: spotykał się zwolennik reformy z Mazurem Jagodzińskim w karczmie podwarszawskiej i dalej się ucierać o »sielekcyę« i nieporządki trybunalskie, nęcące ośmiu synów-palestrantów Mazura; inny, przez okno wyglądając,

zobaczył, babę jabłka w błocie przedającą, dziada żebrzącego i panienkę, co sobie dziegciem sukienkę powalała i brał pochop do wytoczenia reform porządków miejskich; Dzwon staropolskiej fabryki wołał wszędy błędy; na Żydów, wzgardzonych, gorzej jeszcze niż dawniej, obruszały się liczne gromy: jednozgodnie żądano odebrania im wyszynku, karczm, gdzie chłopa na śmierć rozpoili; nadzieje na jakieś zlewanie się czy zbliżenie, wzbudzone przez Franka i jego »sektę«, dawno się rozchwiały; »pan baron« opuścił Polskę i już tylko w Niemczech budził oczekiwania i żywe zajęcie się tajemniczą nieco osobą, od zwolenników w Polsce niezmierne dostatki wyłudzając.

Dyskutowano o duchowieństwie, o zniesieniu jego prerogatyw i skonfiskowaniu jego dóbr i t. d. Różnorodnej treści odpowiadała pstrocizna tytułów, godna czasów saskich, »Cygan cnotliwy, gandzarą prawdy nieład chłoszczący« wymagał wolności od ślubów dla zakonników, pensyi duchownym zamiast dóbr i t. d.; wydali na to księża (Surowiecki) »Gandzarę prawdy niecnotliwego cygana chłoszczącą« (1792); na »Kropidło« i t. d., »Fajerką pełną ognia miłości ojczyzny na osuszenie zbyt mokrego kropidła sporządzoną« odpowiedziano. Jak tytuły, mieniały się i stanowiska; i obrońcy anarchii zdobywali się nie tylko na manifesty i Targowicę, lecz występowali np. z »Uwagami nad rewolucyą 3 maja«; pisał je Dyzma Tomaszewski, przekonany wielbiciel Szczęsnego, potym wyrzutami sumienia trawiony.

Godnie zakończyła bogatą i ciekawą literaturę polityczną praca zbiorowa, Kołłątaja, obu Potockich (Ignacego i Stanisława) i Pijara Fr. Dmochowskiego, w Dreźnie podjęta, »O ustanowieniu i upadku konstytucyi 3 maja« (1793 r., co młody Linde równocześnie na niemieckie przetłumaczył), obszerna, spokojna a wymowna, śpiew łabędzi tej »rewolucyi«, co niczego nie burzyła ani gwałtownie nie usuwała, lecz naprawiała, co wieki popsuły; praca to, zwrócona głównie przeciw królowi, samoobrona jej autorów i ich polityki przymierza pruskiego, więc nie bezstronna.

Ręka w rękę z tą literaturą polityczną szła publicystyka, reprezentowana godnie przez »Gazetę narodową i obcą«, wydawaną przez Mostowskiego, Niemcewicza i Weyssenhofa. Początkami sięgała ta publicystyka jeszcze czasów saskich, ale długo ograniczała się ubogimi w treść Kuryerami; późniejsze nawet Gazety, np. War-

szawska, wydawana dwadzieścia lat przez eksjezuitę Łuskinę, z którego Węgierski w ostatniej pieśni »Organów« szydził, nie odznaczała się ani doborem treści, ani formą; gazeta ta istnieje do dziś.

Rok 1791 i 1792 przyniósł nadzwyczajne ożywienie; Targowica położyła mu kres, i po krótkiej przerwie za Kościuszki publicystyka zamarła na długo. Wydawnictwa te pojawiały się raz lub dwa razy w tygodniu (np. Gazeta Warszawska).

Ważniejszą rolę w budzeniu życia umysłowego odegrały inne wydawnictwa peryodyczne. I one sięgały czasów saskich. Sasi, Friese, Mitzler von Kolof, próbowali ich w języku francuskim (*Journal literaire de Pologne*, 1754), łacińskim (*Acta literaria*), niemieckim (*Warschauer Bibliothek*) i polskim (Nowe wiadomości ekonomiczne i uczone), ale nie znajdowali u publiczności poparcia; wina tkwiła w części i po stronie redakcyi, nie umiejącej czytelników zająć, drukującej rzeczy zbyt dawne a suche, żywoty arcybiskupów i t. p. Pierwsze czasopismo, co się utrzymało i w życiu umysłowym zaważyło, to »Monitor« Bohomolca; czasopismo z rodzaju »moralnych«, w XVIII wieku, za przykładem angielskiego Spektatora Addisonowego, w całej Europie nadzwyczaj popularnych.

Więc jak na każdym innym polu obszernej a pożytecznej swej działalności, i na tym ks. Franciszek oryginalnym nie był; nie tylko naśladował, ale tłumaczył całymi kawałkami Spektatora. Do Monitora, wydawanego od roku 1765 do śmierci wydawcy, roku 1784, pisywali Krasicki (rocznik 1773 jego pióra) i Naruszewicz, Minasowicz i Skrzetuski: główny ton i kierunek nadawał sam Bohomolec. Polityki nie wykluczał, lecz wychodząc ze zdania swego Chińczyka, że »Polska jest w tak nędznym stanie, jak żadne państwo w Europie«, poruszał głównie kwestye ekonomiczne, ucisk chłopów i t. p., nadewszystko zaś obyczajowe, te same, które satyra spółczesna traktowała. Próbował wszelkich możliwych form, wizyi, snów, listów marnotrawców, opojów, zabobonników; dyaryuszów modnych dam i kawalerów; streszczał manuskrypt Chińczyka Yunipa, który niby roku 1759 bawił w Polsce; tłumaczył niby »list Daniela Bobinsona, Anglika, opisujący zwyczaje nieznanego Europie kraju Nolopia« (Polonia), ze strasznie dosadnymi, karykaturalnymi rysami — o poważaniu cudzoziemców i to jakich, o pustocie głów, o cenie honoru, o polorze obyczajów od godnie

urodzonych na pospólstwo spływającym, o miłości ojczyzny w uściech, o wojownikach z wielkich rodzin (jakby do hetmana Ogińskiego przymusnął) i t. d.; nawet ze starszej literatury domowej w tym celu czerpał, np. z »Małpy - Człowieka«; tłumaczył Horacego i Popa i Thomasa demokratyczny wiersz do ludu; bił przeciw przesadnemu pochlebstwu, najniebezpieczniejszemu między chorobami umysłowymi; przeciw wygórowanemu mniemaniu o szlachectwie; przeciw ospalstwu duchowemu, unikającemu książek i bibliotek; wszystko żywo, trafnie, dowcipnie. W walce o odrodzenie zapisał się Monitor bardzo dodatnio, zapędzał się aż do porady zniesienia celibatu, harcował za tolerancyą dysydentów, narażając się na pociski fanatyków.

Obok »Monitora« stanęły o zakroju więcej beletrystycznym »Zabawy przyjemne i pożyteczne«, wydawane przez Naruszewicza, potym przez Albertrandego (1770 — 1777), zasilane przez Czartoryskiego, Jakubowskiego, Minasowicza i wielu innych. Szczególniej zasłużył się eksjezuita również, ks. Piotr Świtkowski, wydawaniem »Pamiętnika historyczno - politycznego« i innych czasopism, redagowanych w duchu bardzo postępowym, wywołujących silne zaczepki konserwatystów, np. eksjezuity Wyrwicza (Pro memoria Pamiętnikowi), szerzących zdrowsze pojęcia w rzeczach ekonomicznych. Z r. 1792 cały ten ruch ustał, zaduszony przez cenzurę Targowicką.

I te pisma dowodzą, z jakich to źródeł zasilano ducha i gdzie to się zaopatrywano w rynsztunek. Staszic np. czerpał poglądy pedagogiczne z Emila, pojęcia o społeczności z *Contrat social*, wiedzę przyrodniczą z Buffona, tłumaczył poemat Racina o religii, a uzupełniał go listem Woltera, przeczącym deizmowi Racina; gdyby nie pożerająca wszystko troska o zachowanie bytu państwowego, oddałby się całkiem iluzyom o uszczęśliwianiu człowieka przez rozkuwanie wszelkich pęt »jednodzierżców« i »zabobońców«, politycznych i umysłowych; ekonomiczne pojęcia czerpał tak samo z katechizmu fizyokratów francuskich. A Staszic to nie wyjątek, lecz reguła; i w przeciwnym obozie pan hetman, gdy elekcyi bronił, tego samego Russa okradał; i ksiądz Skarszewski (późniejszy biskup, ofiara — niedoszła — terroru), broniący najwymowniej i najwytrwalej stanowiska duchowieństwa, nie wahał się z Monteskiusza, Woltera i Russa argumentów dobierać. Russo był bożyszczem; encyklopedyści wraz z Wolterem ustępowali przed nim; jeden i drudzy działali nawet nie własnymi dziełami; wyciągami z nich, maksymami, szermowali nasi *ésprits forts*. Czyniono czasem zastrzeżenia; Monitor bał się »przed straszącymi każdego prawowiernego sofizmatami« Emila; na pierwszy plan zawsze tylko społeczność wystawiano, nie indiwiduum, jak u Russa; nie obawiano się, jak on, kultury i jej zgubnych wpływów. Mimo to zachwycano się nim i powoływano nań ciągle.

Im dalej w czasy Stanisławowskie, tym bardziej wzmagała się ta wszechmoc literatury francuskiej, a niebawem odczuwano i nad Wisłą, jak nad Sekwaną maksymy filozoficzne do obalania starych porządków podniecały, wytwarzała się ta sympatya między Warszawą a Paryżem, tak płodna w następstwa; republikańskiej Francyi, walczącej z koalicyą, mógł się przydać *le peuple sympathique*, gdyby dywersyą na tyłach Prus choć tego groźnego wroga odciągnął. Staszic, wydawcy »Gazety narodowej i obcej«, śledzili z zapartym oddechem rozwój wypadków paryskich, a niebawem stanął i pustak Albert Sarmat (Turski) przed kratkami konwentu z protestem w imieniu Polski.

Literatura Stanisławowska odbijała od saskiej właśnie ilością i doborem tłumaczeń, odnawiając owe związki duchowe, przerwane w czasie mroku. Za Sasów tłumaczono chyba ascetyki francuskie, jakby własnych i nadto nie było, albo rzeczy w rodzaju Historyi krucyat lub odszczepieństw Maymbourga; teraz świecka, antyklerykalna literatura francuska wystąpiła na pierwszy plan, a chociaż nie dzielono w Polsce jej hasła *Écrasez l'infâme* (prócz bardzo nie wielu; do nich należał i Staszic), sama łatwość, z jaką się na wyposażenie biskupstwa krakowskiego rzucono, dowodziła, że nauki francuskie w las nie szły. Przyczynił się i duch, wiejący od Austryi józefińskiej, i Borna srogi pamflet znalazł rychło tłumacza, wydającego »Mnichopismo, oskarżenie i obronę naturalisty, z anatomią mnicha«, niby w Lipsku. Tu należała i tragedya »Saul«, szydząca z patryarchów i przeciw oligarchicznym zakusom i matactwom duchowieństwa zwrócona, i wywołał ten przekład zaciekły odpór ks. Surowieckiego, nieznużonego polemisty o prawa obskurantyzmu. W pokrewnym duchu działały od dawna tłumaczenia pism Monteskiusza, Dalamberta, Fontenella rozmowy o wielości światów, wytłumaczone przez Pijara jeszcze roku 1765, opie-

rające się naturalnie o system kopernikański i przeraźliwe dlatego dla Abramowa, gdy je książę Kantemir na rosyjskie wyłożył; tegoż Fontenella o wyroczniach pogańskich (dwa tłumaczenia) i t. d. Lecz pomijając dzieła treści filozoficznej, naukowej, wymienimy ważniejsze tłumaczenia z dziedziny literatury pięknej.

Sięgały i do angielskich (za pośrednictwem francuskich), cofały się do łacińskich (i greckich), nie uwzględniały tylko niemieckich (prócz naukowych, np. geografii Büschinga i t. p.). Najzasłużeńszy z tłumaczów był Pijar, Franciszek Ksawery Dmochowski, z kuźni Kołłątajowskiej; najczynniejszy, mimo swych lichych zdolności, profesor krakowski, Jacek Przybylski. Dmochowski ułożył kodeks nowej poetyki: »Sztuka rymotwórcza, poema we czterech pieśniach«, kanon niewzruszony w oczach Staszica i Śniadeckiego, naśladowany z Horacego i z Boala, tylko zamiast o Malerbie, o Szymonowicu, Krasickim i t. d. prawiący, rozszerzony, w drugiej i trzeciej pieśni »gatunki« poezyi (od sielanki i ody aż do dramatu i epopei) omawiający, ich zasady i t. d. Tłumaczył Junga (Sąd ostateczny i Nocy) i Miltona (urywkami), Homera (Iliadę, Odyseję w urywkach) i Horacego (listy) i in.

Przybylski, bez talentu Dmochowskiego, ale z wytrwałą pilnością porywał się do wszystkiego, do Hezyoda i do Camoensa, do Popa i Addisona, wydawał i tłumaczenia dawniejsze, np. Aryosta Kochanowskiego. Dmochowski i Przybylski zmierzyli się i w ciekawszej szermierce literackiej; Pijarzy wraz ze Śniadeckim skrytykowali ostro pisma niektórych profesorów krakowskich, dla treści i formy, gdzie i Przybylskiego za jego neologizmy szarpnęli, tytuł broszury właśnie z nich formując (*Zakus* nad *zaciekami wszechnicy* krakowskiej — lecz słowa, wyszydzone w r. 1788, oddawna prawo obywatelstwa otrzymały); Przybylski, zazdroszcząc Anglikom Duncyady, porwał się na poema heroikomiczne, Bicz, ale broń wytrącił mu z ręki Dmochowski »Urywkiem z bicza kręconego w Krakowie«.

Z francuskiego tłumaczyli Poniński, sam Krasicki i inni ody i poematy dydaktyczne (o wierze) Rasyna i Russa i Woltera; Tadeusz Morski poematy komiczne, z odcieniem antyklerykalnym, Gresseta, Pulpit żyjący i Ver-Vert szpak klasztornego chowania; Jakubowski Lafontena; Szymanowski »Świątynię Wenery w Knidos« w przeróbce wierszem błahej powiastki Monteskiusza, pod nieba

wyniesionej przez Stanisława Potockiego, chociaż inne prace Szymanowskiego, piosnki liryczne, lepsze.

Tłumaczenia klasyków łacińskich, od Fedra aż do Tacyta, Horacego i Wergiliusza szczególniej, pomijamy; coraz gęściej przewijały się nieznane przedtym nazwiska i dzieła angielskich poetów, Miltona, Popa, Junga; tylko Niemców brakło, prócz kilku drobiazgów Gesnera (sielankopisarza) i Gellerta (dramatyka!). Z zastojem saskim zrywano więc kompletnie.

Najdonioślejszym w skutki czynem, najwymowniejszym świadectwem kultury wieku oświecenia było ustanowienie i czynność komisyi edukacyjnej; o członkach jej twierdził Staszic w »Uwagach«: »tych mężów, jeżeli brzydka przemoc jeszcze przynajmniej oddychać dozwoli, tych mężów szczęśliwsza od nas potomność, jako pierwszych swojej szczęśliwości stworzycielów, czcić i wspominać będzie«. Kasacya zakonu Jezuitów dotknęła najsilniej sprawę wychowania w Polsce, spoczywającego głównie na barkach zakonu: niezwłocznie należało pomyśleć o zastąpieniu zakonu w jego obowiązkach, boć Pijarzy i Bazyliani sami podołać nie mogli, a nęciła sposobność zeświecczenia wychowania, osadzenia go na nowych podstawach. Urzeczywistniono więc myśl, rzuconą w Polsce już na początku XVII wieku; zasobów olbrzymich zakonu, poświęconego edukacyi młodzieży, użyto w tym samym celu, a chociaż część ich znaczną chciwość i niesumienność rozszarpały, udało się zabiegom Chreptowicza (wnioskodawcy) i innych resztę ocalić i oddać pod zarząd uchwalonej roku 1773 Komisyi, pierwszego ministeryum oświaty w Europie.

Komisya miała cały szereg zadań do spełnienia: zreformować istniejące szkoły, od najwyższych do najniższych; wystarać się o świeckich kandydatów do stanu nauczycielskiego, aby nie być wyłącznie zdanym na osoby zakonne, naginające się z trudem do wymagań świeckich; stworzyć podręczniki dla użytku tychże szkół. Reformy poprzednie, Konarskiego i Jezuitów, torowały już drogę; taki ks. Rogaliński w Poznaniu, nauczyciel Śniadeckich, traktował obszernie »Doświadczenia skutków rzeczy pod zmysły podpadających« (cztery tomy fizyki eksperymentalnej), uprawiał i inne pola nauk stosowanych, wraz z matematykiem, ks. Gawrońskim (późniejszym biskupem krakowskim); obaj podnosili zakłady naukowe poznańskie i ustalali terminologię polską naukową.

Również przed rozpoczęciem czynności Komisyi edukacyjnej powstała szkoła, acz specyalna, wojenna, ale owiana nowym duchem, szkoła korpusu kadeckiego, założona przez króla, prowadzona przez ks. Adama Czartoryskiego, co sam nie szczędził dla niej kosztów i trudów, dla niej »Katechizm moralny« i »Definicye różne« (w rzeczach towarzyskości) pisywał, na jej scenie sztuki swe wystawiał (np. »Pannę na wydaniu«, przypisaną kapitanowi Ciszewskiemu, co pierwszy wprowadził zabawy teatralne w korpusie kadetów). Do jej nauczycieli należał bibliotekarz jej, Dubois, autor pierwszego *Essai sur l'histoire littéraire de Pologne* (Berlin, 1778), stwierdzającego postęp w naukach Polski; z jej uczniów wyszli najdzielniejsi patryoci, Kościuszko, Niemcewicz, wymowny Nestor Sapieha (prototyp Sapiehy u Szylera), Kniaziewicz i wielu, wielu innych.

Reformę zaczęła Komisya od góry, od obu uniwersytetów, szkołami głównymi teraz nazwanych, krakowskiej, gdzie za Kołłątaja dobito się zniesienia przestarzałego trybu, ustanowienia nowych katedr, lepszego ich uposażenia, uporządkowania biblioteki, gabinetów i t. d.; i wileńskiej, gdzie wobec uporu Poczobuta, astronoma i rektora, reformę mniej skutecznie przeprowadzano. Przywoływano obcych (np. Forstera dla botaniki do Wilna); rodaków wysyłano dla dopełnienia wykształcenia za granicę, z których matematyk Jan Śniadecki (z Wielkopolski) najbardziej się wyróżnił; już w krótkim czasie ujawnił się postęp znakomity, najwidoczniejszy w zerwaniu ze średniowiecczyzną.

Szkołom głównym polecono i wizytacye doroczne szkół niższych, wydziałowych i podwydziałowych; na urządzenie licznych szkół parafialnych nie stało już zasobów i czasu. Najtrudniej było zwabić liczniejszą młodzież do stanu nauczycielskiego; większą część uczących musiano zatrzymać ze szkół dawnych, zakonnych, a ci nie rzucali łatwo swego trybu nauczania, z łaciną, jako przeważnym, jeśli nie wyłącznym zadaniem szkoły, z pomijaniem nauk realnych, przyrodniczych i innych.

Plan Komisyi edukacyjnej zrywał zupełnie z dotychczasowym trybem nauczania: język narodowy stawał się odtąd głównym organem szkoły, a obok nauk moralnych realne występowały na pierwszy plan; skargom na nieproduktywność szkoły i jej nauczania, nie przydatnego w niczym do życia, miał zapobiedz system,

kształcący nie łacinników, lecz obywatelów przyszłych; kładziono nacisk na historyę i geografię krajową, na poznanie praw i instytucyi. Dawna szkoła wypuszczała młodzież, obytą z Alwarem, mitologią i starożytnościami rzymskimi; zato obrany na deputata młody obywatel ani się domyślał, co »koce« (w sądzie) znaczą (skarżono się na to już na początku XVII wieku); świeży podkomorzy »na hipotenuzę tylko pysk otwierał« (Naruszewicz); poseł tylko na podatki veto ryczał. *Non scholae, sed vitae discere* było zadaniem nowych szkół. Program ich ułożył eksjezuita, wielce zasłużony Grzegorz Piramowicz (z Ormian lwowskich), wydany roku 1783 przez Komisyę pod tytułem »Ustaw Komisyi dla stanu akademickiego i na szkoły, w krajach Rzeczypospolitej przepisanych«.

Z łona Komisyi wyszło i osobne towarzystwo do ksiąg elementarnych roku 1775; rozpisywało konkursy na najlepsze podręczniki dla szkół, w czym brali udział i obcy (np. Condillac), a po części je samo przygotowało, np. znakomity »Elementarz dla szkół parafialnych narodowych«; »Wypisy z autorów łacińskich« i inne. Tak powstała pierwsza obfitsza, rodzima literatura pedagogiczna. Na czele jej stanęło Piramowicza »O powinnościach nauczyciela« (głównie wiejskiego) i (niedokończone) »Wymowa i poezya dla szkół narodowych«, z którą książka ks. Golańskiego spółzawodniczyła, pierwsze retoryki i poetyki w języku narodowym. Teraz pojawiły się i pierwsze gramatyki polskie.

Dawna szkoła języka narodowego nie uwzględniała; uczono łaciny, polszczyznę zbywano byle czym, chyba ortografią i wierszowaniem. Gramatyki polskie istniały dla cudzoziemców; najdawniejszą wydał Francuz spolszczony, Stoiński (r. 1568), z przykładami z Reja i Kochanowskiego, wzorowaną na łacińskiej, tak że nawet 6, nie 7 przypadków liczyła. W XVII i XVIII wieku znowu cudzoziemcy i dla cudzoziemców, po łacinie i niemiecku, Volckmar, Mesgnien, Rother, Woyna i t. d. gramatyki pisywali; uzupełniały je wzory listów np. »Kancelarya polityczna« i »Wydworny Polityk«, Dobrackiego - Guttetera, autora i gramatyki »Polnische Teutsch erklärte Sprachkunst darinn die uberaus wortreiche, hochzierliche, vollkommene Heldensprache der Pohlen« i t. d. (r. 1669 i częściej).

Pierwsze gramatyki polskie dla Polaków powstały późno, ks. Szylarskiego roku 1770, ks. Dudzińskiego ciekawe uwagi roku

1776; ks. Kopczyński jedyny zażywał, niby polski Łomonosow, czy Gottsched, niezachwianej powagi przez pół wieku z górą. Zasługi Kopczyńskiego są niezaprzeczone; on otrząsł najgruntowniej język z barbarzyństwa pisowni, form i składni, jakie się w ciągu wieków wkradły; on wrócił do norm dawnych, wprowadził zaniedbane już zupełnie kreskowanie na nowo; tylko co do litery *a* nie przyjęto, i słusznie, jego wniosków, pedantycznie brzmienia, w wymowie ogólnej od dawna zamarłe, wskrzeszających, chociaż amatorów kreskowane a znalazło jeszcze w XIX wieku; on ustalił reguły co do *em, ym, emi, ymi,* ciążące do dziś nad nami; w obszernych przypisach do gramatyki (dla nauczycieli) wprowadził filozoficzny pogląd na język i rozwój jego, postępowy a trafny. Z dzieła Kopczyńskiego wyszła cała późniejsza literatura gramatyczna polska. Podręczniki pisali Skrzetuscy (historyi i prawa polskiego), Popławski, Hube (fizyki), i inni.

Nie od jednego zamachu jednak dał się usunąć mrok i zastój saski, przełamać opór i przesądy. Jak silnie wkorzenione były narowy, dowodzi los, zgotowany kodeksowi Zamoyskiego r. 1780: niszczymy i tych praw wskrzeszać i aprobować nie będziemy, oświadczał sejm, chociaż te prawa, wcale nie radykalne, tylko część poddaństwa (pierwszego i trzeciego syna) od askrypcyi zwalniały; Wybickiego, że przeciw elekcyi i t. d. pisał, na sejmiku (1778) omal nie zabito; nobilitacyi Piramowicza przeprowadzić nie było można, gdyż zasadzano się silniej przeciw mieszczaństwu; liberum veto, mimo Konarskiego, świeżo (1768 roku) za prawo formalnie uznano i zawarowano, a chociaż szkodliwość jego powszechnie uznano, wracano do niego, jak pijak do trunku.

Podobnie było i z wychowaniem: praca Komisyi edukacyjnej trafiała na bierny opór nauczycieli zakonnych, nie chcących rzucać dawnego trybu, parodyujących nieraz umyślnie zlecenia i wskazówki Komisyi; rodzice sami żalili się na osłabienie łaciny, nam dla naszych praw nieodzownej, na świecki ton szkoły. Wierzono po dawnemu, w upiory; palono czarownice, i dopiero po strasznym wybryku Doruchowskim (r. 1775, gdzie spalono czternaście kobiet) położono tamę dalszemu barbarzyństwu; sejm r. 1776 zniósł i tortury i karę śmierci w sprawach o czary. Nawet w literaturze nie wyczerpały się dawne prądy. Nietylko tłumaczono zawzięcie nowe albo wydawano dawne ascetyki np. Załuskiego, ale pisano je dalej.

Więc wydał ks. Gaudenty Pikulski »Sukces świata albo historyą uniwersalną od stworzenia«, gdzie traktował najdworniejsze pytania dawnej scholastyki, dlaczego człowieka Bóg z gliny, nie z kruszczu szlachetnego uformował, co się Adamowi śniło, gdy Bóg z niego Ewę tworzył, dlaczego z ziobra, z którego, jakie to było jabłko (winne) i t. d. Symon Majchrowicz trwałość szczęśliwą królestw wyprowadzał roku 1764 w czterech tomach z prawowierności, sławił z tego tytułu Polskę, gdzie Chrystus i Marya najchętniej przebywają i złotą wolność ratują. A przecież istniały już dzieła Bossueta i Fleurego, gorliwych katolików, bez owych przesądów; była poezya Krasickiego i Naruszewicza, ale p. kasztelan przemętski, Rafał Gurowski, obrońca Jezuitów, poświęcał królowi (1782) dzieło, jakie tylko za Sasów powstać mogło, »Dzieje pisma św. ...rodowitym rytmem opisane z niektórymi moralnościami« i t. d., 400 stronic bitego druku, chyba z rytmami biblijnymi Leszczyńskiego i Kurzenieckiego rywalizujące; literatura prowincyonalna odbijała silnie od warszawskiej; na libertynów, ateuszów, deistów instygowano jeszcze namiętnie (proces przeciw Niemiryczowi o zdespektowanie hostyi św.); z nimi łączono »farmazonów«; przeciw neoterykom, zwolennikom nowej szkoły, systemu Kopernika, doświadczeń fizykalnych żegnano się nieraz przesądnie — nawet satyryk Piotrowski nie wahał się zawołać, że pełna Warszawa Łyszczyńskich, a kaci próżnują, chociaż, jako duchowny, krwi nie śmiał pragnąć; fanatyk Surowiecki jeszcze r. 1792 koniecznie wprowadzenia inkwizycyi się domagał.

Tak ścierały się Oświata i Sarmatyzm; ową podtrzymywała opinia publiczna warszawska, król, magnaci (uwalniający lub oczynszowujący włościan, zakładający »manufaktury«, wydający, jak księżna Jabłonowska, wojewodzina bracławska, »Ustawy powszechne dla dóbr moich rządców w drukarni pokojowej siemiatyckiej«), literaci, mieszczanie warszawscy, Dekert, Dulfus, Kapostas i inni, gdy się Sarmatyzm nie na teatrum publicznym, za to w zaciszu prowincyonalnym i klasztornym jeszcze wygodnie roztasowywał. Przebieg i epizody tej walki niekrwawej, ubogiej nawet w szczegóły drastyczne, kreślą najlepiej ówczesne pamiętniki.

Literatura pamiętnikowa epoki Stanisławowskiej (inaczej, niż saskiej!) jest tak niewyczerpana, jak jej literatura satyryczna, chociaż nic się z niej do druku nie dostawało; pisano często z wy-

kluczeniem publiczności (przeznaczał to np. ojciec dla dzieci), i bardzo późno, patrząc przez pryzmat następnych dziejów na chwile wcześniejsze. Pamiętniki XVIII wieku wydobywał więc dopiero XIX na jaw; ogłaszali Raczyński, Kraszewski i inni, pisane po francusku, polsku i niemiecku (jenerał Dąbrowski, »Beytrag zur Geschichte der polnischen Revolution«, o kampanii 1794 roku); w domu, za granicą i w więzieniu (pamiętnik Kilińskiego); o wychowaniu jezuickim (Wybicki, co plag otrzymanych nigdy nie przepomniał) i o Syberyi (jenerała Kopecia); o zabiegach dyplomatycznych i konspiratorskich (pamiętniki podskarbiego Ogińskiego o robotach na Wołoszczyźnie i w Francyi, po francusku, znakomite, tłumaczone i na niemieckie) i o rzeczach najbardziej partykularnych, księży (osławionego Kossakowskiego i i.), dyplomatów, żołnierzów (Zajączek, Weyssenhoff i inni), króla samego (o młodości swej i t. d.) i jego szambelanów czy paziów.

Z arcydługiego szeregu tych pamiętnikarzów wyróżnia się ks. **Andrzej Kitowicz,** chociaż dzieła jego właściwie do pamiętników nie należą, skoro o własnej osobie autorskiej najmniej w nich wzmianek. »Liche to pisma co do stylu i składu rzeczy«, twierdził o nich, skromnie i słusznie, autor, lecz zawierają wiele takowego, o czym młodsi nie słyszeli, a czego wielcy pisarze »dla drobności« nie dotykali.

Kitowicz, to bezwzględny *laudator temporis acti;* niegdyś Barszczanin, na stare lata ksiądz pleban i kanonik, dobry gospodarz, zapalony myśliwy, wyborny znawca win, zapatrzył się w »słodkie panowanie« saskie i w rękopisie »O obyczajach polskich« (bez początku i końca) opisał cały tryb życia saskiego w dworku i pałacu, w szkole i palestrze, w wojsku i na wsi. Z tego to dzieła najkrócej i najpełniej można wyrozumieć tryb staropolski; kogo interesują szczegóły systemu jezuickiego, zasadzającego się na ciągłym budzeniu »emulacyi« w uczniach, dzielącego więc klasy na partye, Graecorum i Romanorum, rozdającego tytuły Imperatorów i t. d., każącego cenzorom czuwać nad spółuczniami, znajdzie u Kitowicza niby wykład do trzeciej satyry Piotrowskiego (na chwalcę próżnego dawnego gustu nauk); również pozna tam szczegóły ubioru, pojazdów, potraw; instytucyi, publicznych, prywatnych, kościelnych; egzekwii i obchodów, wesel i chrzcin; praktyk religijnych i trybunalskich.

Autor ma czasy Augusta III na oku, »dobre czasy, pokój ciągły, obfitość wszystkiego«, ale odróżnia ich początkowe lata od dalszych, kiedy to sarmatyzm widocznie zaczął ustępować, mnożyły się wyjazdy za granicę, naśladownictwo obcych zwyczajów i ubiorów, wzmagał się zbytek i wygoda, a neoteryzm do szkół zaglądał. Kitowicz nie przesadza ani ukrywa; przyzna się, że »ztrudna gdzie przy farze« była jaka szkoła, dla dziewcząt wcale nie istniały; przetarszy się nieco w początkach łaciny, udawano się do Jezuitów lub Pijarów, a szkoła liczyła nieraz do tysiąca studentów, z których magnaccy synowie w pierwszych ławkach siadali; jak przez zaprowadzenie konwiktów »szkoły publiczne zdrobniały« i t. d. Obszerniejsze dzieło Kitowicza, »Historya Polska«, jest mniej ciekawe, gdyż powtarza najczęściej rzeczy znane, akty, mowy, proklamacye z gazet, relacye i t. d. Równie daleko w tył cofają się pamiętniki Łopacińskiego, ale nagle urywają.

Z osobistości literackich pamiętniki Karpińskiego i Niemcewicza, chociaż je dopiero w XIX wieku spisywać poczęli, w pierwszą młodość sięgają, zwierciedlącą się wyraźniej w starczej pamięci. U Karpińskiego jest to zarazem rodzaj czułej spowiedzi, opowiadania o miłostkach, pokusach, powodzeniach i niepowodzeniach, autobiografia bez względu na stan kraju, podczas gdy w Niemcewiczu, mężu politycznym, ów wzgląd zawsze przeważał. Staszica pamiętnik zbyt lakoniczny, o wiele ciekawsze są jego Dzienniki z podróży w r. 1777 i 1778 po Austryi, Niemczech, Francyi i Anglii, i z drugiej, włoskiej, odbytej z młodym Zamoyskim z r. 1790 i 1791: pierwszą odznacza tylko chęć uczenia się, przypatrywania ciekawego; drugą tendencya wybitna przeciw arystokracyi, klerowi, wszelkim przesądom skierowana. I Hugo Kołłątaj zostawił pisma, któreby pamiętnikami nazwać można; długie lata więzienia fortecznego, potym wymuszonej bezczynności (na zewnątrz) obudziły w nim myśli »o wielkim dziele pamiętnikowym czasów moich (1750 — 1796)«, z którego jednak tylko wstęp wykonał, wydany pod tytułem »Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach Augusta III (1750 — 1764)«, gruntowne uzupełnienie do dzieła Kitowicza, szczególniej stosunki szkolne, krakowskie (na wszechnicy) wyjaśniające, z bardzo drastycznymi szczegółami; są i jego krótsze zapiski autobiograficzne, np. o wyjściu z Ołomuńca.

Między pamiętnikarzami znajdziemy stronników królewskich

(Zaleski, Wolski) i reformy (Wybicki, Bukar, Drzewiecki i in.), wojskowych i obywateli (Dobiecki, paź, potym żołnierz; Ochocki, najbardziej w rysy obyczajowe obfituje, nieraz tak drastyczne, od ubiorów aż do balów i intryg miłośnych, że wydawca, Kraszewski, opuszczał, co skromne uszy razić mogło), ludzi wykształconych i bez wykształcenia (szewc, Jan Kiliński, za namową Niemcewicza i innych, co wymownie opowiadał, to spisał równie żywo i barwnie — inne późniejsze próby literackie już mu się nie wiodły); nikt się nie zdobył na całość historyczną, jaką niebawem obcy, Rulhière i in. podejmowali. I wartość literacka tych pamiętników najczęściej nie bywa wyższą; jakby przeważały rzeczy okolicznościowe; nie zostawiły one nic wykończonego, nic, coby np. z Paskiem rywalizowało. Najobszerniej gawędził jeszcze Ochocki, ale o rzeczach najdrobniejszych; Niemcewicz, zachowujący formę staranną, literacką, zbyt wiele miał do opowiadania z długiego, ruchliwego życia, ciągły wędrownik, od Sycylii do Petersburga i od Ameryki do Słonima czy Dubna — więc nie zatrzymywał się przy szczegółach, chyba wyjątkowo, nie cieniował ich ani podmalowywał, chociaż wszystko, co opowiada, jest bardzo zajmujące i ważne. Inni całkiem sucho spisywali, co wiedzieli; Ochocki, Drzewiecki, Wybicki, Weyssenhoff jenerał, Niemcewicz po siedemdziesiątym roku życia, w roku 1820 lub 1840, swe wspomnienia kreślili, należą więc do XIX wieku, chociaż wyrośli w tej epoce, z nią się zżyli, do niej wspomnieniami zawsze wracali; Wybickiego pamiętnik np. nie tylko o wychowaniu u Jezuitów, ale najciekawiej i najprawdziwiej o konfederacyi barskiej opowiadał, nie skąpiąc szczegółów drastycznych o niezaradności, opieszałości i osobistej ambicyi przywódzców, obniżając w autopsyi, co późniejsza tradycya wyidealizowała, nawet i ks. Marka. Nawet z Pamiętników starego Koźmiana nie najdrobniejsza część właśnie ówczesnemu wychowaniu i szkołom i sejmowi wielkiemu poświęcona, a (francuskie) memoryały księcia Adama Czartoryskiego, świetny dowód i pomnik jego bystrości, lojalności i patryotyzmu, ważny przyczynek dla psychologii cesarza Aleksandra, chociaż pisane dopiero po r. 1831, sięgają w wiek XVIII i duchem swym, jak książę sam, jego wpływy wykazują.

Bogatą tę literaturę, niewyczerpaną dotąd, nawet ogarnąć trudno; należą tu np. pamiętniki ks. Kossakowskiego; sejmem wielkim zajmuje się Michał Czacki, obeznany dobrze z osobami i sprawami zakulisowymi i t. d.; nie mówiąc o pamiętnikach obcych, Siewersa, Heykinga i in., nieraz ciekawszych i ważniejszych.

Jak rządy Stanisławowskie nie uratowały państwa, tak i literatura tej epoki nie zdobyła się na wielkie dzieło narodowe, następnym wiekom przyświecające. Mimo tego niedoboru wytworzyły one zadatki przyszłości narodowej, mającej przetrwać upadek polityczny.

W spadku po tej epoce pozostała najpierw jednolitość narodowa. Składały się na nią wprawdzie całe wieki, ale dawniejsze odrębności teraz się dopiero zupełnie zatarły; mogły pozostać atawistyczne cechy, fizyczne, temperamentu, uzdolnienia, sam naród szlachecki był na całym przestworze Rzeczypospolitej jeden: żył i czuł, myślał i modlił się, bawił i ubierał, czytał i uczył tak samo, pisał to samo wierszem i prozą; jeden pokost szlachecki okrywał i piaski wielkopolskie czy mazowieckie i pulchny czarnoziem ukraiński i puszcze litewskie. Szlachcic czuł się w obrębie całej Rzeczypospolitej jak w domu; wszędzie odnachodził, jeśli nie koligacye, to spółklejnotników; cześnikiem wschowskim tytułował się na Podolu, a latyczowskim na Pałukach. I kraj cały miał wygląd tak jednolity, że nikt ani się domyślał, albo przynajmniej nie zważał, że ta jednostajna powłoka nie wszędzie równej grubości była, że na wielkich obszarach podkład jej był odmienny, nie polski. Austryacy np. ani wiedzieli, że w ich »Galicyi« istnieją obok Polaków i Rusini; oni pod »językiem galicyjskim« rozumieli wyłącznie polski i nawet z Królowej Korony Polskiej »galicyjską« zrobili. Podobnie było i w Rosyi, w Petersburgu nikt o Biało- albo Małorusach nie wiedział a przynajmniej nie dbał; prowincye zabrane były polskie i nic więcej, na chłopa nie zważano, bo jeszcze się nikt w etnografię nie zabawiał; tę dopiero wiek XIX wymyślił.

Powoli, bez żadnego przymusu, wycofał się język ruski z urzędowego życia litewskiego; w prywatnym odmiana ta szła szybszym krokiem. W XVI wieku, w pierwszej jego połowie, pisano jeszcze po dworach litewskich po rusku, ale już w drugiej połowie ustaje to zupełnie; pamiętnik Jewłaszewskiego, spisany po

rusku, należy do rzeczy wyjątkowych; czytają jeszcze dawne, ruskie manuskrypty, ale przypiski do nich robią już polskie, a w XVII wieku nawet i z kancelaryi litewskiej przestały wychodzić ruskie pisma; Statut litewski obowiązywał już dawno w tekście polskim, i, gdy w Polsce język sądowy (aktowy) był łaciński, na Litwie był polski; tryb szkolny był ten sam wszędzie, wymowa trybunalska czy sejmowa również (ostatnia mowa ruska przebrzmiała roku 1589, skarżąca na napływ nowych obyczajów, zatapiający starynę, tak jednak drastyczna, że raczej skomponowano ją umyślnie i szanownemu kasztelanowi smoleńskiemu, Mieleszce, tylko podsunięto).

Mimo spólnej kultury trzymały się Korona i Litwa odrębnie; nie przechodzili, albo raczej wyjątkowo, urzędnicy świeccy i duchowni; żeniono się między swoimi; u Jezuitów tylko różnic nie czyniono; Mazura posyłano do Kroż, a Rusina do Krakowa, patrząc na subiectum i zdolność, nie na pochodzenie. Lecz wieki, kultura i literatura działały swoje; wcześnie występują, nietylko z Radziwiłów i Wiśniowieckich, ale i z warstw najniższych, pracownicy polscy; okrainy zaczynają spłacać długi wdzięczności, zaciągnięte u macierzy. W XVIII wieku występuje to, jeśli możliwe, jeszcze jawniej: »Rusak« Bohomolec, jedna z najbardziej typowych warszawskich postaci, również Naruszewicz, Ejsymont (wszystko Jezuici), Kniaźnin i inni; do Warszawy dostraja się Wilno. I jeśli jeszcze w XVII wieku nieraz w Koronie sarkano na separatyzm litewski, jeśli W. Potocki wołał, że się bez Litwy obędziemy, a wojewoda pomorski (Kobierzycki) pytał, czy też w małżeństwie z rozdzielnym zupełnie gospodarstwem prawa miłość panuje, czy się Litwie do swoich kanclerzów i hetmanów nie zachce kiedyś i swego sejmu i króla, to w XVIII wieku znikły te antagonizmy, chociaż dawnego trybu nie zmieniano, bo Rzeczpospolita szlachecka, jak i autokracya, żadnych zmian nie znosiła.

Poczucie, uświadomienie narodowości polskiej, jedynej, rozchodziło się więc coraz szerzej i głębiej. Napozór zdawałoby się, że polskość stała szlachtą i duchowieństwem; że wystarczy, wedle opinii pruskiej, podciąć podstawy obu stanów, a runie naród. Tymczasem polskość i mieszczaństwa uświadomiła się choćby za dni wielkiego sejmu, i gdy »król z narodem« wołano, już przez »naród« rozumiano coś więcej. Upierał się jeszcze roku 1780 stan

szlachecki przy wszystkich prerogatywach, nie uznawał nikogo i niczego prócz siebie, ale już roku 1783 pisał ks. Świtkowski w Pamiętniku: »już teraz serca miękkie i duszę dla wszystkich ludzi tkliwą mieć poczynamy«. Że to tak rychło nastąpiło, i literaturze się zawdzięczało; mogły być recydywy, u jednostek, nawet i w szerszych kołach, ale większość narodu już ich nie podzielała, i zapał, z jakim się szlachta w poczet mieszczan warszawskich wpisywała, był szczery. Późniejsze wypadki łączność tę tylko stwierdzały, węzły obopólne wzmacniały.

Podniosła się wreszcie i kultura mieszczańska z ruiny wiekowej, z rdzy i pleśni, nową wielką zasługą rządów Stanisława Augusta. Nie tylko komisye *boni ordinis* działały w tym celu umyślnie; na miastach odbijało się wszystko, cokolwiek dla podniesienia handlu i przemysłu podejmowano; wpływem nowych szkół zahaczały o toż samo i usiłowania Komisyi edukacyjnej: nauki, satyry i komedye czy rozprawy po Pamiętnikach czy liczne przedsięwzięcia, choćby kompanii manufaktur wełnianych, dążyły do jednego celu.

Niknęły więc przesądy kastowe i rodowe; zacierały się i wyznaniowe, ulatniał się duch ascezy i nietolerancyi, tak żywy jeszcze, ba wszechmocny około roku 1768. Działo się to pod łagodzącym wpływem oświaty; od niej topniały lody sarmatyzmu, nieczułości, obojętności. Oświata utkliwiła i uszlachetniła serca; rozglądano się i porównywano; uznawano własne błędy i winy obce; wznoszono się nad potrzeby i poglądy życia zwierzęcego, jedynego, jakie epoka saska znała. A chociaż to odrodzenie, to nawiązanie zerwanych ogniw duchowych, to uświadomienie i europejskości i własnej narodowości nie odrazu, z wyżyn i od jednostek, rozpostarło się na naród, chociaż przychodziło ucierać się z obłędami konfesyjnymi i stanowymi, z nieuctwem, apatyą i lekkomyślnością, droga przyszłego rozwoju była wytknięta i rzucać jej już nie było możności.

Jeszcze łatwiej obliczyć, co specyalnie dla literatury epoka Stanisławowska zdziałała. Uwolniła nareszcie myśl od uwięzi ascetycznej, odrodziła język, odnowiła formę. Wszystko skarlało, zmanierowane, bez życia; język zesztywniał i zubożał, odwykły, żeby w nim głębsze materye traktowano. Słowa, którymi dziś bez namysłu, jako odwiecznymi, szafujemy, wstawiał autor z czasów sejmu wielkiego ostrożnie, kładł w nawiasach obce, obok »nad-

użycia« *abusus*, obok »czynnika« *agens* i t. d., jakby o wybaczenie dla tych nowo ukutych wyrazów prosił; przedtym nikomu się przecież ani śniło, używać w polskiej mowie innego terminu, niż *abusus* lub *agens*, t. j. obdzierać własną mowę na zysk cudzej. I ci właśnie ludzie, co wąsom i karabelom vale rzekli, starali się o wymiecenie cudzoziemszczyzny z języka narodowego. Czasami szli nawet za daleko: pilnując prawidłowości mowy, strzegąc się dawnej trywialności i rubaszności, pozbawiali ją wyrazistości i bogactwa; ścierali jej barwę, bojąc się, czy nie zbyt pstra; gładzili, by co gdzie nie uraziło; szablon francuski mowy-galanteryi do polszczyzny przykładali i zbyt gorliwie ze wszelkich narośli i dzikich niby pędów ją okrzesywali. Z odnowionym językiem nie zgadzała się już i dawna bezstylowość, dawne podbieranie wierszów do byle jakiego przedmiotu, choćby do teologii szkolnej: w regułach, acz zbyt ciasnych, i w ich przestrzeganiu, odbiła się reakcya przeciw rozpasaniu; wrócono do najlepszych tradycyi i wzorów i, choć wielkich dzieł nie stworzono, choć na oryginalność się nie sadzono, choć naśladowano (najmniej na polu satyry z jej bogatą weną i werwą), przygotowano wyniknięcie literatury prawdziwie narodowej.

Całą jednak treść epoki Stanisławowskiej, jej polityki i jej literatury, wyraża jedno, najlepsze jej dzieło: »Konstytucya trzeciego maja«, sławiona i przez ministra angielskiego (Burke), jako najlepsza; do niej zbiegają się wszystkie linie rozwoju; w niej bierze udział, jak w jakim końcowym obrazie na scenie, wszystko, co było w Polsce dobrego i mądrego, i król i Krasicki i Naruszewicz — choćby odą, kazaniem czy listem, i błogosławi jej zdala Andrzej Zamoyski. Epoka zaczynała się i kończyła niby tak samo: reformą sejmu konwokacyjnego (1764) i unicestwieniem tej reformy przez konfederacyę Radomską — reformą trzeciego maja i unicestwieniem reformy przez Targowicę. Lecz ongi przeprowadzali Czartoryscy sami reformę przeciw narodowi; teraz trzech magnatów burzyło ją przeciw narodowi! Że naród po stronie reformy stanął, to było zasługą i rządów Augusta, i literatury jego czasów. Mógł sejm roku 1768 — po dziele Konarskiego! — uprawnić Liberum Veto; sejm roku 1791 zrywał ze wszystkim złym przeszłości, z nierządem i jego nałogami, nakładał na stany sejmujące ofiary, uznawał mieszczan, podawał dłoń włościanom. Miał on być

zorzą poranną nowego świtu, lecz to już tylko zachodzące słońce ozłacało gmach dawnej Rzeczypospolitej. Dzieło samo upadło, lecz chwilę jego spółcześni górnie przeżyli,

Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy,

a chwil takich losy wszystkim narodom skąpią; tym ważniej ciążą one na szalach dziejowych, a następstwa ich nieobliczalne.

Z dawnym państwem zakończyła się dawna literatura. Rozwój jej, nadzwyczaj powolny, utrudniały niegdyś stosunki wewnętrzne, od samego niekorzystnego położenia kraju aż do rozwielmożenia się obcych żywiołów, niemieckich po miastach, a łaciny po głowach. Niemców zasymilowano niebawem zupełnie; łacina ustąpiła dopiero po roku 1764. Dziwnie ukształtowały się wskutek tego dzieje literatury polskiej: zagranicą nie wciąga się do nich nigdy, chyba wyjątkowo, w najobszerniejszych dziełach, u Gödekiego albo w nieskończonych tomach »Histoire littéraire de la France«, literatury krajowej łacińskiej; u nas należy koniecznie uwzględniać i literaturę łacińską; najznakomitsi pisarze nasi rozbili namioty swe tu i tam; Kochanowski i Orzechowski, Klonowic i Szymonowic, Fredro i Lubomirski nie poddadzą się głębszej analizie, jeżeli nie wciągniemy ich dzieł obcych, to jest łacińskich; Klonowic pisał przecież po łacinie, czego po polsku nie śmiał powiedzieć; obok pisarzów, wyłącznie po polsku piszących, Bielskiego, Reja i Potockiego, niebrak i wpływowych latynistów, Janicyusza i Sarbiewskiego.

I została łacina drugim językiem naszej dawnej literatury, a fakt ten obfitował w ważne następstwa. Obcy język przemycał i obce obrazy, uczucia i myśli; zacierał, fałszował, odmieniał narodowy charakter literatury; wzorowano się nie tylko na formach starorzymskich, ale przejmowano się ich treścią. Nie z przypadku ani bez skutków zaroiła się literatura Zygmuntowska latynistami, Krosienczykiem, Krzyckim i innymi; reakcya narodowa Bielskiego i Reja nie przemogła; zepchnął Kochanowski ponownie rydwan tej literatury na tory naśladownicze, z których już się nie wydobyła, okupując znaczne zyski znaczniejszymi stratami. Pełni życia narodowego ona już nie wyrażała, krępowana paskami i powijakami

klasycznymi; w nich nauczyła się chodzić, zrzucić ich jednak nie potrafiła, najmniej w wieku XVI. W wieku XVII dopiero, z obniżeniem poloru umysłowego, przebijały pędy narodowe skorupę klasyczną, ale ani ogólnie, ani na zawsze, i wszechwładność łacińskiej formy i myśli, podtrzymywana przez szkołę, kościół, urząd, przetrwała czasy saskie.

Zupełnie narodową dawna literatura więc nie była; nie rozwijając własnych form i myśli, żywiła się obcymi sokami; nawet u Paska bróżdżą łacińskie, nie tylko frazesy; ksenomania, naśladownictwo, grzech pierworodny słowiański, wycisnęły na niej piętno. A jednak, pominąwszy nagłe podniesienie się za Kochanowskim na wyżyny artystycznego tworzenia, jakichby domorosła literatura nie rychło albo nigdy nie dosiągnęła, umiała ta dawna literatura, jak i dawne życie polskie, chociaż w znacznie mniejszym stopniu, zachować oryginalność, występującą jaskrawo w XVII wieku, u Kochowskiego, bardziej u Potockiego, zacierającą się znowu później, nie w formie, chramiącej stale na klasycyzm, nie w treści, nadto często zapożyczanej, lecz w duchu. Nawet z pod najpotworniejszych wymysłów pseudoklasycznych u Miaskowskiego przebijała głęboka i prawdziwa nabożność staropolska; konwencyonalna całkiem sielanka Potockiego, z Apolinem i Muzami, z Bakchem i Olimpem, wyznawała zasady, najbardziej obce klasycznemu światu.

Więc nie skostniała zupełnie dawna literatura w naśladownictwie, choćby już dlatego, że w różnych wiekach różnym podlegała prądom. Z wieków średnich, u Bielskiego, Reja i Seklucyana, wychodziła podobna do czeskiej; Sztitny, Hus, i Chełczycki, domorosła spekulacya, asceza i obserwacya, przeszczepiły się na grunt polski, i polszczyzna XVI wieku nie tylko powierzchownie, kilkudziesięciu czechizmami, wzory i źródła czeskie przypominała; tu biła rodzimość najczyściej, charakter słowiański występował tu najpełniej. W literaturze, nie w życiu, przemógł humanizm, ale niebawem zabarwiły go nowe żywioły, rycersko romantyczne, włoskie, obce zupełnie np. Czechom, wyłączne w literaturze dubrownickiej. Literatura polska, po cechach czeskiej i łacińskiej, przybiera włoską; styka się w tych samych tłumaczeniach i naśladownictwach z dubrownicką, chociaż się nieraz znacznie opóźnia; »Amintę« np. przetłumaczył Zlatarić jeszcze

przed wyjściem na świat oryginału włoskiego (1580), u nas dopiero Andrzej Morsztyn; za to »Pastor fido«, tragedyę Grottego, »Rime spirituali Fiammy« (1570 roku) już w XVI wieku tłumaczyli Smolik i Grabowiecki; romantyczne epopee, heroiczne (Osman Gundulića) i religijne (Christyada Palmotića) powtarzają się u Kochowskiego i Gawłowickiego; Aryosto i Marino zaś święcą w Polsce tryumfy, na jakie Dubrowniczan już nie stać. Obok włoskich zjawiają się wpływy francuskie, najpierw między wszystkimi Słowianami, u Polaków już w XVII wieku — tylko germańskich brak zupełny.

Rozmaitości wpływów i kierunków odpowiada bogactwo form i treści, chociaż zupełnie odłogiem leży pole dramatyczne; wszelkie próby, od Kochanowskiego do Rzewuskiego, rażą odosobnieniem; tu cofa się literatura polska niemal poza dubrownicką, nie dotrzymując bynajmniej kroku romańskim i germańskim. I to ani przypadek, ani skutek tylko braku życia miejskiego i dworskiego u szlachty, stroniącej zawsze od obu, sielskiej nawykami swymii prawdziwie słowiańskiej i pod tym względem; obok liryki i epik, słowiańskiej nie stanął i dziś jeszcze nigdzie dramat słowiański, rzecz zawsze jeszcze przyszłości, mimo prób nieskończonych a nieraz i świetnych. Jednozgodne świadectwa najlepszych znawców, Czartoryskiego i Dmochowskiego, stwierdzają istnienie sceny szkolnej, komedyi i tragedyi żakowskiej, popisów krasomówczych i pseudohumorystycznych po audytoryach, przeczą samym początkom jakiejś sceny narodowej, powstającej później nawet (co do czasu), niż rosyjska; Wołkow i Sumarokow, teatr Elżbiety, wyprzedzili Bohomolca i teatr Stanisławowski. Tym obficiej uprawiano inne działy, dydaktyczny, od poważnej satyry aż do sprośnego pamfletu, epiczny i liryczny, chociaż znowu poezyi nie nadąża proza; widocznie to szczególniej w romansie, zatapiającym u Francuzów i Niemców, Włochów i Anglików, niwy poetyckie, zawsze nikłym w Polsce, gdzie i tłumaczenia nie były ani rychłe ani obfite; Niemcy piszą dawno już romanse o Wandzie, gdy Polacy chyba na epopeę łacińską o niej się zdobędą; Francuzi tworzą powieść polską, chociażby taką jak »Le beau Polonais« Prechaca, »Mémoires de la comtesse Linska, histoire polonaise« (1739 roku) p. de Lavalle lub »Les amours de Bonne« — my sami milczymy.

Jeżeli dawna literatura ani arcydzieł nie stworzyła ani zupełnie narodowej formy i treści nie wyrobiła, należy się jej tym większe uznanie za gorliwą służbę obywatelską.

Służmy poczciwej sławie, a jako kto może
Niech ku pożytku dobra spólnego pomoże:

to jest jej hasłem, jak było Kochanowskiego, i najmniej ona winna, że »dobro spólne« zmarniało; również daremne były nawoływania literatury politycznej. Ta obywatelskość wyróżnia dawną literaturę nie tylko przed naszą nowoczesną, ale i przed obcymi: jej poeci nie zaskorupiają się w sobie, żegnają rychło uniesienia liryczne młodości i stawają do szeregu pracowników pożytecznych. Lecz nie tylko tą cechą obywatelskości, góruje ona i promieniowaniem na zewnątrz — na literaturze polskiej wyrastają liczne pokolenia wschodnie, w Kijowie i Jassach, a wpływ tej literatury sięga i Moskwy. Góruje ona wreszcie językiem, jego poprawnością i czystością, mimo naleciałości łacińskich, — te tylko w szyku słów trwały wpływ wywrzeć mogły; język Orzechowskiego i Skargi, Reja i Potockiego, Krasickiego i Trembeckiego zostanie na zawsze źródłem ożywczym i w nim skąpać się winien, kto po polsku chce pisać: nie darmoż Słowacki śród obcych obu Kochanowskimi i Wujkiem siłę i czucie językowe orzeźwiał i wzmagał, jak Anteusz za dotknieniem ziemi - rodzicielki.

Rozwój tej literatury nie odbywał się w linii prostej; cechują ją nagłe załamania i zygzaki. Po wiekowym pełzaniu nad samą ziemią, po powolnym wznoszeniu się w pierwszej połowie XVI wieku, pnie się ona nagle na wyżyny, odskakuje od dotychczasowego toru, za sprawą Kochania Wieku; artystycznej miary wzoru tego nie dosięgają nigdy już następcy; za to naginają oni linię wybujałą do poziomu narodowego napowrót lub kroczą po nowych torach, których nie wskazywał jeszcze wieszcz czarnoleski. Potym linia się niby gubi, jak niegdyś, chociaż wszystkie warunki się zmieniły, a wznosi się znowu nagle za czasów Stanisławowskich, silących się zdwojoną energią powetować czas stracony, podążyć za oświeceniem europejskim, któremu dorównywaliśmy w roku 1500 — niedarmoż rzucali wtedy Niemcy własne uniwersytety, a garnęli się do krakowskiego — a za którym pozostaliśmy tak

strasznie w tyle w roku 1764. I zdziałała ta nowa literatura, co mogła, i do odrodzenia duchów przyczyniła się mądrze a skutecznie.

Katastrofa polityczna i ją pochłonęła; zamilkła ona po roku 1794, a gdy na nowo powstawała, zmieniła się już zupełnie jej rola i znaczenie w życiu narodowym; przedtym tylko jeden z jego czynników, obok innych, teraz ona jedna wyłącznie niemal narodowość dźwigać czy stanowić i wyrażać musiała i dotąd musi; takiego zadania nie spełnia żadna inna literatura świata.

Poprawki: »Kazania Sejmowe« Skargi wyszły po raz pierwszy w roku 1597 przy tegoż Kazaniach dorocznych; wiadomość o osobnym ich wydaniu z roku 1595 polega na mylnej informacyi. — Autorem satyry z roku 1564, »Proteusza«, nie jest Andrzej Wolan; są to pierwociny pióra poety - laureata, Cypryana Bazylika, co się niebawem na pole wydawcy - tłumacza przerzucił i widocznego talentu poetyckiego dalej nie uprawiał. — Inny ślad wpływu literatury polskiej na rumuńską, prócz Mohiłów i Costina, ocalał w wierszowanym przekładzie psałterza metropolity Dositeja (z roku 1673), naśladującym przekład Kochanowskiego.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

PEDAGOGICZNA Biblioteka Wojewódzka
23852